

KSEFA SYATA

Q. 27
453

Q. 2790

140

KSIĘGA SWIATA.

(Rok 9)

KSIĘGA ŚWIATA

WIADOMOŚCI



Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII, KRAJÓW I LUDÓW,
ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH,
ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

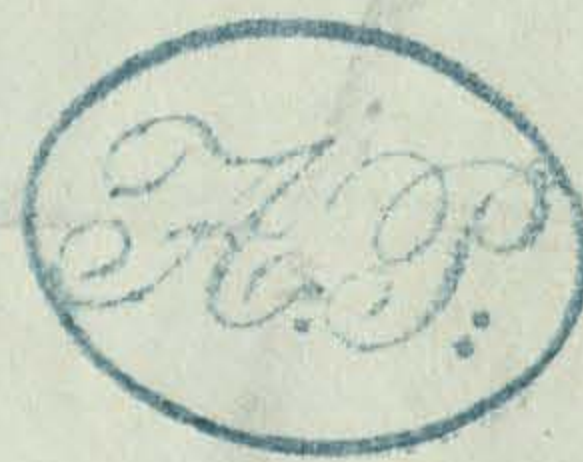
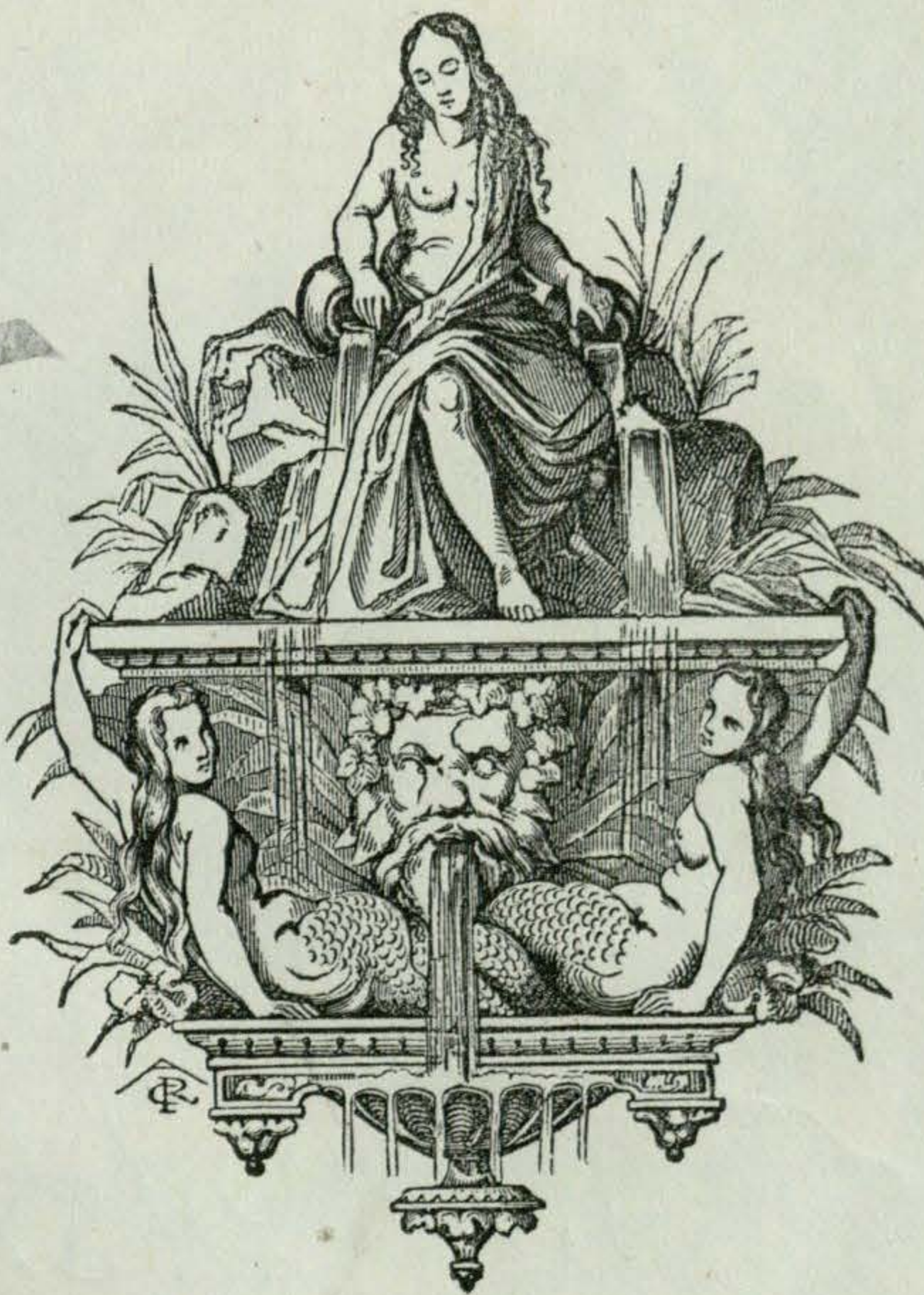
WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

Obrazy Towarzyskie, Statystyczne, Ekonomiczne i t. p.



Z RYCINAMI NA STALI, LITOGRAFIAMI CZARNEMI I KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.

CZEŚĆ PIERWSZA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA.

1860.

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Nr. P. 2790

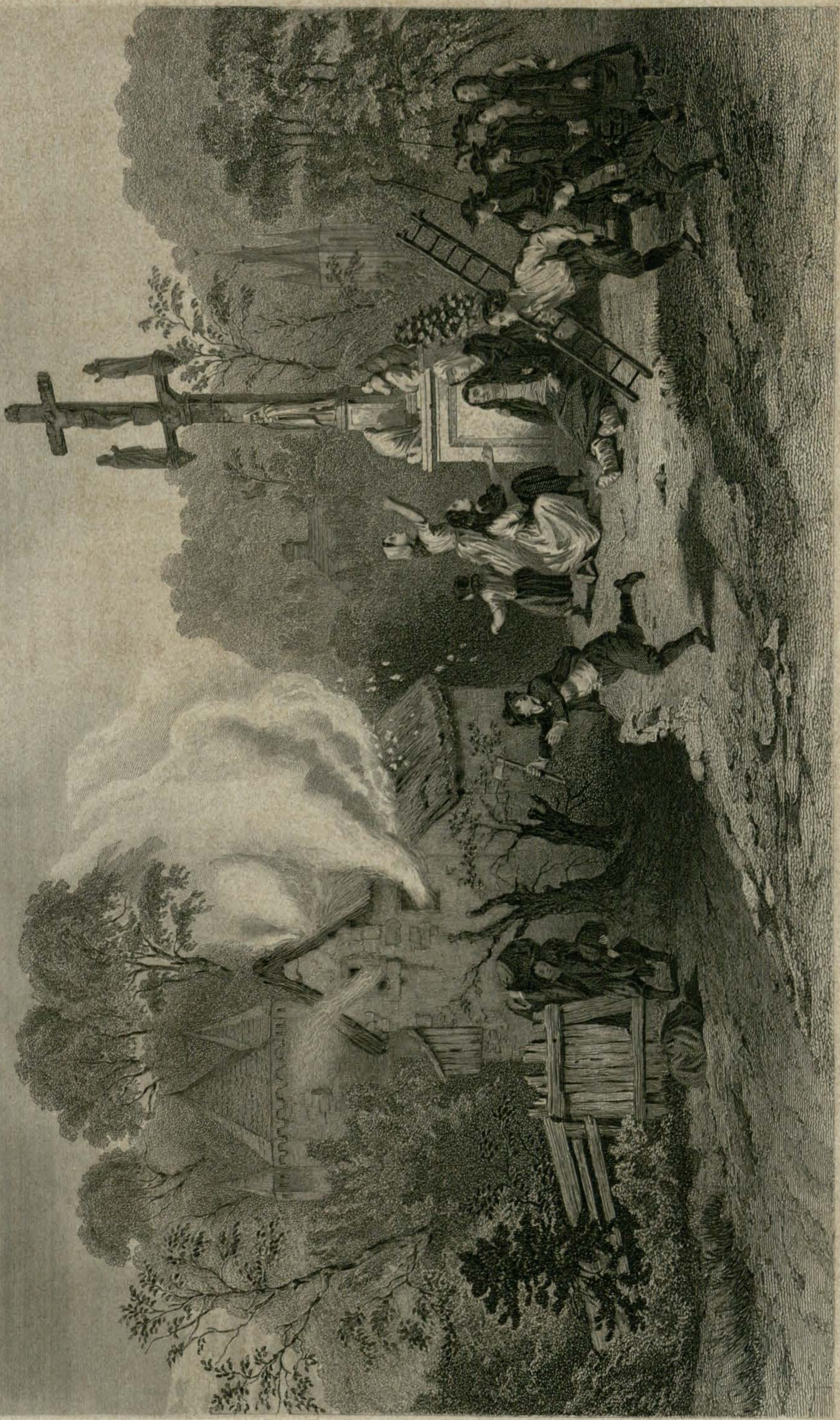
2000

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 18 (30) Czerwca 1860 r.

Starszy Cenzor, Assessor Kollegialny, T. HERTZ.

2. 140/52.



KSIĘGA ŚWIATA.

MARGARITHA BENEDETTA

(z miedziorytem).

Nadeszła chwila ciszy po bitwie; gwarzyli tylko żołnierze o niej, opowiadając rozmaite, straszne, niezwykłe, wyprawy swojej wypadki. Część wojska austriackiego należąca do ostatniej wyprawy połączyła się z oddziałem stojącym obozem wśród pięknych dolin i strojnych w winnice wzgórz nad brzegami Adygi. Ruch panował w obozie niezwykły; nie wiedziano jeszcze o zawieszeniu broni, gotowano się raczej do spodziewanego ataku ze strony nieprzyjaciół, a naczelny wódz korpusu, kazał spieszenie podawać raporty o stanie przybyłych z oddziału walki, o czynach mniej więcej chwalebnych różnego stopnia wojskowych. Gdy mu powiedziano że zbiegostwo znaczne było w oddziale, że niektórzy udając rannych, korzystali z zamieszania aby pozostać za wojskiem, wtedy dowódzca rozgniewany wydał rozkaz aby pilnie śledzono takich, iżby każdy choćby tylko podejrzany o złe zamiary, przyprowadzonym do niego został. „Sąd wojenny doraźny szybko się rozprawi ze zdrajcami, chorymi, opuszczającymi szeregi cesarskiego wojska” zawołał zapalczywie — „gdy kilku stracimy haniebną szubienicy śmiercią—inni obawiać się będą.”

Te ostatnie słowa donośnym wśród obozu wyrzuczone głosem, nie jedno wywołało ciche westchnienie—nie jedno ciche przekleństwo zatrzymało się za ściśniętymi ustami. Lecz słów tych strasznych nie słyszeli dwaj młodzieńcy, którzy nie wiadomo jakim

sposobem znajdowali się o parę staj od obozu, pod gęstymi krzakami akacyj rosnącymi nad samą rzeką. Jeden z nich, pięknych rysów, smagławej twarzy i wysmukłego wzrostu, miał ramię krwią zbroczone i rękę na czarnej chustce trzymał. Drugi jasnowłosy, okrągłej twarzy, nie miał na sobie żadnego widocznego śladu bitwy, oprócz kurzawy, którą oba pokryci byli. Widząc ich bez żadnej broni w ręku, z odkrytymi głowami, nie świadomy mundurów wojskowych, nie wiedziałby do jakiej ma ich policzyć służby, czy do piechoty, czy do kawaleryi — nie wiadomo także jak długo w tém pięknym ustroniu zostawali.

— „Patrz Janku — rzekł przerywając milczenie, smagły młodzieniec — w tém miejscu węższa rzeka, brzeg jój piaszczysty, przypomina mi Wisłę naszą! Oh! czy my ją też kiedy zobaczymy!”

— „Jak tak będziemy jakoś niedorzeczy robili— odparł żwawo Janek—to pewno że jój nie zobaczymy; trzeba nam było zaraz wzięść nogi zapas jak zakomenderował Rudy (tak zwano nie ulubionego oficera) do ataku.”

— „A czyż można było?—zresztą tak gadasz, bo i tybyś nie mógł uciekać choć byś tego chciał, wtedy kiedy już na przód iść trzeba—ja na prawdę mógłbym przejść za szereg, ale jakoś coś mnie popychało z innymi, i mówiłem sobie: strzelić nie strzele, karabin mój nikogo nie rani, ale iść muszę naprzód.”

— „Jakże miał ranić twój karabin, kiedyśmy wykrećali naboje, — odparł śmiejąc się Janek — a wiesz ty, — mówił dalej — że Rudy dowiedział się iż kilku naszych poprzysięgło, że za nic strzelać nie będą, że bez nabojów iść gotowi, jeżeli uciec nie zdołają? Oj! byłoby z niemi! ale szczęściem do niewoli się dostali; bieda że nam się tak nie udało! Dalibóg nie wiem jak my się już ztąd wydobędziemy!

— „Widzisz te dwie kobiety schodzące z pagórka! niosą coś w koszach — rzekł brunet, którego Józefem nazywać będziemy — zapewne sałatę na wieczerzę; podejdźmy do nich, zapytamy czyby nie można dostać barki, któraby nas na drugą stronę rzeki przewiozła? gdybyśmy się do tego, co ztąd widać, dostali lasku, tam za nim Villa, między mieszkańcami znaleźlibyśmy pomoc, suknie.”

— „Myślisz że nie uciekną, gdy nas zbliżających się do siebie zobaczą?” odparł Janek.

— „Nie sądzę, zdaleka do nich mówić będę, usłyszą o co idzie i pewno bać się nie będą, tém bardziej, że zapewne na wzgórzu są ich mężowie, bracia, przy robocie.

Józef z pod Krakowa do wojska austriackiego wzięty, lubo skończył szkoły, nie umiałby był po Włosku gdyby był od roku zeszłego nie kwaterował w Lombardyi, znał więc niektóre jej miasta, język, był nawet w Weronie i znał jej okolice.

Blask zachodzącego słońca oświetlał pagórek i młodzi ludzie zbliżając się do idących wieśniaczek, postrzegli iż kilku mężczyzn kręciło się pomiędzy drzewami owocowymi, jakimi wzgórze w kwadrat osadzone było; zdawało się nawet że wiązali rozrastające się gałęzie wina obok drzew sadzonego. Nie uciekały kobiety przed zbliżającymi się żołnierzami, czy przecucie, czy powierzchowność ich nie bardzo zbrojna uspakajała — jednakże nie posuwały się na przód, tylko jakby nie chcąc się zbyt oddalić od wzgórza, przystały na miejscu.

Jak tylko Józef osądził że usłyszonym będzie, zawołał prosząc w uprzejmych wyrazach, czyby dwóm cudzoziemcom *Polakom*, nie dopomogli dostać się na drugą stronę rzeki, gdyż to jedynie życie by im uratować mogło. Jedna z nich, młoda dziewczyna, mimo wołanie starszej, pośpieszyła do mówiącego, zrozumiała natychmiast o co chodziło — wskazawszy mu mały parów po nad którym stali, kazała zaczekać w nim na siebie, mówiąc iż pośpieszy zapytać swoich, jakiby sposób był najpewniejszy do ich ocalenia? Janek jako świeżo zaciągniony, choć nie umiał jeszcze po włosku, zrozumiał jednak co mu czynić wypadało,

spuścił się szybko do parowu. Józef zaś tak był uderzony pięknnością, a raczej jakimś dziwnie sympatycznym wyrazem twarzy dziewczyny, iż patrzył za odchodzącą i dopiero na zawołanie Janka poszedł za nim.

Wkrótce nadbiegła dziewczyna, niosąc w fartuszkach dwa lekkie kaftany jakich wieśniacy przy pracy używają i dwie czapeczki. Józef nie spuszczać oka z drogi którą się oddaliła piękna opiekunka, najpierw ją powracającą zobaczył i pośpieszył na jej spotkanie. Lecz jakież było zdziwienie i przerażenie ich dwojga, gdy w chwili kiedy oboje z zajęciem przyglądali się sobie, dwóch austriackich żołnierzy jak z pod ziemi wyrosło o kilka kroków! Jeden z nich zarzucawszy powróż na szyję Józefa obrócił lufę karabina swego do jego piersi — i rzekł chrapliwym głosem: „Przecieśmy was złapali niegodne ptaki.” Oburzony Józef nie wiedział co ma odpowiedzieć — krzyk dziewczyny, która w tej chwili jak strzała pomknęła ku wzgórz, odbił się w duszy jego. Dopiero utarczka Janka z dwoma drugimi żołnierzami, dowodzącego im że uciec nie myślał, przywołała Józefa do przytomności.

— „Na co ten powróż na szyi?” — zawołał oburzony, zrzucając go gwałtownie.

— „Chcesz żebym ci jak psu w łeb wypalił? zakrzyknął żołnierz.

— „Wolno ci — odparł Józef — ale ja z powrozem nie pójdę.

— „Żeby nie to, że macie wisieć dla przykładu drugim, tobym inaczey postąpił z tobą — no! idź spiesznie.” Natychmiast czterech zbrojnych żołnierzy otoczyło dwóch nieszczęśliwych, uprowadzając ich z sobą ku obozowi. Samo-chcąc, jak to mówią, wpadli im w ręce. Albowiem żołnierze szli ścieżką po za parowem wiodącą do wiejskiej małej osady, gdzie, jak się zdawało ich wachmistrzowi, znaleźć byli powinni kilku dezertów, których brakowało przy wieczornym apelu.

Gdy mijali parów, jeden z nich z po za rosnących nad brzegiem krzaków, spostrzegł Józefa idącego ku dziewczynie, dał znak kolegom, i uradowani że dalej nie pójdą szukać niepewnej zdobyczy, szybko się wdarli na wyniosły brzeg po nad parowem sterzący i nagle napadli na zdobycz swoją.

Słońce zapadło zupełnie a lubo purpurowy blask w długich smugach rozchodzący się po widnokręgu, dość jeszcze rzucał światła — przecież nie tak jasno wszystkie przedstawiały się przedmioty: żołnierze więc bojąc się utracić zdobycz swoją, tém mocniej

się ścisnęli, tém spieszniej postępowali. W tém z po za góry, w kierunku bliższym drogi, którą przebywali, daje się słyszeć kilka wystrzałów, a razem głosy, nie wiadomo czy trwogi i przerażenia, czy radości i podziwu, wołające: „Francuzi! Francuzi!” Żołnierze jakby piorunem rażeni, zapominają o więźniach, a myśląc raczej o ratowaniu samych siebie i o zanieśieniu do obozu ważnej o nadspodziewaném zbliżeniu się nieprzyjaciela wiadomości—puścili się naprzód; nasi zaś więźniowie, korzystając z przestachu tamtych, równie spiesznie udali się w stronę zkad wystrzały i głosy słychać było.

Łatwo się domyśleć iż dowódcą tego strategicznego obrotu, była młoda wieśniaczka; oznajmiwszy pracującym towarzyszom o schwytności dwóch nieszczęśliwych Polaków, zachęciła aby spróbowali nastrożyć nieprzyjacielskich żołnierzy—wszyscy więc zbiegłszy z góry udali się w kierunku ku obozowi, a że wielu z nich miało zwyczaj brać z sobą strzelby, dla odparcia napaści jakaby od maruderów obozowych spotkać ich kiedy mogła, użyli jej na spłoszenie żołnierzy, których napadać otwarcie, nie zgadzało się z roztropnością, bo przez to można było cały ogół na odpowiedzialność narazić. Gdy pogłoska o Francuzach krążyła po obozie, kiedy w skutek tego podwajano patrole, zaprowadzano różne ostrożności, zapomniawszy o szukaniu zbiegów, wtedy ci znajdowali się już na górze wśród mniemanych Francuzów. Uradzono ażeby noc kaźden z nich w innym przepędził domu, a rano, miano ich w bezpieczne przeprowadzić miejsce.

Pocziwy wieśniak a raczej dzierżawca (affittajuolo) pięknego z winnicą gruntu, będący ojcem młodej dziewczyny, przyjął do siebie Józefa. „My w ogólności mamy sympatję do Polaków—rzekł do niego— a ja powinienem jej mieć więcej, bo dziadek mojej żony był Polakiem.

— „Czy może być! — zawołał Józef ze wzruszeniem, i spojrzawszy na młodą córkę gospodarza, jakby chciał w jej rysach potwierdzenie tego co słyszał upatrzeć.

— „Tak jest—przywtórzył gospodarz, znałem matkę mojej żony, która nawet umiała język, gdyż ją matka jej straciwszy męża i synów przywiozła z sobą do ojczyzny—staruszka żyje jeszcze, ucieszy się gdy cię zobaczy—bo kochała męża, kraj, gdzie z nim i całą nieszczęśliwą rodziną jego mieszkała. Do syna mego u którego mieszka prababka, rano o świcie udacie się o mil parę ztąd; tam niedaleko mieszka

rybak pocziwy, on cię przewiezie przez rzekę, jeśli osądzisz że to będzie najlepszy środek ocalenia się

„Szczególne zdarzenie!—zawołał zdziwiony, więc w rodzinie waszej znajdował się rodak mój?

„Tak jest, młody przyjacielu!—odrzekł gospodarz. Nie ma nic dziwnego—dodał— w losach wojen wypadki takie zdarzać się mogą.”

To powiedziawszy gospodarz, nader zajęty sprawą kraju, zagrożony wojną obecną, nie wspominał już więcej o rodzinnych stosunkach, tylko o świeżych wypadkach, o losie spodziewanej bitwy rozmawiał. Po czém odprowadził go do przyległej izby, gdzie nasz Józef znalazł wygodne łóżko, i życząc dobrego spoczynku, zapowiedział, aby ze wschodem słońca był już do wyjścia gotów.

Nie prędko zasnął, lubo znużony wypadkami i spieszonym biegiem Józef;—młoda córka gospodarza mająca swój pokój w facjatce na górze, razem ze starą służącą także długo nie spała i długo przed obrazami Matki Boskiej i świętej Małgorzaty gorące zanosiła modły.

Zaledwie promienie wschodzącej jutrzemki rozjaśniły czysty lazur nieba Italii, złocąc światłem swoim żyzne pagórki i doliny zaludnione, osadzone drzewami, winnicami i schludnymi domkami; gospodarz zastukał do drzwi gościa swego. Zerwał się Józef—a przyjąwszy ofiarowaną mu szklanek mleka, bułkę, wybornego kawałek séra, ubrawszy się w przygotowane od gospodarza, składające się z letnich w niebieskie paski pantalonów, z białej jak śnieg koszuli i takiejże chustki, ze szpencerka alepinowego w ciemno-granatowym kolorze, i z kapelusza słomkowego; wzruszony Józef uściskał serdecznie rękę zacnego człowieka i wyszedł z córką jego, która miała mu towarzyszyć w tej podróży. Skoro znaleźli się na wzgórkach, z którego się spuścić mieli ku gościńcowi, zatrzymał się Józef wpatrując się w jedną stronę, jakby coś spostrzegał. Dziewczyna uważając to, zatrwożyła się i zawołała: Idź za mną, dla czego się ociągasz? idź za mną, wszak to o twoje chodzi życie

— „O życie? odparł z uśmiechem—poszedłbym z tobą choćbym wiedział że je stracę. Ja się obejrzałem za moim towarzyszem bo zdawało mi się że go wychodzącego z po za tamtych drzew widziałem.”

— „Bądź spokojny o swego towarzysza, sąsiad nasz, zacny Bartolo, wziął go do siebie i zaprowadzi gdzie będzie żądał.

— „Ja więc zostaję bezpośrednio pod opieką twoją? piękna przewodniczko! czyż wart jestem abyś tak daleką pieszo odprawiała podróż?

— „To też tak nie będzie — odrzekła z uśmiechem — z tego tu domku wiezie kukurudzę na targ znajomy nasz, na jego wózek wsiądę.

Gdy to mówiła, dochodzili do porządnie urządzonego domku z podwórkiem zabudowanym, na którym stał już przygotowany na dwóch dużych kołach zaprzężony osiołkami wózek. Na nim leżało parę worków z ziarnem na polentę, parę z owsianą mąką. Na takim Sediolo wygodnie siedziało się, bo sporządzonem było nakształt koziolka na przodzie bryczki. Wskoczyła na niego lekka włoszka, wzięwszy lejce do ręki, klasnęła w dłonie, a stary, pochylony, chudy wieśniak w dość opuszczonym stroju, wyszedł ze stajni z kąd ryk pięknej krowy ozwał się, dopominając się o wydojenie i wypuszczenie na przyległą łączkę.

— „Towarzysz naszej podróży nie piękny, nie młody, a do tego głuchy, odezwała się po cichu z uśmiechem młoda dziewczyna — ale u nas zbyt trudno teraz o młodych ludzi, za ledwie że z naszą kobiecą pomocą, możemy z tymi, co jeszcze pozostali, dać radę w gospodarstwie.

— „Czy z bliskich twoich — rzekł ciekawie Józef — także kto poszedł na wojnę?

— „Poszedł brat mój starszy odemnie, a młodszy od tego do którego jedziemy; ten się ożenił i jest jedynym opiekunem matki, żony i jej rodzeństwa, musiał więc przy gospodarstwie pozostać” Tak rozmawiając wyruszyli w podróż, którą prawie milcząc odprawiali, gdyż turkot wozu po drodze bitój, siedzenie dość wysokie a tém samém oddalone, utrudniało rozmowę z idącym obok wózka Józefem.

Gdyby nawet Rudy porucznik spotkał Józefa w towarzystwie wieśniaka i młodej dziewczyny, ciągnących zwolna traktem, nie byłby go nigdy poznał. Idący chłopak przy wozie obok młodej dziewczyny, za brata jej wybornie mógł być wzięty! z pod słomianego kapelusza błyszczące oczy ciemno-duże, wyraziste; twarz smagła, rysy ściągłe, ubiór skromny, czysty, do figury przypadający, tworzyły całość w niczem się od krajowców nie różniącą. Stary Paulo dążył za nimi; widać już było znużenie na nim, lubo dziewczyna często zsiadała z miejsca swego i kazała mu je zajmować dla odpoczynku. Gdy tak kilka mil ujechali, ukazała się mała drożyna od traktu do wioski przyległej wiodąca. Parę wysmukłych cyprysów, kilka rozłożystych kasztanów ocieniało ładny domek na wzgórku, wśród pola zasadzonego owocowymi drzewami i winem.

— „Widzisz ten domek? — rzekła, wskazując dziewczyna — wyższym się on nad inne zdaje, bo stoi na wzgórzu, tam cel naszj podróży, tam będziesz bezpieczny, tam Margaritha da ci krzyż na drogę, a pewno cię nic złego w dalszej nie spotka podróży — bo ona jest jakby świętą, wszyscy ją zowią *Benedetta*.” Kończąc te słowa zeskoczyła z wózka na którym siadł stary Paulo i w dalszą traktem puścił się drogę.

— „Dla czego ona jest świętą, czyli błogosławioną? — zapytał Józef udając się za swoją przewodniczką drożyną do wioski wiodącą.

— „Dla czego? — bo wiele cierpiała i kochała wiele — odpowiedziała dziewczyna.

— „Wszak i ty jesteś Margaritha, i ty bądź błogosławiona wybawicielko moja! Ale niech Cię sama miłość uświęci bez cierpienia — rzekł Józef głębokim, pełnym wzruszenia głosem.

Nic nie odpowiedziała Margaritha, tylko spieszniej szła do wioski; — dopiero po chwili, zapytała towarzysza: — „Masz jeszcze matkę?

— „Nie mam już ani ojca, ani matki, dla tego jako wolny, do losowania podany byłem, a smutny los mój chciał, abym czarną wyciągnął gałkę.”

Znów nastąpiło długie milczenie które przy końcu przerwał Józef zapytaniami o nazwisko wsi, o patrona kościółka i rzeczy tym podobne.

— „Petro! zawołała Margaritha gdy w próg domku wchodzili — prowadzę wam gościa — rzekła do wychodzącego na głos jej, młodego mężczyzny — i opowiedziała mu w krótkości położenie Józefa.

„Signore Polacco! — rzekł uprzejmie podając rękę Józefowi Petro, brat Margarithy — bądź nam miłym gościem — dodał — wprowadził do porządnej izby, której sprzęty wygodne, pare obrazów na ścianie, na białym obrusie zastawione śniadanie, świadczyły o dobrym bycie gospodarza, i niestety! nie przypominały niczem nędznej chaty naszego wieśniaka.

Świąteczne suknie gospodarza, jakiś ruch w domu, oznajmił że to dzień oznaczający się od innych powszednich — istotnie było to święto patronki stariej prababki która dnia tego 80ty rok życia zaczęła. Świeżo przybyła prawnuczka pragnęła jak najprędzej przedstawić ukochanej, szanowanej przez całą rodzinę i przyjaciół staruszce nowo przybyłego rodaka, ale jej brat powiedział że spi jeszcze, że pewnie do śniadania nie przyjdzie, gdyż rano skoro się obudziła, opowiadać zaczęła dziwne sny o mężu, o wnukach spoczywających w grobie, którzy jakby się zeszli na dzień jej święta; a te przeszłości wspomnienia, widok ukochanych osób, tyle zadziałał na jej

i tak już wątle siły, iż powiedziała że nie wstanie aż do obiadu—i znużona powtórnie usnęła.

Naturalnie Józef zaproszonym został, aby dzień ten uroczy razem z niemi przepędził. Chętnie przystał na to, tém bardziej iż wioska oddalona od traktu i obozu, ubiór jego zmieniony, nie narażał go na niebezpieczeństwo. Do śniadania, oprócz gospodarza, żony jego i dwojga sług—zasiadła rodzina tejże, składająca się z matki w sile jeszcze wieku, dwóch podrastających dziewczynek i dwóch chłopczyków.

Młoda Margaritha gwarzyła wesoło z dziewczynkami, pieściła dzieci które się od niej oderwać nie dały. Józef rozmawiając a raczej odpowiadając na różne wnioski, jakie równo z ogółem czynić lubił młody gospodarz z powodu obecnej wojny, patrzył się z zajęciem na ten obrazek życia rodzinnego ludzi, do klasy pracującej należących, których *praca* nie tak ciężka i nieustanna, żeby w nich władze moralne i umysłowe zabić miała, zabezpieczyła właśnie od zepsucia z próżnowania wynikającego.

Ze zbliżającą się porą objadową, powiększyło się towarzystwo, widać że na ten dzień uroczysty zaproszone. Każden z przybyłych pytał o prababkę jakby zdziwiony że jój dotąd nie widzi, że dotąd duże z poręczami trzcina wyplatane krzesło przy szerokim oknie stojące z małym krągłym przed nim stolikiem, próżne było. Odpowiadano każdemu zaspokajającą wiadomością że staruszka lubo późno wstała, rzeświejszą jest jeszcze niż zwykle, może w skutek deszczu, który ochłodził powietrze i skwar dnia znosiniejszym uczynił.

Nareszcie w przyległej izbie pozastawiano stoły, śnieżnemi ponakrywane obrusami; na nich obok zastawy z owoców, séra i wina, nie pospolitą grały rolę placki z polenty (mąki z kukurydzy) z rozenkami i cukrem, które młoda gosposia popiekła. Na środku stało duże krzesło prababuni, której osobny alkierz właśnie przytykał do téj izby. A gdy stara służąca już przyniosła wyborną z różnych a różnych zielenin na mięsie zgotowaną zupę—wszyscy się zeszli i letnia kobieta, oparta na prawnuku, wyszła powitać zgromadzenie i serdeczne przyjąć życzenia obok próśby o błogosławieństwo. „Obyś nam tak przynajmniej lat 20 błogosławić mogła Margaritho Benedetto!”—rzekł do rozczulonej staruszki świeżo przybyły, jeszcze kurzem okryty sześćdziesiąt-letni ale rześwy z siwemi włosami człowiek, strojem różniący się

od wieśniaków, a nic nie mający w sobie pańskiego. Ubiór miał ubogich mieszkańców miast, trudniących się kupiectwem, roznoszeniem pism, lub oprowadzaniem gości; składający się z pół fraka z nankinu, z dużemi guzikami, z takichże spodni, z białej na znak uroczystości kamizelki i ze składanego, znanego za dawnych czasów, popielatego czapko-kapelusza, którego zwykle pod pachą trzymał. „Patrycio!—krzyknęli wszyscy razem, gdy tak niespodzianie stanął wśród nich i obstąpili go wszyscy, po tysiąc pytań zadając z kąd idzie? co słyhać? i t. p.

— „Kto to jest?—zapytał Józef Margarithy.

„To Patricio Veronese — odparła — nazywają go Werończykiem bo tam się rodził, tam kiedyś rodzice jego piękny dom posiadali, ale dziś on biedny nie ma, mieszka w bliskim miasteczku, żyje prawie z jałmużny, lub z tego co mu dają po restauracjach goście, którym opowiada dawne dzieje, a czasem przy gitarze śpiewa. Lubi bardzo podróżować, więc najmuje się niekiedy podróżnym za służącego i za Cicerona razem. My go bardzo lubimy, bo dobry, wesoły, a przytém umie zawsze coś opowiadać a raczej improwizować o dawnych czasach—a jak ma gitarę, to chociaż już głos jego jest trochę drżący, przecież bardzo miły gdy śpiewa Tassa, albo przygrywa swoim opowiadaniem.”

Prababka mile powitawszy Patrycia, szukać oczyma zaczęła Józefa o którym wspomniał jój gospodarz. „Pan Polak”—rzekła doń po polsku, i wyciągnęła obie ręce, które on ze czcią, z uszanowaniem, jakie podeszły wiek w młodych obudza, uściskał. Przypomniała sobie Kraków w którym jadąc do Polski z mężem dni kilka bawiła; nie mogła się nacieszyć słysząc dźwięk mowy którą niegdyś mąż, dzieci i wnuki przemawiały, a której, lubo już nie zupełnie rozumiała, rada słuchała. Zaczyna ta kobieta była rzadkiem w swoim rodzaju zjawiskiem, zachowała bowiem zupełną przytomność umysłu i żadnych przywiązanych do wieku nie miała dziwactw: była obrazem, przykładem czystego żywota; a wewnętrznego pokoju tego żywota jak przejrzystego źródła żaden brud nie zmącił i kończył się z tą samą jak przy początku, pogodą. Nieszczęście jakich doznała, posłużyły na podniesienie jój ducha, na wykształcenie moralne, na rozwinięcie głębokiego od młodości silnego, religijnego uczucia, które zda się jakby z espoliło jój duszę z życiem drugim, wyższym, tak jój już bliskim.

(Dokończenie Patrz na str. 41.)

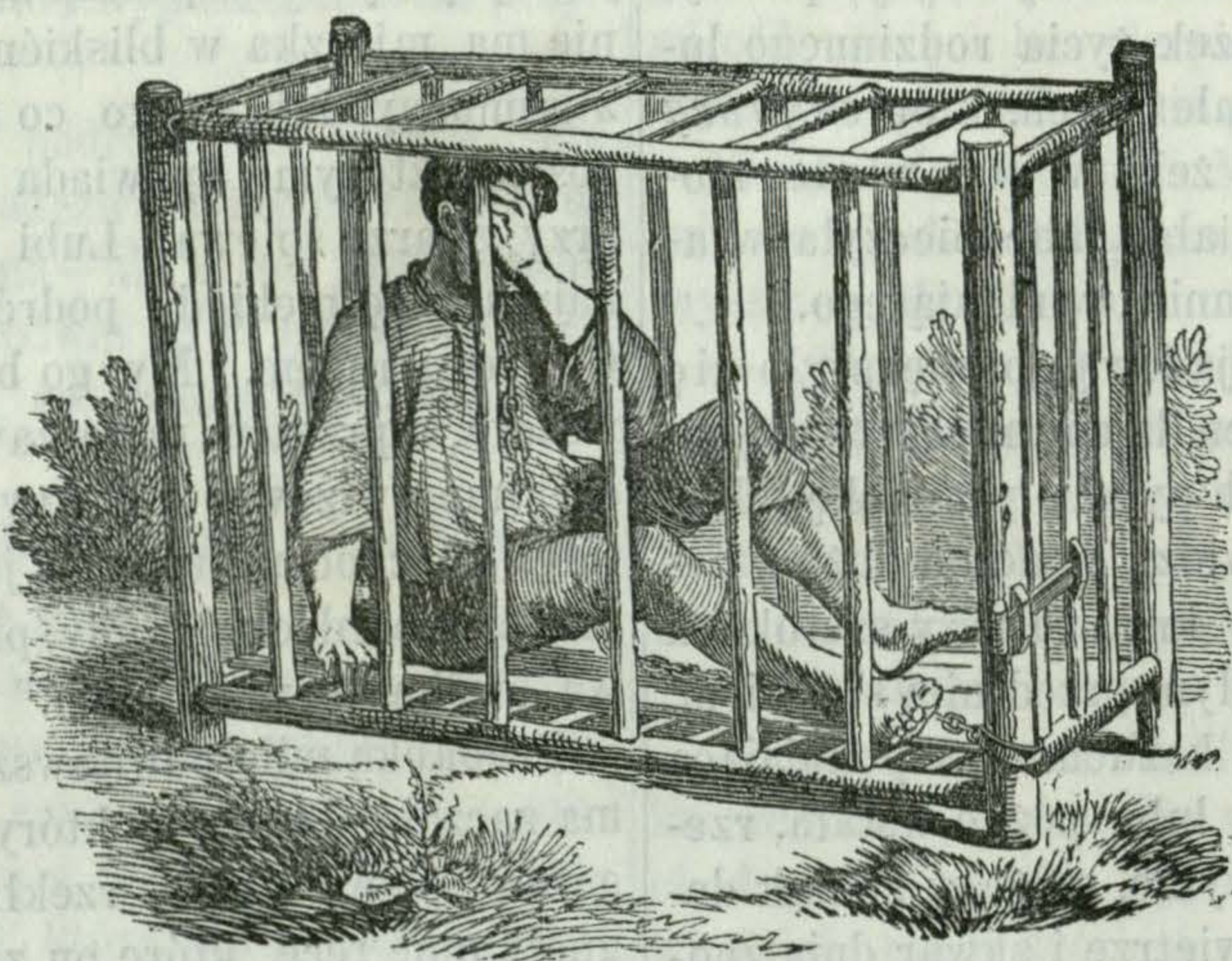
NIKTÓRE RYSY OŚWIATY CHIŃCZYKÓW I ICH ZWYCZAJÓW.

Kara śmierci bardzo często zdarza się w Chinach; oprócz niej jest mnóstwo wyszukanych rzeć można męzarń dla winowajcy. Jedną z lżejszych kar bywa wystawienie na widok publiczny zamkniętego w klatce jak dzikie zwierze przestępcy. Siedzi on w niej tak przykuty że się ruszyć nie może i zostaje co do żywności na łasce publiczności, która na prośby jego rzuca mu chleb, daje wodę lub na pożywienie. Zwyczaj ten nie tylko w Chinach powstał; w Niemczech podobnymże sposobem obchodzono się z winowajcami, wystawiając w klatce na widok publiczny zbrodniarzy; później tę karę zamieniono na stanie jakąś godzinę pod pręgierzem: w Chinach zaś na miesiąc i dłużej są nieszczęśliwi do klatki skazani ¹⁾.

Dziwna jest że Chińczycy tak przekonani o wyższości swojej, tak pojmujący godność osobistą, przyjmują chłosty jako najmniejszą i bardzo właściwą karę. Wszyscy tam ulegają bastonadzie, można powiedzieć że tylko jeden panujący wyjętym jest z tego ogólnego prawa, bo nie ma wyższego nad sobą; ten swoich najwyższych urzędników skazuje na bastonadę w razie ważnych przekroczeń, wyżsi skazują niższych, niżsi najniższych, najniżsi lud, i tak bez wyjątku jakby to do cyrkulacji krwi im potrzebnem było, pr zyj-

¹⁾ Za rządów pruskich wystawiano na widok publiczny w Warszawie na Starém mieście rzeźników i piekarzy, za niedoważania przy sprzedaży. Klatka była wielkości małej izby. Zwyczaj ten skasowano za b. Księstwa Warszawskiego.

(przyp. red.)



Więzienie Chińskie.

mują tę konieczność. Wywinąć się, wykupić niepodobna: urzędnik wydający wyrok nie da się przekupić, można tylko za pieniądze ulżyć sobie bólu, nawet prawie zupełnie zabezpieczyć od niego,

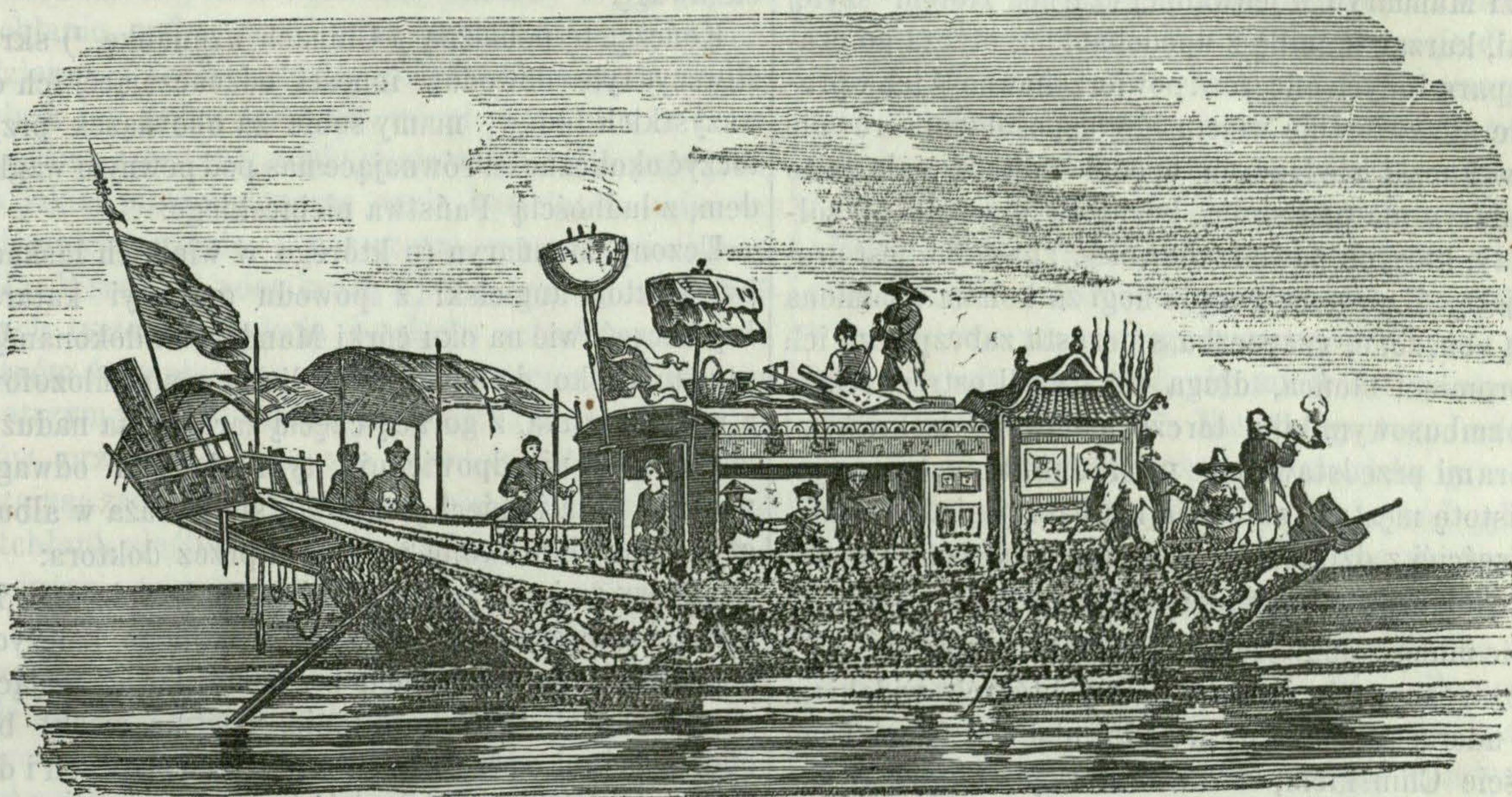
opłacając, za ugodą szybką i tajemną, bijącego, którego specjalnie temu się poświęcając urzędowi, tak jest zręczny i wprawny, iż zamierza się z wielkim impetem, a potem w samym uderzeniu tak zręcznie umie wywinąć bambusową trzcina, iż ta zaledwie traci ofiarę. Rozumie się iż ta możliwość oszczędzenia skóry swój, jest tylko przywilejem bogatych, a biedni, jak to zawsze i wszędzie, do dna kielich gorczy wysączyć muszą.

Niekiedy lud chcąc oszczędzić winowajcę,

sam wymierza sprawiedliwość. Razu jednego sprzedający rozmałą żywność zasnął w sklepiku; przechodzący oszust, spostrzegłszy obok niego próżne krzesło, na którym żona przekupnia była siedziała, zabiera na niem miejsce i poważnie sprzedaje jak swoją własność, wszystko co może. Nadchodząca żona zobaczywszy to, spieszy do sklepiku, woła: złodziej! i chce chwytać oszusta: pomimo zręczności nie zdołał umknąć, schwymano go, i osadzono że za takie przestępstwo nie warto go do policyi prowadzić, lecz trzeba jednakże mimo to przykładowie go ukarać; w kilka więc minut, starsi wydali wyrok, aby go na balu wystającym na zewnątrz domu, na dwie godziny zawiesić za warkocz,—w moment wyrok zręcznie wykonany został i winowajca wisiał z wielką satysfakcją przechodniów i z wielkiem zadziwieniem Europejczyka, który to zdarzenie opisał.

Zawsze coś nadspodziewanego, coś sprzecznego uderza badacza zwyczajów i praw Państwa Chińskiego; i tak, któżby mógł przypuścić żeby w kraju gdzie tak absolutnie panuje Syn Nieba a na wzór jego każdy Mandaryn, istniała jakakolwiek instytucja podobna do tych, jakie się w reprezentacyjnych rządach znajdują? Tymczasem, wszystkie wioski chińskie w taki sposób są urządzone. Wybierają one z pomiędzy siebie starszego i składają się na pierwszą opłatę dla niego. Taki rządca pełni obowiązki swoje póki tylko uznają go zdolnym i użytecznym. Wrazie przeciwnym składają go z urzędu obierając

czynią stowarzyszenie, którego on staje się członkiem; również składają pewną sumę, jaką podupadły kupiec rozrządza na swoją korzyść—w taki sposób ta składka jest wyrachowana, że w przeciągu lat siedmiu, każdy licząc w to pożyczone pieniądze i bankrutujący, wszystko swoje odbiera. Jest to rodzaj wzajemnego wspomaganie się bardzo dobrze uorganizowany, dowodzący jak Chińczycy umieją pojąć ekonomję krajową—jest to jedyne prawie dobroczynne postanowienie, jedyny odblask nauk Konfucjusza, któren tak równość braterską i wzajemne wspomaganie się zalecał.



Statek Mandaryński.

innego. Jakkolwiek nie liczy on się do urzędników Państwa, nie jest wcale przez rząd potwierdzonym, urzędnikiem nie uznanym, mimo to jednak prawa tradycyjne, prawo zwyczaju odwiecznego tak go szanuje, iż wolno mu jest przedstawiać w imieniu wioski swojej, czyli w imieniu tych którzy go obrali i upoważnili, rozmaite żądania, potrzeby, skargi; a nad to ten deputowany może mieć pod swemi rozkazami mniej więcej liczną siłę zbrojną.

Zakładów filantropijnych choć i aż spodziewać się u Chińczyków nie możemy, przecież i tam znajduje się uświęcone zwyczajem, wywołane wysokim poważaniem stanu kupieckiego, stowarzyszenie mające na celu ratowanie kupców. I tak, kiedy kupiec jaki upadać zaczyna, kilkunastu innych możniejszych

Wiadomo na jakim stopniu stoją sztuki piękne w Chinach, lecz obok tego wiadomo z jaką wytwornością wyrabiają tam rozmaite fraszki — jak piękna jest porcelana chińska, wyroby z kości, drzewa hebanowego i t. d. Wszystkiego tego napatrzeć się można w licznych zbiorach europejskich, do których chińskie pokoje w Willanowie śmiało zaliczyć można. Lecz nie znane są statki żeglugi chińskiej. Piękny utwór statku morskiego Mandaryńskiego ma być arcydziełem architektury kraju tego, a pod względem wytworności, misternego układu, w żadnym kraju nie podobnego spotkaćby nie można. Zobaczywszy go zdala płynącego na bystrych nurtach, opromienionego słońcem, wzięćby go można za czarującego, świecącego, w wielkich rozmiarach, robaczka. Naj-

piękniejsze kolory migają tam jak w tęczy — spód statku jak śnieg biały; wyższa część blado-niebieska, cieniowana ultramariną. W tej części statku z każdej strony jest po 12 małych owalnych drzwiczek czyli otworów, do koła pąsowym obwiedzionych kolorem; z tych otworów wychodzi tyleż białych wiosł które nigdy nie wchodzi wewnątrz, a gdy statek nie jest w ruchu, unoszą się na wodzie jakby skrzele jakiej olbrzymiej ryby. Trudno by opisać dokładnie wszystkie wytwornie złocone, srebrzone, ozdoby dłuta, snycerstwa, malarstwa w owym oryginalnym budynku. Na pomoście jego, na szczycie statku, pod balkonem siedzi Mandaryn w jedwabnej czarnej złotem sztytej sukni, kurząc manillę z upodobaniem; otacza go czasem parę innych oficerów: powierzchowność ich wprawdzie nie zwiastuje wojennego usposobienia równie jak w kuczki siedzących opodal majtków, ale za to Mandaryn ma pod swoją komendą przeszło 50 żołnierzy, których powierzchowność znacznie jest groźniejszą. Z powodu gorąca nogi za kolana i ramiona mają obnażone, czapeczka spiczasta zabezpiecza ich od promieni słońca, długa pika czyli ostrze żelaza na bambusowym kijku, tarcze malowane jaskrawymi kolorami przedstawiające po środku fantastyczną jakąś istotę męztwa, stanowią ich uzbrojenie. Ogorzali, najczęściej z dzikim wejrzeniem i wyrazem twarzy, dość wojowniczą mają powierzchowność.

Nie mniej zajmujące są inne statki, mniejsze, większe, różnego kształtu i barwy których widokiem jest uderzony podróżny wylądowujący w Quan-Tong mieście Chińskim, w którym rząd Angielski ma z jednego brzegu szerokiego Tigru swoją przystań; rzeka ta ma nieustępować w szerokości Tamizie. Jak ludność Anglii ginie przed ludnością Chin, tak też ilość statków krążących po Tamizie lub stojących na kotwicach, niczem jest w porównaniu tego mnóstwa różnorodnych wodnych domków tak zapełniających rzekę, że na pierwszy rzut oka, zdaje się iż nie będą mogły bez zaczepienia się i uszkodzenia sobie ruszyć się z miejsca. Tam majestatycznie okręta Angielskie, Fruncuzkie i Holenderskie stojące poważnie, a jakby dla sprzeczności kręcą się tu i owdzie dziwnego kształtu statki i barki chińskie, niektóre skromne całe sklepik z owocami unoszące, inne znów całe złocone; jedném, kieruje młoda Chinka nędznie ubra-

na, w drugiej siedzi fashionable strojny w jedwabie i złoto, z białymi delikatnymi rączkami, z twarzą malującą przesyt; w jednej ręce trzyma wachlarz a w drugiej cygaro pachnące. Tu pomiędzy nimi znów przesuwają się duży statek kupiecki, różniący się od wszystkich innych na świecie kształtem i ozdobami i zwracający uwagę różnego rodzaju żywymi towarami sprowadzonymi z Batawii; pod odkrytym będąc niebem, w przegrodach i piętrach zręcznie pobudowanych, wystawione są na widok publiczny, mały różnego rodzaju, papugi, bażanty, ptaki rajskie. Zgoła uderzony podróżny sam nie wie w którą stronę ma zwrócić uwagę.

Kończąc tę pobieżną o Chinach wzmiankę, ¹⁾ skreśliwszy tyle dowodów inności odznaczającej ich od wszystkich ludów, mamy sobie za obowiązek przytoczyć okoliczności równające nas pod pewnym względem, z ludnością Państwa niebieskiego:

Uczony Mandaryn (u którego w wielkich łaskach był doktor angielski z powodu operacji katarakty szczęśliwie na oku córki Mandaryna dokonanej,) urzędnik jako do pierwszych liczący się filozofów, z wyższą nauką, z gorącą chęcią zaradzenia nadużyciom, a z nieodpowiednią tym chęciom odwagą, w chwili żalu i zniechęcenia tak się wyraża w album czyli dzienniku swoim czytany przez doktora:

„Czasy zmieniły się zupełnie. Ludy spieszenie ku zepsuciu dążą — w biegu tego ostatniego księżyca, straciłem jednego z moich przyjaciół lat 95 mającego, którego siadłszy koło mnie, chętnie zwykł był opowiadać mi o przeszłości, o ludziach prostych i dobrych obyczajów, jakich dziś już wcale spotkać nie można. Po nich nastąpiła ludność nowo-wyrodnych. Dawniej nie widziano tej wścieklej żądzy nabywania pieniędzy! Dawniej gdy człowiek zapewnił sobie pracę byt dalszy, nie przeszkadzał drugiemu, owszem pozwalał mu zarobić także; dziś zdaje się mało dnia i nocy ażeby zaspokoić to pragnienie pieniędzy pożerające wszystkich! To też dzisiaj z dniem każdym mnożą się oszustwa, złodziejstwa!”

Któżby się spodziewał żeby tą samą drogą rozwijała się cywilizacja w państwie Niebieskiem jak w państwach ziemskich!

¹⁾ Patrz 2 artykuły pod tym samym tytułem w cz. II Księgi Świata z roku zeszłego.

TAJEMNICE OCEANU

(PODŁUG SCHLEJDENA.)

Czy staraliście się kiedy rozpoznać straszną głębię ukrytą pod świetną i złudną powierzchnią morza? Zaledwie człowiek zuchwale zanurzy się w jego otchłanie, znika przed nim błękit nieba, a zamiast dziennego światła otacza go jakiś blask gorąco żółty; blask ten pełen tajemnic, mieni się zwolna w barwę krwawo-czerwoną; zdaje ci się że zostałeś pogrążony w jakieś piekielne morze ognia bez ciepła: ogień ten ciemnieje, gaśnie, i noc czarna rozciąga swe skrzydła. Wśród téj nocy krążą i poruszają się istoty których życie bez pokoju i uciechy schodzi w nienawistnym ściganiu się i pożeraniu wzajemnym. Nie dopatrzysz pomiędzy nimi piękności i bogactwa kształtów, przeciwnie, rażą oko brzydotą dziwną i niezwykłą; żaden dobry genjusz nie panuje w grobowej otchłani, złośliwe syreny i złudne ondyny przebiegają jedynie to państwo ciemności.

Takie to wyobrażenie miano ogólnie w dawnych czasach o świecie podwodnym; nauka postępując ciągle na przód może dziś dodać do tego obrazu kilka nowych i wydatnych zarysów. Ciągłe poszukiwania człowieka dozwoliły mu zbadać tajemnice oceanu; nic ziemskiego nie może pozostać w cieniu przy pochodni jego dociekań, blask jój nadaje wielu przedmiotom odmienną i weselszą barwę. Wraz z ciemnością dawnych wieków, znikły ohydne widma poczęte w jój łonie; nie możemy jednakże zaprzeczyć że niektóre rysy starego obrazu są wyraziste i prawdziwe. Pomiedzy tysiącami rodzajów żyjątek, zamieszkujących głębi morza, nie możemy oznaczyć ani jednych które-by się żywiły bogatemi płodami flory podwodnej; nauka zatem zmuszoną jest przyznać że zobopólne niszczenie się, jest warunkiem ich bytu. Mimo to jednakże jeżeli połączymy w jedność obrazy przedstawione pracą uczonych, wraz z tém co odkryli niektórzy szczęśliwi podróżnicy w chwilach sposobnych ku temu, ujrzymy w głębiach oceanu widoki równie piękne jak te które spotykamy na ziemi. Podziwiając je przychodzi nam myśl że dusza jedynie ocenić umie piękność; wszak dyament nie błyszczy dla mar-

twego piasku który go otacza; śmiejąca dolina nie może zachwycać góry, która po nad nią panuje, smętna wierzba płacząca nie rozrzewnia strumienia, po nad którym pochylona. Wszystko to istnieje dla człowieka, który sam jeden zdolny jest z wdzięczną miłością podziwiać cuda stworzenia. Jeżeli tak jest wistocie słusznie zapytać możemy, komu przeznaczone bogactwo kształtów i piękności, pokryte tym błękitnym płaszczem, którego ruchliwa powierzchnia zdaje się urągać ciekawości badacza, ukazując mu tylko jak w zwierciadle własny jego wizerunek? Czyżby w tych przepaściach znajdować się miały istoty ożywione, zdolne ocenić piękność? Nie wiemy tego, zdaje się jednakże iż zapewnić można śmiało, jako ryba która jak mówią poeci, tak sobie upodobała wód głębin, nie jest tą istotą czułą na zewnętrzne wrażenia, albowiem oczy wszystkich żyjątek podwodnych są utworzone w ten sposób że mogą widzieć tylko przedmioty tuż przy nich znajdujące się. Przeciwnie, człowiek zupełnie obcy dla tego żywiołu znacznie dalej sięga wzrokiem w wodzie aniżeli jój mieszkańcy. W jeden tylko sposób tłumaczyć sobie możemy tę zagadkę. Aby uczynić zadość prawidłom symetrii powznoszono na szczycie Medyolańskiej kopuły cudnej roboty posążki, chociaż wzrok ludzki nie może ich dosięgnąć w téj niezmiernéj wysokości. Wszystkie ciała fizyczne umieszczone są na powierzchni ziemi tak, ażeby czynić mogły wrażenie piękna; idzie za tém że i całość stworzenia nie może jak tylko przedstawiać dzieło doskonałe, zarówno pod względem technicznym, jak i pod względem estetycznym. Ale wróćmy do przedmiotu o którym wpiérw mówiliśmy; w ciemnicach głębi morza znajdujemy niekiedy promienie łagodnego światła, nadające niezrównany urok całości obrazu. Jakoby dla zobojętnienia skutków ciągłej wojny, którą toczą z sobą myrjady żyjątek podwodnych, napotykamy u nich mnożność nie widzianą w żadnych stworzeniach żyjących na ziemi.

Wyrachowano, że potomstwo jednej pary królików

mogłoby dojść do tysiąca, w przeciągu lat dziesięciu, i wypadek ten uważano za nadzwyczajny, gdy w tychże samych warunkach, ilość potomstwa jednego karpia, trzebaby oznaczyć cyfrą kilku milionów biljonów której sobie nawet wyobrazić nie możemy.

Jedna kura znieść może przez rok czasu najwięcej ze dwieście jaj, każda zaś zwyczajna ryba znosi ich przez ten czas do stu tysięcy.

Mnożność ta jest stosunkowo większą jeszcze pomiędzy małymi mieszkańcami morza, których skład organiczny mniej doskonały. Wieloryb łyka na raz tysiące istot zwanych *clio borealis*, stanowią one główną jego żywność a jednakże nigdy mu jój nie zbraknie. PP. Freycinet i Turcal podróżując na statku Kreolka, zauważyli w pobliżu Tajó miejsce rozległe na sześćdziesiąt milimetrów kwadratowych, w którym woda miała kolor purpurowy, czyniąc poszukiwania doszli że ten kolor wody pochodził od rosnącej tamże maleńkiej rośliny morskiej, której potrzeba 40,000 krzaczków aby zająć niemi przestrzeń jednego milimetra kwadratowego. Łatwo sobie więc wyobrazić w jak niezmiernej ilości znajdowała się tam owa roślina, témbardziej, że woda zmieniła kolor w dość znacznej głębokości. Na brzegach Grenlandyi widują często na morzu miejsca brunatne mające 10 do 15 mil szerokości; a od 150 do 200 długości, napełniają je małe meduzy, szaro centkowane, jedna sześcienna stopa téj brunatnej wody mieści w sobie 110,592 tych zwierzątek, zatem aby woda w jednym takowym miejscu uległa zmianie koloru, potrzeba ich 1600 biljonów. Przy swój wielkiej mnożności ryby rozwijają się nader szybko; większa ich część wykształca się doskonale w przeciągu jednego roku, lubo wzrost ich trwa długie lata, u niektórych nawet jako to u wielorybów posuwa się do końca życia. Zbiór świętej Adelajdy w Londynie, z bogacił się w roku 1842 dwoma węgorzami elektrycznymi, które razem wzięte, ważyły około funta, w roku 1848 jeden z nich ważył już funtów 40, drugi zaś 50; taka szybkość wzrostu niema przykładu pomiędzy zwierzętami żyjącymi na ziemi. Z téj przyczyny mieszkańcy morza przechodzą ich wielkością swych rozmiarów. Wieloryb, niema równego sobie w świecie, jeszcze w wieku młodocianym bywa on pięć razy większy od największego słonia. Albatros, ptak który przebiega prawie zawsze tylko po nad powierzchnią morza, ma 15 stóp długości gdy rozpościera skrzydła, największa z jaszczurek krokodyl zamieszkuje wody, żółw morski ani się da porównać z ziemskim, największy ze znanych nam węzów Anaconda brazylij-

ski, najwięcej przebywa w wodzie, wodne węże indyjskie są największe i najgroźniejsze pomiędzy węzami jadowitemi.

Nie możemy także pominąć opowieści o olbrzymich węzach morskich, lubo dotąd uważano je za fałszywe. Nie dawno jednak bo w roku 1848 jeden z najuczeńszych zoologów naszego wieku, Professor Owen, listem ogłoszonym w Dzienniku Galignani's Messenger, wykazał niepodobieństwo istnienia podobnego zwierzęcia a jednakże naprzeciw jego uczonej dowodom stoją świadectwa pp. Sullivan d' Halifax i d' Abnour kapitanów okrętów Havre de Grâce, Woodward i Penobscot, którzy zaprzysięgli uroczyście wraz z ludźmi swemi że widzieli sławnego morskiego węza. Ostatni z tych panów widział go nawet przez całą godzinę, gdyż potwór ścigał jego okręt z wielką wściekłością i zaledwie go zdołano odstrążyć dwukrotnym wystrzałem z małej armatki. Kule nie mogły go skaleczyć, gdyż okryty był łuską nieprzebitą. Mieszkańcy brzegów Norwegii mieli by za szalonego tego, który by śmiał powątpiewać o istnieniu morskiego węza. Kto wie, może on jest potomkiem owego strasznego zeuglodona, którego szkielet doktor Koch odgrzebał w Alabama, i jedyny świadek zaginionego peryodu stworzenia, błąka się jak drugi żyd wieczny tułacz, pomiędzy obcym sobie światem. Jakkolwiek jest, nie potrzebujemy pomocy fałszu, aby przyozdobić morze urokiem zaczarowanych powieści, krótki pogląd na jego faunę i florę dostatecznie usprawiedliwi nasze zaręczenie.

Cała flora podmorska mieści w sobie prawie wyłącznie jedną wielką klasę roślin, składającą się z wodorostów i fukusów; posiadają one takie bogactwo kształtów, że ubarwiony niemi widok na dnie morza, nie mniej jest urozmaicony i piękny, aniżeli nie jedna okolica oświecona promieniami zwrotnikowego słońca. Szczególna budowa tych wodorostów, których częściom nie przystoi nazwa liści ani łodygi; świetne, kolory oliwkowe, żółte, różowe i purpurowe, dziwnie pięknie niekiedy w jednym złączonym krzaku; wszystko to nadaje im dziwną i czarowną barwę.

Lineusz ten ojciec botaniki znał ich tylko 67 rodzajów, gdy dziś mamy ich aż do 2000 i to nie tylko małych roślinek, lecz olbrzymów tworzących lasy podmorskie a mających po 1500 stóp długości. Pano wie Lumouroux, Bory de Saint Vincent i Greville, oddali w tym przedmiocie wielkie przysługi nauce i zmienili jój pogląd na rośliny morskie.

Jednym z najbardziej odznaczających objawów, a zarazem wynikających z poszukiwań naukowych,

jest rozprzestrzenienie się wodorostów morskich w pewnych tylko stałych i oznaczonych granicach geograficznych, jak to ma miejsce z roślinami lądowymi. Jeżeli weźmiemy pod uwagę: że rozdział taki związany jest po większej części z rozmaitemi warunkami ciepła i wilgoci, że morze jest mało wrażliwe na zmiany temperatury, następnie, że w pewnych głębokościach, niezbyt stosunkowo wielkich, woda pod różnemi szerokościami zachowuje jeden i tenże sam stopień ciepła, — to dziwną się wyda taka zmienność we florze podmorskiej, pochodzącej nawet ze stref bliskich i sąsiednich sobie. Różnice takie widzimy pomiędzy morzem Czarnem a Adryatyckiem, morzem Lodowatym oblewającym brzegi Laponii a Syberyjskiem, pomiędzy wreszcie morzem Kamczackim, a wodami przy których leżą ziemie Kurylskie i Aleuckie.

Możemy w ogóle powiedzieć, że wodorosty rozwijają najwspanialsze swe bogactwa w pasie umiarkowanym, zmniejszając się ciągle co do ilości w miarę dążenia ku równikom lub biegunom.

Na wybrzeżach wyspy Sitki, nurkowie widzieć mogą tę piękną roślinność w całej świetności. Rośliny podobne do lasu dziewiczego, przytulają się jedne do drugich. Drobne konwerwy, pokrywają dno jakoby dywanem z zielonego aksamitu, na którym szeroko rozrosłe większe wodorosty odpowiadają bujnym ziołom. Wszystko to znowu pokryte przez *irideae* z szerokimi liśćmi, cudownego koloru różowego lub szkarłatnego; niezliczona liczba fukusów wyściela skały piękną zielenią oliwkową, przeplatana mieniącemi barwami róży morskiej: dziwaczne thalassiophity, niby wielkie krzewy tych gajów, rozkładają swe żółte, zielone lub czerwone liście, w postaci szerokich wachlarzy, lub puszczają je wolno, zostając porwane siłą prądów. Drzewa są tu przedstawione przez ogromne rośliny, podobne do wstęg pływających i długie na stóp trzydzieści. Są one pomieszane z tak zwanemi *makrocystami*; z tych każda składa się z pewnego rodzaju pęcherzyków, podobnych kształtem do gron, a pojedynczy taki pęcherzyk jest wielkości gruszki. Wyniosłe *alarieae*, posiadają łodygę z nitek złożoną, a długą na stóp siedm-dziesiąt. Pień ich przybrany jest okółkiem z liści naśladowującym rękawek, wierzchołek zaś przedłuża się w liść olbrzymi pojedynczy, długi na 50 stóp. Nad całą tą zajmującą roślinnością, górują wspaniałe *nereocysty*. Od korzenia ich wznosi się siatkowata łodyga, kształtem do korala podobna, która grubieje stopniowo i przybiera formę maczugowatą lub ogro-

mnego pęcherza, uwieńczonego pękiem liści wąskich, a długich na stóp trzydzieści. Można-by je więc nazwać palmami morza. Dodajmy jeszcze, że ta olbrzymia roślina, jest tworem powstającym w przeciągu kilku miesięcy, gdyż obumiera corocznie, i odradza się znowu z nasion. Grunt, na którym rozwija się ta bujna wegetacja, usłany jest gwiazdami morskimi: do łodyg roślin przyczepiają się czarne ślimaki morskie; pomiędzy liśćmi ryby drapieżne przemykają się, goniąc pierzchającą zdobycz, a na wyspach utworzonych ze ściśniętych liści *nereocystów*, wydry morskie z połyskującym włosem, ogrzewają się na słońcu; ztąd całej tej rodzinie roślin, udzielają w pospolitej mowie nazwę: *kapusty bobrowej*.

Oto mamy całość obrazu, którego rozpatrywanie, przystępne małej tylko liczbie wybranych.

Hipopotamy, Diubony, Rytiny i Syreny (z rodziny wielorybowatych), żyją kosztem tej morskiej roślinności.

Człowiek nie zaniedbał także w tém podmorskiem państwie, objąć w posiadanie część swego dziedzictwa. I w rzeczy samej, użyteczność wodorostów, wielce jest korzystną dla mieszkańców wybrzeży. Na ulicach Edimburga często słyszymy okrzyk: „Buy peppes-dulse and tangle,” wydawany przez mieszkańców sąsiednich wiosek, a zachęcający do kupna ich morskich roślin, które zwiemy: *Laurentia Pinna-tifida* i *Hafgygia digitata*. *Mech Irlandzki* (*Chondrus Crispus*) czyli *Karagen* i *wodorost maczysty* (*Sphaerococcus confervus*), stały się przedmiotem znakomitego handlu, i są używane w miejsce *arrou-rootu*, *mchu Islandzkiego*, jako pożywienie łatwo strawne dla dzieci i osób na piersi cierpiących. Użycie wielkiej liczby fukusów, jak fukusu cukrowego, fukusu owczego i innych, gra jeszcze ważniejszą rolę, dostarcza bowiem ważnego materiału pokarmowego dla owiec i rogacizny, jak-to ma miejsce na wybrzeżach Normandyi, Islandyi, Szkocyi i Norwegii, jako téż na wyspie Ferröe i na Islandyi. Ogromne kawały tych roślin, naniesione przez burze na zachodnie brzegi Europy, są bardzo poszukiwane przez rolników północnej Francyi, którzy wywożą je z wielkim nakładem na swe pola, używając jako nawozu.

Głównie jednak w znaczeniu fizyologicznem, ważne są, jako materiał pokarmowy.

Chemia nowoczesna wykryła w nich pierwiastek bardzo użyteczny w sztuce, a mający szczególniejsze zastosowanie w Medycynie. Pierwiastek ten zwiemy *jodem*. Przedstawia on się w kształcie blaszek

czarnych, krystalicznych, z połyskiem metalicznym. Jest rozpuszczalny w wysokoku, mało rozpuszczalny w wodzie; wystawiony na gorąco ulatnia się w postaci pary fioletowej. Z powodu téj ostatniej własności udzielono mu nazwę jodu, od słowa greckiego *Jon*, które znaczy: fioletowy.

Znajdujemy wprawdzie ślady jodu w niektórych źródłach, rzeczywiście jednak znajduje on się tylko w wodzie morskiej, lecz w ilości tak małej, że nie można by go z niej wydobyć, bez wielkich kosztów. Tu dopiero fukusy przychodzą nam w pomoc. Przy sprawie odżywiania, pochłaniają i zatrzymują w sobie sole jodowe rozpuszczone w wodzie. Na wybrzeżach Francyi, Szkocyi i Irlandyi, rośliny te służą ubogim mieszkańcom za paliwo, a ich popioły starannie zbierane, stanowiły niegdyś ważny przedmiot handlu dla fabrykantów mydła, i były znane pod nazwą: *warek* czyli *kelp*. Jest to rodzaj soli sodowej nieczystej. Przemysł ten byłby zatracony na zawsze, ku zmartwieniu biędnych mieszkańców, ponieważ sól sodowa wyrabia się obecnie sztucznym sposobem, na większą skalę i za tańsze pieniądze, gdyby w roku 1811 P. Courtois, fabrykant w Marsylii, nie zwrócił uwagi na pary niebieskie, unoszące się z kotłów, zawierających ług. Od tego czasu zamówienia o popiół zwiększyły się jeszcze, w celu otrzymania zeń jodu.

Mieliśmy już kilkakrotnie sposobność podziwiania siły produkcyjnej morza, i w rzeczy samej można w zdumienie wpaść, widząc ogromną liczbę użytecznych roślin morskich, naniesionych przez każdą burzę na brzegi. Pomimo że fukusy napływają corocznie, ilość ich nie zdaje się nigdy zmniejszać.

Narody starożytne przekonawszy się jak korzystnym jest sąsiedztwo morza, chętnie osiedlały się na jego wybrzeżach, uważając wodę za pierwiastek przechowujący w swém łonie zarody życia społecznego. Poezye wschodnie i Indyjskie, bajki Greckie, które powiadają że *Okeanos* obejmuje całą ziemię, jako też podanie pisma że ziemia była pustą i prózną a Duch Boży krążył po nad wodami, porównywają mniej więcej morze do niewyczerpanego źródła życia. W nauce nawet nowoczesnej, pojęcie rozradzania się wymoczków i drobnowidzowych roślin, bez widomej przyczyny, przy dostatecznym tylko cieple, znalazło wielką liczbę stronników pomiędzy uczonymi. W ostatnich dopiero czasach roztrzygnięto spór i przyznano że drobne żyjątka i małe roślinki winny swe życie jajeczkom lub sporom naniesionym przez wiatry, nie

zaś, jak to utrzymywano i przypisywano jakiéjs twórczej sile ciągle się objawiającej.

Chociaż najznakomitsi naturalisci i badacze są zdania, że odradzanie się organizmów bez widocznej przyczyny jest sprzeczne z doświadczeniem i zasadami filozofii naturalnej, to jednak są jeszcze uczeni sprzeciwiający się podziś dzień téj teorii. Nie chcąc odnawiać tu rozpraw, pozwolimy sobie tylko przytoczyć przykłady bardzo odznaczające się a świadczące o szybkości cudownej i dziwnej obfitości rozwoju organicznego. Gdy przepuścimy przez sączek sok z dojrzałych winnych gron, otrzymamy płyn jasny i przezroczysty; po upływie pół godziny ciecz ta zaczyna się mącić, wywiązują się bańki powietrza, jednem słowem poczyną się fermentacya; po trzech godzinach tworzy się piana szaro-żółtawa, okazująca pod drobno-widzem niezliczony zbiór małych roślin należących do grupy konwerwów. Kilka godzin wystarczy na utworzenie się tysięcy a nawet milionów istot tej drobnej roślinności. Cal sześcienny takiej piany ma ich zawierać 1,152,000,000. Jakaż ich musi być liczba w wielkiej kadzi fermentacyjnej, lub w złączonych kadziach wszystkich winnic, albo w drożdżach piwnych wszystkich browarów!

Lecz wróćmy do flory i fauny podmorskiej. Rozwińmy w poprzednim obrazie bogactwo świata roślinnego w morzach północnych. Opuśćmy teraz podwodne lasy i ich olbrzymie rośliny, pomiędzy którymi *Macocrystis pyrifera* naprzykład dochodzi olbrzymiej wielkości 500 do 1500 stóp. Rzućmy ostatnie pobieżne wejrzenie na wieloryby igrające w ich cieniu, na stada psów morskich, mirjady śledzi, stokfiszów, łososi i tuńczyków. Zwróćmy się teraz ku strefom gdzie słońce więcej palące, aby ujrzeć czy w morzach podrównikowych znajdziemy też samą obfitość, jaką roścaca przed nami roślinność wśród powietrza. Zanurzmy się w przezroczy kryształ morza Indyjskiego, a natychmiast przedstawi się oczom widok zachwycający i cudowny. Grube krzewy ze szczególnymi gałęziami, unoszące żywe kwiaty, zbite masy meandrów i astreów tworzą dziwną sprzeczność z organami palmowatemi w kształcie puhara wystawianemi przez kręte madrepery o wielkich odnogach stawowatych lub pokrytych palczastemi gałęziami. Barwa jest nad wszelki opis! najświeższa zieloność przekłada się z różowemi kolorami, brunatna bladość z ciemno-niebieskim. *Nullipory* blado-różowe, żółte lub koloru kwiatu brzoskwiniowego pokrywają masy zwiedłe i same są pomieszane i utkane z wdzięcznemi *retiporami* koloru perłowego, naśladowując precudownie rzeźbę

z kości słoniowej. Blisko nich oscyllują Gorgony na wpół przezroczyste, odbijające kolory żółte i jasnofioletowe.

Piasek w głębi pokryty jest tysiącami gwiazd morskich, dziwacznych kształtów i najrozmaitszych kolorów. Anemony morskie podobne do olbrzymiego i świetnego kwiatu kaktusowego, rozkładają, po załamkach podwodnych skał, czułki czyli macki ułożone w koronę. Na około krzewiastych koralu igrają i przebiegają twory morskie, małe rybki barwy czerwonej, błyszczącej, niebieskiej lub złoto-zielonej i posrebrzaną, podobne do duchów przepaści: meduzy, wstrząsają bez hałasu swe dzwoneczki niebieskawe, pośród tego świata zaczarowanego. Tu znowu *Holocanthes ciliaris* mieniący się kolorami złoto-zielonym i fioletowym, ściga *Holocanthes tricolor* zdobnego centkami ognisto-złotymi, fioletowymi i czerwonymi. Tu wymyka się *Lepidopus argyreus* nakształt węża, podobny do wstęgi srebrzystej, odbijającej barwę różową i błękitną. Tam znowu przesuwają się bajeczne sepie, przybierające wszystkie kolory tęczy, które raz po raz jawią się, to znowu nikną i mieszają w najfantastyczniejszy sposób, lub oddzielają się jedne od drugich. I wszystkie te zwierzęta przebiegają z największą szybkością, tworząc najdziwaczniejszą sprzeczność cieniów i kolorów. Najmniejszy powiew wiatru, poruszający poziom wody, staje się powodem zniknięcia tych wszystkich istot, jakby przez zaczarowanie. Jeżeli zaś słońce potoczy swój rydwan ku zachodowi, a cienie nocne rozsuna się w przestrzeni, to ogród ten fantastyczny zaczyna błyszczeć znowu świetnością. Milijony iskierek z meduzów i skorupek drobnowidzowych buja w przestrzeni, niby robaczki Śto-Jańskie. Dalej widzimy jak wspinające pióro morskie, *veretillum cynfomorium* czerwone podczas dnia, wydaje blask zielonawy. Wszędzie tylko niezliczone iskierki światła, wydają się niby płomienie i ognie różno-kolorowe; to co podczas dnia nikło przy ogólnej świetności, jaśnieje teraz blaskiem pożyczonym od wszystkich kolorów tęczy. Ażeby uzupełnić tysiąc i jeden cudów tej czarownej iluminacji, dodajmy że *Orthagoriscus mola* stanowiący niby prążki srebrne, mające do sześciu stóp średnicy, pływa majestatycznie pomiędzy miriadami gwiazd świecących. Najzwyklejsza roślinność podzwrotnikowa nie może przedstawiać większego bogactwa kształtów, a ustępuje pod względem wspaniałości kolorów, co jest zadziwiającem, że widok ten podmorski tworzą wyłącznie zwierzęta; gdyż jakkolwiek może być odznaczającą się roślin-

ność morska strefy umiarkowanej, to nigdy jednak nie przewyższa różnorodności i bogactwa świata wodnego zwierzęcego, osobliwie pod zwrotnikami. Tu tylko znajdujemy godne podziwu i dziwaczne zarazem istoty, jak wielkie gromady ryb, jeże morskie, meduzy, polipy i mięczaki. Zwierzęta te pogrążają się w białym piasku, wyściełają urwiste skały, lub przyczepiają się jedne do drugich jako pasożyty. Krażą one i przebiegają we wszystkich kierunkach. Rośliny zaś mają tu tylko nie licznych przedstawicieli. Rzecz dziwna że prawo rozdzielające królestwo zwierzęce na większą przestrzeń, ponieważ takowe łatwiej się przyswaja od królestwa roślinnego do warunków klimatycznych, powtarza się też w głębokościach morza w kierunku pionowym; w miarę bowiem jak zstępujemy w głąb wody, rośliny nikną prędzej aniżeli zwierzęta; i w rzeczy samej, sonda wydobywa nam wymoczki z miejsc takich, gdzie żaden promień światła nie wdraża i gdzie znikły ślady wszelkiej roślinności. Pod biegunami również, gdy nie napotykamy nawet najmniejszego wodorostu, gdy wszelka roślinność ustąpiła miejsca lodom wiekuistym, to jednak wieloryby, foki, ptaki rozliczne i wiele innych zwierząt, zdają się lubować i uragać nadzwyczajnej ostrości tych niegościnnych okolic.

Nie mamy zamiaru, rozwijać dalej obrazu bogactwa życia podmorskiego. Niepodobna nam wchodzić w szczegóły stosunków pomiędzy takowym a potrzebami człowieka, jeden szczególny oddział zwraca jeszcze naszą uwagę z powodu ścisłej spójni z przedmiotem zajmującym botanika, i znacznego udziału jaki te istotki biorą w utworzeniu ładu przeznaczanego do wydania innych roślin. Mówimy tu o koralach: morze ukrywa w swą głębi piękności stworzenia, które zdawało się niegdyś że istnieć tylko mogą w wyobraźni poetów. Aby choć pozornie nacechować opowiadanie nasze piętnem czarodziejskiem dodamy rys jeden do tego uroczego obrazu. Samotny podróżnik którego żądza zbadania głębi oceanu pchnęła na wybrzeża wyspy Cejlan, wraca w wieczór do domu obładowany przedmiotami swych poszukiwań; nagle łagodna muzyka podobna do dźwięku harfy Eolskiej przerywa ciche milczenie nocy oświetlonej srebrnym blaskiem księżyca: zdziwiony badacz sądzi że usłyszał śpiew zwodniczej syreny; smętna ta harmonija przenika wskrós jego duszę; stara się rozpoznać tych melodyjnych śpiewaków i wkrótce przekonywa się zdumiony że głos ten wychodzący z głębi morza jest głosem pewnego rodzaju śpiewających ślimaków. Lecz wróćmy do koralu które warte także

szczególniejszych badań tak dla swój piękności jak z powodu nader ciekawego istnienia i wpływu jaki wywierają na tworzenie się nowych lądów. Znane one już były starożytnym Grekom i przez nich miały sobie udzieloną nazwę *cór morza*, *kure halos* (zład pierwiastkowa ich nazwa *cutalium* a późniejsza *coralium*, koral). Od najdawniejszych czasów korale były przedmiotem licznych poszukiwań. Widząc, że ta piękna i kształtna roślina wyjęta z wody okazuje się być prostym czerwonym kamieniem naturaliści sądzili że kamienieje zetknąwszy się z powietrzem.

W zeszłym stuleciu mniemanie o naturze roślinnej korali było tak ugruntowane, że gdy Réaumur w r. 1727 przedstawił akademii paryskiej rozprawę Peyssonel'a o naturze zwierzęcej korali, zataił nazwisko jej autora obawiając się słusznie źle wpłynąć na przyszłość młodego naturalisty który wypowiadał tak dziwaczne przekonanie. Dopiero w roku 1740, nieśmiertelny uczonec holenderski Trembley wykazał stanowczo pokrewieństwo korali z innymi polipami, a w drugiej połowie ośmnastego stulecia, Elias Pallas i Cavalini rozszerzyli jeszcze zakres wiadomości o tych ciekawych istotach. Niezbyt dawno przed tem dostrzeżono że pewien oddział tych żyjątek tworzy w swém wnętrzu jądro kamieniste złożone z węglanu wapna które stanowi niejako podstawę całej jego istoty; to jądro pokryte jest materyą śluzowatą zwierzęcą która utrzymuje stosunek pomiędzy licznymi polipami stanowiącemi jedną nierozdzieloną rodzinę. W roku 1702 mało znany podróżnik angielski Strachan dostrzegł, że korale tworzą wielkie skały, lecz dopiero w roku 1780 znakomity towarzysz Cooka Jan Rejnol Forster dowiódł niezaprzeczalnie że wielka liczba wysp morza południowego winna swe istnienie nagromadzeniu korali. Zdanie to zostało później potwierdzone i rozwinięte przez Tlindersa i Perona.

Utrzymywano, że korale wznoszą z łona morza mury dosięgające powierzchni wody aby w ten sposób zabezpieczyć się od uderzeń bałwanów morskich; mury te, wzniesione w kształcie okrągłym, fale morskie napelniały piaskiem i mułem, a nasiona nagromadzone przez prądy lub przyniesione przez ptaków, wyrastając w drzewa i krzewy obejmowały posiadanie tego nowo-utworzonego lądu. Tłumaczenie takie zdawało się prawdopodobne albowiem w istocie niektóre pasma gór w miejscach niegdyś zalanych morzem zdają się być prawie wyłącznie utworzone przez korale, jako to góry otaczające las turyngski i skały w okolicy Poesnek. Czyniono liczne poszukiwania

w oceanie spokojnym dla odkrycia sposobu powstawania korali; lecz dopiero przed nie wielką laty fakt ten zbadany został należycie przez uczonego zoologa angielskiego Karola Darvin. Zanim przystąpimy do opowiadania tych zajmujących szczegółów, uczynimy krótki opis skał i wysp koralowych południowego morza. Kapitan Cook i wszyscy ówcześni podróżnicy zadziwili się bardzo odkryciem wysp kształtu okrągłego mających zaledwie po kilkaset kroków średnicy i wyniesionych na kilka stóp nad poziom morza, w pośrodku których utworzona była niejako sadzawka z czystej głębokiej wody o dnie wysypanem piaskiem białym i połyskującym. Brzegi tych sadzawek otoczone były drzewami kokosowemi niby koroną zieloności a spokojna ich powierzchnia była jako zwierciadło oddzielone od czarnej i burzliwej powierzchni oceanu ramami skał śnieżno-białych. Kapitan Cook pierwszy uderzony został widokiem tego zjawiska wśród Oceanu Spokojnego. Nie zastanawiał się jednakże nad niem sądząc wraz z innymi podróżnikami że owe sadzawki są kraterami wulkanów podmorskich.

Nie myślano wtedy o prawdopodobieństwie przypuszczenia aby w morzu południowym znajdować się mogło kilka tysięcy wulkanów jednakięj wysokości. Tysiące wysp rozsypanych na niezmiernęj przestrzeni Oceanu Spokojnego przedstawia podobny widok, budowa ich jest prawie w zupełności dziełem polipów; wszędzie napotyka się tam wapienny kamień potłuczony na kawałki lub starty na piasek przez bałwany morskie, które pokrywają także roślinnością wyspę przynosząc jej nasiona drzew i krzewów.

W roku 1832 i 1836 Karol Darvin towarzysząc kapitanowi Fitzroy w jego podróży na około świata zbadał ostatecznie sposób tworzenia się tych wysp. Dokładna świadomość szczegółów życia w obfitości nie mało mu była pomocą w pracy.

Polipy nie mogą znieść słońca ani powietrza dla tego też nie wyrastają wyżej nad wysokość wody; nie mieszczą się także nigdy w wodzie mętnej i stojącej ale wybierają sobie w czystej wodzie miejsca najbardziej burzliwe tak że ich siła żywotna walczy zwycięsko z siłą materyi bezwładnej a jednakże zdolnej skruszyć najtwardsze skały.

Zastanawiając się nad szczegółami życia polipów p. Darvin doszedł że przyczyna wszelkich dziwnych zjawisk, które dostrzegamy w ich budowie istnieje w podnoszenie się lub zniżanie gruntu na którym się początkowo znajdują.

Odnosząc wszystko do tego geologicznego objawu z łatwością wytłomaczyć możemy rzecz całą.

Wystawmy sobie wyspę, wpaństwie polipów koralowych; umieszczają się one w około niej i otaczają ją ławą skalistą podniesioną do wysokości wody; nie mogąc wznieść się wyżej ciągną dalej swą pracę w kierunku ubocznym, wtedy dopiero bałwany morskie zaczynają im przeszkadzać, odrywają kawały budowy a rzucając niemi o mur koralowy, gniotą je i ścieraają szczątki te zmieszane wraz z piaskiem, napełniają i niby zaklejają wszelkie przedziały i próżnie w murze dopóty, dopóki się nie wzniesie do wysokości w której już fale nie będą go mogły przekroczyć. Jeżeli się zdarzy wtedy że cała wyspa podnoszona zwolna przez siły wulkaniczne wyjdzie z głębi morza, polipy obumierają, a cała część środkowa zostanie otoczona opaską skał koralowych, wewnątrz których znajdzie się dopiero równa warstwa piasku.

W podobnym stanie znajdował się bez zawodu las w Turyngii wtedy gdy większa część Niemiec była jeszcze pokryta morzem. Powstała w ten sposób Hercynia wyższa, Taurus i kilka innych wierzchołków gór. Gdy wyspa zniża się zamiast wznieść, budowy polipów stają się więcej urozmaicone, ziemia wyspy zapada się wgłęb oceanu lecz skaliste jej części pozostają na wierzchu a bałwany które je pokrywają piaskiem i oderwanymi od nich kawałami wynoszą je po nad powierzchnię morza: nie zadługo polipy oddalają się znacznie od ziemi na której poczęły się budować, ścieśniają się w miarę jak bałwany odrywają ich części, w końcu ostatni punkt wyspy znika w pośród koralowego muru, miejsce zaś po nim pozostałe zostaje napełnione czystą i spokojną wodą. Jeżeli się zdarzy że zapadanie się ziemi jest zbyt szybkie aby polipy mogły niejako postępować wraz z niem, tworzy się wtedy okrągła skała podwodna podobna do tej którą kapitan Cook odkrył najpierwszy.

Tworzenie się wysp na morzu tłumaczy się również teorią Darwin'a lecz lękalibyśmy się znudzić czytelnika, przytaczając więcej podobnych szczegółów.

Zwrócimy teraz mowę do tych którzy nie zgadzają się z naszym sposobem widzenia rzeczy, nie mogąc pojąć aby grunt się mógł podnosić lub opadać bez współdziałania wulkanów; musimy się wytłumaczyć jasno, témbardziej że nam idzie nie o jedną pojedynczą wysepkę, lecz o niezmierne obszary południowego oceanu i Indyj wschodnich, rozciągające się na kilka milionów mil kwadratowych. Przyzwy-

czailiśmy się uważać ziemię, jako nieruchomą, morze zaś jako ruchome; tymczasem naturaliści zapatrując się w inny sposób na rzeczy uważają że morze pozostaje ciągle w średniej wysokości gdy przeciwnie ziemia często zmienia swój poziom. Darwin dowiódł że w morzach południowych są miejsca które się wznoszą i opadają kolejno. Nowa Holandia jest jedną z okolic opadających. Szczególna ta część ziemi nie jest nową lecz przeciwnie istnieć już musi bardzo dawno. Królestwo jej zwierzęce i roślinne przypomina już dawno minione epoki tworzenia się ziemi; jest ona cała podobna do zgrzybiałego starca, którego wody nieznacznie zagrzebują. Wiadomo powszechnie że wybuchy wulkaniczne tworzą nagle góry i wyspy podmorskie; jest to już fakt zanadto dobrze znany aby go popierać dowodami. W ten sposób bowiem powstały wzgórza w Meksyku w pobliżu Metony, w ten sposób nowe wyspy Sentonyńskie i wiele innych. Zmiana zaszła w morzu z powodu podobnego wypadku, przypisała o zgubę w r. 1835 fregatę Falenger którą dowodził kapitan Fitzroy, był on oskarżony o zgubę okrętu, lecz rada wojenna musiała go uniewinnić. Jest to rzeczą prawie nie do uwierzenia aby wstrząśnienia podobne mogły mieć miejsce bez wiedzy człowieka a jednakże nie wątpliwie większa część globu porusza się w ten sposób gdyż kraje całe podnoszą się i opadają zachodzi tylko wielka trudność w wykazaniu tej prawdy. Jeden podobny wypadek opisany był przez p. Boussingault który porównywając swą pracę z pracą Humbolta, skuteczną na pięćdziesiąt lat przed tém, zawyrokował że linija śniegów na Kordylierach, Bogoty podniosła się do owego czasu co nie może inaczej tłumaczyć się jak przez podniesienie tychże gór. Znaną jest także opowieść mieszkańców Jena o wieży która teraz daje się widzieć z po za gór któremi wpierw zakryta była, ostatnie to zjawisko może się jednakże tłumaczyć naturalnie wycięciem jakiegoś lasu który mógł się znajdować pomiędzy górami o wieżę i zasłaniać jej widok. Łatwiej sprawdzić podnoszenie się i opadanie gruntu na brzegach morskich.

Za czasów Celsiusa mieszkańcy wschodnich i zachodnich wybrzeży Szkocyi mieli przekonanie że woda oddala się powoli od brzegów Celsius sam czynił poszukiwania w tym przedmiocie i uznał ich przypuszczenia za niewątpliwe. Leopold de Bach, wykazał najpierwszy że cała Szwecya z wyjątkiem Schonen, leżącym na południu Soelvitsburga, powstała zwolna z łona morza, Celsius zaś doszedł że w przeciągu jednego wieku podnosiła się na trzy stopy.

W ten sposób łatwo wyrachować, że za kilka tysięcy lat będzie można przejść piechotą ze Stokholmu do Abo.

Schonen i Bornholm są miejsca stałe; lecz nieco dalej a szczególnie w Iutlandyi widzimy już ślady opadania gruntu, rozpościerają się które aż do wybrzeży Bałtyku w Prusach.

Zjawisko o którym nie wiemy ma również miejsce w wielu innych stronach, sławny geolog Leyell zauważał je na wschodnich brzegach Ameryki; w Europie napotykamy także jego ślady. Wybrzeża zachodnie Anglii i Szkocyi wznoszące się na 500 a niekiedy na 1000 stop po nad powierzchnię morza zawierają w swym piasku też same muszle które żyją w wodzie oblewającej ich stopy.

Hithe jeden z najlepszych portów morskich w dawnych czasach, przemieniony jest dzisiaj w pastwisko dla bydła. W innych znów miejscach widzimy przeciwnie jak ziemia opada i sprawia przez to zalew morza: mieszkańcy wybrzeży Niemiec i Holandyi walczą jak zoofity z groźnym żywiołem zabezpieczając ich przeciw niemu licznie zbudowanemi tamy.

Nie mieli oni niby dotąd żadnego zbyt przykrego wypadku a jednakże kawał Fryzyi zatopiony został w roku 1224 również jak i wyspa Nordstrum w roku 1638, z jej szczątków utworzyły się dwie małe wyspki Nordstrond i Gelworn.

W roku 1277, morze wkraczając w ląd, utworzyło Dollart Zuyderzee, a później w roku 1421 Biesbosh, w roku 1532 zalała część wschodnią Ludhevelandu, a na niej mnóstwo wiosek oraz miasta Borselen i Remesvald; później jeszcze wyspa d'Orissant na północo-wschodzie Nordbewelandu uległa temuż samemu losowi. Na wschodniem wybrzeżu Iutlandyi, ciągnące się lasy podmorskie wskazują że tam dawniej było morze, podobny jeszcze więcej uderzający przykład opadnięcia wody widzimy znów we Francyi.

W r. 1750 w Bourgneuf w pobliżu Rochelli rozbił się statek angielski; szkielet tego statku znajduje się obecnie w pośród uprawnego pola wyniesionego na 15 stóp po nad powierzchnią morza, Holendrzy zatrzymywali się dawniej w porcie Bahaud który dziś jest na 1000 stóp po nad powierzchnią morza, łąki i bagna łączą już dziś ze stałym lądem dawniejszą wyspę Olonne; toż samo ma miejsce przy Marenes i Oleron. Jeżeli zechcemy dalej przebiegać wybrzeża, napotkamy także podobne zjawisko w okolicach morza śródziemnego. W roku 1248 święty Ludwik siadł na okręt w Aigues, Mortes sławnym ówczesnym porcie który dziś oddalony na milę od morza. Jeżeli zajrzyemy do Włoch znajdziemy tam również zajmujące

przykłady ku poparciu naszych twierdzeń. Trzy kolumny sławnej świątyni z Pouzzoli są do pewnej wysokości pogryzione przez czarne ślimaki morskie, co dowodzi że grunt na którym niegdyś stały, opadał i był zalany wodą a później się wznosił.

Goethe zastanawiał się szczegółowo nad tą świątynią w swych studyach historii naturalnej lecz na nieszczęście genjusz nauki nie był na niego tyle łaskawy co muza poezyi i omylił się mocno w tych badaniach równie jak i w wielu innych wypadkach.

Obecnie zalany spód świątyni wskazuje nowe opadnięcie gruntu. Pewien stary mnich opowiadał że w dzieciństwie zbierał winne grona w miejscu gdzie dziś pływają łodzie rybackie. Ale opuścimy już kraj w którym grunt wulkaniczny widocznie się przyczynia do zmiany powierzchni i zajmijmy się morzem Adryatyckiem. Wiadomo powszechnie ile zwiru i mułu rzeka Po wnosi ciągle do tego morza; nie byłoby w tém nic dziwnego aby dno jego się podniosło; jest ono nawet wzniesione w pewnym stopniu mimo to jednakże dostrzegamy ślady opadnienia ziemi na wybrzeżach. Wenecya, starożytna dołów stolica zwolna pogrąża się w otchłań, w roku 1722 gdy podnoszono zalany wodą bruk na placu świętego Marka znaleziono pod nim drugi bruk, co dowodzi że ziemia już się tam raz dawniej była obniżyła.

Dzisiaj cały ten plac znów zalany bywa gdy się woda wznosi, na brzegach Dalmacyi i w Tryeście widzimy mnóstwo podobnych rzeczy; w pobliżu Zara cudne mozajki znajdują się zatopione w wodzie a na południowej stronie wyspy Poragnitza, gdy morze spokojne spostrzegają w jego głębi kamienne sarkofagi. Zaledwie uczony Anglik Wilder wykazał że od czasów Rzymian całe wybrzeże Azyi mniejszej, zniża się i zapada. Murchison w swój geologii Rosyyi wyrzekł że północna część tego kraju i północna Syberya nie przestaje się podnosić od czasu jak żywe mamuty zostały w niej pogrzebione. Doktor Pingel z Kopenhagi dowiódł niedawno opadania Grenlandyi; słowem gdzie tylko geognostykowie pobudzeni przez Celsiusa i Leopolda de Bach zwrócili swe poszukiwania, wykazali zniżenia lub podnoszenia się gruntu.

Nauka geologii wskazuje nam jasno, że podobne zjawiska nie są nowością w historii naszego planety, tém bardziej że ta igraszka natury, od lat tysięcy przeobrażała kartę geograficzną ziemi, a jak niepodobna nam dostrzedz wolnego ruchu igły zegarowej który przecież istnieje niewątpliwie, tak również niepodobna uczuć wolnego wznoszenia się lub opadanie



ziemi pod naszymi stopy. Historia uczy nas że dramat rozwoju rodzaju ludzkiego odgrywa się na lądzie stałym; jakże przeciwny widok przedstawia nam pozorna nieruchomość geograficzna miejsc a niezmierna ruchliwość ludzi! Góry i doliny pozostają ciągle jednakie, a ileż zmian widzimy w ludzkości, ileż ona uczyniła postępów od dawnych czasów? Kto wie jednakże, być może że i całkiem nie posunęła się naprzód; postęp albowiem można sobie tłumaczyć względnie.

Przez zastosowanie siły pary, człowiek przebiegając lotem błyskawicy obszary ziemi, niby wznosił się po nad jej powierzchnię; próby inżynierów angielskich wykazały, że gdyby droga szła w prostej linii, można-by się dostać w półtrzeci godziny z Paryża do Londynu, a w półtóry z Berlina do Hamburga.

Przypuśćmy że możemy się uwolnić od zależności czasu, przypuśćmy że możemy złączyć przestrzeń

dzielącą ubiegłe wieki i jednym rzutem oka objąć całą historią ziemi; jakież widok mielibyśmy wtedy przed sobą? To, co na pozór stałe zamieniłoby rolę z tém, co na pozór ruchliwe i zmienne; ziemia podnosiłaby się jak ocean w czasie burzy, piętrzące się góry zapadły-by w morze, nieruchome wtedy i spokojne na wszystko,—a ludzkość? Ludzkość, odwzorowywa zawsze jeden obraz w przeciągu ubiegłych wieków. Po ulicach i placach, po świątyniach pogańskich i chrześcijańskich kościołach zbiegają się milczące tłumy słuchać mędrców nauczających mądrości przypisów. Mędrcy ci, znajdują wiecznie głuchych, na głoszone przez się prawdy, słuchaczów, albowiem co było, istnieć będzie; sama tylko natura jest ożywioną historią stworzenia, ludzkość musi stać w jednym miejscu skoro w każdym jej pojedynczym indywiduum trwa odwieczna walka pomiędzy namiętnością a powinnością.

Stan. Chomętowski.

WOŁOSI I MULTAŃCZYCY.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Pod Belgradem przy Orsowej; tak zwanój Bramie żelaznej u sławnej skały, łączącej Karpaty z Bałkanem, żegna się Dunaj z górą serbską i zabierając w swe łono szereg rzek i rzeczółek płynie dalej przez Multany i Wołoszczyznę do ujścia swego. Wołoski kraj 64 mil długi a 32 mil szeroki, na północ zasłonięty Karpatami, Siedmiogrodzkimi górami i alpami transylwańskimi: na południe okala go Dunaj od miasta Orsowej aż do Seratu, do którego wpada. Multany i Wołoszczyzna, czyli księstwa naddunajskie, były podbite przez Turków: sławne ze swój żyzności, posiadają kopalnie wszelkich metalów i węgla kamiennych. Bogate w lasy i rzeki mogące stać się spławnymi, a ubogie tak dalece w przemysł że nawet kopalnictwo żelazne leży odłogiem — bo narzędzia wszystkie trzeba sprowadzać z zagranicy.

Proso rodzi tu po 300 ziarn; pszenica daje 21 a żyto 30 ziarenek. Tytoń, winogrona, morwy i drzewa owocowe nader tu obfite: dropie i kury dzikie pospolite.

KSIĘGA ŚWIATA. Cz. I. R. IX.

Ziemia należy w trzeciej niemal części do bojarów. Wieśniak czyli kmieć, pozbawiony gruntu, za którego dzierżawę czasową, ciężką pańszczyznę odrabiać musi. Nadto szarwarkami kmieciami naprawiają drogi, sypią tamy i stawiają mosty, za których przebywanie cło jeszcze płacić muszą biedni chłopci.

Wołoszczyzna 2,500,000 liczy ludności, a Multany 1,500,000 razem do czterech milionów, zwanych pospolicie przez siebie samych Rumunami.

W Banacie, Węgrzech, Siedmiogrodzie, Bessarabii i na Bukowinie znajduje się jeszcze do 2,000,000 Rumunów. Cyganów w księstwach naddunajskich (100,000) wyjęto zupełnie z pod praw. Izraelitów i Ormian także znajduje się tu sto kilkadziesiąt tysięcy.

Za starożytnych Rzymian, kraj ten, stanowiący część Dacyi, był pod rządem książąt zawisłych od Bizancium czyli dzisiejszego Konstantynopola w XII wieku. Później przyłączeni byli Wołosi i Multani

do Węgier i Polski. Od roku 1424 Turkom; jako na wpół Wazale haracz już płacili.

Książąt swych wybierali z bojarów, których Turcy zwali Kajmakanami, czyli gospodarzami. Oddzielny dawniej bywał władca Wołochów, a osobny książę gospodar Multan.

Na rycinie widzimy tu Wołocha, z czarnymi, długimi włosami, wzrostu średniego, budowy silnej, czasem przysadzistej. Oczy ich ogniem częstokroć płoną. Charakteru są łagodnego, powstającego zwykle z braku dzielniejszych namiętności i małych potrzeb. Do złodziejstw, pojedynków i samobójstw, nie mieją najmniejszego pociągu.

Nie masz prawie choćby najbiédniejszego Wołocha; któryby nie miał broni w mieszkaniu służącej do ozdoby i ubioru. Czystość i schludność chat wiejskich zależy od kobiet, starannie wapnem wybielających zawsze ognisko, przypiecek i ściany. Tém większy przeciwnie bywa brud i nieochędóztwo w domach miejskich.

Ogólny widok kraju pusty i jednostajny niekiedy tylko upiększany bywa drzewami i ogródkami koło domków, jak na rycinie widzimy. Strój narodowy wiejski, nieco podobny do ubiorów ukraińców i marusinów w ogóle—składa się z długich spodni sznurami opatrzonych; — z pasa oczepionego u bioder, kamizelki bez rękawów. Wychodząc za dom, wkładają kaftan dość długi lub świtkę czyli bundę.

Do nóg przywiązują niegarbowaną podeszwę; koszulę często noszą na wierzchu spodni; czapkę baranią, dość wysoką, podobną już to do czapki frygijskiej, już do peruki *allonge*, z kutasem kolorowym. U pasa lub rzemienia przyczepiany nóż, fajka i worek do pieniędzy. Kozuch barani wyszyty czerwonymi lub niebieskimi sznurkami i brunatno-szary płaszcz, podobnie jak czuhaje ukraińskie, używają się stosownie do stanu powietrza.

Bogatsi, więcej zwykle na całym świecie odstępujący od zwyczajów krajowych, nosili nawet strój turecki; jedną tylko czapkę zatrzymywali bojarską w której ćwierć miary zbożowej zmieścić-by się mogło. Wiele też innych ubiorów przyjęto ze wschodu, jak żółte bóty, suto wyszywane kolorami różnowzorowemi spodnie, szerokie suknie i szale tureckie zamiast pasów. Nawet brody noszono na wzór Turków i fezy częstokroć czerwone.

Żydzi noszą się tak, jak dawniej w Polsce. Cyganie chodzą albo na wpół obnażeni, w łachmanach, — albo jeżeli służą u Bojarów, mają liberje paradne robione w Paryżu lub Wiedniu.

Kobiety, piękne i silnie zbudowane, bardzo malowniczo wyglądają w swych pstro-upięszonych sukniach. Dziewczęta noszą koszulę długą, białą, niekiedy czerwoną lub niebieską, z długimi rękawami, wstążkami, perełkami i rozmaitemi świecidłami ozdobioną. U bioder wiążą wielką chustkę, często przeplatana wełnianemi, pstremi pasami, w pręgi; w niektórych okolicach używają niekiedy dwóch podobnych zapasek, składających się oprócz przewiązek z pasów i chust, i innych ozdób, jak frendzli, podwójnych fartuchów ozdobnych i t. p. Wysmukłe figury zgrabnie w takim stroju wyglądają.

Prostota ubioru, ciemne splatane warkocze z zaczepioną monetą lub medalem złotym, zdobią niewiastę, która na głowie nosi jakby rodzaj mitry aksamitnej, lub kawał sukna zawiązany, na podobieństwo miski: jedyny-to strój, którego chłopka sama nie robi.

Język wołoski, powstał z łacińskiego, zmodyfikowanego mową Słowian. Oto próba, składająca się z początku Modlitwy Pańskiej:

Ojcze nasz! któryś jest w niebie, święć się
Tatel nostru! carele in Ceruri, sfintzas case
imie twoje, przyjdź królestwo Twoje
numele teu, vie imperacia ta i t. d.

Cyganie używają narzecza które ma być samskrytem.

Podróżuje się tu zwykle tylko pocztą, opłacając ją w większych miastach i biorąc na to kwit ogólny pocztowy: na szczegółowych stacyach okazuje się tylko ceduła i daje się tringelt woźnicy. Powózki pocztowe bardzo proste, zowią się karocami, sporządzonemi najczęściej na jedną, rzadko na parę osób. Siedzi się na sianie, bez żadnego punktu oparcia. Dłuższe płaszczyzny łatwo tak przebywać. Pocztylioni siedzą na wysokich drewnianych siodłach. Konie zaprzęgają się jeden przed drugim w lejc; niekiedy do 20 sztuk. Czwarty koń każdy dźwiga pocztyliona. Do jednego więc wozu czyli karocy, z jednym podróżnym, używają pięciu ludzi powożących i czterokroć tyle na-półdzikich zwierząt. Pocztylionów, pół-dzikimi odzywających się głosami, możnaby wzięść za ludzi pozbawionych zupełnie zmysłów. Drogi najgorsze.

Niekiedy, z gór szczególniejadąc, trzeba mieć wiele wytrwałości, aby znieść pęd koni po wybojach, rozpadlinach i chrustach, któremi drogi ni-by naprawiane być mają. Zgłodniałe zwierzęta, źle zwykle sprzężone, odbiegają nieraz od karocy i przeraźliwie wyjących woźnic, aby się napaść tra-

wą, przez którą nieraz, zamiast wytkniętej drogi, unoszą.

Bukarest mający 80,000 kilka tysięcy ludności nie posiada lepszych dróg od prowincyi. Brudne miasto, w guście na wpół-wschodnim zabudowane, dość ożywione, szczególnie w ostatnich czasach. Domy murowane z cegieł — zamiast bruku, leżą dyle dębowe i kanały rynsztokowo-błotniste. Obok pałaców liche spotkasz lepianki. Z pagórków południowych, ładnie Bukarest wygląda ze swemi zamkami, klasztorami i 80 kaplicami lub świątyniami, pokrytymi błyszczącymi blachami, wystającymi z pośrodku mnóstwa ogrodów. Przedmieścia od miasta samego rozróżnić prawie nie można.

Febra przywiązana mimoto do tutejszego niezdrowego klimatu.

Liczą tu do 12,000 powozów, z których łatwo poznać że naród jest na drodze przejścia. W tym samym ekwipażu, w którym siedzi bogata Wołoszka, ubrana w stroju narodowym, spotkasz obok ubiór Wiedenki; obok bojara w ubiorze kraju, siedzi elegant według mody paryskiej wyświeżony.

Żony bojarów, wielkie elegantki, trzymają się żurnalów zagranicznych daleko troskliwiej niż same paryżanki. Książęta i magnaci przybrali ubiory rossyjskie. Kąpiele łaźienne i karuzele przejęli także od Rossyan.

Mieszkania wiejskie, z chrustu oblepianego gliną, w małym zakresie swoim zaledwie w sobie jedną mieszczą izbę, bez ogrodów i podwórza. Bydło pod gołym zostaje niebem. Gumien nie budują, gdyż zboże, natychmiast po zbiorach, sprzedają. Jaskrawy ubior różnobarwny chłopów, kazałby się domyślać chat porządniejszych — i podróżny słusznie dziwić się może kiedy zobaczy pięknie ubranego mężczyznę, wychodzącego z lepianki, często nawet ziemią przykrytą. Obyczajnie wieśniacy jednak żyją, choć w nędznych chatkach. Nawet zły myśli o nich powziąć nie można, spotykając na jarmarkach, targach, lub przy uroczystościach wiejskich. Przy poświęceniu jakiej świątyni tyle bywa ludu, że zgiełk panuje zupełnie jarmarczny, témbardziej że całe obozy kupców i sprzedających wszelkiego rodzaju towary (aż do bydła) nader tłumnie tutaj się gromadzą. Ryczące bawoły, dźwięki dziwnych i różnorodnych

muzyk, dymiące się ogniska ze skromnym jadłem tabory niemal całe przezuwających spokojnie krów i wołów, kilkadziesiąt-parowe tańce (30 do 40 mężczyzn i tyleż kobiet) z grajkami cygańskimi, w ubiorach dość malowniczych — wszystko to razem wzięte, na dziwny i szczególny składa się widok odpustu, lub uroczystości kościelnej.

Koło zrobiwszy, ręka w rękę, osmdziesiąt osób, tańczą, podskakując do środka. Ku końcowi, skaczą z coraz większą żywością. Wino miejscowe, ów trunk słodko-kwaskowaty, dodaje ochoty w podobnych rozrywkach. Tancerz zmordowany, w każdej chwili opuszcza kółko — a natomiast może wejść każdy nowo przybywający. Skoki trwają zwykle do północy, często z wielką powagą. Nawet cyganki namiętne, jeśli są w kółku wołoskim, muszą się zastosować do ogólnej powściągliwości i przyzwoitości powszechnie panującej. Nieskończenie długa melodia, odegrana przez cyganów na skrzypcach, nie jest tak dzika, jakby można, podobnie mało-ucywiliżowany lud, o to posądzać.

Śpiewy starożytne, którym najczęściej przywodzą zwykle pod namiotami kobiety, być może iż pochodzą jeszcze z dawnych czasów rzymskich. Kto wie, czy ich tony nie rozlegały się kiedyś pod władztwem Trajana i Decebala.

W tym bezładnym, różnorodnym natłoku, bez opieki policyjnej, a jednak nie bez pewnego porządku, pilny postrzegacz, wieleby znalazł do badania. Młoda Wołoszka, siedzi w okoleniu kawalerów w jednym miejscu gdy, pod tymże samym namiotem, druga dziewczyna, dość smutna, choć przystojna, pozostaje w odosobnieniu. Czapeczka aksamitna bez żadnych ozdób okrywa głowę tej samotniczki; na czapce zaś pierwszej Wołoszki błyszczą pieniądze, *cekiny* i *paras*, będące jej posagiem. Druga zaś niema jeszcze współubiegających się o swą rękę — i dla tego spokojnie czeka na stronie, wcale nie mieszając się do zaręczonych.

Wiele tu jest także bardzo ładnych Cyganek z właściwym wyrazem twarzy temu pokoleniu od którego pochodzą (indyjskiemu).

Pieśni gminne wołoskie, miewają często wartość poetyczną. Smutne są tutejsze piosnki ludowe, tak jak ukraińskie.

KRÓTKI RYS STANU WŁOŚCIAN

W WIEKACH ŚREDNICH WE FRANCYI.

Chcąc skreślić okropny stan ludu francuzkiego w wiekach średnich, należy cofnąć się do panowania Rzymu w Gallii, jako do pierwotnej przyczyny. Nikt nie jest w stanie wyrazić ciężkiej niewoli w jakiej jeździła Gallija pod żelazną ręką Rzymskich tyranów. Cezar rzucił się na nią jak na wczesnie upatrzoną zdobycz, mającą łakomstwo jego nasycić. Przez sześćdziesiąt lat w niej pobyt swój, prowadził wojnę łupieżstwem, zdzierstwem, pustosząc miasta, zabierając bogactwa publiczne i prywatne, łupiąc zarówno majątki u sprzymierzonych jak nieprzyjaciół; zgoła pustosząc kraj w całym znaczeniu tego wyrazu. Pomimo tak ciężkiej niewoli, znalazła się jeszcze energija w nieszczęśliwym ludzie.

Korzystając z chwili w której zdobywca zatrzymanym w swym kraju został, chłopcy mając na czele dwóch walecznych z pomiędzy siebie, podnieśli rokosz przeciw najeźdźcom, opanowali najpierw Orlean, gdzie wyrznęli wszystkich Rzymian. Potrzebując o tym zwycięstwie uwiadomić walecznego Rycerza Vencigetorixa przeciwnika Cezara, urządzili rodzaj *głosowego telegrafu*, porozstawiali się w pewnej odległości tak, żeby głoszona nowina mogła być usłyszana od stojącego opodal kolegi—w taki prosty sposób, podając jeden drugiemu wieść potrzebną, w przeciągu dnia jednego z Orleanu do Clermont o mil 50 ją posłali. Wiadomo jak nieszczęśliwy obrót wzięła ta walka. Świeże posiłki wraz z Cezarem przeszły Alpy, po wielkim krwi rozlewie, zniszczona Gallija, została ostatecznie podbitą i do prowincji rzymskich zaliczoną, na lat 50 przed narodzeniem Chrystusa. Pod Augusta panowaniem, Licyniusz ulubieniec jego prowadził dalej dzieło łupieżstwa i zniszczenia, rozpoczęte za Cezara, tak iż Gallowie wysłali aż deputacyę przedstawiając skargi swoje u stóp cesarza; Licyniusz obawiając się aby oczy monarchy nie otworzyły się na tak ohydne jego postęпки, na zdzierstwa i najniesprawiedliwsze konfiskaty, przyciągnął do siebie rozgniewanego Augusta, i pokazu-

jąc mu skarby swoje ozwał się do niego: „Panie! to dla Rzymian te bogactwa zabrałem; dla Ciebie to zachowałem je i jako twoje dobro oddaję tobie. Panie mój! Nie zdawało mi się właściwem, zostawiać tyle bogactw w rękach cudzoziemców; wzmocniłem twoje nad nimi panowanie, zmniejszając ich dostatki i odbierając im możność wyswobodzenia się.” Uszło to bezkarnie Licyniuszowi i wskazało innym po nim Prokonsulom drogę do wstępowania w ślady jego.

Tyberjusz idąc dalej, do tego stopnia posunął ucisk, że ludność andegaweńska i w Turainie zmuszona była do buntu, pod przewodnictwem Juljusza Florusa i Sakrowira. Porażona, dała tylko pochop do większych prześladowań.

Kaligula daleko za sobą zostawił Augusta i Tyberjusza, znalazłszy sposób odznaczenia się tyraństwem przed wszystkiemi. Pewnego dnia bawiąc się grą do dość znaczną przegrał sumę, kazał sobie przynieść listę opłacających podatki w Galji i mnóstwo ich skazawszy na śmierć skonfiskować kazał ich majątki: „Wy uganiacie się za drobiazgami—odezwał się do zdziwionych swych dworzaków— a ja w jednej chwili kilka milionów wygrałem!”

Eumenjusz pisze, że gdy Konstacyusz przybył do Gallji, urodzaje nie opłacały pracy około ziemi, równiny niegdyś żyzne, bogate doliny, zamieniły się w bagna i stawy, a rolnik pracować nie chciał jedynie tylko na pożytek konfiskujących.

Świadectwo ówczesnych historyków, rozporządzenia a raczej rozkazy cesarzy Rzymskich, akta prawne, wszystko to świadczy o bezprzykładnym ciemieniu, jakiemu ulegała Gallija a mianowicie drobniejsi właściciele i lud. Moźni bowiem równie jak mieszkańcy miast, coraz większe otrzymywali przywileje: chciano mieć punkt oparcia się u możnych; aby ci, przez własny interes utwierdzali nadużycia z których i dla nich wypadały korzyści. Mnożyły się więc przywileje, prawa uciemniające rolnika, tak że wieśniak gorzej od zwierzęcia był uważany. Panowie

rzymscy kupowali ziemię i dawali przykład sąsiadom barbarzyńskiego obchodzenia się z doprowadzonymi do najzupełniejszego poddaństwa włościanami.

Całe wsie opuszczały siedziby swoje, błagając opieki i ratunku u możnych panów, spodziewając się tym sposobem odwrócić ciężar prac publicznych srodze ich gniotących. Okrucieństwo rządzących dokończyło zaczętego dzieła przez chciwość bogatych, i przepaść niewoli pochłoneła całą ludność nie mającą schronienia. Osiedleni rzymscy panowie sprzedawali na targach najpiękniejsze dzieci, najdorodniejsze dziewczęta, córki czynszowników, których bez litości skazywali w wieczną niewolę, wypłacając się niemi swoim wierzycielom. „Tortury, więzienia, przegierze, długie stanie na słońcu w czasie skwarne go lata, a w błocie i lodzie podczas zimy, było prawie ciągłym życiem tych nieszczęśliwych, którym poddaństwo w porównaniu z takimi męczarniami, zdawało się lekkie i błogie.

Ze wszystkich stron rolników wciągano do niewoli; często widziano włościanina, zwykle chciwego na ziemię, zrzekającego jej się i przedewszystkiem pragnącego aby nic nie opłacał. Napróżno cesarze rozdawali ją to rzymianom, to dawnym jej posiadaczom, to wreszcie rozmaitej dziczy; leżała ona pustą i nie obrobioną w rękach fiskalnych! Nikt z ludu nie chciał przyjąć tych darów, na przód przewidując że zupełne zniszczenie i okrutne tortury czekały nieprzezornego gdyby je przyjął. Urząd fiskalny pozbawiony wszystkich dochodów, zmuszał okrutnymi środkami chłopów do kupowania ziemi, czego jednak w nędzy swojej uczynić nie mogli. Mnóstwo niesłyszanych nigdy, a nadzwyczaj ciemnąjących ustaw, spływało na tych drobnych właścicieli ziem; za słońce opłacać musieli podatek, (solarium). Plinusz młodszy z goryczą wyrzekł: „Więc my zmuszamy narody płacić za cień którego używają!”

Trzeba posłuchać jak Laktancjusz pisarz w IV wieku i Salwjanus rzucają przekleństwo na ohydne i okrutne panowanie Rzymian w Gallji, przypisując rządowi fiskalnemu, większą krzywdę uczynioną cesarstwu, aniżeli, cały barbarzyńców napad na to państwo, zrzędził: „Wszędzie rozsypani kommissarze rzymscy, najostrzejsze robili poszukiwania; prawdziwy to był obraz wojny i niewoli. Mierzyli ziemię, rachowali drzewa i winnice, robili spisy wszelkiego rodzaju zwierząt domowych, zapisywali imiona każdego indywiduum; nie odróżniając mieszczan i chłopów, każdy musiał stanąć z całą rodziną, dziećmi i nie-

wolnikami; słyszano tylko jęki i bicia: gwałtem zmuszano aby świadczyły dzieci przeciw rodzicom, niewolnicy przeciw panom, żony przeciw mężom. Jeżeli świadectw i dowodów brakło, przymuszano ojce, matki, panów torturą, aby sami się oskarżali; jeżeli męczarnia wymogła jakie oskarżające się słowo na nieszczęśliwym, uważano takie bólem wymuszone słowo, za nieodwołalną prawdę. Ani wiek, ani choroba nie uwalniały nikogo; chorych i cierpiących zmuszano; podług woli nadawano wszystkim lata, dodawano ich dzieciom a umniejszano starym. Powszechny płacz był i jęki. Każdą głowę oceniono i płacić musiano za powietrze, którym się oddychało.

Nie zawsze jednak kommissarze posiadali ufność całą rządu rzymskiego; czasem wysyłano świeżych na miejsce dawnych, w nadziei że ci więcej dochodów wynajdą. Zresztą nowo przybyli, czy wynaleźli czy nie, zawsze opłaty mieli zwyczaj podwajać, dla pokazania że słusznie zrobiono przysyłając ich na to miejsce. Jednakże w takim ucisku bydła ginęły i ludzie z niemi. Urząd fiskalny tylko nie tracił na tém, gdyż płacić musiano za tych co już nie żyli; zgoła ani żyć ani umierać nie można było bez opłaty. Żebracy tylko jedni wyjęci byli z pod prawa przemocy i gwałtu. Zdawało się iż Valerius uczuł jakąś litość nad niemi i chcąc zaradzić ich nędzy, kazał ich w największym porządku usadowić w okręta, które wypłynąwszy na głębie, miały rozkaz wrzucenia tych biedaków w morze. Taki był piękny pomysł Valerjusa wynaleziony na wyniszczenie ubóstwa w swym kraju; a bojąc się aby pod pozorem ubóstwa ktoś nie wyłamywał się od opłacania podatków, tyle był okrutnym iż niezliczoną liczbę biednych, tym sposobem kazał zatracić.

Wśród takiego rzec można zezwierzecenia, wśród takiego rozwoju moralnego, a bardziej zaparcia się wszelkiej moralności; nadeszła wielka epoka tryumfu kościoła, nadeszło panowanie Konstantyna.

Wielki ten człowiek z uczuciem, z uznaniem chrześcijaństwa w duszy, pragnął szczerze nagrodzić złe przez poprzedników wszczepione, pragnął umoralnić powierzone mu do rządzenia ludy, jak świadczą o tém rozmaite rozporządzenia. — Ależ usiłowania jego w oddalanej mianowicie Gallji, małe bardzo wydały owoce, które prawie razem z nim zgasły. Następcy zaś, mniej mając gorącej chęci dobra, tém bardziej pomyslnych zmian zaprowadzić nie mogli. Zgoła religija chrześcijańska, kościół tryumfujący, żadnej prawie ulgi nie przyniósł cierpiącemu niewolę ludowi Gallji. A przecież winić go za to, jakto czynią nie-

którzy pisarze historyi, nie można. Bo i cóż winien, że przyjmujący religiję, tylko w słowie, tylko w formie ją brali? cóż winien, że przesiąkli pogaństwem, tylko się w płaszczyk chrześcijaństwa oblec chcieli? Dopóki kościół prześladowanie cierpiał, dopóki przybytkiem jego były skryte, krwią i łzami skropione katakumby, wtedy nikt z pogaństwem w duszy, nie śmiałby przestąpić świętych progów jego. Wtedy szli tylko tacy, którzy z całą prawdą i miłością przyjęli naukę Chrystusa do serc swoich, gotowi męczeństwem dać świadectwo prawdzie. A jak któren nie wytrwał, odstąpił, powracał do pogaństwa i znajdował zabezpieczenie od męczeńskiej śmierci, której się uląkł.

To też wtedy wszyscy należący do kościoła, tak kapłani jako i prości wyznawcy, opromienieni świętością, stawili przykład miłości i zaparcia się siebie. Takie były dzieje kościoła blisko przez cztery wieki i dotąd aureola świętości jaką jaśniał, otacza pamięć kapłanów znanych z nauki i poświęcenia, zwanych ojcami kościoła. Lecz musiała się zmienić postać jego, gdy massy powołane do przyjęcia wiary zostały; a jeszcze w jakiej chwili rozstroju zastała ich ta święta nauka? Moźni, znudzeni swoją acz pochlebnią zmysłom i pełną wyobraźni mitologją, nie wierzyli już w sponiewieranych przez siebie bogów: lud w ucisku jęczący, nie miał czasu wznieść oczu w górę, nie wiedział gdzieby szukać tego Boga któren go opuścił. A wszyscy razem doprowadzeni do zupełnego zezwierzęcenia, jedni przez wyuzdaną swawolę, drudzy przez stan niewoli w jakiej gorzej od bydła trzymali ich ciemiejcy. A tu nagle takim ludziom, nie uznającym praw człowieka, każą prawo Boże uznawać! Mówią im że ci znikczemni poddani są braćmi ich; mówią że zbytki, cielesność, w jakiej się dotąd nurzali, są sprośnemi występkami z których się wyzuć powinni; że nienawiść, zemsta, owe cnoty pogańskie, zastąpić ma przebaczenie i miłość, a ta miłość ma zarówno ogarnąć wszystkich! Mimo tak nadzwyczajnej sprzeczności nowój nauki z żywiołami jakie zastała w zgniłym społeczeństwie, nie została ona odepchniętą zupełnie. Potęga słowa Bożego była zbyt silna, ażeby ją serca ludzkie ze szczętem odepchnąć mogły — znalazła więc odbicie, a nawet tu i ówdzie z zapalem przyjętą była, ale niestety bez wytrwałości. Natura ludzka przez tyle wieków w kale nurzająca się, nie mogła się otrząsnąć z niego, trudno jęj było z czarnej szaty białą uczynić. Społeczność cała tak była przesiąkła fałszem, łakomstwem, okrucieństwem, że lubo uderzyło ją piękno wiary Chrystuso-

wój, pojąc go zupełnie w całej rozciągłości nie było w stanie. Cóż więc czynić ma? Oto bierze literę prawa, bierze formę chrześcijańską i stroi weń pogańskiego ducha. Duch ten we wszystkich warstwach społeczeństwa, z po za form chrześcijańskich przeziara! widzimy go tak w pancerzu rycerskim jak w miłości duchownej. „O Panie! ileż to wilków wpadło do owezarni Twojój!” — wołał jeden z ówczesnych pustelników. Na całym Zachodzie i Południu Europy, co tylko stary Rzym w swoje żelazne objął ramiona, tak było spodłone, że istotnie między sługami kościoła, więcej było drapieżnych wilków niż ludzi. A ci, którzy cierpieli nad tak opłakany stanem, nie mogąc zaradzić złemu, chronili się po pustyniach aby modłami przebłagać Boga za zbrodnie braci, aby do pokuty zachęcać grzeszących. Udawało się im niekiedy i baronowie, magnaci, książęta, po licznych zbrodniach, udawali się do drogi pokutnej, ale i z tój w czystości serca skorzystać nie umieli. Wyzuwali się ze skarbów zdzierstwem, łupieństwem nabytych, aby z nich stawiać kościoły i klasztory, odprawiali pobożne pielgrzymki; ale wróciwszy z nich, za każdą wydarzoną sposobnością w dawne wpadali występki, a te zawsze tylko na nieszczęśliwą, pracowitą wiejską ludność spadały. Na nię ciążyły wszystkie występki panów, wszystkie nadużycia duchownych. Poddany był tём samém, czém niewolnik u Rzymian, albowiem poddaństwo początek bierze w dawném niewolnictwie; — też same prawa rządzą obydwoma, też sama nazwa *servi* oznacza niewolnika i poddanego; różnice jakie zachodzą w rozmaitych stopniach niewolnictwa, podług pism Guizot'a są tak liczne, zdrobniałe, subtelne, że bardzo trudno naznaczyć im prawdziwą nazwę. Tak jak za dni niewoli Rzymskiej, tak do XIII prawie wieku do pana należał z ciałem i mieniem swoim poddany. Pan miał prawo sprzedać go, darować, wymieniać, i zbiegłego prawnie wszędzie poszukiwać — rozrządzać nim jak zwierzęciem w jarzmie — tyle tylko że go mniej niż zwierze cenil Prawo to, tak dalece było zadawnioném, wkorzenioném w pojęcia wszystkich możnych, że nie tylko iż nie raziło duchownych, ale nawet i ci korzystali w całej rozciągłości z niego. Podług świadectwa historyków Beaumanois, Saint Foix, biskup d'Avranches dał pięć kobiet i dwóch mężczyzn za pysznego konia na którym pompatycznie wjechał do dyccezyi swojej; biskup Soisson w podobnej okoliczności potrzebując konia, dał za niego pięciu niewolników.

Nie można sobie wyobrazić jak od X do XIII wieku kontrakt sprzedaży dóbr przedstawiają dziwną

mięszaninę. Sprzedający zlewał kupującemu prawa swoje, rozlewu krwi, bicia i kar pieniężnych, służących mu względem niewolników. Ci należeli do kilku czasem panów; rozdzielano jedną rodzinę dzieci; czasem wypadło pół mężczyzny lub pół kobiety jednemu i drugiemu. Stworzenie ludzkie było jakby rzeczą jaką, dodatkiem do gleby, żyjącą monetą, pokryciem ziemi. W tych sprzedarach nie tyle zwracano uwagi na wartość, rozległość ziemi i jej obszar, ile raczej na prawa rozmaite, jakie służyły sprzedającemu do ciemienia i męczenia poddanych. Montesquieu powiedział że prawa feudalne dały zasadę i popęd do anarchii; anarchia zaś poprowadziła ludzkość do porządku i harmonii. Nadto był pobłażliwym Montesquieu! Dowodzi to tylko że kiedy taki genjusz zgasł i zbłądził w tym labiryncie dziwnych, końca nie mających, z sobą sprzecznych praw; któż potrafi wydobyć światło z owego chaosu?

Naprzykład, czém było w rzeczywistości prawo martwej ręki, z kąd mu nadano tę straszną nazwę? „Jest to prawo dosyć zmienne—odpowiada pan Guizot... nie wdaję tu się w tłumaczenie wszystkich jego form i zmian. Dumoulin naucza nas że w każdej prowincyi odmienne było, a uczony prezydent Bouhier wyznaje, że nie podobną dla niego jest rzeczą, dać o tém prawie dokładne wyobrażenie i rozciągłość jego oznaczyć. Co do nazwy—„ta nastąpiła z ohydne-go jaki był zwyczaju iż ucinano umarłemu niewolnikowi rękę i okazywano ją panu, który w tej chwili grabił wszystkie po zmarłym pozostałości, z krzywdą pozostałych po nieboszczyku dzieci i rodziny. A że trzeba było coś zrobić z tą ręką, panowie tak duchowni jak świeccy, przybijając ją kazali obok łap wilków i innych dzikich zwierząt na polowaniu zabitych!”

Beaumoisis cytuje także „iż niewolnictwa te rozmaite były, gdyż jedni byli tak poddani panom iż ci ostatni nie tylko mienia ich, ale życia i śmierci byli panami; wolno im było, jeżeli im się to zdawało, wrzucać tych biedaków do więzień w których umierali niewolniki prócz przed Bogiem, nie mieli prawa przed żadną w świecie władzą uskarżyć się.” „Drudzy poddani byli z większą względnością traktowani; póki żyli, pan nie miał prawa, jeżeli należności i podatki opłacali, nic im zabierać. Jeżeli się taki, chociażby za zezwoleniem zwierzchnika swego, ożenił z kobietą *wolną*, nie miał, z prawa, innych prócz własnego pana spadkobierców; wolno mu jednakże było, jakby obcemu nabywającemu te ruchomości, wykupić się od podobnego po śmierci zaboru. (Beaumoisis roz. XLV.)

„Wiedz dobrze — mówi Piotr de Fontaines — żeś

ty nie podług Boga otrzymał wszechmoc nad twoim poddanym (villain). Więc jeżeli zabierasz mu cokolwiek z jego własności (prócz opłaty podług ugody), bierzesz to wbrew woli Boskiej z niebezpieczeństwem duszy twojej, bo zabierasz jako złodziej.”

Rozmaite nazwy których przepolszczyć trudno, jak to, *serfs, villains, roturiers, rustres, manens, hostes, exercitatores* — różniły poddanych nie tylko co do nazwy ale i co do warunków. Borel w swoim *skarbcu poszukiwań i starożytności w Galii*, dowodzi że nazwa roturier, pochodzi od *roue*, koła, które wieśniacy robiąc najcięższe posługi, we młynach obracać musieli.

W dowodach historycznych tamtej epoki, w dobrach duchownych ludzi osiadłych nazywają biednymi. Byli oni biedni w istocie; roje ich, chroniąc się tyranii niektórych bez litości baronów, przyjmowali u duchownych niewolę; bo tam, podług zasady rozdawano przynajmniej chleb, modły i prace: pod tą władzą mogącą zagrozić klątwą, czuli się od okrutnej baronów przemocy jakby zasłonięni. Wprawdzie duchowni utrzymywali ten lud w odpowiednim nazwie jego stanie, więc to nazwisko i stan, słusznie im, do ostatniej chwili bytu byłej monarchii, pozostały—Historycy, prawnicy, mówcy na ogólnych zebraniach, rozkazy królewskie, wszystko to inaczey nie nazywało chłopów, tylko, *biedny lud, biedni poddani, biedni rolnicy, biedni ludzie płaszczyzn i obszarów!*

Dla krótkości *Księgi Świata* niepodobna rozbiierać etymologii wszystkich nazw niewolnictwa ówczesnego.

W połowie XIIIgo wieku Ludwik święty i sławna z cnót i rozumu matka jego Biana z Kastylii, starali się jako prawdziwi chrześcijanie przynieść ulgę nieszczęśliwemu ludowi. Biana zaczęła od uwolnienia od poddaństwa dziewcząt, w dobrach swoich i dworskich do usług wziętych. Syn jej ustanowił czterech urzędników Bailli zwanych, których obowiązkiem było odbierać skargi od uciemionych poddanych. Lecz złe, tak głęboko zapuściło korzenie, iż te rozporządzenia tylko chwilowie ulgę przynieść mogły. Powiedziano że moralnie i fizycznie dziecko więcej po matce niż po ojcu odbiera skłonności i zdolności, że prawie wszyscy ludzie z genjuszem, byli wychowani przez matki z wyższem usposobieniem, Ludwik święty zdaje się na ten raz potwierdzać to mniemanie, a o pisanie czynu następującego Bianki z Kastylii jeszcze je utwierdzi.

W roku 1253, kapituła de Notre Dame de Paris podniosła opłaty swoim poddanym. Niewolnicy

z Chatenay wzbraniali się większego płacić podatku. Kapituła chcąc ich do posłuszeństwa zmusić, kazała ich ściągnąć do Paryża i wszystkich wrzucić w ciasne więzienie, gdzie nie tylko jadła, ale nawet powietrza do oddechu nie mieli. Skoro wieść o tém okrucieństwie doszła uszu królowej mającej rozumem i cnotą, wielką nad królem przewagę i rządzącą Państwem wrzeczy, (de facto) wysłała do kapituły z prośbą, aby jak najprędzej sprawę uwięzionych rozsądono i żeby wypuszczono skazanych za jęj zaręczeniem iż sama za nich zapłaci. Kapituła chcąc utrzymać swoje przywileje, odpowiedziała: że nikomu nie jest dana wolność mieszania się w ich sprawy, i że oni mają prawo życia i śmierci nad swymi poddanymi; i żeby tego dobitniej dowieść, kazali żony i dzieci tych ludzi sprowadzić i wszystkich bez wyjątku razem z pierwszemi uwięzić.

Pozbawieni żywności, ruchu, powietrza, światła, w strasznym zaduchu ginąć zaczęli.—Kazawszy sobie pokazać drogę do więzienia, królowa ze służbą sama nadbiegła, i z rozdartém sercem słysząc rozpaczliwe krzyki i płacz dzieci — rozkazuje aby drzwi wybito: lecz przytomna służba nie śmie wziąć się do dzieła; bojaźń klątwy wstrzymuje ich ręce.

Królowa na ten czas porywa od najbliżej nięj stojącego żołnierza halabardę i własną ręką zadaje słaby cios drzwiom strasznym; ten jednak niszczy wszelką w przytomnych obawę i w jednej chwili drzwi w kawałki zgruchotane zostały.

Natenczas ujrzano widowisko straszne i przerażające nawet na tę epokę w której podobne sceny często powtarzane były. Przez te drzwi rozwarte, jakby sprężyną wysadzona masa ludności zgłodniała, sina, żółta, wyleciawszy, otoczyła kobietę jakby anioła zstępującego do piekieł—wszyscy jej się uczepli, bojąc się aby z nią, czyli z jęj oddaleniem, wizja ich nie zniknęła.

Gdy Ludwik święty umarł na obcej ziemi, gdy matka zamknęła mu powieki w założonym przez siebie Klasztorze; szkaradne prawo oddające na własność człowieka, bezkarnie dopuszczało się wszelkich nadużyć. Jeszcze za życia króla powstawano na jego niesprawiedliwość, na ucisk szlachty i baronów; wyobrażenia bowiem ówczesne, nazywały niesprawiedliwością odjęcie człowiekowi możności znęcania się nad poddanymi, postępowania z nimi jak z bydłami.

Nie można jednakże utrzymać aby wiek w którym panował Ludwik święty nie sprowadził znacznej zmiany, nie ulżył ciężarów z bark uciemżonych poddanych. Wojna krzyżowa nie przeszła bez pozo-

stawienia pewnych dobroczynnych acz nie dość rozciągłych jeszcze i trwałych śladów. Myśl ofiary, poświęcenia, jakkolwiek przyćmiona nędzą osobistej sławy, jakkolwiek źle zrozumiana, musiała wydać piękniejsze, zdrowsze owoce, niż dotychczasowe widoki, niż dotychczasowe grube, zamknięte w milczeniu samolubstwo. Można baron pociągnięty głosem powołującym do dzielenia niebezpieczeństw w wojnie na obcej ziemi, poruszał skarby swoje po raz pierwszy nie na osobiste rozkosze — namawiał, czyli zbierał, bo w owych czasach, namowa nie miała miejsca; zbierał poddanych swoich, uzbrajał ich częstokroć zostawując rozporządzenie zapewniające im ulgi w robociźnie, a często nawet zupełne od poddaństwa uwolnienie. Razem puszczali się w daleką, pełną trudów podróż. Tam wśród wszelkich i rozmaitych utrudzeń i niebezpieczeństw wojennych, wśród głodu, nędzy, niewoli, można baron bliższą zabierał znajomość z tym niewolnikiem, z tym poddanym swoim, w którym zamiast zemsty za prześladowania poprzednie, częstokroć spotykał dla niedoli swęj współczucie i ratunek. Po raz pierwszy przypatrzył się zbliska tej naturze uposażonej w teź same co u niego wady i cnoty, po raz pierwszy przypuścił że to jest równy mu człowiek. Chrzest zupełnie nowy ze krwi, z nędzy, z ucisku jakiego doświadczyli panowie w wojnie i w niewoli wschodniej, potrzebnym był na podniesienie ich do uczuć człowieczeństwa, z jakich zdaje się już zupełnie wyzuci zostali. Wielu tedy uznawszy każącą rękę w nieszczęściach swoich, za powrotem, czy-to dla przebłagania Boga, za dawne bezprawia, czy-to dla wypełnienia ślubu uczynionego w zamiarze otrzymania wyswobodzenia i powrotu do rodzinnęj ziemi, rozmaite czynili ustępstwa i ofiary z dochodów swoich, tak dla fundowania klasztorów, jak i dla poddanych, nadając im wolność.

Lecz ponieważ wieki składały się na zepsucie, na wynaturzenie rzec by można społeczeństwa; również tyle prawie potrzeba było wieków aby zaszczerpione przez stary Rzym pogaństwo, we wszystkich warstwach społeczeństwa zakorzenione, wytepić. Nie było więc dość widocznych odmian. Następcy nie mogąc już dawnych przywilejów oddających im na własność poddanego wskrzesić, na to miejsce rozmaite nakładali na lud daniny, powinności, jedne od drugich szkaradniejsze prawa, znane pod nazwą: Prawa dziedzica (Droit du Seigneur) od których tylko znacznym okupem, i to już późnięj jak złagodzenie go, wprowadzoném było, uwolnić się był zdolny. Gdyby nie świadczyły inwentarze czyli przywileje cząstkowe

każdęj znaczniejszej włości lub prowincyi, zawierające szczegóły wszystkich *praw dziedzica*, my Polacy nie mający śladu podobnych wymysłów wyuzdanego łakomstwa i zepsucia obyczajów w najdawniejszych podaniach historyi naszej; nie dalibyśmy wiary, ażeby naród dziś tak czujący godność osobistą, dyktujący, rzecz można, prawa cywilizacyi Europie, wyrzucający nam nie raz *barbarzyńskie obyczaje*, mógł mieć w przeszłości swojej karty tak straszne, wypełnione dowodami najbardziej poniżającemi ludzkość. I tak np. był zwyczaj w niektórych hrabstwach, aby nowo zaślubieni, oprócz rozmaitych darów z wina, mięsa i t. d. przeskakiwali strumień dość szeroki, czego gdy dopełnić nie mogli, opłacali pewną kwotę pieniężną. Zaś usiłowania biednych ludzi pragnących również dla uniknięcia opłaty, jak dla niweczającj odzież nieprzyjemnej kąpieli, wywiązać się z zadania i przeskoczyć strumień; były dla patrzących z ganków pałacowych panów, miłą zabawką i rozrywką.

Wszystkie niemal czynności pociągały za sobą opłatę tak dalece, że od ostrzenia żelaznych, do uprawy roli potrzebnych, narzędzi, także naznaczoną była opłata; również każdą rozrywkę, a miejscami nawet nabożeństwo opłacać trzeba było. Ulubioną zabawą ludu były gonitwy do słupa (la quintaine): wbijano słup, w którym wydrążono dziurę; chodziło o to, ażeby pędząc w galop na koniu, trafić gałęzią nakształt piki cienką, w dziurę i tam ją przełamać. Moźni panowie i téj zabawy użyli na korzyść swoje w rozmaity sposób — w jednych miejscach obowiązkiem było wszystkich bez wyjątku włościan, pod karą zapłacenia strofu, zgromadzać się na te karykaturyczne gonitwy; kaźden musiał biedz do słupa, a któren nie złamał gałęzi, to jest, kto nie trafił w wydrążoną w słupie dziurę, płacił karę. W innych miejscach, nowożeńcy pełnili ten obowiązek, jako dodatek do innych opłat i danin które w dniu zaślubin składać mieli, po czém powinnością inwentarzem obwarowaną było, tańcować przed pałacem.

Zakres tego artykułu nie pozwala nam wyliczać licznych śmiesznych lub sprośnych przywilejów w ogóle *Prawem Dziedzica* zwanych; również jak innych ciężarów, któremi panowie nagrodzić sobie chcieli *krzywdę* jaką im, w mniemaniu ich, ojcowie wyrządzili, zwalniając chłopów od poddaństwa. Nie podobna nam przebiegać wiek po wieku, panowanie po panowaniu, aby wykazać jak przechodząc przez różne odmiany, lud francuzki z żadnej do końca dawniej monarchii nie korzystał tyle, aby ciężary i nadużycia

dozwoliły mu odetchnąć swobodnie. Powiemy więc w krótkości, że zmieniały się tylko rodzaje cierpień ludzi, bo jeżeli przestali być niewolnikami, przemienili ciągłą zwierzęcą rzecz można pracę do której używani byli, na pewną ilość dni pańszczyzny, na daniny, opłaty; a zawsze jako poddani cierpieli wszystkie klęski wynikające z ówczesnych, między możnemi, domowych wojen. Bo na czémże się zasadzała wygrana tego lub owego księcia czy barona? na wyrznięciu i spalaniu włości przeciwnika. A cóż dopiero gdy nadeszło okropne panowanie Ludwika XIgo którego słusznie Neronem francuzkim zwano! Podatki nadzwyczajne włożone na lud, będąc niepodobnemi do uiszczenia, zmusiły i wywołały opór; zrozpaczeni włościanie z niektórych okolic jak z Amiens, Alençon i t. p. porwali się do broni na jaką ich stać było. Naturalnie stan ich, jeżeli można, pogorszyła ta okoliczność, że nie tylko ich przeszło stu Ludwik XI powiesić kazał, ale nad całym ludem dóbr Państwa, ulubieńcy tego okrutnego monarchy dopuszczali się niesłychanych zdzierstw i bezprawiów; a gdy wojna domowa pomiędzy Ludwikiem i krewnemi jego, którym był podstępował niektórych prowincyj, a potem je przemocą odbierał, wybuchła, stan ludu był najokropniejszy.

Nie do opisanja bowiem były okrucieństwa armii królewskiej!—Ludwik XI uznał za najlepszy sposób pokonania w czasie wojny nieprzyjaciela, nasyłać na własne prowincye nie tylko domowe wojsko ale i z Anglii i Austrii posiłki, dla niszczenia tych prowincyj przez które nieprzyjaciel przechodzić musiał. Palono więc wsie, zabijano lub zabierano dobytek, ażeby nieprzyjaciel wszedłszy i zastawszy puste okolice, głodem wyniszczony, tém łatwiej pobitym został. Żołnierz rozpuszczony, wychowany prawie, rzecby można, na rabunku i gwałtach, długo był plagą naj-sroższą dla ziemi swojej, długo nieszczęśliwy wieśniak gdy na wiosnę rozrzucił co w ziemię, to na to aby plon pracy, często z życiem jeżeli się bronić poważył, oddać musiał łupieżcy! W skutku takich nadużyć, nadto zbyt ostrój zimy a po niej dżdżystego lata, przeszło 100,000 ludzi, jak świadczą pisarze, wymarło głodną śmiercią, przy końcu panowania okrutnego Ludwika XI.

Dopiero Ludwik XII w lat dziesięć po śmierci Ludwika XI jakby miłosierdziem Opatrzności zesłany, ukrocił gwałty żołdactwa, karząc śmiercią ich nadużycia. Wprawdzie poprzednik jego Karol VIII już był chciał przynieść ulgę ludowi, zmniejszyć podatki które z taką ciężkością wybierać przychodziło ze zni-

szczonój, wycieńczonój głodem i wojennymi gwałtami ludności; lecz niemógł w krótkim panowaniu bo w smutnym rozstroju w jakim się znajdowało całe Państwo, z powodu wojny z Bretanią i z Włochami, musiał nawet je powiększyć. Jedyne więc Ludwiko- wi XII należy się cześć potomności na jaką zasługują nazywani w sławnych czasach przez poddanych *Ojcowie ludu*. Słusznie ten monarcha tak piękny przydomek otrzymał. Gdy dworzanie zdziwieni, zgorzzeni, nie mogący pojąć ażeby król więcej myślał o przyniesieniu ulgi najniższej części społeczeństwa, niż o zbogaceniu siebie i swoich pochlebców; wyrzucać mu się ośmielili zbytnią oszczędność jaką zaprowadził w budżecie dworskim, odpowiedział im spokojnie: Wolę słyszeć *śmiech dworzan* z mojej oszczędności, niżeli *placz ludu* nad memi wydatkami. Oprócz zmniejszenia podatków i wielu innych dobroczynnych dla mieszkańców zniszczonych wiosek postanowień, wydał jedno które się przyczyniło głównie do odrodzenia, że tak powiemy, zgangrenowanego żołdactwa. Był to rozkaz ażeby wojsko tylko w murowanych miasteczkach kwatery zajmowało, gdzie mieszkańcy formując rodzaj milicyi, mogliby w razie potrzeby odepchnąć siłą zbrojną ich gwałty; nad to na dowódców wybrał ludzi znanych z nieskazitelnego charakteru, prawych, czyniąc ich odpowiedzialnymi za nadużycia jakichby podkomendni dopuszczać się mogli.

To też wdzięczność i miłość ludu jaką obudził, była nadzwyczajna; w czasie przejazdów, zbierały się tłumy chcące widzieć dobroczyńcę swego. Był nim istotnie Ludwik XII: za panowania jego trzecia część ziemi niegdyś odłogiem leżąca, przez ubytek ludu przed uciskiem chroniącego się po sąsiednich państwach, uprawianą przez napływ powracających została. Rolnictwo zakwitło, gdy rozpędzona gwałtami, kryjąca się po lasach, lub za nędzną opłatę pracując a w sąsiednich prowincjach ludność, osiadła na gruntach w wioskach oswobodzonych od napadu możnych panów i wojska. Włóścianin zaczął się czuć człowiekiem. Ale nieszczęściem, krótko trwało, bo lat siedemnaście tylko panowanie dobrego króla, i nieustaliło, bo nie mogło ustalić, szczęścia ludu! Zaraz po nim za Franciszka I, zwolna wracać począł cały ciężar klęsk i nadużyć tak dalece, że w końcu panowania tego, uznanego za jedno z większych i świetniejszych we Francyi, kiedy monarcha cały zbytek roztaczał w koło siebie, wieśniak francuzki nie kosztował mięsa i chleba: bo sól własnością skarbu królewskiego będącą, nadzwyczaj drogo sprzedawano,

podatki zaś zabierały dobytek i zboże, tak że żywić się kasztanami dzikimi, żołędzią, suszonemi, niedojrzałemi owocami musiano; czasem tylko w dniach świątecznych i wielkich uroczystościach używano chleba jako zbytkownego pożywienia! To też gdy za Henryka II, nadużycia, jakim już nie tylko chłopie ulegali, wywołały powstanie, przyłączyło się do chłopów wielu panów i duchownych, aby siłą zbrojną stawić czoło przeciw przemocy i tyranii sławnego konstabla Montmorency; wiadome z historyi, okropne skutki dla całej ludności francuskiej wynikłe z tego powstania. Niepodobna wyobrazić sobie mąk wyrafinowanych jakie konstabl wymyślał karząc nieszczęśliwych. Gdy wszedł do Bordeaux, sto kilkadziesiąt ofiar pod okiem swoim męczeńską śmiercią zamordowawszy, dowódcę, ponieważ był szlachcicem, tylko powiesić kazał.

Nadużycia z monopolu soli, która zawsze była dochodem królewskim, zmuszania gwałtowne do kupowania jej nędznych wieśniaków nie mających do czego użyć soli, bo chleba bardzo rzadko a mięsa nigdy nie używali, doprowadziły do najopłakańszego stanu lud nieszczęśliwy.

Nie będziemy już opisywali dalszych ludu wiejskiego losów, które nawet za świetnego panowania Henryka IV, coraz cięższemi się stając, wywoływały ustawiczne zaburzenia i powstania a zatém zemstę i kary z okrucieństwem wymierzane. Nie było zamiarem naszym wyczerpać ten przedmiot. Zarzucają nam pisarze francuzcy jak np. Emil Montegu i inni, że niewola i poddaństwo istniało u nas jeszcze w wieku przeszłym—na dowód że we Francyi było toż samo, przytaczamy dosłownie ustęp z edyktu króla Ludwika XVI z roku 1779.

„Ciągłe zajęcia tém wszystkiem co się ściąga do szczęścia ludu naszego i pokładając całą chwałę i sławę naszą na przewodniczeniu ludowi wolnemu i szlachetnemu; z boleścią patrzymy na resztę poddaństwa trwającego dotąd w wielu prowincjach Państwa naszego; ze smutkiem uważamy wielką liczbę poddanych naszych niewolniczo do ziemi przywiązanych i uważanych po części, powiedzieć można, za zmieszanych z glebą; że nie tylko pozbawieni wolności osobistej i praw własności, ale jeszcze są policzeni w liczbę posiadaczy feudalnych; że nie mają prawa rozrządzać mieniem swém po śmierci i że wyjąwszy szczególne tylko wypadki, ostro obwarowane, nie mogą nawet dzieciom własnym przekazać dobytku z pracy swojej. Przekonywamy się że podobne trwające dotąd urządzenia, tamując i utrudniając postęp do przemysłu,

pozbawiają ogół ludności téj tak potrzebnej energii i siły do pracy, którą tylko najważniejsze uczucie własności samo zdolne jest natchnąć.”

Dobre chęci i starania monarchy nie były skuteczne; świadczą owcześni pisarze, jak Chaetaubriand i Diderot; ten ostatni tak się wyraził:

„Tak więc prawie do końca przeszłego wieku bo do końca monarchii, poddaństwo, pańszczyzna, rozmaite powinności znane pod *Prawami Dziedzica* ciążyły nad ludem francuzkim.” Nie skreślać systematyczny bieg zdarzeń, ale chcieliśmy tylko dać krótki zarys stanu ludu francuzkiego w czasach feudalnych, średnio-wiecznych, aby przekonać powstających na przeszłość naszą, za mniemaną tyranję jakiej się dopuszczali panowie nasi i wykazać że wszystkie anegdotki opowiadane o staroście Kaniowskim, jako jednostkowe nadużycia, niczem są w porównaniu *praw* pod jakimi jęczeli włościanie owéj Francyi, tak nam imponującej oświatą i zrozumieniem praw człowieka!

Jeden ze znakomitych pisarzy francuzkich, pracowicie zebrawszy dowody oparte na ówczesnych kronikach, na wyrokach prawnych, na rozkazach królewskich, a mianowicie na inwentarzach czyli opisie powinności rozmaitych majątności, skreślił historję nader smutną ludu francuzkiego. Z całym uznaniem, uszanowaniem pracy w tak pięknym podjętej zamiarze, ubolewamy że stronność tak trudna do uniknięcia dla pisarza gorąco przejętego przedmiotem swoim, wkradła się w znakomite dzieło jego.

Czyni on wyrzuty że katolicyzm, że kościół, nie dopełnił obietnic Chrystusa, dla tego że wprowadzona czyli przyjęta ogólnie wiara Chrystusowa nie odmieniła losu ludu w niewoli jęczącego. Nie chciał pamiętać autor że naród przyjmujący chrześcijaństwo, był wychowancem gorzej niż poganizmu; że zepsucie jakie wiekami wsiąkało w życie wszystkich jego społeczeństw, tylko przez wieki, zwolna wśród chrztu łez i krwi, może się w zdrowsze zamieniać soki. Dowodem tego iż ludy nad którymi nie zacięła tyranja Rzymska, ludy nie dotknięte zarazą rozchodzącą się z tego źródła, niepojętego dziś dla nas zepsucia, lepiej zrozumiały naukę Chrystusa i kościoła mimo pogaństwa i ciemnoty w jakiej żyli; niżeli ci wielkich niegdyś mędrców i mówców rzymskich potomkowie skarłowaciali w zbytkach i rozpuście.

Wszak nasze duchowieństwo z tegoż samego źródła czerpało światło wiary, naukę kościoła, a jakże inaczej ją pojmoowało i zastosować do życia umiało! Kiedy biskupi Zachodni łupieżstwem się bogacili; nasi, jak Wiesław z Kościelca Odrowąż, Groth, Pran-

gota i mnóstwo innych, nie tylko dochody z biskupstw, ale nadto własne po naddziadach majątki, rozdawali pomiędzy zniszczonych, przez wojny tatarskie i inne, wieśniaków. Dobra ich również jak dobra klasztorne były najczęściej opatrzone w przywileje niosące ulgę biednym, uwalniające od zwykle wymaganych w owych wiekach powinności: o różnicy téj świadczą inwentarze dóbr niegdyś klasztornych czyli duchownych i prywatnych. O postępowaniu pełném miłości duchownych naszych, świadczy między innymi dowodem podanie do Papieża Innocentego VI, uczynione przez Żmujdzinów, proszących aby im przysłał biskupów polskich, to przyjmą z rąk ich chrzest święty; okrutni bowiem Niemcy, nie ucząją ich, ale zmuszają ogniem i mieczem do przyjęcia nauki Chrystusa. A nawrócenie Litwy czyż nie świadczy że duchowieństwo polskie głębiej pojęło ducha kościoła katolickiego niż Francuzkie i Hiszpańskie? Nie obyło się bowiem bez męczeństwa na Litwie. Zażalowali dzicy jeszcze Litwini bogów swoich, i wielu Bernardynów ucząjących ich wiary świętej pomordowali, a ciała ich do Wilii powrzucałi. Jakież ślad został w historyi téj strasznej zbrodni? czy wywołała ona jakie okrutne przeciwsrodki, jakby to było nastąpiło w Hiszpanii i w wielu innych krajach? czy duchowieństwo polskie podbudziło lud, wysłało wojsko, aby ogniem i mieczem ukarać odstępców, jak to gdzieindziej czyniono? Nakazano tylko modlitwy za nawrócenie obłąkanych. Pozostała pamiętką tych scen krwawych, są blachy przechowane, za pomocą których chcąc uwiecznić pamięć męczenników, wybijano obrazki, które do dzisiaj pobożna Litwa ze czcią chowa. A gdy przez naśladownictwo obcych krajów, panowie nasi dopuszczają się zaczęli nadużyć, lub wyrabiali sobie przywileje z krzywdą ludu, duchowieństwo mające zawsze głos w radzie i wpływ w narodzie, powstawało przeciw temu. Widzimy że jeszcze na pierwszym zborze na początku XII wieku, duchowni polscy, przemawiali za prawością, porządkiem i narodowością polską, ganiając nadużycia niektórych panów. Później widzimy także, iż tenże sam duch ożywia duchowieństwo nasze, czy to przez usta pojedynczych prałatów, czy też przez wystąpienia zbiorowe. Nie chcemy przez to dowodzić że u nas nie było wcale wyrodných synów kościoła. Lecz czyż możemy winić prawo, dla tego, że wykonawcy jego nie chcą go dobrze zrozumieć i w życie wcielić? Nie możemy czynić, wyrzutów Zbawicielowi za to, że w liczbie małej bo dwunastu uczniów przez niego wybranych, znalazł się niegodny zdrajca.

WESTERÄS

(z NIEDRUKOWANYCH RĘKOPISMÓW J. ALBERTRANDEGO).

Westeräs po łacinie Arosia, stolica Westmanii jest prawie téj co Upsal wielkości, cała z drzewa pobudowana, prócz kilku domów ceglanych. Nie ma nic w niej szczególnego i godnego opisu; zamek tylko wystawiony przez Gustawa Wazę teraz już bardzo nadrujnowany, otoczony jest głębokimi fosami ma ze strony dłuższej wieżyce. Katedra jakby kościoły nasze wiejskie, pomimo że murowana, bardzo nieschludna i w nieładzie znajduje się. Pokazują w niej nagrobek a raczej ślady nagrobka nieszczęśliwego Eryka XIV i groby niektórych sławnych ludzi jak np. de la Gardies, Oxenstierna i t. d. i bibliotekę nie dość liczną i mało znaczącą, w której nie wielka liczba ksiąg drukowanych ruskich i rękopismów. Są to książki kościelne, pomiędzy którymi znaleźć można tłumaczone niektóre z francuzkiego, i heraldykę ruską. Pokazano mi szafę jedną napełnioną książkami czeskiemi, lecz jakież było moje zadziwienie gdy dostrzegłem że to był zbiór z trzystu lub czterystu egzemplarzy książki jednostajnej do nabożeństwa ułożonej przez jednego kapucyna. Biskup Westeräs jest tém, względem arcybiskupa Upsalskiego, czém dawniej był biskup Krakowski względem prymasa, to jest niższym co do godności a wyższe dochody mającym. Zapewniano mnie, że biskup Westeräs dziś jeszcze może mieć do czterech tysięcy dukatów dochodu, co jest bardzo uciążliwym dla kraju protestanckiego; to też bardzo wiele zaczynają mówić w Szwecyi o nowej redukcji czyli zmniejszeniu dochodów nie tylko dla

duchownych wyższe piastujących urzędy, ale w ogólności dla wszystkich beneficjów niższych. Gdyż jak mi mówiono to w Dalekarlii ma być jedno beneficjum przynoszące 6000 dukatów rocznego dochodu. Biskup z Westeräs ma je podobno posiadać. Biskup z Westeräs jest z powierzchowności ciężką, grubą masą ciała, nazywa się Benxelius. Rodzina ta bardzo się wślawiła zasługami w literaturze i w piastowaniu urzędów kościelnych; wielka z niej liczba była arcybiskupami, biskupami. Wisiało w jednej sali u biskupa mnóstwo portretów Benxeljuszów i córki biskupa Westeräs wdowy po baronie Taube. Arcybiskup Upsalski pokazywał mi tego, który był in capite libri, dodając że to był syn chłopski. Ponieważ jest zwyczajem w Szwecyi że synowie biskupów są uszlachconemi, i podług drugiego zwyczaju zmieniają nazwiska swoje dodając do dawnych albo stierna, skiöld, ström, hielm. Benxeljusze uszlachetnieni nazywani są Benxenstierna; lecz duchowni, niby dla niestracenia pamięci imienia tyle zasłużonego w dziejach kościoła i literaturze, nazywają ich *Benxelius* po dawnemu. Młodsza córka terażniejszego biskupa jest zaślubiona Engelströmowi, będącemu radcą kanclerstwa, a ponieważ także jest synem biskupa z Lund, więc z Engenjusza przyjął nazwę Engelström. Jest to człowiek uczony, pracowity, poważany i szacowany przez wszystkich. Żona jego nader miła i nadzwyczaj żywa należała do liczby uczonych niewiast.

ARBOGA, OREBRO WADSTENA.

Te miasta, z wyjątkiem ostatniego, nie mają w sobie nic szczególnego. Orebro jest stolicą Nerycii; we wszystkich są zamki królewskie poniszczone i wala-

ce się. Przy Orebro zacząłem podróż moję nadbrzeżną około jeziora Wetler od części jego rozwartej między Północą i Wschodem, aż do spiczastego, za-

kończenia pomiędzy Zachodem i Południem, co trwało dni kilka, chociaż jechałem dość żwawo.

Wadstena, dziś mało znaczące miasto, było niegdyś sławnym ze znajdującego się w niem klasztoru Brygidek i grobami świętej Brygidy i córki świętej Katarzyny z Wadstena. Są w tém mieście dwa kościoły: Parafialny, bardzo obszerny, ale nadzwyczaj źle i niedbale utrzymany. Posadzka tak powyłamywana i potłuczona, że z trudnością chodzić po niej można. Pokazują ołtarz wielki, służący dawniej katolikom, rzeźbiony, złożony na drzewie, z drzwiami do zamykania. Rzeźbienie na nim pospolite, niezgrabne, przedstawia tajemnice Zbawiciela naszego i Maryi Matki. Na dole przedstawione są cztery miejsca w których dusze wyszedłszy z ciał przebywać będą musiały: Piekło, Czyściec, lymby dla rodziców i lymby dla dzieci. Zdziwiony nie mało byłem, że protestanci nie tylko nie zniszczyli Czysta, ale że go przynajmniej przed wzrokiem ludu nie ukryli. W zakrystyi jest starodawny kielich i niektóre ozdoby poświęcane, służące dawniej do obrzędów katolickich. Protestanci Szwecyi używają w kościołach swoich a mianowicie przy wielkich uroczystościach, podobnych do naszych z dawniejszych czasów ornatów, to jest zaokrąglonych u dołu. Najczęściej jest wyhaftowany Pan Jezus na Krzyżu, na plecach. Ale to czegom się nigdy ujrzyć nie spodziewałem, i co nader wielką mi stało się w Wadstena ciekawością, był ornat wyrobiony rękami luterskimi, na którym zupełnie wystającym sposobem był wyszyty Pan Jezus, Najświętsza Panna i święty Jan Ewangelista; tak że materya za każdym poruszeniem zginająca się przyprowadza do tego, iż święty Jan uderza nosem w nos Najświętszej Panny. Pomiedzy innemi ornatami postrzegłszy jeden prawie nowy czarny, zapytałem: na jaki użytek służyć może? odpowiedziano mi że na największe uroczystości, Wielkiej nocy, Bożego narodzenia—czarny bowiem kolor u nich bywa oznaką największego galowego kościelnego stroju.

W tej samej zakrystyi jest skrzynia zawierająca relikwie świętej Brygidy i świętej Katarzyny. Pudło w środku prostokątne, długie na cztery stopy, a szerokie na półtory. Wierzch wewnątrz tego pudła kolorami pryzmatycznymi ozdobiony, za pomocą sprężyny otwiera się i dozwala wewnątrz zajrzeć—wszystko pokryte karmazynowym w złote i srebrne kwiatki haftowanym aksamitem. Te są rozmaite, niektóre kosztowne massiw, niektóre złożone tylko—pośrodku ich jest herb *Swinika* w emalii, co dowodzi że to Polak ozdobił i ubogacił całą tę skrzyneczkę wewnętrzną

dla świętej Brygidy — chociaż o tém żadnej tradycyi miejscowi ludzie nie posiadają. Pokrywka czyli wierzch tej wewnętrznej skrzynki nie jest ani zapieczetowany, ani zamknięty na klucz. Organista otworzył ją bez żadnej ceremonii i zobaczyłem kość paciierzową, kilkanaście żeber po jednej a dwie głowy po drugiej stronie. Kościelny wyciągnął obie głowy i podał mi je do rąk; świętej Katarzyny jest we właściwych rozmiarach głowy kobiecej i stosowna do reszty kości przy niej leżących—ale ta którą mienią być świętej Brygidy, jest potworna. Nawet trudnoby było znaleźć gdziekolwiek na świecie drugą taką ogromną grenadjerską głowę. Zaraz na miejscu okazałem moje powątpiewanie o prawdziwości tej relikwii. I w istocie dowiedziałem się że prawdziwa pomieniona głowa świętej Brygidy ukradkiem porwaną i wywiezioną do Wiednia została, dla cesarzowej Maryi Teresy. Prócz tego pryncypalnego kościoła, jest w Wadstena drugi, teraz pusty i wywracający się prawie kościół, właściwie należący dawniej do sławnego Brygidek klasztoru. Widać w nim jeszcze wielki ołtarz i resztki chóru zakonników z jednej strony, z drugiej zaś, nawet i ślady nie pozostały chóru zakonnic. Wiadomo że regułą było klasztoru świętej Brygidy aby kościół należał wspólnie do zakonników i zakonnic i żeby razem odśpiewywali swoje officium, Zakonnicy z jednej strony klasztor swój mający, a zakonnice po drugiej stronie kościoła mieszkające. Z jednej strony w małej od kościoła odległości, klasztor zakonnic mający tylko dół i jedno piętro z korytarzem prowadzącym do chóru kościelnego, trzyma się jeszcze dwiema stronami kościoła formującego paralelogramę. Był on przerobiony na koszary dawniej, dziś opuszczony i w zwaliskach. Klasztor mężki mający wystawę do ulicy jest, czyli był, nierównie wspanialszy od pierwszego i miał dwa piętra. Tak było w Szwecyi jak w wielu innych krajach że zakonnicy pochłaniali zakonnice, chociaż święta Brygida poddała pierwszych pod zarząd drugim. Ten ostatni, klasztor mieści obecnie inwalidów. W miejsce zakonnic jest teraz zakład jakichś kanoniczek, zdaje mi się przez Ulrykę Eleonorę założonych; niewiem jakie są ich obowiązki i czy mają dochody swoje. Wchodzą do tej instytucyi dzieci, które równie jak starsze osoby pozostają w domach rodzicielskich i po całej Szwecyi są rozgałęzione. Nazywają je *Virgines Vastanenses*, noszą krzyż złoty z białą emalią na pierśsiach na wstążce zawieszony. Córki arcybiskupa Upsalskiego były z liczby tego stowarzyszenia.

W pokoju jednym przyległym do kościoła, zam-

knięto mnóstwo wielkie posągów dużych i małych rozmaitych świętych, sprzętów i obrazów pozostałych z dawnego obrządku, może nadto drobiazgowych i kobiecych. Każą pokazujący uważać, że u niektórych posągów, głowy, ręce, są na sprężynach pozwalających rozmaite nadać formy i ruchy figurom; i dają do zrozumienia że to służyć miało do zabobonów. Wy tłumaczyłem tym panom że te sprężyny w rękach i głowach były jedynie na to, aby przy wielkich uroczystościach łatwiej było w paradne stroje poprzybierać je, że gdyby ręce nie były poruszalne, niepo-

dobna-by było przestrajac je przy okoliczności każdej. Że zresztą prostota tych zakonnic, nabożność drobiazgową i małostki kobiece, dozwalała przebaczyć im to, czego by w późniejszych oświecenijszych czasach nie byłyby sobie pozwoliły; — że wreszcie biskupi byliby tych drobiazgowości zakazali, jak to uczynili w Warszawie, gdzie dawniej co piątek stawiano u Brygidek statu ę N. Panny na grobie Chrystusa, mającą na sprężynach ręce i trzymającą w ręku chustki do nosa, dla ocierania niemi łez z oczu jej płynących. J. A.

CZAPLA, ŚLEPOWRON, BĄK.

(Z RYCINĄ KOŁOROWANĄ.)

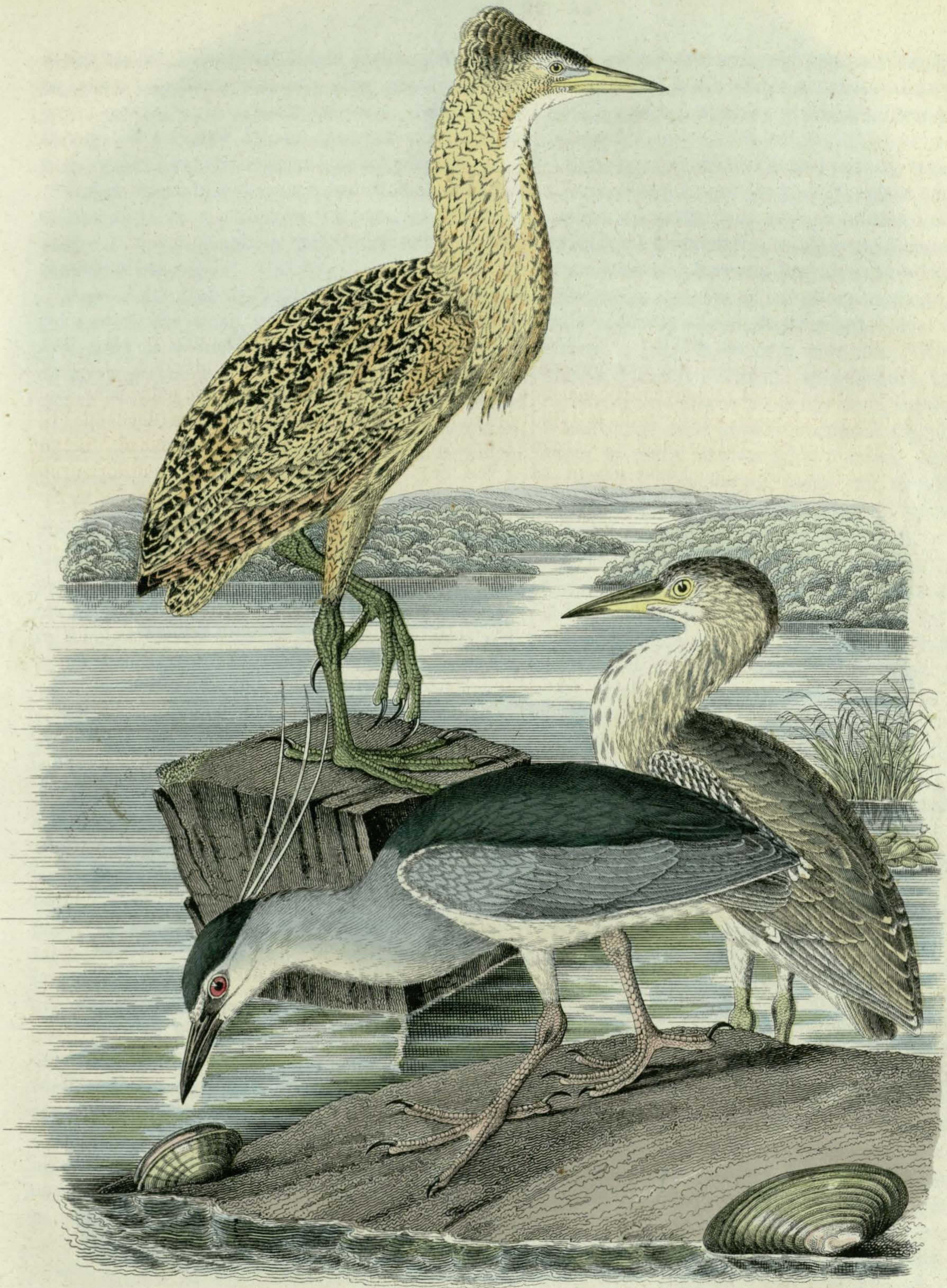
Rodzaj liczny Czapli (Ardea) który dał powód Krasickiemu, do napisania wszystkim znanej bajeczki, zajmuje wśród ptactwa błotnego dość ważne miejsce, już-to z powodu swych obyczajów, już-to ze względu na szkody lub korzyści, jakie ludzie ponoszą, i otrzymywać mogą.

Postać Czapli, Bąków i Ślepowronów, w ogóle odznacza się wysmukłością członków, nadającą im pewien pozór smutny, zwłaszcza przy życiu samotnym, pędzonym nad wodami, i pośród owęj nieruchomości, z jaką nieraz przez czas długi siedzieć muszą. w oczekiwaniu i czatach na zdobycz. Starożytni więc przypisywali temu ptastwu pewien rodzaj boleści, napastującej ich wtedy nawet kiedy całe przyrodzenie pełni życia i rozwojem najroskoszniejszym jaśnieje.

Charaktery rodzajowe Czapli są następujące: dziób prosty, przedłużony w kształcie ostrokągowym; szczęki równe; nogi wysokie, skrzydła wielkie; szyja długa, ciało szczupłe, gdzieniegdzie okryte piórzem nie co dłuższem. Z głową ku barkom zbliżoną latają wysoko, wydając jak krucy głos donośny. Żyją samotnie w Azji, Afryce południowej, i północnej Ameryce. W naszej części świata zamieszkują południo-wschód, Turcję, Grecję, Węgry, Polskę i Rosyję południową. We Francji południowej i Włoszech, rzadko spotykać się dają; w Niemczech zaś, Anglii i północnej Europie, rzadko się znajdują i to

chyba tylko jako zabłąkane goście. Według postrzeżeń rozlicznych naturalistów, należą do ptactwa odlatującego, a raczej przelatującego, gdyż na jednemże miejscu w rozmaitych znajdują się czasu okresach, w miarę znajdowania się lub niknięcia właściwej im żywności. Temmink sądzi iż zupełnie na pewne czasy, z jednych stron w drugie się przenoszą. Lubią miejsca przestronne, bagniste, okolice obfitujące w wody, których brzegi okrywają drzewa, krzewy, a szczególnie trzcina. Tu się w nocy przechadzają powoli, lub zręcznie przesuwają się przez sitowia, szukając żab, ślimaków wodnych, ryb i innych tworów właściwych temu żywiołowi, wśród którego cały swój czas przepędzają. Siedzą zwykle w dzień w zaroślach najgęstszych; przysuwają się pod same pnie drzewne, aby lepiej się ukryć. Gdy się kto zbliży ze szmerem, wnet odlatują bez żadnego szelestu, powoli, i siadają na miejscach nieprzystępnych. W nocy, zwłaszcza gdy mają młode, wydają głos do krakania podobny. Gniazdo, osadzone niezbyt wysoko na wierzbach lub innych drzewach, bywa dość wielkie: w kwietniu lub czerwcu zapełnia się czterema lub pięciu niebieskawo-zielonawemi, blademi jajami.

Gdyby Czaple wygubiały tylko gady i robactwa rozmaite, jużby do ptaków użytecznych liczyć się miały prawo. Ale daleko nadto wyższe zyski ciągnie



z nich handel. Jedwabiste, długie, piękne pióra z czuba, piersi i grzbietu, stanowią drogi przedmiot strojący i niewiasty i czapki żołnierskie. Nasz Stefan Batory i Władysław IV, na dawnych wizerunkach, mają czapki i kapelusze jaśniejące ich piórami.

Zawoje wschodnie okazałe niemi zdobią. Najslyniejsze są pióra z gatunków Garzetta, chociaż używają i z innych czapli, a mianowicie z *pospolitej*, *czerwonéj* i *nocnéj*.

Mięso z młodych używają na pokarm. We Francyi nawet, nazywano Czapłę pospolitą, *zwierzyną królewską* na wyszukiwanych ucztach. Z tego powodu utrzymywano je w oddzielnych, jak u nas bażanty gajach zwanych *czaplarniami* (Cheronières). Moźni władzcy i królowie, odbywali nań łowy z sokołami. Bardzo szczegółowo opisał te polowania ś. p. Antoni Żyszkiewicz:

„Wyjechawszy w czasie pogodnym w te miejsca, gdzie się najwięcej to ptastwo trzymało i zacaiwszy się w różnych punktach, na zdobycz spłoszoną wypuszczano sokołów. Czaple postrzegając swych przeciwników z największą usilnością wznosiły się w górę, a sokół gdy od razu nie mógł porwać swój zdobyczy, wzbijał się do niedostrzeżonej prawie wysokości i z góry spuszczał się celnie ją uderzał i zabijał. Powiadano, iż sokół wtedy czapli nic zrobić nie mógł i sam najczęściej ginął, gdy ona odwróciwszy się grzbietem na dół, dziób do góry obrócony trzymała; wówczas dla uniknienia téj nieprzyzwoitości, sokolnicy dwóch sokołów na jedną czapłę wypuszczać mieli; a tak jeden z góry a drugi z dołu niedozwalając ptakowi użyć zdradzieckiego obrotu, zaraz na powietrzu go porywali. Belon zaś powiada, że czaple napastowane od skrzydlatych swych nieprzyjaciół, szukając ratunku w ostatniej chwili głowę chowają pod skrzydło a dziób ostry obracają ku wrogowi, który gwałtownie uderzając z góry, na nim się przebija. Lecz w naturalnym położeniu podczas lotu, dziób zawsze ma powyższy kierunek, i ptak do tego środka obrony, gdyby on był pewnym, uciekaćby się nie miał potrzeby. Główniejszą dla niego rzeczą jest wzlecieć tak wysoko, aby sokół nadeń podnieść się nie zdołał; jakoż w istocie przy pomocy ogromnych swych skrzydeł i lekkiej postaci tak się wysoko unosi, iż ciało jego niknąć się zdaje i ledwo tylko obszer-nych skrzydeł ślady dojrzeć się dają. Łatwo się domyśleć można, iż taka walka dwóch ptaków, pod względem lotu, siły i odwagi innym przodkujących, nadzwyczajnie zajmującą być musiała; dla tego też polowanie na czaple było zabawą nie tylko możnych

ludzi, owszem monarchowie, panujący książęta niekiedy wyłącznie je dla siebie w państwach swych warowali, jak tego przykłady w dziejach litewskich znajdujemy.”

Starożytni z ruchów i różnej postawy tego ptastwa, a szczególnie *Czapli pospolitej*, różne odmiany powietrza rokowali, i tak: stojąca smutna i nieruchawa na piaskach brzegowych, miała przepowiadać nadchodzące zimno; nadzwyczaj krzykliwa i ruchawa deszcz obiecywała; spuściwszy zaś głowę na piersi, zwiastowała nadejście wiatru, który właśnie miał wiać z téj strony, w jaką dziób swój obróciła. Wieszczyby te opisują Pliniusz i Wirgili, sprawdzanie ich jednak i postrzeganie dawno pomiędzy nami ustało, chociaż w nich jakaś część prawdy znajdować się może, zwłaszcza że czuła budowa tego ptastwa, jego sposób życia i rodzaj pokarmu, mogą mu niejakié w tym względzie dawać skazówki; a ludziom blisko z przyrodzeniem żyjącym nie obcą rzeczą są przepowiednie zmian w powietrzu, które przy bacznym a umiejętnym spostrzeżeniach na żyjącem przyrodzeniu robionych, dosyć często sprawdzać się zwykły.

Do głównych szkód które czapla wyrządza, policzyć należy ubytek ryb, jakiego jest przyczyną w wodach zarybionych, ten albowiem rodzaj pokarmu nad wszelki inny przekłada.

Wystawiony tu na załączonej rycinie jeden z ośmdziesięciu gatunków, zowie się *Słepowron* (A. Nicticorax. Lin.), ma na szyi pióra białe, czub zielonawo-
stalno-lśniący. Za nim widać młode.

U góry na tablicy mieści się gatunek czapli zwanéj u Linneusza *Ardea stellaris*. Pierze tego gatunku, miękkie, oznaczone jakby strzałek wyobrażeniami. Szyja bogato opierzona i wysokie nogi, nadają małowyróżniącym się od samic, samcom, postać wielkiego ptastwa. Młode, skoro wypierzają się z piór koloru różawego, podobne są do starych, tylko nieco mniejsze, i różnią się strzałkami bledszego koloru i mniej wydatnymi.

Samiec odzywa się do samicy głosem rykliwym, nieco do wołowego podobnym, a tak silnym i donośnym, że nieraz słyszeć się daje w odległości drogi, którą trzeba parę godzin przebywać. A że w bagnach przebywa głównie, przeto Niemcy zowią go *Wilkiem bagnistym*, a my *Bąkiem* (Botaurus, u Jarockiego w T. II. str. 241.). Znajduje się u nas, na Podolu i w Galicyi, w Węgrzech, Belgii i w okolicach Warszawy bardzo pospolity. Jest i w Azji.

Ciężko ująć Bąka, bo śpi w dzień, a tylko zmrokiem na żér wysuwa się. Przezorny, chytry i bojaźliwy bywa zwykle; dla tego zniénacka tylko doń się

zbliżając, ujrzyć można gdy przysiada a raczej przy-
czaja się jak kot na myszy lub pies na zwierzynę.
Wtedy pióra tak zbliża, niemal przyciska ku cia-
łu, iż raczej do pala i pniaka podobnym się staje, ni-
żeli do ptaka. Kiedy w około zdaleka kto go obcho-
dzi, wtedy i Bąk odwraca się na wszystkie strony
w kierunku idącego, a zawsze w tej przyczajonej po-
staci, aby mniej łatwo można go spostrzedz. Dla te-
go też nigdy nie siada na drzewach odosobnionych.
Rzadko przebywa bąk większe przestrzenie, siedząc
zwykle na tychże samych gałązkach trzciny i błotach,
których grzązkość pokonywa długimi szponami.

Uplecione z łodyg trzcinowych i liści tataraku

gniazda tak umieszcza, iż w miarę większej albo
mniejszej wody, podnoszą się lub opadają na gałąz-
kach trzciny, i tym sposobem zawsze są na powierzchni
wody.

Usposobienia Bąka wewnętrzne, są skrytobójcze
i kłótlive. Dla tego uwięzione nawet, bywają niebez-
pieczne, gdyż zdają się spokojnie leżeć z szyją wcią-
gniętą, a mimoto zadają ostre cięcia dziobem tak
zwierzętom jak i zbliżającym się do nich ludziom.
Najczęściej mierzą ku oczom i bardzo rzadko celu
chybiają. Od małego nawet w domu wychowane, nie
tracą tej zawziętości.

S.

SPONTINI I KURPIŃSKI.

Kacper Spontini, jeden ze znakomitszych artystów
wieku naszego, rodził się w państwie rzymskim,
w Majolati w Marchii ankońskiej 14 listopada 1784 r.
Będąc przeznaczonym przez rodziców do stanu du-
chownego, gruntownie wszystkie nauki szkolne po-
kończył, doskonale łaciński język posiadał, tak że
pisał w nim powieści. Namiętnie polubiwszy muzykę,
porzucił stan do którego przeznaczali go rodzice i zo-
stał artystą. Nowy ten zawód rozpoczął w konser-
watorium de la Pieta w Neapolu. Początków kom-
pozycji nauczał go Martini który go polubił i za sy-
na prawie uważał. Kontrapunktacyi uczył się u Sala.
Cimarosa szczególni zaszczycał go względami.
Lecz młody artysta mimo sympatii jaką był w Nea-
polu otoczonym, czuł się tam jakby ściśnionym pra-
wie; opuszcza więc potajemnie konserwatorium i u-
daje się do Rzymu, jako do miasta dającego mu szer-
sze pole do pokazania się. Tam dano mu do wyboru
albo powrót do Neapolitańskiego konserwatorium,
albo napisanie nowej opery na karnawał. Natural-
nie Spontini wybrał to ostatnie i okupił się operą
pod tytułem *Kochankowie w niebezpieczeństwie* (Li
amante in simanto). Ta opera równie jak druga komi-
czna (Li puntigli delle donne) wielkie miały w Rzy-
mie powodzenie. Spontini napisał bardzo wiele in-
nych jeszcze oper, które to w Rzymie, to w Wene-
cyi, to w Neapolu przedstawiane były. Lecz zdaje
się iż tłem charakteru młodego kompozytora była

pycha i wyniosłość; nie dość mu było czci jaką w kra-
ju odbierał; a gdy pojechawszy do Paryża usłyszał
raz pierwszy operę francuzką *Ifigenią* Glücka, roz-
płakał się, jak Cherubini słysząc symfonię Hajdena.
Zaraz więc powziął chęć zmienienia charakteru
muzyki, a idąc nie zwykłym ziomkom swoim torem,
Spontini przez chęć odznaczenia się, stworzenia so-
bie wyższego stanowiska, zdołał nie ledwie wynaro-
dować się; opuścił szkołę włoską a przeszedł do nie-
mieckiej.

Pierwszą jego operą w tamtym czasie, podług no-
wo obranej szkoły napisaną, była *Westalka*, a później
Kortezy—te dwa dzieła ustaliły mu sławę Europejską.
Jak w Niemczech Glücka, tak Rzymianin Spontini
był autorem opery *Serjo*. Postanowił sobie że jego
opera musi być razem dramą. Był to człowiek isto-
tnie bardzo bogatej natury włoskiej, rozwijającej się
w żywej fantazyi, a razem w zasobnej umysłowości:
nie namiętny, a przecie doszedł w operze swojej do tej
pewnej formy, ruchliwości, siły, która się u Włochów
znajduje w każdej sztuce, nie tylko w muzyce, i odró-
żnia ich od niemieckiego pedantyzmu. Chwałą Spon-
tiniego jako pisarza, i to było, iż wcześniej pojął, że
osoby w jego operach, stać się mają odbiciem chara-
kteru całej ludzkości, typami wybitnych charakterów.
Opuściwszy raz Ojczyznę swoją, Spontini objął zna-
komite a tém samém jak zdaje się, odpowiednie da-
wnym marzeniom swoim miejsce. Został albowiem

dyrektorem generalnym królewskiej Pruskiej muzyki, pierwszym nadwornym kapelmajstrem, członkiem wielu akademii i kawalerem wielu orderów, nawet orderu rosyjskiego ęgo Andrzeja. Umarł 14go stycznia 1851 roku.

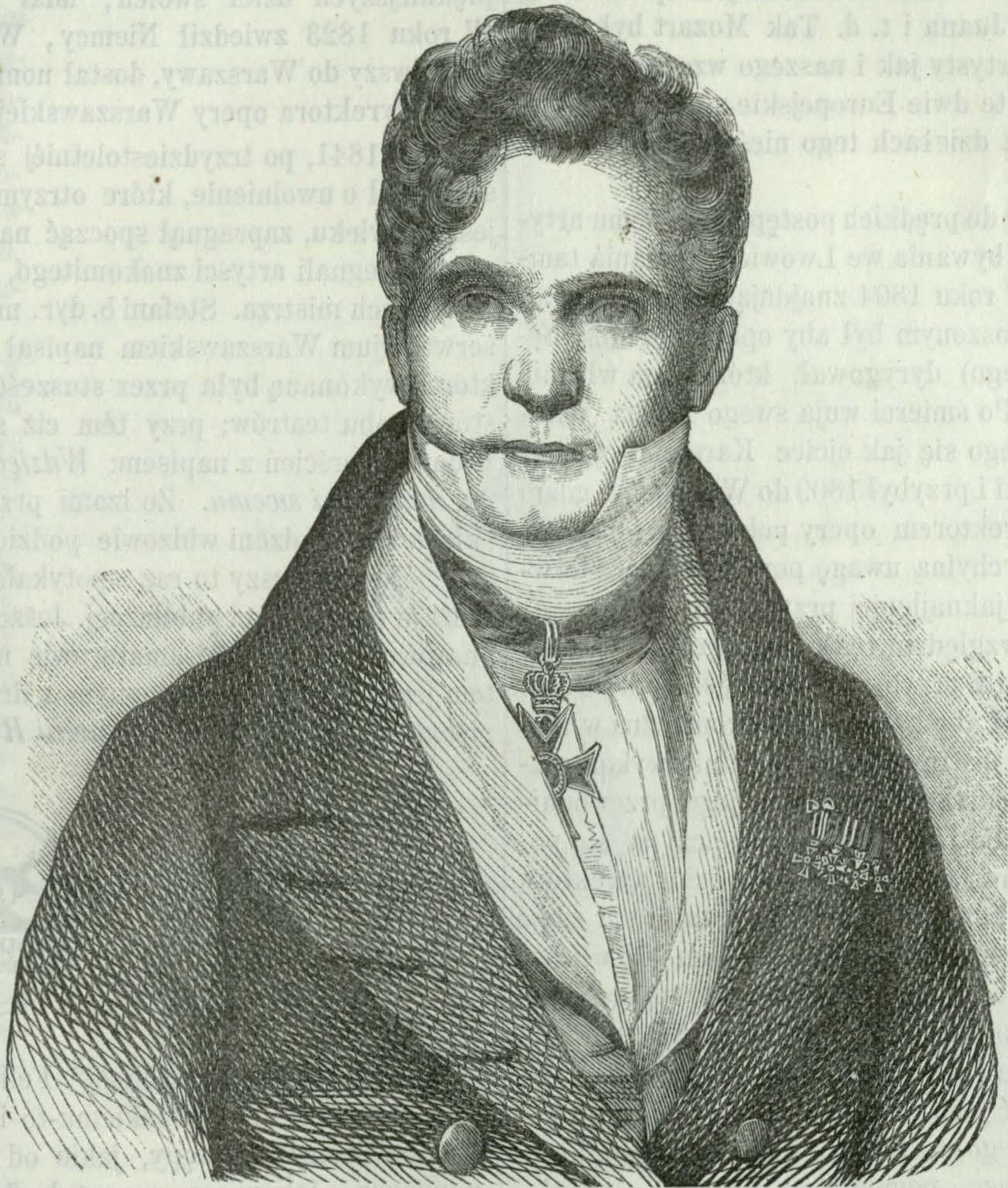
Ten bogaty w twórczą harmonję muzyk napisał samych oper przeszło dwadzieścia, z których najbardziej upowszechniona i ulubiona od słuchaczy była Westalka; grano ją i u nas z wielkim powodzeniem, za czasów Karola Kurpińskiego, który wszelkich dokładał starań, jako dyrektor orkiestry, aby ta piękna opera współczesnego mu kompozytora, dokładnie u nas przedstawioną i oddaną była.

Mówiąc o Spontinim nie możemy zamilczeć o współczesnym tamtemu muzyku naszym, Karolu Kurpińskim. Kiedy pierwszy na południu harmonję swoją porywał słuchaczy, drągi w tymże samym czasie na północy budził uwielbienie ziomków. Była jakowaś styczność między tymi dwoma genjuszami muzycznymi — nawet zdaje się w twarzach ich pewne podobieństwo upatrzeć można — może nawet wzajemnie się oceniali; przynajmniej Kurpiński był wielkim Spontiniego wielbicielem, a kto

wie czy tamten nie spotkał się gdzie z muzyką naszego mistrza, gdyż wielka jego opera Pałac Lucypera miała w Niemczech powodzenie, a król Saski wówczas książę Warszawski, kazał treść jej na Włoski język przetłumaczyć.

Karol Kurpiński urodził się w rok przeszło po Spontinim, bo r. 1785, w księstwie Poznańskim, we

wsi Włoczkowice, własności księcia Franciszka Sułkowskiego. W najmłodszych latach zapoznał się z muzyką, albowiem ojciec jego Marcin Kurpiński był jej nauczycielem, bardzo w okolicy wziętym, a nadto był w parafialnym kościele organistą. Przeznaczony do zajęcia miejsca po ojcu, młody Karol przykładał się do gry na organach i uczył się śpiewać na chórze. Lecz skoro młody człowiek posłyszał muzykę



Kasper Spontini.

wyższą, niepodobna mu było w domu ojca pozostać, ile że marzeniem i jedyną chęcią jego było, aby mógł dostać się do orkiestry. Pojechał więc z Rochem Wańskim (wujem swoim), który pierwszy z bratem swym Janem Wańskim dał mu poznać wyższą nad organy muzykę. Było to w czasie kiedy jeszcze panowie polscy na dworach swoich trzymali orkiestry,

starając się, ile możności, o dobór artystów. U Polanowskiego starosty, jednego z takich panów, był wtedy jako violoncelista w orkiestrze Roch Wański, tam który zawiózł młodego swego siostrzeńca i umieścił jako drugiego w orkiestrze skrzypka. Znalazłszy się wśród doboru muzykantów, tworząc część jedną z lepszych orkiestr, Kurpiński szybkie czynił postępy; do wrodzonej zdolności dopomagała mu praca, studjowanie wielkich utworów jak np. Stworzenie Świata, Don Juana i t. d. Tak Mozart był zarówno włoskiego artysty jak i naszego wzorem, razem, bo jednocześnie te dwie Europejskie sławy kształciły smak swój na dziełach tego nieśmiertelnego mistrza.

Przyczyniła się do prędkich postępów naszemu artyście, sposobność bywania we Lwowie i poznania tamtejszej opery. W roku 1804 znajdując się u chorążego Czackiego proszonym był aby operą *Cyrulik Sewilski* (Paisiello) dyrygował, którą tam właśnie przedstawiano. Po śmierci wuja swego Rocha Wańskiego zajmującego się jak ojciec Karolem, opuścił Galicję Kurpiński i przybył 1809 do Warszawy, gdzie stał drugim dyrektorem opery polskiej i ściągnął na siebie przychylną uwagę powszechości. Pierwsze utwory jego jaknajlepiej przyjętemi były.

Pod każdym względem teatr Warszawski wielkie osiągnął korzyści z przybycia Kurpińskiego. On to głównie pracował, aby harmonja tak konieczna w chórach, śpiewach i instrumentacyi zgodnie wykonywaną była, w przedstawianych pod jego przewodnictwem operach. Od téj to chwili rozpoczyna się powodzenie Kurpińskiego nie tylko już jako dyrektora opery, lecz jako kompozytora. Ten ostatni dar zdaje się że tylko własnej pracy i zdolnościom był winien, i w tém nie tylko zasługa ale niejako wyższość naszego ziomka pokazuje się nad Spontinim, bo Kurpiński nie czerpał nauk w zagranicznych konserwatorjach—bytność jego w orkiestrach prywatnych jak u ks. Sułkowskiego, u starosty Polanowskiego, barona Rastawieckiego, pomogła mu tylko do rozwinięcia własnego talentu, do zapoznania się z harmonją i orkiestrą. Nabywszy rychło wprawy i doświadczenia tak potrzebnego, łatwo wywiązać mu się przyszło z warunków potrzebnych do utworzenia wielkiej opery. Dobry smak, bogactwo myśli, harmonja całości, były głównymi zaletami opez jego i powszechne zjednywały im powodzenie. Największą sławę przyniosła mu druga z porządku opera: *Pałac Lucypera*—grano ją w 1811 r. za czasów Księstwa Warszawskiego. A że Król Saski kazał tekst jój na włoski język

przełożyć, więc sława naszego kompozytora poszła za granicę, a Niemcy szczególnież oceniali te utwory.

Dzisiaj, kiedy zwiedzenie obcych krajów jest tak za konieczne miane i tyle ułatwione iż zdaje się że żaden choćby mierny talent nie może się rozwinać bez zaczerpnięcia z obcych źródeł zasobów; dziwném się wydać może, iż taki mistrz sztuki jakim był Kurpiński, dopiero później, po napisaniu wszystkich najpiękniejszych dzieł swoich, udał się za granicę. W roku 1823 zwiedził Niemcy, Włochy i Paryż. Wróciwszy do Warszawy, dostał nominację na pierwszego dyrektora opery Warszawskiej.

Roku 1841, po trzydziestoletniej służbie, Kurpiński prosił o uwolnienie, które otrzymał. Lubo w sile jeszcze wieku, zapragnął spocząć na ustroniu. Uroczyście żegnali artyści znakomitego, szanowanego od wszystkich mistrza. Stefani b. dyr. muzyki przy Konserwatorjum Warszawskiem napisał piękną kantatę, która wykonaną była przez stu sześćdziesięciu artystów z obu teatrów; przy tém ciż sami złożyli mu w darze pierścien z napisem: *Wdzięczni artyści opery, mistrzowi swemu*. Ze łzami przyjął go Kurpiński, a zgromadzeni widzowie podzielali rozczulenie jego. Nie pierwszy to raz spotykała go podobnego rodzaju oznaka czci publicznej. Jeszcze w roku 1819, ofiarowali mu artyści-amatorowie medal z portretem jego z jednej, a następnym z drugiej strony napisem: *Za piękne twory harmonii Rodacy*.



W „bijografii powszechniej” Felis tak się wyraża o Kurpińskim: „Kurpińskiemu-to i Elsnerowi, Polska zawdzięcza postępy, jakie od lat 30 poczyniła w muzyce. Ich prace uposażyły kraj operą narodową, która stanęła w miejscu tłumaczeń niemieckich, francuzkich, włoskich, poprzednio zapełniających scenę polską.”

Wszakże nie wszystkie opery Kurpińskiego mają na sobie piętno narodowej muzyki; nie mogło być inaczej; każda musiała mieć charakter właściwy, zastosowany do przedmiotu jaki wystawiała. I tak Pałac Lucypera, jakby z jakiejś średniowiecznej legendy wysnuty, po mistrzowsku maluje ówczesny wiek rycerstwa i cudowność romantyzmu niemieckiego.

Za to w innych utworach, jak w polonezach, pieśniach, śpiewkach, nikt lepiej potrzeb ducha i uczuć narodowych oddaćby nie zdołał.

Muzyka kościelna, jako potrzebująca głębszego pojęcia rzeczy, wyższego wewnętrznego wyrobienia, później, w dojrzałym wieku przez Karola Kurpińskiego uprawiana była. To też wszystko co w tym przedmiocie napisał, zasługuje rzetelnie na pochwały. Nie licząc rozmaitych śpiewów religijnych, samych Mszy napisał sześć.

Niepodobna w tak skróconym rzucie wyliczyć wszystkich wielkich oper, kilkunastu operetek, dram lirycznych, baletów i t. d. Wspomnimy tylko że z równym uniesieniem i oklaskami jak Pałac Lucypera, przyjęte były. Szarlatań, Jadwiga i Kalmora.

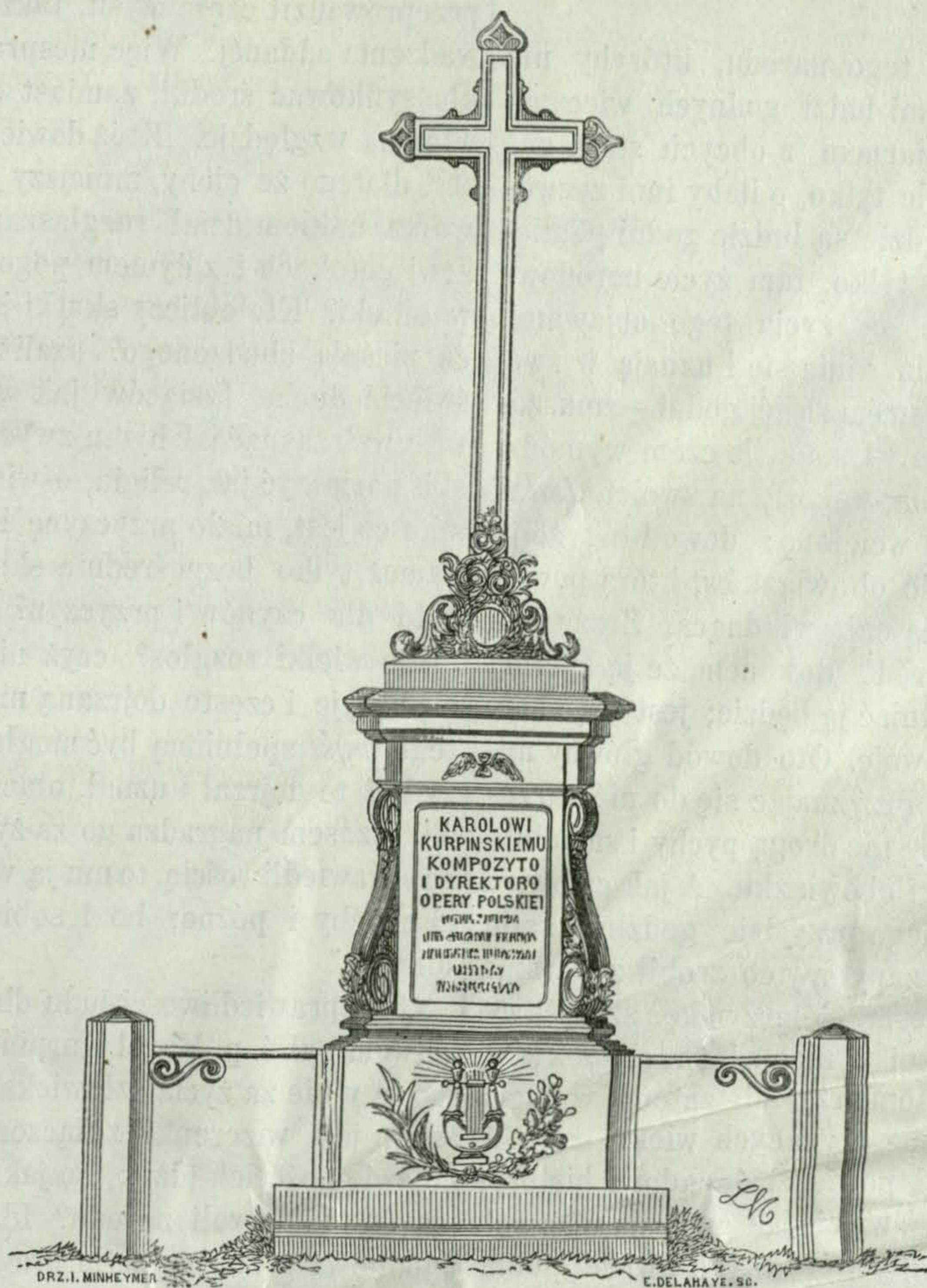
Kurpiński umarł 18 września 1857 r. życzył sobie, a raczej tylko mówił do przyjaciół, iż gdyby po śmierci jego chcieli

rodacy postawić mu pomnik, pragnąłby, żeby ten był skromny, żeby na nim był krzyż świadczący o wyznaniu zmarłego i medal, który otrzymał, jako świadectwo pracy i usiłowań służenia krajowi. Stało się podług życzeń zmarłego. Na cmentarzu Powązkowskim stoi więc krzyż, a u stóp jego wprawiony medal.

Kurpiński nie samą tylko oddawał się muzyce, albowiem stopień w jakim ją posiadał potrzebował wyższego wykształcenia. Poświęcał się więc nauce historii i literaturze. Został członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk, wydawał Tygodnik muzyczny, napi-

sał także rozprawę: *Rzut oka na operę w Polsce drukowaną* w Pamiętnikach Towarzystwa przyjaciół nauk—tudzież: *Zasady harmonii tonów*, z dołączeniem generalbasu. (1821 i 1844) *Przykłady* do tych zasad wyszły poraz pierwszy w 1822 r. Najpopularniejsza ze wszystkich prac tego rodzaju, *szkoła*

jego na fortepian, liczy już kilkanaście wydań. Wyszła wtedy, gdyśmy jeszcze nie mieli szkół Kozłowskiego, Dobrzyńskiego, Nowakowskiego i Sikorskiego — a i dziś jeszcze ma zwolenników swoich. Do pism treści nie muzycznej, należą jego broszurki, wydane 1817 i 1819 roku pod tytułami „Rzut oka na moralny stan społeczeństwa” — i „Myśli urywkowe.” Wiele także oper sam przełożył wierszem stosownym do muzyki, a mianowicie: *Lunaticzka*, *Zmysłona Włoszka*, *Małżeństwo tajemne* i *Napój Miłośny* (tłumaczony we-



Pomnik Kurpińskiego w Powązkach.

spół z Ludwikiem Osińskim, a podłożony przez samego Kurpińskiego pod muzykę).

Wojciech Szymanowski pisze (na str. 89 *Trzystu portretów*) iż usunął się ten kompozytor, przed falą włoszczyzny zalewającej scenę i tłumiącej rozwój krajowej opery. Dodajmy, aby lepiej zrozumieć można ten zwrot byłego artysty; iż w Warszawie od roku 1841 gościła przez lat kilka opera włoska.

Józef Sikorski, redaktor *Ruchu Muzycznego*, rzucił myśl w Nrze 35 z roku 1857, aby wznieść Kurpińskiemu, tak jak postawiono Elsnerowi, pomnik.

Zacna powszechność polska, skora do wszelkich ofiar szlachetnych, rychło tę piękną myśl ziściła. Rok nie upłynął, a na Powązkach stanął, według rysunku i wykonania Leona Myszkowskiego, załączony tu na drzeworytniczém odbiciu nagrobek. Z tego powodu, znany pisarz i krytyk muzyczny, stosownie odezwał się w swém piśmie (w listopadzie 1858 r.) następnemi słowy:

„Smutna byłaby dola tego narodu, któryby nie miał między dziećmi swemi ludzi godnych wiecznej pamięci; żyćby musiał ziarnem z obcych stron nanieścioném; istniałby o tyle tylko, o ileby inni zezwolić na to raczyli. Więc gdzie są ludzie godni pamięci, choćby swego narodu tylko, tam życie narodowe istnieje; czyny tamtych są życia tego objawami. Gdzie szanują czyny, tam cenią się i uznają w swój samoistności, i już tem samém są jój godni — zmuszają innych do jój uznania. I mają je czém wymódrz, gdyby tego było potrzeba; wskażą na swoich *ludzi*, na *myśl swoją* w czyn wcieloną; dowód to, że ją mieli i spełniali, tę część obowiązków, którą powierzyła im Myśl ludzkością całą władająca. Zrozumienie myśli swój przez naród, dowodem, że ją spełnia ciągle; rękojmią, że spełniać ją będzie; jest więc sam przez się, przez myśl swoją. Oto dowód główny miłości domowych rzeczy. Przyznając się do niój, krzewiąc ją, idziemy wszyscy nie drogą pychy i samolubstwa, ale drogą pokory i obowiązku. A jak człowiek pojedynczy; gdy na niego przyjdzie godzina sądu spraw jego ziemskich, zapytany co zrobił z darami, które mu dano na doczesną pielgrzymkę? szczęśliwy! jeśli będzie mógł dodatni z nich zdać rachunek, tak lud ^{cały}, gdy mu z czasem przyjdzie zatonać w falach ludzkości przez tysiączne płynących wieki, szczęśliwy! jeśli będzie mógł powiedzieć sądowi historii: „Myśl powierzona mi świeci jak gwiazda na czole tych oto synów moich; niektóre z tych gwiazd pobladły dzisiaj, ale w swym czasie świetnym płonęły

ogniem i zażęły gwiazdy późniejsze, które na moim widnokregu jaśnieją, i choć ukośnemi promieniami przyświecają innym horyzontom, innym narodom, dzieciom wspólnego Ojca naszego!”

„Myśl ludzi objawia się różnemi sposobami; jakkolwiek są one, jeśli zacne, nie mogą być mniej godne od innych: bo każdy dany był z góry i każdy przeprowadził część myśli, także z góry do przeprowadzenia oddanej. Więc niesprawiedliwą jest rzeczą klasyfikować środki, zamiast zasługę w użyciu ich mieć na względzie. Któż dowiedzie, że wpływ artysty, dlatego że cichy, mniejszy jest od wpływu wojownika hukem dział rozgłaszanego — płynącego na krwi potokach i z dymem pogorzeli wznoszącego się w obłoki? Kto obliczy skutki jednego drgnięcia serca pieśnią zbudzonego? azaliż ona nie mogła rozświecić ducha tysięcy jak słowo gorące i wymowne, wstrząsnąć jak hymn zwycięstwa lub boleść kłęski, pocieszyć jak religia, oświecić jak nauka? Wszystko co jest, miało przyczynę i bez skutku nie mija. Sameż tylko bezpośrednie skutki mają wywoływać hołd dla czynów i przyczyn? tamże tylko zasługa gdzie wielki rozgłos? czyż nie uznano, że zasługa się skryje i często dojrzaną nie bywa? Niemniej dla tego *myśl* spełnioną być mogła i bywała. Ile zaś razy lud to dojrzał i uznał, otaczał czią piastuna myśli. Czasem nagradza go za życia. A jeśli nie uspiął ze sprawiedliwością, to mu ją wymierza po jego śmierci choćby i późno; bo i sobie tém samém ją wymierza.”

Tój sprawiedliwości ludu dla samego siebie, szczęśliwem był ś. p. Karol Kurpiński naczyniem; złożono ją w nie za życia człowieka i po jego zgonie w sposób, jak wizerunki załączone tutaj okazują. Nie o świetność ich idzie; bo jakaż świetność wystarczy myśli ludu, woli narodu? Idzie o myśl, która tylko godności w znaku swym pragnie.

S.

KOLUMNA ZYGMUNTA III

I WODOCIĄGI W SASKIM OGRODZIE

(z 2ma rycinami na jednej tablicy).

Smutne pod wielu innemi względami panowanie Zygmunta III — za którego, rzeczby można, iż złote Jagiellończyków wieki, na miedziane przetwarzać się poczęły, były nader dla miasta Warszawy korzystne. Monarcha ten, na nieszczęście nie zdolny do pojęcia ani obowiązków ani położenia swego, nie mógł

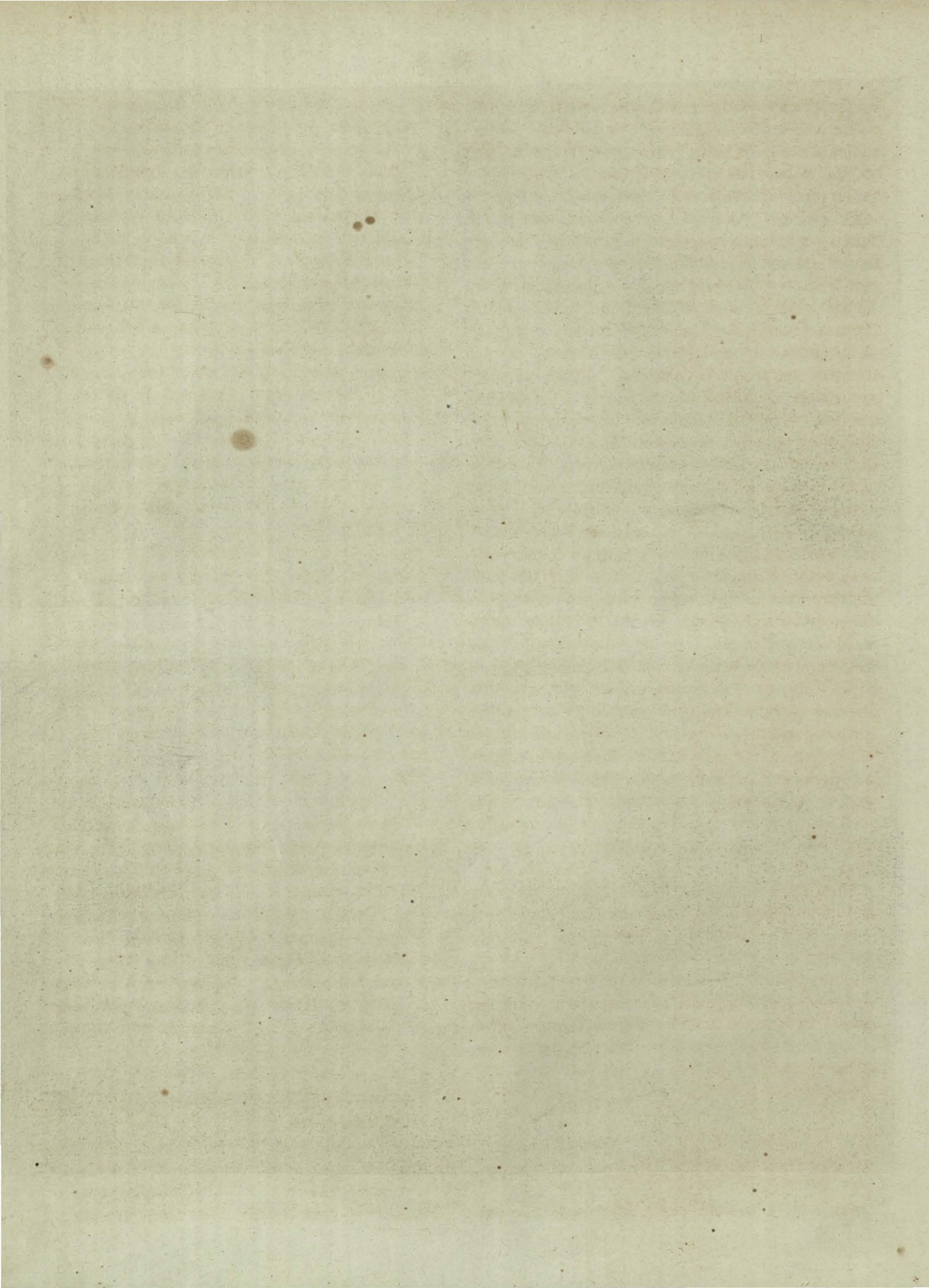


Kolumna Sigmunta III. K. D.



Wjeście i wodotrysk w Ogrodzie saskim

Odbył się w dniu 1. lipca 1876 r.



rozegrzać serca wdzięcznością dla narodu, który go wybrał, nie czuł dlań należnej sympatii tak dalece, że nawet stroje i obyczaje narodowe były mu do tego stopnia nienawistne, iż gromił syna za to że się po polsku przebrał. Zdaje się iż ów niesmak do narodowości polskiej, był jedną z przyczyn główniejszych skłaniających go do opuszczenia starego grodu Krakowa i przeniesienia stolicy do mało znanej na ten czas Warszawy będącej niegdyś miastem głównym Książąt Mazowieckich. Ważny to dla dzisiejszej stolicy naszej okres, bo Zygmunt starał się wszystkimi sposobami przyozdabiać nową rezydencję. Zamek tu widny na rycinie za kolumną, o której mówimy, postawiony niedaleko wałów miasta (dzisiejszego Podwala) mógł być zagrożony, zwłaszcza na wypadek wojny, zupełnym niedostatkiem wody. Chcąc temu zapobiedz, Król kazał zaprowadzić wodociągi które nie tylko do starych w pobliżności zamku, lecz i do ulic starego miasta poprowadzone były, jak są dowody na to w starych archiwach miejskich, z 1598 roku zawierających rachunek wydatków na ten cel poniesionych. Woda szła aż z Leszna ze źródeł ulicy Karmelickiej, obok dawnego cmentarza ewangelickiego przez ulicę Długą. W roku 1853 przy zaprowadzeniu wodociągów i wodotrysków w Saskim ogrodzie, na placu Teatralnym i około kolumny Zygmunta, gdy kopano ziemię, znaleziono wyraźne ślady a raczej szczątki rur świadczących że dawne tuby z drzewa sosnowego spajane były blachami żelaznymi. Położenie rur przy samych fundamentach kolumny ze strony zachodnio-północnej, w kształcie łuku, dowodzi że wodociągi w tymże kierunku prowadzone były od rogu ulicy Senatorskiej ku Zamkowi. Rury te były pojedyncze, a do Starego miasta wiodące, podwójne.

Wdzięczna Warszawa królowi, za swe podniesienie do stopnia Stolicy, z radością widziała wznoszony dla niego Pomnik wśród murów swoich, kosztem przywiązanego syna Władysława IV.

Znany badacz i Wydawca „Starożytności Warszawy” Aleksander Wejnert, wynalazł stary rączny Zygmunta kol. rysunek, na którym przygotowane były inne od dzisiejszych, nadpisy. Dla pamiątki przywozimy je tutaj:

I.

Sigismundus III	Zygmunt Trzeci
Liberis suffragiis	Z wolnych wyborów
Poloniae	Król Polski
Haereditate, Successione, Jure	Z dziedzictwa, następstwa,

Sueciae Rex	i z prawa
Pacis studio, gloriaque	Król Szwedzki
Inter Reges Primus	Dla żądzy pokoju i sławy
Bello et victoriis	Między Monarchami pierwszy,
Nemini secundus	W wojnie i zwycięztwach
Moschorum	Nie mający drugiego,
Ducibus, Metropoli, Provinciis	Po wzięciu Moskwy
Captis	wodzów i stolicy
Exercitibus Profligatis	z prowincjami;
Smolensco recuperato	po rozproszeniu wojsk,
Turcica potentia	Odzyskaniu Smoleńska,
Ad Chocimum refracta	Po Tureckiej potęgi
Quadraginta quatuor annis	Pod Chocimem pokonaniu
Regno impensis	Czterdzieści cztery lat
Quadragesimus quartus	Rządom poświęciwszy,
Ipse in regia serie	Będąc czterdziestym czwartym
Omnium aequavit	Sam w królów rządzie
Aut junxit gloriam.	Wszystkim wyrównał
	Lub połączył sławę.

II.

Honori et Pietati	Czci i przywiązaniu
Sacram	Poświęconą
Statuam Hanc	Tę Kolumnę
Sigismundo III	Zygmuntowi III
Vladislaus IV	Władysław IV
Natura, Amore, Genio	Z rodu, miłości, talentów
Filius	Syn,
Electione, Serie, Felicitate	Z elekcyi, porządku, szczęścia
Successor	Następca
Voto, animo, actu	Ze ślubów, serca i czynu
Gratus,	Wdzięczny,
Patri Patriae	Ojcu Ojczyzny
Parenti Opt (ime) Mer (ito)	Rodzicowi najlepiej zasłużo-
Anno Dni MDCXLIII	nemu
Poni jussit.	Roku Pańskiego 1643
Cui jam	Wystawić rozkazał:
Gloria Trophaeum	Któremu już
Posteritas gratitudinem	Sława wieniec
Aeternitas monumenta	Potomność wdzięczność
posuit aut debet	Wiekuiście pomniki
	Wystawiła albo jest winną.

III.

Sic coelo, sic terris	Tak w niebie jak na ziemi
Sigismundus III	Zygmunt III
Pietate insignis et armis	Nabożnością znamienity i orężem
Geminae gloriae merito	W podwójnej sławie słusznie
Sese approbavit.	Utwierdził się.
Hinc gladium inde crucem	Tu miecz, tam krzyż

Tam forti quam pia manu Nie tylko mężną ale i pobożną
 Tanet. ręką.
 Illo pugnavit Dzierży.
 In hoc signo vicit Tamtą walczył,
 Sub hoc insigni vixit Z tém godłem zwyciężył,
 Securns, invictus, felix Pod tym sztandarem żył
 Nunc felicitate Bezpieczny, niezwycięzony,
 Quam terris dedit szczęśliw y:
 Gloriosus Teraz z szczęścia
 Quam coelo meruit Jakie prowincjom nadał
 Beatus. Pełen sławy;
 Na jakie w niebie zasłużył
 Błogosławiony.

IV.

Non statua erigitur nec caeso gloria monte
 Fulta Sigismundi mons erat ipse sibi.
 Nec fulgorem auro, robus neque sumit ab aere
 Auro fulgidior firmior aere fuit.
 M. Daniel Thiem S. R. M.
 Fusor Warsaviae fecit
 A. D. 1644.

Nie wznosi się posąg, ani przez odkopanie góry sława
 Zygmunta wsparta; on sam był przez siebie szczytem,
 Ani jasności ze złota, ani mocy nabiera od spiżu,
 Bo był nad złoto jaśniejszy i mocniejszy od kruszcu.
 M. Daniel Thiem Jego Królewskiej Mości
 Konwisarz w Warszawie odlał
 Roku Pańskiego 1644.

Historia samą kolumny marmurowej, nadzwyczaj ciekawa. Za wykrycie tych szczegółów winniśmy wdzięczność Antoniemu Wejnertowi, który twierdzi niemal z pewnością, że jeszcze Zygmunt III chciał upamiętnić zwycięstwo odniesione nad Zebrzydowskim i jego stronnikami pod Guzowem (6 lipca 1607 roku) i w tym celu kazał wykuć w Chęcinach ogromną kolumnę 72 stóp mającą. Ale sam los nie sprzyjał uwiecznieniu pamiątki oblanej krwią bratnią, obustronnie się toczącą. Ów bowiem kolos mający przewyższać rzymskie, pękł z powodu szpary która się w połowie okazała. Zważywszy liczne powody Zygmunt III, zaniechał pierwotnej myśli swojej, bo czuł iż pomnik Guzowski byłby przeciwnarodową pamiątką. Lat więc blisko czterdzieści, kolumna spoczywała w zapomnieniu. Dopiero sprowadził ją syn Zygmunta, który choć na niej różne napisy o zwycięstwach ojca wrył, jednakże wcale

w tym długim poczie o smutnym nie wspomniał Guzowie.

Zmieniwszy przeznaczenie kolumny, kazał ją król Władysław IV przewieźć o 13 mil niemieckich, do Wisły na wozie umyślnie zrobionym ku temu, a stamtąd po wodzie do Warszawy. Na szczycie kolosu marmurowego, umieszczono dziesięć stóp rzymskich mający posąg Zygmunta III, z miedzi, wystawujący króla w płaszczu koronacyjnym, w zbroi, w lewej ręce trzymającego krzyż oparty na kolumnie, w drugiej pałasz zakrzywiony. Na głowie, korona. Posąg w ogniu grubo złocony, odlewał ze spiżu Daniel Thym, giser królewski według wzoru Klemensa Mollego (Mollus) snycerza bonońskiego; główny zaś kierunek, aż do podniesienia tego wysokiego głazu prowadził Konstanty Tenkala budowniczy króla polskiego. Podstawa posągu i gzyms nad kapitelem są z marmuru. Sam kapitel w stylu korynckim, z miedzi. Nasz marmur chęciński zwany u Włochów *Breccia Meschia*) użyty na kolumnę wynosi stóp 30, a cała wysokość pomnikowa od ziemi do szczytu ma stóp 80. Ozdoby, orły, tablice, napisy miedziane z głoskami lśniącymi, były niegdyś złocone. Ale kolumna Zygmontowska wystawiona przy dawniej Bramie krakowskiej (zniesionej 1817 r.) ulegała wielu, w czasie wojen zwłaszcza, uszkodzeniom. Gdzie dziś Podwale, były obronne twierdzy wały. Kule więc nieprzyjacielskie latały często koło Zygmunta III. Uszkodzenia z lat 1656, 1657 i 1604 naprawione zostały za panowania Augusta III, w stuletnią rocznicę jej wzniesienia, jak świadczy nadpis umieszczony na tablicy oddzielnej, od strony Krakowskiego Przedmieścia:

Opus amoris et honoris a Vladislao IV
 Patri suo Sigismundo III An. Dom. MDCXLIII
 erectum, prospere regnante Augusto III
 A. D. MDCCXLIII renovatum.

to jest:

„Dzieło miłości i czci Władysława IV
 dla ojca swego Zygmunta III r. Pańskiego MDCXLIII
 wzniesione; za szczęsnego panowania Augusta III
 R. P. MDCCXLIII odnowione.”

W roku 1794 stała obok pomnika Zygmunta III armata, dająca trzykrotnym wystrzałem znak miastu całemu, prawdziwego allarmu: zaczęła się przeto kolumna wkrótce pochylać w kierunku od szczytu swego, ku jabłku na posągu. Ówczesny więc minister Księstwa Warszawskiego Jan Łuszczewski, obmyślił w 1808r. stosowny fundusz do jej naprawienia, które

dokonane było pod kierunkiem budowniczego Józefa Borettego, i kosztowało blisko 13,000 złp.

W roku 1827 usunięto kraty, zaciemniające napisy, a dano 12 słupów, z ciosowego kamienia, połączonych łańcuchami żelaznymi.

W roku 1853 przy kopaniu wodociągów znaleziono w ziemi szczątki czterech starych pni, dowodzących iż kolumna Zygmuntońska otoczona kiedyś była dębami po 4 rogach. Zmieniono także wtenczas ogrodzenie podstawy, według pomysłu Henryka Marconiego. Zniesiono 4 stopnie schodów kamiennych i słupy okalające łańcuchami kolumnę — a podmurowaniem umocniono dawną podwalinę pomnika. Na cokule z 4 okrągłymi narożnikami, nakrytymi kamieniem czerwonym z Nossowa, wystawiono 4 Trytony przez konchy z ust ziejące wodę według modelu Kissa z Berlina, odlane w Warszawie w zakładzie Karola Mintera. Ogrodzono pomnik balustradą w fabryce Banku polskiego na Solcu wylaną z żelaza. Koszta wszystkie wyniosły czterdzieści kilka tysięcy złp. Wodotrysk pierwszy raz bić począł 14 kwietnia 1855 roku. Woda tryskująca tutaj pochodzi z patery większej urządzonej przed gmachem teatralnym, do której znowu dostarcza wodę patéra wodotryskowa z ogrodu Saskiego.

Na zakończenie krótkiego rzutu o kolumnie Zygmunta III dodać wypada iż ze sławnym sztyc harzem gdańskim Hondiuszem Wilhelmem, Augustyn Lokcyusz w r. 1646 (a zatem we trzy lata po wzniesieniu pomnika) w Hadze, wydał przepyszną rycinę na miedzi, z poświęceniem szumném, (po łacinie) Maryi Ludwice królowej polskiej i Szwedzkiej, — następną osnowy:

„Nikt dziwić się nie będzie, że ojca ojczyzny matce tejże Rzplitej Polskiej, że obrońcę wiary jej orędownicze, że Zygmunta Ludwice ofiarujemy. Obojgu równa była miłość i przywiązanie ku Rzplitej. Mniemamy jednak, że to Waszej Królewskiej Mości tém przyjemniejszym stanie się, iż dzieło to jest twego i naszego Władysława, który wspaniałem swém mężstwem, wszystkich żyjących serca sobie podbiwszy, żeby ojczyste cienie wciąż pozostawił swobodne, kazał je uwiecznić, sam zyskawszy początek do potomnej sławy. Przyjm więc łaskawie Najmiłościwsza Królowo podarunek ten od tych, z których jeden przeszło dziesiątek lat przebywając na W. K. Mości dworze, zdolność, pracę i wszelkie swe wiadomości poświęca i gotów poświęcać, wspierając po części radą i pomocą tak wspianiałe dzieło. Drugi zaś dla podziwiania czynów Wielkiego Władysława, o ile miedziane tabli-

ce osłaniające sztukę zamieścić mogły, w usługach życie poświęcił. Przyjmij z łaskawém obliczem to dzieło, a gdy go uznasz za własne, chciój nas także na dowód tego zaliczyć między twemi Najjaśniejszej W. K. Mości najuniżeńszymi sługami.“

Jak wspomnieliśmy wyżej, wodotryski przed kolumną zygmuntońską, biją rzutami wody rozchodzącej się własnym ciężarem z rezerwoaru w Saskim ogrodzie. Tu odbyło się uroczyste położenie kamienia węgielnego 16 listopada 1852 r. W półtrzecia roku zupełnie robotę ukończono pod przewodnictwem Henryka Marconiego, który kosztem rządu wysyłany był do Hamburga i Londynu, dla przypatrzenia się tam najnowszym ulepszeniom w urządzaniu wodociągów.

Nim jednak dziś exystujące wodotryski, przysły do skutku, było dawniej, (oprócz rur prowadzonych do Starego miasta i Zamku, z miejsca, gdzie dzisiejszy szpital ewangelicki,) kilka projektów do zaprowadzenia wodociągów. Uczniowie byłej szkoły Aplikacyjnej, robili plany, podług których, w jednychże kanałach, u dołu miały iść spady rynsztokowe, nieco wyżej zaś rury prowadzące wodę i gaz do oświetlenia. W r. 1826 hydraulik Jan W. Thomas proponował sprowadzenie wody aż z pod Jeziorniej (która i tak dzisiaj niema dość tego żywiołu do poruszania nieustannego machin papierni) kanałem spławnym a zarazem spacerowym, do Łazienek a stamtąd przez Solec i nowy ogród pod zamkiem, do całej Warszawy, a nawet do Marymontu i Półkowa.

Hejrich i Wilson, właściciele domów, na rogu ulicy Rymarskiej i Leszna, oraz przy ulicy Rybaki i Mostowej, zamierzali prowadzić wodę na Stare miasto. Pierwszego projekt nawet był wykonywany do czasu urządzenia dzisiejszych wodociągów. Drugi uczynił podanie, że za pomocą maszyny parowej w jego domu pod dawnym Nrem 2564 podejmuje się zaoptażyć wodą filtrowaną Stare i Nowe-miasto, a zarazem urządzić zdroje, z którychby woda ciągle płynęła, bez pompowania.

W r. 1843, Pancer, (który kierował robotami przy utworzeniu Zjazdu ku Wiśle, poczynającego się za kolumną Zygmunta od zamku,) podał plany sprowadzenia wody z Wisły do Starego miasta, oraz urządzenia 2ch rezerwoarów, przed Teatrem i przed Zamkiem. W roku 1849 zmieniono w wielu względach plany Pance-
ra, i ustanowiono delegacyę do stanowczego rozpatrzenia dawnych i utworzenia nowego projektu. Skład komitetu był następujący: budowniczy rządowy, członek rady ogólnej budowniczej Rittschel; inżynier Warszawy Kloppmann i czł. R. B. Henryk Marconi.

Gazety nasze ogłosiły w lipcu 1851 roku potwierdzenie kierunku tych robót panu Markoniemu.

Ustawiono w domu nad Wisłą dwie maszyny parowe o sile 70 koni razem, które pompują rzeki wodę do jednego z dwóch bassenów, mających 400,000 stóp kubicznych objętości. Stąd po ustaniu się, woda idzie na filtry, a z nich do murowanego bassenu to jest studni suchej, z której pompowana temiż samemi maszynami, płynie rurami do rezerwoaru głównego w Saskim Ogrodzie, wzniesionego przeszło stóp 170 nad 0 wysokości wody Wiślanej. Każda z tych machin na minutę dostarcza 100 kubicz. stóp wody. Maszyny tak są urządzone iż w jednymże czasie każda z nich pompować może wodę do bassenów z Wisły, a ze studni głównej do rezerwoaru w Saskim Ogrodzie i do domów prywatnych w mieście, które się jeszcze nie zwyczaiło do tego rodzaju dogodności. Z rezerwoaru w Ogrodzie Saskim, woda płynie przez ulicę Senatorską, plac zyguntowski, ulicę Świętojańską, Gołębią, Freta do Nowego Miasta. Z drugiej strony rozchodzi się przez ulicę Żabią plac przed Bankowy, Rymarską, Przejazd, Nalewki, Świętojerską. Rury podziemne ułożono dwiema linijami dla tego, aby w razie uszkodzenia jednej, użyć można było drugiej. W przypadku więc nagłej i gwałtownej potrzeby, woda mogłaby przez dwie rury i za pomocą użycia obu maszyn, dwakroć obficie wypływać.

Kiedyśmy wspomnieli o wodotryskach Saskiego Ogrodu, wystawionych tu na rycinie, wypada nieco dodać i o dziejach samego ustronia, tak dziś miłego dla Warszawian, i zamienionego na miejsce rozrywek powszechnych.

Przed stu pięćdziesięciu latami były tu zwyczajne ulice, przy których wznosił się kościół ojców Bonifratrów, pałac Andrzeja Leszczyńskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, nabyty w roku 1720 od rodziny jego;—gmach Tarłów, należący w końcu do Lanckorońskich;—pałac podskarbiego W. Ks. litewskiego Ernesta Bogusława Denhoffa, w r. 1727 kupiony od ks. Jerzego Lubomirskiego. Król polski August II, Sas, nabywszy te dwory, domy i domki, na ich miejscu, — przeniósłszy Bonifratrów na dzisiejszą ulicę, biorąc od nich nazwę—założył w guście ówczesnym francuskim ogród, zwany od swego twórcy, na pamiątkę, *saskim*. Król polsko-saski, dość znaczne wydał na to summy, skupując wiele budynków od roku 1713 do 1721; i to nietylko na ogród, ale i na pałac, także później mianowany *saskim*, który stał w roku 1724 na miejscu dawnych pałaców Lu-

bomirskich, ks. Sapiehów i Morsztynów. Dwór przeniósł się tutaj 7 maja 1724, a pałac należał aż do 1804 roku do rodziny królów saskich, od których, na zamianę, owoczesny król pruski dostał. Rząd sprzedał w roku 1837 stary gmach, zlepiiony z wielu dawnych pałaców, Janowi Skwarcow, z warunkiem wybudowania kolumnady przy wejściu, widnej tu na rysunku. Skwarców rozebrał dawny pałac saski, a wznosił natomiast dwuskrzydłowy dom dzisiejszy.

Przez teraźniejszy Ogród Saski, długim jakby korytarzem łączył się z pałacem saskim drugi pałac zwany błękitnym (dziś ordynatów Zamojskich) który August II kosztem swym wznosił dla Orzelskiej, późniejszej księżny holsztyńskiej. Mówią, że 600 robotników, w ciągu 6 tygodni (inni znowu piszą 6 mies.) wystawiło ten gmach dla córki królewskiej. Niektórzy mienią Orzelską niesłusznie córką oficera saskiego Klaudyusza Ord, a kochanką tylko Augusta II.

Przy murze opasującym ogród i pałac saski od ulicy Królewskiej, kazał wznieść August Mocny wprowadzonym z Drezna rzemieślnikom i artystom Teatr, ciągnący się ze swą officyną, przeznaczoną na skład dekoracyj i t. p. r. aż do uliczki wtedy zwaną Paycenburg. Sam król kazał się na widowiska w lektyce nosić wąską uliczką obok muru i dawniejszej ujeżdżalni idącą: dla innych zaś wejście i zajazd do teatru był od ulicy Królewskiej. Pod dyrekcją szambelana królewskiego Mordaxa, po raz pierwszy zaczęto wystawiać tu widowiska w r. 1725.

Dziś, z przejścia pomiędzy pałacem niegdyś błękitnym a saskim, po wzniesieniu nieco wyżej muru okalającego ogród saski i zawieszenia na nim dachu, zrobiła ordynacya, budynek. Obecny zaś plac saski przed ogrodem i kolumnadą doń wiodącą, powstał z dawnych obszernych dziedzińców rezydencji królewskiej.

Ogród Saski na nowo uporządkowany, otwarto dla powszechności od r. 1817 czyli w lat dziewięćdziesiąt po swém pierwszym urządzeniu.

Oprócz upiększeń, jakich temu ogrodowi przysporzyły wodotryski, główny wodozbiór mieszczący się na wzniesieniu w portyku, wyglądającym jakby na małą skalę świątynia Sybilli albo Westalek, przydaje wiele ruchu gmach i altany nowo-założonych wód mineralnych sztucznych; ganek cukierni znanej pod imieniem Lessla (dziś własność Strasburgierów), powiększenie ławek (żelaznych) i odnawianie dawnych posągów tu i ówdzie stojących, które zapewne kiedyś na krajowe figury przetworzone zostaną. Mamy już kolosalną postać Jana Kochanowskiego przez ś. p. Tarkiewicza—ale jeszcze nie w miejscu publiczném.

MARGARITHA BENEDETTA.

(Dokończenie)

Cierpienia jakich doznała Margaritha, były święte. Opatrzność zachowała ją od tych przykrości, na pozór podrzędnych, ale trujących każdą chwilę, absorbujących umysł, jakimi są, nieustanne starania o chleb powszedni, a często niedostatek zupełny. Nigdy jęj na koniecznych, aczkolwiek bardzo skromnych, nie brakowało potrzebach. Mąż jęj odziedziczył po ojcu grunt z porządnym zabudowaniem; zastała tam Margaritha proste sprzęty i ściany białe, w ogóle domek z gorszą powierzchownością, niż ten któren u rodziców pamiętała. Ale w komorze były kule lnu pięknego, było płótno niebielone jeszcze i okrasa w polciach i grzyby i mąka, zgoła wszystko co w prostém gospodarstwie zamożność stanowi; a w oborze stała para krów dojnych, para roboczych wołów i konik żwawy, któren do kościoła wózek z gospodarstwem ciągnął i kilka mułów. Tak tedy nie znając zbytków, przy pracy mniej lub więcej stosownej do lat urodzajnych, zawsze było chleba na swoją potrzebę i nigdy dług, ten truciciel spokojności lub czystego sumienia, nie zaciężył na jęj głowie. Ale za to nie-szczęśliwa matka, swego pierworodnego, ledwie ośmnaście wiosen liczącego, straciła pod Lipskiem. Drugi, żonaty i ojciec trojga dzieci, w późniejszych już walkach zabitym został. Trzeci najmłodszy, wrócił tak osłabiony ranami, że wkrótce umarł mimo starań żony i matki. Z wnukami także nie poszło szczęśliwiej. A gdy jedna została jęj wnuczka po córce, którą po śmierci męża pochowała, gdy wnuk po najmłodszym synu zginął gdzieś w bitwie z Góralami, Margaritha nie mogła dłużej pozostać w kraju gdzie tyle strat poniosła; sprzedawszy gospodarstwo i zabrawszy małą wnuczkę, wróciła do rodzinnej ziemi, gdzie ją Bóg pocieszył dobrem zameżciem wnuczki i prawnukami.

Józef przejęty uszanowaniem dla stariej niewiasty, nie śmiał jej wcale zadawać pytań, lubo nader był ciekawym przygód jęj życia — oświadczył to siedzącemu obok siebie gospodarzowi, prosząc go żeby mu opowiedział jak się to stało, że babka jego poszła za Polaka i znów tu powróciła?

— „To ciekawa historia—odparł gospodarz—Patricio słyszał ją nie raz z ust ojca swego, on ci ją najlepiej opowie.”

KSIĘGA ŚWIATA Cz. I. R. IX.

Nie dał się prosić Patricio, bo opowiadania, nawet czasem wierszem i przy muzyce, były rzemiosłem jego. Pomyślał więc chwilę, ręce na krzyż założył, postawił przed sobą szklanę z domorodnym czerwonym winem i zaczął mówić:

* * *

„Święty krzyż Pański dopiero dwanaście wieków panował nad światem—kiedy Wielcy Skaligierowie, potentaci Werony, sławnymi czynami władzę swoją znaczyli. Bystra Adyga urągała się stariej Weronie, nie pozwalając jęj zapoznać się z przeciwnym brzegiem. Skaligiery, ukrócając rzeki swawolę, ścisnęli silnemi arkadami jęj brzegi, most silny zawiesili, a ujarzmiona Adyga te pęta do dziś dnia dźwiga z pokorą! O! bo rozkazom Skaligierów trudno się oprzeć było. Lecz i oni spocząć musieli po pracy. Spoczęli na świętym miejscu, ojciec obok syna—a wdzięczna ich córka Werona, koronkową, z białego marmuru, osłoną pokryła ich grobowce! I spoczywali długo—a przechodzień ze czcią miejsce ich spoczynku wskazywał. Ale przyszedł czas w którym nie tylko mieszkańce ziemi, lecz i mieszkańce grobów pokoju mieć nie mogły!

Jak koń ręką silnego jeźdźca trzymany, gdy zrzuci munsztuk co mu dźwiga zakrwawił, gdy zrzuci jeźdźca który go cisnął; bryka na wszystkie strony, rostrącając co po drodze spotka jakby się chciał ze swoją popisywać wolnością; tak Francja zerwawszy pęta, po całej Europie hulać zaczęła. Obiecuje też samą innym ludom swobodę—w imie jęj nachodzi ich ziemie, prawa wolności pisze nie piórem lecz ostrzem miecza, nie inkaustem lecz krwią!

Za długo spoczywały po starych wojnach piękne Adygi wzgórza i doliny—nagle spokojny wieśniak pada ofiarą zaciętego między dwoma stronami boju. W tej potyczce widzisz brata powstającego na brata!—bo nie wszyscy rozumieją cel krwawej walki! Jedni w zdobywcach widzą najeźdźców, inni, wybawicieli. Po zaciętym boju, kiedy liczne trupy plac jego zakryły, dowódca francuzów jako zwycięzca, wstępuje w stare Werony mury. „Wybawiciel!” wołają mieszkańcy. „On nas od germańskiego jarzma na zawsze oswobodzi!” Gdy tak mówią, gdy Arena

Werony najstarsza, najpiękniejsza z całej Italii, dzieło Flawjusza konsula, ujrzała czterdzieści tysięcy ludzi zgromadzonych, chcących widzieć Zbawcę; wtedy swawolny żołnierz zaprzecza ich nadziei, rabunkiem, gwałtem, i dowodzi że to nie zbawca, ale najezdnik tylko! Dowódzca téj rozkiełznanéj tłuszczy, śpieszy zwiedzać bogactwa i starożytności grodu. Tutaj najpierw uderzają go pięknoscia groby wielkich Skaligierów! Staje przed niemi! lecz nie cześć dla przeszłej wielkości krok jego zatrzymuje. On chce wiedzieć czy tam nie znajdzie, czémby skarbiec swój zbogacił! Nie lęka się więc budzić starych spiących od tyłu wieków kości! odrywać każe wieko z trumny gdzie w zbroi spoczywał Mistyna Skaligier! Złoty miecz wpada mu w oko i świętokradzką ręką sięgając oderwał go od boku Rycerza! Zachrobotaly stare kości jakby głuchy jęk wydające! Nie słyszał tego odgłosu zajęty zdobyczą starożytności Najezdca, ani też nie słyszeli stojący obok słuźalce—ale usłyszała go święta patronka w Niebie. A wzniosłszy ręce do Przedwiecznego, wołała: „Panie pomścij krzywd żywych i umarłych miasta mojego! Upokorz tego świętokradzcę! Odpowiedź w promieniu światła „*Jeszcze nie czas!*” spłynęła do świętej, — uczuła ją i korną pochyliła głowę.

* * *

Pomiędzy sprzymierzeńcami walecznego dowódcy francuzów, był oddział z Ludzi Wybranych. Oni nie rabowali kościołów, nie krzywdzili niewiast—krokami ich nie kierowała ani chęć sławy, ani chęć zysków. Gdy ojciec mój zbliżył się z litości do jednego z nich zapomnianego na pobojuwisku, chcąc mu pomoc jaką wyświadczyć—rzekł do niego umierającego wojak: „W imie Boga proszę cię bracie, zdejm z piersi moich woreczek w którym jest ziemia z odczynny mojej i medalik Matki Boskiej królowej naszej; medalik zostaw na piersiach, a ziemią tą przysyp mi powieki gdy je zamknę.” „Tak kochasz ziemię swoją, a przyszedłeś na obcą! porzuciłeś ją?” „Och! tylko z wielkiej miłości—chcąc ją ratować—mogłem ją porzucić.” To powiedziawszy wniósł oczy w niebo i skonał. A ojciec mój posypał mu na oczy ziemię jego i pogrzebał ciało! Ludzie tak świętą wiedzeni myślą, nie oddawali się rozpuście, swawoli żołnierskiej i szanowali Domy Boże.”

* * *

„Nie daleko Werony w Villa Rosa, wśród cieni pięknego gaju, mieszkali zacni ludzie w ładnym murowanym domku ich własnością będącym. Z pomie-

dzy drzew inne wyglądały zabudowania, a po nad drogą do Villa Rosa wiodącą, stał krzyż i posągi świętych Pańskich; w tym ładnym domku, pod strażą krzyża i świętych Pańskich chowała się jedyna córka starych rodziców, piękna i dobra jak anioł. Wszyscy ubodzy z okolicy znali ją dobrze, bo codziennie im pomoc i pociechę nieść zwykła była. Przypadkiem ojciec jej spotyka dwóch mocno rannych sprzymierzeńców francuzkich, a widząc ich osłabienie, do swego zabiera domu, gdzie córka doglądała jak braci— a oni czcili ją jak świętą.

Starszy z nich już siły odzyskawszy, wybrał się do głównego sztabu stojącego w Weronie; młodszy zatrzymał się jeszcze, nie wiadomo czy mu sił fizycznych, czy moralnych do opuszczenia zacnej rodziny brakowało; obiecywał wszakże rychło za towarzyszem pośpieszyć. Zaledwie pożegnali się, kiedy wpada do cichego domku trzech francuzów, wracających z Mantui, którzy wstąpili na rabunek w Villi, bo w mieście i pod okiem zwierzchników już się dopuszczać nadużyć nie śmieli. „Pieniądze lub życie!” — krzyknął jeden z nich, przykładając pistolet do piersi starego ojca pięknej córki, a dwaj tymczasem przepatrywali kąty. Stary ojciec poszedł dobywać pieniędzy, żołnierze zobaczyli wychodzącą z drugiej izby córkę. Zdobycz-to lepsza nad złoto!—porywają przeleknioną; ojciec uderzony w piersi, pada bezsilny i bronić nie może; lecz gdy wynoszą nieszczęśliwą wśród krzyku matki, nadchodzi młodzieniec który towarzysza odprowadzał, rzuca się jak lew, a razem wielkim głosem rozpaczy woła na towarzysza,—chce wyrwać pistolet, lecz rozpustnik pierwój strzela i trafia w lewe ramię obrońcy—krew go broczy, lecz on nie uważając na to, prawą ręką tak silnie uderza w skroń zuchwalca, że go powala o ziemię. Lecz dwaj inni uprowadzają zemdloną zdobycz, a obrońca tracąc krew, tracić zaczyna i siły. Mimo to zrywa się, rozpaczy pobudzony mocą, i gonić ich usiłuje; w tém wpada, krzykiem obrońcy powołany, towarzysza jego w wojskowym stroju z pałaszem u boku, którym uderza łupieżców. Zobaczywszy zbrojnego przemawiającego do nich własnym ich językiem, sądzą iż więcej podobnych sprzymierzeńców znajdować się w pobliżu musi. Rzucając więc zdobycz swoją pierzchają, ale chcąc się zemścić na kimkolwiek strzelają po za siebie; kula zda się nikogo nie trafiła—a towarzysz zbrojny puszcza się za nimi.

* * *

Odurzona przez silny upadek nasza piękna, zrywa się, spieszy do leżącego, broczącego we krwi obroń-

cy, wiązuje mu chustką ranę, by krew zatrzymać. Matka jój zobaczywszy już córkę nieco bezpieczniejszą, spieszy do domu aby bezsilnego w skutek uderzenia żołnierzy, starego ojca ratować. W tém nagle kłęby dymu buchają z dachu — kula trafiła w dom i zapaliła dach! Widzi dziewica pożar zagrażający śmiercią niewiedzącym o nim mieszkańcom wewnątrz domu będącym. Wtedy ją nadludzkie ożywiają siły; spieszy do domu, porywa za rękę ojca, a gdy tén isć nie może, razem z matką wynosi go i pod opiekę Chrystusa i świętych patronów oddając, składa pod krzyżem opodal. Wnet dochodzi ją płacz dzieci! przypomina sobie że nieszczęśliwa wdowa z dwojgiem małych dzieci mieszka w górnej izbie; wraca bohaterka po nieszczęśliwą rodzinę; krzyczy do góry bo dym ciągnący się drzwiami broni wejścia na schody. Wtedy porywa pod stojącym drzewem stół, na nim stawia stołek, wskakuje lekko jak sarna najprzód na stół, potem na stołek, i woła, ażeby jój matka dzieci podała. Gdy to czyni nieszczęśliwa — cudownym sposobem dziecko jedno po drugim prosto w ręce jej wpada; skoro je na ziemi postawiła, przysuwa stół jeszcze bliżej okna i woła na matkę. Matka na białym spuszczając się na miłość utworzone rusztowanie — i ocaleni wszyscy uciekają od coraz silniej wybuchającego płomienia! „O! błogosławiona moja wybawicielko!” — woła wdowa. „Błogosławioną tylko jest Madonna. Nie dawaj mi téj nazwy — rzekła Margaritha — Jój dziękuj.” Pośpieszyła wdowa złożyć na klęczkach dzięki przed Madonną i Boskim jój Synem. Po raz pierwszy wtedy przydomek *pięknej* na *błogosławioną* zamieniła wdzięczność. Nie poprzestając na tém niezmordowana dziewica — bojąc się aby płomień nie pustoszył laski i innych zabudowań, pędzi, jakby od wiatru pożyczyla skrzydeł, do Villa Rosa i zwołuje wieśniaków dla ratunku. Tłumnie przybywają, — ona wyprzedza ich i klękawszy przed figurą, gorąco dziękując za otrzymane łaski, prosi o dalszą opiekę, błaga aby Bóg zachował wybawcę, którego przed domem zostawiła.

Ciężko raniony w lewe ramię, straciwszy krwi dużo, siedział oparty o akację młodzian. Nie czuł bólu, nie czuł rany, bo wszystkie władze jego duszy zwały się w uczucie uwielbienia dla podziwem przejmującej dziewicy. „To widoczna moc Boża wspiera ją siłami swemi! — ztamtąd ona widać tę odwagę, tę przytomność czerpie. O! niezwykła istota! nadziemski-to

aniół! święta! *Bądź błogosławiona!* — zawołał wyciągnawszy rękę, gdy ujrzał nadbiegającą ku sobie białą jój postać. I po raz drugi dnia tego, przydomek *pięknej*, uwielbienie, na *błogosławioną* zmieniło. I sprawiedliwie — Bóg ją ubłogosławił, aniół jego białym otoczył ją skrzydłem, tak dalece, że odzienie jój nawet, ta święta niewinności szata, nie uszkodzoną została. Ani krew, ani dym, ani płomień, nie śmiały jój białości naruszyć, a ludzie ogorzeli od ratunku wracający, zdjęci podziwem, widząc ją zawsze piękną i jasną, zawołali: „To aniół, to *błogosławiona!* — nawet szalone żywioły ją szanują!”

Młodzian, któremu Paulo było na imię, nie żałował ciężkiej rany, nie żałował ręki, którą w obronie pięknej dziewicy stracił. Za martwą rękę, dostał żywe i dla niego tylko bijące serce. Zezwolili rodzice na związek dwojga bohaterskich dusz dla siebie przeznaczonych. A gdy Bóg szczęście ich przyjściem na świat pierwszego dziecięcia powiększył; — rzekła młoda żona, podając mężowi syna: „Pozbawiłam cię ręki potrzebnej do obrony kraju, daję ci więc zastępcę.” Tak się stało. Po śmierci starych rodziców, wracają oboje do ojczyzny męża, do rodzinnego domku jego; tam wśród szczęścia i wielkich boleści, to cieszy się dziećmi, to je traci — a gdy ostatniego wnuka dalekie skwarne Bałkanu góry zakryły przed oczyma w sile jeszcze wieku będącej babki — gdy córka jój, po stracie męża gdzieś nad Sekwaną zmarłego, na rękę jój kończy — wtedy zbolełe serce pragnie powietrzem rodzinnym odetchnąć i wraca z wnuczką małą — która jój później, na osłode lat starych, tych troje pięknych daje prawnuków. Ofiara, boleść i miłość zaznajomiły ją z niebem — słowo jój pociechę niesie, modlitwa ratunek — i wszyscy znają, szanują, i przezwali ją Margaritha Benedetta!”

* * *

Skończył patrząc ze czcią na starą niewiastę Patricio — a ta podniosłszy pochyloną w czasie opowiadania głowę, rzekła z uczuciem: „Poruszyłeś i tak zawsze żyjące w mém łonie wspomnienia! Dziękuję ci, ale *nie bierz imienia bożego nadaremnie* — Bóg ci przebaczy boś ty poeta — ale ja cię proszę nie nazywaj biednej grzesznicy *błogosławioną!*” Gdy słowa te kończyła, Józef stał przy niej, i z niecierpliwością czekał żeby mógł do Margaryty przemówić.

„Na Boga! jakie nazwisko nosił zmarły mąż wasz?” zapytał cały drżący Józef. — „Gozdawa” — odpowiedziała staruszka patrząc nań ze zdziwieniem. Wszyscy

przytomni skupili się koło niego, bo dziwne rzeczy działy się z młodzianem. Bładł, trząsał się cały, rękę prowadził po czole, nareszcie, jakby człowiek który cały swój majątek stawia na kartę, biedny Józef rozpiną kamizelkę, wrywa mały woreczek skórzany, rozrywa go trzęsącą ręką, a pokazując srebrny medalik i krzyżyk, pyta za ledwie dosłyszonym głosem; jakby się bał usłyszeć odpowiedzi: „Czy czasem idącemu na wojnę wnukowi nie zawiesiliście tych świętości na szyi? Margaritha wzięła w rękę dość grubo medalik i bardziej dotknięciem palców niż słabym wzrokiem poznając, zawołała silniejszym głosem: „Santo Antonio! na Boga! co to jest? O! nie” — rzekła opuszczając ręce i patrząc na stojącego bladego jak ściana Józefa. „Nie! to nie on! A z kądże ten medalik, ten krzyż w ręku twoim?... Ale nie! to może nie ten medalik! — czy tam są litery?” — dodała, podając stojącej, także zbladłej prawnuczce.

„Jest *P.* na pół zatarte, a *G.* całkowite — odparła drżącym głosem młoda Margaritha.

„To medalik który mąż mój nosił, a którego dałam wnukowi noszącemu imię dziada, ażeby ten cudowny święty nie dał mu zginąć!” zawołała drżącym głosem staruszka — „z kąd go masz młodzieńcze?”

„Od ojca mego! błogosławiona Babko moja!” — rzekł łkając Józef i rzucił się do nóg Prababki.

Mylne zdanie jakoby w starych, którzy przez życie całe nie grają namiętności, nie szybkim biegiem krwi po żyłach krążącej, ale prawdziwem rządzi się serca wzruszeniem, uczucie zastygało, zamierało z wiekiem. O! nie! ta święta iskra żyje zawsze, tylko się inaczej na zewnątrz objawia.

I Margaritha nie krzyknęła, nie zerwała się, bo jej na to sił fizycznych nie stało. „Dziecko moje! — cichym drżącym od wzruszenia wymówiła głosem i łzy po zmarszczonych spłynęły policzkach. „Na Boga” — dodała — nie rozumiem z kąd się wzięłaś? gdzie ojciec twój? — pamięć mi się miesza! Jako być może abyś ty był mego Pawła synem? kiedy mi wyciąg z raportów przysłali że Paweł mój zginął. Powstań dziecko moje, siadaj i mów!”

— „On był w niewoli babko najdroższa! — odpowiedział Józef — wrócił biedny: znalazłszy się sam, opuścił rodzinne strony, poszedł w krakowskie, tam się ożenił z zadaną matką moją. Ale nie długo cieszył się szczęściem rodzinnem! Styrane siły nie długo mu służyły; umarł kiedy dziesięć lat miałem. A matka moja przed trzema umarła laty. Papiery ojca mego, i metrykę u nich zostawiłem, u siostry

matki mojej; tylko medalik i krzyż który mi matka przed śmiercią za spuściznę po ojcu oddała, wzięłem z sobą jako talizman!”

— „Któren cię nie omylił drogi bracie mój” rzekła wyciągając doń rękę młoda Margaritha. „Co to jest? — później dodała; na mnie jeszcze niczyja twarz, niczyje spojrzenie takiego nie wywarło wrażenia; zdałeś mi się do kogoś bliskiego sercu memu podobny.”

Z żywością sobie właściwą całe zgromadzenie przyjęło nadspodziewanie znalezione nowego członka zadanego rodziny. Wszyscy rozmaite upatrywali w nim podobieństwa. Wreszcie stanęło na tém, że mimo tak znacznej różnicy wieku, Józef do prababki był bardzo podobnym. Artystyczne uczucie Włoch, nie myliło ich, bo istotnie były to też same regularne piękne rysy, też sama oprawa ocz; usta tylko przez brak zębów u prababki najgłówniejszą stanowiły odmianę.

Józef, niedawno sierota — niedawno zagrożony straszną śmiercią, znalazł się nagle członkiem zamożnej i zadanego rodziny. A przecież gdy pierwsze ominęło go upojenie, zdało się jakby niepokój jakiś, nakształt chmury w dniu pogody, zaciemnił czoło. Nareszcie znalazłszy chwilę stosowną, zbliżył się do Margarithy i biorąc jej rękę, pyta z niepokojem:

— Powiedz mi, czy ja istotnie bratem twoim jestem, czy rzeczywiście cieszysz się że we mnie masz *brata*? Ach powiedz mi to prędko, a powiedz z całą prawdą!”

„Jak mężczyźni są lekcy, porywcy! Dla czego tak prędko chcesz o tém wiedzieć? Wszak — rzekła rumieniąc się — ty nie jesteś *rodzonym* bratem moim — zresztą — dodała figlarnie — zobaczymy jaki stopień pokrewieństwa znajdzie się między nami, zobaczymy na jaki sobie zasłużysz!”

— „Dobrze!” — zawołał, i twarz młodzieńca opromieniła się radością

* * *

W dniu następnym przyszła wiadomość o pokoju i radość rodziny zatruła.

„Po raz to drugi! — zawołał oburzony Patricio, Bóg nam wskazuje abyśmy pomocy sąsiadów nie wierzyli!”

Margaritha odrzekła: „czekajcie końca. Cierpliwości! — czekajcie! — rzekła spokojnie — nie w rękach ludzkich, ale Boskich są losy narodów!” A. S.



ZDARZENIE NAD JEZIOREM BRIENZ.

Tyle mamy opisów pięknych gór, dolin i jezior Szwajcaryi, iż nie byłoby zajmującym i nowym dla czytelników, rzeczy powtarzać wiadome. Nie będziemy więc rozwodzili się nad cudownymi krajobrazami kantonu Bern, wspomnieć tylko musimy o położeniu jeziora Brienz jako teatrze zdarzenia, które opisywać mamy. Piękne, czyste jak kryształ jezioro, z jednej strony okolone ogromnymi górami; u stóp ich po nad północno-wschodnim brzegiem, leży probostwo Brienz z zabudowaniami innych wieśniaków, którzy zwyczajem górali, zwykli nieogłędnie budować domy swoje, czy to wśród rozpadlin gór, czy u stóp ich, nie bacząc że albo zlatujące urwiska lodu; albo wezbrane z gór potoki śniegów spadając nagle, mogą zniszczyć prace ich i życia nawet pozbawić. Nie bojąc się, nie przypuszczając niebezpieczeństwa, swobodnie, wesoło oddają się ci wieśniacy pracy, powiększając część z hodowania kóz i robienia sérów składającej się. Piękny, staranny ubiór podnosi naturalne wdzięki młodych nadbrzeżnych mieszkanek; widząc je tak zręczne, z tak słodkim wyrazem twarzy, podróżnik nieprzyjemnego doznaje zdziwienia, gdy dźwięk ich mowy obije się o jego uszy. Z tych ust kształtnych, koralowych, spodziewałby się mógł miękki, dźwięcznej mowy jak np. u Neapolitanki lub Wenecyanki; tymczasem słyszy grube, ostre wyrazy zepsutego niemieckiego dialektu, którym po większej części mówią w kantonie Bern. Lubo język francuzki a w kantonach graniczących z Włochami włoski, są tu powszechnymi, przecież z powodu widać nawyknienia i do niemieckiej mowy, te dwa pierwsze w ustach Szwajcarów i Szwajcarek, tracą na swój miękkości.

Rzuciwszy głębsze spojrzenie na przeszłość i teraźniejszość pięknej Wilhelma Tella ojczyzny, uderzeni jesteśmy dziwną sprzecznością, jaka się w usposobieniu ludu tego znajduje. Szwajcarowie, którzy tyle dali dowodów miłości ziemi rodzinnej, broniąc ją tak mężnie, z takim heroicznym poświęceniem się czy to za czasów starożytnych przeciw Cesarowi, czy też później w wiekach średnich; że mówię ci mężni sy-

nowie tak pięknej, tak różnej swoim położeniem krainy, nie wyrobili sobie samoistnej literatury, nie wykształcili własnego języka. Wszystkie kraje Europy, prócz Słowian, również jak Szwajcaryja, w pierwotnym istnieniu swoim, przyjmowały czy to dobrowolnie, czy jako przemoc, rozmaite plemiona, które zlały się z osadami jakie naszły, zamieniły się wkońcu w jednolitą całość; w rządach tylko, w prawach mniej więcej feudalnych zostawując ślad dwóch pierwiastków z których silniejszy opanował słabszego. Zaś język, piśmiennictwo, z czasem nabrało swego własnego charakteru, swojej barwy i stosownie *do danych*, stosownie do potrzeb kraju rozwijało się szerzej lub ciaśniej, silniej lub słabiej. Szwajcaryja tylko jak w pierwszym zawiązku swym ulegała trzem cisnącym się do niej różnymi drogami plemionom; to jest Gallom idącym od Rodanu, Niemcom od Renu, Włochom od Adigo lub Como; tak do dziś dnia zamiast użyć tych trzech pierwiastków do zbudowania sobie na ich podstawach własnej intelektualnej budowy; przyjęła te trzy narodowości za swoje, pomimo inności usposobień, potrzeb, warunków. Drugą sprzecznością uderzającą w Szwajcarach, jest łatwość porzucania tego ukochanego kraju, a nawet zasad, dla których tyle krwi wyleli. Mieszkaniec pięknych alpejskich dolin, ceniący nadewszystko prawa zapewniające mu swobody, idzie najmować się w szeregi walczących za wprost przeciwną jemu sprawę. Uderzający jest wypadek z historyi Helwecy, którego jakkolwiek sięga zamglonych przeszłości czasów, przecież maluje tę ich skwapliwość a raczej łatwość opuszczania swoich pięknych gór, za którymi mimo to tęsknią aż do utraty zdrowia, a nawet życia, bo wiadomo że Nostalgja o śmierć przyprawić może.

Za czasów podbojów Rzymskich, jeden Helweta pochodzący z możnej Gallyjskiej rodziny (Helweci bowiem stanowiący środkowe osady Szwajcaryi, pochodzili, jak twierdzą historycy, z Gallii) nazwiskiem Orgetorix, porozumiewszy się z krajowcami, powziął zamiar opuścić zupełnie górzystą ojczyznę swoją.

Pod dowództwem, czyli naczelnictwem jego, czterysta tysięcy ludzi wraz z żonami, dziećmi i trzodami, ruszyło w podróż do sąsiedniej Gallii, popaliwszy po za sobą opustoszałe wsie i miasteczka swoje. Zastępy Cezara, u stóp Jury, powitały mordem nieszczęśliwych wędrowców, z których wielką część zabito, a reszta wrócić musiała do zniszczonych miejsc, lub kryła się po górach przed nieprzyjacielem, którego aby ich raz do spokojnego znoszenia jarzma nakłonił, okropnych dopuszczał się okrucieństw, przez zrozpaczony lud wzajemnością odpłacanych. Tak widzimy że jeszcze w początkowych wiekach bytu swego, skłonność do opuszczania siedzib własnych odznaczała Szwajcarów, jakby to było zabytkiem zachowanym jeszcze od pierwotnych wędrownych koczujących ludów. Lecz wróćmy się do pięknego jeziora.

Nad brzegiem jego, na jednej ze stromych gór wiadać jeszcze kościółek obok rozwalin starego zamku, niegdyś posiadłości wielkiego pana, postrachem będącego całej okolicy. W jedenastym wieku, podaje nam już nie historia, ale legenda, wiadomość o tych rozwalinach, którą przytoczyć musimy, jako w związku będącą ze zdarzeniem tu opisanym. Zwaliska te inaczéj w ten czas wyglądały; jak z kilku kostek szkieletu niktby sobie nie wyobraził pięknego człowieka do którego niegdyś należały, tak z tych mchem zarosłych, rozpadłych, poczerniałych od czasu murów, niktby nie zdołał odtworzyć sobie wspaniałej, silnej, groźnej budowli wielkiego zamku, którego jakby urągając się wszystkim niebezpieczeństwom, grożącym biednym mieszkańcom dolin, patrzył z góry na piękne szkliste jezioro, na chaty wassalów swoich, na wolno pasące się po zielonych łąkach trzody, okiem właściciela, władcy silnego, twardego w obyczajach, jak opoka na której wznosił się wspaniały zamek; okrutnego, jak dzikie orły które się na wyższych sąsiednich gnieździły skałach.

Dziedzicem pysznego zamku w XI-tym wieku był młody Konstancjusz Vegetorix, potomek jednej z najzamożniejszych rodzin Helweckich z pokolenia Galijjskiego. Zamek jego trzymał się groźnie, starannie obwarowany będąc jeszcze podczas napadów Węgrów, którzy tak wielki szerzyli postrach, że każde miasto starało się opasać murem, a każdego zamożny feudalny władca, szanował własny zamek; wieśniacy zaś pomiędzy góry chronili się z dobytkiem swoim. W tamtym to czasie, jak twierdzą niektórzy historycy, wzniesionym został zamek *Habsburg*, dziedzictwo feudalne rodziny, której potomek Rudolf z Habsbur-

ga, sławny w wojnach krzyżowych, pan licznymi włości w Argorii, dzisiejszym Neufchatel, został obrany Cesarzem Niemieckim, kupiwszy księstwo Austriackie.

Młody Konstancjusz jedynym był potomkiem rodziny, która kolejno niszczącym kraj: Rzymianom, Hunnom, Burgundyi, zawsze silny stawiała opór. Odwaga a nawet potrzeba krwawych bojów, była naturą jego; wyssał już ją z mlekiem, wziął ze krwią naddziadów swoich. Pozostawszy młodym sierotą, dziki, samowolny, był postrachem okolicy. „Tak młody a już tak okrutny, mówili mieszkańcy z dolin, chyba potem zamiast wina krwią ludzką napawać się będzie.” Istotnie młody Konstancjusz nie znał hamulca w namiętnościach swoich; życie ludzkie niczem było u niego, zamordować w chwili gniewu wassala, porwać mu córkę lub żonę w chwili wesołości, było u niego dnia każdego przygodą. A gdy mieszkający przy kościółku zakonnik, odważył się w groźnych napomnieć go słowach, strasząc odpowiedzialnością w innym przyszłym świecie: „Pierwszy ty odemnie poznasz świat tamten,” krzyknął wściekle—a porwawszy zakonnika jakby rzecz jaką która mu zawadzała na drodze, zrzucił go w rozpadlinę skały, gdzie dziko szumiący z gór potok pędził do jeziora; nie spojrział nawet co się z ofiarą jego stać mogło; widział tylko rękę z palcem do góry, którą nieszczęśliwy podniósł w chwili, gdy go ciskał.

Najczęściej uczynek, którego miarą złego przeszedł wszystkie poprzednie, do ostatecznego moralnego prowadzi upadku, jakby otwierając drogę do gorszych; niekiedy wszakże staje się jakby powodem do upamiętania się, bo do przesądzenia swoich czynności. „To za nadto” ozwie się czasem sumienie własne, i wtedy szala złego, przeważająca wszystko dobre, jakby lżejszą być zaczyna;— Tak było i w uszpionej duszy Konstancjusza. Po morderstwie na duchownym, na *człowieku* dokonaniem; do- tąd bowiem zabijał tylko niewolników, poddanych, wassalów, których nie za ludzi ale za własną rzecz uważał, Konstancjusz pierwszy raz w życiu doznał niepokoju; ręka podniesiona z palcem do góry, stała mu w oczach. „Co on chciał pokazać?—mówił do siebie—palcem skinął jakby mnie chciał przykuć tym palcem do ziemi.” W tém przypomniał sobie że w chwili kiedy zrzucił nieszczęśliwą ofiarę, krzyk jakiś doleciał do uszu jego; zwrócił się więc szybko w stronę, gdzie niedaleko barjery przy której tę straszną popełnił zbrodnię, stał przy zwodzonym moście zbrojny halabardzista. „Czyś ty krzyknął przed

chwila? „zapytał groźnie: przestraszony żołdak jakby już widział siebie w przepaści i młodą żonę z dwójgiem sierot, zawołał blednąc: „Na Boga i Matkę Boską przysięgam że ja nic nie widziałem, nic nie słyszałem, nic nie wiem.” „Biada ci jeżeliś kiedy co widział” — odrzekł pan, rzuciwszy nań tak groźne spojrzenie, że żołnierz nie tylko mówić, ale myśleć bał się o tém, co widział. Konstancjusz wrócił do zamku, zaspokojony że nikt o czynie jego wiedzieć nie będzie. Dla czego tak pragnął tajemnicy? obawiać się nie miał kogo. Udzielny pan na warownym zamku nie pojmował żeby się czego lub kogo bać było można: wszystkie wyższych na niższych wykonane zbrodnie uchodziły bezkarnie, chyba że sąsiad jaki równie możny i silny pomścić się chciał krzywdy lennikowi jego wyrządzonej, nie jako krzywdy człowieka pod opieką jego zostającego, lecz jako uchybienie uczynione własnej osobie, przez targnięcie się na rzecz do niego należąca. Nie przez obawę więc chciał ukryć postępek swój Konstancjusz, ale przez wstyd. Co to jest wstyd? to dowód różnicy jaka jest między ciałem a duszą; „dusza to wstydzi się za ciało” powiedział wieszcz nasz. Tak jest istotnie, dowód to dotykalny dwoistości natury ludzkiej.

Dobry to znak, kiedy człowiek nie przez obawę, nie przez względy na sądy ludzkie, lecz przez uznanie własnego ducha wstydzić się może postępkowi swego. Konstancjusz raz pierwszy w życiu wstydził się czynu swego i radby był niepamiętać o nim. Przebywszy kilka dni nudów, umyślił wyjechać na polowanie do znajomego barona, zamieszkałego również w Oberlandzie (dziś kanton Bern) dziedzica zamku silną ręką Burgundów stawianego, od których pochodził Baron. Wojna domowa zaznajomiła z sobą tych dwóch wielkich magnatów. Baron nie raz zapraszał swego młodego sprzymierzeńca, którego meztwo oceniał, lecz Konstancjusz nie lubiący przymusu, nie spieszył do zamku, gdzie oprócz łowów bywały uczyty, a na nich spotkać można było żony i córki sąsiednich panów. Konstancjusz nie lubił wyższego wychowania kobiet, i stronił od nich. Lecz cóż było począć? Postać nieszczęśliwej ofiary z ręką i palcem wskazującym na niego, mimo woli stawała mu przed oczyma: zwykle rozrywki bawić go przestały, uczuł potrzebę odmiany miejsca. Z dobranym więc strojnym orszakiem spuścił się ku dolinie z wysokiego zamku swego i skierował ku brzegom jeziora Thun, z kąd tylko o parę mil leżała piękna posiadłość barona, do której zwykł był w je-

siennój porze z całym domem i dworem udawać się na mieszkanie, z powodu bliskich lasów i pól, gdzie różnego rodzaju łowów używał. Zamek zaś jego obronny leżał na jednej z gór o mil kilka odległej.

Pięknie wyglądał Konstancjusz, na cisowym koniu, w kaftanie z ponsowój złotem szytej materyi; krótki czarny płaszcz przysłaniał mu ramiona, a włosy krucze pokrywał mały kapelusz ozdobiony piórami przytwierdzonemi klamrą czyli sprzążką ze szmaragdów i djamentów; podniesiony do góry daszek kapelusza odkrywał gładkie i szerokie czoło, na którym mała rysa, pomiędzy dość schodzącemi się brwiami oznaczała gwałtowny i gniewliwy temperament. Mimo srogiego wyrazu twarzy, Konstancjusz pięknym był młodźńcem, zręcznej i kształtnej postawy. Przybył przed bramę dziedzińca, właśnie kiedy ten duży, drewnianym w słupy opasany parkanem dziedzińiec, był napełniony rozmaitemi jeźdzcami: widać baron wybierał się na łowy. Rad z tego zdarzenia Konstancjusz, pospieszył, skoro mu dużą otworzyli bramę, przed ganek ogromnego szarego drewnianego domu, gdzie stał baron na koniu jakby oczekując na towarzyszy, dla których przygotowane konie trzymali giermkowie. Podjechał baron kilkanaście kroków na spotkanie gościa. Po zwykłym powitaniu, zaledwie o pogodzie dnia, o podróży rozmawiać zaczęli, gdy bliskie stapanie, chrapanie konia zwróciło uwagę Konstancjusza: obrócił się ku lewemu bokowi i nagle pomiędzy sobą a baronem ujrzał na rosłym, jak śnieg białym koniu kobietę, która mu się jakimś nadziemskim zjawiskiem wydała, tak była piękną. „Jestem mój ojciec—wyrzekła cichym głosem—darujcie mi żeście czekali na mnie.” To mówiąc spojrzała na jeźdźca obok ojca stojącego i oczy ich spotkały się. Ile było ognia, zapału w dużych czarnych oczach Konstancjusza, tyle było pokoju, łagodności w błękitnych oczach pięknej jak dzień wiosenny Bregildy. Baron chciał zrobić przyjemność córce zarządzając polowanie na kuropatwy z sokołami, na które młoda Bregilda jej ochmistrzyni i dwie panny dworskie na koniach, podług ówczesnego zwyczaju, towarzyszyć miały myśliwym. Lecz gościnnność nakazywała odłożyć polowanie na inny dzień, pierwój przyjąć przybyłego gościa, nagrodzić mu trudy podróży smacznym posiłkiem i napojem. Poziadano więc z koni i udano się do ogromnej sali, gdzie baron przedstawił gościa żonie i innym dostojnym osobom z rodziny swojej, tudzież kapelanowi, którego także razem z baronostwem opuścił zamek i w przyległym wiejskim kościółku Mszę świętą codziennie odprawiał. Kon-

stancjusz zadrżał wewnątrz, spotkawszy spojrzenie siwego, z obliczem poważnym starca; być może że długa suknia podobna do tej jaką nosił przez niego zamordowany kapłan, obudziła w nim wspomnienie przed którym uciekł z zamku swego. Wkrótce jednakże, mocne, nagle budzące się w sercu jego uczucie miłości, przytłumiło ze wszystkiem nieledwie, to straszne i niepokojące go wspomnienie. Przyjęty z gościnnością wraz z całym orszakiem swoim Konstancjusz, zapomniał nawet o własnym zamku, zapomniał o czasie w którym go porzucił, o liczbie dni które obok Bregildy przepędził. Raz pierwszy w życiu kochał, raz pierwszy kobieta przedstawiła mu się jak coś wyższego, anielskiego; dotąd bowiem uważał ją jako rzecz do zabawki służącą. Nagle, jak to bywa w gwałtownych charakterach, z lekceważenia, z pogardy prawie jaką miał dotąd dla niewieściego rodu, wpadł w cześć, w uwielbienie bez granic. Kiedy Bregilda w złotój, z drogiemi kamieniami przepasce na czole, na którym jasne wiły się sploty, w błękitnym płaszczu na ramionach, siadła do arfy i dziwnie rzewne dobywała z niej tony, Konstancjusz nie widział w jej równej tedy ziemskiej istoty, Jasne kędziory jej miękkich włosów wmykające się z pod przepaski, wydawały mu się mieć raz srebrny, raz złoty połysk, niby promienie słoneczne; w sukni białej z tureckiego atłasu tylko na ramionach błękitnym przysłonionój płaszczem, widział jakby obłoki nieba z błękitem pomieszane; a wdzięczne tony, brał za anielską harmonję: i tak stojąc oparty na wysokiej poręczy krzesła, godzinami zapatrując się, zasłuchując, wkońcu tracił możność rozoznawania przedmiotów; cała sala zamieniała się w jakąś światłą, krągłą banie, na której postaci różnych rycerzy i pań razem zmieszane, jakieś tworzyły mozaikowe cienie; zaś anielska postać zdawała się to zbliżać do niego, tak że mu się tłumił dech w piersiach; to znów oddalać jakby wmykając się na promienie słońca przez ogromne okno wpadające. Z takiego stanu odurzenia, upojenia, wychodził biedny a raczej szczęśliwy Konstancjusz, albo gdy nagle przestawała muzyka a gwar w sali powstawał; albo też gdy jaki w zażyłości będący z nim towarzysz zabaw, porwaniem za rękę i żartobliwym słowem przywracał go do przytomności.

Nadzwyczajna miłość jaką uwielbiał Konstancjusz piękną Bregildę, tak była widoczną, że wszyscy o niej mówili. Słyszał o tém baron i cieszył się, nie było bowiem tak możnego, tak bogatego w okolicy całej młodziana, którenby starożytność rodu, osobiste me-

ztwo i piękność razem z bogactwami łączył. Lecz matka Bregildy nie cieszyła się wcale; opowiadania o niesłychanej srogości pana, postrachem będącego dolin nad którymi panował, nieciła obawę w sercu jej macierzyńskim. Baron także, stosownie do pojęć i zwyczajów wieku, był groźnym panem; ale żona, ale pobożny kapłan zdołali nie raz wyprosić coś dla biednych; w całej też postawie, rysach barona więcej widzieć można było miękkości, która ośmielała każdego. Bregilda łagodna, cicha, lękliwa, przez jakąś sprzecznosc, od pierwszego ognistego spojrzenia młodzieńca, czuła się pociągniętą ku niemu nadzwyczajną jakąś siłą — bała się go i kochała razem. A gdy matka jej mówiła o gwałtownym charakterze, o postrachu, jaki, choć tak młody, obudził w okolicy, Bregilda odpowiadała: „ale mnie kocha jak mnie nikt jeszcze nie kochał i kochać nie będzie.” Serce kobiety tyle dać może miłości iż nawzajem pragnie, potrzebuje jej koniecznie; nadzieja osiągnięcia tego potrzebnego do jej egzystencji żywiołu, zakrywa przed jej oczyma wszystkie trudności, niebezpieczeństwa na jakie się naraża. Mówimy tu o kobiecie w całym znaczeniu tego wyrazu, nie o dziecku niepojmującym godności swojej, nie o lalce, oddanej drobiazgom, dla której strój jest najważniejszą kwestją żywota, która od kolebki hołdując próżności, najpierw żywi ją w sobie, potem w dzieciach, a w końcu we wnukach swoich.

Wiadomo że jak wielki prawdziwy rozum, tak i silna prawdziwa miłość nie jest zarozumiała. Konstancjusz od czasu kiedy kochał, był nieśmiałym, bo się uważał niższym od wszystkich znajomych. Rudolf zręcznie od niego na koniu jeździł; Adalberta bogate suknie daleko piękniej odznaczały wysmukłą kibić; Klaudjusz umiał zaśpiewać i pisać. On tylko jeden widział się ogołoconym ze wszystkich przedmiotów, mogących, jak sądził, zająć kobietę. Zapomniał że on jeden miał tak piękne czarne oczy z płomiennym spojrzeniem, wyniosłe, dumne czoło, wspinała, odznaczającą siłę i mężką postawę — i że on jeden tak ją namiętnie pokochał.

Nie umiałby wyjść z położenia swego biedny Konstancjusz, gdyby baron nie przyszedł mu w pomoc. Wiedząc od towarzyszy jego, że walecznemu rycerzowi zbrakło odwagi aby prosić o rękę pięknej dziewczyny, sam go z uśmiechem zapytał? czy to prawda, i do stóp żony przyprowadził. Nie dość to jeszcze było dla Konstancjusza, on był pewnym, że gdy wyjdzie przywołana Bregilda, rzuci się łkając do nóg rodziców aby przeciwko sercu nie rozrządzali jej ręką. Któż więc opíše upojenie młodzieńca, gdy piękna

dziewica zarumieniona i z uśmiechem, odgadłszy przyczynę dla której stał jak delikwent ze spuszczo-
ną głową: pierwsza podała mu rękę, mówiąc z cicha:
„Wraz z ręką masz serce moje.”

W dni kilka potem odbyły się zaręczyny, po któ-
rych baron z rodziną udał się do zamku, gdzie za-
wsze w zimie mieszkali. Konstancjusz odjechał do
siebie, aby dla ukochanej przyrządzać komnaty. Gdy
minawszy most zwodzony stanął nad fatalną poręczą,
nagle znów jakby przykry zapomniany dłużnik
ozwało się wspomnienie strasznego uczynku; raz na
zawsze tedy zniszczyć pamiątkę jego postanowił.
Rozkazał aby wszelkich użyto środków do wzniesie-
nia w tém miejscu jaknajprędzej baszty; przy tarasie
bowiem kończącym się murowaną z żelaznemi łańcu-
chami poręczą, było lewe skrzydło zamku, z mie-
szkalnemi pokojami. Prawe skrzydło urządzić dla
gości kazał, a korpus z największym przepychem
dla siebie i małżonki swój przyozdobić zalecił. Lewe
zaś skrzydło zamku, tam gdzie blisko fatalna poręcz
była, przez pół dla ludzi służebnych a przez pół na
basztę zamienione mieć chciał. Obrachowawszy kasę
podskarbi i marszałek razem, przedstawili iż na
tak wielkie wydatki nie wystarczy. Konstancjusz ka-
zał pożyczyć, lecz gdy marszałek trudności do tego
wykazując, poradził, aby lepiej od lenników i podda-
nych nowy wyciągnął podatek w bydło, owcach i t. d.
zgodził się na to. Zostawiwszy rozporządzenie a ra-
zem najsurowsze rozkazy żeby wszystko wypełniono,
pospieszył do barona dla Bregildy z darami, po któ-
re sam do miasta jeździł.

Siedziała sama w wielkiej komnacie długimi
a wązkimi oknami oświetloną piękniejsza, jak kiedy
Bregilda, gdy stanął przed nią znacznie prędzej ni-
żeli się spodziewać mogła, Konstancjusz. Powitaw-
szy ją na kolanach, wyjął bogaty złoty łańcuch naj-
droższymi wysadzany kamieniami. „Więzy?” rzekła
z uśmiechem Bregilda kładąc łańcuch na łabędzią
szyję. „Ah! co mówisz pani! — odrzekł oburzony —
wszak możesz je zrzucić kiedy zechcesz, możesz ich
nie nosić wcale. Ja to mam kajdany, których do
śmierci nie zrzucę — dodał z tkliwym uśmiechem, od-
słonił rękaw i pokazał ogniwa złotego łańcucha spo-
jone na ręce lewej z wyrzynanemi literami. „Patrz!
oto na na wieki okuta ręka moja imieniem twojem,
na znak że ja niewolnik twój.” „Czy tylko zawsze
tak kochać mnie będziesz?” — zawołała mimowolnie
rozrzewniona Bregilda. „Jabym cię czcić przestał
królowo moja? Oh gdybym kiedy był ci nieposłu-
sznym, gdybym zatrął jedną chwilę życia twego,

oby mnie Bóg ukarał, oby dusza moja gorzała w pie-
kle jak te głównie w ogniu!” — rzekł z zapalem wska-
zując na ogromny po środku komnaty będący komin,
na którym duże brzoźowe paliły się kłody. „Co mó-
wisz! — zawołała chwytając go za rękę blednąca Bre-
gilda — ja nie mogę słuchać przekleństwa” — dodała
słabym głosem. „Przebacz! już żadne nigdy z ust
moich nie wyjdzie, ależ na cóż-bo wątpić mogłaś?
Nie lękaj się pani, nie ściągnę go na siebie, choć-
bym chciał nawet” — dodał z uśmiechem. Konstancjusz
tak czuł w téj chwili, tak myślał i tak mówił.

Wkrótce po przybyciu narzeczonego, dzień ślubu
naznaczonym został: przystąpienie do Sakramentów
przed ślubem i wtedy było koniecznością. — Zasiadł
więc w konfessjonale poważny kapłan, w czarnej su-
kni ze złotym krzyżem, którego mu za jego zasługi
z Rzymu przysłano. Gdy odeszła Bregilda, przystą-
pił Konstancjusz widocznie pomieszany. Spowiedź
była dość długa — a w końcu podniesiony prawie do
głosu szept penitenta, zdradzał jakby sprzeczkę ja-
kąś; zdawało się jakby się o pokutę lub rozgrzesze-
nie targowano — w końcu odszedł, bijąc się w piersi,
a kapłan nadzwyczaj blady, chwiejącym się krokiem
udał do ołtarza dla odprawienia Mszy świętej. Gdy
przyszło do ślubnego błogosławieństwa, kapłan z cięż-
kością dobył głosu, jakby mu go ciężar jakiś przytło-
czył. Niektórzy uważali że coś dziwnego zajść mu-
siało między panem młodym a księdzem ale nic nie
mówili; drudzy uważali i mówili, ale ci i tamci wśród
weselnych zabaw zapomnieli o wszystkim. Tylko
matka Bregildy nie zapomniała, przejęta trwogą ze
łzami zanosila modły do Boga. Pytała księdza dla
czego tak lica jego pobladły, tak niepewnym był
krok jego gdy się do Ołtarza zbliżał. „Mocno byłem
utrudzony i wzruszony, córko moja! Obrzęd ślubny
nie jest mi nigdy obojętnym, a témbardziej gdy mia-
łem błogosławić Bregildzie którą kocham jakby wła-
sne dziecko. Módlmy się gorąco, aby Bóg jój w tém
i w przyszłym błogosławił życiu.”

Kilka tygodni zatrzymano państwa młodych, nie
spieszył się Konstancjusz, lubo mu pilno było u sie-
bie przyjąć żonę i gości, ale nie dawano mu znać o u-
kończeniu zamku, a przed tém nie mógł wyruszyć.
Posyłał więc gońca za gońcem surowe wydając roz-
kazy aby pospieszono robotę. Wiele się lało łez i krwi
u podnóża strasznego zamku. Zabierano dobytek-
poddanym pędząc noc i dzień do roboty, mordowa-
no, katowano, kto się śmiał jednemu lub drugiemu
opierać. Nareszcie przyszła pożądana wiadomość że
wszystko gotowe. Z błogosławieństwem sędziwego

kapłana, wśród łez matki i domowników wyruszyła młoda para.

Konstancjusz znalazł wszystko dobrze, bo istotnie odnowiony, ozdobiony zamek wspaniale wyglądał. Nagroził hojnie rządce a nadto rozkazał aby mu podano liczbę poddanych, ze wszystkich włości jego, z wyszczególnieniem ich mienia. Rządca lubo gotów do łupieztwa, widząc wszakże niepodobieństwo użytkowania jeszcze czego na nędznych mieszkańcach dolin, ośmielił się przedstawić, iż mienie ich dziś jest prawie żadne i nie można już nowych nałożyć danin. „Nie o to idzie — odpowiedział — chcę wiedzieć ile mają, abym wiedział ile im mam rozdać na pamiątkę zaślubin moich, — również chcę wiedzieć — dodał — ilość opłaty każdego lennika mego, abym ją zmniejszył. Nadto chcę aby zwolna przygotowywano materiały na duży kościół, którego nie mają mieszkańcy dolin moich, a który wzniosę pod imieniem patronki żony mojej.” Wydawszy te rozkazy — już jakby wolniejszemi piersiami odetchnął Konstancjusz.

Nie spieszyli się z wykonaniem rozkazów pana, czując instynktowie że za to zbyt wielkiego nie ściągną na się gniewu. Szły więc rzeczy po dawnemu, a złoto za córką przez barona dane, wyczerpywało się tymczasem na uczyty najwspanialsze. Nareszcie rządca, czy to przez chęć skorzystania na rozdaniu zasiłków, czy też wzruszeni nędzą i głodem wieśniaków, przynieśli spis poddanych, ich walących się chat, i potrzeb koniecznych. „Niegodziwcy! — zakrzyknął Konstancjusz, przebiegłszy okiem spisy i wszędzie wycytując: głód i nędzę. Niegodziwcy! — powtórzył — to oni doprowadzili moich poddanych do tej nędzy i głodu, albo też w istocie tak nie jest; — jakichżeby to skarbów potrzeba na poprawienie bytu ludzi, którzy wcale nic nie mają? — to niepodobna! Sam w to wejść muszę.” To rzekłszy schował nieszczęśliwą listę nędzy i głodu.

Tymczasem głód i nędza z zapadłemi oczyma, wyschlęmi policzkami, obnażonemi ramionami wyglądała z każdej chaty z nadejściem wiosny. Nie wiadomo o niej w zamku. Szczęśliwa Bregilda, kochała męża wszystkiemi władzami duszy swojej. Widziała, czuła w nim straszną potęgę siły, ale nie straciła jeszcze wiary w siłę miłości swojej, i jak dzieci igrają ze lwem, bez obawy w każdej chwili, czy to brwi jego pochmurzone, czy też jasne widziała oblicze, zbliżała się doń ze swobodnym uśmiechem, z dziecinną pieśczością. Konstancjusz kochał żonę, jak średniowieczny rycerz, którego zawsze w ostatecznościach, zarówno Boga jak kobietę, tylko w abstrakcyj-

nych cził pojęciach. Póki kobieta była dla niego nieprzystępną, idealną istotą, póty była *Panią myśli i woli* jego — póty niósł życie na świadectwo piękności i cnót jej, póty ta wszechwładna królowa serca jego, mogła się po nim wszelkich spodziewać ofiar. Nie tylko miłość ale cześć dla niej nie miała granic. Imienia jej, jakby imienia świętej patronki wzywał w niebezpieczeństwach — imię to wraz z ostatnim oddechem zamierało na ściętych śmiercią ustach jego. Zgoła, była ona pierwszą i ostatnią jego myślą. Lecz skoro ten upragniony i raz uchwycony ideał stał się towarzyszką jego, wtedy jak anioł z obłoków spadły, tracił cały urok. Nie była to już bowiem nadziemską, wyższą, *królową myśli i serca*, ale była raczej niższa od niego, bo słabsza w siłach, istota. Wtedy piękność jej, jeżeli ją posiadała, stawała czas jakiś na straży w obronie przeciw brutalstwu, do jakiego sposobem życia i obyczajami domowemi nawykł; ale to zawsze *czas jakiś tylko*.

Rok się kończył, jak Konstancjusz poznał swą Bregildę, a dotąd jeszcze żadna gwałtowna scena nie zdradziła zmiany uczuć jego, bo tej Bregildy piękność nowego nabrała uroku; miała być matką, miała mu dać potomka znakomitego, niegdyś bardzo rozgałęzionego rodu, którego on był jedynym szczepem. Mimo to jednak zaczął oddalać się z zamku na dłużej, trawiając czas na łowach w odległych kniejach. Teschniła Bregilda, ale się nie dziwiła; było to bowiem obyczajem wieku, nie przypuszczała więc żadnej w uczuciach męża zmiany. On także o niej nie wiedział, on poprostu zapomniał że miał kiedyś cześć i uwielbienie dla niej, tak jak zapomniał że była chwila w której chciał ludziom nędznym, poddanym, ulżyć niedoli, że to poprzysiągł nawet — tak dalece zapomniał o tém, że ponieważ zjechać się mieli rodzice i dostojni goście na chrzest spodziewanego potomka, rozkazał nowe zebrać w bydłach i produktach daniny, aby liczne dwory i służba przybyłych gości, znalazła zapas wszystkiego. Nieszczęśliwi poddani słyszeli że pani zamku jest dobra jak anioł, umyślili upatrzeć chwilę, żeby jej przedstawić nędzę swoją. Lecz jak to uczynić? — wszelki przystęp był niepodobnym. Doprowadzeni do ostatniej rozpacz, nie mogąc łez i cichęj prośby złożyć u stóp pani, postanowili zająć drogę samemu panu gdy na łowy wyjeżdżać będzie. Skoro więc usłyszeli o przygotowaniach, skoro zaczęto spędzać ich aby pilnowali kniei w stroonie gdzie pan polować miał, zebrało się z każdej poblizszej wsi po kilkunastu starych, napełniając krzykiem powietrze: „że chcą z samym władcą mówić.”

Obtoczyli go gdy się spuścił w doliny. Otaczający go zbrojny orszak rozbijał nieszczęśliwych. Zdziwiony a razem oburzony śmiałością, wołał Konstancjusz: „Mordować ich, schwytać żywcem i powiązać dowódców buntu!” „My wszyscy równi—odpowiedzieli—nie ma dowódców, nie ma buntu, my tylko chcemy chleba, błagamy litości, bo nas ze wszystkiego obdarto!” „Chwytać, wiązać wszystkich!” — krzyknął Konstancjusz — i zaprowadzić do więzień zamkowych” — dodał. Rozkaz wykonany został i kilkudziesięciu ludzi nędznych i zgłodniałych, wtrącono do lochów zamkowych, drugie tyle rannych i nieżywych zostało na placu, a pan pojechał na łowy. Pomimo wielkiego rozdziału jaki w owym czasie istniał pomiędzy mieszkańcami zamku a niewolnikami czyli poddanymi, jednakże przez służebne kobiety, które same także słabe i uciśnione, litość czuć umiały, doszła wieść do Bregildy że kilkudziesięciu chłopów zamkniętych zostało do piwnic zamkowych, gdzie zimno i głód cierpią. Natychmiast rozkazała aby nagotowano i zaniezione im ciepłej strawy i chleba, a dowiedziawszy się że są prawie nadzy, a zimno przenikające w skalistych wilgotnych lochach jest nie do zniesienia, przywołać kazała rządcę, który pod strażą żołnierzy przyprowadził tych nieszczęśliwych. Rządca opowiedziawszy co się stało, dodał, iż pan sam kazał ich zamknąć. „To nie podobna — zawołała Bregilda — aby ludzie tam do powrotu pana zostawali, trzeba ich zaraz wypuścić.” „Ależ pan — odpowiedział jąkając się rządcą — gniewać się będzie.” „Ja biorę wszystko na siebie, na mnie się gniewać nie będzie,” dodała z pewną dumą — „ja każę żeby ich wypuścić” — rzekła z przyciskiem i odeszła do swojej komnaty.

Widzieli wszyscy bliżsi dworzanie jak kochał Konstancjusz piękną Bregildę i z jakiego pochodziła domu — rozkaz jej więc rządcą wypełnił natychmiast mimo obawy jakiej pozbydź się nie mógł.

Zdano raport iż wszyscy nakarmieni i obdarzeni żywnością na drogę, według rozkazu pani, opuścili więzienie, oprócz trzech, których lekkie jak zdawało się rany, w skutek zimna i braku opatrzenia, do zupełnej ich niemocy przyprowadziły, tak iż lada chwila grób tam znajdują. Bregilda rozkazała mieć o nich staranie — a gdy w tym samym dniu przybył z jej matką sędziwy kapłan, któren jej ślub dawał, aby spodziewanego dziedzica chrztem świętym obdarzyć, Bregilda prosiła świętobliwego ojca aby sam poszedł do lochów zamkniętych i ostatniej, w razie potrzeby, umierającym udzielił pomocy.

„Nieszczęśliwi przeszli już do lepszego życia (rzekł) przy mnie, jeden żyje jeszcze, ale także długo już cierpieć nie będzie.” „O mój Boże! czyż nie było środka ratunku dla nich?” „Nie żałuj ich moja córko! raczej ciesz się że cierpieć przestali.” Słowa te głębokie na Bregildzie uczyniły wrażenie, raz pierwszy pomyślała, jak wiele nędzy i cierpień ciąży na ich poddanych, a oni żadnej nie niosą im ulgi. „Będzie inaczej — mówiła do siebie — zaklnę go na miłość moją ażeby dał zapomogi — on wszystko dla mnie uczynić gotów.”

Konstancjusz krótko bawił na łowach, jakkolwiek pełna knieja była zwierzyny; straż wieśniaków nie wypuszczała jej w inną stronę, przecież kilka sztuk tylko ubił — i milczący, zamyślony wrócił do domu. „Zkądby się wzięła śmiałość taka u tych nędzników? mówił do siebie — nigdy, od kiedy żyję, nie dopuścili się tego — w czasie ostatniego najazdu, w gorszej byli nędzy a przecież milczeli — niezawodnie podburzeni zostali, albo nędzny Girtold pamiętając na miecz mój, podburzył ich, mając dalsze zamiary — albo lennicy, którzy także hardo stawić się śmieli nie dawno! Muszę spieszyć do zamku i wziąć na ścisłe badania tych nędzników i zmusić ich do wyznania prawdy — a wtedy — biada Girtoldowi, biada lennikom lab komukolwiek co śmiał pomyśleć o mojej krzywdzie.”

Takimi i tym podobnemi myślami zajęty, spieszył Konstancjusz do zamku: radby był jednej minuty stanąć i rozjaśnić fatalną dla niego tajemnicę.

Gwałtownie zabiło serce Bregildy, gdy jej znać dało że pan już most zwodzony przejeżdża. Obok uczucia radości z tak niespodziewanego powrotu męża, doznała i trwogi, lecz starała się natychmiast tę ostatnią pokonać. „Czegóż ja się obawiać mogę? żem wypuściła tych biednych? Wszakże ma łańcuch, którym sam okułam rękę; ucałuję tę rękę i nawzajem otrzymam uścisk!”

Konstancjusz stanawszy na zamkowej górze, zatrzymał się przed warownią więzienną — rozkazał halabardnikom aby z piwnic wyprowadzono winowajców, do sali dolnej, gdzie sam ich chce widzieć. Któż opisze zadziwienie a razem wściekłość jego, gdy mu oznajmiono że ich nie ma, że z rozkazu pani wypuszczeni zostali. Rozkazawszy aby natychmiast rządcą i dozorca więzień na ich miejsce zamkniętymi zostali, sam pospieszył na zamek. Raz pierwszy w życiu jego, ktoś śmiał wydać i wykonać rozkaz wprost przeciwny woli jego! „A! więc — rzekł sam do siebie — ona w zмовie z nieprzyjaciółmi memi? To niezawo-

dnie Girtolda sprawa! On to trafił do niej. Ten w czarnej zbroi rycerz z jednym giermkim, którego widziałem dziś od strony zamku jadącego, to on był zapewne! Dowiedzieć się muszę!—o! biada mu i jój biada!” Od wypadku z nieszczęśliwym zakonikiem po raz pierwszy pozwolił sobie Konstancjusz w taką wpaść zapalczywość. Natura jego zdawała się dopominać o zadany jój tak długi przymus—od owego bowiem czasu, Konstancjusz wstrzymywał się i unikał przyczyn do gniewu.

Z otwartemi rękoma wyszła na spotkanie męża Bregilda chcąc się rzucić w objęcia jego—lecz ten odtrącił ją od siebie—padła nieszczęśliwa na krzesło pchnięta bardziej siłą boleści, niż ręką męża.

„Mów prawdę—krzyknął rzucając na nią gniewne spojrzenie. Biada ci jeżeli ośmielisz się skłamać! kto cię nakłonił do wypuszczenia tych nędzników?”

„Nikt mnie nakłaniać nie potrzebował—odrzekła słabym głosem—przez litość wypuścić ich kazałam, żeby nie pomarli w tak zimnych i strasznych lochach, wszak masz serce...”

„Zkąd wiedziałaś — przerwał jój wrzeszcząc — że tam zimne lochy? Kto ci powiedział o ich zamknięciu! Mów prawdę! To Girtolda sprawa?”

„Nie widziałam Girtolda” — odrzekła blada jak trup Bregilda — a bojąc się żeby nie ściągnąć kary na służebne które jój powiedziały, dodała, nie wiedząc co mówić: „Przecie wiadomo jak straszne są te lochy, ksiądz je widział, ksiądz był w nich...”

„Co ty mówisz! — co ty mi wspominasz księdza? jakiego księdza? — ja nie pytam o księdza — w obłąkaniu wołał Konstancjusz — podnosząc rękę do góry jakby nią chciał uderzyć żonę — która sądząc że prośbą łagodną coś uzyska, oczy ku niemu podniosła — lecz spotkawszy piorunujące, obłąkane ze złości spojrzenie — krzyknęła mimowolnie i zakryła sobie oczy. Opamiętał się trochę Konstancjusz i spuścił rękę na dół, ale z taką gwałtownością uderzył nią o stół, mówiąc: „kto ci doniósł że są więźniowie w lochach?” iż złote ogniwa przed rokiem w równie gwałtownym uniesieniu miłości jak dziś gniewu spojone, rozprysły się na kilka części i z odgłosem na kamienną padły posadzkę. Tego było za wiele na wątłą organizację pełnej uczucia Bregildy. Gdy usłyszała brzęk strzaskanego łańcucha; odjęła rękę od oczu, a spostrzegłszy na kamieniach ogniwa jego, uczuła, zrozumiała, że szczęście całego jój żywota również się rozprysło! że je zgruchotała ręka ukochana! — załamała ręce i głowę pochyliła na ramię, jak kwiat biednej czułości nieświadomą ręką przechodnia dotknięty.

„Milczysz? — wrzasnął znów Konstancjusz, nie rozumiejąc słabości kobiecój — a gdy nie usłyszał odpowiedzi, stuknął po raz drugi i trzeci ręką — powtarzając pytanie. Nareszcie zniecierpliwiony porywa za rękę żonę — wtém uderza go zimna i sztywna dłoń jój, nieruchome zamknięte powieki! — lecz strach, żal, jeszcze się tylko złością objawić w nim mogą. „Co to jest! — woła groźnie wstrząsając gwałtownie całą jój wątłą postać, jakby chciał powiedzieć: „*śmiałażbyś umrzeć?*” „Co to jest?” powtarza rozpaczliwie — nareszcie widząc że bezsilną jest woła jego, że ofiara leży na poręczy krzesła zupełnie martwa — pochwycił się za włosy, potoczył w tył jak obłąkany, a oparłszy się o ścianę: „Ratunku!” — stłumionym zawołał głosem — a gdy nikt nie przybywał, jakby ze snu obudzony, pochwycił świstaczkę wiszącą u pasa, i dmuchnął w nią z całych sił tak rozciągle i przeraźliwie iż cała służba zbiegła się.

Przybyła uwiadomiona matka ze służebnemi i wśród łez i rozpachy zaniesiono Bregildę do jój komnaty. Kapelan znający się trochę na medycynie, zapewnił że życie nie ubiegło zupełnie, a nie wiedząc co zaszło, przypisał to odretwienie zbliżającej się i oczekiwanej chwili rozwiązania, i stosownych kazał użyć środków do przywrócenia cyrkulacyi krwi, a tém samym życia.

Co robił Konstancjusz?... Nie pospieszył on do komnaty żony. — Gdy mu przytomność wróciła, gniew na siebie obrócił. Chodził po próżnej izbie, darł włosy na głowie, tłukł pięściami o szare ściany izby — a potem gdy go ta reszta szalu ominęła, rzucił się na krzesło, zakrył oczy, i po raz drugi w życiu uczuł że przed ludźmi wstydzic mu się należy.

Dowiedział się, że za staraniem kapelana przyszła do życia Bregilda — pragnął ją widzieć, lecz iść do niej nie śmiał. Nigdy w życiu nie przeproszał nikogo, a mimo-to przyszło mu na myśl, że za tak niesprawiedliwe obejście się, winien nagrodzić matkę spodziewanego dziecięcia swego. Zastanowiwszy się bowiem i dowiedziawszy o bytności kapelana i baronowej, domyślił się że to nie Girtold, lub lennicy, ale pobożny kapłan mówił jój o ciężkim w lochach więzieniu. Chcąc jednak okazać względy i troskliwość, posłał prosić kapelana do swojej komnaty. Lecz próżno oczekuje — godziny mijają — ten nie przychodzi — znów się niecierpliwić poczyna — wyprawia trzech, jednego po drugim posłańców. W końcu staje przed nim siwy kapłan z surowym i smutnym obliczem.

„Dla czego mi tak czekać kazałeś, mój ojczy?”

„Oddawałem ostatnią posługę żonie twojej mój synu! Zgodź się z wolą Bożą! powołał ją Bóg do siebie wraz z synem, którego nie żywy przyszedł na świat.” Konstancjusz zrazu jakby nie rozumiał słów tych; wpatrywał się dzikim wzrokiem—gdyż postać kapłana dziwne w oczach jego przybrała kształty—zdawało mu się, że niby *tamten* z podniesionym do góry palcem stanął przed nim. Przeżegnał się jakby chcąc odegnąć marę i zapytał księdza co mówił. Ten powtórzył mu smutną wiadomość. Nie chciał zrazu wierzyć nieszczęściu swemu Konstancjusz — w jednej chwili stracić żonę i syna tak upragnionego, zdało mu się niepodobnym, okropnym. Lecz przekonawszy się o strasznej prawdzie, oddał się ciężkiemu żalowi. Bregilda, jakby śpiąca, w tęż samą co do ślubu ubrana suknię, świętością śmierci otoczona, znów się dla niego stała wyższą, anielską istotą, której posiadać nie mógł, i znów miłość, cześć jaką tylko mieć można dla ideału, w nim się obudziła.

Czarno ubrany, w komnacie żałobnym kirem wybitój, przepędził dzień i noc obok ciała Bregildy w łożach i modlitwie, w tém ciągłym podniesieniu ducha, do jakiego ówczesni ludzie byli zdolni. Na wspaniałym pogrzebie zaprosił kazał licznych dostojnych gości i duchownych swoim kosztem z odległych miast po sprowadzał.

Działo się to, jakeśmy wyżej wspomnieli, w XI wieku. Pielgrzymi do Grobu Chrystusa coraz liczniej uczęszczający, z razu nie źle, przez Arabów umiających korzyści z tych odwiedzin ciągnąć, przyjmowani; potem po opanowaniu Palestyny przez Turków Seldżuków, prześladowani, mordowani, skargami swemi napelniali powietrze. Grzegorz VII, myślał o oswobodzeniu Grobu Pańskiego, ale mimo całej potęgi jego niepodobnym się to wydało. Gdy nagle zjawia się bogaty w siłę ducha, a ubogi w postaci pustelnik wracający z Palestyny, sławny Piotr z Amiens. Żywymi kolorami maluje nieszczęścia i męczarnie Chrześcijan na Wschodzie, zachęca do ich oswobodzenia; w Imię Chrystusa namawia do wydobywania z rąk niewiernych Grobu Chrystusowego. Zaparłszy się wszystkich potrzeb ciała, nieustraszony, niezmordowany Asceta, przebiega szybkim krokiem Zachód, a mianowicie ojczyznę swoją, Francję. Wymowa jego powszechny obudza zapał. Papież Urban II ulega wpływowi jego i wzywa do świętej walki, a nieprzeliczone tłumy najmożniejszych i najbiedniejszych wydają jednogłówny okrzyk: „Bóg tak chce” porywają krzyże i na klęczkach domagają się o uczestnictwo w świętej wyprawie. — Na chwilę wszystkie namiętności

zostają w zawieszeniu; jedynie miłość do Chrystusa i grobu Jego zajmuje wszystkich. Dziwne-to były wieki! Oczywista walka materji z duchem, oczywiste ścieranie się tych dwóch olbrzymich sił miały ludzkością. W niczém równowagi, stopniowania. Oto władca potężny, nienasycony, ciemniący, bez żalu, bez wyrzutu sumienia krew i łzy w koło siebie wywiska, rzekłbyś: „*to człowiek bez duszy, raczej zwierze:*” nagle, czy to słowem, czy przykładem świętości, rozbudza się w nim iskra nieśmiertelna, Boża, lecz z taką gwałtownością, że zamiast oświecić, oczyścić ciało, chce go zniszczyć, zatracić zupełnie; i ten władca, wśród głodu i nędzy, z workiem pokutnika na głowie, popiołem posypany, idzie na klęczkach do ziemi świętej, znosząc niesłychane posty i umartwienia. Lecz fizyczność w całej sile dopomina się o prawa swoje, i wtedy następuje reakcja. Materja jakby się mścić chciała na duchu chwilowej przegranej; znów go zupełnie opanowuje, a władca znów czasem wpada w straszniejsze jeszcze zezwierzęcenie, okrutniejszym niż pierwej oddaje się mordom. A przecież, nie były bezowocnymi te chwilowe zwroty! czemużby dziś była ludzkość, gdyby choć takimi wyskokami nie wrywała się z pod panowania materji, gdyby nie walczyła wcale z tą wszechwładną poganizmem monarchią?

Na wspaniałym pogrzebie Bregildy znajdował się mnich, który niedawno przybył z pięknych za Jurańskich okolic i dziwne rzeczy o zbieraniu się rycerzy krzyżowych opowiadał. Słuchał go z zapałem Konstancjusz. — Nieczynność, żal, łzy, nie zgadzały się z jego ognistą naturą. Spowiedź po śmierci żony zobowiązywała go do żalu za grzechy, do pokuty której nie dopełnił przed ślubem. Czyż mogło być lepsze pole do naprawienia złego, przebłagania za zbrodnie swe Boga, jak pójść i wyswobodzić braci w niewoli Tureckiej jęczących, jak zdobyć z rąk niewiernych Grób Zbawiciela? Nie waha się jednej chwili, przywdziewa płaszcz czarny z krzyżem. Gdzie mała zamkowa kaplica, wznosić kościół każe. Po raz pierwszy w życiu do poddanych swoich, do lenników, przemawia jak do braci, zachęcając ich aby poszli z nim dzielić niebezpieczeństwo i zasługę; każdego którego przystaje na żołd swój, na dobrą żywność bierze, każdemu przyzwoite daje odzienie. Nieszczęśliwi dotąd poddani, w tej zmianie oczywisty cud Boży widzą. Nie tylko że nic nie wymaga od nich, lecz nadto głodnych i nagich karmi i odziewa taż sama, co ich przed miesiącem mordowała ręka! „*Bóg tak chce*” powtarzają, i cisną się tłumnie aby należeć do świętego orszaku.

Istotnie Bóg chciał widać zachować w odpoczynku lud nieszczęśliwy gnębiony przez feudalnych panów, i powołał tych ostatnich, aby na inną ziemi krwią i nędzą własną choć część spłacili dług.

Sędziwy, białowłosy kapelan błogosławił wychodzącym. Obejrzał się z żalem na zamek Konstanjusz, gdy stanął w dolinie. Zdawało mu się jakby dwa cienie, jeden w ciemnej zakonnej sukni, drugi w jasnej dziewiczej, otoczone mnóstwem obojczy płci twarzy bladych, unosiły się nad wieżami zamkowemi, i jakby mu jakieś dawały znaki. Coś dziwnego działało się w duszy jego. Nieledwie był gotów zwrócić kroki, jakby party niewidzialną mocą; lecz nagle odzyskawszy przytomność zastanowił się, że do przeszłości wrócić nie można! że nic go tam nie wiąże już! — puścił się więc w dalszą podróż.

Lat parę nie słyhać było o krzyżowych rycerzach, w okolicy opustoszałego zamku wśród gór leżącej. Dopiero gdy rozgłos zdobycia Jerozolimy rozszedł się po Europie, wieść ta i do mieszkańców Oberlandu doszła.

Wróciło kilku wiesniaków z wyprawy — opowiadali krwawą jej sceny, ale o właścicielu zamku, władcy swoim, żadnej prawdziwej nie przynieśli wieści — jedni mówili iż odznaczał się męstwem i okrucieństwem i że liczne zebrał w Jeruzalem skarby, niewiedzieć gdzie się z niemi podział; drudzy że go w pierwszym zamordowano boju. Tę ostatnią wieść potwierdzano ukazywaniem się czarnej postaci, którą, to właśnie to na jawie rozmaitemi spostrzegano czasami.

Im w dalszą ten wypadek zapadał przeszłość, im bardziej zamek ulegał zniszczeniu przez wojny i najazdy dalekich krewnych, kłócących się o jego posiadanie; tém cudowniejsze, tém dziwniejsze o nim opowiadano legendy, i każdy wiek przystrajał go w swoje szaty; dawniej mówiono że to pokutująca dusza — w końcu stanęło na tém: że duch dawnego właściciela przed każdym mającym się komu wydarzyć nieszczęściem, ukazuje się mieszkańcom jako złowrogi zjawisko.

W pięknej jesieni roku 1824, pewien młody podróżny usłyszawszy wątek tej legendy i opisawszy ją tak, jakśmy tu umieścili; pragnął zwiedzić okolicę i przypatrzeć się szczegółowo skałom, rozwalinom, szczątkom kościoła, a bardziej dzwonnicy, jako pozostałym resztkom po niegdyś panującym na zamku rodzie. Poznawszy się w podróży swojej z profesorem z Frejburga, który dla odebrania spadku familijnego razem z nim do miasteczka Brientz przyjechał, wspólnie z nim zwiedzał te ciekawe miejsca; a jako krajo- wiec dostarczał mu różnych objaśnień.

„Czy pan nieodmiennie opuszczasz jutro te okolice?” — zapytał podróżnego.

„Tak przynajmniej zamierzyłem sobie i od tego planu nie chciałbym odstąpić, bez ważnych rozumie się przyczyn” — odpowiedział podróżny.

„To jest kwestja, co pan, zwiedzający dla przyjemności i poznania kraju naszego, nazywasz ważnym? Podług mnie ważnym byłoby powodem zostać na weselu pięknej młodej dziewczyny, córki właściciela gruntu i pięknej trzody z wioski Kienholz, którą tu widzimy. Będiesz pan na uczcie weselnej, przypatrzysz się zwyczajom jakie w Polsce nie są znane, zgoła podług mnie warto zostać dla takiej uroczystości dzień jeden. Ja poznałem się blisko z ojcem narzeczonej, wprowadzę pana i będziesz mile przyjętym gościem.”

Nasz podróżny z łatwością dał się namówić i właśnie gdy o tém rozmawiali, spostrzegli dwie młode Szwajcarki prowadzące kozy na paszę, której obfitości nie było przy brzegu. „Otóż widzisz pan, ta ładna ze spuszczonego oczyma dziewczyna co obok tej hożej, rumianej, bladą się wydaje, jest to właśnie narzeczona o której mówiłem.”

„Jutro ślub jej? — rzekł podróżny — a tak jakoś smutno patrzy? — czy przymuszają ją do tego związku?”

„Oh nie wcale, od dwóch lat stale kocha swego narzeczonego, któremu różne familijne trudności nie dozwoliły jej poślubić. Dziś już wszystko pokonanem zostało, ale znów zaszła pewna okoliczność, która im zatruła te uroczyste chwile szczęścia, okoliczność śmieszna, zabobon, których tu pan pełno spotkać możesz. Zapomniałem mówić panu o tém, gdyśmy zwiedzali stare rozwaliny zamku. Jest tu przesąd, że jakiś duch pokazuje się na wierzchu tej góry lub w jej okolicy tym, których ma spotkać nieszczęście. Pastarze opowiadali młodej narzeczonej iż widzieli jak duch jakiś ciemnej postaci spuścił się w dolinę i jakby ich trzody chciał rachować, wskazywał na nie. Przestraszeni tym wypadkiem uciekli i gdy to opowiedzieli starym, starsi pokiwawszy głowami, zapowiedzieli że niezawodnie wioskę, jakaś klęska, czeka, i że jej już odwrócić nie można. Eliza, takie ma imię narzeczona, widać przejęła się tém przepowiedzeniem, a że młoda, z wyexaltowaną wyobraźnią, chciała koniecznie sprawdzić czy istotnie duch złowrogi okazuje się; poszła więc nad wieczorem do probostwa Brientz i puściła się ścieżką wiodącą ku górze, pod pretextem że jej mchu rosnącego na skałach potrzeba było. Jak mi opowiadała, najpierw pies zaczął

szczezać patrząc w jedno miejsce ciągle—ona zastanowiła się i z bijącym sercem czekała czy nie ujrzy czego — w tém czarno ubrany, z kapeluszem jakby w pióra strojnym, wyraźnie rycerz jakiś, spuszczał się z zamku ku rozpadlinom, idąc i jakby wskazując na nie. Przestraszona Eliza szybko wracać zaczęła. Odtąd nic ją już nie cieszy, zmizerniała, zbladła jakby wyrok śmierci ciężał nad nią. Cieszę się że bez żadnych przeszkód oczekiwany narzeczony, którego ma rodziców w Lucernie, przybył onegdaj—już jedna obawa ustała. Eliza bowiem lękała się że jego nieszczęście w drodze spotka i że go już nie zobaczy. Mimo to, przesądna dziewczyna jeszcze się obawia jakiegoś nieszczęścia, bo powiada że czarny duch zamczyska nie pokazuje się nadarmo.

„Biedna dziewczyna!—odrzekł podróżny. „Pan nie masz wyobrażenia — mówił dalej professor — jak po największej części racjoniści są przesądni, prawdziwie jakby na urąganie rozumowi, którym zastąpili wiarę.”

„Ależ pozwól pan powiedzieć że i u nas jest pełno rozmaitych dziwactw: to zależy od wykształcenia, od wyobraźni mniej więcej rozbującej, a nawet od nerwów; bo te rozmaite duchy, strachy, w jakie u nas czasem najporządniejsze wierzą osoby, niczem innem jak grą nerwów lub halucynacją nazwać nie można”— odpowiedział podróżny.

„Przyznaj pan że to ma u nas zupełnie inną, głębszą myśl — i tak, jeżeli coś nadprzyrodzonego zdarzy się, mówią: to dusza potrzebuje ratunku. Modlą się i wierzą że modłami mogą się wyswobodzić, uwolnić od téj niepokojącej mary. Czasem znów zdarza się że zjawisko lub sen jakiś ostrzega o nieszczęściu, każe chronić się go; znów tłumaczą sobie: „to duch matki, babki, czy prababki ostrzega, naucza za łaską Bożą,” i znów modlą się i korzystają z przestrogi. Tutaj pan masz co innego, tu prosto jakiś fatalizm nie wytłumaczony niczem staje na drodze człowieka, druzgocze jego najlepsze zamiary, wypycha go z kolei żywota; a człowiek pochyliwszy głowę ani może, ani chce nawet wyłamać się z pod jego fantastycznej władzy. Wystaw sobie pan że mój kolega, jeden ze znakomitszych mówców, człowiek pełen rozumu, adwokat B. miał sprawę która go żywo obchodziła, bo sprawiedliwość miał za sobą; strona zaś przeciwna miała tylko literę prawa. Przyszedłem do niego kiedy się na sądy wybierał, spieszył się i niecierpliwił, że mu dość prędko nie podano kawy. Idziemy sobie razem, mówi mi o najlepszych nadziejach dla sprawy swojej. W tém nadchodząc już do gmachu,

z małej uliczki wynoszą trumnę i przechodzą nam drogę. Prztyknął palcami mój adwokat, zmieszał się okropnie—i mimowoli zawołał do mnie: „Czy nie miałem przecucia niecierpliwiąc się o kawę? Nieznośna Katty! żeby ją była o kwadrans dała wcześniej, byłbym nie spotkał trumny.” Potem jakby żałował że mu się to wyrwało, rozśmiał się przymuszonym śmiechem i podążył na wschody. Cóż pan powiesz?—przegrał sprawę! Znajomy mi operator w Bernie, materialista zupełny, nie będzie panu robił operacyi w piątek, a jeżeli czasem gwałtowny, nie cierpiący zwłoki wypadek się zdarzy i musi działać w piątek, nie ręczy za życie chorego, którego istotnie umiera. I rzecz bardzo naturalna, będąc w stanie takiego zwątpienia, ręka jego nie ma już potrzebnej siły, pewności. Mnóstwo znałem podobnych ludzi w Berlinie, w całych protestanckich Niemczech.”

„Ależ bo—ozwał się podróżny korzystając z chwili kiedy profesor, wielki gaduła, nos ucierał. Istotnie jest coś czasem niewytłumaczonego — niepodobna czasem oprzeć się przesądom, kiedy je stwierdza doświadczenie, kiedy je uświęca tradycja, jak to np. dzieje się między naszym pocziwym ludem katolickim, modlącym się a razem wierzącym w mnóstwo zabobonów, czarów; ja sam jestem katolikiem (istotnie podróżny nasz w katolickim był ochrzczony kościele) jestem katolikiem—powtórzył z cicha jękając się, a czasem ulegnę przesądom moich ludzi, nie przedsięwezmę roboty lub podróży w dzień przez nich za nieszczęśliwy uważany.”

„Rzecz inna, rzecz inna—przerwał mu profesor—u państwa jak słyszałem jest jeszcze lud nieoświecony, u niego to zabytki pogaństwa, pan naturalnie nie chcesz zbyt obrażać ich stron najtkliwszych. Zresztą kiedy mający cię powozić woźnica jest przekonany że podróż źle pójdzie, to może łatwo wyrócić—ha, ha, ha — to nic naturalniejszego, to rzecz inna. Tu zaś zupełnie co innego, tu wykształceni i prostaczkowie wierzą w ciężące nad niemi fatum. O jakże się cieszą iż zdaje się żadnej już nie ma przeszkody do związku téj młodej pary, że tym razem duch złowrogi pomylił się. Byłby-to drugi wypadek w życiu mojem. Kilka lat temu, podczas wielkich upałów, gdy przybyłem do krewnych moich w górach koło Wilderwil mieszkających, trafiłem na okropne całej rodziny usposobienie; podług wszystkich złowrogich prognostyków, życie rodziny i jej całe mienie zagrożonem było. Nazajutrz po przybyciu wracam z przechadzki wieczorem, w tém słyszę głuchy huk na skale pod którą stał piękny domek mego krewnego i całe

zabudowanie. Wpadam do domku i na wszystko zaklinam aby się wynosili natychmiast. Uśmiechają się mówiąc: „Cóż to pomoże, nieszczęście dosięgnie nas wszędzie.” Nie ustępuję, nalegam, sam dopomagam, zwołuję pędzących trzody do pomocy, płacę im i nadzwyczajnej dokonywam rzeczy, że wynoszą się i wywożą ze wszystkimi pakami o kilkaset kroków nad brzeg jeziora. Był to jedyny wypadek. Bo trzeba wiedzieć że tu mają środki na wszystko; na drodze kultury, przemysłu, wszystkie pokonać gotowi trudności; ale gdzie zachodzi jakaś podług ich mniemania, nadprzyrodzona siła, wtedy ślepa wiara w tę konieczność więzi im ręce, czekają tylko, jakiego rodzaju nieszczęście spaść ma na nich. Ledwie że dokonałem mego olbrzymiego dzieła; huk już nie głuchy jak z razu, ale rozciął i słyszany przez wszystkich obić się o skały: w kilka minut zdawało się że ziemia na której staliśmy jęk wydała! z takim łoskotem spadła bryła zlodowaciałego śniegu, skwarnym słońcem od wierzchu góry oderwana, ciężarem swoim zgruchotała cały dach a raczej cały piękny domek i zabudowanie mego krewnego; któren gdyby nie ja, byłby razem z całą rodziną zginął pod gruzami. Gdy obtopniały śniegi (lawiny) odbudowali na tych samych fundamentach dom i dotąd żyją w nim szczęśliwie. Otóż radbym żeby i tu równie dobrze zakończyła się zła wróżba i zdaje się tak będzie.”

Tak rozmawiając doszli do zajezdnego domu. Podróżny, przyrzekłszy że dzień następny pozostanie, udał się do swego numeru, chcąc wcześniej spocząć żeby o wschodzie słońca, stanąć nad jeziorem i przypatrzeć się cudownemu widokowi jak promienie słońca wdzierając się przez wązkie przerwy gór w srebrnych i złotych błyskach drgać będą na powierzchni jeziora. Lecz zmęczony szybkimi i dalekimi przechadzkami jakie w dzień odbył, zasnął nasz podróżny tak dobrze, że dopiero promień już w górę wzniesionego słońca zaglądający w okno mieszkania jego, obudził go zdołał. Ale jakież było zdziwienie i przerażenie jego, gdy jakiś ruch, jakaś daleka wrzawa połączona z wielkim szumem obita się o uszy jego. Ubiera się na prędce, wychodzi spiesznie i dąży aby od ludzi, których spostrzega zdaleka, dowiedzieć się co się stało.—Odpowiadają mu:

„Błotnisty potok rozerwawszy rozpadła już górę, spuścił się w dolinę, zalał pola, a trzody i ludzi uniósł w nurty jeziora.”

„Wielki Boże! zawołał podróżny”—i starał się dostać na miejscu strasznego wypadku. Potok od kilku

godzin płynący, już był zwalniał w biegu, już go nie przybywało z góry, tylko brudna woda zalewająca pola pędziła do jeziora.

Z pociechą dowiedział się podróżny, że, jak zwykle, okropna wieść o szkodach przesadzoną była. Istotnie wiele mlekodojnych kóz zginęło, zieleniejące ozimem posiewem pola, w ciemno-błotniste bagna zamienione chwilowo zostały; lecz żaden dom z wioski leżący u stóp góry, z której rzucił się potok, nie został uszkodzony; i że tylko kilku ludzi, przez brak własnego pośpiechu w ratowaniu się, zginęło w powodzi ¹⁾. Szczegółów tych dowiedział się podróżny nasz, od wracających ludzi z wioski i już miał poprzestać na nich—gdy w tém brnąc w błocie profesor, poznawszy go zdala, zachęcać go począł aby z nim razem poszedł do domu Roberta ojca pięknej Elizy—posłuchał go ohotnie nie zważając na błotnistą drogę i poszedł za nim. Lecz tam z daleka słyszą płacz kobiety. Profesor blady, z bijącym sercem, woła na młodego sąsiada Elizy, któren schodził z wierzchołka drzewa, na które schronił się przed powodzią. „Cóż się stało w domu Roberta, czy nie wiesz?” „Widziałem—odrzekł młody człowiek—Elizę, jak wybiegła z domu gdy szum się dał słyszeć, wołając: Gotardzie! gdzie jesteś?—ja wołałem na nią aby się spieszyła póki czas, lecz ona wyciągnęła ręce do Gotarda wracającego z probostwa, ten do niej pospieszał, ale zaledwie pochwyił jej ręce, potok był u stóp ich—jeszcze była chwilka—jeszcze się ratować mogli—spuściłem się niżej, ogromną naginam im gałąź, lecz spojrzeli tylko, kiwając ręką, jakby powiedzieć chcieli—*to mi już nic nie pomoże*, a w tém ryczący potok obala ich, porywa! i straciłem ich z oczu!”

Przejęty żalem profesor wraz z podróżnym pospieszył do domu Roberta, z kąd płacz kobiety wychodził! Jakież straszny widok matki w rozpacz, uderzył ich! Robert zaś blady jak posąg, bez łzy, stał z załamaniem rękoma ze spuszczoną głową. Wiedziałem—że zginiemy wszyscy razem!—rzekł do profesora—na nieszczęście nie usłyszałem pierwszego szumu, ani wyjścia Elizy, byłbym pospieszył za nią.”

Profesor jeszcze się z nadzieją zupełnie rozstać nie chciał, czynił gorliwie poszukiwania dla odnalezienia porwanych potokiem ludzi. W parę dni przepelnione jezioro wyrzuciło dwa ciała; była to Eliza i Gotard, silnie skostniałymi trzymający się rękoma. Zda się że jezioro przyjęło ich na chwilę, aby ta piękna młoda para, nie w błotnistym wyziewie ale w kry-

¹⁾ Zdarzenie takie miało miejsce w listopadzie 1824 r.

ształowej wodzie śmierć znalazłszy, nieoszepecona do matki ziemi wróciła. Podróżny z przykrém wrazeniem śpiesznie opuścił brzegi jeziora Brienz — które mu dostarczyły dwóch tak smutnych obrazów; — w legendzie z przeszłych wieków i w tegoczesnym wypadku.

GISERSTWO, ZECERSTWO I PRESSERSTWO W OGÓLNOŚCI.

Pisząc o drukarstwie w powszechności i umieszczając posąg wyobrażający Guttenberga, dłuta sławnego Thorwaldsena ¹⁾, rzuciliśmy kilka wiadomości ogólnych o początkach wynalazku największego może pod względem pożytków i wpływu, na jaki się dotąd umysł ludzki zdobył. Teraz przejdziemy do szczegółów objaśniających nieco sztukę drukarską dla niewtajemniczonych w ten zajmujący przedmiot.

Ramy naszego pisma, nie pozwalają tu traktować drukarstwa, jako umiejętności wyłącznej, której się poświęcają ludzie fachowi zwani giserami, zecerami i presserami. Giserstwo wprawdzie jest tylko fabrykacją, przygotowującą materiały drukarstwu, ale tak wielki ma z niém związek, iż niepodobna mówić o jedném, bez drugiego.

Drukarz ²⁾, jak go zwykle nazywają, jest albo *zecerem*, układającym czcionki czyli głoski odlane, albo *presserem*, odtłaczającym, to jest wybijającym wprassie na papierze ułożone już *pismo* drukarskie. Czcionki bowiem, w języku technicznym drukarzy, zowią się *pismem*.

Czcionki odlewają się w *giserniach*. Stemplem ze stali (zwanym patrycą) mającym wyobrażenie głoski, odbija się na metalu miększym, na miedzi, wgłębienie wystawujące czcionkę. To wydrążenie, stanowiące formę do zrobienia odlewu służyć mająca, zowie się *matrycą*.

Matryca roztwiera i zamyka się, za pomocą stosownego przyrządu. Gdy jest szczelnie zamknięta, wtedy przez pozostawiony otwór, wlewa się roztopiony aliaz (składający się z ołowiu i antymonium) i chwilę wstrząsa się formą w powietrzu. Wlane metalle

dość rychło krzepną i twardnieją. Wtedy roztwiera się matryca i czcionka *in crudo* wypada. Pierwszy ten odlew, któryśmy tu nazwali *in crudo*, nie jest zdatnym jeszcze do użycia. Odłamuje się więc nadmiar aliażu sformowany na końcu czcionki w miejscu otworu matrycy, a czcionki idą do przyrządów innych, w których szlifują się do jednakięj grubości i wysokości.

Każda ze czcionek ma z jednego boku *karbik* wyłobiony, służący za dotykalny znak dla zecera jak ma obrócić ją w robocie, ażeby głoska w składaniu przewróconą nie była.

Ale ręczne odlewanie czcionek, jest i zbyt męczące i powolne. Przeto wiek dziewiętnasty, pragnący wszelką pracę ułatwiać za pośrednictwem mechaniki, obmyślił i na to stosowny przyrząd.

Machina tutaj załączona w rysunku, wylewa dzieńnie przeszło dwadzieścia tysięcy głosek, a zatém blisko pięćkroć więcej niżli zwykły robotnik odlać może. Wszakże ręczna robota, zawsze jest lepszą tu od maszynowej. Wylewają się bowiem czcionki w maszynie za pomocą silnego wstrzykiwania do form roztopionych metalów. Przez tę gwałtowną siłę maszyny, nie dającą się tak umiarkować jak odlewanie ręką gisera, tworzą się bąble powietrzne wewnątrz czcionek. Mniejsza już o to, że traci w podobnych razach przedsiębiorca, który mniej zarobić może, bo musi na cetrnar, przy ważeniu do sprzedaży, dawać więcej liter metalowych mających wewnątrz próżnię; ale główniejszym tutaj zarzutem staje się słabość czcionek, które w odbijaniu łatwiej kruszyć się mogą. W Warszawie dotąd tej maszyny nie mają, i w giserniach Beneckiego, Schreibera, Lintzla (dziś Orgelbranda) i Sąchockiego, odlewają czcionki w matrycach ręcznych.

Mechanika próbowała i w zecerstwie i w presserstwie, nowe zaprowadzić ulepszenia. W tém osta-

¹⁾ Patrz *Księgę Świata* z roku zeszłego, Tom drugi od str. 197 do 200 włącznie.

²⁾ Drukarzami, zowią się także presserowie odbijający w fabrykach desenie na perkalu lub płócienkach.

tniém, do wysokiego nawet przyszła doskonałości stopnia. Ale próby, mające zastąpić machiną ręce zecerskie w składaniu, nie otrzymały jeszcze dotąd zupełnie zaspakajających wypadków — i kto wie, czy kiedykolwiek zadość uczynić potrafi martwa siła tam, gdzie spóldziałanie myślącego człowieka, koniecznie potrzebne.

Załączony tutaj drzeworyt, wystawia machinę do składania czcionek, jakąśmy oglądali w Wiedniu w nadwornój drukarni.

Przyrząd cały, na pierwszy rzut oka, przypomina muzyka siedzącego przy organach. Zamiast nót, rozłożony rękopis na internakulum, jakby na pulpicie, służy artyście zecerowi, zamienionemu tutaj na motora maszynowego, do czytania głosek, które wyrzuca z przyrządu za pomocą uderzeń w klawisze. Drugi zecer, wysuwające się wiersze złożone, układa w ład stosowny. Jeżeli wypadnie złożyć taki wyraz, który nie ma w sobie powtórzonych tychże samych głosek, jak naprzykład: *Abel, albo, krew*, i t. p. wtedy zecer, może za jedném uderzeniem jakby akkordu na fortepianie, wyrzucić cały wyraz. Ale pojedynczo musi wystukiwać każdą literę, jeżeli w tymże samym wyrazie, dwa lub trzy razy jedna głoska powtórzona.

Pierwszymi wynalazcami téj maszyny byli Young, Delcambre i Rosenberg: ale najwięcej ją udoskonalił Czech *Czulik*.

Przyrząd bowiem Delcambra wyrzuca na godzinę około 6,000 czcionek, kiedy maszynerya ulepszona słowianina, a więc pobratymcy naszego, układała we Wiedniu przed trzema laty przy nas, przeszło 10,000 głosek w jednéj godzinie.

Też same czcionki służą do wielu bardzo odbić, gdyż jedno dzieło u nas, nie wydaje się więcej jak w 1,000 lub 2,000 egzemplarzy. Litery zaś drukar-

skie tak prędko *zbite* (mówiąc technicznym wyrazem) czyli zepsute być nie mogą. Przeto po wydrukowaniu każdego arkusza w pewnej liczbie egzemplarzy, też same czcionki *rozbiierają* się z form, i na nowe właściwe rozrzucane bywają miejsca. Taka robota

zowie się u drukarzy *rozbiórką*—i zwykle dużo czasu zecerom zabiera.

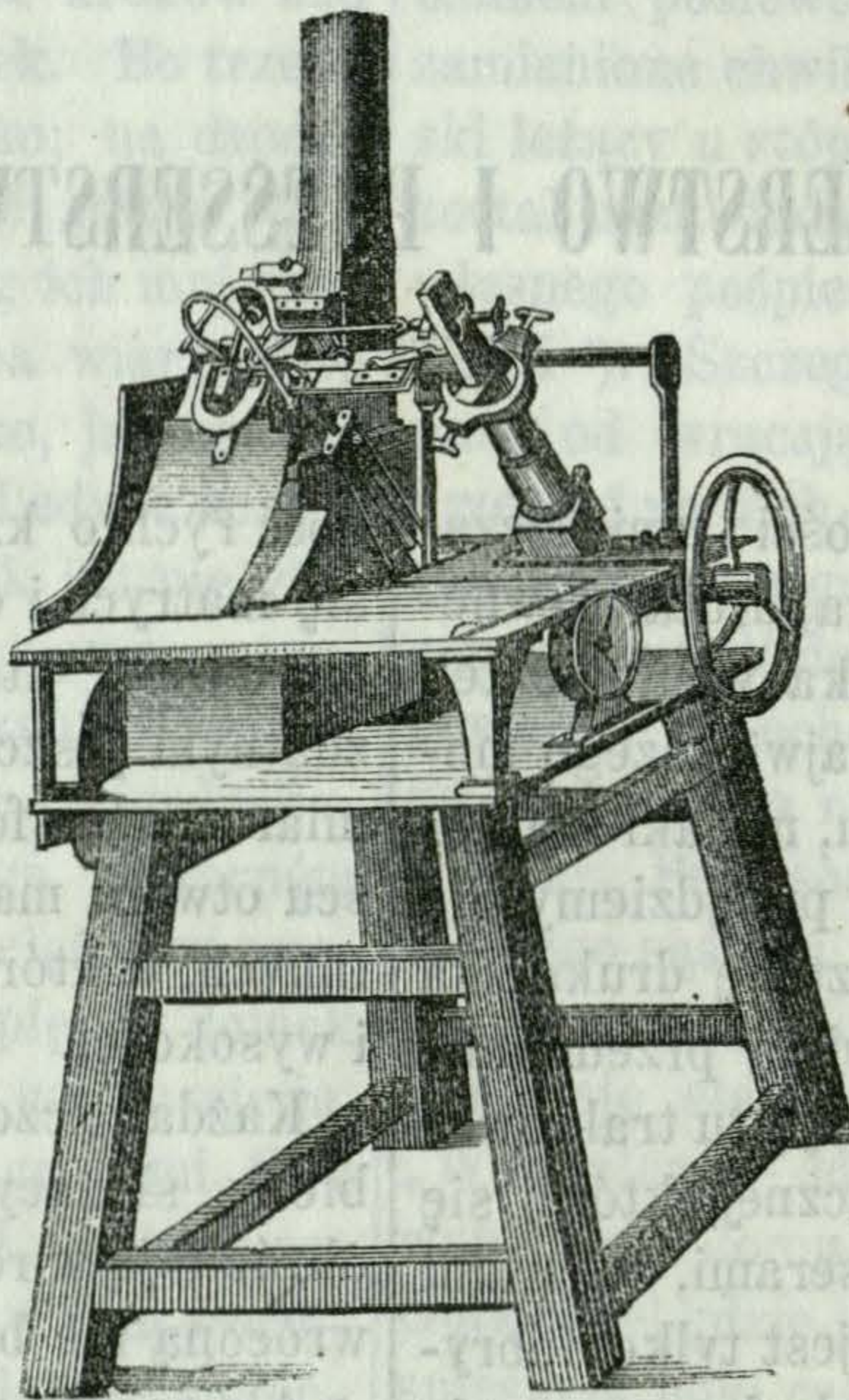
Aby i w téj pracy ułatwić drukarzom, a na czasie zyskać głównie, wymyślono podobną jak do składania, i do rozbiórki machinę. Osnuł to ów przyrząd na podobnymże mechanizmie, jak wyżej umieszczona rycinka. Uderzając w klawisze, (z których każdy u końca opatrzonym bywa sztyftem podobnym do sztyletu drukarskiego) wyrzuca się jedną ręką litera z czytanego wyrazu. Drugą ręką podstawią się skrzyneczkę z przedziałkami, w których mieszczą się czcionki według porządku w drukarstwie przyjętego, o czem powiemy w następnym artykule. Obie te maszyny wiele jeszcze do życzenia zostawiają.

Daleko szczęśliwszy skutek mechanika okazała w wynalazkach zastosowanych do wytłaczania form drukarskich. Poczynając od pierwszych jaknajprostszyc press z drzewa, podobnych do tłoczni jakimi wyciskają zwykle winne jagody lub odbijano dawniej karty, nadzwyczaj wielka różnica i przeskok do dzisiejszych maszyn znanych w presserstwie.

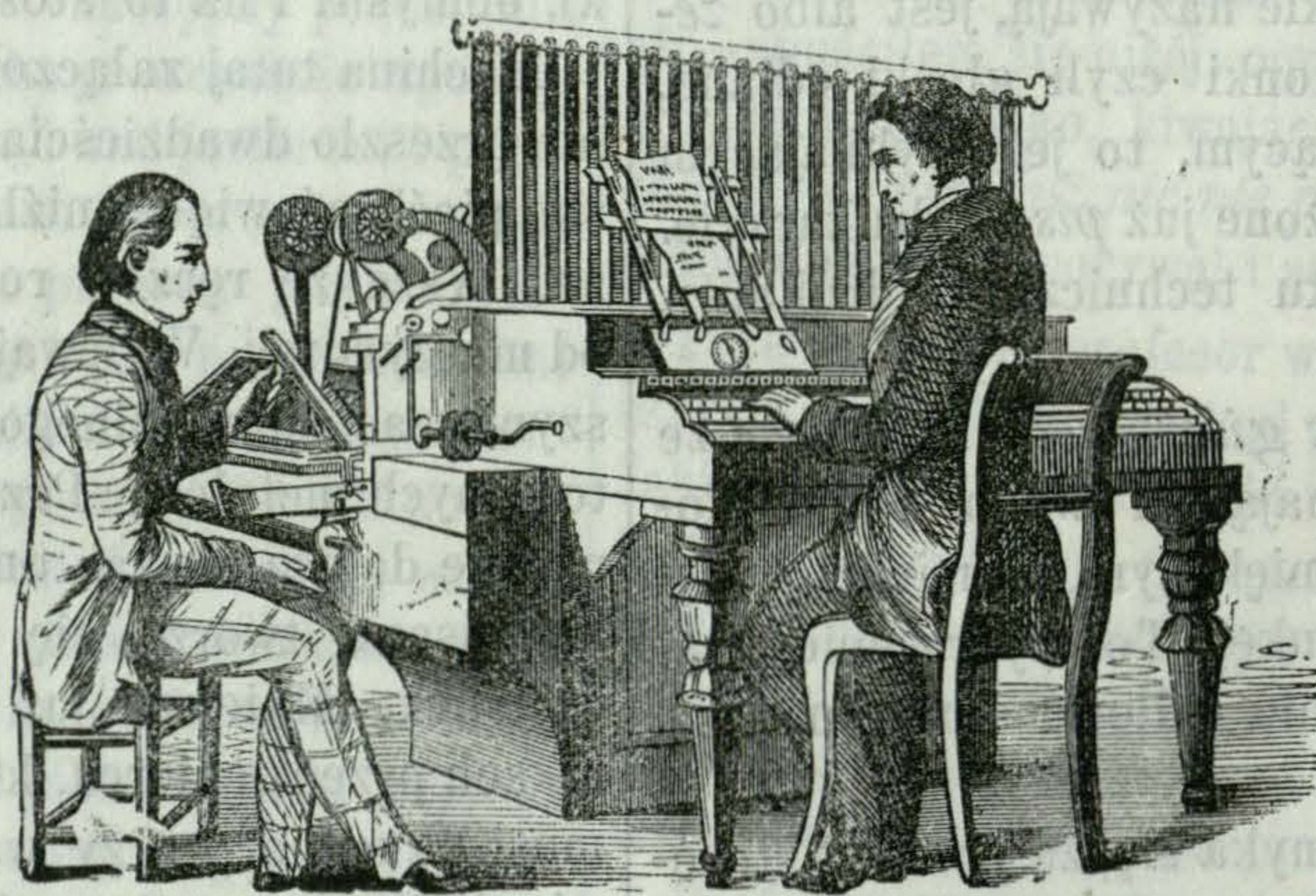
Najpierwszą niemal prasę żelazną, wydoskonalił Lord Stanhope.

Budowa jój była trwalszą od innych press z drzewa, w których tylko gdzieniegdzie używano pomocy metalli. Drukowała wyraźnie i mniej potrzebowała siły do kierowania niż dawne prassy z prostými dźwigniami.

Wiele ulepszeń w presserstwie zaprowadził Hopkinson.



Machina do odlewania czcionek.



Machina do składania czcionek.

Prassy ręczne, znaczną ilość czasu zużywały na odbijanie 1000 egzemplarzy. Szczególniej więc pisma peryodyczne, jako przywiązane nie tylko do czasu, ale rzeczy można do *jeńnej* niemal *chwili*, nadzwyczaj wiele cierpiały na tój powolności. Te zaś efemerydy, które liczyły po kilka tysięcy czytelników musiały podwójne często lub potrójne składać egzemplarze, i na kilku prassach dla szybkości odbijać. Ręczne bowiem prassy jakoteż i pospieszne, o których wnet powiemy, odtłaczały arkusze z jednej tylko strony. Dla odbicia więc drugostronnego, używano w pośpiechu prassy drugiej.

Sas Koenig wynalazł, dla zaspokojenia dziennikarstwa i ciekawości publicznej oczekującej na nowiny dzienne, prassę pospieszną.

Niemcy, chociaż spekulanci i niby kochający się wzajem, nie dali jednakże należytej pomocy swemu ziomkowi, który z tak pożytecznym odkryciem do nich się udawał. Przeto Koenig wyjechać musiał aż do Londynu, gdzie znalazł nakładcę do prób swych i ulepszeń w Bonsley'u. A chociaż pierwsze doświadczenia nie odpowiedziały nadziejom i wydatkom nakładcy i wynalazcy, — Koenig wszakże wytrwale nad swym pomysłem pracował od roku 1804 przez lat dziesięć.

Dopiero 14 listopada 1814 roku sławna gazeta *Times (Czas)* oznajmiła, że wyszła na świat w tym dniu z pod prassy pospiesznej i że jest szczęśliwym wypadkiem a owocem długoletnich trudów wynalazcy Koeniga.

Niemcy korzystali potem z odkrycia swego rodaka — a dziś i w Warszawie mamy już wiele prass pospiesznych, a mianowicie w drukarniach: Jaworskiego, Tomaszewskiego, Kowalewskiego, Józ. Ungra, Psur-

skiego, Księży Misyonarzy, Kommissyi R. P. i Skarbu Kom. Sprawiedliwości, Gazety Warszawskiej i Gazety Codziennój. (dr. Józ. Bergera), Orgelbranda, Glügsberga i Gins'a.

Anglicy i Amerykanie od niejakiego czasu postanowili wprawiać w zadumienie inne ludy, wielkimi rozmiarami wszelkich swoich przedsięwzięstw, zamiarów i wynalazków. I w drukarstwie więc pierwszeństwo pod tym względem otrzymać zapragnęli. Jeszcze więc w roku 1790 pomyślano o prassie olbrzymiej — bo gdy dzienniki poczęły rozrastać się w ogromne formata, potrzeba się stawała i prass nadzwyczaj wielkich do ich od drukowywania.

Ale przeszło pół-wieku pracowano nad podobną pospieszną o dwóch piętrach prassą, znajdującą się

dziś w Nowym Yorku (Nju-jork) w Ameryce. Dla swego ogromu otrzymała nazwę olbrzymiej czyli *Mamutowej* prassy.

Dopiero w pamiętnym r. 1848 wprowadził tego Mamuta w nowe życie i ruch Applegate w Londynie.

Cylindry i walce, umocowane tu są w prostym kierunku: stoją więc raczej niż leżą, jeśli użyć godzi się takiego porównania.

Machina olbrzymia* wybija

10,000 arkuszy na godzinę po obu stronach, co znaczy tyle, jakby drukowała 20,000 egzemplarzy.

I gdzieżby Anglicy nie usiłowali zastosowywać pary? I drukarstwo więc bez tój silnej dźwigni ostać się tam nie mogło. Oddawna już poczęto robić parowe prassy.

Bank Polski sprowadził już od lat kilkunastu do swój księgotłoczni podobną machinę, a wydawca Encyklopedyi powszechniej i Talmudu (dwóch na ogromną skalę przedsięwzięć, które potrzebują bardzo wielu rąk



Olbrzymia prassa amerykańska w Nowym Yorku.

do roboty i czasu do jęj wykonania) Samuel Orgelbrand, nabywszy dom na własność przy ulicy Bednarskiej w Warszawie, zamyśla w nim urządzić także drukarską maszynę parową.

Na wielką skalę urządzona drukarska prasa parowa, odbija w ciągu trzech godzin od 50,000 do 60,000 arkuszy wielkiego formatu czyli pokroju, i to tylko przy pomocy szesnastu ludzi.

Zastąpić może podobna machina ogromna sześć tysięcy dawnych robotników ręcznych czyli presserów. Liczy w swym składzie 1200 kół większych i kółek, a kosztowała dawniej 20,000 dolarów.

Taką prasę parową ma dziennik amerykański wychodzący pod tytułem: *New-York Sun*. Było to piśmko tak biedne i szczupłe przed dwudziestu laty, że je drukował jeden robotnik na małej prasce ręcznej; teraz liczy 60,000 prenumeratorów, co znaaczy więcej niż 250,000 czytelników!

Presserstwo, nie jest tak małą sztuką, jakby na pozór wydawać się mogło. Zwłaszcza dziś, kiedy prawie połowa dzieł na świecie wychodzi z tak zwanymi ilustracyami, (to jest drzeworytami, kliszami, figurami objaśniającymi i t. p.) i to po największej czę-

ści umieszczanymi w tekście, razem z czcionkami drukarskimi; odbijanie ich czyste, wyraźne i zadośćczyniące wymaganiom sztuki, potrzebuje bardzo uzdolnionych presserów. Od podłożenia lub ujęcia w niektórych miejscach danęj ilości papieru, tak, aby silniej lub słabiej wychodziły rysy użytego w tekście drzeworytu, wiele bardzo zależy. Dziś przeto nie raz artysta, powierza los i cały efekt swego utworu w udatne lub mniej szczęśliwe ręce pressera.

Co tu bowiem mówimy o odciskaniu drzeworytów, to słowa nasze tém obszerniej zastosowaćby się mogły do utworów bardziej artystycznych odbijanych z kamienia lub blach cynkowych, miedzianych i stalowych (litografije, cynkografije, kupfersztychy i stalogyty).

Odbijanie więc na prassach pospiesznych, nie tylko drzeworytów ale nawet i zwyczajnego druku, o ile jest zyskowne dla czasu i przedsiębiorcy, o tyle mniej dogodne dla samęj sztuki i straty nie raz przynoszące dla autorów. Ręką bowiem przyciskając presser, łatwiej może umiarkować moc tłoczenia, niżeli martwa siła mechaniczna, która zawsze jednostajnie uderza, bez najmniejszych modyfikacyj.

JELEŃ I ŁANI KANADYJSKIE.

Cervus canadensis systematycznie zwany, Jeleń kanadyjski wspaniale i majestatycznie wygląda. Ma najpiękniejszy i najskładniejszy rozmiar we wszystkich kształtach swoich. Z gatunkiem europejskim danieli, *Cervus elephas*, dosyć cech podobnych posiada i dla tego uważano Jelenia kanadyjskiego przez czas długi za tenże sam gatunek. Wszakże jeleń, którego rysunek tu podajemy, większy bywa znacznie od europejskiego i pod innymi wielu względami różni się od naszych danieli, utrzymywanych dziś zwykle w zwierzyńcach.

Głowa kanadyjskiego gatunku jest miernęj wielkości; nozdrze szeroko-długie; uszy wielkie; nogi choć silne ale nader cienko zbudowane. Rogi u jelenia amerykańskiego, cztery stopy długie, bywają u góry rozwarte o trzy niemal stopy.

Każdy róg miewa zwykle po sześć gałęzi; spotykają się nieraz jednak i odmiany. Czasem jeden róg ma pięć odnóg, a drugi sześć działów. Na szyi piłśc nieco dłuższa stanowi jakby rodzaj grzywy. Nozdrze i kopyta czarne, ogon bardzo krótki. Głowa i szyja ciemno-brunatne.

Na każdęj stronie szczęki dolnej mieści się podługowata plama koloru białego, na którym odbija prą-

żek czarny, zbiegający aż ku krtani, na której oba czarne pasemka łączą się z sobą.

W koło oczów, nie znajdują się u kanadyjskiego gatunku, tak jak u naszego, żadne obwódki jasne w kształcie obrączek. Obwód oka i cała jego okolica, nie wiele się różni od koloru całej głowy: tylko nieco jaśniejszą bywa.

Na części tylnej uszów, widzieć się daje wielka biała plama. Kolor tułowia wlecie żywo-brunatny, zmienia się w zimie na brunatno-siwy. Dorosły, długi jest od nosa do osady ogona na 7 1/2 stopy, a wysokość bark wynosi blisko stóp pięciu.

Niegdyś to zwierze przebywało w całej umiarkowanej północnej strefie Ameryki. Cywilizacya rozszerzając się, wygnała go do głębi kraju. Teraz znajduje się w krajach Missouri, Texas, Nowym Meksyku, Oregonu i Kalifornii, nieco obficie. Wiek nie upłynie, a zdaje się, że to piękne zwierze tak będzie wyniszczone jak nasze dawne tury i dzisiejsze żubry.

Zywi się kanadyjec rozmaitemi leśnymi trawami i liśćmi delikatniejszymi drzew niektórych. W zimie szuka pod śniegiem trawy i objada listki małych krzewów. Wlecie chroniąc się od napadu owadów, wlażą jelenie do bagien i wody, kryjąc się po same nosy. Na rycinie widna tu i łania bez rogów.



FRANCISZEK RYMKIEWICZ, GODEBSKI, LIBERADZKI.

Dawne wypadki historyczne, jako należące do przeszłości, znajdują obszernych szczegółowych opowiadaczy, jakimi są Dziejopisarze, których zadaniem jest ścisły robić przegląd źródeł, z kądby zaczerpnąć mogli najwięcej materiałów, służących do przedstawienia dzisiejszym pokoleniom, życia przeszłych czy to narodów, czy to pojedynczych, zasługujących na wspomnienie, ludzi.

Niwa historyi, im bardziej wiekami od nas odgrodzona, tém więcej miała pracowników, którzy ją ze wszech stron starali się obrabiać, najmniejsze nawet rozbierając szczegóły — zapisując żywoty czémkolwiek odznaczających się aktorów na téj wielkiej scenie. Że *stara* przeszłość, obudzając jakieś poszanowanie, zasłużyła na tę troskliwą o wszystko, co jęj dotyczy, dbałość, to rzecz bardzo chwalebna; ale życzyłyby należało aby i *nowsza*, nie ledwie za życia naszego, i z wieku naszego wypadki zawierająca, również znajdowała skrzętnych Dziejopisarzy; ażeby nie tylko znakomite fakta, wydatnie malujące położenie, usposobienie, cnoty lub wady narodów, nie były zaniebywane; ale nad to, żeby nie dopuścić się niewdzięczności, pozostawiając w cieniu ludzi, którzy nieśli na ofiarę dla kraju życie i byt cały.

Francja obszerne ma opisy ostatnich Napoleońskich wojen; żadne tam zdarzenia o chwale oręża francuzkiego świadczące, nie zostały przemilczane. Ale niestety! najznakomitsi ci szperacze tylko dla swoich bohaterów umieli być takimi; w obszernych opisach bitew nie zaniebali oni wspomnieć choćby prostego grenadjera, wśród innych walecznością odznaczającego się; ale o naszych dowódcach, mało albo wcale nie wspominają, nawet tam, gdzie istotnie przez ich poświęcenie i odwagę, zwycięstwo przy francuzkiej zostało stronie. Między innymi Thiers tak okazał się stronnym, tak wszystko o naszych rodakach przemilczał, iż jeden z dawnych wojskowych, zacny generał Załuski, w pismach publicznych śmiało mu zarzucał tę niesprawiedliwość i przeciw niej powstawał.

Powinniśmy naśladować francuzkich pisarzy i zbierać szczegóły dotyczące tak niedawnych krwawych scen, w których tyle ważną rolę nasi grali; powinniśmy starać się o podawanie do publicznej wiadomości, jeżeli nie fakta dość już znane, to szczegóły o ludziach którzy, w nich główny brali udział. Wiadomo wszystkim że się potworzyły legjony nasze przy wojskach Napoleona Igo, wiadome również główne wypadki, znakomite bitwy, w których się wstawili; lecz mało bardzo wiemy szczegółów o ludziach, którzy do nich należeli. Prócz kilku głównych osób, inni z nie mniejszym narażając się za kraj poświęceniem, mało bardzo albo wcale nie są wspomnieni. Dla tego dostawszy od M. zacnego, mającego zasługi w literaturze obywatela, życie jenerała Rymkiewicza, mamy sobie za obowiązek tutaj je umieścić.

Franciszek Rymkiewicz służył w wojsku Rosyjskiem w pułku Starodubskim piechoty. Doszedłszy stopnia kapitana pod dniem 25 stycznia daw. stylu 1790 r. w Jassach, dla słabości zdrowia otrzymał dymissyę w stopniu majora 2giej klasy, z poleceniem udania się do rodziny w Guberniję Moskiewską. W roku 1792, w dniu 20 sierpnia umieszczonym został w wojsku Polskiem, jako major i komendant batalionu strzeleckiego.

Następnie z podpułkownika korpusu Strzelców awansował na jenerała-majora, jak to dowodzi patent, wydany przez Tadeusza Kościuszkę, w obozie pod Mokotowem w dniu 30 sierpnia 1794 roku.

Brał czynny udział w r. 1794 w obronie Warszawy przeciw Prusakom. Należał do wyprawy jenerała Dąbrowskiego do Wielkiej Polski. Wszędzie dawał dowody wysokich zdolności wojskowych i męstwa. O téj-to wyprawie zostawił Pamiętnik bardzo ciekawy w manuskrypcie, własnoręcznym, który miał sobie udzielony p. E. Marylski ¹⁾.

¹⁾ Tytuł Pamiętnika: „Rzetelne i dokładne opisanie korpusu wojsk Rzplitej pod dowództwem jenerała Dąbrow-

Kiedy w końcu wojsko pod Radoszycami rozeszło się, zmuszony był generał ująć do Galicyi gdzie w wielkim niedostatku zostawał; utrzymywał ciągłą korespondencyę ze Stanisławem Zabłockim, Radziwińskim, Wydźgami i t. d.; listy te pełne uczuć dla kraju, mieliśmy udzielone do przeczytania. Generał Rymkiewicz wraz z Jabłonowskim ¹⁾ wysłany do Konstantynopola, jako delegowany od obywateli Galicyjskich, przybył tam dnia 22 maja 1796 r: miał on listy do Verniaka (Verniac) ambasadora Francuzkiego wraz z aktem Konfederacyi Obywateli Galicyjskich.

W dniu następnym to jest 23 maja, Michał książę Ogiński przedstawił ich Verniakowi, a w dniu 13 czerwca uzyskano posłuchanie u *Reis Effendego*, na którym nic stanowczego nie postanowiono — oprócz rady, aby zachować cierpliwość i roztropność w postępowaniu, zostawując czasowi i przyjaźniejszym okolicznościom nadzieję zmiany losu.

Po sześciomiesięcznym pobycie w Konstantynopolu, książę Ogiński opuszczając to miasto, donosi w liście pisanym pod dniem 26 października 1796 r. do *d'Aubert Dy Bayet*, który został ambasadorem Francyi po Verniaku ²⁾ iż w miejsce swoje pozostawia w Konstantynopolu generała Rymkiewicza mężnego żołnierza, Obywatela zasłużonego w Ojczyźnie.

Po bezskutecznych zabiegach u Porty, nie uzyskawszy spodziewanej pomocy, zawiedziony w swych nadziejach, opuścił generał Rymkiewicz wraz z Władysławem Jabłonowskim brzegi Bosforu i w r. 1798 stanął z nim w Rzymie. Rymkiewicz mianowany szefem drugiej legii, wraz ze swym adjutantem Cyprjanem Godebskim, wkrótce pojechał złączyć się ze swoim korpusem w Mantui. Tutaj ten zacny generał, zgodnie z rozkazem wydanym przez generała Dąbrowskiego, zajął się gorliwie ażeby zachować od zagłady i zepsucia język ojczysty ³⁾. W dniu 25 marca

skiego w czasie wkroczenia do Wielkiéj polski, i przejścia na powrót Bzury, z przyłączeniem ordynansów, raportów i listów najważniejszych, doprowadzone aż do zupełnego upadku wojska r. 1795." z dewizą:

(Mitri Galba, Otho, Vettelius nec beneficio, nec injurica cogniti. Tacit Histor. lib. 1. § 1.).

¹⁾ Jabłonowski przezwany *Czarnym*, pobierał nauki razem z Napoleonem w szkole w Brienne — głośny z mężstwa w legjonach Pol. we Włoszech, został generałem i należał do wyprawy w St-Domingo.

²⁾ List ten zamieszczony jest w dziele: *Histoire des legions Polonases en Italie*. T. I. pag. 369.

³⁾ Rozkaz dzienny generała Dąbrowskiego wydany

1799 roku, cała armija Francuzko-Polska ustawioną została wzdłuż rzeki Adygi; nazajutrz 26 marca równo ze wschodem słońca atakowała nieprzyjaciela na wszystkich punktach, wszędzie go zmieszała, oprócz na prawém skrzydle, gdzie dywizya Montricharda została pobita przy Legnago. Pierwszy bataljon polski okazał w tej bitwie cuda waleczności. Mając generała Rymkiewicza na czele, atakował nieprzyjaciela w Vaganza i w Vigo, ścigał aż do mostu na Legnago — i kiedy cała dywizya później zmuszoną była do odwrotu, jemu powierzono niebezpieczne stanowisko zasłaniania jej. Podzielono wojsko na trzy części, jedna dowodzona przez generała Rymkiewicza, druga przez adjutanta komendanta Kosińskiego, trzecia przez szefa Ludwika Dębowskiego. Każdy z tych oddziałów ożywiony bohaterskim mężstwem, bronił dzielnie swego stanowiska. Major Lipnicki i kapitan Straszewski, odznaczyli się szczególnie w tym dniu. Kapitanowie Regulski i Bogusławski otrzymali blizny. Generał Rymkiewicz miał konia pod sobą zabitego, a szef Dębowski rannego. Porucznik N. Godebski i dwieście żołnierzy pozostało na placu boju — ten ostatni przybywszy z Polski na początku bitwy, wtedy kiedy ścisnął, rękę witając, brata swego Cyprjana Godebskiego, od kuli armatniej zabity i rozłączony został na zawsze z mężnym Cyprjanem ¹⁾.

w Rzymie dnia 3 maja 1798 roku, godny jest wiadomości rodaków. Zachęcając w nim do uczenia się matematyki, historyi, geografii i języków, powiada że nie liczbą ale przymiotami i cnotą możemy zwrócić bacność Europy. Generał Rymkiewicz w *Mantui*, zmierzał do tego celu wszystkie swoje usiłowania, a między innymi naukami, zwracając wzgląd na ojczysty język, w niedostatku polskiej drukarni, ważniejsze wiadomości i tłumaczone z lepszych dzieł wyjątki, kazał czytać obok dziennych rozkazów.

¹⁾ Cyprjan Godebski w wierszu do Legjonów Polskich, tak nam opisuje ten smutny wypadek:

O jak bolesne miejsca drugiego wspomnienie
Stawia mi przed oczy Rymkiewicza cienie,
Czytam ten zarzut w jego surowej postaci:
„Żal niegodnym jest hołdem dla mężnych twych braci”
Pomnę, kiedy w nieszczęsnej pod Legnago stracie,
Los mi kazał, prócz innych, płakać śmierci w bracie:
„Łza w boju żołnierzowi — rzecz — nie przystoi,
A skazując na rotę — „to są bracia twoi.”
Ach przebacz, raz ten jeszcze, drogi wodza cieniu!
Lutni, w rękę żołnierza żalostnemu brzmieniu!
Nie mogąc innéj Braciom wypełnić posługi
Wdzięczność, w miarę sił swoich, płacić winna długi.

Ścigając Polacy nieprzyjaciela aż pod mury Weroni, stracili z 2go bataljonu mężnego szefa Lipczyńskiego, a przeszło 150 podoficerów i żołnierzy poległo lub otrzymało rany. Między ostatnimi był pułkownik Darewski starzec 70letni, który od roku 1768 do 1792 w konfederacji Barskiej walczył, później w wojnie 1764 r. bez względu na wiek jako ochotnik; z całym młodzieńczym zapałem rzucił się jeden z pierwszych na czele grenadierów w morderczy ogień nieprzyjaciół.

Kiedy generał Scherer swoją kwaterę główną zajął w Isola della Scala, skoncentrowano siły Francuzko-Polskie między Adygo i Tartaro. Dnia 5 kwietnia wszczyna się zacięty bój; i tu mężne wojsko daje dowody nadzwyczajnej odwagi. Generał Montrichard wychwalał bataljon piechoty, dowodzony przez generała Rymkiewicza, który dwa kroć ranny, w kilka dni z odniesionych ciężkich ran umarł. Strata jego ciężki żal wzbudziła w legjonach a pamięć tego walecznego żołnierza na zawsze pozostała w sercach ziomków. Generał ten łączył do talentów wojskowych wszystkie cnoty obywatelskie. Ostatnie słowa, jakie wyrzekł umierając, zwrócił do Polski: „dla czegoż, zawołał—przeznaczenie nie dozwoliło umrzeć mi na ziemi Ojczystej!”

CYPRJAN GODEBSKI.

Wypada nam, przytaczając tu wiersze, kilka słów o autorze ich powiedzieć, tém bardziej iż tenże był prawie nieodstępny towarzysz Rymkiewicza do zgonu jego, i zastosować się do założenia naszego jakieśmy to na początku życiorysu generała Rymkiewicza uczynili. Lubo Cyprjan Godebski jako autor znanym był w literaturze naszej, a tém samym imię jego, nie zostało przemilczanem jak wielu innych kolegów jego; przecież szczegóły niektóre, wyświecające charakter tego czcigodnego męża zasługują na bliższe się z nim zapoznanie.

Rodzice Godebskiego, z dawniej szlacheckiej rodziny pochodzący, mieszkali na Wołyniu, gdzie r. 1765 urodził się nasz bohater. Po śmierci rodziców, skończywszy nauki w Dąbrowickich szkołach pijarskich, które tylu wyższych pod każdym względem wykształciły mężów, Cyprjan osiadł na wsi pozostawionej mu po rodzicach, która acz niezbyt kowne ale dostateczne zapewniała utrzymanie. Gdy nagle process o tęż wieś prowadzony przez rodziców, pozbawia go tej miłej rodzicielskiej zagrody, Godebski nie obraża się na przeciwnika do którego rąk wieś przeszła; żadna odmiana w stosunkach jego z Olizarem nie zachodzi, któren nawzajem stara się przyjaźnią prze-

konywać Cyprjana, że pieniądze stosunki nie powinny dzielić równych wykształceniem i szlachetnością ludzi. Godebski więc daleki od chęci sporów, częstokroć charakter prawdziwego pniaactwa przybierając, przyjął obojętnie stratę, a dom przeciwnika zarazem przyjaciela, za swój prawie uważając, często w nim przebywał. Tam to oddawał się naukom, które był od młodości ukochał, tam swój talent do poezji rozwijał. Potém gdy powstał zamiar formowania legjonów Polskich, Godebski z całą gorliwością wieku młodego i charakteru pełnego energii, pospieszył brać w nich udział. Nie jest tu miejsce kreślenia historyi zawiązku legij włoskich, wspomnimy tylko iż Godebski szczęśliwie uniknąwszy smutnego losu innych kolegów swoich, udał się do Lwowa, ztamtąd do Lublina gdzie się poznał z Ksawerym Kosseckim wówczas pełnym zapału młodzieńczego, później generałem: poprzyjaźniwszy się z nim, udali się razem do Drezna a ztamtąd szczęśliwie do Rzymu przybyli. Tam po raz pierwszy Godebski poznał generała Rymkiewicza, z Konstantynopola świeżo przybyłego i mianowanym został jego adjutantem, razem sekretarzem. Dąbrowski właśnie wtedy przeznaczył Rymkiewicza do prowadzenia korespondencyi tak z obcemi krajami jak i ze swoim własnym; a poznawszy wykształcenie Godebskiego, słusznie osądził że może mu być nader pomocnym. Jakoż zacny ten mąż wszystko pogodzić potrafił, razem zawód wojskowy z czynnościami dyplomaty i literata, gdyż i téj nie zaniedbał niwy; a znajdując się na ziemi klassycznej, czerpał w jój zasobach wiadomości potrzebne, a zawsze w celu aby niemi z bogacić literaturę krajową.

I tak, najpiérwój wyszedłszy z drugim legjonem z Rzymu do Mantui, tam był jednym z głównie pracujących w Redakcyi pisma pod tytułem: „Dekada Polska.” Pismo to dla upowszechnienia go, częstokroć przy rozkazach dziennych przyłączaném bywało. W niém Godebski umieszczał wiadomości ważne tak co do taktyki wojskowej, jak i co do innych w duchu postępowym rozwijanych przedmiotów; ażeby młodzież porzuciwszy kraj nie była pozbawioną dalszego rozwijania umysłu, tudzież żeby żołnierz jedynie ćwiczeniom cielesnym oddany, nie zapomniał że i drugą władzę rozwijać i kształcić w sobie powinien. Piękny to ślad w historyi naszej, iż wśród kraju nęcącego do rozrywek, wśród klimatu usposabiającego do ociężałości i próżnowania, zamiast myśleć o zmysłowych uciechach lub o korzyściach łatwego łupu jak inni czynili, rodacy nasi dobro moralne mając przedewszystkiém na celu, pracują stosownie do zdol-

ności; jedni kształcąc przez naukowe pisma młodzież wyżej umysłem będącą; drudzy, żołnierzom elementarnych udzielając nauk.

Wkrótce rozpoczęły się bitwy; wspomnieliśmy już o bolesnej stracie brata Cyprjana, którą sam żołnierz-poeta wspomina w wierszu swoim. Zaraz potem udali się na sławną bitwę pod Weroną 1798 r. Tam Godebski niezmordowanie walcząc i innych do walki zachęcając, otrzymał prawie śmiertelną ranę — a przytem jeszcze boleśniejszy ugodził go cios, jakim była śmierć ukochanego czcigodnego jego dowódcy i przyjaciela generała Rymkiewicza.

Godebski przez miłość rodaków ocalał jedynie; ci którzy byli mniej ranni, na taczkach zaciągnęli go o kilka mil od pobojuwiska, powierzywszy go tymczasem mieszkańcom pełnym sympatii dla Polaków. Potem wywiezionym został do Mantui, gdzie w lazarecie walcząc między życiem a śmiercią, cały czas obleżenia tej fortecy przetrwał. W końcu dowódzca twierdzy, w skutek klęski Francuzów pod Trebją a ztąd niemożności otrzymania posiłków, wszedł w układy z Austryjakami. W skutek tych układów, żołnierz francuzki miał wolność wrócenia do kraju, zaś oficer każdy, powinien był pierw w której z twierdz austryjackich, trzymiesięczną odsiedzieć niewolę. Że ktoś jednak z wyższych wojskowych musiał odprowadzić obleżęnców do kraju, przeznaczono pewną liczbę oficerów, którzy nie przez wybór ale przez los powrót do Ojczyzny otrzymali.

Legja polska druga, w nader smutnym była położeniu, należała bowiem do obleżęnców, a w układach zapomniano o zapewnieniu jej bezpieczeństwa. Przeciwnie, dowódzca francuzki przyjął warunek ażeby poddani austryjacy powróconymi zostali Rządowi z warunkiem że im życie zachowane będzie. Tak więc cała prawie druga legja, z małym wyjątkiem, składająca się z ludzi powołanych do wojska austryjackiego a ratujących się ucieczką, dostawała się w ręce wroga. Godebski nie należał do ich liczby, lecz jako oficer winien był odbyć trzymiesięczną niewolę. Jakieśmy to wyżej powiedzieli, pewna liczba oficerów przeznaczonych do eskortowania, — zostawała wolnymi; Godebski nie wyciągnął tego szczęśliwego losu, lecz ponieważ był bardzo jeszcze chory; kolega zamieniał się z nim na los, dał mu swój pozwalający powrotu, a sam będąc zdrowym i mogąc znosić niewygody, poszedł na trzymiesięczną niewolę. Nie pierwszy to był przykład poświęcenia braterskiego, jak pisze sam Godebski — każdy przy zdrowych siłach będący, szedł do niewoli wyręczając chorego.

Wyruszył więc Godebski, krzepiąc siły nadzieją dostania się do swoich, lecz o kulach, piesza podróż była nad siły jego — a powozy francuzkich oficerów tak były napełnione pakami, że żadnego z rannych pomieścić nie mogły; nareszcie widząc władza austryacka że niepodobna było aby tak ranni i bezsilni pieszo podążali za oddziałem, wyznaczyła im podwody.

Lecz nie długo używał tej wygodnej podróży: okoliczności malujące charakter naszego bohatera pozbawiły go jej. Nie daleko Verony. spotyka chorego, opadłego z sił oficera francuzkiego, nad którym pełna boleści żona, nie mogąc mu przyjść w pomoc, zalamywała ręce. Kazano zatrzymać się podwodzie aby zabrać chorego, lecz tyle na niej było rannych iż niepodobna było go pomieścić. Tylko francuzki grenadier jeden, nie znaczną miał ranę, na niego więc zwróciły się oczy, jego prosić zaczęli aby nieszczęśliwemu rodakowi ustąpił miejsca. Niewzruszony na prośby i na widok zalanę łzami kobiety, nie ruszył się z miejsca. Wtedy Godebski, wraz z przyjacielem swoim również rannym, wysiadają z podwody, umieszczając na swoim miejscu bezsilnego oficera z żoną, któraby nie była zdolną sama i znękana, iść piechotą za wozem.

Nadzieja była iż w pierwszym mieście oficer z żoną będą mogli dostać koni; lecz gdy przybyli do Novi, niewielkiego miasteczka, trafili na huk armat, na sławną bitwę w której odznaczył się generał Mureau. Nie można było myśleć nawet o dostaniu koni. Żona chorego oficera nie śmiała prosić, nie śmiała spodziewać się, aby nieznanymi cudzoziemcami dalej poświęcać się i narażać dla nich chcieli. Lecz oni nie wahając się, zostali w Novi, a Francuz z żoną na ich miejsce puścili się w dalszą podróż. Wewnętrzna pociecha, jaką rodzi poświęcenie, dodawała im widać sił, gdyż odpocząwszy dni parę w dalszą o kulach puścili się drogę. Odbywali ją jakotako, lecz gdy przyszli do stóp góry Cenis, uczuli że siły ich nie dozwolą im iść dalej. Oddział do którego należeli już był po tamtej stronie; nie mając za co najać mułów, byli bliscy zguby, napróżno udawali się do zwierzchników francuzkich, boleśnie czyniąc uwagi nad położeniem swoim i rodaków których tylko wtedy sprzymierzeńcy cenili, kiedy im potrzebnymi byli; gdy nagle spotyka ich tenże sam grenadier któren tak nie ludzko obszedł się z nimi, niechcąc dla rodaka ustąpić miejsca. Dziwny ten człowiek, mimo tak szorstkiej powierzchowności, widać tknięty był wspaniałym postępkiem, widać łzy wdzięczności małżonków błogosławiących

Polaków, zmiękczyły jego przytępione wśród krwawych scen uczucie. Poznawszy ich, sam się zbliżył do nich, a przedstawiając im że się na niechybną narażają zgubę jeżeli nie dostaną mułów, sam pospieszył postarać się o nie; woreczek grenadjera nie był tak próżny jak naszych bohaterów, zapłacił więc muły. Przyjęli tę nadspodziewaną pomoc, obiecując raz stanawszy przy sztabie z tamtej strony góry znajdującym się, oddać mu dług ze spodziewanego i należącego im żołdu. Lecz niestety omyliły ich nadzieje! We Francyi, lubo ich do legii tworzącej się w Szambery (Chambéry) przeznaczyli, nie dali im na dalszą podróż zasiłku; a grenadjera opłacił Godebski płaszczem, który na wartość długu aż nadto był wystarczającym.

Grenadjer którego nie ludzki postępek, wstręt taki obudził w Godebskim był później jednakże, jakby przez Opatrzność zesłanym dlań opiekunem, spotkał go bowiem wkrótce po rozstaniu się z nim, właśnie w czasie nawalnego deszczu, jeszcze o kilka mil od Chambéry i zmuszony jego naleganiem, przyjąć musiał napowrót płaszcz i znaczny zasiłek, z delikatnością jak pożyczkę ofiarowany. Grenadjer, jak się okazało z historyi życia jego, którą opowiedział Godebskiemu, był jedynym synem bogatego kupca, a tęschnota za ojcem i narzeczoną, uczyniła go tak obojętnym na cudzą niedolę.

Nie prędko nasi biedni wojownicy otrzymali żołd należny i gdyby nie zasiłek grenadjera, w najokropniejszym znajdowałiby się stanie.

Zaczęto organizować nowe, na ziemi już francuzkiej legje, i Godebski przeznaczonym został do legii Naddunajskiej pod dowództwem jenerała Kniaziewicza zostającej. Tam mając pole odznaczyć się w bitwie z powstańcami Bryzgowii, mianowany został kapitanem. Trudy tej bitwy odnowiły wszystkie rany Godebskiego, zmuszonym został oddalić się na czas jakiś i z rozkazu lekarzy udać się do Akwisgranu na kąpiele. Tam, w domu gdzie zamieszkał, poznała go młoda Francuzka a przejęta czią dla młodego bohatera tak cierpiącego, dokładała wszelkich starań, aby mu cierpienia lżejszemi uczynić. Z jednej strony litość dla rannego Polaka, z drugiej wdzięczność dla osoby która cierpiącemu wśród obcych, starała się być rodaczką i siostrą, była, jak to zwykle się dzieje, początkiem do tkliwszego uczucia; a Godebski jak prawy rycerz, nie zapomniał w następnych bojach tak czystej miłości. W lat parę poświęcił Francuzkę, która nie tylko męża, ale kraj jego ukochała i najlepszą była matką i obywatelką.

Małżeństwo ich było, jak się zdaje, zawartem po powrocie Godebskiego do Paryża po stoczonej bitwie pod Offenbach i innych. Szczegółów zwycięstwa tego nie opisują francuzcy pisarze, a przecież Godebskiemu cały obóz ocalenie swe zawdzięczył. Gdy bowiem z nadzwyczajną odwagą, prowadząc swój bataljon, rzucił się w bystre nurty Menu, i przebrnąwszy szczęśliwie otrzymał nad licznym nieprzyjacielem tak niespodzianie ściganym zwycięstwo; pragnący odwetu nieprzyjaciel, niemniej ciężko porażony pod Hochstädt, otrzymawszy świeże posiłki, uderzył nocą na cały francuzki obóz; Godebski pierwszy porwał się, ku obronie ze swoim bataljonem, a nieprzyjaciel ze znaczną porażką ustąpić musiał.

Nie będziemy wspominali innych następnych bitew, w których nasz bohater nie szczędził znaniej odwagi, a które tak go znów wyniszczyły, iż musiał po zawarciu pokoju Lunewilskiego prosić o uwolnienie. Otrzymałszy je udał się do Paryża, i tam czas jakiś oddawał się literaturze, a raczej poznaniu ważnych i naukowych dzieł. Wszystko czynił w tej myśli, aby i na tej drodze być krajowi użytecznym. Jako też wróciwszy zaraz w roku 1803, zaczął wydawać wraz z przyjacielem swoim Ksawerym Kosseckim pismo, rozszerzenie oświaty mające na celu, pod tytułem: *Zabawy przyjemne i pożyteczne*; a poprzednio wydał sam dziełko elementarne pod tytułem: *Gra geograficzna dla dzieci*. Wtedy-to wezwany na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, powszechny w tém gronie, jako człowiek serca i rozumu, obudził szacunek. Wtedy także najwięcej pisał. Z dzieł jego niektóre znane i chwalone jak: *Wiersz do legjonów*, *Grenadjer Filozof* i wiele innych; a niektóre jak poemat *Wieś*, *Próby dramatyczne*, *uwagi w listach o społeczeństwie* i t. d. nie zostały drukiem ogłoszone.

Po wejściu do Polski Napoleona, gdy śpiesznie zaczęto tworzyć wojska, co miały znów być użyte na posiłkowanie armii francuzkiej w wojnie z Prusami; jenerał Zajączek dowodzący korpusem nowo zaciągnionym z polskiego żołnierza, otrzymał rozkaz udania się na linję bojową, po nad rzeką Omulef, gdzie zasłaniać miał prawe skrzydło armii francuzkiej. Godebski, któremu już poprzednio utworzenie pułku piechoty polecił był jenerał Dąbrowski, został wtedy mianowany dowódcą pułku, i przybył właśnie na linję w chwili, kiedy powierzony mu pułk do ataku się gotował.

Wiadome są szczęśliwe dla armii Napoleońskiej wypadki owej wojny, w której tak wielki udział miał oręż polski. Po zawarciu pokoju Tylżyckiego, po

utworzeniu Księstwa Warszawskiego, marszałek Davoust, znający i oceniający przymioty wojskowe Godebskiego, mianował go komendantem twierdzy Modlina. Współcześni, blisko znający tego Bohatera, Obywatela i Poetę razem, nie szczędzą pochwał na jakie w tej posadzie zasłużył. Istotnie nie wiadomo co wyżej w nim cenić należy; czy nadzwyczajną odwagę i gotowość oddania życia w potrzebie; czy też ciągłą, wytrwałą, codzienną, rzec można, pracę, mającą dobro rodaków na celu. Zdaje się iż tę ostatnią jakiej nam nie dostaje, wyżej kłaść powinniśmy. Na pierwszą bowiem, pełni rycerskiego zapału, w chwili zawsze gotowi byliśmy; na drugiej, wyznajmy ze smutkiem, dotąd nam zbywa. Godebski skoro mu oddany pułk został, uważał się nie tylko za dowódcę, ale za opiekuna moralnego ludzi mu powierzonych. Nie jeden właściciel ziemi, wśród pokoju, wśród zatrudnień tak stosownych, wśród okoliczności ułatwiających mu stosunek z włościaninem, nie pamięta że będąc wyższym wykształceniem, powinien być jego dzwignią, że codziennie winien korzystać ze sposobności jaką mu nadaje położenie, aby tę powierzoną mu przez Opatrzność garstkę oświecać, ku dobremu prowadzić, z całą wytrwałością jakiej potrzebuje grunt tak ciężki, tak nie rychło wydający plon. Tymczasem Godebski wśród wojen, w chwilach krótkich, (bo lat parę w takiej pracy zaledwie chwilą nazwać można,) nie zrażając się trudnościami, codziennym utrudzeniem, starał się kształcić żołnierza, stanem, rodzajem zatrudnienia, tak nieusposobionego do łatwego przyjmowania moralnego wpływu. Nie dość że tłumaczył dla nich z francuzkiego: *Szkolę żołnierską*, aby ich w manewrach wydoskonalić, ale wszelkich używał sposobów do rozwijania w nich pojęć i uczuć wyższych, o moralności, o obowiązkach człowieka. Za młodu zrozumiał czego brak ludowi naszemu, czem się stać może jeżeli zaniedbanym zostanie; zrozumiał, że żołnierz wróciwszy do zagrody, nie łupy, nie zepsucie, ale wiadomości użyteczne, ale prawdziwe moralne korzyści, z dalekich wędrówek swoich przynieść powinien. I raz, jeszcze we Włoszech, jakieś wyżej powiedzieli, wszedłszy na tę drogę postępowania, żadnymi trudami, ani nawet szczęściem domowem usunąć się nie dał. W taki sposób pracował zawsze i wszędzie, czy to jako dowódzca brygady, czy dowódzca pułku, lub komendant twierdzy. Zawsze i wszędzie nie tylko słowem ale przykładem, prowadził ku moralnemu postępowi swoich podwładnych.

stały. Wybuchła wojna Francyi z Austryją, i ta ostatnia z licznymi zastępami wkroczyła do Polski. Godebski odebrał rozkaz nadciągnięcia z twierdzy z pułkiem swoim. Przybywa w nocy do Warszawy, złe drogi wiosenne unurzyły go wraz z żołnierzem; radzą mu aby odpoczął, lecz on z podwładnymi swymi, czując i rozumiejąc ważność chwili, spieszy dalej nie pomnąc że jest szczęśliwym mężem i ojcem. Niebawem przychodzi do ciężkiej walki pod Raszynem; tam Godebski sześć razy liczniejszemu nieprzyjacielowi dzielny stawia opór. Zabijają pod nim konia, wsiada na drugiego i zachęcając wojsko idzie na przód—odbiera ciężką ranę w nogę, i na to nie uważa. Dopiero gdy z bagnietami w ręku naciera cofającego się już nieprzyjaciela, odbiera śmiertelną ranę niżej piersi, i bez sił pada. Przywiązani żołnierze porywają go na płaszcze i unoszą z placu boju; a on prosi ich, aby go nie dali w ręce nieprzyjaciela. Torując sobie bagnietami drogę, mężni stroskani towarzysze, przenieśli go wśród rot nieprzyjacielskich, tracąc co chwila któregoś z pośród siebie. Gdy stanęli na bezpiecznym miejscu, Galicjanin pełen odwagi, porucznik Żórawski, utrzymując go na rękach swoich odwiózł do miasta, lecz zanim ratunek mu dać mogli, krew go uszła i zakończył życie! Było to 19 kwietnia 1809 r. J. Suchodolski, zrobił z tego wielki obraz.

Nie możemy dziś dać również szczegółowych życiorysów innych zasłużonych w owym czasie rodaków, których imiona znane tylko, a bliższe z życia szczegóły zupełnie prawie nie wiadome: nim to kiedy wyszperać się nam uda, wspomnimy tu po krótko o zupełnie prawie nieznanym bohaterze Liberackim. Wiadomo że w wojnie Włoskiej kilkakrotnie burzyli się krajowcy przeciw wojskom francuzkim zrazu za oswobodzicieli uważanych, a później przez lud, nierozumiejący dalszych korzyści, zniechęconych. Taki wypadek był w Weronie. Mieszkańcy tego miasta wyrznęli Francuzów rannych, a załogę wypędzili. Jenerał La Hoche był przeznaczony aby zająć powtórnie zbuntowaną Weronę. Mimo usiłowań, silnym ogniem przywitany, już miał się cofać, gdy mu Liberacki przeszkodził. Ten waleczny w legii polskiej wice-brygadjer, właśnie był przybył wtedy z Polski do Medjolanu, a dowiedziawszy się o wypadku w Weronie, uprosił aby mu wydano broni na czterechset ludzi świeżo do legii przybyłych. Na czele tych ochotników spieszy pod mury Werony, zachęca cofający się oddział jenerała La Hoche do wytrwania, uderza razem z nim na Weronę i zmusza mieszkańców do poddania się; lecz sam śmiertelną odbiera ranę!

Wkrótce te prace jego na zawsze przerwane zo-

W pierwszym zapale wdzięczności, uniesieni nad bohaterstwem Liberackiego Francuzi, postawili mu pomniki w Medjolanie i Mantui. Lecz za powrotem swoim Austriacy zniszczyli je. Historycy opisujący

szczegółowo walecznych wojsk francuzkich czynności we Włoszech, ani wspomnieli o nazwisku Liberackiego!

KOBIETY NA WSCHODZIE.

Rzecz godna uwagi jak pod pięknym niebem Grecyi, wyobrażenia rozwija się dotąd na tle dawnych mitologicznych pojęć. Zdaje się że jeszcze uczucia piękna duchowego nie rozwinęło się tam w całej sile. Greczynki mianowicie, odziedziczywszy uczucia bohaterzkie Spartańczyków, jakby dotąd jeszcze coś suchego, coś nie dość rzewnego, nie dość duchowego w sobie miały. Upojone chwałą przeszłości, myślą gonią za wzorami dawnych bohaterz, a łącząc się z niemi sercem, łączą się razem z ich pojęciami religijnymi; i dla tego nie zdolne są przyjmować wyższości poezji chrześcijańskiej. Rozumem, poczuciem prawdy, idą za prawami Boskiego Prawodawcy; lecz tych prawd nie przyjmują do serca. Ukochanym ich ideałem prędzej być może jakaś bogini starożytna niż męczenniczka chrześcijańska. Zdaje się iż te nieodrodne córki Sparty, łatwiej się podnieść gotowe do ideału siły, lub rozumu, niż do ideału miłości. Sąd ten może nie dość bezstronny, czerpiemy z tego, co nam mówią podróżni a szczególnie co podaje jedna z pięknych autorek, o której pismach z pochwałami wielkimi wszystkie prawie dzienniki wspominają.

Wiele dowiedzieć się można nie tylko o Turcyi ale i o Grecyi z pism p. Nassau Senior, z podróży przed kilką laty wydanj hrabiny Aginor de Gasparin, a nade wszystko z dwóch tomów opisów księżny Dora d'Istria, z której dzieła czerpiemy te ustępy. Trzeba było pióra kobiety na odmalowanie *Kobiet Wschodu* ¹⁾ w których obok wylania wielu namiętności religijnych, można zarazem znaleźć pełno faktów dobrze opisanych i wiele uczuć poetycznych. Księżna Dora d'Istria zgłębiła ważność roli, jaką kobieta w epoce

odrodzenia socjalnego i politycznego odgrywać powinna. Słusznie przypominając heroiczne cnoty Greczynek w czasie ostatniej walki w ich ojczyźnie, zagłębiła się w domowe krajowców życie, studjowała powinności jakim podlega matka rodziny, mająca naturalnie obowiązek wychowywać syny i córki. Zwidziała wszystkie klasy towarzystwa, począwszy od pałaców aż do chat i każdy przedmiot troskliwie badając, wpoila to przekonanie w siebie i czytelników, że z góry szlachetny dany przykład, każe się spodziewać że i kobiety greckie usprawiedliwią wysokie o nich wyobrażenia, czyli inaczj mówiąc, okażą się godnymi tej wolności jakiej już dziś używają. We Włoszech i w Hiszpanii, ród niewieści ma teraz mniej swobód, niż Greczynki. Nie pierwsza-to już w piśmiennictwie *Księżna autorka*, ale pierwsza podobno grecka księżna, która pomimo tytułu swego, odznacza się barwą republikanki. Dwór Ateński (są jej słowa), daje przykład surowych obyczajów; królowa Grecyi nie tylko przez energją i zdolności umysłowe, godną jest panować miastu, co za opiekunkę swoją najsurowszą z bogiń dawnego świata obrało ¹⁾.

„Warsztat do tkania bawełnianych materyj, naczynia duże o dwóch uchach; zamiast piwnic i strychów, kosze zastępujące szafy i komody; koce ordynaryjne na których bez rozbierania się sypiają—oto są całe sprzęty!”

Szczęściemby pono było, aby do cnot uosobionych w Minerwie pogańskiej, do tych zanadto prostych

¹⁾ *Kobiety na Wschodzie*, przez księżnę Dora d'Istria. Dzieło wydane w Zurich 1860. Na czele tych dwóch tomów umieszczony portret autorki. Nad ten wizerunek nie możnaby znaleźć piękniejszego typu profilu greckiego.

¹⁾ Tłumacz tego dzieła, przydaje swe zdanie tutaj, pochwalając w Księżnie Dora d'Istria sympatję do wszystkiego, co pogaństwo przekazało w zdrowych podaniach ziomkom swoim? Pomiedzy innemi np. cześć dla Minerwy (?) którą także i Arkadjanie jej oddają, tak czystą jak w złotym wieku. Maż zasadę tłumacz?

sprzętów, do tego niepowabnego umeblowania domowego, dodano trochę woni jaklęjs.

Gdyby pani Dora d'Istria była katoliczką, zapewneby uznała że cześć dla Dziewicy z Betleem mogłaby daleko stosowniej zastąpić w Arkadyi, cześć dla dziewczicy z Akropolis? Nie wiemy także, dla czego włościanie greccy, silną, suchą żylastą swą budową, pomimo ich niedostatku i małego pożywienia (bo miska ślimaków jest wielkiem uraczeniem dla nich) zachwycają panią Dora d'Istria—że ludność mężka, o tyle się powiększyła, to należy się wdzięczność za to głównie królowi Ottonowi, który poprawiwszy obyczaje i uczciwszy matkę rodziny, uszanował razem czystość dziewczicy, téj, przez którą obalono cześć dla Minerwy.

Pomimo-to wszystko uznać musimy że pani Dora d'Istria doskonale opisuje zabobony raczej pogańskie niż chrześcijańskie—które przetrwały w téj samej Thessalii gdzie czarodziejstwo tak długo pawało i gdzie zdaje się dotąd jeszcze wpływ jego piekielny postrzegać się daje. Podług opowiadań Thessalońskich kobiet wiejskich: — różga Medei może jeszcze wystawiać i burzyć pałace, może ściągać gwiazdy na ziemię, nawet wstrząsnąć księżycem. Ładny jest bardzo rozdział pani Dora d'Istria w którym opisuje że spadkobierstwo po Parkach wzięły Miry i że młoda dziewczyna chcąc dostać męża podług swego serca, ofiaruje im ciasto z miodem; później jako małżonka prosi o dziatki, uważane za największą chwałę kobiety. A jak jest matką wtenczas niepokoję psują całe szczęście tego *chwalebego* stanu.

Zima w Grecyi jak i wszędzie będąca *chorobą* raka, jest krótszą niż na Północy, i miewa noce czarne, w których można napotkać różne straszydła, różnych ludzi, jak naprzykład Onotatrów czczących osła, którzy od Bożego Narodzenia do jakiegoś czasu szukają messjasza aby go zabić w Kalebu. Szczęście prawdziwe, że wiara niewieścia w zabobony mniej tu ponura, nawet wtedy, gdy o śmierć chodzi. Po utracie naprzykład pierworodnego syna, matka wstaje przedniem i szuka w podnoszących się wyziewach, cienia dziecka swego. Błąka się nad Archelousu i Acheronu brzegami ustrojonemi w kwitnące fiołki, by uj-

rzyć; lub sama w cieniu laurów, myrtów i pomarańcz, stara się uchwycić bądź dźwięk głosu, bądź westchnienie duszyczki młodej. Również nad brzegiem Ero-lasu, w szeleście liści lub szmerze strumienia pragnie pochwycić choćby tchnienie przynajmniej straconego dziecięcia.

Pani Dora d'Istria pomimo że sama jest swobodną Greczynką zdobyła się jednak na słowa do przemówienia za kobietami tureckimi; użala się nad ich życiem w zamknięciu, co bardzo łatwo wytłumaczyć w kobiecie wolno-podróżującej; lecz zarazem mówi że mieszkanki haremu, nie są ze wszystkim pozbawione wyższej opieki. Uważa stan ich smutny jak go zwykle wyobrażają. Niech nam daruje piękna Greczynka, bo ma widać i w tém nie dość chrześcijańskie pojęcia. Cóż bowiem znaczy wszelki byt materjalny, zaledwie, od cielesnych dolegliwości zabezpieczony, dla istoty z *praw człowieczeństwa wyzutój, pozbawionój prawa jako matka i obywatelka?* Z tego-to punktu zapatrują się na stan kobiet tureckich, ci którzy go za najmocniej poniżający uważają—pocytując podobne zdanie za przesadzone. Autorka tak dalej mówi o stanie Turczynek: „Mają prawo żądać rozwodu — i otrzymują go bez wielkich trudności (chcielibyśmy wiedzieć czy się to często zdarza?) W takim razie mąż obowiązany jest zwrócić jój posag... Kupione, nieślubne, mają także opiekę w prawodawstwie. Jeżeli albowiem niezadowolona z nich która ze swego położenia, jeżeli ślubne żony przykre-mi i nieznośnemi są dla nich, mogą zmusić swego pana aby je podług ich życzenia gdzieindziej umieścił, dając im podarek. Wiemy—dodaje pani Dora d'Istria że prawo w Turcyi pozwala mężowi okrutnym sposobem mścić się na niewiernój żonie; lecz ta barbarzyńska kara nie wyłącznie istnieje na Wschodzie—ponieważ i we Francyi do roku 1789 Francuz mógł bezkarnie na złapanym uczynku popełnić zabójstwo. Otóż tu warto porównanie zrobić mężów Wschodnich z Zachodnimi, czyli Turków i Francuzów. P. Dora d'Istria nadużywa może *wykrzykników* przeciw Zachodowi, porównywając obyczaje Zachodnie ze Wschodniemi; naturalnie że w krytyce dość przyostrój z większym pobłażaniem okazuje się dla Greków i sąsiadów, niż dla naszych Europejczyków.

ZWALISKA MIASTA AGRIGENTU W SYCYLI.

Dowody siły materialnej pogańskiego świata zawsze wywołują w nas podziw, zawsze prawie niepojętemi się nam wydają. Gdyby nie szczątki pozostałe, uważalibyśmy za bajki z Tysiąc Nocy, w gorączkowej wyjętym wyobraźni, opisy owych olbrzymich budowli ku zabawie przeznaczonych, gdzie ludzie z równie olbrzymimi fizycznymi siłami wytrzymywali bez szwanku niepojęte już dla nas uczty. Jednym z zabytków tej odległej przeszłości, świadczących o pojęciu piękna istotnie w sile, jedynie w materii uznanego, są rozwaliny miasta Agrigentum w Sycylii, dziś noszącego nazwę Girgenti.

To miasto odwiecznej sięga przeszłości—zrazu była tylko twierdza, zwano ją Camicus, której fortyfikacje przez czas długi za niezdobyte były uważane. Przypisują założenie ich Dedalowi.

Osada z Gelu na 600 lat przed narodzeniem Chrystusa założyła koło tej twierdzy miasto, zwane przez Greków Agragas, dzisiejsze Girgenti. Początkowi mieszkańcy, jak twierdzą pisarze, pochodzą od Doryczyków, inni utrzymują że od Jończyków. Początkowo prowadzili handel z Kartagińczykami, bo ziemia nadzwyczaj urodzajna dostarczała im rozmaitych płodów, które zamieniali na różne kosztowności Afryki, gdzie dzika, piaszczysta, skwarem słońca przepalona ziemia, była nie płodną. W krótkim czasie tak się z bogacili, że miasto ich stało się najprzepyszniejszym, najbogatszym z całego świata. Liczba mieszkańców Agrigentum dochodziła do 220,000 przeszło, co było na ówczesne wieki nadzwyczajnością.

Starożytni historycy chcąc dać wyobrażenie bogactwa Agrygentów, następujące przytaczają opisy: Gdy Essenet otrzymał nagrodę w grach Olimpijskich, współobywateli jego utworzyli w koło niego orszak z trzystu wozów białymi jak mleko końmi ciągniemych. Gelljas rozkazał służebnym swoim, stać przy bramach miasta, ażeby namawiali podróżnych do przyjęcia gościnności i odpoczynku w domu jego. Trafiło się iż dnia jednego przyprowadzono do pałacu pięciuset wojowników od ulewniej burzy przemo-

kłych; Gellias nie tylko że każdemu z nich dał wygodne pomieszczenie, nie dosyć że ich jadłem i napojem ugościł, ale nadto każdemu ofiarował nowe piękne ubranie, to jest tkaną według ówczesnej mody tunikę i płaszcz, aby przybysze nie dość piękne i przemokłe odzienie zrzucić mogli. Szczytny-to zaiste obraz gościnności! możnaby go wzięść za zaranie cnot chrześcijańskich budzących się w ludzkości; gdyby nie to, że jedynie był wpływem chęci pokazania bogactw i wielkości swojej. Może kto powiedzieć: Wszak na Wschodzie prawa gościnności na nie równie czystszych oparte pobudkach, świadczą, że i nie chrześcijańskie ludy tę cnotę praktykują? Ależ pamiętajmy o tem że Mahomet do Koranu swego wiele brał z nauki *Syna Maryi*, jak nazywał Chrystusa. Lecz wróćmy się do ciekawych murów bogatego miasta.

Antistenes w czasie zaślubin swjej córki, kazał przedewszystkiemi domami swoich współobywateli pozostawiać pełne wszystkiego stoły do uczty. Orszak towarzyszący nowożeńcom, nie tylko z całej młodzieży miasta, ale i z okolic jego zamykało 800 paradnych wozów: nareszcie aby oświecić pochód nocny, kazał nazwozić mnóstwo drzewa i pokłaść na ołtarze po ulicach i przed świątyniami stojące, i gdy orszak z pochodniami miał prowadzić weselnych, na znak dany z góry, wszystkie drzewo na ołtarzach złożone razem w jednej chwili zapalono, tak że zdawało się iż wszyscy przez płomienie palącego się miasta przechodzą.

Agrygentowie łączyli wyszukany zbytek z wytwornym smakiem i namiętnością do sztuk pięknych—zawsząd wyszukiwali i sprowadzali posągi i obrazy najszlachetniejszych mistrzów, również i naczynia, tak z kosztownych metalów jak i z gliny, byleby tylko sztucznie wyrobione; ubierali się w najkosztowniejsze i najcieńsze tkaniny: wszystkie sprzęty domowe, gotowalne i stołowe były u nich złote lub srebrne najsztuczniej i najpiękniej wyrobione; używali lektyk z kości słoniowej; zamieszkiwali w nadzwyczaj obszer-

nych i wspaniałych pałacach w których sale przeznaczone do biesiad najważniejszą były rzeczą. Żadnego szczątki z tych zbytków już nie pozostało! Dziejopisarze tylko wspominając o tych budowlach i uroczach mówią: „że Agrigentowie budowali jak gdyby nie mieli umierać, a jedli i pili jakby się śmierci nazajutrz spodziewali.” Ateneusz utrzymuje że mieszkania swoje głównie przedewszystkiem stawiali na to, aby w nich biesiady i festyny mogli wyprawiać, i cytuje: jak jednego dnia dostojna młodzież zgromadziwszy się, zakład zrobiła kto z nich więcej kubków wypije. Do tego stopnia upili się, że cały dom kręcił się im i na nogach nie mogąc się utrzymać, zdało się im że są na statku na morzu; a skutkiem zawróconej głowy ciężającej ku ziemi, wydawało się im, że toną: chcąc ulżyć urojonemu *statkowi*, zaczęli wyrzucać sprzęty, puhary złote i srebrne na ulicę, które lud naturalnie z pociechą swoją zbierał — a młodzież krzyczeć i wołać ratunku poczęła. Senatorowie przechodząc koło domu, uznali tę scenę trochę za gorszącą i wszedłszy pomiędzy ucztujących zaczęli ich napominać. Wtém jeden z nich mogący cokolwiek lepiej językiem władać odzywa się do senatorów: „O czcigodne Trytony! przyjmijcie dzięki nasze za pomoc, jaką nam ukazaniem się waszém czynicie! jak raz staniemy u portu, obiecujemy wam posągi wasze z brązu, nie tylko w świątyniach ale i po ulicach popostawiać i cześć, jaka morskim bogom przynależy, oddawać. Tylko wyratujcie nas z téj toni!... Odpowiedzialność za tę anegdotę niech cięży na historyku Ateneuszu.

Ogromne źródła bogactw wpływające im ze zwykłego handlu, powiększonemi jeszcze były niezmierną liczbą niewolników, po zwycięstwach rozmaitych, tak, że każdy średniego stanu obywatel miał ich po 20, a historycy utrzymują, że ogółem liczba niewolników w Sycylii dochodziła do 600,000. Z taką obfitością i pomyślnością w kraju i z tak nadzwyczajnemi środkami, złączonemi z zamiłowaniem sztuk pięknych i religijności, mieszkańcy Agrigentu zdołali tę nieprzeliczoną liczbę wystawić olbrzymich budowli, których szczątki potomność podziwia.

Przystań Agrigentu jest prawie o cztery mile od miasta. Teraźniejsza tama wzniesiona na dawnych fundamentach, zbudowana kosztownemi nader materiałami i z niepowetowaną szkodą dla sztuki i archeologii, bo ze szczątków świątyni Jowisza Olimpijskiego. W okolicach przystani są wykute ogromne wskałach jaskinie i doły, które zastępowały w dawniejszych wiekach szpichlerze na skład zboża. W pe-

wniej odległości od morza jeszcze dojrzeć można szczątki okopów zajmowanych przez Kartagińczyków i Rzymian kolejno oblegających Agrigent — dalej trochę cmentarz, sławny niegdyś wspaniałemi pomnikami któremi był pokryty; okolony cały prostopadłemi skałami; a gdzie pomiędzy niemi znalazła się przerwa, to dopełniono ją pracowicie wzniesionym murem. Ten cmentarz ma półtory mili rozciągłości. Skały otaczające go, na płasko ściętych wierzchołkach, mają jeszcze na sobie rozwaliny świątyni Junony — Zgody — Herkulesa — Jowisza Olimpijskiego — Castora — Polluxa i — Wulkana.

W dolinie pomiędzy zwaliskami świątyni Wulkana, Kastora i Poluxa, Agrigentczycy wydrążyli jakby sztuczne jezioro wysadzone kamieniami i marmurem dla hodowania w niem ryb przeznaczonych na uczty publiczne. Miało to być cudownie piękném, jak ten skład wody po wierzchu napełniony był łabędziami i innymi wodnymi ptakami. Nad brzegiem téj doliny dają się postrzegać szczątki kanałów kutych w skałach, któremi spływały wszystkie wody z miasta. Tak użyteczny wynalazek w kraju, w którym wody stojące mogłyby sprowadzać zarazy i choroby, unieśmiertelnił imię architekta Phaeaxa — gdy imiona innych, w tymże czasie znakomite wznoszących budowy, poszły w zapomnienie.

Żeby powziąć sprawiedliwe wyobrażenie zajmującej miejscowości Agrigent, trzeba zatrzymać się przy wejściu do cmentarza na górze poświęconej Minerve; z tego punktu widzi się cała obszerność na której wznosiła się ta sławna rywalka Kartaginy, sylwetki gór i dolin ją otaczających i niezmierną przestrzeń pięknych głębin morza. Nikt nie wysnuje z siebie tyle zdolności żeby mógł opisać piękność i wspaniałość jaką się jednym rzutem oka postrzega w téj panoramie. Z drugiej znów wschodniej strony, na górze przed miastem, postrzega się mnóstwo tarasów zdaje się jakby pod niebo wzniesionych; ogromne skały ustrojone w krzewy a na brzegach swych piastujące świątynie Junony i Zgody: ten ostatni widok jeszcze wspanialszy i bardziej zachwycający.

Agrigentum największą jaśniało świetnością w epoce, w której wspólnie z wojskami Syrakuzkiemi odniosło wielkie nad Kartagińczykami zwycięstwo na lat 406 przed Chrystusem. Przez lat 74 z niczém nieporównanej używając swobody, miało czas wnieść olbrzymie budowle swych świątyni przewyższające wspaniałością, przepychem i pięknnością wszystkie Greckie dotąd znane. W 74 lat później Kartagiń-

czyli jednakże zdołali zwyciężyć Agrigentów i miasto ich, współubiegające się o sławę z Kartaginą, zburzyli.

Podług opisu Diodora, w świątyni Junony miał się znajdować posąg téj bogini dłuta Zeuxisa, któremu do utworzenia go służyło na model pięć najpiękniejszych w całej Sycylii młodych dziewcząt. Kastora i Poluksa świątynia, podług tegoż historyka, miała ogromem swoim nie tylko wszystkie, ale na całym świecie świątynie, przewyższać—po szczątkach kolumn sądzić można że zdanie to nieprzesadzone; ostatni bowiem szereg kamieni na pilastrach, wyrównywa wysokości trzeciego zwyczajnego u nas piętra. Każda kolumna ma 13 stóp djametru a zatém o stopę jedną więcej, niż kolumna Trajana w Rzymie i kolumna wielkiej armii w Paryżu; takimi-to na zewnątrz świątynia ozdobiona i słusznie za cud świata prawie uważana była; wewnątrz miała kwadratowe pilastry w których rowkach czyli żłobkach człowiek mieścić się mógł. Portyki miały być nadzwyczaj wyniosłe i obszerne— a w nich rzeźby od strony Zochodniej wyobrażały walkę olbrzymów a ze Wschodniej strony zburzenie Troi: tutaj każdy Bohater miał mieć atrybucje odpowiednie swemu charakterowi—rzeźby zaś były arcydziełem sztuki.

Nie sama próżność zdaje się wiodła ich do stawienia tak olbrzymich i trwałych budowli, lecz więcej może uwaga że wyspa nurtowana Wulkanami i narażona na częste trzęsienia ziemi łatwo pochłonąć i zniszczyćby mogła słabsze i mniej trwałe prace.

Dla uzupełnienia opisu zwalisk tego sławnego i świetnego miasta wypada nadmienić i o pomnikach

dla zmarłych—które są trojakiemu gatunku. Groby kute w skałach; te które są na wierzchu skał formują jakby granice cmentarza i oddzielają go od miasta. Groby podziemne składają się z ogromnych komnat kwadratowych i okrągłych; te umieszczone były pod świątyniami niegdyś najwięcej czczonych bóstw — przeznaczone do przechowywania popiołów najpierwszych i uprzywilejowanych rodzin. Wszystkie ozdoby, rzeźby i kosztowności jakimi napełnione były, już odwiecznie poniszczone; sądzić o nich można z dwóch nagrobków przeniesionych do katedry w Girgenti. Jeden jest w najpiękniejszym stylu greckim, ozdobiony kosztownymi rzeźbami i malowaniem. Drugi w guście rzymskim, pokryty płaskorzeźbą wystawującą śmierć Hippolita. Inne groby mniej znaczące ale bardzo liczne, w skałach także kute są już za miastem teraz: tam składano całe ciała i zamknięto otwory, marmurem, kamieniem lub bronzem z zapisanemi tablicami.

Dyodor wspomina że te pola, pomniki dla umarłych, piramidy ustrajane tak kosztownie na co tylko sztuka zdobyć się mogła, są dowodem wspaniałomyślności agrigentów; że znajdowały się na tych cmentarzach nagrobki i dla koni i dla ptaszków nawet ukochanych przez dzieci możnych rodzin. W czasie kiedy Annibal oblegał miasto i niszczone dla okopania się nagrobki, piorun uderzył w najwspanialszy i największy pomnik, któren właśnie zabierano się zniszczyć; Kartagińczykowie wzięli to za znak gniewu Bogów i przestali pustoszyć to miejsce spoczynku Agrigentczyków.

CEZARY CANTU.

Cezar Cantu urodził się z ubogich rodziców w zamku Millanese przy Brivio 1805 roku. Nauki pobierał w szkole Sondrio, gdzie tak wczesnie i szczęśliwie zdolności umysłu rozwinął w sobie, iż w roku 18tym życia został profesorem w wydziale sztuk pięknych. Potém zamieszkał Como, a następnie Medjolan, gdzie miał process z powodu historii Lombardyi z XVIIgo

wieku, którą wydał, przekroczywszy, jak utrzymywała władza, przepisy Cenzury. W skutek tego wypadku przecierpiał rok więzienia. Nakształt Silvio Pelico, Cezar Cantu niedolę swoją więzienną opisał, z tą wielką różnicą iż ten ostatni ubrał ją w powieść nader zajmującą, pod tytułem: Margaritha Pusterla. Jakkolwiek chciał tym sposobem ukryć osobiste wy-

padki; wszyscy znający okoliczności smutnego uwięzienia jego, od razu poznali że swoje własne skreślił przygody.

Wiadomą jest piękna ustawa Włoch, którą wyjednali u Rządu Austriackiego, ażeby kolejno do miast Włoskich raz na rok zjeżdżali się uczeni, dla rozmaitych naukowych celów, a razem, czyli raczej głównie, dla ożywienia ducha zjednoczenia wszystkich prowincyj Półwyspu.

W r. 1848 kolej przypadła na Wenecję; Cantu jako członek Akademii z Medjolanu, przybył do niej. Pełen zapału i wymowy historyk, rozpoczął posiedzenie piękną mową w dolnych salach pałacu Dożów, przeznaczonych na takie zbory: lecz za ciasno tam było przejętemu wspomnieniami przeszłości mówcy. Przypomniawszy słuchaczom owe czasy w których Wielka Sala Dożów, bywała napełnioną ludem słuchającym mów publicznych; zawołał z zapałem: „Czemużbyśmy nie mieli dziś odnowić tej dawnej pamiątki? czemużbyśmy nie mogli przypomnieć sobie, tych niegdyś wolnych zebrań

napełniających głuche od tyłu lat mury? Party niepowściągniętą siłą, ruszył mówca na szerokie wschody a za nim z oklaskami lud zgromadzony; jakby czarodziejską rószczką tknięte ciężkie podwoje ogromnej sali Dożów, rozwarły się przed tłoczącym się zgromadzeniem. Mówca w tej sławnej od wieków sali zdało iż się nowego zaczerpnął natchnienia. Z głębokim przejęciem i uniesieniem, słuchano historyka z jasnością i uczuciem umiającego przedstawiać wielkie chwile przeszłości historycznej; powstającego przeciw wszelkiemu duchowi stronnictw, zachęcającego do zjednoczenia, zgody i miłości bratniej. Dotąd przytomni tej wielkiej chwili, mają ją w pamięci; mówca przekonał i rozrzewnił słuchaczy; bo przejęty prawdą, bez wzglę-

du na następstwa, wygłosił ją z przepełnionych szlachetnymi uczuciami piersi. Po tej uroczystej, pamiętnej dla zgromadzenia i dla samego historyka chwili, natychmiast musiał opuścić Wenecję. Schronił się do Pjemontu. Zkąd, zdaje się iż w skutek wpływów brata swego, będącego nauczycielem dzieci arcyksięcia Rejnera, vice-króla Włoskiego, bez przeszkody wrócił do Medjolanu, i zajmował się głównie wyda-

nieniem historyi i dziejami piśmiennictwa Włoskiego od r. 1730 do 1850.

„Kwiatem uczucia,” — jak się wyraził nieporównany wieszcz nasz, jest Poezja, a owocem jego, Religja.” Uczucie naszego historyka nie tylko w kwiat ale i w owoc obfituje. Głęboka wiara jaką przyjął rozum a razem serce jego, przebija we wszystkich pismach, a mianowicie w poezjach, z których najlepsze są religijnej treści, jak np. *Hymny* powszechnie chwalone. Ze wszystkich zaś dzieł jego najwięcej rozgłosu i pochwał zjednała sobie jego *Historja Powszechna* w 36 tomach. Trudnym bowiem i nader ważnym jest zadanie Pisarza Historyi Powszechniej. Ma



Cezary Cantu.

on odtworzyć dzieje przeszłości — ożywić szkielet pozbawiony ruchu — okryć go ciałem, pospinać żyłami i (że użyjem wyrażenia Proroka) — tchnąć weń ducha, ducha który go niegdyś ożywiał. Ma on okazać nam ludzkość dążącą po szczeblach milionowych faktów, nadanym jej wszechmocną ręką popędem, ku wiecznym jej celom, w pośród, i mimo ciężkich błędów, zwrotów i upadków, pod kierunkiem mądrej a miłością tchnącej Opatrzności Bożej — naprzód i zawsze na przód. W pośród zaś tego miliona faktów, odkryć i wskazać te właśnie, które są rzeczywistymi drogowskazami wytkniętymi w postępie ludzkości; ocenić i uczuć światło które najistotniej przewodniczyło i najłagodniej wiodło ku prawdziwej oświacie

i szczęśliwości; nie dać się uwieść ani podnietom miłości własnej do kierowania opinią, ani namiętnej stronności dla upodobanych zasad i celów — ani żadnej naprzód ułożonej dążności lub jakim bądź ciasnego obrębu widokom — stawić się wyżej nad przesady — a uznać prawdę bez względu na to, że ją tak zwany duch wieku niesłusznie przesądem nazywa; trudne to nad wszelki wyraz zadanie! A przecież ze stanowiska takich wymagań i zasad, sądzić koniecznie zdaje nam się, należy Pisarza Historii — z nie-

mi dzieło jego zestawić — i takim doświadczyć je trzeba probierzem. Do napisania podobnej historii nietylko filozoficznego stanowiska, ale jeszcze wysokiej religijnej sumienności potrzeba. Te przymioty posiada właśnie Cantu, którego tu podaliśmy życiorys.

Historia powszechna Kantu, wyszła w 11 tomach i w języku polskim, przełożona głównie przez Leona Rogalskiego, przy pomocy Hip. Skimborowicza (w tomie VI) i F. H. Levestama.

S.

WSPOMNIENIE O MALICACH.

W Malicach najważniejszym jest kościół parafialny ¹⁾ który chociaż z drzewa postawiony, przeżył jednak kilka wieków, i był świadkiem licznych burz, jakie umysłami schodzących się do niego na modlitwę miotały. Pamiętne są dla Chrystianizmu czasy, w których Luter, Kalwin, i im podobni, pragnąc podnieść upadłą moralność ludzi, a nawet duchownych nie pojmujących ducha katolickiego, uderzyli na sam Katolicyzm: a popróbawwszy sił swoich, zasmakowali w przesadzonej wolności ducha i ciała, i zrobili w kościele rozerwanie. Tak więc chcąc poprawić ludzi odstępujących od zbawiennych zasad, walczyli same zasady.

Oburzeni na występnych, na nadużycia i ciemność wielkiej części duchowieństwa, szarpali to, co-by jedynie wszystkich na swoją drogę zwrócić mogło. Mieli dobre chęci, ale działali bez błogosławieństwa Bożego, bo przedsięwzięli reformę anormalnie czyli bezprawnie, a ztąd skutki wcale inne się okazały. Zamiast uporządkowania, usamowolnienia ducha, powstała demagogia religijna. P. Grabowski w swoich Tajkurach dobrze uosobił reformacją w Janie Kowaku, który obalamucony rozlicznymi a sprzecznymi twierdzeniami religijnymi, w nic potem nie wierzył. I w istocie sekty ówczesne liczyły się na sta, i zapewne dały początek bezbożnej sofistyce XVIII wieku. Sam Luter w liście swoim do Antwerpian żaląc się mówi: „tyle jest niemal wiar i sekt ile głów.” Rozkiełznanie zaś moralne jeszcze za jego czasów

w ziemiach protestanckich powstałe, tak jest niezaprzeczone iż nie potrzeba na to dowodów. Lepiej więc było zostawić reformę Bogu, który drogą przez siebie obraną, to jest przez urząd kościoła swojego, prowadzi ludzkość do celu. Zamiast dumnych zamiarów, oddania się burzliwym popędom, lepiej było pamiętać o miłości, o modlitwie; bo Bóg pysznym się sprzeciwia, mówi pismo. Ludzi nie można zaraz poprawić, ani świata odrazu przekształcić — potrzeba cierpliwości. Dobrze to zrozumiał pewien prałat, który odpowiadając na list senatora polskiego z powodu bulli sycylijskiej pisany, napisał: „Quid miraris et indignaris quod leges canonicae de appellationibus et inhibitionibus exacte non observentur? Si quidem etiam leges divinae a multis et forsitan a nobis ipsis, non ita ut par est adimplentur. Haec enim est conditio fragilis naturae humanae: vitia donec homines.” Czemuż się dziwisz i unosisz że prawa kanoniczne o appellacjach i zakazach nie są dokładnie zachowane? Kiedy nawet prawa Boskie od wielu a może od nas samych nie tak jak należy są wypełniane. Taki bowiem stan jest ułomnej natury ludzkiej: występki zawsze z ludźmi. (Przy księdze: Clypeus cleri poloni contra tela feri saecularis, przez Kostrowskiego). Nie pochlebianie skłonnościom człowieka, nie samowolność, nie zły ale dobry przykład, pokora, owa dusza nauki Chrystusa, łagodność o której się najmniej reformatorem starali, mogą dobry skutek sprawić na ludziach. Zresztą czego człowiek dokonać nie może, Bogu winien poruczyć. Znakomity wieszcz niemiecki Schiller, chociaż protestant, w swoich tragedjach: Maria Stuart i Don Carlos, wyka-

¹⁾ Wieś Malice kościelne, leży w gubernii Radomskiej, powiecie i okręgu Sandomierskim.

zawszy schlebiające na pozór człowiekowi zasady reformacyi, wyliczywszy wszystkie jój przechwałki, jednym szkicem, że tak powiem, pięknie oddał skromną i rzewną postać katolicyzmu. Każdy czytający bez namiętności, bez uprzedzeń, przyznać to musi; chociaż nie wiemy czy autor chciał tego przy pisanu. W dramacie swoim: Die Räuber, tom IIgi, str. 175, chcąc okazać jaką trzeba mieć cierpliwość w szerzeniu moralnego postępu, kładzie w usta Karola Moor te słowa: „Der ich waenhte, die Welt durch Gräuel zu verschoenern und die Gesetze durch Gesetzlosigkeit aufrecht zu halten! Ich nannte es Rache und Recht. Ich masste mich an, o Vorsicht, die Scharten, deines Schwertes auszuwetzen, und deine Parteilichkeiten gut zu machen, aber, o eitle Kinderei! da stehe ich am Rande eines entzetzlichen Lebens, und erfahre nun mit Zaehnkloppern und Heulen, dass zwei Menschen wie ich den ganzen Bau der fittlichen Welt zu Grunde richten würden. Gnade—Gnade dem Knaben, der dir vorgreifen wollte.—Dein eigen allein ist die Rache—du bedarfst nicht des Menschen Hand.” (Ja, który mniemałem świat obrzydliwością upiększyć, i prawa bezprawiem utrzymać! nazwałem to zemstą i słusnością. O Opatrzności! porwałem się do wyostrzenia szczyrbów twojego miecza, i do sprostowania twojej stronności — ale — o próżna dziecinności! — oto stoję na brzegu sromotnego życia, i z szczekaniem zębów i wyciem przekonywam się, że dwóch takich ludzi, jak ja, całą budowę obyczajowego świata wywrócić-by mogli. Łaski! — łaski dla dziecięcia, które się do Ciebie mieszać chciało! Do Ciebie tylko samój należy zemsta. Ty nie potrzebujesz ludzkiej ręki.) Zamiast więc wzburzać, trzeba było uśmierzać; zamiast rozdzielać, jednoczyć. Chrystus Pan chciał żeby jego naukę rozszerzać miłością, poświęceniem siebie a nie drugich; i tak czynili prawdziwi Jego Apostołowie; fałszywi zaś, nie natchnieni, ścigani przez władze, okrutniejszém jeszcze prześladowaniem wypłacali się. Krzyczeli na nietolerancją, a sami nigdy znosić się nie mogli i wzajemnie się wyklinali — czego dowodzą zjazdy innowierców w celu połączenia się przeciw katolikom w Polsce odbywane. Ale to z każdej strony byli ludzie, którzy czy działając odpornie czy zaczepnie, działali namiętnie, a ztąd zgoda jeszcze nie nastąpiła. Chlubili się nowowiercy że oczyszczają religiję z fałszu, przesądów i zabobonów, ale te zaszczyty sobie oddawane, skończyły się na słowach, bo pobożniejsi z nich wiedzeni przeczuciem, wracali do matki, która była od wieków w posiadaniu prawdy. Nie można więc

zgodzić się z autorem nie tak dawno wyszłego pisma, który krytykując sprawozdanie, może w niektórych szczegółach z przesadnem zapatrywaniem się na rzeczy, ale w ogóle dobrze napisane, mówi w swoich dopiskach: „Można-by tu przypomnieć jak świetne miejsce zajmują reformy kościoła w dziejach oświaty, w postępie ludzkości, w usamowolnieniu ducha; ale cóż z ślepym mówić o farbach?” chyba że krytykowi niektóre korzyści materyalne wystarczają za zgubę fizyczną a nawet moralną tylu milionów ludzi. Wprawdzie reforma była powodem że kościół zaczął pilniej czuwać nad wiernymi, że duchowieństwo biorąc się do obrony, w szermierstwie piśmienném i słowném zyskało wiele na oświacie którą zaniedbało, a nawet moralnie wiele postąpiło — że nareszcie rozwinęły się w ogóle pojęcia. Ale czyż to jest zasługą dla grzesznika, że z jego grzechu wypływa dla drugich przestroga i korzyść? czyż może on przypisywać to sobie, że Bóg z każdego złego przez swoją mądrość umie dobre wyprowadzić? Chrystus Pan sam powiedział: „Biada światu dla zgorszenia. Muszą wprawdzie przyjść zgorszenia, jednakowoż biada człowiekowi onemu przez którego zgorszenie przychodzi.” (Mat. 18. 7.) Pomimo więc korzyści które przecież daleko są mniejsze od strat, nowatorowie są winni, i za rany jakie zadali Oblubienicy Chrystusowej, kościołowi, surowy ich sąd czeka. Tłumaczą się że instytucye kościoła były uciążliwe, że się przywiązano jedynie do form; ale czy to ich rzeczą było stłumić konieczny duch czasu? czy ich Bóg posłał? — czy wszystko na świecie swojej kolei przejść nie musi? — Bez namaszczenia więc uderzyli na kościół, na formy, chociaż te z ducha się poczęły — chcieli działać samym tylko duchem, zapominając że mają i ciało; i z jednego złego wpadli w większe, bo teraz nie mają ani formy ani ducha. Wielu z nich w dzisiejszych czasach, gardząc formą religijną, z nałogu, łakną jój w duszy; a pojąć nie mogąc tego wewnątrz skrytego głodu, wielbią przynajmniej w światowych rzeczach to, co się w świetnej ukazuje formie. Wielu z nich, co dziwniejsza że bogatsi, nawracają się przez same formy, bo czują ich głód, bo się przesycili obojętnością; — inni, jak uczeńsi, nawracają się z przekonania. Spójrzmy na narody protestanckie; nie bądźmy obojętnymi na sprawę religijną, a łatwo się o tém przekonamy. W Anglii, gdzie w zeszłym wieku zaledwo kilkadziesiąt tysięcy było katolików, dziś się na miliony liczą. Formy więc leniwców nużą, męczą; ale w czasie ocknienia się ich ducha, opanowują go. Kto z części chce poznać całość i osądzić ją,

kto chce odróżnić formy, ceremonie konieczne od niekoniecznych, a przecież dobrych i pożytecznych, niech się w nie dobrze wpatrzy, niech się o nich oświeci od drugich. Wiele z takich form, ceremonij, będących niby nadużyciem Bogu i ludzkości przeciwnem, objaśnił znany nam legat Grzegorza XIII do Cara Iwana II Wasilewicza, Antonius Possevinus w księdze: de rebus Moscoviticis.

Nauki nowatorów z szybkością błyskawicy rozchodziły się po świecie, a szczególnie przyjęły się w Niemczech, jako w narodzie więcej spekulacyjnym, więcej szukającym dobrego bytu ciała jak duszy. W Niemczech wszelka nowinka religijna znajdzie zaraz uprawiaczy. Polacy także pełnym kielichem napili się tej słodkiej trucizny; ale oni szcep rycerski a zarazem rolniczy i prostoduszny, obrali sobie byli Najświętszą Boga Rodzicę za królowę; w Częstochowie ją koronowali, i jako poddani z sercem pełnem przywiązania, zyskali serdeczną opiekę swojej Monarchini, i wnet w prostocie swojej, przeczuwszy zwodniczy napój, szybkim krokiem wstecz się cofnęli. Chociaż więc cały prawie naród wyjąwszy lud prosty, podzielił się na różne stronnictwa, a to stosownie do liczby główniejszych sektarzy, przecież wkrótce ani nagłony prześladowaniem, bo na to przynajmniej w Polsce nowatorowie żalić się nie mogą, ani wabiony nagrodą bo sam był panem w kraju, powrócił do stariej wiary; a dziś ledwie szczątki owej rewoltowanej massy i to po większej części obojętnych widzieć się dają. Da Bóg, że i ci przekonawszy się że człowiek niczem więcej nie jest tylko człowiekiem, że społeczność nawet religijna musi mieć społeczny porządek, że potwarze były potwarzami, że zasady religijne jako boskie muszą być wiecznie też same, bez uczucia wstydu, bo wstydzic się nie może ten kto chce dobre uczynić, bez oglądania się na okoliczności, podadzą przyjacielską dłoń katolikom, i we wzajemnej miłości, w jednej owczarni, szerząc królestwo boże, staną się godnymi boskiego chrześcian autora.

W tej to Polsce Jakub Knade mnich w roku 1518 pierwszy w Gdańsku uczył nauki Lutra i później się ożenił. Jan Łaski kanonik Gnieźnieński i Łęczycki nominat na biskupstwo Wesprymskie w Węgrzech pierwszy Polak kapłan odstąpił wiary i roku 1540 w Moguncyi się ożenił. Protestantcy pisarze zowią go sławnym awanturnikiem i włóczęgą. Jeszcze mało było znanem luterstwo w Polsce, a już zasmakowawszy w pojawionem piśmie o małżeństwie księży, w duchu jego postąpili: Walenty proboszcz Krzczo-

nowski w dyecezyi krakowskiej, Marcin Krowicki, Jakub Przyłuski, a nareszcie sam Stanisław Orzechowski proboszcz i dziedzic Żórawicki, kanonik przemyski, o którego życie niemoralne wprzód jeszcze toczyła się sprawa na sejmie. Z pomiędzy obrońców katolickiej wiary najgorliwszym i najoświecenijszym był Stanisław Hoziusz biskup chełmiński później warmiński. Bronił on wiary głęboką swoją nauką, radą i uczynkiem; a z pomiędzy pism jego najslawniejszem jest dzieło pod tytułem: Confessio catholica fidei Christianae. Roku 1561 mianowany został od Piusa IV kardynałem, legatem i prezydentem soboru trydenckiego. Pius V zwał go kolumną wiary katolickiej, a świat katolicki nowym Augustynem, (czytaj Rychlickiego). Wezwany od papieża do Rzymu, nie zapomniał i tam o swoim narodzie, ale już zdaleka nie mógł tak skutecznie działać na pokój polski. Tam chwalebne życie dokonał a napis pogrobowy, tak jego sławę opiewa:

Stanislaus Hosius,	Cardinalis,
Tuus Cracovia! civis	Poloniae senator
Ecclesiae columna	Cardinalium Phoenix
Orbis miraculum	Polonicus Patriarcha
Religionis atlas	Altera Pauli manus
Interpres Dei	Tuba Christi

Moderator Concilii Tridentini

Corpus suum posuit ad aedes trans Tiberium B. V. M.
Romae anno domini 1579 nonis Augusti

Stanisław Hoziusz,	Kardynał,
Twój Krakowie obywatel,	Polski senator,
Kościola filar,	Kardynałów Feniks,
Świata podziw,	Polski patriacha,
Religii podstawa,	Druga ręka Pawła,
Tłumacz boży,	Trąba Chrystusa,

Sternik koncylium trydenckiego,

Ciało swoje położył w świątyni zatybrzańskiej N. Maryi P. w Rzymie roku pańskiego 1569 d. 9 sierpnia.

(W dziele: Forteca Monarchów i całego królestwa polskiego przez Piotra Pruszcza r. 1737).

Gdyby król Zygmunt August, którego Hoziusz o siedm lat przeżył, umiał był korzystać z gorliwości wielu mężów, i sam się czynnie do pojednania stronnictw przyłożył, byłby protestantyzm w Polsce więcej uczuciowej jak rozumowej, tak wysoko głowy nie podniósł. Ale on zniewieściały wychowaniec Bony, obojętny na wszelką religiję, korespondowaniem swoim z Kalwinem ośmielając nowowierców, sprawił to, iż przy końcu jego panowania pięciu tylko senatorów było katolików, a biskupi ledwie utrzymali się

w senacie. Wprawdzie był on ograniczony w swojej władzy przez panów i szlachtę; ale jednakże co król w ówczesnej Rzeczypospolitej mógł uczynić, dowiódł dzielny Stefan Batory, który sam z kalwina katolik, mądrym działaniem, wiele rodzin odpadłych zwrócił do katolicyzmu i był w stanie pokój wewnętrzny utrzymać. Przeciwnie Zygmunt August, nie dość że sam był wolnych obyczajów, ale nadto dopomagał do zniesienia jedności i karności pomiędzy stanami, bo w roku 1556 winszując Pawłowi IV wstąpienia na stolicę apostolską, żądał pozwolenia na mszę świętą w polskim języku, komunię pod dwiema postaciami, na żenienie się księży, zniesienie annat i sobór narodowy. Monarcha więc ten znany z nieśmiałości swojej woli, nie tylko że nic nie przedsięwziął do tamowania wzbierającego potoku, ale owszem zdawał mu się pęd ułatwiać; a najczęściej był obojętnym na to co się dzieje. Czynił to zaś nie z miłości pokoju, nie żeby uniknąć zarzutu prześladowania, jak niektórzy utrzymują, ale z braku religii. Złe przeto nie wstrzymywane umiejętnie, szerzyło się i zalało całą prawie Polskę i Litwę. Pierwszy Mikołaj Oleśnicki wyrzucił z swego Pińczowa Paulinów a dał klasztor ministrowi luterskiemu. Stanisław Stadnicki też uczynił z Dominikanami w Łancucie i z kościołem w Dubiecku. Drugi Stadnicki w Niedźwiedziu, Stanisław Lasocki w Poleśnicy, Lanckoroński w Kurozwękach i t. d.

Zapatrzywszy się na podobne wzory, tak samo uczynił z kościołem parafialnym w Malicach, niewiadomy z imienia Malicki, dziedzic Malic. Podanie ludu niesie, iż rzeczony Malicki, będąc na edukacyi w Prussach, nasiąkł nowemi Kalwina zdaniem, a powróciwszy do rodzinnej zagrody, pragnął nową wiarę rozszerzać, a nawet kościół parafialny ku temu celowi obrócić zamyslił. Nie długo nadeszła pożądana pora; pleban Malicki umiera, a on korzystając z tego, wpada zaraz do kościoła, wyrzuca ołtarze, rąbie je, pali; inne naczynia mniej sobie przydatne, niszczy; kosztowniejsze wraz z dowodami piśmieniem zabiera, wszelki znak obrządku katolickiego stara się zatrzeć, ministra sprowadza. To wydarzyło się około roku 1560. Nie pomogły reklamacje władzy duchownej; kościół ten zostaje przez lat 75 w rękach kalwinów, których mnóstwo na dwór do różnych obowiązków i rzemiosł sprowadzono. Dziedzic nie chciał kościoła oddać, a tym samym nowego plebana prezentować; prawo więc kollacyi, stosownie do ustaw, przejmuje na siebie Jan Albert biskup krakowski, kardynał rzymski. Żeby interes katolicy-

zmu poprzeć, włościanom tułającym się po obcych parafiach, dla słuchania nabożeństwa w pomoc przyjsć, instytuuje ze swego ramienia w Krakowie roku 1635 na plebana w Malicach ks. Wacława Kosteckiego, który dla oporu heretyków, jak mówi wizyta nieco później opisana, siłą, gwałtem i zbrojną ręką był wprowadzony. Jak zaś umiał się ks. Kostecki do swojej owczarni wprowadzić, tak mówi podanie: Objechał ks. Kostecki całą parafię, zmówił w każdej wsi ile mógł włościan tęgich do korda i kija, i zejść im się na umówiony czas i miejsce polecił. Gdy ich tak w różne do studzenia krwi zdolne narzędzia opatrzonych zgromadził, przypuścił szturm od strony Opatowa. Zaszła walka, w której kalwini nie mogąc wytrzymać śmiałego napadu rozpaczonych parafian, tył podali i do bliskiej osady, także do Malickiego należącej, zrejterowali. Ale zapaleni zwycięzcy ścigają nieprzyjaciół, i nie dając im czasu do wytchnienia i uporządkowania się, srogi w tym miejscu bój odnawiają. Rzecz się staje ogólną, krew płynie, i nie wprzód płynąć przestaje, aż większa połowa kalwinów grób swój na tym miejscu znalazła. Niedobitki chcą się ratować ucieczką i zacierają na wschód ku wsi Pilaszowu, ale z tej wsi reszta włościan zwabiona zgiełkiem, zastępuje zbiegom drogę, i ku wsi Lisowu uciekać ich zmusza. Tu jeszcze na polach dognano kilku i za sądem doraźnym obwieszono. Dotąd miejsce to nazywa się Szubienicą a owa osada Męczennice. Gdy chciano zająć kościół, kollatorka jeszcze ostatni opór czyniąc, porwała za kłódkę ode drzwi i przyciskając ją sobą chciała wzbronić wstępu zwyciężkim katolikom; ale obcięto skobel, drzwi otworzono, i kościół w posiadanie po 75-letniej przerwie znowu zajęto. O całej tej katastrofie świadczy krótki tylko napis na stragarzu czyli na tarczy kościelnej umieszczony. Na jednej stronie tego stragarza od nawy kościoła napisane jest tak: Ad M. D. G. Templum hoc ab haereticis profanatum et annis 75 detentura Reverendus Venceslaus Kostecki violenter auxiliantibus parochianis ademit, proventusq; jure mediante vindicavit, et propriis impensis adornavit, procurando nova Altaria, picturas, universamq; suppellectilem argenteam et sericeam. „Ku wielkiej Boga chwale kościół ten od heretyków sprofanowany i przez lat 75 trzymany, Szanowny Wacław Kostecki gwałtem, za pomocą parafian, odebrał, dochody za pośrednictwem prawa odzyskał, i własnym nakładem ozdobił, sprawiając nowe ołtarze, malowidła, i cały sprzęt srebrny i jedwabny.” Na drugiej stronie od ołtarza wielkiego te są słowa: Ecclesia haec



reconciliata per perillustrem Thomam Patrum et Nepotem ejus Nicolaum Oborski Suffraganeos Cracovienses, Eppos Laodicensis, prius in anno 1635 post haeresim, deinde in anno 1669 post hostilitatem Suecorum Ungarorumque; cujus dedicationis memoria celebratur in Dnica post Festum Visitationis B. V. Mariae. „Kościół ten przywrócony czci przez zacnego

Tomasza stryja i synowca jego Mikołaja Oborskich suffraganów krakowskich, biskupów laodiceńskich, naprzód w roku 1635 po herezy, potem w roku 1669 po najściu Szwedów i Węgrów, którego poświęcenia pamięć obchodzi się w Niedzielę po święcie Nawiedzenia N. P. Maryi.”

Dokończenie nastąpi.

TURCY

(z RYCINĄ).

Jak Kozacy tak i Turcy z hord koczujących i rozbójniczych powstałi. Wywodzą ów naród od Skitów czyli Scytów, który napadał drugich, kryjąc się około gór Altajskich. Turcy dzielą się na Wschodnich i Zachodnich, czyli Ujgurów i Oguzów. Pierwsi, wyrobili sobie przewagę i zdobyczami i wyobrażeniami religijnymi. Drudzy, udawszy się ku zachodowi, rozproszyli się i w rozliczne przetworzyli się narody, z których już kilka zaginęło; pozostali jeszcze Tatarzy, Kirgizi, (*Kirgiz-Kajsak*, znaczy w narodowym ich języku dosłownie *wolny człowiek*), Baszkirowie, Uzbeki, Turkomani, Jakuci albo Jakutowie, Osmani i Seldzukowie osiedli w Syrii.

Osmańczycy, wstydzą się imienia Turków, mając je za poniżające. Przewisko swe wyprowadzają od wodza swego Osmana, który na granicy królestwa greckiego w Małej Azji otrzymał lennictwo a wkrótce stał się niezawisłym, i nowe utworzył państwo, grożące wieczną i zaciętą nieprzyjaźnią Byzantczykom. W roku 1328 gdy zakończył życie Osman, zostawił swój kraj nowy panem całego zachodniego brzegu Małej Azji ze stolicą Prussa.

Syn Osmana, Orkan prowadził dalej korzystnie rozpoczęte dla ojczyzny zabory ojca: zdobył Niceę i wdarłszy się do Europy zabrał Gallipolis. Dobrym, a raczej przezornym będąc prawodawcą, starał się uorganizować Janczarów, czyli regularne wojsko piesze, i Spahów to jest jazdę.

Następca jego Amurat I (od 1360—1389 r.) rozszerzał swe państwo w Europie i osiadł aż na stolicy adryanopolskiej. Zawojował Bułgarów, Serbiję zhołdował i głęboko się zapuścił do Małej Azji. W bi-

twie pod Kossową z Serbami poległ jak na wodza przystało.

Po nim nastąpił Bajazet, z charakterem dzikim, srogim, pysznym i wojowniczym, nadwyzyczaj straszny dla chrześcijan—których pod Nikopolis w 1396 roku okropnie poraził—i wdarł się ze swym mieczem krwawym aż do Węgier i Styryi. Drżało już Bizancium o los swój—ale Bajazet spotkawszy się z Tamerlanem, zapomnieć musiał o Konstantynopolu. W roku 1402 pobity Bajazet, w następnym roku pożegnał się z życiem w niewoli, oprowadzany i pokazywany w klatce przez drugiegoż dzikiego zdobywcę, roztrzaskał sobie głowę c żelazne kraty.

Długo synowie jego walczyli o posiadanie władzy, aż w 1413 roku Mahomed pierwszy samowładcą został. Był sprawiedliwy i wspaniały, przez co na piękną zasłużył u swych poddanych pamięć.

Syn jego mądry, pełen szlachetności Amurat II, od roku 1421—1451, stracił całą swą świetność przed Janem Hunnyadem księciem Siedmiogrodzkim.

Następca Amurata, Mahomed drugi, (syn) w 1453, po upadku reszty zachodnio-rzymskiego cesarstwa, wzięwszy Konstantynopol założył tu stolicę Osmańską czyli ottomańską.

Trebizond uległ także potędze tureckiej, która zdobyła Moreę, Negroponte, Rodos i parę małych wysepek. Obleżenie Belgradu nie powiodło się wcale Osmańczykom. Nienasyconą chęcią podbojów zarzewany Mahomed II, zawsze wynajdował pozór do napadów na Multany, Wołoszczyznę i Węgry. Nową stolicę, przezwaną Stambułem, podniósł pod wielu względami. Surowy praw wykonawca, bystrém okiem

spoglądał na różne ich niedokładności, które starał się, w miarę wyobrażeń wschodnich, ulepszać. Gdy zwracać szczególniejszą począł uwagę na wolność handlową, jaką się wtedy cieszyły Wenecja i Genua, śmierć go zaskoczyła w 1481 r.

Bajazet II był jego następcą do r. 1512. Pod tym spokojnym władcą, Turcyja podobną się stała do nieruchomego obozu. Wszakże Sułtan dozwalał napaść na sąsiednie kraje Dalmacyi, Węgier, Siedmiogrodu, Wołoszczyzny, Multan i Kroacyi. W Morei porturbowano Wenecyan flotę. Brata Zizima zgładzono.

Miał siedmiu synów, którzy wzniecili zaburzenie krajowe. Janczarowie trzymali stronę Selima (trzeciego z porządku syna) dla którego ojciec musiał z tronu ustąpić.

Soliman I (czyli Selim) dostał niezaszczytną bardzo nazwę Kata, gdyż niszczył tysiącami ludzi. Miał odwagę, której pięknie użył w walce z Persyą, ale najgorzej we własnej ojczyźnie. Zdobył Mezopotamiję i Amadyę. Ukorzył raz nazawsze Mameluków w Egipcie, mających oddzielnych kaliów.

Po nim w 1520 r. nastąpił syn Soliman II, wspaśniały i tak zwany wielki sułtan, bo kraj swój do najwyższego szczytu znaczenia doprowadził. Belgrad, Siedmiogrod i niższe zabrał Węgry. Bitwa nieszczęśliwa pod Mohaczem otworzyła Solimanowi II drogę aż do Niemiec. W 1529 roku po odwrocie z pod Wiednia, umarł w podeszłym wieku, w obozie pod twierdzą Sigeth w Węgrzech w 1566 roku. Odtąd już prawie zmniejszać się a po części i zniknąć zaczęła wielkość Turcyi. Jego następcy, zniewieściali, nikiemni, upadający pod każdym względem, nieraz z więzów na tron wznoszeni, zostawiali rządy Wezyrom, przetrwaniając beczynnym życie w Serajach, wśród niewolnic, eunuchów i odurzeń narkotycznych. Żaden z nich więcej nie pokazał się na czele wojska. Zamieszki wewnętrzne, bunty janczarów, gwałtowne zmiany tronu, intrygi baszów,—były prostymi następstwami słabości ducha i beczynności Sułtanów. Pomagała jeszcze do chylenia się państwa nie naturalna organizacya i administracya wewnętrzna kraju: zdobyte prowincye szczególnie chrześcijańskie, uciskane jako niewolnicze, nigdy nie dozwalały państwu zlać się w jednolitość. Fanatyzm różnowierczy, na wszystkie rozciągający się strony, bezład i despotyzm wojskowy, były siłami rozkładającymi całą moc kraju wewnętrzną. Ztąd powstawały ciągle zamieszki krajowe i wojny zewnętrzne. Dwa wieki upłynęły, nie wydając godnych wspomnienia sułtanów. Muchamed II w roku 1808 dopiero nowy począł pań-

stwa tureckiego okres. Jego reformy wiele dla kraju działy pomimo wielu nietrafnych i bezskutecznych środków. Pragnął on naprawiać nawet zwyczaje i obyczaje narodowe, z czego lud, podżegany od Derwiszów, wcale rad nie był. Tym sposobem rwać się zaczęły węzły ściśle łączące poddanych z władcami. Oprócz domowych, zjawili się i nieprzyjaciele zamiejscowi. Mehmed-Ali dostał wtedy Egipt, Syryę i Kretę, zostawszy już tylko lennikiem.

Odtąd los Turków zależał już od dyplomacyi europejskiej tych krajów, które oni tylekroć bezprawnie najeżdżali.

Od roku 1839 nastąpił, w szesnastym roku życia, dziś panujący Abdul-Medszid (w d. 1 lipca).

Chozrew-Pasza z Reszidem-Paszą kierowali Turcyją sprawami przy młodym monarsze, który wydał Hati-szerif 3 listopada 1839 r.

Jest-to niby rodzaj karty konstytucyjnej, pozbawionej wszelkiego wykonania (egzekucyi prawnej). Piękne zamysły nowego Sułtana, nie okwite były w owoce. Reformy idą powoli: bo bez chrześcijańskiej religii, trudno upadające galwanizować ciała państwowe dzisiaj. Zawsze jednak wiele bardzo dla swego narodu zrobił terażniejszy monarcha.

Mieszkańców liczy Turcyja we wszelkich prowincyach łącznie około 15,000,000. Pomędzy temi najprzeważniejsi są Osmańczycy w liczbie pięciu milionów. Greków liczą do 3,000,000, mieszkających po większej części w stronie południowej. Słowian jest tu półtrzecia miliona, a mianowicie w Bośni, Serbii, Czarnogórze i Bułgaryi. Albańczyków czyli Arnautów znajduje się pod władztwem ottomańskim do miliona (na zachodniem wybrzeżu); Ormian, Cyganów i Żydów, mnóstwo rozproszonych po całym kraju. W Multanach i Wołoszczyźnie, słabo już dziś zależnych od wpływu bezpośredniego Turcyi, liczy się około półtrzecia milionów.

Rassa turecka, należy do pokolenia kaukazkiego, bardzo zmieszanego z krwią mongolską. Budowa ich ciała silna, koścista, bardziej chuda, niżli obfitością mięsa się odznaczająca.

Jak widzimy tu na rycinie, rysy tureckie są odznaczające się. W młodości wyraz twarzy mają piękny; profil charakteryzuje ludzi myślących. Kolor twarzy wpada zawsze w żółtość. Wzrok daje wejrzenie raczej smętne, niż ogniste i żywe, jakim się odznaczają grecy, hiszpani i włosi południowi.

Starzy Turcy, zwykle bywają jeszcze bardziej melancholiczni i pospolicie brzydzy. Charakter ich od wieków znacznie się zmienił. Bohaterstwo, waleczność

dawna, przygasły zdaje się jakby na zawsze. Od waga Omera-Paszy, była prawie już ostatnim wybuchem w nowszych czasach.

Została tylko z przeszłej świetności pycha narodowa—i milczenie jakby pogardy, którą raczej ku nim miećby można, niżli od nich znosić—owym szczególniej chrześcijanom, którzy na nich tolerancyi i spólcucia dla braci-bliźnich, ani przez rządy, ani żadnemi innemi środkami wymódz nie mogą.

Zbyteczne używanie opium, wielożeństwo—i fanatyzm połączony z najwyższą nietolerancyą i gnuśnym życiem haremowem, składały się przez długie czasy na tępóść władz umysłowych i ujemność charakteru.

Są to zmalali i zepsuci potomkowie owych Osmanów, pół świata niegdyś napadających, których nasi bracia-szlachta, pod wodzą swych Hetmanów i wielkiego Obrońcy Wiednia, tylekroć pobijali, mimo całego ogromu przestachu, jakim ten lud Wschodni nie tylko Azyę ale i znaczną część Europy przejmował.

Ubiór narodowy, jak wskazuje tu rycina, składa się z długiego kaftana, pełnego fałdów i wykładanego futrem. Szerokie, długie spodnie noszą z muślinu, płótna lub materyj jedwabnych, a buty lub pantofle w różnych kolorach.

Na głowie mają zawój czyli turban. Metalli nie używają do stroju. U bogatszych drogie kamienie i złoto błyszczą ale tylko na puginalach i szablach, na przyborach i rzędach końskich — a niekiedy i na agrafach zawojowych.

Urzednicy i wojsko, w nowszych czasach otrzymali, jako ubior, fezy, składające się z długich sukien podobnych do dawnych naszych taratatek i czamar. Spodnie do mundurów wkładają się węższe.

Strojem kobiet zwykle zasłoniętych, są suknie bardzo do męskich podobne, od których różnią się najgłówniej cienkością użytych materyj i jaskrawszemi, bardziej błyskotliwemi przyozdobieniami. Na koszuli bardzo cienkiej, noszą kilka jeszcze sukien nie okrywających zupełnie piersi. Ręce, ramiona, uszy i szyja, obładowane bywają zwykłe różnemi błyskotkami. Twarz i gors bielidłem i różem, brwi, na czarno, a paznogie na żółto malują w stanach wyższych i w haremach. Biedniejsze tego nie używają, a wychodząc po za dom, okrywają głowę i ramiona grubą zasłoną, która zarazem służyć może i za płaszcz od deszczu.

Zajęcia Turków bogatszych ograniczają się do palenia, odwiedzania kawiarni, picia narkotyków i bywania u kobiet. Tylko na koniu mężczyzna miewa więcej energii; inaczéj widzi się go wszędzie gnuśnym, beczynnym, siedzącym z założonemi nogami, używającego potajemnie wina (zakazanego przez proroka) i opium. Słuchają opowiadania bajek, przypatrują się kuglarzom, albo bez myśli żadnej zatapiają się w samych sobie ponuro i melancholicznie.

Mało używają pokarmów i po większej części proste jedzą potrawy. Placki, owoce, konfitury, baraninę, drób, spożywają rękami, nie używając noży ani widelców, w towarzystwie najczęściej dwóch lub trzech mężczyzn, wśród największej ciszy, której nawet nie przerywają rozmową paląc tytoń w kawiarniach. Pogardzają każdym innym narodem, a będąc do najwyższego stopnia sfanatyzowani, inne wyznania mają w poniewierce.

Turcy zamykają starannie kobiety, powierzając je straży czarnych eunuchów. Mowa ich składa się z wielu narzeczy, a raczej języków pojedynczych dość z sobą spokrewnionych i tworzących główną tureckiego języka zasadę. Narzecz pomienione zostały po większej części w ustach ludu; a jedno z nich tylko, jako język bardziej uprawiany w skutku politycznych potrzeb i okoliczności więcej sprzyjających, wyrobiło się. Jest to język osmański, dziś powszechnie używany. Liter pożyczono od Arabów i Persów.

Piśmiennictwo zaprawiało się także na wzorach perskich i arabskich, ale samodzielności żadnej nie wyrobiło. Niewolnictwo w rządzie i zasadach, przeniosło niewolniczość i do literatury.

W Szkołach uczą tylko religii i prawa, to jest Koranu i Komentarów. Nauki filozoficzne, astronomią, medycynę i nauki przyrodzone, czerpią z dzieł arabskich. Kusili się Turcy o poezyę i własne dzieje i za czasów Solimana II w XVI wieku, ubiegało się dość ochoczo wielu poetów i historyków, o łaski kochającego nauki Sułtana. Wśród tłumu piszących wiersze zasługują na wydobyć z toni zapomnienia Szaeikhi, Neos zäti, Mollakorew, Misri, Rahib i kilku innych. Więcej tam było zabawy i chęci rozrywek, aniżeli prawdziwej poezyi. Prawdziwy zapał i natchnienie wypływać nie mogły z hord dzikich i barbarzyńskich. Dziś i takich nawet wierszopisarzy jak dawniej, Turcy nie posiadają.

CANOVA RZEZBIARZ.

Wprawdzie nowożytność nie dała nam wzorów takiej rzeźby, jaką nam starożytność zostawiła — ale mimo to twierdzić nie możemy ażebyśmy nic wspaniałego nie mieli. Zapalony nawet miłośnik starożytności i jej bezwarunkowy czciciel, nie miałby w tym względzie żadnej zasady.

Same już Włochy ileż nam dały arcydzieł! Od XII wieku rozpoczyna się odtworzenie (jakby rzecz można było) sztuki na owęj ziemi klassycznej. Stulecie piętnaste daje nam imiona Michała Anioła Buonarrotti'ego, Verocchia, Bandinello i innych. Wiek XVII, od którego początku datuje się nowy okres sztuk pięknych, wspomina Algardi'ego i Bernini'ego (który pono więcej chciał uczynić niż starożytni — niestety!).

W środku wieku XVIII tworzy się nowy styl, w którym celuje jako mistrz Antoni Canova. Jak wielu jaśniejących talentów tak i jego, kolebką była — chata wieśniacza.

Syn ubogiego kamieniarza mieszkającego w Possagno (w Weneckim) między Bassano i Trewizą, urodził się 1757 roku. Będąc chłopcem, służyć musiał u swego dziedzica Faglieri, jako pomywacz kucharski. Oddany do kamieniarza, zrobił dwa wazony z kwiatami, będące dziś w pałacu Farsetti w Wenecyi. Żywy jego umysł i żywszy jeszcze humor, zwrócił uwagę i Falierego i rządu, który go wysłał wkrótce z płacą 300 dukatów rocznie do malarza Volpatti w Rzymie, gdzie jako sztycharz pracował.

Rafael Morghen był jego spółtowarzyszem i spółzawodnikiem tak w sztuce jak i w miłości. Kochali oba córkę Volpattiego, która oddała swą rękę... Morghenowi. Wtedy Canova opuścił dom swego mistrza, zarzucił sztycharstwo i poświęcił się snycerstwu.

Wróćmy do Passagno. Canova zjednał rodzinę Faglieri'ch robiwszy lwa ze śniegu. Ten utwór 14-letniego chłopaka, zapewnił mu pomoc jego pana, który go wysłał do Bassano gdzie się uczył kamieniarstwa. Ztąd dostał się do akademii Weneckiej, w której 16 lat mając zrobił Eurydykę. Zyskawszy opiekę M. Zuliani'ego, udał się z nim, jako z posłem Rzplitej weneckiej do Rzymu. Wtedy miał już 23 lat, kiedy wykonał Tezeusza zabijającego Minotaura kolosalnej postaci, który dziś jest w Wiedniu, w szczupłej świątyni naśladowanej niby ateńską ale nie odpowiadającej wcale ogromowi dzieła rzeźbiarskiego. Ogląda-

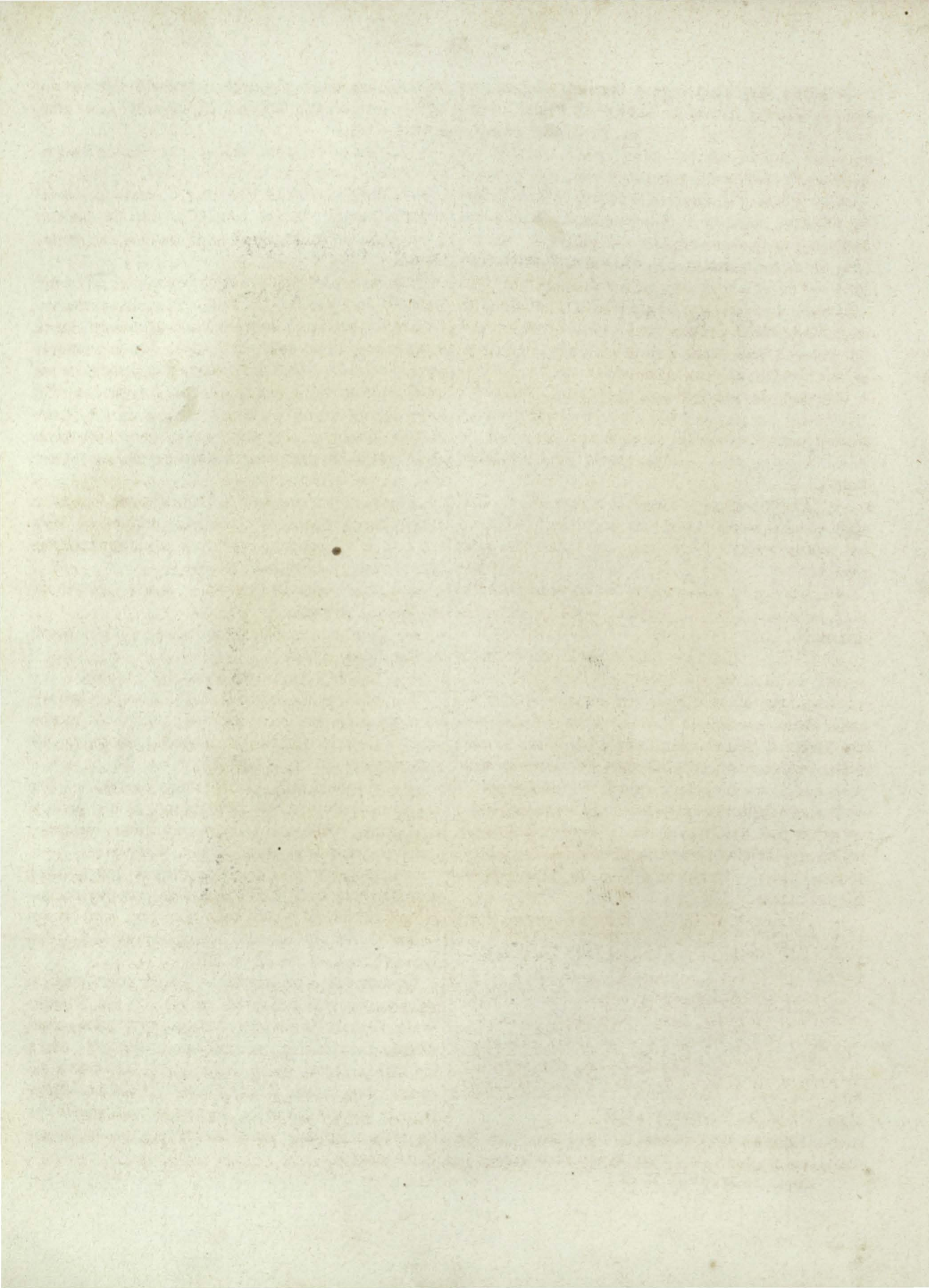
jąc Tezeusza Canovy zdało się nam, że widzieliśmy lwa, zamkniętego w budce dla brytanów dziedzińcowych przeznaczonęj. Ojciec święty polecił mu wznieść pomnik w kościele Św. Piotra dla papieża Klemensa XIII.

Gdy Francuzi a raczej Napoleon I najpiękniejsze utwory sztuki wywoził z Rzymu, wtedy przeniesiono do Paryża z Watykanu i Apollona belwederskiego. Miejsce jego zajął Perseusz z głową Meduzy, dłuta Canovy.

Podróżując Antoni C. po Niemczech zadziwiał Berlin i Wiedeń. We trzy lata potem wezwał go konsul Napoleon Bonaparte do Paryża, gdzie zrobił model do kolosalnego posągu Herosa, w którym miała być analogija ówczesnego Francyi bohatera. Wykonano po razy kilka ów imponujący posąg. Powróciwszy do Włoch, otrzymał szlachectwo od Papieża, order złotej ostrogi i znaczną pensję, za główne dyktorstwo wszystkich rzymskich instytucyj artystycznych. Wysłany był z Rzymu do Paryża za czasów restauracyi, aby mógł od rządu odebrać zagrabione arcydzieła włoskie. Poselstwo doskonale się udało, a papież mianował go za to Markizem d' Ischia, i nowe nadał mu urzędy. W rok kazał imie Canovy wnieść do złotej księgi kapitolium. W końcu życia udał się Canova do Wenecyi, gdzie umarł u brata swego kapłana w roku 1822. Pomnik ma u Dei Frari własnej roboty — a to się stało następnym sposobem: Canova zrobił model pomnika dla Tyciana. Że zaś umarł wprzód, nim nagrobek zdołano z marmuru wykonać, przeto postanowiono, aby dla Tyciana zrobić inny, a ten postawić Canovie. Dziś oba pomniki, stoją naprzeciw siebie, i są mniej-więcej parzyste (pendant). Amor, Psyche i Hebe, dłuta Canovy są dziś w Petersburgu; dwaj atleci, w Watykanie; Herkules rzucający Likosa o opokę w Rzymie. — W Wiedniu, mauzoleum królownej polskiej księżniczki cieszyńskiej Maryi Krystyny, w kościele ks. Augustyanów; Ajax i Hektor oraz Ikar i Dedal w Wenecyi (w Emo i Barbarigo pał.); Magdalena w Paryżu; pomnik Rezzonigo (w Rzymie); — Letycya, (w Paryżu), Wenus w Londynie u Lorda Cawdon; druga Wenus występująca z kąpielą, w Monachium; pomnik poety Alfieri'ego we Florencyi; grobowiec Jakóba III-go w Londynie; nagrobek papieża Klemensa XIV (Ganganello); — drugi egzemplarz Perseusza, olbrzymiej postaci, na Wołyniu u Tarnowskich.



Canova.



Rozmowa Napoleona I-go z Canową. — Jeden ze znanych pisarzy Artaud de Montor Al. Fran. (ur. 1772 † 1840), którego historia Papieżów (w 8 tomach) doczekała się jedenastu wydań i otrzymała nagrodę Monthyonowską, w pracy swój pod tytułem: „Dzieje Piusa VII Papieża,” podaje bardzo ciekawą rozmowę Canowy z Napoleonem I. Maluje ona charakter mistrza, któregośmy tu załączyli wizerunek. Ale co najważniejsza; że z najautentyczniejszego pochodzi źródła, gdyż Artaud był dwakroć przy ambasadzie w Rzymie i sprawował interesa francuzkie przy Toskańskim dworze, z kąd go Napoleon I odwołał, za to, że dawał rady królowej Etruryi, i tym sposobem zdradził niejako tajemnice stanu.

Gdy Canowa przybył do Paryża 11 października 1810 roku, aby na polecenie Cesarza zrobić z natury popiersie Maryi-Ludwiki, zaraz nazajutrz stawił się przed Napoleonem I, którego zastał przy śniadaniu z żoną.

— „Przybyłem, aby wypełnić rozkaz W. C. Mości” — rzekł sławny rzeźbiarz, przydając, że chciałby prędko wrócić do Rzymu, dla kończenia prac swoich.

— „Paryż jest teraz stolicą świata — odrzekł Cesarz, musisz waćpan tu pozostać i będzie ci z tém dobrze.”

— „Wasza Cesarska Mość jesteś panem mego życia” — mówił dalej Canowa, jeżeli się atoli podobą Cesarzowi, abym je poświęcił na jego usługi, pozwól, abym powrócił do Rzymu, skoro skończę pracę, dla której tu przybyłem. Powiedziano mi, że mam zrobić wizerunek Najjaśniejszej Cesarzowej; mam więc zamiar wystawić ją w rysach *bogini Zgody*.”

Cesarz uśmiechnął się przychylnie i mówił dalej: „Tu jest punkt środkowy, tu są wszystkie mistrzowskie arcy-dzieła starożytne; brak mi tylko jeszcze Farnezyjskiego Herkulesa z Neapolu, którego sobie już zapewnił.”

— „Pozostaw W. C. Mość Włochom przynajmniej cósokolwiek” — rzekł Canowa — „te pamiątki starożytne tworzą jeden zbiór i łączą się z niezliczoną liczbą innych, które w całości ani z Rzymu, ani z Neapolu, uwieść się nie dadzą.”

— „Włosi, mój panie! — odrzekł Cesarz,” — aby odzyskać swe straty, powinni odgrzebywać i szukać w ziemi. Owoż nakazę aby rozpoczęto kopanie w Rzymie. Ale powiedz mi waćpan, czy łożył wiele Papież Pius VII na takie poszukiwania?

— Canowa odpowiedział: „Zamożność Ojca Św. na to nie wystarczała; atoli będąc nadzwyczajnym

miłośnikiem sztuk pięknych i umiając bardzo dobrze je oceniać, tyle dokazał, że utworzył nowe muzeum.”

— „Lecz powiedz mi waćpan, czy rodzina Borgezów wyłożyła wiele na takie odkrycia?”

— „Mało” — odrzekł Canowa — bo mało na ten cel wyłożyć mogła; książę ponosił koszta do połowy z innymi, a potem kupował część na innych przypadającą.

Przy tej sposobności użył Canowa całej siły swój wymowy, aby okazać, jak święte jest prawo, służące ludowi Rzymskiemu do posiadania pomników, które w łonie jego ziemi odkryte zostały, i że te pamiątki są płodem tak ściśle z ich ojczyzną spojonym, że ani familije szlacheckie, ani nawet sam Papież Pius VII, nie ważyliby się tej spuścizny świetnej niegdyś dziejowości ludu, tej zdobyczy, którą pozyskali przez zwycięstwa ich starodawni przodkowie, ani sprzedać, ani wysłać za granicę.

„Czy wiadomo waćpanu — rzekł Cesarz — żem za statuy Borgiów zapłacił czternaście milionów? Wieleż wydaje terazniejszy Papież na sztuki piękne? może sto tysięcy rzymskich talarów?”

— „Nie — odrzekł Canowa — nawet i nietyle, bo nie jest tak bogatym.”

— „A więc i mniejszym nakładem — rzekł Cesarz, można dokazać wiele.

— „Bez wątpienia — odpowiedział Canowa.”

W dniu 15 października rzekł Cesarz do Canowy: „Proszę waćpana powiedzieć mi, jakie było powietrze w Rzymie w dawnych czasach, czy także złe i niezdrowe?”

— „Przypominam sobie” — rzekł Canowa — „żem czytał w dziele Tacyta, iż wtenczas, kiedy przybył do Rzymu Witelljusz, zachorowało wielu żołnierzy, śpiących na wolnym powietrzu na Watykanie.”

Cesarz zadzwonił i kazał przynieść Tacyta; atoli zapalony wojownik, ani zatrudniony swą robotą rzeźbiarz, nie mogli znaleźć tego miejsca i dopiero wynalazł je później Canowa i oznaczone odesłał Cesarzowi (Tac. hist. Ks. II. r. 23).

Lecz mówił dalej artysta: — „Rzym choruje na inną chorobę; ta stolica od czasu, jak nie mieszka w niej Papież, pustoszeje, utraciła swego pana, czterdziestu kardynałów, mistrzów zagranicznych, więcej niż 200 prałatów, wielką ilość księży; już teraz i ulice zarastają trawą. Wielka sława W. C. Mości ośmiela mnie powiedzieć więcej; — przedtém brzęczało tylko złoto w Rzymie, dziś nie brzęczy żadna nawet licha moneta.”

— „Złota w ostatnich czasach” odpowiedział Cesarz — „było pewnie bardzo mało. — Siejcie bawełnę... Wyniosę Rzym na stolicę Włoch i połączę z Neapolem; cóż waćpan na to? Czy będziesz kontent natenczas?”

— „Kunszta — rzekł Canowa — mogłyby przywrócić dobry byt; a religija wspiera sztuki piękne. U Egiptjan, u Greków i Rzymian sama tylko wiara, Najjaśniejszy Cesarzu, tworzyła arcy-dzieła. Prace Rzymian noszą piętno religii. Temu błogiemu jój wpływowi zawdzięczamy zresztą uratowanie ich w pewnej części przed zniszczeniem barbarzyńców. Nawet pogańskie religije są dobrodziejkami kunsztów; atoli ze wszystkich najszczególniejszą ich opiekunką i matką, jest nasza właśnie religija Rzymsko-katolicka. Protestanci Najjaśniejszy Panie, przestają na skromnych kaplicach i na krzyżu, i nie dają zachęty do tworzenia pięknych przedmiotów sztuki. Gmachy które dziś zajmują — wznosili inni.”

Na te słowa obrócił się Cesarz do Maryi-Ludwiki i wciągając ją w rozmowę: „Prawdaż jest, — rzekł — iż protestanci nie mają nic pięknego?”

Innym razem jeszcze, udając Canowa, jakoby jedynie był zajęty wizerunkiem Cesarzowej, zwrócił uwagę Napoleona na położenie Papieża, więzionego we Francji i mówił tak śmiało i bez oglądania się na okoliczności, że sam lękał się, aby ta nieostrożność nie ściągnęła mu niełaski Cesarza. Dostrzegłszy atoli w twarzy Cesarzowej wyrazu wewnętrznej radości z tego, ochłonął z obawy i nie mieszając się w dalszém prowadzeniu rozmowy, nabrał niejako przekonania, że Cesarz nie miał okrutnego serca, ale był tylko zepsuty pochlebstwem zauszników; a nawet uważał że posiadał jeszcze wiarę. Udając jakoby całkiem był zatopiony w przedmiocie nad którym pracował, mówił: „ale czemuż też Najjaśniejszy Pan nie pogodzi się w jakowy sposób z Papieżem?”

— „Dla tego mój Panie” — odrzekł Napoleon — „że księża chcą rozkazywać wszędzie i pragną być panami wszystkiego jak Grzegorz VII.”

— „Mnie się zdaje Najjaśniejszy Panie — odpowiedział na to Canowa — że teraz właśnie nie ma się czego obawiać, gdyż W. C. Mość jesteś panem wszystkiego we Włoszech.”

— „Papieże — odrzekł Cesarz — utrzymywali zawsze Włochy w poniżeniu, kiedy w skutek fakej — Colonna i Orsina nie byli panami Rzymu.”

— „Zaiste! Najjaśniejszy Panie! gdyby Papieże posiadali odwagę W. C. Mości, miałiby częstokroć porę doskonałą, zostać panami Włoch całych.”

— „Nie!” — aby tego dokonać mój panie — odpowiedział Cesarz (uderzając swą szpadą) potrzeba tego, potrzeba szabli!”

— „Nie tylko szabli” — odrzekł Canowa — „ale oprócz niej i laski Augurów (lituus) ¹⁾. Ale wreszcie ponieważ W. C. Mość za pomocą pałasa przyszedłeś do tak wielkiej potęgi, nie chciój dozwolić, aby ucisk nasz bardziej jeszcze się powiększył. Zapewniam W. C. Mość że jeżeli nie zechcesz wspierać Rzymu, stanie się tém czem był za czasów, kiedy Papieże mieszkali w Awenjonie. Owa stolica dawnego świata choć miała niezmierną liczbę wodociągów i fontann, zbywało jój na wodzie do utrzymania życia niezbędnie potrzebnej; rury popękały i musiano pić żółty muł Tybru, a gród starożytny zamienił się w pustynię!”

Po słowach rzeźbiarza zdawał się Cesarz być nieco wzruszony tym wypadkiem.

— „Ależ — rzekł — stawiają mi przeszkody! mnie, który jestem panem Francji, całych Włoch, trzech wielkich części Niemiec; który jestem następcą Cesarza Karola Wielkiego! Gdyby dziś Papieże stali się tém, czém bywali w owych czasach, byłoby wszystko w porządku. Wszakże nawet i wasi Wenecyanie różnili się z Papieżami!”

— „Tak jest — odrzekł artysta” — ale nie do tego stopnia jak W. C. Mość.

— „Lecz we Włoszech” — mówił dalej Cesarz — „Papież jest za Niemcami!...” Domawiając tych słów spojrział Napoleon na żonę. Cesarzowa odrzekła wtedy: „Z méj strony mogę zapewnić, że gdym była w Niemczech, mówiono przeciwnie: iż Papież jest za Francuzami.”

— „Nakoniec — rzekł Napoleon — „Papież nie chciał wypędzić ze swych posiadłości ani Anglików, ani Szwedów, ani Sardyńczyków i dlategośmy go zniszczyli.”

* * *

Ze wszystkich dzieł Canowy na największe zasługuje pochwały pomnik arcy-księżniczki Maryi-Krystyny, w Wiedniu. Nie trzeba być artystą, znawcą, aby cześć oddać temu mistrzowskiemu utworowi.

Każden *profan* nawet staje uderzony zachwytem przed temi kamiennymi a przecież pełnymi życia postaciami! Idą one, jakby żywe, poważnym krokiem! dziwno tylko że nie słyhać szelestu ich białych su-

¹⁾ *Lituus*, znaczyło u Rzymian laskę zakrzywioną, której potrzebowali wieszczkowie przy wróżbach — oraz kij jakiego używał Romulus, zwany *Lituus Quirinalis*.

kien. Idąc, niosą urnę z popiołami zmarłej — której stratę nie tylko ziemianie oplakują. Na prawo na stopniach grobowca spoczęła lekka postać — a kształty ciała cudownej piękności, oblicze pełne wyrazu nadziemskiej słodyczy, zdradzają mieszkańca niebios! Istotnie anioł-to litując się nad tak wielką stratą jaką ponieśli współ-zemianie w zmarłej, zatrzymał się i rzucił wzrok swój pełen miłości i żalu na urnę kryjącą jej popioły. Jakże wymowne spojrzenie jego! jakaż czystość w pięknych rysach! w całej postawie widać współczucie żalu; a mimo-to pięknego czoła, jaśniejącego niebieską pogodą, żadna nie zaćmiła chmura, i uroczych ust płacz ziemski nieskrzywił nigdy. To też zdają się ułożone do wymówienia słów pociechy i miłości! Nawet lew srogi, leżący u stopni grobowych, nie obojętnie patrzy na ten żałobny pochód; grubemi karby na czole najeżoném, przymknięte jakby od łez powieki, wyrażają żal i zwierza. Zgoła nieporównany artysta chcąc oddać cześć zmarłej godną geniuszu swego, wykazał żal ogólny, żal aniołów, ludzi i zwierząt, a wykazał z nieporównaną prawdą i sztuką. Żaden z widzianych utworów mistrza tego, nie zachwyca tak widza, jak ten wiedeński nagrobek.

Za pieniądze zbierane przez całe życie swoje, postawił artysta w rodzinném swoim *Passagno* zupełnie do Partenonu ateńskiego podobny kościół, nie urządzonej po swój myśli. W tej Świątyni ustawił wielką rzeźbę wystawiającą Religiję ze znakiem Zba-

wienia w ręku i tarczą, na której była płasko-rzeźba wyobrażająca apostołów Piotra i Pawła. Do wielkiego ołtarza i do nisz, — porobił inne posągi, ale mu śmierć nie dozwoliła wszystkiego skończyć. Zdjęcie Chrystusa Pana z krzyża, odlane z brązu już było, a posągi uczniów Zbawiciela, z marmuru, mieli robić uczniowie Canovy, na co fundusz przed skonem umyślił.

Wykonanie testamentu powierzył bratu swemu biskupowi, któren go nie wypełnił.

Gdy w Padwie, niejaki Pedrocci, dorobkowiec, chcąc się wslawić, postanowił najwspanialszą wznieść kawiarnię dla uwiecznienia nieznanego dotąd imienia swego; — wtedy biskup Canova, chciał tę budowę obejrzyć przed jej skończeniem jeszcze.

Aby pokazać, jak u Włochów w ogóle jest posunięte wysoko zamiłowanie sztuk pięknych, prócz wysiłku na ten budynek, godna jest rzecz wspomnieć tu o odpowiedzi danej przez Pedrocciego Canovie, wysokiemu dostojnikowi duchownemu:

— „Nie pokażę kawiarni méj takiemu biskupowi, który Zdjęcie z krzyża Canovy, brata swego, sprzedał z ojczyzny Anglikom; a za pieniądze zostawione przez sławnego naszego artystę, kazał pomalować deski, zamiast posągów!”

I w istocie, kawiarnik prosty — nie wpuścił biskupa po za rusztowanie swój budowy!

MACAULAY.

(z drzeworytem.)

Anglija, największego pisarza swego miała w Macaulayu, zmarłym 28 grudnia 1859 r. w swój willi na przedmieściu Holley Lodge Kensington. Tomasz Babington Macaulay urodził się w paździer. 1800 r. w Rothley Temple w Leicestershire. Ojcem jego był kupiec bogaty Zacharyasz, który w Jamajce zajmował się polepszeniem losu niewolników murzyńskich. Walczył wszelkimi możliwymi środkami, aby znieść można było handel braćmi-ludźmi, i za to pomnik mu wzniesiono w Westminsterablei.

Syn jego dawał już wielkie odznaczenia się dowody jako uczeń w Cambridge, gdzie był w kolle-

gium Trójcy. Tam poświęcał się studiom prawa, którym całkowicie się już oddał w Lincolns'Inn. 1826 roku zajął się adwokaturą, chociaż właściwe umysłu skłonności gdzieindziej go pociągały. Zawczasem wziął się do pióra bo już w 1824 r. niektóre poemata udatne w *Etonian* i *Knight-Quarterly* umieścił.

W 1826 r. artykuł jego o Miltonie rozpoczął nowy znamienity poczet literackich i politycznych wizerunków, który go na czele *Essaystów* angielskich postawił. Zakończył ten szereg świetny w 1844 roku charakterystyką lorda Chatham w *Edinburg-Review*, do którego odtąd przestał pisywać.

W roku następnym wyszły trzy tomy portretów zebranych i skreślonych jego piórem p. t. „Critical and Historical Essays.” Drugie wydanie tych rzu-
tów krytyczno-dziejowych pokazało się w roku 1852. Nim jednak obie te publikacye na świat handlowo-
księgarski wyrzały, już Amerykanie, pośpieszyli się z wydaniem tychże jego prac z odruków przeglądo-
wych i korrekt londyńskich dla spragnionój powsze-
chności.

Stronictwo Whigów, których wymownie bronił, coraz bardziej go do siebie przywiązywało. Naprzód był kommissarzem przy sądzie oceniającym upadło-
ści, od 1830 r. a miasto Keln wybrało go na deputo-
wanego. Z rozpraw, jakie wtedy obudził, nastąpiła reforma bilu. Jako sekretarz urzędu kontrolli, stał się najsilniejszym obrońcą ministeryum Greya, do tego stopnia, że tylko ustąpić musiał przed wpływem pana Derby.

Od r. 1832—34, miasto Leeds mianowało go za-
stępcą swoim. Został wkrótce członkiem a nastę-
pnie prezesem Najwyższej Rady wydziału Prawo-
dawczego i udał się do Kalkuty. Mimo opozycji najgwałtowniejszej, wprowadził w użycie prawo cywil-
ne; które Anglików żyjących w Indjach wschodnich w rozproszeniu, sądom miejscowym oddawało. Pra-
wa kryminalnego jednak, nie był w stanie tutaj za-
prowadzić. Trzy lata poświęcił posadzie Kalkuckiej.

Wróciwszy do kraju, nabytych wiadomości o In-
dyach wschodnich użył do skreślenia szkiców o lor-
dzie Clive i Warren-Hastings. 1839 roku otrzymał urząd sekretarza wojny, którym był do 1841 roku. W Izbie niższej był deputowanym miasta Edinburg. Za ministeryum Peela stał się najdzielniejszym mó-
wcą opozycji (Whigów). Roku 1846 gdy stron-
nictwem Whigów stérował John Russel, Macaulay zo-
stał płatnikiem jeneralnym armii i podskarbin ma-
rynarki z głosem w gabinecie.

Tymczasem powstały niesnaski z powodu zdań za-
stępcy deputowanego Edinburga i wyborców, którzy powodowani nienawiścią stronnictwą, zaczęli powsta-
wać na Macaulaya i odebrali mu mandat przy wybo-
rze 1847 r. i na jego miejscu osadzili sławnego i bo-
gatego mydlarza Mr. Cowana, bo ten ostatni miał zasady odpowiednie żądaniom większości stronnictwa. W innym bardziej stanowczym czasie, wydalenie z parlamentu tak znamienitego męża, obudziłoby żal powszechny; ale w owój chwili radowano się w Anglii, że Macaulay, usunawszy się od spraw publi-
cznych, więcej będzie miał czasu do pisania historii kraju swego; 1848 r. wyszły po raz pierwszy, pierw-

sze tomy téj ogromnej, ze studjami wstępniemi przed-
sięwziętej pracy od wstąpienia na tron Jakóba II. W 1856 roku jedenaste pokazało się wydanie. Autor pomnożył je w 1858 prawie o 4tą część—i zakończył na pokoju Ryszwickim. Dzieło jego obiegało niemal całą Europę w przekładach na wszelkie języki. U nas począł je tłumaczyć Władysław Bentkowski z Po-
znania. I styl żywy, jaskrawy; i sztuka mistrzowska w malowaniu charakterów, zwyczajów, zdarzeń hi-
storycznych;—i prawdziwe pojęcie stosunków dyplomatycznych—i sam wreszcie umiejętny rozkład, za-
lecają to dzieło. Gdyby jeszcze zupełne i należyte studjowanie źródeł odpowiadało innym zaletom, nie-
zawodnie byłaby historia Macaulaya najlepsza. Za-
rzucają mu, szczególnie Niemcy, że efektowi mało-
wniczemu poświęca nieraz w swych obrazach wier-
ność historyczną. Jako stronnik Whigów, nieraz z jednego tylko punktu na rzeczy spogląda. Często dziwi się tam, gdzie się nie ma wcale czému dzi-
wić—i tajemną urazę ku swym przeciwnikom, nieraz wynurza zanadto widocznie.

Wartość jednak wewnętrzna i pochwały słusznie oddawane, przewyższają wszelkie zarzuty, na jakie tylko przeciwnicy zdobyćby się mogli. Żywo wszystko Macaulay opisuje, bo żywcem wszystko bierze z na-
tury. Znać, że to widz teatru, na którego scenie sam był działaczem.

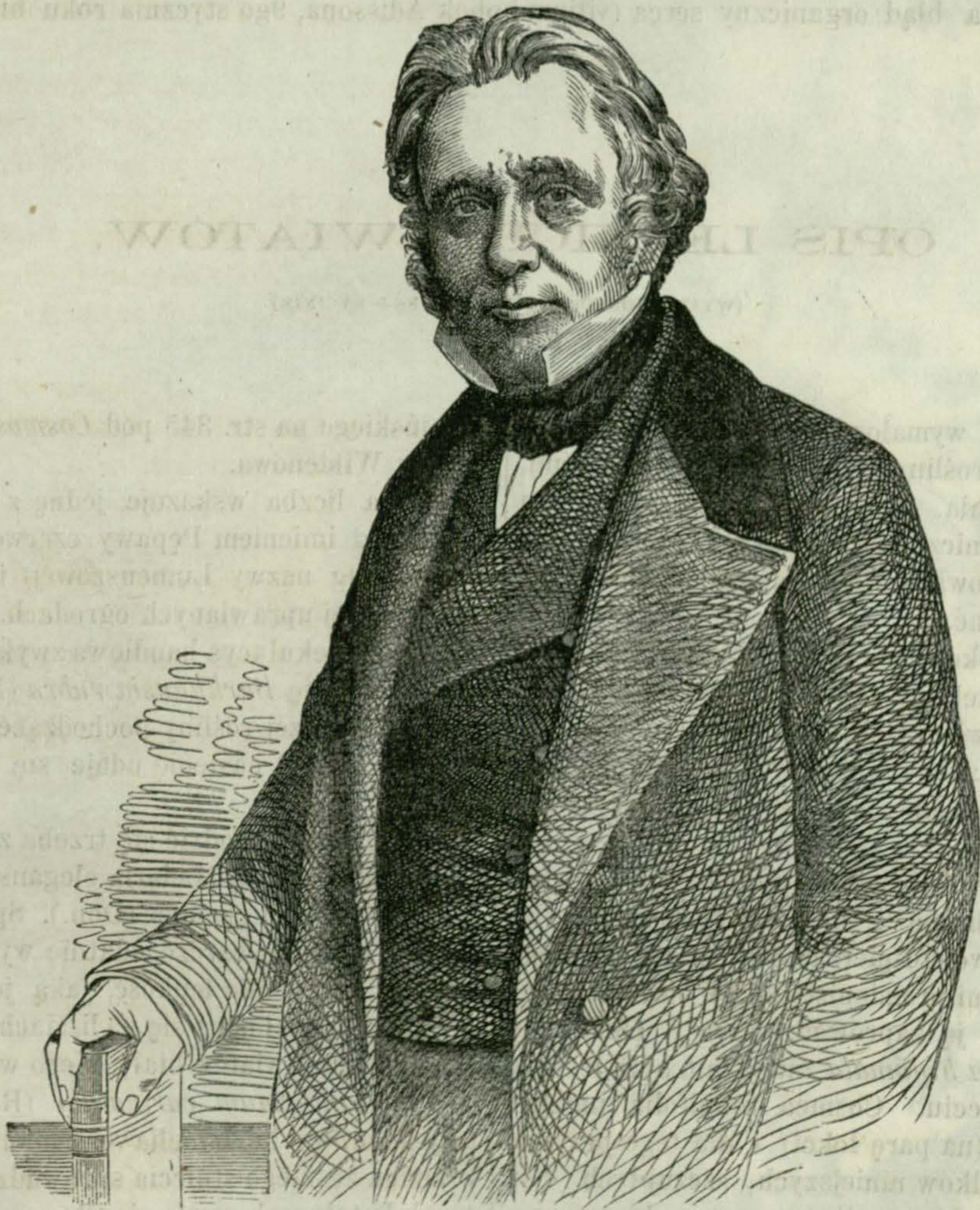
Kiedy chciał się zapoznać z jaką okolicą, przeno-
sił się do szynkowni, aby z tego ciasnego punktu, le-
piej rozpoznać obszar, mający się opisywać. Tak chcieć zbadać lud i podania — umieli u nas tylko Czarnocki (Chodakowski) Cięglewicz, D. i t. p.

Uniwersytet w Glazgowie obrał go 1848 r. na swe-
go rektora. W rok potém wykładał historią staro-
żytną w akademii królewskiej: 1852 roku przy gło-
sowaniu parlamentarnem proponował go Edinburg na kandydaturę, której wyborcom osobiście nie po-
kazawszy się wcale, ani do nich przemówiwszy — po-
winienby był zrazić przychylnych. Mimo-to wszakże Edynburgczycy po raz drugi głosując, obrali go wiel-
ką większością głosów, swym zastępcą. Wkrótce w stolicy szkockiej został nader popularnym.

W roku 1854 wyszły dwa obszerne tomy jego hi-
storyi, które z równymże zapałem jak dwa pierwsze rozechwytnane zostały, chociaż już nietylko sąd doda-
tni, ale i ujemny o nim był ustalony. Jeden z jego współrodaków takie daje zdanie o tym pisarzu, które zdaje się nam jedném ze sprawiedliwszych, dotąd znanych:

„Macaulay jest Tintorettem w malowaniu dziejów. Jego pióro a raczej pędzel płynie swobodnie po tle obraném. Koloryt, pełen bogactwa, a duch, rzeźwości i świeżości. Posiada wysoki talent opisu przedmiotowego, z najwyższą jasnością. Oryginalne zdania i głębokie myśli odbijające się w życiu, nie zawsze u niego równie wydatne. Świetniejszego kolorytu w prozie, nie miało jeszcze piśmiennictwo angielskie. Największą jego w obecną krytyki, zasługą, że wynalazł jakby nowy styl, który wyłącznie tylko jemu jest właściwy. Gdyby się godziło używać porównań z narodowości branych, można by rzec, iż Macaulay najwyborniejsze ma cechy Włocha. Jeżeli Carlyle po niemiecku myśli, to Macaulay pisze według zasad estetyki włoskiej. Dobra i zła strona jego sposobu wyrażania się, zależy na tém, iż zanadto trzyma się praw prozody. Skraca i przedłuża w miarę potrzeby okresy, jak gdyby sam dźwięk głosu w czytaniu tyle ważył, co i same myśli. Wewnętrzna wartość nadzwyczaj się trzyma form zewnętrznych. W zdrobniałych rzeczownikach i przymiotnikach,

równie jak w stopniowaniach, a szczególnie w używaniu stopnia najwyższego (gradus superlativus), jest jak Włoch obwity. Żywioł harmonijno-muzykalny najprzeważniejszą u niego gra rolę, choć obok tego za mało może dzielności męskiej. Silny koloryt, bogactwo obrazów najdosadniej malowniczych, lekkość i żywa potoczność mowy — oto główne języka



Macaulay.

Macaulay'owskiego zalety. Co do obyczajowości, trzyma się zdań nieco przestarzałych, a pogładowi jego na życie dzisiejsze, nie dostaje głębszej oryginalności. Moralność pism jego, zaczerpnięta ze zwyczajów, do jakich kluby lordowskie nawykły; klasycznej prostoty brak odcieniem jego charakterów, a zarazem i wyższych celów, jakichby wymagać należało po takim pisarzu. Ztąd jego retoryka zachwyca, choć myśli po za obręb zwy-

kłości nie wybiegają. Kiedy sili się na głębokość, czerpie treść u drugich i ubiera w słowa własne często, jakiegoś anonimusa, co bardziej zasadniczo niż on, na rzeczy patrzy. Ten, kto by Macaulaya postawił obok Humego lub Gibbona, byłby wzniósł na je-

den trójnog Michała Anioła i Rafaela z Tintorettem.”

Roku 1856 opuścił krzesło reprezentanta Edynburskiego, a 10 września 1857 został parem, będąc od r. 1839 członkiem tajnej rady. Ostatnie lata życia poświęcił pracy dziejowej, z której dwa tomy nowe w roku bieżącym znajdują się w księgotłoczniach londyńskich.

Cierpiąc oddawna błęd organiczny serca (vitium

organicum cordis), doznał w rok przed śmiercią napadu choroby, który już wróżył o krótkości życia. Wkrótce wyzdrowiał—i znów pracę zawsze miał za pospolity tryb zajęcia codziennego: przed chwilami skonu miał się nieco lepiej nawet niż dawniej, po ataku. Na dwa dni przed śmiercią nowy przyszedł napad—już niedający się niczem usunąć.

Zwłoki jego złożono w świątyni Westminsterkiej, obok Adissona, 9go stycznia roku bieżącego.

OPIS LETNICH KWIATÓW,

(WYSTAWIONYCH NA ZAŁĄCZONEJ RYCINIE).

Bukiet kwiatów, wymalowanych na załączonj tablicy, składa się z roślin rocznych, zwanych letniemi, od czasu kwitnienia. Znaleść je można w każdym ogródku, lub w doniczkach przy oknie, gdyż bardzo łatwo dają się hodować. Piękne i rozliczne odmiany ich można otrzymać.

Wszelki umiarkowany stan atmosfery, sprzyja kwitnieniu Radostek, aż dopóki ich nie zmrozi szron jesieni. Gatunki zwane Gaillardia, Senecio, Tagetes, jeszcze w listopadzie, a niekiedy i w grudniu, gdy w ustroniu przygodnym rosną, kwieciami okryte bywają.

Cosmea tenuifolia (Lindl. *C. purpurea*, Pąsówka) wyobrażona pod liczbą 1, na tabl., jest rośliną letnią, ozdobną, z dwoisto-pierzastymi liśćmi, pięknymi wielkimi kwiatami promienistymi. W ogrodach niemieckich dopiero ją zaprowadzono w r. 1825, gdy podobna jej *Cosmea bipinnata* znaną tam była jeszcze w przeszłym stuleciu. *Cosmea tenuifolia* niezbyt wybujało rośnie (na parę łokci) i dla tego przydać się może do ogródków mniejszych, szczupłych. Nie tak ją łatwo, dla tejże samj przyczyny, złamać mogą wiatry jesienne. Kwitnie daleko obficie i wcześniej, jeżeli bywa posiana w sierpniu lub wrześniu w wazonach — i utrzymuje się w oknach z dobrj światłem przy temperaturze 5 lub 8 stopni ciepła. Sposób ten, zaleciły można dla wielu roślin letnich. Na wiosnę zasiane w gruncie, kiełkują rychło w ciepłych grzędach gnojonych (w marcu): potem przeniesione do wazoników, trzymają się w nich aż do zupełnego rozkrzewienia się. Opisana w *ogrodnictwie*

Czepińskiego na str. 345 pod *Cosmos* według nomenklatury Wildenowa.

Druga liczba wskazuje jedną z dawnych roślin znaną pod imieniem Pępawy czerwonej, (*Crepis rubra*, według nazwy Linneuszowej) i nader pospolitą w starannie uprawianych ogrodach. W spisach roślin, jakie spekulacya handlowa zwykła drukiem ogłaszać, zowie się *Barkhausia rubra* (Moench). Jest to rodzaj trwalszej rośliny pochodzącej z Europy południowej, której nasienie udaje się i w zwyczajnym gruncie.

Podobnie obchodzić się trzeba z rośliną oznaczoną liczbą 3, zwaną Madaria elegans, podług Decandolla, lub *Madia elegans* (Don.). Sprowadzono ją do nas z Kalifornii; bardzo udatnie wyglądałaby w bukietach, gdyby nie lepkość, jaką jej dają naczyńka włoskowe, znajdujące się na liściach, kwiatach i gałązkach. Kolor kwiatów biały, nieco w żółty wpadający.

Chrysanthemum carinatum (Radostka, Jastrun trzy-kolorowy) lub *Ismelia versicolor* (fig. 5) z Barbaryi w końcu zeszłego stulecia sprowadzona. W ogrodniczych katalogach zowie się *Chrysanthemum tricolor*. Trwała i wdzięczna letnia roślina, miewa do 4 stóp wysokości. Koloru mlecznego kwiaty obficie okrywają krzaki. Środek (discus) jest koloru czarnawo-czerwonego, okolony jakby żółtym pierścieniem, z kąd poszła nazwa trójkolorowa. Figura czwarta *Chr. aureum* albo *elegans* (złotokwiat) wystawia roślinę łatwo u nas zimę przetrzymać mogącą.

Rudbeckia amplexifolia (fig. 6) w r. 1793 do Anglii z Ameryki sprowadzona, inaczej zowie się *Dracopis*



amplexicaulis. Przechowywana w wazonach, kwitnie aż do późnej zimy. Nasiona w grzędach gnojonych zesze, w maju do gruntu zwykłego przenosić należy. *Rotacznica* liczy trzydzieści kilka gatunków; liście ma lancetowate, kwiat żółty, pojedynczy, do osady dolnej pojedynczego narcyza *Tacetta*, podobny; stojący, ze środkiem czarniawym i główkami pręcikowymi, złocisto-żółtymi. Są gatunki i kolorów innych (*Rudb. purpurea* et *R. atrorubens*). *Rotacznica* purpurowo-czerwona, dobra dla wielkich ogrodów, wysoka od 6 do 8 stóp, liście ma bezogonkowe, jajowate. Kwitnie od sierpnia.

Pod liczbą 7 wystawiony kwiatek, jest najpiękniejszą zdobyczą jakie się dostały naszym ogrodom z Meksyku i Luizyany. Na pamiątkę jednego z uczonych botaników *Gaillarda de Marentonneau* nazwano tę roślinę *Gaillardia*.

Gaillardia pulchella, *Dzianwa* dwu i trzy-kolorowa, przydomek pięknotki, najsłuszniej zyskała. W spisach nasion ogrodniczych, którymi handlarze obdarzają za wsze pisma codzienne *Warszawskie*, wymieniana *Gaillardia bicolor*, jest zwykle gatunkiem tu przytoczonym *G. pulchelli*. Nie zupełnie jednak winni temu spekulanci trudniący się sprzedażą, gdyż istotnie wielkie zamieszanie w nazwach gatunków rodzaju *Gaillardia* powstało, z przyczyny dodawania przez wielu uczonych botaników *bicolor* (dwubarwna), z przyczyny, że czerwono-żółty promyk mają. Z powodu jaskrawości kolorów, nader w oczy wpadających *Swent*, we *Florence* ogrodowej angielskiej (*The british flower Garden*) przezwał ten gatunek *G. picta* *Dzianwa* (malowana).

Nasiona w późnym lecie sieją się do wazonów i po przezimowaniu, przesadzają się — a końce ucinają się łodyg, które zadługo i rychło bardzo wyrastają. W marcu można też siać w grzędy umiarkowanie ugnojone, a młode flansę w zwyczajną ziemię około końca czerwca przesadzać. Wszakże nie tak bujnie kwitną wtedy, jak powyżej wzmiankowane z wazonów.

Gaillardia Drummondii, na cześć dwóch już razem botaników nazwana, mniej bywa wdzięczną do hodowania.

Dwa kwiaty podobne, do *Nru 8* należące, są odmianami tylko najdawniej znanych i najpospolitszych kwiatów letnich, które nawet w kmiących znajdują się często ogródkach. *Thagetes patula* (podług *Lin-*

neusza) aksamitkami w języku polskim nazywana, w 1596 roku znaną już była. *Gerard* pisze że powszechnie znanym jest kwiatem letnim. I u Niemców zowie się w pospolitym języku, podobnie jak i u nas kwiatem aksamitnym (*Sammtblume*). Już-to że bardzo mocny nieprzyjemny i liście i same kwiaty, zapach wydają już-to że zbyt są pospolite i łatwo się wszędzie zaprowadzać mogą, nie bywają u nas w piękniejszych ogrodach lubiane. Gatunek zwany *Thagetes erecta*, z przyczyny wyniosłości swych łodyg, otrzymał nazwę *Pysznego-śmierdziuszka* u Niemców. Lud nasz jeszcze gorzej przeżywa to niemiłe kwiecie. Mnóstwo znajduje się tu odmian w kolorach od żółtoognistego aż do najciemniej-brunatnego i od pojedynczej, aż do wielolistnej czyli bardzo pełnej. Karłowate także, z mniejszemi kwiatami bywają często hodowane.

Figura 9 z dwoma kwiatami na krótkiej łodyżce, *Senecio elegans*, *Starzec ozdobny*, *Marzymłodek*, także do dawno-znanych roślin należy, bo około roku 1700 z przyładka *Dobrej Nadziei*, do nas sprowadzonych. Ma piękny promień purpurowy bardzo wydatnie odbijający od złotawego środka. Pielęgnuje się ich kilka odmian, pomiędzy którymi są pełne, ciemno-purpurowe i koloru liliowego. Dojrzewają przy zwykłych staraniach ogrodniczych jakieśmy opisali pod liczbami 6 i 7. Do pokojowych wazonów bardziej są odpowiednie niż do ogrodowych klombów, chociaż i tu brzegi zdobić mogą. Kwitną do późnej jesieni.

Pod liczbą 10 znajduje się *Senecio Tussilaginis* (*Lindl.*) *Starzec Podbiałowy* v. *Marzymłodek*, dopiero w r. 1831 z *Teneryf* sprowadzony naprzód do Anglii a wkrótce i do nas. Więcej z liści swych podobny do *Cinerarii* (popielicy) niż do *Starca*. Obficie kwitnie i hoduje się tak samo jak inne kwiaty letnie, ale tylko wielkiej słoty i ciągłej wilgoci nieznosi.

Figura 11, wystawia *Dwójzab okazały* (*Bidens grandiflorus*). Roślina wielko-kwiatowa w katalogach czasem nazywana *Cosmea lutea* (patrz figura 1). Z południowej Ameryki w r. 1800 do Europy sprowadzona; ma nasiona długie, cienkie, czarne, które ku końcowi kwietnia sieją się w ogrodach na miejscach poddanych działaniu światła. W lipcu kwitnąć poczynając, trwają aż do późnej jesieni, jeżeli wczesne silne mrozy ich nie zwarzą.

UBIORY SZWAJCARSKIE.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Silne, przysadziste, zdrowe budowy mieszkańców Szwajcaryi, znajdują się jeszcze tylko w pierwotnych, najdawniejszych kantonach helweckich. Ubiory w kantonach Szaffhuzy, musiały ustąpić modzie nowszej, miejskiej, francuskiej.

Na rycinie tu załączonej, mamy najpospolitszy staro-wieśniaczy ubior Szwajcarów. Dawny ich kapelusz, trzykroć załamany, zastąpił dziś krągły z szerokim rondem czyli okoleniem; spodnie szerokie, zwane *pumphose*, kończą się u początku pończoch, sięgających do kolan; — kaftan do kurtki podobny, koloru ciemnego, zwany u nich *Jacke*, kamizela z krągłymi, kulistymi guzikami i trzewiki z sprzączkami dopełniają reszty stroju męskiego.

Ale dzisiaj szerokich fałdzistych spodni używają już tylko starzy, wiekowi ludzie; młodzi zaś, według dawnych zwyczajów mają drelichowe zwykle szarawarki, dość krótkie, ale zawsze dłuższe i nieskończenie węższe od staroświeckich *Jacke*. Na głowie krągła czapeczka, podobna do biskupich, tylko innego koloru. Czarne skórzane szelki wkładają na czerwoną kamizelkę lub wprost na koszulę. Pończochy noszą białe, płócienne. Pas skórzany wkładają wtedy, gdy szelek nie biorą.

Nowe pokolenie wcale nie lubi tego ubioru: kobiety w Szaffhuzie, naiwne dosyć, zarzuciły już starodawny czepiec koronkowy i słomiany kapelusz. Rzadziej też spotkać teraz można czerwone pończochy, sznurówkę tegoż koloru, szerokie u koszul rękawy, spódnicę upstrzoną różnobarwnymi rąbkami i obrębiami czerwonymi lub mały fartuszek jaskrawszą jeszcze obwódka; — bo to zbyt dawne ubiory, a moda i u Szwajcarów już, o swoje dopomina się

prawa. Narodowość, tak przez nich zawsze ukochana, zacięra się powoli w zwyczajach, obyczajach a nawet i strojach, napływem cywilizacji nowej, z zachodu Europy biorącej początek.

Spotyka się w kantonie Bern prawdziwie starożytnego rodzaju typ Szwajcarski, z rysami niezbyt delikatnymi, dziobatymi, wielkimi, z usposobieniem flegmatycznym i nieco opuszczającym się.

Mieszkańcy wyższych płaszczyzn w górach trzymają się stale, niemal z uporem, starego ubioru i dawnych zwyczajów. Szczególniej do stroju narodowego przywiązane są tu kobiety i mężczyźni starsi tylko, chodzą w ubiorach, za którymi malarze krajowi ubiegać się powinni — bo i te wkrótce, zdaje się że zaginą.

Nowszy krój, naśladowujący francuską modę, nawet nie jest wygodny; kolor ubioru bywa piaskowo-gliniasto-brudny. Najpoetyczniej wyglądają jeszcze pastarze tylko i ich pomocnicy przy trzodach. Kobiety mówiące już po francusku i angielsku, nie zrzucają strojów wiejskich. W lecie noszą mały kapelusik słomkowy; włosy ubierają w długie kosy; rękawy mają szerokie u koszul — biała jak śnieg chustka okrywa ich piersi ujęte w czerwoną, obcisłą sznurówkę, na której rzadko niedostaje łańcuszków, oznaczających dobry byt, i większy lub mniejszy, w miarę bogactwa złota na zewnątrz, majątek.

W zimie, w różnych częściach kraju, rozmaicie odmieniają się i ubiory. W ogóle nie są zbyt piękne niewiasty w Bern; silnej bywają budowy. Dziewczęta poganiają najmniej ujeżdżonymi końmi. W tańcu udatnie wyglądają. Po zamaż pójściu, dobre z nich gospodynie i panie domu.



KATARZYNA JAGIELONKA.

OBRAZEK HISTORYCZNY. ¹⁾

„Grzechy wasze ciążyć będą na pokoleniu waszém!” powiedział psalmista, i nieraz widzimy prawdę tych słów przed oczyma naszymi! Komuż nie zdarzyło się spotkać ludzi uczciwych, przykładnych, bogobojnych, a jednak tak nieszczęśliwych, że w boleściach, łzach i troskach przebywać musieli ciernistą drogę życia,—i któż nie pomyślał sobie wtedy, że chyba kara za winy ich ojców wisi nad nimi. Na dzieciach Zygmunta I Jagielona i Bony Sforegi sprawdza się podobne przypuszczenie. Ciężkie grzechy matki, widocznie ciążyły nad ich losem. Izabella pierworodna córka zaślubiona Janowi Zapolskiemu królowi Węgierskiemu doznała wszystkich nieszczęść jakich tylko w jej położeniu doznać można było. Zygmunt-August miotany namiętnościami, dotknięty ciężko śmiercią żony, którą prawdziwie kochał, połączony z inną której nienawidził, — przy schyłku życia widział że jest ostatnim z dzielnego Jagiellońskiego szczepu, że zamyka księgę jego historii. Anna w późnym wieku połączona z człowiekiem wielkim jako król ale nieznośnym w pożyciu małżeńskim, doznała jeszcze i tej troski że słyszała jak narzekano na taki związek, który z powodu jej podeszłego wieku odjął krajowi nadzieję ujrzenia potomka po dzielnym królu bohaterze. Zofia wydana za Henryka księcia Brunświckiego nie lepszym cieszyła się powodzeniem i zmarła nie doszedłszy 50 lat wieku. O losach Katarzyny najmłodszej córki Zygmunta i Bony zaślubionej Janowi księciu Finlandzkiemu który potem w Szwecyi pod imieniem *Jana III* panował, chcemy w krótkości z czytelnikami naszymi pomówić.

W sierpniu 1526 r. umarł ostatni z książąt Mazowieckich i Mazowsze do korony wcielone zostało, a pierwszego listopada tegoż roku królowa Bona powiła Zygmuntowi córkę, której dano imię Katarzyna. Dla tego zostawiamy zgon księcia Mazowieckiego z urodzeniem się Katarzyny że nie ulega wątpliwości iż intrygi królowej, a może i jej osobisty wpływ, wmieszały się w nagłą śmierć dwóch ostatnich książąt Mazowsza.

KSIĘGA ŚWIATA, Cz. I. R. IX.

Dziwném wydaje się nam zjawiskiem że taka matka i kobieta jak Bona, potrafiła wychować takie córki i żony jak Izabella, Anna i Katarzyna. O postępowaniu Zofii księżnej Brunświckiej nie możemy nic powiedzieć nie mając pod ręką żadnych w tym względzie dowodów. Widocznie Jagiellońska krew przeważała wpływy wychowania jakie Bona córkom swoim dać mogła. Izabella jeszcze za życia ojca wydana została za Janusza króla Węgierskiego. Nie fortunne to było zamąż pójście i Stańczyk, ów niby błazen królewskiego dworu, miał więcej przenikliwości aniżeli wszyscy inni, radząc królowi zaraz po weselu, aby dla córki swój zbudował dom w Krakowie, gdzieby mogła mieszkać wróciwszy z Węgier ²⁾. Nie dożył Zygmunt I tej przykrój dla siebie chwili, ale już za życia swego widział że wdowa po Januszu, z małoletniém dziećciem nie utrzyma się na chwiejącym się pod nią tronie ³⁾. Katarzyna, Anna i Zofia zostały sierotami po ojcu,—a sieroctwo ich tém było przykrzejsze, że matka wyzuwszy się z uczuć macierzyńskich, opuściła je, i udała się ze swemi skarbami i ze swymi ulubieńcami do Włoch; a Zygmunt-August jedyny brat i opiekun, zbyt gorszące prowadził życie, aby przy nim trzy sieroty panny mieszkać mogły.

¹⁾ Pan Simmler znakomity malarz tutejszy, dał na Wystawę Warszawską Ś. P. w r. b. obraz wystawiający Katarzynę Jagielonkę z żoną i synem w więzieniu. Co do historycznej strony tego obrazu, nadmienimy że gdy księstwo przeniesieni byli do pałacu Grypsolmskiego,—już ich wtedy żołnierze wewnątrz sali nie pilnowali, a dziecię Zygmunta, w dniu 22 października 1567 to jest w chwili uwolnienia księstwa, miało zaledwie pięć kwartałów.

²⁾ Bielski ks. V. str. 101, wyd. Gałęzowskiego.

³⁾ Gdy królowa Izabella przez traktaty odstąpiwszy Ferdynandowi królestwo Węgierskie, oddawała w Koszycach hetmanowi wojsk jego, Janowi Baptyście koronę złotą, z wierzchu tej korony wypadł krzyżyk i tak się zawieiruszył iż znaleźć go nie można było i koronę bez krzyży-

Powrót Izabelli do Krakowa zapewnił sierotom jaką taką opiekę, przy niej więc mieszcili się wszystkie, ucząc się od niej cnót, jakimi w całym swym życiu jaśniała i poświęceń jakich liczne dała dowody.

Trzydzieści sześć lat wieku miała Katarzyna, gdy nareszcie i o jej rękę odezwali się pretendenci. Rokiem wprzód straciła nieszczęśliwą swoją siostrę—jedyną i najlepszą opiekunkę, wypadło więc samą myśleć o swym losie. Pierwszym z tych pretendentów był Iwan Bazylewicz car moskiewski, drugim Jan książę Finlandzki, brat Eryka króla szwedzkiego.

Po zgonie Gustawa Wazy zostało trzech synów, Eryk z pierwszej żony Katarzyny księżniczki saskiej, Jan i Karol z drugiej Małgorzaty córki szlacheica szwedzkiego Eryka Abrahama z Leholmu. Eryk z prawa pierworodztwa posiadał ustanowione przez ojca następstwo tronu; Jan książę Finlandzki miał wielką miłość u ludu i byłby niezawodnie obrany królem, gdyby chciał być współzawodniczyć z Erykiem, ale szlachetny książę dobrowolnie wyrzekł się prerogatyw jakie mu nadawało przywiązanie ludu i przelał je na brata swego Eryka. Z początku Eryk XIII zapowiadał wielkie nadzieje; ale opanowany przez chytrych dworaków, między którymi odznaczał się niejaki Jerzy Piotr sekretarz, zmienił zupełnie swoje postępowanie. Zasłużonym sługom ojcowskim odbierał uposażenia, a oddawał je swemu ulubieńcowi. Malkontenci przenosili się na dwór łagodnego Jana księcia Finlandyi i to zaczęło różnić dwóch braci. Jan zamyślał o ożenieniu, a trafiło się właśnie że Tęczyński, poseł polski do króla Szwedzkiego, poznał i pokochał piękną Cecylią, siostrę rodzoną Jana a przyrodną Eryka i otrzymał nadzieję pozyskania jej ręki. Czy to osobiście, czy przez pośrednictwo jednego ze starych dworzan Gustawa Wazy, którego niełaska młodego króla dotknęła, niejaki Ezechijasz, nastęrczył księciu Finlandyi uro-

ka do Ferdynanda zanesiono. Bielski pisze że krzyżyk ten znalazło dziecię małe, królewiczek (syn Izabelli) i igrając z nim do matki smutnej na pokój weszło, pytając przezco-by się tak bardzo smuciła? Na co mu matka odpowiedziała: A jak się nie mam o co troskać mój miły synu, żem tobie nędzemu królowi i sobie nędznej straciwszy wszystko, korony nawet złotój zachować nie mogła! Rzekło dziecię: nie frasuj się matko! mamy téj korony jeszcze sztukę—a włożywszy rękę w zanadrze wyjął krzyżyk złoty, mówiąc: jeszcze nie mamy co wątpić że do tego krzyżyka i drugie sztuki wrócić mi mogą. — Księgi V. str. 101.

dziwą i cnotliwą Katarzynę Jagielonkę. Książę Jan przyjął skwapliwie ten projekt i myślał ciągle nad jego wykonaniem, co nie było rzeczą łatwą, bo Eryk został zaraz o zamysłach brata uwiadomiony; a z powodu ciągłej chęci do zagarnięcia Inflant, krzywem patrzył okiem na wszelkie zbliżanie się z Polską. A i Eryk myślał także o małżeństwie, — i gdy skutkiem przeszkód nastęrczonych ze strony Duńczyków, nie mógł zaślubić Faltzgrafównéj Heskiej, zwrócił serce do królowny Angielskiej i wysłał księcia Jana w poselstwie o jej rękę. Widać, że już zaczęło być głośne postępowanie Eryka, bo królowna odmówiła mu, dała jednakże poznać że gdyby urodziwy książę Jan oświadczył się w jego miejscu, to byłaby dla niego przychylniejszą. Bądź, że młody książę obawiał się zemsty Eryka, bądź, że trwał stale w postanowieniu zaślubienia królowny Polskiej, dość że obojętnie przyjął względy Angielki i wrócił do Szwecyi.

Tymczasem następująca okoliczność zbliżyła ku sobie księcia Finlandyi i króla polskiego. Kością niezgody rzuconą między Polską, Szwecyą i Moskwą były Inflanty. Zygmunt-August przyjąwszy w opiekę tę skołataną wojnami ziemię, potrzebował prowadzić wojnę z Iwanem Bazylewiczem carem moskiewskim i z Erykiem królem szwedzkim, a rozrzutność wrodzona Jagielonom, wyniszczyła skarb królewski. Potrzeba było uciec się do pożyczki na prowadzenie wojny lub wyrzec się Inflant; Zygmunt-August wybrał pierwsze,— a Jan książę Finlandyi oświadczył się z chęcią pożyczania 120,000 bitych talarów. Tęczyński z Ezechijaszem ułatwili tę sprawę i zarazem zapewnili księcia o życzliwości dla niego polskiego dworu. Wybrał się więc książę Jan w drogę do Polski i mając przy sobie Tęczyńskiego, szczęśliwie stanął w Gdańsku. Eryk dowiedziawszy się o tem wysłał groźny list do Gdańska, nakazując księciu aby się natychmiast wrócił do Finlandyi, i wykrywając jakoby przed nim zamiary Polaków że w miejsce projektowanego małżeństwa wtrąca go do więzienia, a zamki Finlandzkie zabiorą. Znając gwałtowność Eryka książę Jan, chciał się wrócić, ale Tęczyński uspokoił go protekcyą króla polskiego i tyle dokazał, że po cało-miesięcznym pobycie w Gdańsku wyjechali do Kowna, gdzie im sam król Zygmunt zajechał drogę. Kilka dni zabawili z sobą razem na wspólnych ucztach, poczem król odjechał do Wilna, a książę zatrzymał się w Kownie dla przygotowania układów małżeńskich, czem z polecenia królewskiego zajmował się wówczas referendarz koronny a później biskup Kujawski, ksiądz Czarnkowski. Tymczasem

w Wilnie przysposabiano się do ślubu królowej, — a gdy po kilku dniach, książę Jan zjechał do Wilna z spaniałym orszakiem, król wyprawił siostrze (jak powiada Bielski). Okazało wesele, które trwało przez cały tydzień. Były i tańce, były i rozmaite gonitwy, a nawet tak srogie że często rannych rycerzy lub zabite konie z placu wynoszono. Gody weselne przeminęły szybko — trzeba było myśleć o wybraniu się z Wilna, bo książę Jan obawiając się jakich napaści, ze strony Eryka, śpieszył się do Finlandyi. Król Zygmunt-August kochał dosyć najmłodszą siostrę, — odprowadził więc młode małżeństwo aż o pół mili za mury Wilna i z serdecznym, jak powiada współczesny rękopism, płaczem pożegnał, — przydawszy im Łaskiego krajczego koronnego i Konarskiego, którzy mieli rozkaz kosztem królewskim aż do Rygi ich odprowadzić. Do Rygi podróż poszła bardzo dobrze prócz jednego wypadku że kucharz książęcy na pierwszym noclegu nagle zmarł. Wrażliwa księżna wzięła to sobie za złą wróżbę, ale ją uspokojono. Dla spóźnionej jesienniej pory nie zatrzymano się w Rydze i puszczono się na morze. Nieszczęście mieć chciało że pierwszej zaraz nocy wziął tak wielki mróz, iż okręty zamarły. Z trwogą i niebezpieczeństwem musiano wyjść z okrętów i pieszo dostać się na powrót do Rygi, tymczasem mróz trochę zelżał, okręty z lodu wyrąbano i znów podróżni puścili się na morze. Księżna z bojaźnią wielką puszczała się w tę powtórna morską podróż, jakoż sprawdziły się jej przeczucia. Zaledwie parę mil odpłynęli od brzegu, powstała gwałtowna burza, która okręt książęcy odłączyła od reszty eskadry i popędziła na skały. Mężny książę Jan tulił małżonkę do łona i rzucał pieniądze marynarzom, zaklinając ich aby z wyteżeniem wszelkich sił ratowali okręt od rozbicia. Walcząc kilka godzin między śmiercią i życiem, w okręcie na pół potłuczonym dostali się znów księstwo do Rygi.

— Bóg wyraźnie nie chce abym oddalała się z kraju mego, — pomyślała sobie Katarzyna, — ale spojrziała na ślubną obrączkę i dodała — przysięgłam posłuszeństwo memu mężowi, — jego wola — moją wola.

Trwoga i wpływ mroźnego powietrza wywarły złe skutki na zdrowie księżnej, a choć książę Kurlandzki i arcybiskup Rygski, oświadczyli się z chęcią dostarczenia koni pod przejazd książęcego dworu, trzeba było zatrzymać się w Rydze do 4ch niedziel jak powiada kronikarz, aż księżna przyszła do siebie. Z pomyslniejszemi wiatrami puszczono się do Parnawy, gdzie przygotowane były konie dla dostania się do Rewla. Ale najgroźniejsza chmura zbierała się

jeszcze nad losem książąt, — Car rozgniewany za odmówienie mu ręki Katarzyny, postanowił dostać ją przemocą i wysłał pięć tysięcy wojska aby ją pochwycić. Uwiadomiony o tém nowém niebezpieczeństwie książę, tając je przed żoną, — manowcami i nocą odbywał przeszło trzydziesto-milową podróż, wysyłając wprzód wiernych dworzan na zwiady, czynnie spotkają gdzie podjazdów nieprzyjaciela. Tak po nadludzkich wysileniach, cudem prawie dostali się do Rewla, z kąd już morzem łatwa się zdawała droga do Finlandyi.

Jeżeli wierzymy że opatrność Boska zsyła czasem ludziom przestrogi przyszłych nieszczęść, to trzeba przyznać że księstwo tylko groźnemi okolicznościami musieli być znagleni do wytrwania w obranym zamiarze. Byli nawet tacy, co radzili księciu pozostać w Rewlu albo wrócić do Polski; ale młody książę za wiele ufał swoim siłom, aby miał zrażać się przeciwnościami. Wsiadł na okręty z całym dworem, ale zaledwie zniknął im Rawel z oczu, gdy znów powstała taka burza, że wszyscy żegnali się z sobą rozumiejąc że to już ostatnia ich godzina. Strwożeni, na pół żywi wysiedli a raczej wyrzuceni zostali na brzeg Finlandzki. Tu znowu nowa bięda; okolica bezludna, zimno dokuczające, a tu trzeba się dostać do pierwszej lepszej wioski. Dla księstwa wyszukano małe jednokonne saneczki, reszta dworu bez różnicy płci i wieku zabrała znów tłómczki na plecy i powędrowała śladem książęcych sanek.

Mrok padał kiedy owe jednokonne saneczki stanęły przed domem plebana w lichiej wiosce, pleban wyszedł przed dom na przyjęcie gości, a że bywał niegdyś w stolicy, za pierwszym rzutem oka poznał kogo ma przed sobą. W kilka minut cichy dworek plebana zawrzał gwarem, co tylko było w wiosce koni i sanek wysłano po brnących po śniegu dworzan, i rozesłano posłańców do sąsiednich dworów i miasteczek, dając znać o przybyciu młodych księstwa. Dalsza podróż do zamku Roków, była prawdziwym pochodem tryumfalnym; wierny lud Finlandzki prześcigał się w oddaniu czci i uwielbienia ukochanemu księciu i jego pięknej małżonce.

Za przybyciem do zamku powtórzyły się weselne gody, a dla upamiętnienia tych chwil szczęśliwych, wydano za mąż i wyposażono kilka młodych panien z orszaku księżnej.

Tyle też było dni szczęścia dla młodej księżnej. Zaraz rozeszły się wieści że król Eryk podniecany namowami Jerzego Piotra, głównego nieprzyjaciela księcia Jana, knuł jakieś przeciwko niemu złe za-

miary, i niebawem odebrał książę Jan ostry list aby się stawił przed królem jako obwiniony o zbrodnie obrażenia majestatu. Książę Jan odpisał że chociaż nie poczuwa się do żadnej winy, gotów jest jednak stawić się przed bratem królem i panem swoim; ale prosi o list zabezpieczający swoją osobę. Król w miejsce posłania listu, wysłał do stanów Finlandzkich rozkaz odbierający rządy Finlandyi księciu Janowi i w ślad zatém wyprawił swoich poborców do odbierania podatków. Finlandczycy kochali księcia Jana a drżeli na samą myśl rządów Eryka; stawili więc w wielu miejscach opór wysłanym przez niego poborcom. Oni poparli siłą, uwięzili upornych i odesłali ich Erykowi. Książę Jan dowiedziawszy się o tém, wysłał żołnierzy i kazał owych poborców uwięzić. Rzeczy przybierały groźny obrót. Książę ochłonawszy z gniewu wypuścił uwięzionych i ułagodził; ale fakt już sam walczył przeważnie przeciwko niemu. Trzeba było myśleć o obronie i książę wyprawił listy do króla polskiego, uwiadamiając go o grożącym niebezpieczeństwie. Ale niebezpieczeństwo zbyt było bliskie, aby wpływ króla polskiego mógł je rozegnać. Klaudyusz hetman Eryka zbliżał się w 8,000 wojska pod zamek Roków; a zamiary tej wyprawy nie były sekretem. Książę postanowił uprzędzić atak na zamek i w 500 koni uderzył na niespodziewającego się tej wycieczki Klaudyusza. Zwycięstwo było owocem tego rozpaczego kroku; wojska szwedzkie cofnęły się, trzeba było umieć korzystać z chwili i natychmiast wsiąść na statki i dostać się do Gdańska; przekupni dworzanie poddali księciu myśl że zgromadziwszy zapasy broni i żywności oprze się Klaudyuszowi i doczeka się pomocy polskiej. Książę Jan poszedł za ich radą i zaledwie zdołał cokolwiek opatrzyć zamek, gdy Klaudyusz znów go opasał, a na domiar złego na morzu ukazały się okręty. Z początku myślano że to pomoc polska przybywa, księżna Katarzyna już wyciągała ręce do tych niby rodaków, gdy na dane sygnały nie odpowiedziano. Nadzieja zmieniła się w trwogę, radość w rozpacz; okręty były szwedzkie wysłane na pomoc Klaudyuszowi. Na domiar złego w załodze zamkowej poczęły się objawiać skutki obcych wpływów. Książę kazał wyjść z zamku wszystkim szwedom, nieposłuchano go, a hetman szwedzki ponawiał szturm. Gdy wreszcie Klaudyusz zajął wysoką górę panującą nad miastem i zatoczono na nią armaty wielkie zrzędały szkody; gdy już Finlandczycy zaczęli się chwiać w wierności, książę Jan na usilne nalegania małżonki poddał zamek d. 12 sierpnia 1563 r.

a w dniu 23 sierpnia tegoż roku z całym swym dworem na okręty wsadzony i do Sztokolmu zaprowadzony został.

Gdy stanęli pod Sztokolmem, Eryk, któremu polityka nie kazała narażać sobie zbytecznie króla polskiego, wysłał do księżnej Katarzyny Jerzego Piotra, z oznajmieniem, aby z tym który winien był obrazy majestatu, rozłączyła się i zadeklarowała się albo wrócić do swego brata, albo siedzieć na swój oprawie, a on ją gdzie zechce uczciwie odeszle; w przeciwnym zaś razie podzielić musi z winowajcą los jaki go spotka. Księżna pokazawszy wysłańcowi pierścień swój ślubny na którym był napis: *Których Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza*, rzekła:

— Płci stanem białogłowa jestem, umysłem i sercem równam się mężczyźnie. Przysięgłam księciu dożywotnim być przyjacielem, wiernie i statecznie przysięgi dochowam. W szczęściu i nieszczęściu równie będę małżonką jego, ani mnie żadne najsrozsze postrachy, ani najpieszczęńsze powaby od niego nie odłączą. Może mi król grozić, ale odstraszyć od niego nie może; również z nim żyć i ginąć gotowam! Zawinił mój mąż jak mówisz, toć i ja, jako jego żona wiadoma najskrytszych jego tajemnic. To jednak na przestroję daję królowi: — wiadoma mi doskonale męża mego niewinność, niechże król pomni że niewinność ma swoją opiekę i obronę u króla nad królami! ¹⁾

Jerzy nic na to nie odpowiedział, tylko kazał odłączyć księcia i księżnę od ich dworu.

Sądny dzień był w tej chwili, — wierni dworzanie łkaniem ściskali ręce i nogi obojga księztwa, będąc pewni że ich nie ujrzą więcej. Księżnej Katarzynie boleść rozdzierała serce. Poszła do nienawistnego sobie Jerzego i na klęczkach zalewając się łzami, prosiła aby pozwolono jej zatrzymać przy sobie dworzanie. Jerzy im dał się ubłagać i pozwolił tylko księżnie wybrać sobie dwóch Polaków, dwie Polki i dwie karlice. Klejnoty, bogatą odzież i sprzęty zabrano do królewskiego pałacu, a uwięzionych przeprowadzono do budynku pod Sztokolmem na wysokiej skale nad morzem położonego, gdzie ani drzwi, ani okien, ani nawet dachu nie było i uwięzieni pod zrobionym z żagla namiotem przez czas nie mały od burz, słońca i mrozów chronić się musieli.

Księżna Katarzyna z prawdziwie mężką stałością znosiła okropne swoje położenie i bolało ją to naj-

¹⁾ Historia rewolucyi królestwa Szwedzkiego. Lublin w drukarni J. K. M. Col. S. J. R. p. 1756.

więcej że nie mogła wiedzieć o losie tych biedaków, którzy za nią i dla niej więcej zapewne cierpieli.

Eryk postępując w taki sposób z rodzonym bratem, chciał koniecznie dowieść że Jan zasłużył na to, że przeniewierzył się krajowi. Potrzebne mu to było do usprawiedliwienia się przed innymi monarchami, przed własnym nawet narodem; bo jeszcze wówczas szaleństwo jego ustępowało czasami zdrowej uwadze. Zdrady kraju nie dowodziło ani połączenie się Jana z Katarzyną królową Polską; bo związek nie obrażał w niczem praw korony Szwedzkiej, ani pożyczanie królowi Polskiemu wspomnioną wyżej summy, bo przecież trudno było zabronić księciu dysponowania swymi funduszami. Eryk chciał koniecznie trafić na wątek jakiegoś zmyślenia między Janem a Zygmuntem Augustem przeciw Szwecyi o odłączenie od niej Finlandyi; a wątku tego niespodziewał się inaczey uchwycić jak od Polaków otaczających księcia Jana i wiernych mu do ostatniej chwili. Kazał więc przewieźć wszystkich uwięzionych do zamku Grypsolm o siedm mil od Sztokolmu położonego, księstwo umieścić w jednej baszcie na skale a dworzan polskich w drugiej na skale przeciwległej, tak aby księstwo wszystko słyszeć i widzieć mogli. Serce się wzdryga na samą myśl okrucieństw jakich szalony tyran Skandynawski dopuścił się na więźniach. Najprzód przez cztery dni czterystu nieszczęśliwym Polakom nie dano ani jadła, ani napoju; a później użyto wszelkich rodzajów tortur, aby wymusić pożądane wyznanie. Książę i księżna z okien swój baszty patrzeć musieli jak tych, którzy im wierni pozostali, ciągniono kołami, palono ogniem, rozpinano na kratach: jak ich potem ćwiertowano i wieszano na szubienicach; a trzeba postawić się w ich położeniu, aby wyobrazić sobie cały ogrom bólesci. Księżna która z niesłychaną rezygnacją znosiła własne najdolegliwsze cierpienia; upadła pod brzemieniem cierpienia, jakie jej rozmyślnie przygotowano. Oboje z mężem prosili aby ich dopuszczono do Eryka, aby im wydarto życie a nie męczono niewinnych: ale prosby te nie dostały się za obręb warty strzegącej ich więzienia.

Żałujemy bardzo, że nie możemy podać do wiadomości naszych czytelników nazwisk tych trzystu kilkudziesięciu męnych Polaków, którzy znieśli męcznie i spokojnie szli na okrutną śmierć, za przychylne wykonanie swych obowiązków. Nie przekazali nam ich imion ówczesni kronikarze; a nasze poszukiwania musiały rozbić się o odległość wieków. Włochów, Niemców i kobiety w liczbie około, trzy-

dziestu osób, wywieziono z Grypsolmu. Kobiety osadzono w Helkielsztanie w klasztorze; a mężczyzn po innych zamkach porozsyłano.

Księstwo otoczeni silną strażą wystawieni byli na najrozliczniejsze niewygody i udęczenia; mieścili się w jednej izbie razem z strzegącymi ich żołnierzami, i jedli takie same potrawy jakie przynoszono żołnierzom. W takim okropnym położeniu księżna została matką, urodziła pierwszą córkę której dano imię Izabella ¹⁾ na pamiątkę wdzięczności, jaką winna była księżna najstarszej swój siostrze za jej macierzyńską opiekę. Przytoczymy to słowa kronikarza opisujące nieszczęsny stan biednej matki.

„Księżna nie mając żadnej osoby do posługi, czasowi takiemu przyzwoitej, prócz dwóch zostawionych sobie panien i dwóch karlic, w takim zostawała niedostatku, że niewiniątka tego nie miała w co uwinąć; musiała tedy u owych dragonów na warcie będących stare i złe koszule kupować i na pieluszki obracać, któremi zemdlonemi swojemi rękami niewinne dzieciątko powijała; sama pani, sama sługa, sama karmicielka, sama piastunka, a żadnego ztąd w tak wielkiej słabości nie czująca ciężaru. W takim stanie i w tej jednej izbie na skale Grypsolmskiej, przebyli uwięzieni więcej jak półtrzecia roku. Eryk czy tknięty litością, czy też, co prawdopodobniej obawiając się wdania w tę sprawę Polaków; przeniósł więźniów ze skały do pałacu, gdzie wyznaczył im jedną salę i trzy górne pokoje; zmieniawszy ostrożności poprzednio zaprowadzone w ten tylko sposób, że straż zewnętrzna mieszkania postawiono. Nie zdołały one jednak udaremnić usiłowań natchnionych przywiązaniem do Jagiellońskiego rodu. Kupcy Polscy mieszkający w Sztokolmie wynaleźli sposób zaopatrywania więźniów w lepsze pożywienie i inne wygody, a nawet złożyli księżnie rozmaite kosztowności aby je miała na nieprzewidziany wypadek.

W siedm miesięcy po przeniesieniu się do wygodniejszego i nie tyle na wpływy powietrza wystawionego więzienia, dnia 20 lipca 1566 r. o godzinie 5 po południu urodził się księztwu syn, któremu dano imię Zygmunt ²⁾.

Urodzenie się syna ocuciło z odrętwiałości księcia Jana, począł rozmyślać nad swoim i dziecięcia swego losem i w styczniu 1567 napisał do brata list, w którym opisując mu wszystkie doznane cierpienia

¹⁾ Córka ta mając półtora roku, umarła.

²⁾ Bielski datę urodzenia Zygmunta podaje na dzień 20 czerwca 1566 r.

prosił i zaklinał, aby dozwolił mu stanąć przed sobą i usprawiedliwić się z fałszywych zarzutów; oddając chętnie swoją głowę pod miecz w razie wykrycia winy. Eryk przyjął tę propozycję i zapewniwszy księcia Jana że sam go słuchać będzie, wyznaczył czas na który miał stanąć samotnie, z owymi dwoma zostawionymi sobie Polakami.

Rozkaz ten ciężko dotknął księżnę; w tém odłączeniu siebie od męża upatrywała tajemne jakieś zamiary Eryka, lękała się podstępny; ale ojciec nie dał się odwieść prośbami których mąż byłby pewnie usłuchał.

— Gdyby Eryk chciał mojej zguby — czyżby potrzebował ściągać mnie aż do Sztokolmu? — mówił książę do płaczącej żony, — pierwszy lepszy morderca lepiej-by mu tu usłużył. Tak mówił a jednak gdy nadeszła fatalna chwila rozłączenia się, gdy ujrzał, że na wzgardę przysłano pod niego i jego dworzan takie trzy szkapy że ledwie nogami powłóczyć mogły; omdlał w objęciach zachodzącej się od płaczu żony, i już tylko konieczność mogła go z nią i z ukochanym dziećciem rozłączyć. Księżna we łzach, postach i na modlitwach przepędzała długie godziny, a książę na owych zdychających rossynantach podążał do stolicy swego brata. Gdy wjeżdżał do miasta nikt przed nim czapki nie uchylił, nie okazał najmniejszego względu; bo to wszystko surowo było zabronione. Zaprowadzono go prosto do ratusza, gdzie czekał już wyznaczeni sędziowie: Biskup Kalmurski, Jerzy sekretarz królewski i Joachim puszkarz jeden z nadwornej rady. Ujrawszy takich sędziów, a swoich najpierwszych wrogów, książę Jan rzekł; że sprawy przed nimi zdawać nie będzie i wysłał do króla następujące przełożenie:

— „Bracia królewscy, książęta, nie zwykli poddanym sprawować się, ani na miejscu które samym tylko złoczyńcom służy, i sądu słuchać i kary odbierać naznaczone. Jeżeli co winien sam mnie królu bracie masz sądzić jako przyrzekłeś. Tobiem na wierność przysiągł, poddanym poddać się nie myślę. Pałac królewski, sądowa dla mnie stolica, nie ratusz, — a sam król sędzią, nie poddani. Pierwój mię królu w więzieniu lub innym sposobem pozbawisz życia, niż przymusisz słuchać wyroku poddanych. Nie przyczyniaj sobie więcej niesławy i obelgi; dość jej będzie gdy brat niewinny zginie z sądu braterskiego; a cóż dopiero gdyby miał samój złoczyńców niesprawiedliwości podlegać wyrokom? Wiesz królu co to za sędziowie na mnie wysadzeni od ciebie? Samą tylko łaską twoją są zaszczytzeni; ale ani z cnoty, ani z u-

rodzenia żadnego nie mają zalecenia. Jerzy Piotr, syn biskupa Kalmurskiego, którego ojciec, zagrodnik tylko, za swoje niecnoty ćwiertowany. I taż to krew złoczyńcy ma się pastwić nad krwią niewinną królewską? Wolę już i bez sądu zginać, aniżeli z takiego; bo wiem że mię nie co innego czeka. W tém jednak królu bądź upewniony — zginę — tobie z serca brat życzliwy, po przysiężeniu wierny, ojczyznę kochający, a do żadnych spisków, zmów i przysiężenia na ciebie nie należący.”

Trudno było z większą mocą i godnością wystawić swoje położenie i niegodziwość jakiej dopuszczał się Eryk jako król i brat; ale słowa te nie wywarły żadnego wpływu na zapamiętałym prześladowcy. Przesłał do księcia Jana swego faworyta Jerzego z następującą odpowiedzią:

— „Zesłany jestem od króla brata twojego, którego ty równie z nami poddany, z nami jednak nie równie wierny. Tyś spowinowacenie uczynił z nieprzyjacielem króla i pana twojego; tyś mu pieniędzy pożyczyl na miasta i zamki, które król i pan twój otrzytać mógł darmo. Przeto obwołany jesteś jako oczywisty zdrajca króla i ojczyzny twojej; atoli król i pan twój zażywa nad tobą miłosierdzia; chce tego i rozkazuje tobie, abys obwiniony sprawił się u sądu naszego.”

Gdy książę Jan z oburzeniem odpowiedział na tę zuchwałą mowę; wyprowadzono z ratusza i wsadzono do najostrzejszego więzienia.

Rzecz ta widać oddawna była ułożona, bo gdyby Eryk nie miał zamiaru rozłączenia księcia z żoną; nie byłby obiecywał mu że sam sprawy jego wysłucha i takową osądzi; a następnie nie byłby sprowadzał go do Sztokolmu, bo i w Grypsolmie podobny sąd mógł się odbyć. Powody tego podstępu zaraz odkrywemy.

Iwan Bazylewicz, pragnąc postawić na swoim, wyprawił do Eryka posłów aby mu Katarzynę królową polską a żonę księcia Jana co najprędzej przysłał. Poseł ten przywiózł znaczne upominki, sto soroków soboli, przednich rysiów, lisów czarnych, innych futer moc niezmierną i klejnoty bardzo kosztowne, a oprócz tego obiecał 30,000 wojska pomocy na każdego nieprzyjaciela i pięć kroć sto tysięcy rubli pieniędzy. W przeciwnym zaś razie zastrzegł, że jeżeli księżnej Katarzyny nie odeszle Carowi, tenże wojnę i spustoszenie po jego państwach rozniesie. Eryk długo się wahał, ale naradziwszy się z Jerzym i biskupem Kalmurskim, zezwolił na żądanie posła i wzajem obydwa zobowiązania swoje zaprzysięgli. Trzeba

więc było odłączyć męża od żony, aby na tę ostatnią łatwiejszy wpływ wyrzucić.

Niepodobna przypuścić aby o tém wszystkiém co się działo w Sztokolmie i Grypsolmie, Zygmunt-August nie wiedział, i dziwić się należy obojętności jego o los rodzonej siostry. Wiemy że Polska podówczas była zagrożona zewnątrz od strony Moskwy i Tatarów, że wysłanie zbrojnej pomocy nieszczęśliwej królownie było niepodobne, ale dla czegoż Zygmunt-August nie wysłał przynajmniej poselstwa do Eryka z upomnieniem o należną cześć krwi Jagiellońskiej; dla czegoż kraj cały dzielił obojętność króla? ten sam kraj, który w kilkadziesiąt lat później wysyłał poselstwo do króla francuzkiego upominając się groźnie o uwolnienie uwięzionego królewicza Jana-Kazimierza? Kroniki milczą w tym względzie; i my tę obojętność złożyć chyba musimy na wahający się charakter Zygmunta, na jego ówczesne zatargi z żoną i z krajem żądającym koniecznie tego, aby znienawidzonej i w Wieluniu osadzonej żony nie odesłał do Wiednia. Bądź co bądź, obojętność ta, to nie odpuszczony grzech owych czasów.

Tymczasem nieszczęśliwa księżna dowiedziawszy się o tém co się stało z mężem w Sztokolmie, z życiem się prawie rozstawała, jak powiada kronikarz, i tylko miłość macierzyńska zdolną była powstrzymać ją od jakiego rozpaczego kroku. Wszystko jęć mówiło że straci kochanego i najlepszego męża; chciała przynajmniej uratować dziecię.

Gdy biedna żona i matka gorzkiemi łzami oblewa uprzykrzone godziny życia, przybywa do Grypsolmu Jerzy poseł Eryka, z przełożeniem, że książę Jan jako winny zbrodni przeciwko własnemu krajowi i monarchii, wkrótce odniesie zasłużoną karę: że ją zatem nie obowiązują już żadne z nim śluby; a oto trafia się jęć niespodziewane szczęście, bo wielki sąsiedni monarcha przysyła posły, prosząc aby zechciała być dozgonną towarzyszką jego życia; grożąc w razie odmówienia okrutną wojną i Szwecyi i jęć ojczyźnie Polsce. Księżna zalawszy się łzami odpowiedziała:

— Bogu i księciu Janowi do śmierci przysięgam! Bogu i księżęciu przysięgi dochowam do śmierci. Dość dla mnie szczęścia gdy mam przysiężonego sobie księcia Jana a brata króla szwedzkiego; większego nie pragnę ani nie życzę, ani upatruję; tak póki żyje mój mąż, jak i po jego śmierci, jeżeli się to królowi spodoba.

Wróciwszy Jerzy z taką odpowiedzią, otwarcie doradzał Erykowi aby wprzód zgładził księcia Jana

a dopiero potem księżnę oddał posłom. Eryk, choć gwałtowny i okrutny, przed przystąpieniem do tak stanowczego kroku, chciał wyrozumieć jeszcze zdanie narodu i zwołał sejm w Upsalu. Dorozumiewał się że nieszczęśliwy książę Jan będzie miał licznych stronników w prawych obywatelach Szwecyi. Opór jakiego ułożone plany doznały na tym sejmie tak przeraził Eryka że nie tylko cofnął na jakiś czas zamiar zgładzenia ze świata księcia Jana, ale nawet kazał odprowadzić go do żony do Grypsolmu. Spisał sobie tylko nazwiska wszystkich tych, którzy śmieli stawić opór jego woli, gotując się do strasznej nad nimi zemsty.

Czy radość z powróconego jakby cudem męża, czy doznane cierpienia, wpędziły księżnę w długą i niebezpieczną chorobę, z czego Eryk był bardzo rad, bo mógł zwlec posłów Iwana Bazylewicza do czasu wyzdrowienia chorój księżnej.

Stany szwedzkie widząc że król posłów nie odprawia, i że coś zapewne w tajemnicy knuje, postanowiły odezwać się jawnie za księciem Janem i jego żoną. Niebezpiecznego tego posłannictwa podjął się znakomity obywatel *Stur*, — ale zaledwo rzecz swą wypowiedział, Eryk wpadł w taką wściekłość że dobył pugi nałtu i pchnął mówiącego w ramię, widząc że rana nie jest śmiertelna, ugodził drugi raz prosto w serce; a gdy na krzyk umierającego wpadł syn jego i zaczął wyrzucać królowi okrucieństwo, i on takiegoż samego doznał losu. Trupów wyniesiono z sali, a Eryk widząc że jawnie nie potrafi zgładzić nienawistnego sobie brata, postanowił zrobić to podstępem, za pomocą gotowego zawsze do takich czynów powiernika Jerzego.

Poparcie jakie książę Jan znalazł w narodzie, przedarło się i za mury Grypsolmskiego więzienia i dało nieszczęśliwym otuchy. Znaleźli się wreszcie Polacy, którzy pod przybraną nazwą kupców i handlarzy, zgromadzili się w Grypsolmie, a mając ukrytą broń, i pociągnawszy do sprzysiężenia wielu poczciwych Szwedów, gotowi byli w razie jakiegokolwiek bądź niebezpieczeństwa przybyć z pomocą uwięzionym.

Tak rzeczy stały w Grypsolmie, gdy ze Sztokolmu wyruszył znany nam Jerzy na czele znacznego oddziału wybornego wojska. Nikt nie wiedział do jakiej potrzeby oddział ten miał być użyty, a Jerzy na każdym popasie poił i karmił żołnierzy, chcąc tém przywiązać ich do siebie. Gdy już byli o milę od Grypsolmu, oznajmił im jakie jest ich posłannictwo.

Obruszyli się wszyscy na myśl tajemnego morderstwa, a najpierwszy z nich rzekł:

— Ludzie rycerscy oręż i rękę na nieprzyjaciół króla zwykli podnosić, nie na brata królewskiego? A cóż to za sława, tego wziąć który jest w więzieniu? Niech nam król w polu stawi nieprzyjaciela, sił i życia żałować nie będziem, które i na obronę brata królewskiego odważymy chętnie. Milsza nam będzie śmierć za króla przeciw nieprzyjaciółom, niżeli życie godzące na śmierć brata królewskiego. Tobie jeżeli krew jego smakuje—pij ją sam! Nagrody żadnej nie pragniem, chyba za zdrową mężstwem i życiem naszym zachowaną głowę księcia. Przed nieprzyjacielem nigdyśmy nie uchodzili,—każdemu dostojm placu ciebie rzucamy.

I wszyscy wrócili się zostawiwszy samego Jerzego, który nie mając co innego, zrobić wrócił za nimi zdać raport królowi. Czyn ten żołnierzy, zdradzający usposobienie całego narodu, pomieszał do reszty zachwiany umysł Eryka. Najprzód wpadał w wielką wściekłość, zabijał każdego kto mu się pod rękę nawinał, później uciekł ze stolicy i kilka tygodni błąkał się po lasach. Znaleziony i osadzony pod wartą gdy przyszedł nieco do siebie, uznał nad sobą rękę Boską karzącą go za jego ciężkie winy i dobrowolnie w jedenastu punktach przez siebie podpisanych a ciekawy pomnik dziejowy stanowiących ¹⁾ zdał rządy Szwecyi księciu Janowi i natychmiast go z więzienia Grypsolmskiego uwolnić polecił.

Gdy księciu Janowi i jego żonie doręczono przez posłów owe zrzeczenie się rządów na rzecz ich i uroczyście oznajmiono wolność, nie mogli wyjść z podziwu i przypisali to szczególnej łasce i opiece Boskiej, która ulitowała się nad ich niedolą. Podziękowawszy Bogu za to dobrodziejstwo, naradzili się i odpowiedzieli posłom, że książę Jan rządów królestwa przyjąć nie może, że dość dla niego będzie łaski, gdy król i brat powróci mu rządy Finlandyi, czego jedynie pragnie, zrzekając się dobrowolnie ofiar w owych jedenastu punktach zawartych i prosząc aby król i brat zezwolił na złożenie mu osobiście w jego stolicy podziękowania za wróconą wolność.

Gdy posłowie wrócili i przynieśli odpowiedź księciu; Eryk kazał natychmiast uwolnić wszystkich w więzieniu trzymanyh dworzan księcia i odesłać

¹⁾ Z powodu szczupłego zakresu naszego pisma, punktów tych nie podajemy.

ich do Grypsolmu zapraszając oddzielnemi wierzitelnemi listami księstwo i ich syna do siebie ¹⁾.

Zdawało się że po srogięj burzy zabłysło nareszcie słońce dla nieszczęśliwych małżonków: Eryk i Jan przy pierwszém spotkaniu rzucili się sobie do nóg błagając o darowanie wspólnych uraz. Nie dość na tém, Eryk w taki sam sposób błagał księżnę Katarzynę o przebaczenie wyrządzonych obelg,—obrócił się nawet do małego Zygmunta, ale gdy wziął jego rączkę i chciał ją pocałować, dziecię z gniewem wyrwało rączkę i nie dało mu do siebie przystąpić. Księżna wzięła to za złą wróżbę, jakoż nie daleki czas przekonał, że domysły jej nie zawiodły.

Długo przeciągnęły się uroczystości dawane na cześć księstwa. Eryk komedye wyprawiał to łamiąc swą szpadę i rzucając ją pod nogi księciu na znak poddaństwa, to ustępując mu pierwszych miejsc na biesiadach. Książę Jan stanowczo to wszystko odrzucił, prosząc tylko o powrót sobie rządów Finlandyi, co téż Eryk uskutecznił, wydawszy uniwersały niewinności księcia i powrót jego na tron książeży ogłaszające. Radosną była chwila powrotu księstwa do stolicy Finlandyi; obchodził ją wierny lud do niesłychanego zapалу posuniętymi oznakami. Księżna modliła się i dziękowała Bogu za cud widocznie okazany.

Tymczasem król Duński obrócił się znów przeciw Szwecyi. Eryk posłał pieniądze księciu Janowi na 300 żołnierzy aby ich uzbroił i połączył się z wojskiem królewskim. Książę Jan dodał jeszcze z własnej szkatuły na uzbrojenie jeszcze 200 żołnierzy i w 500 koni udał się na pomoc zagrożonemu królestwu Szwedzkemu. Czyn ten wystawiono znów Erykowi jako dowód chęci księcia Jana do opanowania tronu, i on tym poszeptom uwierzywszy, postanowił pozbyć się koniecznie niebezpiecznego, jak mu nagadano, współzawodnika. Gwałtowny jak zawsze chciał wystąpić z liczném wojskiem, stoczyć bitwę z księciem Janem, zabrać go i zaraz na placu boju stracić; ale przezorniejsi dowódcy, biskup Kalmurski i Jerzy, bojąc się powstania w takim razie narodu, poddali mu inną myśl zgładzenia ze świata owego wiecznego wroga.

Eryk miał obchodzić uroczyście koronacją swęj żony, córki szlachcica szwedzkiego, Magnusa z którą on przed szlubem miał kilkoro dzieci i dopiero po

¹⁾ Uwolniono księstwo z więzienia Grypsolmskiego dnia 22 października 1567 r.

owych gwałtownych wypadkach na naleganie stanów wziął z nią szlub w r. 1567.

Ułożył więc sobie ze swymi doradcami taki plan, że Jana którego na koronację z żoną, z synem i z całym dworem zaprosił, podstępem pozbawi życia. Wiedziała o całym tym planie Katarzyna, przyszła królowa Szwedzka. Serce jej czułe i poczciwe wzdragało się na myśl tej nowej okrutnej zbrodni i postanowiła jej zapobiedz. Księżna Katarzyna w tym właśnie czasie powiła córkę Annę. Zaproszony Eryk z żoną na jej chrzest do stolicy Finlandyi, sam nie przybył, ale wysłał żonę. Pragnęła tej sposobności tkliwa kobieta, i goszcząc u księstwa wyznała im co ich czekało. Tak więc Bóg raz jeszcze widocznym cudem ocalił księstwo od grożącego im a tak wielkiego niebezpieczeństwa.

Książę Jan uprzedzony o wszystkim, postanowił nareszcie połączyć koniec niegodziwościom Eryka i jego ulubieńców. Zniósł się z przyrodnim swym bratem Karolem, porozumiał się ze znakomitymi panami szwedzkimi, i w największej tajemnicy, pod pozorem sutego wystąpienia na koronację, przygotowywał się do stoczenia otwartego boju z Erykiem, który miał zawyrokować o jego lub Eryka losie. Liczył na świętość swjej sprawy, a co zatém idzie, na opiekę Boską.

Eryk musiał być znieawidzonym w całym kraju, skoro do ostatniej chwili nikt mu nie doniósł odwójznacznych przygotowaniach księcia Jana. Gdy już wszystko było jak najlepiej urządzone i przewidziane, książę Jan dla zmylenia pozorów, kuchnię i wozy wysłał do Sztokolmu; a sam przebywszy góry i oddawszy połowę wojska księciu Karolowi rzucił się do odbierania zamków. Książę Karol walcząc z niesłychanym mężstwem zdobył zamek Wastoneński; książę Jan osadził w nim księżnę Katarzynę z dziećmi i z kobietami, a sam ruszył dalej. Lud z zapalem łączył się do niego i powiększał jego szyki, zamki poddawały się jeden po drugim; aż nareszcie znakomite liczbą i siłą wojsko stanęło pod Sztokolmem. Eryk poznał co się święci, wojska jakie były w stolicy wyprowadził w pole; po trzy kroć na ich czele staczał bitwę ale zawsze przegrał na głowę i schronił się do Sztokolmu. Wysłał parlamentarzy, chcąc traktować o zgodę. Książę Jan o żadnych warunkach słyszeć nie chciał, domagając się przedewszystkiem wydania Jerzego Piotra. Eryk sądząc że tém ułagodzi gniew księcia Jana, odesłał mu swego powiernika; na którego zaraz złożono sąd i stracono jak na to zasłużył. Mieszkańcy Sztokolmu i wojsko widząc

co się dzieje, a pragnąc uwolnić się z pod rządów Eryka, otworzyli w nocy bramy wojskom księcia Karola, który najprzód wszedł do stolicy, Eryka brońiącego się pojmał, w więzieniu, pod strażą dwóch Polaków, Stanisława Drohojewskiego i Mikołaja Opackiego osadził.

Książę Jan odprawił tryumfalny wjazd do stolicy, i wkrótce za zgodą wszech stanów królem obwołany, a następnie w r. 1569 w dniu 24 czerwca wraz z żoną Katarzyną Jagielonką w Upsalu koronowany został.

Tak zmienną koleją losów, Eryk ujrzał się znów w położeniu, w jakim dawniej książę Jan zostawał; z tą tylko różnicą że cierpiał zasłużenie. Obawa aby Eryk wydostawszy się z więzienia nie narobił w kraju znów nowych niespokojności, nakazywała Janowi III, mieć baczną na niego oko; z drugiej zaś strony łagodność i wspaniałomyślność nie pozwalały płacić odwetem temu, którego serce zakamieniałe godziło na życie brata. Znośniejszy więc był los Eryka; więzienie jego odpowiednie było stanowi jaki poprzednio zajmował; żona i dzieci miały zupełną wolność, i w każdym razie wstęp do więzienia nie był im zabroniony. Potrawy zanoszono mu z królewskiego stołu; a że umiał złotnictwo, dostarczono mu wszelkich narzędzi i materiałów aby miał czém zajmować się. W samych początkach Eryk dostawszy jakimś sposobem pilnika, począł w nocy piłować kraty u okna, posłyszawsza to Dorota Ostalska jedna z kobiet dworu królowej i dała znać: od tego więc czasu odbierano na noc Erykowi narzędzia złotnicze a na dzień tylko dawano.

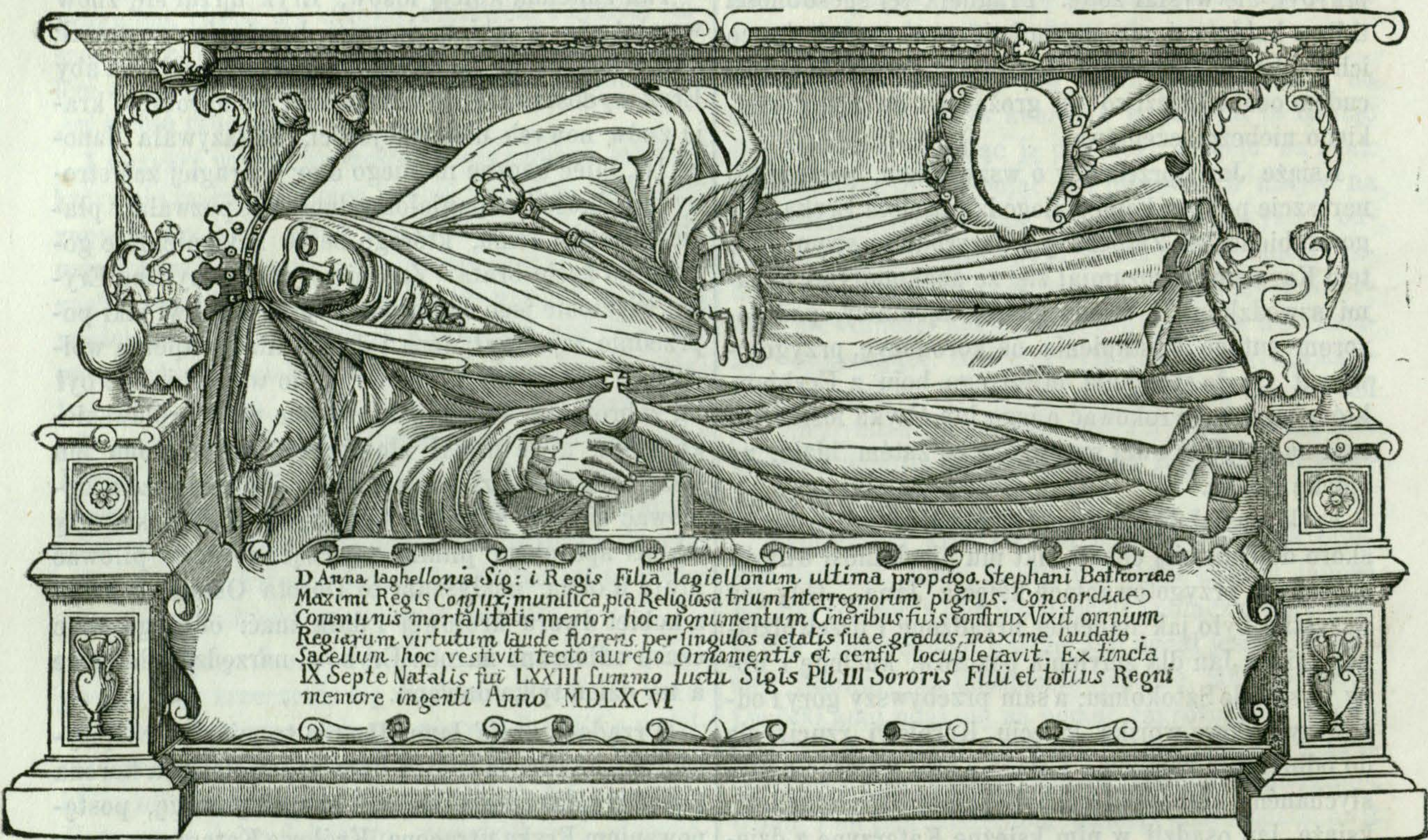
O rządach króla Jana III, nie tu miejsce rozpisywać się. Szwecya z nich była zadowoloną a korona szwedzka odzyskała znów u obcych powagę, postępowaniem Eryka utraconą. Królowa Katarzyna w zgodzie i poświęceniu małżeńskim, jak dzieliła z nim najprzykrzejsze losy; tak i dobre umiała dzielić. Zajęła się całą wychowaniem dzieci a szczególnie syna Zygmunta; jakby jej serce macierzyńskie przewidywało, że go kiedyś Polska na swego przewodnika powoła. Sama gorliwa katoliczka prosiła męża aby jej pozwolił wychować syna w tej wierze, i do siódmego roku życia kapelan królowej ksiądz Myleniusz opiekował się dziećciem.

Gdy Stany Szwedzkie poczęły krzywo na to patrzeć, ojciec powołał na nauczyciela do młodego Zygmunta niejakiego *Nil Rascha* luteranina, ale troskliwa matka nie przestawała czuwać nad zasadami raz wszczepionymi. Kardynał Hozyusz pisywał

z Rzymu do młodego księcia i do księżniczki Anny listy utwierdzające ich w religii katolickiej, i przysłał im mnóstwo katolickich książek, obrazków i świętości. W roku 1575 wychowaniem królewicza począł kierować Arnold Grot (Grothus) szlachcic Inflantski luteranin, człowiek pełen nauki; przykazywano mu jednak aby nie wdawał się w zdania przeciwne religii katolickiej. Gdy raz doniesiono królowi że nauczyciel nie bardzo stosował się do tego polecenia, król pogroził mu mieczem; i tak Zygmunt wyszedł na gorliwego katolika ¹⁾.

rensia cum Upsalia Nova illustrata. Johan Peringskiöld — Stockholm 1719 fol. str. 69, znajduje się opis tego pogrzebu, zajmujący kilka kart druku. Przytaczamy z niego ustęp:

„Katarzyna królowa Szwedzka Gotów i Wandolów, Wielka Księżna Finlandyi, Karelii, Ingermanlandyi, Estonii, Infant, Królowna Polska a księżna dziedziczna W. K. Litewskiego, córka Zygmunta I, Jagiellona i królowej Bony Sforzyi, zaślubiona w Wilnie dnia 4 października 1562 roku królowi Szwedzkiem Janowi, wówczas Wielkiemu księciu Finlandyi.



Nagrobek Katarzyny Jagielonki w Upsalu.

Cnotliwa matka nie dożyła tej pociechy aby ujrzała go na tronie Jagiellonów. Zdrowie jej skołatane doznanemi cierpieniami niknęło coraz widoczniej i pomimo wszelkich starań i wysiłen lekarzy, zmarła dnia 16 września 1583 roku w Sztokolmie, na cztery lata przed wyniesieniem Zygmunta na tron Polski. Pogrzeb jej odbył się z wielką wspaniałością w Upsalu dnia 15 lutego 1584 roku.

W dziele bardzo rzadkiem: *Monumenta Uterake-*

¹⁾ Grot (Grothus) za panowania Zygmunta III, przeniósł się do Polski i umarł w Warszawie r. 1599.

Ta pani była towarzyszką nieodstępną cierpień i pomyślności małżonka swego. Zostawała w więzieniu w zamku Grypsolmskim od roku 1563 aż do dnia 22 października 1567 roku. Ukoronowana wraz z Janem na królowę Szwedzką w Upsalu roku 1569, zmarła dnia 16 września 1583 roku, a pochowana w Upsalu dnia 15 lutego 1584 r. Za miejsce na wieczny spoczynek obrał sam król w kościele katedralnym, kaplicę oddzielną na północ blisko zakrystyi i tu kamień grobowy oznaczony został głoską C.” ¹⁾

¹⁾ Pamiętnik Sandomierski poszyt XI, str. 158—170.

W kaplicy téj znajduje się posąg królowej wyrobiony z jak najpiękniejszego marmuru. Wystawia ją leżącą — na tablicy granitowej wzniesioną; z boku nóg ku wschodowi na tablicy złożonej znajduje się napis datę jój życia obejmujący.

IN CEOLO CAPI AT CATHARINA BEATA QVIETEM
SVEIECTIS REQVIES HAEC ERAT VNA SVIS. ¹⁾

Oprócz tego na ścianie zawieszony jest portret królowej w ubiorze wspaniałym, malowany na blasze cynowej pozłacanej — a pod nim herby przodków jej ojczystych. Tarcza podzielona na cztery pola, na których orzeł i pogoń są umieszczone na krzyż. Po lewej stronie herby przodków macierzystych z domu Medyolańskiego i *Catignol*, to jest w polu srebrnym

¹⁾ Umieszczamy tu nagrobek w drzeworycie.

mąż koronę połykający i dziecko czerwone. Po ścianach kaplicy, na marmurowych tablicach opisane jest życie królowej w 88 wierszach łacińskich. Ciężkie cierpienia znieść musiała Katarzyna Jagiellonka zanim spokój i szczęście otworzyły jój swe podwoje; zbyt krótko się niemi cieszyła, aby wynagrodzić sobie mogła boleści i troski lat poprzednich. Śmierć zabrała ją właśnie wtenczas kiedy najpotrzebniejszą była dla syna i córki, kiedy z rachunku lat nie powinna była jeszcze paść jój ofiarą. Królowa, żona udzielnego księcia, tułaczka, mamka i niańka swoich dzieci, odsiadująca ciężkie więzienie bez winy, królowa nareszcie uwielbiana i kochana; oto karty jój życia nie zbyt długiego, ale pełnego nauczających zdarzeń i zmienności losów.

Antoni Wieniarski.

WSPOMNIENIE O MALICACH.

(Dokończenie).

Tak więc rozlewem krwi, morderstwem odzyskano kościół Malicki, a Chrystus Pan kościół swój powszechny chciał rozszerzać pokojem, miłością. On powiedział: „Pokój zostawuję wam, pokój daję wam.” Jan 14. 27. „Toć jest przykazanie moje abyście się społecznie miłowali, tak jakom ja was umiłował.” Jan 15. 12. Ale kogóż w téj sprawie obwiniać należy? zapewne obie strony, a bardziej tych którzy pierwszy raz dawny pokój zerwali. Zrywający go po raz drugi, odbierali tylko swoje; zagrzani fałszywą gorliwością o wiarę udali się do okrutnych środków, a zapaleniu przy doznany oporze, nie znajdują miary w okrucieństwie; bo byli to ludzie prości, prawie ludzie natury, którzy prawo swoje dotykałym tylko sposobem okazywać umieją. Ks. Kostecki autor wyprawy poszedł także za duchem wieku, za owem: *compelle intrare*; bo nie przewidywał że złe własnym ciężarem zabić się musi. Miał on zapewne chęć wyparcia tylko przeciwników, a mając na oczach przykłady tylu nadużyć ze strony akatolickich panów, którzy zmuszali swoich poddanych do opuszczenia staréj wiary, lękał się o swoją nową owczarnią aby ta podobnie nie padła ofiarą zbyt popędliwego o re-

formę kollatora; i tém prędzej wziął się do dzieła. Nie przewidywał zapewne tak smutnych następstw, bo nie miał doświadczenia, że rozhukanéj tłuszczy trudno powiedzieć: dopóty! — ale stało się.

Dalsze dzieje między dziedzicami a plebanem są wiadome i pewne, bo leżą w aktach wyciągi urzędowe z Trybunału, a zatém piśmienne dowody. Ks. Wacław Kostecki pozywał dziedziców o wynagrodzenie szkód w kościele i funduszach plebańskich poczynionych, pozywał o nie obchodzenie świąt przez poddanych a to z przyczyny dziedziców; pozywał o zbór kalwiński obok kościoła wystawiony, o wdawanie się ministra w jurysdykcję plebana. I tak:

Pierwsza sprawa toczyła się w sądzie ziemskim Sandomierskim pomiędzy Wacławem Kosteckim plebanem w Odrowążu i Malicach, a Krzysztofem Malickim stryjem, Wojciechem synem Jędrzeja, Krzysztofem synem Mikołaja, Jędrzejem, Mikołajem, Walerjanem i Marcinem Malickimi synami Wojciecha, że niegdyś ojciec i dziad ich innéj religii, zaraz po śmierci dziekana opatowskiego ostatniego plebana malickiego, zająwszy kościół parafialny, trzy ołtarze drewniane różnego koloru, i złożone ozdobione w ró-

żne obrazy, na wzgardę religii katolickiej z kościoła wyrzucił, wyrąbać i spalić je kazał, krzyże zwyczajne w czasie poświęcenia tego kościoła przez biskupa na ścianach porobione, ogniem wypalił, rozmaite rzeczy w kościele znajdujące się jako to: złoto, srebro wyrobione i niewyrobione, cynę, miedź, przybory kościelne, jako to: monstrancją srebrną, kielichów trzy z patenami, krzyżów dwa, puszkę srebrną, lichtarze mosiężne, ampułki cynowe, ornaty, kapy, stuły, manipularze, antepedia, wszelką bieliznę, chorągwie, wszystkie księgi kościelne, nawet pisaną erekcją kościoła, różne dowody, cały nareszcie sprzęt kościelny, przez fundatorów i dobrodziejów kościołowi darowany gwałtem zabrał, nic z tych rzeczy nie powrócił, ani oni jako prawni spadkobiercy ojca i dziada swojego zadosyć uczynić nie chcą. Szacunek tych rzeczy w pozwie wykazany czynił 4000 marków i tyleż wynikłej ztąd szkody. Gdy sąd ziemski Sandomierski sprawę tę ukończył, zaapellował Krzysztof Malicki do Trybunału Lubelskiego i wkrótce umarł; a za niego stawają jego synowie Jan i Mikołaj, i wdowa po nim Barbara z Turska. Umierają znowu Andrzej i Mikołaj; pozostają więc tylko do sprawy Jan i Mikołaj synowie Krzysztofa, Barbara, Wojciech syn Jędrzeja, Krzysztof syn Mikołaja, Waleryan i Marcin synowie Wojciecha, Katarzyna Kuroszowna wdowa po Andrzeju. Trybunał Lubelski feria 6 post Dominicam rogationum proxima a. 1640, wyrok sandomierski potwierdza, przysięgę od powoda na wartość rzeczy kościelnych w summie 2500 złp. odbiera, i pozwanych na zapłacenie téj summy w sześciu tygodniach w grodzie Sandomierskim skazuje. Co się zaś tycze erekcyi kościoła i innych piśmiennych kościelnych dowodów, stanowi, żeby pozwani z dwoma świadkami wykonali przysięgę, że podobnych papierów ani ojciec ani dziad nie wzięli, ani oni u siebie nie mają, i nie wiedzą gdzieby się znajdowały.

2. Trybunał Lubelski feria 6 post Pentecostes a. 1640 kończąc przegraną sprawę w sądzie ziemskim sandomierskim przed którym zaskarżył ks. Wacław Kostecki dziedziców Malic i Męczennic, iż ci wieśniaków poddanych w dni świąteczne na wzgardę religii rzymsko-katolickiej do pracy zmuszają, nie pozwalają im słuchać w te dni mszy świętej, kazania, ani też znajdować się na innych nabożeństwach, albo też używać Sakramentów Św.: potwierdzając akta sandomierskie zawyrokował, iż ponieważ ks. Wacław Kostecki zeznaje jako tylko zmarli w ciągu téj sprawy pozwani byli w téj mierze winni, a terażniejsi dziedzice podobnych rzeczy się nie dopuszczają, przeto

od sprawy są wolni. Jesliby jednakże później kiedykolwiek tych przestępstw się dopuścili, kara 1000 marków i 1000 drugi za szkody wynikłe w pozwie sandomierskim położona, niezawodnie ich dosięgnie.

3. Pozwał pleban dziedziców Malic iż ci pozwalają ministrowi kalwińskiemu wdawać się w jurysdykcją plebana, i obowiązki do niego należące, to jest: chrzczyć dzieci katolickie, dawać śluby katolikom, uczyć dzieci katolickie i t. d. Trybunał więc Lubelski zawyrokował aby dziedzice wzbronili swemu ministrowi wdawać się w takie czynności a to pod karą 4000 marków.

4. Ks. Kostecki zapozwał Krzysztofa Malickiego do sądu ziemskiego sandomierskiego, iż ten jako kolator kościoła zamiast bronić jego praw, dbać o pobożność parafian i ich wytrwałość w religii katolickiej, on przeciwnie na szkodę kościoła, na zgorszenie parafian i pohańbienie religii, wystawił zbór czyli świątynię heretycką tuż obok kościoła parafialnego już oddawna stojącego, a zatém w miejscu gdzie nigdy taka budowla nie stała i stać nie powinna. Gdy przecież sprawę tę z sądu ziemskiego odniesiono do Trybunałskiego w Lublinie, a po śmierci Krzysztofa Malickiego stawali synowie Jan, Mikołaj, i wdowa Barbara, Trybunał zesłał kommissyę na grunt dla rozpoznania, czyli ów zbór istotnie przy drodze publicznej jest wystawiony, czyli jest na przeszkodzie obrzędowi religii katolickiej, czyby z tego można wnosić wzgardę dla religii, i czyby na przyszłość nie należało się obawiać jakich rozruchów z tego względu wyniknąć mogących? Gdy kommissya to wszystko potwierdziła, Trybunał feria 6 post octavus festi S. S. Corporis Christi a. 1644 wydał dekret, aby potomkowie Krzysztofa ówzbór w obec urzędu grodzkiego sandomierskiego zburzyli i nadal się podobnego stawiać nie ważyli pod karą infamii; plebanowi zaś 100 marków na reperacyą zniszczonego kościoła wyliczyli, a to pod karą drugich 100 marków.

5. Zbór ten czyniąc zadosyć dekretowi, pp. Maliccy zburzyli, a w dalszym ciągu sprawy nowym dekretem feria 6 post festum S. Laurentii Martiris a. 1644 zapadłym zmuszeni zostali usunąć ministra kalwińskiego z domu sąsiedniego kościołowi, ażeby tym sposobem zapobiedz niesnaskom z tak bliskiego jego mieszkania wypaść mogącym.

Co do funduszków kościoła zabranych przez dziedziców, ks. Wacław Kostecki pleban z Janem i Wojciechem Malickimi, weszli w dobrowolną ugodę w Bodzentynie przed Jakóblem Zadzik biskupem Krakowskim dnia 17 lipca 1640 roku uczynioną, której ugody punkt pierwszy był: Co się tycze dolem Ecclesiae

i poświętnego to jest gruntów, gajów, łąk, sadzawek, poddanych i innych wszystkich pretensyj, ponieważ to wszystko już dawno zabrane, i trudnoby było wydobywać, przeto p. p. Maliccy w zamian deklarują się zaraz zapisać w grodzie Lubelskim na dobrach swych summę 4300 złp. po 7%. 2. Za zabrane domy zdeklarowali się w przeciągu roku wystawić nowy wikaryat i dać chałupę poniżej dawnego wikaryatu stojącą. Punktem trzecim nadali ogród będący obecnie za szpitalem i wolne pastwisko dla 10 sztuk bydła i 20 owiec plebańskich. Zapis ten istotnie nastąpił w grodzie Lubelskim feria 6 in crastino S. Annae a. 1640.

Wojciech Malicki syn Jędrzeja wziął także gotowizną od ks. Wacława Kosteckiego proboszcza Opoczyńskiego i plebana Malickiego summę złp. 1500, zapisał ją na części swojej z wypłatą kościołowi procentu rocznego po 7% w grodzie sandomierskim feria 6 ipso die festi conversionis S. Pauli 1641.

6. Nie długo atoli pokój trwał pomiędzy plebanem i kollatorem, bo wr. 1699 Mikołaj Złotnicki kanonik kamieniecki, pleban malicki, pozwał przed Trybunał Lubelski Mikołaja Kotkowskiego stolnika i kollatora za wystawienie w tymże roku nowego zboru albo raczej wyrestaurowanie dawnego, i odbywanie w nim aktów religijnych. Trybunał więc feria 4 post festum S. Martini poust proxima a. 1700, zważywszy że ten czyn przeciwny jest prawom królestwa i ulega przepisanej za to karze, w wykonaniu wyroku z r. 1644 polecił, ażeby pozwany w przeciągu dwóch tygodni ów zbór i mieszkanie predykanta w obec urzędu grodzkiego Chęcińskiego lub innego zupełnie zburzył i nadal pod karą infamii stawiać nie ważył się; tymczasem zaś powodowi i sądowi po 14 marków zapłacił. Na żądanie ks. Złotnickiego urząd grodzki sandomierski feria 3 in vigilia S. Bartholomei apostoli et martiris r. 1701, zjechał na grunt Malic, ogłosił swoją czynność, wezwał dziedzica, aby ten włościan z siekierami i innemi narzędziami do egzekucyi potrzebnemi zwołał. Co gdy się stało, Krzysztof

Malicki pasierb Kotkowskiego, współdziedzic Malic, znalazł furtkę prawną i niedopuscił wykonania wyroku. Dowodził bowiem że wyrok obecny jest wykonaniem dawniejszego z r. 1644, a że w sprawie o rezydencyą ministra, pleban Malic uznał, iż co się tyczy zboru i zapłacenia szacunku z dekretu z r. 1644 zupełnie był zaspokojony, przeto wyrok terażniejszy w mocy swój upada; zwłaszcza że Kotkowski w czasie ostatniej sprawy złożony był chorobą. Sprawa więc ta nadal się odciągnęła.

7. Jednakże Trybunał Lubelski feria 4 in crastino festi S. Francisci Confessoris 1701 zawyrokował, aby pozwani Malicki i Kotkowski zbór swój w przeciągu 7 tygodni w przytomności urzędu Opoczyńskiego albo Chęcińskiego pod karą bannicii zupełnie zburzyli; i ani przez siebie, ani przez innych w żadnym innym miejscu kiedykolwiek stawiać nie ważyli się. W skutku więc tego wyroku urząd Opoczyński w osobach Józefa z Małachowic Małachowskiego starosty i Wojciecha Odrowąza Kietlińskiego miecznika Województwa Sandomierskiego, podstarosty i sędziego, zjechał na grunt Malicki, cel przybycia ogłosił, strony zawezwał, pozwanym przywołanie włościan z siekierami i innemi narzędziami, tudzież innych rzemieślników ku temu potrzebnych polecił, i w obec czternastu osób duchownych i bardzo wielu świeckich feria 5 post festum Sanctorum omnium na wieczną czynu tego pamiątkę, jak się wyraża w akcie wtedy spisany, jako mściciel Boga który zakazuje mieć przy sobie obcych Bogów, na chwałę Niepokalanie poczętej Maryi Matki rodzącej czyste i wieczne Słowo, bez którego nic się nie stało co się stało, na rozkrzewienie wiecznej czci niewzruszonej skały świętego Rzymsko-Katolickiego kościoła, na-przód ów rzeczony zbór, potem mieszkanie zbiegłego już zeń predykanta zupełnie rozrzucić, porąbać i zniszczyć kazał. Na środku miejsca owego zboru postawiono krzyż.

Ks. Ignacy Dżisiewski.

BOETTGER,

WYNAŁAZCA PORCELANY SASKIÉJ.

Używamy teraz powszechnie porcelany, a wielu z nas nie wie, że przed półtorastą laty, sprzedawano ją na wagę złota. Może więc nie od rzeczy będzie za-
znajomić ogół z historją tego wynalazku.

Po upływie szesnastu z górą stuleci od dojścia sposobu robienia porcelany w Chinach, wynalazku tego dokonał w Europie Jan Boettger, uczeń aptekarski. Historia tego człowieka, sama w sobie wielce osobliwa, używa zarazem poglądu na stosunki europejskie przed stu pięćdziesięciu laty.

Boettger oddany był na naukę do apteki w Berlinie w 1696 roku. Miał wtedy lat dwanaście. Dawniej już okazywał skłonność do Chemii i w pierwszym półroczu praktyki zyskał przez-to względy swego pryncypała; to jednak nie trwało długo, bo wkrótce zwrócił wszystkie swe myśli ku odkryciu tajemnicy przetwarzania płynnych metalów w złoto. Umysł jego tak opanował ten wyłączny kierunek, że całe noce przepędzał zamknięty w pracowni swego pryncypała, którego przetworów chemicznych używał bez skrupułu do swoich doświadczeń. Raz o mało się niesłał sprawcą pożaru; drugi raz uratował go od niechybnej śmierci jeden z jego współpracowników, który zauważywszy że go nie ma w łóżku, poszedł szukać go do laboratorium i znalazł go leżącego bez zmysłów na podłodze, na wpół uduszonego wyziewami pękniętej retorty. Podobny uczeń, bledy i znużony we dnie skutkiem bezsennie spędzonych nocy, nie na wiele mógł się przydać właścicielowi apteki, który coraz więcej okazywał mu nieukontentowania. Dążąc uporczywie do urzeczywistnienia raz powziętej myśli, lecz dręczony ciągłymi wyrzutami i złem obchodzeniem się swego pryncypała, a bardziej jeszcze pryncypałowej, Boettger opuścił potajemnie dom jego. Po trzytygodniowym ukrywaniu się na przedmieściach Berlina, przyciśniony głodem, prosił o przebaczenie i wrócił do swego obowiązku. Było to w roku 1699, gdy miał dopiero lat piętnaście.

Zanim ciągnąć będziemy dalej nasze opowiadanie, nadmienimy tylko że wiara w alchemiję, będąca w wiekach średnich w pełnej sile, i wtedy jeszcze znajdowała wielu zwolenników. Ta uwaga może poniekąd usprawiedliwić Boettgera i dwóch królów, spierających się, jak zobaczymy wkrótce, o jego osobę. Transmutacja czyli przetwarzanie jednych metalów w drugie, była głównym zadaniem chemików owych czasów. Dziwne prawiono sobie rzeczy o kilku uczonych, którym miało się udać odkrycie pożądanej tajemnicy. Powiadano naprzykład o Rajmundzie Lull, że ten przetworzył dla Edwarda I króla angielskiego 50,000 tysięcy funtów ołowiu na złoto. Elektorowie sascy, chociaż bogaci w srebro, wydawali ogromne summy na wynalezienie sposobu przeistoczenia go

w złoto. Niektórzy z nich sami pracowali w laboratorjach, by odkryć pożądaną tajemnicę.

Boettger wrócił tedy do swoich obowiązków w aptece. Poprawa jednak, którą przyciśniony potrzebą, przyobiecał aptekarzowi, nie długo trwała; wziął się napowrót do tajnych swych nocnych doświadczeń. Niepowodzenie nigdy nieodstraszało alchemisty, a wiele okoliczności utwierdzało go coraz w powziętem przedsięwzięciu. Skoro się dowiedziano o jego poszukiwaniach, usiłowano zbliżyć się do niego. Między innymi stary jeden mnich grecki, o którym mówiono powszechnie że sam posiada tę tajemnicę, okazywał wiele do niego przywiązania. Nawet przesładowanie jakiego doznawał od pryncypała i współpracowników, pochodziło po części z ich wiary w możliwość odkrycia pożądanej tajemnicy. Starano się wypatrzeć czynności, z którymi się tak troskliwie krywał. Nakoniec ustępując prośbom jednego ze współpracowników, okazał mu kawałek złota, jakoby przez siebie zrobiony. Wydawszy się z owocem swoich manipulacji, trudno mu było nie odkryć i reszty; jeszcze tego samego wieczora, jak wieść niesie przetworzył w złoto, w obecności kolegi, kawał ołowiu ważący pół uncji. Taka tajemnica nie długo mogła pozostać w ukryciu. Wkrótce powtórzyć musiał swoje doświadczenie w obec pryncypała, żony jego, kobiety ostrego języka, ich zaufanego przyjaciela członka konsystorza ewangelickiego i szwagra pastora Prosta. Jednej nocy zimowej około Bożego Narodzenia towarzystwo to weszło z wielką tajemnicą do pracowni chemicznej. Dwaj pastorowie zapalili ogień i jeden z nich włożył ośmnaście srebrnych groszy do tygla. Przeczytali poprzednio *Novum Organum*; byli przeto dość podejrzliwi, jak przystało osobom świętobliwym i nie pozwolili Boettgerowi zbliżyć się do komina. Dopiero gdy srebro, czyli raczej aliaz srebrny, w skutek mocnego działania ognia stopił się w tyglu, Boettger dał im szczyptę proszku czerwonego, żądając by ją wrzucili na rozpalony w tyglu metal i ten przykryli starannie. Po jakimś czasie kazał wylać w formę zawartą w tyglu mieszaninę. Nazajutrz pastor Prost który wziął był do siebie zlietek (sztabkę) zaniósł go do jubilera, który nie wiedząc z jakiego źródła pochodzi, miał jednak dziwić się szczególniejszej czystości złota.

Zlietek ten istnieje dotąd; można go widzieć w bibliotece królewskiej w Berlinie. Fryderyk I, ówczesny król pruski, dał w zamian za niego ciężki złoty medal, zachowywany dotąd w rodzinie aptekarza,

w którego laboratorium przeistoczenie dokonane zostało.

Tajemnica którą pięć osób, a między niemi kobieta, przysięgło było zachować, stała się wkrótce tajemnicą publiczną. Cały Berlin mówił o niej i doszła wkrótce uszu samego króla. Boettger zrozumiał niebezpieczeństwo swego położenia i w kilka dni po odkryciu sekretu pryncypałowi, uciekł. Z niemałą trudnością dobrał się do Wittenbergu na terytorium saskim i podał natychmiast prośbę o zapisanie się do tamecznego uniwersytetu. Tymczasem miejsce jego schronienia odkryto. Zanim wymagane przy immatrykulacyi studentów formalności zostały dopełnione, porucznik pruski przybył na czele kompanii grenadierów żądać wydania go królowi pruskiemu. Jednakże wieść o zadziwiającej tajemnicy którą posiadał, już się była rozniosła i gubernator Wirttenbergi, obawiając się zrobić krok fałszywy, prosił porucznika o poczekanie, aż zasięgnie opinii rządu swego w tym względzie. Osadził więc Boettgera w ścisłym więzieniu i posłał kuryera po instrukcyę do Drezna. Zaledwie odesłał depeszę, gdy przybył goniec gabinetowy pruski, z listem własnoręcznym samego króla. Kommandant tłumaczył się że nie może zadość uczynić żądaniu królewskiemu, pod pozorem, że posławszy kuryera musi oczekiwać odpowiedzi; napisał jednak drugą depeszę do regenta i tę powiósł wraz z listem królewskim kuryer pruski do Drezna.

Kommandant Wirttenbergi zdawał się nie zapominać na chwilę obowiązków względem swego monarchy. Podsunął Boettgerowi, by się odwołał do króla elektora, bawiącego w Polsce, i wzięwszy od niego prośbę, posłał ją królowi swemu do Warszawy w sam dzień odjazdu kurjera pruskiego do Drezna. Regent uważał interes za zbyt wielkiej wagi i nie chciał go ostatecznie rozstrzygnąć. Odwołał się więc także do króla a tymczasowo posłał surowy rozkaz pilnowania Boettgera, aby nie uszedł lub nie został uwiezionym, — obchodzenia się z nim dobrze, lecz nie pozwalania nikomu zbliżać się do niego i pod karą śmierci, nie dotykania się jego likworów. Jednocześnie, obawiając się jakiego zamachu ze strony pruskiej, wzmocnił załogę miasta całą brygadą piechoty.

Fryderyk, chociaż pierwszy król pruski, czuł się królem w całym znaczeniu tego wyrazu. Czego żądał, do tego dążył z całą siłą. Napisał własnoręcznie drugi list do regenta saskiego. Obwinił Boettgera o wiele szkaradnych zbrodni, między innymi

o kilka otruć, i groził odwetem, gdyby nie uczyniono zadość jego żądaniom. Kiedy tak wszelkie robił usiłowania by uzyskać wydanie „pożytecznego chama” jak go nazywał w rozmowie z ministrami, król pruski nie mógł się wydziwić, dla czego tak ociągał się z jego wydaniem gabinet saski; zaiste podziwienie to było bardzo naiwne.

Więzienie Boettgera stało się ściślejszém w miarę jątrzenia się sporu o jego osobę. Warty w zamku w którym mieszkał podwojono; oficerowie na czele oddziałów dzień i noc odbywali patrole. Fryderyk nieraz był rozgniewany iż niesłuchano jego reklamacyi. Chciał posłać kilka pułków do Wirttenbergi, zdobyć zamek i odebrać pożytecznego chama; zaledwie go od tego szalonego postępu mógł odwieść pierwszy minister. Napisano do rodziny Boettgera, przekładając jego krewnym, by namówili go do ucieczki do Pruss. Nareszcie goniec z Warszawy przywiózł rozkaz króla Augusta aby wysłano Boettgera bocznemi drogami i pod strażą do Drezna. Gdy tu przybył, osadzono go natychmiast w zamku królewskim, oddając elektorską pracownię chemiczną, pod wyłączne jego rozporządzenie. Regent, mając jechać do króla, do Warszawy, życzył widzieć dowody sztuki Boettgera. Przeistoczenie więc metalu miało miejsce w jego obecności: regent sądził, że potrafi ją sam przed królem powtórzyć i wziął z sobą troszkę proszku, który wypadało sypać na roztopiony metal, wraz ze szczegółową instrukcją, w której Boettger zaleca szczególnie, aby wszyscy biorący w niej udział znajdowali się w stanie łaski i mieli myśli jedynie Bogiem zajęte. Te warunki król i regent trzeciego dnia po Bożem Narodzeniu, wypełnił, jednakże operacya się nie powiodła. Król August, ufny w czystość swego sumienia, pisząc w kilka dni do Boettgera, przyznawał nieudanie się doświadczenia obecności pieska, który przewrócił pudełko zawierające kosztowny proszek.

Boettger, miał wygodne mieszkanie, stół dobry; kilku panów dworu do towarzystwa; mimo-to w ścisłym był więzieniu: nie pozwalano otwierać okien i nie dopuszczano nikogo do zamku, nawet cyrulików; mieli przeto wszyscy brody długie jak Izraelici, co w owych czasach bardzo raziło. Dla łatwiejszego pilnowania, przewieziono go do twierdzy Königstein, co silny wywarło wpływ na umysł młodego chłopca i doprowadziło go do pijaństwa połączonego z szaleństwem: być może nawet że to udawał, by się wydostać z więzienia. Wysłano natychmiast doktorów z Drezna. Gdy wyzdrowiał, przeniesiono go napowrót

do pałacu królewskiego w Dreźnie, gdzie cały dom urządzono na wyższą stopę z rozkazu króla. Pozwolono mu zapraszać do siebie dygnitarzy a sam regent częstym bywał u niego gościem: nie przestawano jednak strzedz pilnie i zachowywać bytność jego w Dreźnie w największej tajemnicy. W korespondencji królewskiej nie napotykamy nigdy nazwiska Boettgera i mianują go tylko „osobą.”—Żadne doświadczenia mu się nie udawało i nie mógł zrobić złota, ale to nie zachwiało zaufania króla i regenta w jego sztuce. Ich listy były czułe, i często własnoręczne. Jedno pismo wyraża, że on „za szczególniejszą sprawą Opatrzności dostał się pod protekcję króla i że Bóg szczególne musiał mieć przyczyny wybierając go na opiekuna.” Podpisano: „prawdziwie ci życzliwy—Augustus Res.” Jednak pilniej go jeszcze strzeżono, gdy się dowiedziano o intrygach pruskich, w celu wydostania Boettgera. Wtedy król polecił regentowi, by nigdy w nocy nie opuszczał Dreznia. Mimo-to Boettger ujsć potrafił. Sprzykrzyło mu się więzienie, a może obawiał się złych następstw mogących go spotkać gdy się odkryje że nie jest w stanie dotrzymać danych królowi obietnic. Ale go złapali żołnierze sascy, osadzili znowu w więzieniu i pilnowali jeszcze silniej. Król Saskopolski uważał ten postępek za czarną niewdzięczność, lecz zdaje się, nigdy nie wątpił o sztuce więźnia. Warunki, pod którymi ofiarowano mu wolność, były spisane w formalnym kontrakcie, zawartym między królem a Boettgerem, który winien był zrobić pewną ilość złota dla króla, wyjawić swą tajemnicę wyznaczonym przez monarchę osobom, a potem mógł używać wynalezionego przez się sposobu robienia złota, na własną korzyść. W zamian król obiecywał mu opiekę, zastrzegając tylko by nie kupował dóbr ziemskich i nie budował zamków, bez pozwolenia jego.

Takim sposobem przeszło 6 lat na pochlebstwach i zawodach, z jednej, a na obietnicach, i skargach z drugiej strony. Król potrzebował pieniędzy na wojnę Szwedzką a Boettger obiecał mu formalnie 20,000 funtów szterlingów na tydzień, poczynając od daty którą sam był oznaczył. Zdaje się że w tym kłopotcie powziął myśl wyrabiania porcelany podobnej do chińskiej. Mieszkając w pałacu królewskim widział z niej wyroby, kosztujące wtedy summy bajeczne. Wynaleść sposób wyrabiania tak kosztownego materiału, było rzeczywiście sprawą niemal równie ważną, jak wynalezienie złota. Na tę myśl naprowadziły go prawdopodobne doświadczenia przedsiębrane w fabryce wyrobów glinianych w celu dostarczenia

ogniotrwałych tyglów, których potrzebował przy robieniu kruszcu mniemanego. Czas wynalezienia porcelany niepewny, zdaje się jednak że około 1708 r. Był-to przedmiot bardzo drogi. W muzeum drezdeńskim pokazują 5 wazonów białych i niebieskich z porcelany nankińskiej, za które król August zapłacił 11,000 funtów szterlingów. Odkrycie przeto tajemnicy wyrabiania tego materiału musiało nie pomалу uradować króla-elektora, który lubił namiętnie posiadać piękną porcelanę jak i wielu ówczesnych panujących. To go zapewne udobruchało, gdy Boettger mu się przyznał że nie potrafi zrobić proszku zamieniającego inny metal na złoto. W kilka zaledwie lat po wynalezieniu, porcelana drezdeńska mogła śmiało rywalizować ze wschodnią, której dostawę trudnili się dotąd Hollendrzy.

Reszta życia Boettgera poświęconą była zastosowaniu tego wynalazku i robieniu innych odkryć drogą chemicznych doświadczeń. Przytém trwonil jednak znaczne summy, któremi król nie przestawał zasilać powierzonych mu fabryk i dozwalał podwładnym koszystać z nich jak im się podobało. Umarł 1721 mając 35 lat, po długich cierpieniach, zgubnym nałogiem, któremu się oddał, sprowadzonych. Po jego skonie przeniesiono fabrykę do Miśnii. Pierwsze fabrykaty są kopijami wschodniej czerwonej porcelany i podobne nieco do nowszych wyrobów Wedgwood'a; trudno je rozróżnić od porcelany chińskiej. Z powierchowności wydają się jakby robione z *terra cotta*, lecz dźwięk metaliczny dowodzi że są prawdziwą porcelaną. Co do wewnętrznej dobroci wyrobu, wynalazca przeszedł pierwotne swe wzory, nadając połysk dorównywający marmurowi i ozdabiając pięknymi, kolorowemi wytłoczeniami wypukłemi. Odmiany czarne tego wyrobu powstały przypadkowo, z przyczyny zbytniego rozgrzania pieców, są jednak między niemi nadzwyczaj piękne okazy. Ostatnim krokiem doskonalenia się wyrobów drezdeńskich był sposób nakładania kolorów wytrzymujących działanie ognia. Sam Boettger położył znakomite zasługi w tym kierunku. Wyroby z pierwszych czasów bytu fabryki nie ustępują w niczem chińskim będąc wier-nemi kopijami najpiękniejszych wzorów, na których nie zapomniano nawet oznaczyć podpisem robotnika niebieskiego państwa. Wkrótce połączono z zakładem szkołę modelierów i malarzów, i powstały cudne dzieła oryginalnego rysunku i wykończenia, które dościgły najwyższego stopnia rozwinięcia pod zarząd- dem Brühl'a. Znany to minister z ostatnich czasów panowania Sasów w Polsce. Władając wyłącznie

umysłem króla, zgromadził, kosztem kraju, kolosalny majątek, choć rozrzucił ogromne summy dla dogodzenia przepychowi którym się otaczał. Dwór jego był liczniejszy i okazalszy od dworu samego króla-elektora; trzymał dwustu słuźalców różnego stopnia. Fryderyk Wielki, wzięwszy Drezno znalazł w garderobie ministra 1500 peruk, tyleż odpowiednich garniturów kompletnego ubrania i tabakierek drogowych. Jego zamiłowanie w zbytkach wpłynęło korzystnie i na fabrykę porcelany. Po zajęciu Drezna, Fryderyk nie omieszkął zemścić się za ucieczkę Boettgera z pod czulej opieki swego dziada. Wybrał najlepsze sztuki, wartości około 250,000 talarów i posłał je wraz z najlepszymi robotnikami do Berlina. Pozwolił również swoim jenerałom brać co im się podobało.

U nas na Wołyniu, była fabryka porcellany w Korcu; ale gdy się ziemia wyczerpała, przeniesiono zakład do Baranówki i Emilianówki: — rękodzielnie w Wiedniu, Berlinie i Mnichowie istnieją dotąd jako zakłady królewskie; inne upadły lub przeszły na własność osób prywatnych. Dwie głównie przyczyny stawią porcelanę tegoczesną niżej od wyrobów ubiegłego stulecia. Mięszaninę ziemną, z której ją wyrabiają,

poddawano dawniej przez lat kilkanaście powolnemu działaniu powietrza; teraz poddają działaniu środków chemicznych i w pół niespełna roku, już bywa do użycia gotową. W Chinach ziemię porcelanową wystawiają na wpływ powietrza w przeciągu lat 80, jest-to majątek który człowiek składa dla swoich wnuków. Niewprawne nawet oko wielką spostrzega różnicę między wyrobami nowszymi i wyrobami pierwszej połowy przeszłego wieku, pod względem wewnętrznej dobroci użytego materiału. Drzewo opałowe zastąpiono węglem kamiennym, a wyższy stopień ciepła, który ztąd powstaje, działając zbyt gwałtownie, szkodzi piękności wyrobu. Nadto, żydowscy handlarze rzadkości, kupują niemalowaną jeszcze porcelanę i podrabiają według wzorów dawniejszych. Poddają ją następnie działaniu ognia we własnych piecach, które będąc niewielkie, nie mogą być ogrzane do stopnia ciepła potrzebnego dla zupełnego zemaliowania kolorów. Z początku malowidła zdają się być równie żywe i piękne jak na dawniej porcelanie, lecz wystawione na działanie słońca bledną. Ztąd wystawy zagranicznych sklepów przepełnione są starą porcelaną saską, której większa część nigdy w Dreźnie nie była.

WSPOMNIENIE Z POBYTU W MIEŚCIE ŚWIĘTEJ MARTY W NOWEJ GRENADZIE.

Miasto pod nazwą świętej Marty, jak mówi p. Elisé Reclus, leży w nowym Raju Ziemi. Zbudowane jest nad brzegiem morza, gdzie tenże kręci się jakby koncha morska, a grupowane domy białe, okolone piękną zielonością liści palmowych, wydają się jakby djament w szmaragdy osadzony. Wkoło miasta rozciąga się w półokręgu równina, zwolna podnosząca się do stóp gór, które jakby wysilając się okazać wyniosłość i całą wspaniałość swoją, w rozmaitych kształtach i kolorach, podług roślinności pokrywającej je, wznoszą się jedna za drugą w coraz bardziej olbrzymich kształtach. Obraz cały miasta począwszy od poziomu aż pod obłoki sięgających gór, tak jest stopniowany, z tak nadzwyczajną harmonją ułożony, że się bez końca patrzeć a patrzeć na niego żąda, nie

czując, nie postrzegając godzin, które tam się trawi. Szczególniej wieczorem gdy zniżone promienie słońca odbijają się w powierzchni ogromu spokojnego morza; natenczas zielona równina, ciemne doliny pomiędzy górami, obłoki różowane i wierzchołki oddalonych gór jakby ogniem posypane, tworzą widok tak czarujący, że nie podobna już żyć myślą lub jakimkolwiek uczuciem, wspomnieniem, gdyż żyje się tylko roskoszą widzenia! Ci którzy mieli szczęście ujrzeć ten krajobraz, nigdy w życiu zapomnieć go nie są w stanie. Gdy się do tego miasta wybierałem i prosiłem jednego Grenadczyka, przyjaciela mego, aby mi szczegółów o miejscowości udzielił raczył, ten nie mogąc nawet dać mi odpowiedzi, jakby z żalu uśmiechnął się tylko i wyrzekł to jedno słowo: Niestety!

Miasto wewnątrz nie harmonizuje ze wspaniałością otaczającej go natury, jest to najpierwszy zakład na stałym lądzie Grenady Hiszpańskiej i pomimo dawności swojej, mimo najlepszej jaka może być przystani, tytułu stolicy, i okazałości jaką mu przyszłość gotuje; liczy teraz tylko cztery tysiące mieszkańców! Ulice w mieście są szerokie lecz wcale nie brukowane; w czasie wiatru od morza, tumany piasku przeszkadzają i nie pozwalają prawie nikomu wyjść z domu choćby za pilnym interesem. Domy w niem niskie, źle zbudowane, szczególnie na przedmieściach, podobniejsze do chat niż do zabudowań miejskich, pokryte zamiast dachówką liśćmi palmowemi, w których gnieździ się niezliczone mnóstwo skorpionów i pajaków.

W roku 1825 to jest w trzysta lat przeszło po założeniu miasta, trzęsienie ziemi obaliło tu przeszło sto domów, w katedrze i w czterech innych kościołach narobiło rozpadlin ogromnych. Dotąd gruzy z nich i kawałki cegieł nie uprzątnięte, uszkodzenia nie poprawiane, rozpadliny te nawet rozdziawiają się coraz bardziej; czas tylko ustroił je różnemi pnąciami się pięknymi roślinami; szczególnie na kościele Igle-sia-Major, kopuła pokryta została girlandą zieloną przeplatana żółtymi i czerwonymi kwiatami. W tém mieście z powierzchowności swojej wydajacem się jakby nazajutrz po trzęsieniu ziemi, jeden tylko nowy domeczek dojrzeć mogłem i zaczęta budowlę mającą kiedyś służyć na główne prowincjonalne kolegium. Mieszkanie najbogatszego w całym mieście kupca, niegdyś istotnie wystawny pałac, od strony morza wygląda zupełnie jak wspaniałe jakieś dawne zwaliska; powyszczerbiany chwiejący się mur, otacza ogród pałacowy, napełniony szczątkami kapitelów i gruzów poporastałych już dzikimi kolącemi chwastami. Jednakże mimo tych śladów okropnego zniszczenia, mimo całego nieporządku, miasto świętej Marty ani w części nie przedstawia tego posępnego, ponurego spustoszenia, jak Kartagena; ulice szerokie które trzęsienie ziemi nie obaliło, wapnem pobielone albo wesołemi jasnymi kolorami pomalowane, wreszcie cudowność i piękność otaczającej miasto przyrody, zdaje się w niem odbijać.

Dość rozległy zakręt brzegu morskiego, gdzie się wznoszą szczątki dawniej niegdyś twierdzy, z których większa połowa w gruzach i odłamach powpadała już w morze, — szczególny i zajmujący daje widok; — tam bowiem przypływają statki małe z rybami, orzechami kokosowemi i innemi rozmaitemi wiktualiami; na tych odłamach porozrzucanych na

plytkiej już wodzie błękitnego morza, odbywa się targ, na którego kobiety krótko ubrane przybywają po zakupienie na cały dzień żywności. Ten targ pod gołym niebem, napełniony ludźmi na urywkach muru, wśród oblewającej je niebieskawej wody, odbijającej miejscami całe grupy, jest nader dziwnym i zajmującym obrazem.

Większe statki, okręta Europejskie i Stanów Zjednoczonych o jeden kilometr dalej ku północy przybijają do przystani; od téj, aż do samego miasta bywa miejsce przechadzki wieczorowej wszystkich prawie bez wyjątku mieszkańców, pieszych, konnych i w powozach jeżdżących. Na téj rozległości znajdują się także zupy solne, czasami zalane wodą i dawna na pół zniszczona komora, którą nie jako środek czynności i ruchu, ale raczej jako punkt zabawy uważać można. W porankach pływacze biali i czarni nurkujący pomiędzy statkami jakby Tritony, zamieniają w pianę białą piękny błękit wody, a majtkowie i wielka liczba próżniaków, opartych na statkach, sądzą i przyklaskują zręczniejszym pływaczom.

Po pierwszych porankowych godzinach, w których jakiś ruch i zajęcia pomiędzy mieszkańcami spostrzegać się daia, następuje spokojność i cisza. Wszyscy zabierają się do *farniente*: blisko pięćset sklepów, i sklepików prawie wypróżnionych, zamyka się. Mieszkańcy bliskich osad Gaira, Mamatoko i Masyn-ga uchodzą ze swemi karawanami, pędząc przed sobą długi szereg mułów i osłów. Mieszkańcy miasta są natenczas w spokojnym używaniu swojej własności — śpią — albo siedząc przed domami wesoło rozprawiają o wydarzeniach poranku, a panowie (Senioritas) kołyszą się w swoich hamakach. W miarę jak gorąco powiększa się, głosy cichną — robactwo nawet nie brzęczy — można powiedzieć że całe miasto spoczywa i omdlewa w rokosznej atmosferze. Praca zdaje się być nie potrzebną w tym szczęśliwym klimacie, gdzie spokój z gór zielonych i z nieba spływa na mieszkańców. Nie można prawie ganić całej téj ludności, oddającej się tyle szczęśliwości fizycznej życia, kiedy ją wszystko do tego pociąga. Głód i zimno nigdy ich nie dręczy, wyobrażenie nędzy nie ma nawet przystępu do ich pojęć; nielitościwy przemysł do twardych trudów i zawodów ich nie popycha. Tacy, których potrzeby dobroczynna natura niezwłocznie zaspakaja i opatruje, chcieliby mozolnem, pełnym trudu postępowaniem iść jęj na przekór i nie korzystać z całym opuszczeniem się i nieczynnością z jęj dobrodziejstw? témbardziej tacy, którzy są jeszcze dziećmi téj ziemi, którym życie jak drzewom

i kwiatom w pokoju przechodzi? Często upały chociaż niezbyt nekające z przyczyny chłodnych powiewów od morza, dochodzą jednak do tego stopnia że niepodobieństwem jest wiaść się do pracy, gdyż położenie meteorologiczne Św. Marty jest pod równikiem samym, i ma zwyczajną średnią temperaturę 29 stopni ciepła. Jeżeli na przyszłość doliny w Sierra-Nevada tysiącami rolników zostaną zaludnione, natenczas Samariosy dziś tak nieczynni, dadzą się pociągnąć w ten wir pracy, handlu, przemysłu: a mieszkańcy Św. Marty, na wzór wielu miast, drzymiących dawniej pod czarownym zwrotnikowym niebem, pójdą w ich ślady.

W dzisiejszych czasach stolica ta mały bardzo bo przechodowy tylko (transito) utrzymuje handel. Sprowadza lekkie towary np. materje, których wysyłanie w głąb kraju nie wiele pracy i kosztu wymaga— a natomiast wyprawia do Anglii znaczną część złota wydobytego przez górników w kopalniach Antjochii; Niemców zaś obdarza tytuniem. Ogół z wychodzących towarów wynosi tylko 15 milionów franków rocznie, którą summe łątwoby bardzo pomnożyć, gdyby się szczerze zebrano do ciągnięcia korzyści z ziemi tak płodnej. Zrazu, tak jak wszyscy mieszkańcy Św. Marty, byłem odurzony, upojony aromatyczną wonią napełniającą całe powietrze; lecz nie marnowałem godzin moich na próżnowaniu; starałem się poznać wiele rodzin, w których jak najuprzejmiej mnie przyjmowano; pozyskałem wkrótce kilku przyjaciół, którzy we wszystkim w czém tylko żądać mogłem udzielali mi objaśnień ze względnością i prawdziwą dawną grzecznością Kastylską. W przechadzkach nad morzem chętnie zaczepiałem niższą klasę rybaków i innych, wchodziłem z nimi w długie rozmowy, zgłębiałem ich wiarę, zwyczaje i obyczaje. Dla poznania wszystkich płodów ziemi i owoców, potrzebowałem tylko wejść do jakiegobądź ogrodu, tam za tak małą cenę, że się nawet zapłata nazwać nie może, dawano mi figi, owoc bananu, nisperos mający środek koloru krwawego, ananasy, papayes, ciruclas gatutek śliwek pod zwrotnikiem rosnących, aguacates czyli adwokaty, mangos z zapachem terpentynowym, goyaves, marannony czyli jabłka mahoniowe, których sam zapach przechodzi wszystko co przyjemnie i mile pachnąć może, guanabano przypominające wonią poziomki z dobrym winem, i tyle innych osobliwych owoców że same ich nazwy wymagałyby osobnego słownika. Na tej szczęśliwej dolinie, na pochyłości tych gór, gdzie pod tymże samym promieniem słońca, dojrzewają tutejsze najsoczystsze, najsmaczniej-

sze i zarazem w różnych klimatach rosnące owoce, najłatwiej byłoby powrócić do używania samych roślinnych pokarmów, jakimi pierwsi po stworzeniu świata ojcowie nasi żywili się.

Jakże różne jest przebudzenie się ranne, na naszej północy a w dolinie Św. Marty! Nas przykre i nieprzyjemne uczucia witają zimnym nudno i świszczącym wiatrem, wdzierającym się przez nieszczelne okna do pokoju. Tutaj woń z koron rozmaitych kwiatów ogarnia całe powietrze, rozliczne ptastwo śpiewami swemi przysposabia do wesołości—przez szpary ocieniających liści drzew, promienie słońca nie natrętnie zagląдают do mieszkań. Oddycha się z upojeniem, czując się jakby odrodzonym w tej miłej, życiodajnej atmosferze.

Od samego świtu piesi i konni zapełniają drogę prowadzącą do niewielkiej rzeki Manzares, tak nazwanej na pamiątkę strumienia w Madrycie; każdy wybiera sobie na brzegu rzeki, zakątek ocieniony, do rannej kąpieli. Wszędzie prawie drogi i ścieżki wiodące do tej naturalnej łązienki, są obrośnięte od dołu krzewami, dalej drzewami ze schodzącymi się z sobą w górze gałęziami, tworzą jakby umyślnie sadzone i utrzymywane altany; w małych przerwach cieniu, któremi słońce wązko przeziera, widać kołyszące się w górze i tworzące się parasole z ciemnych kokosowych drzew gałęzi. Wszędzie zapach z otwierających się na dzień kwiatów i dojrzałych owoców towarzyszy człowiekowi. Spotyka się Indyanki jadące na osłach i pozdrawiające podług zwyczaju: *Ave Maria purissima*—z odpowiedzią: *Sine peccata concebida*, (concepta). Dochodząc do mostu na Manzares, jedyne w całej prowincyi a dziwnej w swoim rodzaju, bo najdawniejszej budowy, z pokładu opartego na massach kamieni w różne strony pochyłonych i wyszczerbionych;—ujrzysz dopiero kupy ludzi, co trzymając się gałęzi Czulostek i Korokolis rozpierzchują się w rozmaitym kierunku, dochodzą do płytkiej wody i brzegu rzeki piaszczystego jakby mozaikowanego ze złota i srebra, i tu rozciągają się dla ochłody. Po kilku minutach tej rokosznej kąpieli, w czasie której ptastwo radosną muzyką zabawia, roje robactw jeszcze nie krążą w powietrzu, słońca gorąco nie przepiekło jeszcze cienia drzew, a woda zachowała świeżość i chłód skał z których przybyła; wszyscy do domów wracają. Takie są zwykle poranki spędzane na Świętej Marcie.

Mężczyźni znaczną część dnia przepędzają na używaniu spoczynku (lasiecte), kobiety czynniejsze pra-

cowitsze na całym świecie i tutaj rzadko przerywają sobie zatrudnienia gospodarskie. Jeżeli czasem skwar zbyt dokuczający nie dozwolił mi czynić wycieczek nad brzegami morza, natenczas z książką w ręku chłodziłem się kołysaniem w moim hamaku. Dom który za małą cenę bo tylko za 20 franków miesięcznie najałem, był obszerny, dobrze ocieniony, mający w koło piękny ogród. Niektórzy młodzi, chciwi (jakiemi są bez wyjątku wszyscy *neo-Grenadyni*) wiadomości, schodzili się na gawędy do mnie z całą miłą i uprzejmą poufałością w kraju zwyczajną. Choć cudzoziemiec, świeżo prawie na brzeg wysiadłszy, znalazłem w nowo przybranéj ojczyźnie więcej sympatycznych, przyjaznych uczuć, niżelibym ich przez długi czas żyjąc w rodzinném mieście mógł pozyskać. Najwięcej uwagę moję zwróciło to, że nadzwyczaj są tu wielkie umysłowe zdolności w młodzieży, która szczególnie łatwo tłumaczy się, z wielką wytwornością i pociągającą wymową. Prócz hiszpańskiego języka, w ogóle mówią jeszcze dwoma lub trzema językami żyjącymi np. francuzkim, angielskim, holenderskim, niemieckim. Ciekawym wszystkiego co z zagranicy przychodzi, tak jakoś łatwo jest nabyć wykształcenia powierzchownie ogólnego, że mogą z wszystkimi o wszystkim mówić. To szczególniejsze jeszcze, że takie wykształcenie sami sobie są winni, gdyż w zakładach naukowych żadnego rygoru, żadnych surowych przepisów nie ma. Im któren profesor więcej z dziećmi postępuje na drodze przyjacielskiej, im ich więcej za skończonych niby ludzi uważa, tém więcej jest szanowany i słuchany.

U tych dzieci tak drażliwych w kwestyi godności osobistój, uczucie honoru jest szczęściem tak wysoko posuniętém że niém powodowani, cudów dokazałby mogli. Dostatecznym jest okazać im zaufanie, a natychmiast starają się czynem je usprawiedliwić. I w tém mieszkańcy Nowéj Grenady nie różnią się od dzieci: a skoro poznają że cześć i chwałę pozysczą z tego jak kraj ich będzie obfitował w szkoły, w pożyteczne zakłady, w urządzenie dróg, w rolnictwo; wszystkich starań dołożą aby to do skutku przyprowadzić. Honor jest dzwignią, którą cały naród podnieść i do postępu wielkiego przywieść można. Jest to cnota która wszystkie inne uzacnia i podnosi niejako, a te cnoty są liczne u nich. Jeżeli im wyrzucąby słusznie można niejaki lenistwo, to za to niepodobna zaprzeczyć im pojętności, uprzejmości, odwagi a nadewszystko skromnego o sobie mniemania, bez najmniejszój zarozumiałości. Z jakimże szczególnym wdziękiem prostoty kraj swój kładą w cieniu,

gdy im przychodzi mówić o Francyi, którą wystawiają sobie jako wzór plemienia łacińskiego.

Odznaczający się młody człowiek z którym najściślej zabrałem znajomość nazywał się Ramon Diaz, był to ośmnastoletni Mulat, a już znalazł czas nabycia głębokiej naukowości. W towarzystwie podróżującego Europejczyka w równinach otaczających miasto, posiadał naukę o ptakach i botanice; po odjeździe cudzoziemca sam na swój rachunek wrost dla przyjemności ciągnął dalej własne poszukiwania, potem za pomocą książek potrafił zredagować na osobisty swój użytek, kurs filozofii, literatury i geometryi.

Jednakże różnorodność tylu wiadomości nie natchnęła go bynajmniej pychą; bez fałszywego wstydu, w sklepiku matki swojej sprzedawał po kilkanaście na dzień bananów. Jeżeli pychą nie grzeszył, to mu nie brakło dumy; wiedział, znał i czuł dobrze że nie położenie towarzyskie lecz godność osobista, stanowi prawdziwą wartość człowieka.

Nie sam Ramon Diaz i jego przyjaciele rozweselali samotne dni moje: małpa na długim sznurku przywiązana, znudziwszy się kołysaniem na gałęziach, wpadała często poswawolić i popieścić się ze mną. Papuga powtarzająca, wszystkie imiona chłopczyków—czasem z wielkim głosem krzyczała *ośle! ośle!* nauczywszy się tego od Indjan, którzy tym wyrazem poganiają zwierzęta zaprzęgowe—to znów papuzka mała, zielona, umizgająca się i przymilająca, prosiła prawie, aby jój dać czerwony owoc kaktusa, nad którym szczególne oznaki wesołości i skoki wyprawiała. Tak nawiedzany i zabawiany przez przyjaciół i zwierzątka, wreszcie zmordowany gorącem, nie mogłem wszystkich godzin poświęcać nauce i pracy.

Z wieczorami przybywały bale i spacer; po ulicach z bębenkami, kastanjetami, z różnemi brzękadłami, chłopaki małe gromadziły się, tam gdzie obchodzono imieniny albo urodziny; przed domami w altanach czyli verendach postrojonych w girlandy i kwiaty; pośród obrazów czasem kosztownych i świętych, któremi przystrajano miejsca te do tańców w czasie festynów, widzieć można było powywieszane bransoletki, wachlarze, sztuki materyi, sztychy stare francuzkie przedstawiające pogrzeb Atali albo śmierć Poniatowskiego. Muzykanci z wielkim zapałem ostro zwrotki wesołe wygrywający, kiedy niekiedy i to luzując się, na tyle tylko przestawali i odpoczywali, ile potrzeba było czasu na wypicie szklanki *chicha*. Na taką gałę każdego wniść na ucztę wolno, czy to

dla potańczenia czy dla chłodzenia się jakim przysmakiem gospodarza kosztem dopóty obchodzona bywa gala, póki w innym domu nie nadcjdą imieniny lub urodziny jakiej młodej osoby, gdzie znów tego nowego gospodarza dom stanie się na czas jakiś własnością publiczności.

Dzięki cudownym nocom, więcej bywa używających przechadzek na brzegach morza, niż tańczących po salach balowych. Ci którzy nigdy nie widzieli zachwycającej wspaniałości nocy podrównikowej, nie są w stanie wystawić sobie, z jaką słodką przyjemnością upływają godziny spędzone w tém świetle nocnym pod równikiem! Nie wiedzą, nie pojmują do jakiego stopnia najwyższa rozkosz ogarnia upieszczone przez czystą atmosferę jestestwo fizyczne człowieka wszystkie zmysły razem upajająca; każdy ruch tak łatwo czynić się daje, iż zdaje się że człowiek uwolniony jest od więzów ciężenia. Na Niebie, na którym cztery razy bardziej niż w strefach umiarkowanych iskrzą się gwiazdy, zawsze czystym, bez obłoków, odznacza się świetnie droga mleczna. Światło zodiacowe które po największej części astronomowie amerykańscy uważają za podobny jak koło Saturna pierścień, zaokrąglą swój ogrom na Zachód. Na południe jakby kubki potrząśnięte śniegu, pokazują się obłoki Magielańskie, grupy konstellacyj tak rozległych jak nasze niebo a jednakże niknących jak dym w przestrzeni nieskończoności! W każdej chwili, w różnych kierunkach spadające gwiazdy,

w daleko większym niż u nas rozmiarze, zostawiają po sobie długie różnego światła ślady. Niekiedy zdaje się że to są najpiękniejsze race; jednakże nigdy ich eksplozyi nie słyzałem. Ta okoliczność i ogromna liczba gwiazd spadających, zdaje się potwierdzać mniemania uczonych, którzy w tych meteorach widzą tylko zapalenie się gazu wydobywającego się z bagien. Rzeczywiście nigdzie więcej nie fermentuje materji zgniłych, ile po błotach i bagnach lasów pod zwrotnikiem a gaz unoszący się z nich dostatecznym jest bez wątpienia do utworzenia prawdziwych obłoków w warstwie wyższej atmosfery.

Jeszcze przyczyniają się na powiększenie wpływu na organizm człowieka, zapachy ogrodów i lasów; kwiaty różnego rodzaju otwierające się jedne po drugich, wydają woń różną podług natury utworu swego, niektóre z tych jak np. Palma *Corua*, raptownie kwiat swój roztwierająca, pochłania na czas jakiś w całej atmosferze wszystkie inne wonie. Kwiaty in-sze *dyskretniejsze*, powoli i stopniowo opanowują zmysły — lecz wszystkie rozkwitnienia z wielką regularnością i porządkiem następują jedne po drugich, jak gammy w muzyce, tak te w wydawaniu pachni-deł. Naśladując Lineusza P. P. Spix i Martius sławni szperacze w Brezylji, chcieli utworzyć zegar zwrotnikowy—w którym każdy podział czasu miał być oznajmiony innym zapachem, jak dymem z kadzielniczki, wypadającym z roztwierającego się kwiatu.

KOPALNIE WĘGLA W ANGLII I FRANCYI.

Jak przed parą wiekami nikt nie odgadł olbrzymich przysług jakie para dla ludzkości oddać zdolną będzie tak równie nikt się nie spodziewał jakim bogactwem ziemi stanie się, węgiel z niej dobywany, ten martwy i na pozór znieużyteczniony szczątek, ten świadek wielkich fenomenów przekształtowania się kuli ziemskiej odbytych. Podług świadectwa geologów coraz mniej wewnątrz kuli naszej jest ognia, czyli też może ogień ten skoncentrowany zamyka się ściślej niż przed tém, z jakiegokolwiek bądź skrytej dotąd przed badawczym naturalisty okiem przyczyny; wiadomo że na zewnątrz mniej daleko tego ognia wydziela się od niejakiego czasu. Otóż jakby w zastępstwie tych wewnętrznych kuźni, powierzchnia

ziemi coraz ich więcej dostarcza. Nie dymią tak jak przedtém wulkany, to za to wznoszą się czarne kłęby rozmaitego rodzaju rękodzielni—Tych jakkolwiek pigmejskich, w porównaniu wulkanicznego krateru, kominów, tak wielka jest liczba; iż zapewne ilość dymu napełniającego powietrze jest taż sama. I mimowolnie przejeżdżając około hut, kuźni i cukrowni, patrząc na te czarne wznoszące się do góry, a potem rozdzielające się kolumny dymu; człowiek patrząc na piękny zasłoniiony dymem krajobraz, oddychając ciężkim zarażonym powietrzem, mimowoli smutnym oddaje się myślom. Zda się że okopcone twarze wychodzące z tych plutonicznych gmachów, noszą jakieś piętno poniżenia na sobie, że to są także pe-

wnego rodzaju maszyny. Mimowolnie ogarnia człowieka trwoga ażeby z czasem, z powiększeniem tego przemysłu, będącego jak zdaje się jedyną dążnością wieku, cała ludzkość nie okopciła się tak samo moralnie! Lecz odpadliśmy od materii—spieszmy zatem wrócić się do opuszczonego przedmiotu.

W tych to wszystkich piecach dostarczających ognia, czy to do poruszenia pary, czy do roztworzenia żelaza, największą gra rolę węgiel ziemny. Drzewo żywe, piękne, ozdoba powierzchni ziemi, nie ma dość niszczącego, trawiącego pierwiastku, a nadto, te straszne piece zamieniające czarne żelazo w płyn potrzebują na pastwę martwego węgla, smutną powierzchownością wykazującego swoje przeszłe i przyszłe przeznaczenie.

Zrazu Anglja sądziła iż bez jęj kopalni węgla, nie obejdzie się Europa — nawet w roku 1855 minister królowej Wiktorji odezwał się do parlamentu temi słowy: „Czy nie uważacie Panowie, że każdy naród potrzebujący do robót swoich węgla naszego, stanie się wazalem Anglii.” -- I istotnie od czasu jak ta kopalnia stała się niezbędnym żywiołem w sztuce wojennej i w przemyśle w czasie pokoju—nie ma zdaje się ważniejszej i obfitszej nad tę kwestji; postawmy się tylko i patrzmy na nią z punktu widzenia człowieka stanu, zarządzającego administracją, lub przemysłowego; handlarza, czyli też obywatela trudniącego się rolnictwem, zawsze kopalnie węglowe przedstawiają się nam jako ważny bardzo przedmiot: tak we Francji w roku 1859 konsumowano węgla 119 milionów centnarów, z tych 65 milion. cent. krajowego a 54 mil. cent. sprowadzanego z Anglii, Belgii, Prus i z Niemiec. Pojąć nie można dla czego Francja tak przemyślna, wyrachowana, będąc przed dwudziestu laty w bogactwie i obfitości wydobywanego węgla, drugą w rzędzie po Anglii; tak nieogłędnie zaniedbała tę gałęź iż teraz gdy ją wyprzedziła Belgja i Prusy, utrzymuje się w czwartym tylko rzędzie. Jednakże dzisiaj obfitość i tanność tego węgla jest nieodbitnie potrzebna do topienia żelaza, i wszystkich innych metali, do hut, cukrowni, do parostatków, lokomotyw i t. d. i t. d. że nie tylko większe węgle ale i mniejsze, drobne, użyte byćby mogły do fabryk olejów i t. p. mniejszych zakładów. Cytują nawet że w miejscach takich gdzie są kopalnie i gdzie po wywiezieniu większych, pozostaje drobniak węgla, którego transportować nie podobna, przez łatwość nabywania tych ostatnich za bardzo małą cenę, ludność się nawet powiększa, np. na północy Francji, wymieniają gminę Anzin liczącą w 1788

roku 221 mieszkańców, która w roku 1856 liczyła ich 5845 i gmina Lourches która w 1801 miała ludności 164 a w 1856 rachowała jęj 3370.

Największym konsumatorem węgla jest rząd, który w czasie pokoju, do marynarki potrzebuje go półtora miliona centnarów, a w czasie wojny na morzu do trzech milionów zużyby go musiał, tymczasem jakby przez systemat, sprowadzonym z Anglii lub Belgii węglem opatruje tę potrzebę. Przypisują to zadawnionemu zwyczajowi i uprzedzeniu że węgiel z kopalni francuzkich jest pośledniejszy. Francja jednak używała ze swoich kopalni do żeglugi jaka tylko jest najtrudniejsza, na Rodanie: ta wprawdzie upadła, ale tylko przez współubieganie się kolei żelaznych. Ogień z węgla pędzący lokomotywy, czyżby równie nie gnał parostatków? Wreszcie marynarka francuzka ma do spełnienia większą powinność choćby ta ją w początkach wiele trudów kosztowała, to jest skupienie drobnego węgla *w cegielki*, jakich admiralicja angielska, kompanie dróg żelaznych w Belgii i prywatnych kompanij we Francji z pomyślnością używają; tém bardziej że robienie tych cegiełek dziś już jest bardzo udoskonalonem. Także byłoby pożytecznem aby marynarka wprost z wydobywcami kopalni a nie z liwerantami o towar traktowała; z bogacanie się tych ostatnich podwyższa nie potrzebnie cenę węgla. Niechby sobie prywatni utrzymujący koleje, używający caloriferów do ogrzewania domów i inne rękodzielnie także prywatne, używały sprowadzanego z zagranicy węgla. Lecz marynarka krajowa, utworzona i istniejąca jedynie w przewidywaniu wypaść mogącej wojny i obrony na morzu, nie powinna upierać się i ściągać niezbędnie potrzebnego żywiołu do utrzymania swego istnienia, *z kraju*, którego najwięcej obawiaćby się winna, gdyby między Francją a Anglją przyszło kiedy do wojny. Węgiel w wojnie morskiej jest tém, czém proch w wojnie na stałym lądzie — Coby powiedziano o takim Państwie w którym odlewanoby armaty, fabrykowano broń a zaniedbanoby robienia prochu? Przypuśćmy że Francja mogłaby prowadzić wojnę w której sąsiednie kraje Anglja i Belgja nie byłyby jęj sprzymierzeńcami, w takim stanie rzeczy, sprowadzanie węgla byłoby zakazanem. Niedawno ta kwestya rzuconą była rządowi angielskiemu który niechcąc dać swęj odpowiedzi kategorycznie — wyrzekł: że w niektórych razach, w czasie wojny, wyprowadzanie węgla może być uważanem za *przemycanie*. Niezależność, godność narodowa, poszanowanie do jakiego Francja ma prawo od swoich sąsiadów i sprzymie-

rzeńców, nie może jój być zapewnioném, póki nie postawi się na tym stopniu że nie z musu lecz z własnej woli chce być z niemi w pokoju i że do utrzymania marynarki nie będzie potrzebowała zakupywać u nich węgla, którego u siebie w kraju dostateczną ilość wydobydź jest w stanie.

To nawet w roku 1832 przez jeneralną dyrekcję górnictwa, po obejrzeniu wszystkich kopalni, stwierdzoném było, raportem kończącym się temi słowy: „Krótki ten przegląd kopalni nowych dostatecznym jest dla zapewnienia się i dowiedzenia, że Francya czerpać może we własnych minach nie tylko tyle węgla, ile obecnie potrzebuje, ale nawet ileby go w czasie potrzebować mogła, gdyż ziemia nasza na teraz i na przyszłość z pewnością skarbów swoich nam nie odmówi. Te bogactwa starczyć nam mogą na tak długie perjody, że prawie nie możnaby nazwać mądrością gdybyśmy przez zbytnią ostrożność przewidywać chcieli iż ich nam kiedyś mogłoby zbraknąć.”

Przejrzyjmy teraz położenia górników: we Francyi jest ich 55,000 a z rodzinami można rachować do 150,000 dusz, zalecających się szczególniemi przymiotami — nie mieszkają po miastach, prowadząc życie pracowite i przywiązani są do miejsca, celują kar-

nością i spokojnością chociaż tak liczne skupienie łatwo mogłoby ich do lekkomyślnych spraw doprowadzić. Górnicy rzeczywiście lubią swój fach pomimo niebezpieczeństw, a może nawet dla niebezpieczeństw, z którymi ustawicznie walczyć muszą, nie wiele zważając na zalecaną im przez przełożonych ostrożność. Wszystko im grozi — udając się do robót muszą się po nieskończenie długich drabinach spuszczać i windować; ziemia otaczająca ich ze wszech stron, obsypująca się i bryłami odrywająca pod uderzeniem ich motyk i siekier, może w każdej chwili żywcem ich zagrzebać, masy ogromnych wód ciężą nad ich głowami i wstrzymane są tylko mocnemi machinami; powietrze nawet którym oddychają może zająć się za najmniejszym połączeniem się z płomieniem. Oni jednak pozbawieni dziennego światła pracować inaczej nie mogą, tylko przy świeciełku latarni. Jeżeli narażają się bez trwogi na te wszystkie niebezpieczeństwa, to jedynie ubezpieczenie swoje winni kompaniom posiadającym kopalnie, którym tę sprawiedliwość oddać można że nie żałują wydatków i starań iżby robotnikom umniejszać trudów a we wszystkim, czém tylko można, złagodzić im i polepszyć ich położenie.

I D J O C I.

Niedawno stan ten poniżający naturę ludzką był uważanym za jakieś niezbadane *fatum*, za owoc *przypadku*, któremu zapobiedz nie było środka. Dziś dzięki pracowitej i biegłej nauce, mamy już dowody w zakładach rozmaitych, o których niżej mówić będziemy, że i tym nieszczęśliwym sponiewieranym zdawałoby się przez samą naturę istotom, można przyjść w pomoc.

Przyczyny tego wyrodzenia się natury ludzkiej także mniej więcej w dzisiejszym wieku zbadane zostały przez głębiej uczonych medyków i naturalistów; ogół bowiem dający się ludzi pozorami, nie sięgający w harmonijnym układzie wszechświata istnienie *przypadku*; téj okropnej, nielogicznej, niesprawiedliwej siły, smutne wyniki smutniejszych jeszcze przyczyn, nazywa krótko owocem *przypadku*. „Bo i jak-

że można wytłumaczyć — mówi wątpiący o tajemnym porządku prawa Bożego, ale za to wierzący w *przypadek* człowiek — jakże można pojąć że dziecko zdrowych, wykształconych rodziców, przychodzi na świat idjotą, zupełnie pozbawioném poznania? Przypuszcza on najpierw, że matka dziecięcia uderzoną była widokiem tak nieszczęśliwej istoty, a wrażenie, które ztąd odniosła, zaszkodziło dziecku. Lecz gdy go zaręczają że nigdy w życiu podobnego nie spotkała widoku — mówi: „To jakiś przypadek którego wytłumaczyć nie można” i na tém poprzestając nie dochodzi głębszej przyczyny — zapomina o solidarności ludzkości całej, zapomina że jak za złe moralne, za zбочenie ze ścieżki ręką Opatrzności wytkniętej, całe narody do późnych pokutują wieków; tak również w rodzinach, nadużycie sił fizycznych naddziadów,

częstokroć w prawnukach dopiero najgubniejsze, najsmutniejsze wywierają skutki. Nie możemy zapomnieć dwóch stwierdzających tę prawdę wypadków. Pierwszy nie zatarte zostawił nam wspomnienie, gdyż patrzyliśmy się nań z bliska. Drugi wiemy z opowiadania wiarogodnych, znających nieszczęśliwą rodzinę, osób.

Pod samym Kijowem w miejscu bardzo stósownie na ten cel wybraném, wśród obszernego ogrodu, wznosi się wielki zakład dla obłąkanych zwany Kiryłowskim, z powodu imienia założyciela, który go uposażył. Jakże potrzebnym, jak pożądanym byłby w okolicach naszego miasta podobny zakład, któremu nie domierzą ani rozporządzeniem ani wielkością nasze schronienia przy Szpitalu Dzieciątka Jezus i przy Klasztorze Bonifratrów.

Zakład Kiryłowski na wzór zagranicznych zbudowany, tak co do obszerności jak co do wszystkich warunków potrzebnych do rozmaitego leczenia a mianowicie do traktowania chorych obłąkanych, nie zostawia nic do życzenia. Zaczny lekarz, Litwin, biegły w sztuce swojej a przy tém pełen uczucia człowiek, z prawdziwém przejęciem się obowiązkiem swoim, zawiaduje tym na wielką skalę użytecznym przytułkiem nieszczęśliwych chwilowo lub na zawsze pozbawionych rozumu.

Obszerność miejsca dozwoliła tam podzielać na rozmaite sposoby—nieuleczeni a spokojni mają swoje do przechadzki miejsce, inni nieuleczeni lecz mniej zgodnego usposobienia, gdzie indziej przechadzają się, i t. d. i t. d. Na jedném z podwórków ocienionych rozłożystymi drzewami w pośród kilku niewyleczonych lecz nader spokojnych chorych, uderzył oczy nasze widok chłopca około 14 lat mającego; nieraził on niekształtnymi rysami, przeciwnie, w oczach jego zdawała się błyszczeć iskra myśli i dla tego na pierwsze spojrzenie zadziwił nas jako odznaczająca się fizognomja od innych twarzy obłąkanych, które się tak łatwo poznać dają po zbyt bystrym wzroku.

Jeżeliby można co zarzucić kształtniej chłopczyka twarzy, to chyba zbytnią szerokość ust, które, widać w skutek okropnego uśmiechu, — takich nabrały rozmiarów. Uśmiechu tego opisać niepodobna, zrozumie go tylko ten, kto się napatrzył na taką nieszczęśliwą istotę. Chłopczyk idjota zupełny, ze wszystkiem spokojny, lubo nie głuchoniemy, nie mówił wcale, nierozumiejąc żadnych potrzeb, niczego nigdy nie żądał, nie upominał się o nic. Ale co kilka minut twarz jego miła, oczy roztropnie patrzące, przybierały wyraz dzikości nie do opisanania, w skutek dziwnego, cichego

zwierzęcego uśmiechu, przy którym wszystkie pokazując zęby, jakby chciał z nadzwyczajną sztuką udawać dziki szatański uśmiech i straszyć nim przytomnych.

Idjota ten jest dzieckiem pięknej Ukrainy, na nieszczęście dość często w samym Kijowie i w okolicach jego zdarzają się podobne wyradzania — z powodu nadzwyczajnego pijaństwa jakiemu się tam lud prosty oddaje, a które jak twierdzą biegli lekarze jeżeli nie wprost zaraz na dzieci to na wnuki i prawnuki najsmutniejsze sprowadzają skutki.

Drugi wypadek, stokroć smutniejszy, bo tu już nie idzie o los o życie całe człowieka biednego, pracującego, przez brak wykształcenia narażonego na życie często zezwierzęcone, nie zbyt od idjotyizmu dalekie — ale o istotę w najszcześniejszych urodzoną warunkach, dla której wszystkie skarby wiedzy otwarte być mogły, która nie do pracy lecz do użycia wszystkich darów pomyślności narodzić się miała.

Do szczęścia bogatęj, kochającęj się pary, do jednéj z dawniejszych należącej rodzin, brakowało potomstwa. Pragnienie szczęścia macierzyńskiego do tak wielkiego w samej pani posunięte było stopnia, iż zdawało się jakby każda jęj myśl tylko do tego zwróconą była; bo rozmaite, nieustanne na ten cel odbywała nabożeństwa i wota. Nareszcie po latach kilku, przychodzi na świat przedmiot — tak koniecznie, tak gwałtownie żądany. Rodzi się syn rzadkiej piękności. Lecz jakaż boleść rodziców, gdy dziecko to jakby na ukaranie tak gorączkowego pragnienia, zawodzi wszelkie oczekiwanie jakie o przyszłości jego tworzyli rodzice—rośnie, rozwija się fizycznie, lecz najmniejsze pojęcie nie dowodzi w nim atrybucyi człowieka; jest to najzupełniejszy idjota, tém dziwniejszy, tém smutniejszy obudzający uczucie że kształtom jego nic zarzucić nie można, że piękne rysy zdają się zapowiadać człowieka myślącego. Wszystkie rady doktorów były próżne—wyrósł młodzieniec lecz starań jak dziecko roczne potrzebuje — nie jadłby, nie wstał, nie położył się spać, gdyby go ręka opiekuńcza nie prowadziła. Materya syfilityczna, szkrofuły, podagra, odradza się nie koniecznie w dzieciach; smutne skutki chorób z nadużycia zdrowia i dostatku wynikające, dopiero czasem w trzecim lub czwartém pokoleniu odzywają się.

Z pociechą dowiadujemy się iż są Instytuta w których bardzo szczęśliwie udaje się niekiedy dźwignąć z upadku podobne nieszczęśliwe ofiary.

Pan Niepce w dziele swoim o idjotyzmie i kretynizmie wspomina, jak udało się zatrzymać złe, jak

idjoty lubo nie zupełnie do stanu czerstwości umysłowej można doprowadzić, ale przynajmniej o tyle wpłynąć na takie nieszczęśliwe istoty, że znowu pomiędzy użytecznymi członkami społeczeństwa rachować ich można. Idąc za radą pana Niepce założono jedynie na ten cel domy zdrowia. Pan Guggenbühl zawiaduje w Abendberg w Szwajcaryi jednym z podobnych zakładów. Tam za wspólnym użyciem środków moralnych i fizycznych dźwignęli z upadku takich kilka istot za nie do wyleczenia uważanych.

Mówiąc o idjotyzmie trudno nie wspomnieć o będącym z nim w związku kretynizmie. Widok istot tak jak kretyni upośledzonych, zdolnym jest upokorzyć w nas pychę i wyniosłość rozumową. Mimowolnie człowiek się pyta: czy istota którą choroba lub inne przyczyny są w stanie doprowadzić do takiego stopnia zezwierzecenia prawie, jest rzeczywiście stworzeniem na obraz Boga uczynionem? To przykre wrażenie, im bardziej udajemy się w położenia górzyste np. Szwajcaryi, tém więcej się powiększa. Patrzymy się tam na te przerażające nas istoty, już nie w zbiorze zakładowym dla nędzy, chorób, obłąkanych; ale przeciwnie, w miejscach gdzie świeże powietrze, prześliczna zieloność, najczystsze wody okrążają cudowne krajobrazy, gdzie zachwycająca natura powinna by najlepszy wpływ wywierać nie tylko na fizyczność ale i moralność; tymczasem w każdej wsi, nieledwie w każdym mieszkaniu, napotkać można nieszczęśliwą, pozbawioną godności człowieczej istotę, z ogromną niekształtną głową, z opuchłym prawie brzuchem, z szeroką szyją, często wyдутым gardłem, niezręczną w ruchach, z niepewnym chodem, niemogącą kilku słów wymówić wyraźnie. Taki jest kretyn! najczęściej siedzący przed domem, nie dający znaku cierpiętności, z wejrzeniem bez życia! Jak starożytni przy drogach budowali groby, dla przypominania że człowiek z całą próżnością i bogactwami krótko trwa na tej ziemi — tak ci kretyni zdają się na to wystawiać nędzną postać swoją wzbudzającą przerażenie i wstręt, aby przestrzegać zarozumiałych, jak nisko upaść może inteligencja, z której tak dumnie ludzie się chlubią!

Powodem, dla którego mimo tak pięknej i zdrowej na pozór przyrody, wyradzają się kretyni wśród górzystych i obfitych w roślinność niektórych miejsc Szwajcaryi,—są niezdrowe wody i wyziewy z bagien, których się pełno między górami i jeziorami spotyka. Wiadomo bowiem że człowiek w każdej chwili wciąga w płuca powietrze, suche lub wilgotne, ciepłe i zimne, ostre zepsute i zgniłe; cała powierzchnia

ciała jego znosić musi atmosferę czasami tak burzliwą, że aż zły wpływ na nerwy wywierająca; to wszystko drażni i osłabia organizm jego. Do tego ludzie, nie zmieniając nigdy miejsca pobytu swego, a tém samém mając już w sobie zarodki chorób sprowadzone *miejscowością*; gdy *między sobą tylko łączą się*, muszą wydawać na świat istoty jeszcze z większym usposobieniem do kretynizmu, któren się mniej lub więcej rozwija w skutek soków, jakie zaczerpuje z powietrza, pokarmów i napojów — dowodem jest, iż nie od urodzenia, lub w kilka miesięcy po urodzeniu jak idjotyzm, ale w lat kilka dopiero u dziecka, ten zupełny upadek czyli kretynizm spostrzegać się daje. Mnóstwo jeszcze przyczyn fizycznych, których w tém miejscu niepodobna umieścić, a zgłębionych przez badających naturę ludzką uczonych doktorów dowodzi, że w postrzeżeniach nie omylili się, gdy dobroczynne i trafne środki jakich używają, pomagają im do poprawienia złego i do zapobieżenia mu; ci i w najmniejszym dziecku, biegłym okiem, dostrzegają skłonności do kretynizmu.

Nadużycia, zbytek na wszystkich drogach wiodących ludzi czy to ku wykształceniu sił moralnych lub fizycznych, czy to ku życiu tychże, jest zgubnym, zabijającym *też same władze*. Przytoczymy tu zdanie jednego z francuzkich pisarzy: „Ze przesadzona czynność w ludziach przemysłem się trudniących, w których nieograniczona, niezmierna chęć zysku wyrabia (powiedzieć można) *sztuczną siłę*, przeraża się często w ich następcach w niedołężność, w potworność ciała, a czasem w znikczemnienie zupełne.” Porównywa dzieci ich do sztucznie ogrzewanych jaj, z których najczęściej kyrykaturowe wykluwają się kurczęta.

Przyroda idąc w pomoc niebacznój ludzkości, marnującej lub nie umiejącej korzystać z jej bogactw, nie dozwala rozwijać się pokoleniom nieszczęśliwych kretynów i idjotów i t. p. Ludzie w zupełnym kretynizmie będący, lubo nieznający upadku swojej istoty, pozbawieni wszelkich władz człowiekowi a nawet każdemu zwierzęciu w stanie zdrowia właściwych, nie zawierają żadnych związków, z natury swojej nie czują ku temu pojęcia i potrzeby i tym sposobem nie mając potomstwa, kończy się na nich samych to chorobliwe życie. Jak wśród rodziny, między chorymi na cholere lub żółtą febrę, żyjącej, nie wszyscy tej epidemii ulegają, tak równie mieszkańcy w bliskości niezdrowych bagien żyjący, nie wszyscy dotknięci bywają kretynizmem zupełnym. Wśród wielu rodzin, znajdzie się kilkoro tylko niedołęgów. W niektórych

miejscach w Szwajcaryi, przesąd dobroczynne tym razem wywiera skutki. Najwięcej jest rodzin takich które się cieszą kretynem w rodzie, uważają go za świętego, za uprzywilejowanego od nieba, bo nie grzeszącego; otaczają go na jakie tylko zdobyć się mogą wygody, czule go pielęgnują z wielką troskliwością. Gdy przeciwnie w krajach mniej cywilizowanych więcej ku północy posuniętych, kretyn, idjota, uważanym jest za dziecko podrzucone przez szatana, którego korzystając ze snu matki, zwykle wśród burzy i nawałnicy wpada małym otworem do chaty, porywa nowo-narodzone dziecko, a zostawia swoje. Dziecie takie nazywają, stosownie do pochodzenia jakie mu nadają, Otmieńczyk (Zamienione). Dziecie takie jest zwykle najniebezpieczniejszą ofiarą przesądu ciemnoty, która w fanatyzmie swoim, głuży nawet instynktowe wrodzone uczucia. Albowiem najczęściej matka sama nie opiera się rozmaitym barbarzyńskim środkom jakich używają, ażeby wypędzić szatana z dziecka i zmusić go żeby na powrót oddał zamienione zdrowe. Jeżeli matka opiera się, wykradają je, i na rogach wsi biją sznurami od dzwonów. Naturalnie dziecie po rozmaitych takich i tym podobnych mękach, umiera — a wtedy nadzieja pewna że to, które się po nim narodzi, będzie ładne i zdrowe, bo szatan widząc jak źle jego dziecko traktowano, nie zechce drugiego ofiarować.

Smutno pomyśleć że kiedy z jednej strony, filantropija i ekonomija polityczna wszelkich używają sposobów do zapobieżenia, do wyniszczenia powodów rozmnażających idjotyzm i kretynizm; kiedy w niektórych okolicach przez osuszenie szkodliwych bagien, przez udzielenie stósownych mieszkańcom środków do uniknienia tej strasznej choroby; do których to środków należy zamieścić odmianę miejsca i powietrza w pewnych porach roku, ułatwioną kolejami żelaznymi; kiedy z różnych podobnych przyczyn nadzwyczajnie i widocznie zmniejszyła się liczba tych nieszczęśliwych, tak, że w niektórych okolicach w początku wieku zapełnionych prawie kretynami, dziś ich mało spotkać można. Smutno pomyśleć że w innych częściach globu, niesumienny duch spekulacji, stara się, powiedziećby można, o zaprowadzenie kretynizmu pomiędzy ludność, klimatem i zwyczajami do przyjęcia go usposobioną. Mamy przed oczyma świadczące o tej prawdzie zdania światłych podróżnych, naocznie przekonanych o okropnych skutkach wprowadzania opium do Chin. Już tam widzieć teraz można pokolenia w niedołężności, w idjotyzmie żyjące, z przyczyny zbytniego używania opium. Nic

smutniejszego nad widok tych oddalających się temu trującemu narkotykowi, nic ich z tego stanu wyrwać nie może, jedna śmierć tylko, następująca zbyt późno po zupełnym zbezwładnieniu. Jak smutno pomyśleć że chrześcijańskie, dumne ze swęj siły i cywilizacji Państwo, nachodzi mniej od natury uposażone plemiona, nie żeby się z nimi oświatą dzielić, lecz przeciwnie, aby im na zawsze zamknąć do nięj drogę! A czyniąc to bez żadnego powodu dającego się jakimkolwiek wyższym wytłumaczyć powodem, lecz po prostu dla marnego zysku; duch spekulacji zda się, wszystkie tam zagłuszył szlachetne uczucia, tak dalece, że na ten obrzydliwy handel trucizną nie powstają nawet jednostki, choćby tak jak na handel murzynami, który przynajmniej silniejszą opozycyę obudza. Niepodobna, aby te dwie wielkie zbrodnie bezkarnie długo pozostać mogły; naród jedynie tylko kupiectwu oddany, jedynie dobry byt materialny mający na celu, skarany być musi tém samém, czém grzeszy.

Jak wysyłanie do Chin opium tak, lubo daleko na mniejszą skalę, grzechem jest dozwoleńie a nie ledwie ułatwienie pijaństwa wódczanego. Twierdzą podróżni iż w Szwecyi, gdzie dawniej obcym prawie był kretynizm, dziś rozwija się w skutek rozszerzającego się pijaństwa. Wspomnieliśmy wyżej, jak w pięknych i żyznych okolicach Ukrainy, często idjotów w skutek tego okropnego, jak świadczą lekarze, nałogu, spotykać się daje. U nas, jak wiadomo, pomimo że kraj cały za panowania Sasów obficie używał trunków, ależ temi trunkami było wino i miód, którego nawet dobrze mający się kmiecie, hodując pszczoły, mieli na swoją potrzebę. Gorzałka wówczas była rzadszą; sądzić możemy po starych inwentarzach miast, jak mało gdzie ją wyrabiali. Dopiero z początkiem tego wieku upowszechniła się i przybrała nazwisko wódki; a nieszczęśliwe pistoriusze i wszystkie przyrzady do wyrabiania łatwego z kartofli wódki, dokonały rozszerzonego dziś już i u nas pijaństwa. Pijaństwo to jeszcze zbyt jest niedawne, ażeby już dzisiejsze pokolenie w kretynizm zamienić mogły, jednakże jest już skierowane ku tej okropnej drodze. Świadczą biegli lekarze że tak bardzo rozpowszechnione skrofuły, które miejscami do zbyt wielkiego rozwijają się stopnia, iż w całej wsi jednego wolnego od nich nie znajdzie dziecka, są smutnym skutkiem zbytniego używania przez rodziców wódki. Wódka nie mająca w sobie żadnego balsamicznego, posilającego pierwiastku jak wino, miód lub piwo, będąc tylko trawiącym i podniecającym, a tém samém zapal-

nym irytującym działaczem, jest także wolną trucizną, prowadzącą do zupełnego upadku pracującą ludność.

Nie jeden obrońca wódki, czy to przez niezajomość prawdziwej natury tego zabójczego trunku, czy to chcąc ulżyć sumieniu tych, co jak Anglicy na opium, spekulują na wyrabianiu i sprzedawaniu jak największej jej ilości — opiera obronę swoją na doświadczeniu, dowodząc: że kiedy jemu nie szkodzi ten trunek, tém bardziej pracującemu wieśniakowi szkodzić nie może. Obrońca nie zastanawia się nad tém, jak wielka różnica zachodzi między jego a wieśniakażywieniem! Przy tłustych, posilnych pokarmach, pewna, nie wielka ilość trawiącego, wygryzającego trunku, nie może krwi zapalać, ginie ona i równowazy się ze zbyt często posilnemi i tłustemi strawami. Lecz wieśniak nie jedzący prawie mięsa, a większą część roku samą solą kraszający roślinne pokarmy, właśnie potrzebowałby posilnego, jak piwo lub miód, napoju, a on tymczasem używa tylko wódki i to w takiej ilości, iż ta na cały organizm na wyrabianie wszelkich soków działając, psuje krew, i nie tylko zapalne sprwadza choroby, ale źle wyrobione soki, materję skrofuliczną zaś rozwinąwszy, zarażają nią następne pokolenia.

To wyradzanie się tak fizycznych jak moralnych monstrualności, które bezmyślnie zowią jakimś przypadkiem, jeszcze u starożytnych miało wykazaną przyczynę swoją — Dowód tego widzimy w jednym z najdawniejszych poetów greckich Hezjodzie — albowiem przestrogi jakie daje dla powracających z pogrzebu, w jednym poemacie swoim, są dowodem wiary w tę medycznie i psychologicznie stwierdzoną prawdę, iż dzieci w chwilach gwałtownego usposobienia rodziców, do życia powołane, coś niezwykłego w charakterze swoim przynoszą — Tym sposobem tłumaczy się na pozór zadziwiający fenomen; że dziecko tychże samych rodziców, starannie wychowane, odróżnia się od rodzeństwa (w tychże samych wychowawczych warunkach) najgorszymi skłonnościami, których częstokroć usiłowania pedagogiczne pokonać zupełnie nie mogą.

Nauka medycyny, czytanie lekarskich książek nie jest przystępne powszechności, wszakże pożądaną byłoby rzeczą, aby uważaniem było za obowiązek u rodziców pragnących i spodziewających się potomstwa, obeznanie się z działami stósownemi, rzucającymi światło na rozmaite nieszczęśliwe zdarzenia jakimi są wyradzanie się czy to moralne, czy fizyczne

w dzieciach, w skutek nieogłędności, lub niewiedomości rodziców.

Roczniki medyczno-psychologiczne dostarczają mnóstwo ciekawych pod tym względem opisów. Mianowicie życzyłoby wypadało, aby naczelnik rodziny, i właściciel dóbr ziemskich, którego Opatrzność opiekunem nad włościanami postawiła, obeznanym był choć w części z tą gałęzią piśmiennictwa. Wtedy dopiero zamiast tolerowania pijaństwa we wsi swojej, poznawszy w całej rozciągłości złe, jakie użycie wódki przy rodzaju posilenia chłopka naszego sprwadza; wszelkich dożyłby starań, aby browary wódczane na piwne przerobić; aby zapobiedz, położyć tamę tej gangrenie, grożącej coraz większym niebezpieczeństwem przyszłym pokoleniom. Bo jakichże następców spodziewać się możemy, po tych dzieciach w których nurtuje materya skrofuliczna? Jeżeli zamiast zachowania ich stosownym trybem życia, od zupełnego tejże materji rozwinięcia, pozwolą im iść w ślady rodziców i za jedyny środek *rozgrzania*, *wzmocnienia*, uważać każą wódkę, podniecającą i zaostrzającą krew, wtedy, bez wątpienia następcy ich nie tylko że stokroć bardziej tej chorobie podlegli, zapełniać będą szpitale, ale dziś już z każdym rokiem więcej liczą z bezwładnemi członkami ofiar: nie tylko że wążta ich organizacya uczyni je niezdolnemi do pracy rolniczej, ale nadto w trzecim lub czwartym pokoleniu upowszechni się idjotyzm i kretynizm, jak w niektórych prowincjach gdzie dawniej niż u nas ten nieszczęśliwy nałóg panuje. Wtedy z naszego ludu dorodnego, silnego, rzeźkiego, wytrwałego w pracy i bojach, dopóki *palenie gorzałki* było rzadkim w niektórych miastach przywilejem, wyrodi się niedołężne, chorowite i bezsilne plemie. Czyż nie równa a nawet sroższa odpowiedzialność zacieży na naszych spekulantach wódczanych, niż na Anglikach handlujących opium; bo ci przynajmniej obce, nie sympatyczne trują plemiona, a pierwsi gubią własny lud w opiekę im oddany. Istotnie niewiedomością tylko, nie przypuszczeniem tak złych następstw, mogą się tłumaczyć; przeciwnicy wstrzemięźliwości. Na nieszczęście, niezdrowe soki krążące we krwi, materya skrofuliczna, nie tak widocznie, nie tak prędko jak suchoty udziela się — ztąd więc wątpliwość w ludziach powierzchownie rzeczy biorących, czy jest istotnie to złe; które okropniej przeradza się i zwiększa z pokolenia w pokolenie tak, że w końcu do idjotyzmu zupełnego przychodzi? Z tych wątpliwości pochodzi obojętność i brak gorliwości, w zatamowaniu owej grożącej gangreny. Oby tacy ludzie chcieli po

święcić chwilę czasu, czytaniu lekarskich na do-
świadczeniu opartych rozpraw, roczników, podróży,
aby sami sumiennie zastanowić się chcieli, nad przy-
czyną szerzącą zepsucie, moralny i fizyczny upadek
wieśniaków—a wtedy niepodobna iżby nie woleli po-

nieść straty chwilowej na jakąby ich zamknięcie bro-
warów naraziło, aniżeli wziąć na sumienie zgubę
teraźniejszych i przyszłych pokoleń, którym opiekę
winni. S.

LUDWIK ARIOSTO.

(Z RYCINA.)

Jedno z najstarszych miasteczek Włoskich, Reggio,
dawna twierdza, była ojczyzną Arjosta, który urodził
się roku 1474, ze znacznej, spokrewnionej z książę-
tami Ferrari, rodziny. Nauki pobierał w szkołach
Ferraryjskich. Obdarzony pełną wdzięku powierzch-
wnością, od najmłodszych lat swoich Ludwik Arjosto
tak dla piękności swój, jak dla zdolności poetycznej,
która się w nim nader wczesnie rozwinęła, jak ró-
wnież dla wesołego dowcipu, był powszechnie lubio-
ny i zapraszany. Alfons I, ówczesny książę Ferrari
powołał go na dwór swój, gdzie młody i piękny poe-
ta jaknajlepiej był widziany: mianowicie upodobał
go sobie brat Alfonsa I, Hippolit kardynał d'Est i to
uczucie serdecznej życzliwości zachował dlań do
śmierci. Arjosto nawzajem był do niego bardzo przy-
wiązanym, a tak dalece w pobłażliwości dla siebie
kardynała zaufanym, że powążył się Mu poświęcić
sławne dzieło swoje Rolanda szalonego, w którym
z dowcipem sobie właściwym szydzi z duchownych
szydzi trochę i z form katolickich, gdzie niepohamo-
wana nawet przyzwoitością fantazja jego, tworzy je-
dną ze śmiesznych karykatur w osobie arcybiskupa
Turpina.

Dla miłości pięknej poezji, przebaczył kardynał
wszystkie pociski przeciw stanowi jego wymierzone,
jednakże miał mu powiedzieć, po przeczytaniu tego
szalonego dzieła, te słowa: „Dove diavolo S. Ludo-
vico avete pigliate tante coglienerie?” Zkąd u dja-
bła panie Ludwiku! nachwytałeś głupstw tyle? Isto-
tnie w tym sławnym, wieku swego, poemacie, z pra-
wdziwie zadziwiającą obfitością zebrał autor wszy-
stko, co tylko nienaturalnego, dziwnego, potwornego
wyobraźnia ludzka wymyśleć, wynaleść mogła; prze-
cież tyle dowcipu, tyle wdzięku błyszczą na tém tle

starych legend rycerskich osnutém, że Arjost zyskał
nim sobie Europejską sławę; tak dalece, że go wyż-
szym od nieśmiertelnego Homera czyniono. Przyta-
czamy tu na dowód zdanie jednego z odznaczających
się wyższością literatów francuzkich: „Jeżeli zechce-
my porównać, zważyć, wartość Odyssei Homera, z Ro-
laudem Szalonym Arjosta; pokaże się, że w każdym
względzie Włoski autor przeważa. Oba błędzą ni-
czém niepowstrzymaną wyobraźnią i nie do uwierze-
nia, nie do pojęcia romantycznością; lecz Arjost od-
kupuje tę wadę, allegorjami tak prawdziwemi, tak
trafnemi dowcipnemi satyrami, taką znajomością ser-
ca ludzkiego; tyle wdzięczną i miłą koniecznością,
następującą po najstraszniejszych wydarzeniach, zgo-
ła tylą niezliczonemi rozmaitego rodzaju pięknościa-
mi, iż znalazł sposób uczynić potwór uwielbienia
godnym.”

Kiedy u obcych zjednał sobie tyle pochwał swoim
poematem, można sobie wyobrazić z jakim uwiel-
bieniem, z jakim zapałem przyjęty był przez Wło-
chów tak umiejących oceniać arcydzieła sztuki i taką
czcią otaczających jęj autora. To też kiedy Arjosto
mianowanym został przez panującego księcia, rządcą
jednej prowincyi w bliskości Apeninów położonej, jak
najlepszy wpływ na nią wywarł, pomimo że mieszkań-
cy téj prowincyi, bez żadnych karbów żyjący, prawie
się zupełnie połączyli z bandą rozbójników nader
liczną, w skutek bliskości gór dających im schronie-
nie. Gubernator-poeta, tak umiał surowość z łago-
dnością połączyć, iż przez czas rządów swoich ogro-
mną sprawił zmianę w całej prowincyi. Mieszkańcy
doprowadzeni do pracy i posłuszeństwa władzy,
a banda rozbójników zmniejszona, uśmierzona, bar-
dzo rzadko dopuszczała się nadużyć. Dowodem jaką



Titani pinx.

ARISTO.

— rządcą cześć obudził w poddanych, — a razem jak wszyscy bez wyjątku mieszkańcy pięknej auzońskiej krainy umieją cenić sztukę, jest następujący wypadek, przez ówczesnych biografów do wiadomości potomnych podany.

Dnia jednego Arjosto ranną godziną, w szlafroku, (lubił bowiem pieszo kilko-milowe robić przechadzki) po za mury miasta i twierdzy wyszedł, — w ów czas kiedy był rządcą miasta. Ulegając wpływowi wonnego powietrza i cudownym widokom o które tak łatwo we Włoszech, a na które mimo to mieszkańcy tak są tkliwi; zadumany, może o planie nowego jakiego poematu, w tak daleką od miasta zapuścił się drogę, że nagle znalazł się sam jeden wśród niezamieszkałej, pełnej wawozów okolicy, gdzie go, otoczyło kilku bandytów. Kto inny na jego miejscu pewnoby musiał okupić życie obietnicą złożenia jakiej wielkiej summy; lecz szczęściem jeden z napastników poznał go, i zawołał: to rządcą nasz poeta Arjosto! „Arjosto autore d' Orlando furioso! — zawołali bandyci i padli na kolana przed bezbronnym poetą, przepraszając go za chwilową pomyłkę. Chcąc go zabezpieczyć od podobnego w dalszej podróży napadu, odprowadzili go pod mury fortecy, tłumacząc mu, że jakkolwiek jako rządcą karzący zbyt wolne i szkodne *rzemiosło*, nie może w nich dla siebie wzbudzać przychylności; lecz jako poeta — wielkie ma prawo do ich miłości, do ich uwielbienia; a zatem winy rządcy okupił poeta! Zdziwiony, rozczulony Arjosto, nie oszczędzał bezwątpienia wymowy, aby w tych ludziach zapalał, obudzić uczucie moralnego piękna, którego oni w sposób przyjęty przez cywilizację i religję pojąć jeszcze nie umieli, poddając się jedynie swój samowolnej, nieznoszącej żadnych przymusów, naturze. Kto wie, może czego nie mogły dokonać surowe prawa, dokonały wdzięczne słowa płynące z ust pięknego poety, i może wielu z tych ludzi porzuciło szkodliwe *rzemiosło*, aby stać się użytecznymi członkami społeczeństwa. Być to mogło, gdyż istotnie Arjosto opuścił prowincję prawie wolną od napadów.

Dowcip pełen żartobliwości jaki stanowi główne tło sławnego jego poematu Rolanda szalonego, nadto wesołość w towarzystwie, świadczą iż autor był nader swobodnego, wesołego usposobienia, a przecie, jak się zdarza nieraz, dusza jego była pełna namiętności, tęskniąca, kochająca, marząca. Każdą stratę boleśnie przecierpiał, a gdy uległ chorobie, która bez cierpień, bez bólów, tylko brakiem sił żywotnych zagrażała życiu jego, mawiał nie raz nim się to życie

wyczerpało zupełnie: „Smutno mi bez tych, których potraciłem a kochałem tak bardzo! miło mi pomyśleć że się czas zbliża, w którym się połączę z nimi!” Chorując lat kilka, w skutek ubytku sił, umarł Arjosto kochany, szanowany równie dla czystego życia jak dla pięknej poezji r. 1533, przeżywszy lat 59. Lubo poeta nie szczędził w swoim poemacie opisów pysznych pałaców w wytworną rzeźbę ozdobnych, dla siebie ich niepotrzebował, owszem, miał nader skromne upodobania; zamieszkiwał zwykle domek mały wśród ogrodu, który sobie sam swoim gustem w Ferrarze wystawił. Gdy mu wyrzucano i dziwiono się jak on, poeta, umiejący z takim smakiem opisywać obszerne pałace, mógł dla siebie zbudować tak niski domek, rzekł: „bo łatwiej nagromadzić wiele słów niż wiele kamieni.” W tym to z *niewielkiej liczby kamieni* złożonym domku, pisał Arjosto ów wielki poemat. Mieszkały tam razem z nim dwie siostry jego, gdyż miłość rodzinna była pierwszemu u niego uczuciem, tak dalece, że gdy ojciec, nie bacząc na jego poetyczne usposobienie, życzył sobie ażeby się nauce prawa oddał, posłuszny Arjosto pięć lat młodocianego życia poświęcił temu zawodowi, w którym korzystał z wolnych chwil, ażeby pisać z razu sonety, canzony i wiersze w rodzaju elegij miłosnych znanych we Włoszech pod nazwą Capitoli amorosi, a potem sztuki teatralne, które z takim zapałem przyjął, że je współcześni na równi ze sztukami starożytnych rzymskich pisarzy Plauta i Terencjusza kładli.

Doskonale posiadał języki amianowicie francuzki, hiszpański, łaciński, i pierwsza rozprawa a raczej mowa z którą wystąpił na popisie i która mu zjednała sławę między professorami i uczniami, była w języku łacińskim, treści następnej: *Co człowiek czynić powinien żeby był mądrym i wielkim?* To też kardynał Bembo, starał się nakłonić młodego poetę ażeby pisał w tym języku, starał się go przekonać że w porównaniu tej klassycznej mowy, włoski język jest tylko narzeczem (idioma). Ale pełen prawdziwego natchnienia młodzieniec, nie dał się nakłonić; czuł on różnicę tego bogatego, pełnego dźwięku, żyjącego języka swego, przeczuwał przyszłość, piśmienictwo jego i wolał być pierwszym poetą włoskim przystępnym ogółowi, niż podrzędnym łacińskim.

Zdaje się iż jakaś nieszczęśliwa, bo nieprawda miłość wpłynęła na pozbawienie pełnego uczucia poetę swobody wewnętrznej i szczęścia rodzinnego. Mimo usposobienia do wesołości, mimo dowcipu, przebijała w nim tęsknota, smutek, a pociąg do samotności tym bardziej te uczucia rozwijał. Widać stosunek

ścisły łączył go z jakąś kobietą, lecz go umiał tak ściśle tajemnicą pokrywać iż dotąd stan, imię jej, pozostało niewiadome—a dzieci z tego związku dopiero dorosłszy, dowiedziały się jakiego mają ojca, zaś o matce nie wiedziały nigdy!

Arjosto umarł w ulubionym swoim domku w Ferrarze i tam został pochowanym z największą skromnością stosownie do życzeń swoich, tak dalece że nawet żaden kamień, żadna oznaka nie wskazywała wiecznego schronienia nieśmiertelnego wieszca. Lecz rodacy nie długo pozwolili mu to incognito zachować. Zostawił on podwójne między nimi uwielbienie jako człowiek pełen szlachetności, zasług i jako pierwszy w tak wielkim rodzaju poeta któremu dano przydomek Bozkiego (divino): nie mogli więc bez oznaki czci zostawić jego grobu. Najpierw jeden z zamożnych Ferrarczyków nazwiskiem Mosti, wznosił mu nagrobek w lat 40 po śmierci, a po nim prawnuk jego Ludwik Mosti wystawił bardzo piękny marmurowy pomnik, który dotąd zdobi grób poety.

Jakiś dowcipniś francuzki wzmiankując o piśmiennictwie włoskiem, wyraził się: „iż Orland szalony, znalazł grób w Jerozolimie wyzwolonej.” Uwaga ta niestosowna: bo jak można porównywać dwa płody tak nadzwyczaj różne? Nieśmiertelny; uroczysty śpiewak Jerozolimy, napełnił nowemi skarbami i z bogacił ojczyznę, nie zabierając nic wcale z tych, które poprzednik jego złożył; błyszczą one zawsze lubo zupełnie odmiennym blaskiem. Kto chce podziwiać nadzwyczajną obfitość w dziwaczne romantyczne płody ognistej wyobraźni przybraną, obudzającą mimo niepodobieństwa położenia wielkie zajęcie; kto chce do-

świadczyć jak nadzwyczajny genialny umysł, wprowadzając w sfery zupełnie nienaturalne, nadludzkie, czytelnika, oburzyć go nieledwie może do tego stopnia, że się zajmuje losem tych dziwnych bohaterów; kto chce poznać nadzwyczajną łatwość z jaką od wzniosłego heroizmu do śmieszności przechodzi autor, a zawsze tak zajmującym sposobem że czytelnik nie ma czasu żałować zaczętego najciekawszego, raptem porzuconego faktu, bo wnet go autor wprawia w zdziwienie, i pociąga urokiem, jakiemu się oprzeć nie zdoła i rzucić książki nie jest w stanie; ten niech czyta Rolanda szalonego. Kto zaś chce unosić się nad prawdziwie klassycznym dziełem z nieporównanym wieszczem, różne przejścia głębokich uczuć mistrzowską ręką skreślającym, ten niech czyta Jerozolimę wyzwoloną Tassa.

Poemat Roland szalony wyszedł najpierw w roku 1517—później po śmierci poety ogłoszono kilkanaście wydań—z tych najpiękniejsza edycja wenecka z roku 1730 i 1766 i paryska illustrowana. Tłumaczono Arjosta na wszystkie prawie języki. Na Polski przełożył go najprzód Piotr Kochanowski nie rymowym wierszem, część tego przekładu wyszła w Krakowie 1793, a cały rękopism znajduje się w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Drugi rękopism, w którym tylko parę strof do końca brakowało, własną Kochanowskiego skreślony ręką, znajdował się najprzód u pułkownika Regulskiego, potem u Ministra Dembowskiego, dziś zaś u W. Barowskiego we Lwowie.

Krasicki Ignacy, także kilka urywków z Arjosta przepolszczył. S.

WULKANIZACYA OLEJU.

Pan Perra doszedł do szczególnych rezultatów, odnoszących się do działania, jakie wywióra chlerek siarki na oleje.

Zmieszany z jakimikolwiek bądź olejami roślinnymi, licząc w to i oliwę, chlerek siarki przy zwykłej temperaturze, przemienia je prawie natychmiast, w ciało stałe, mogące być nadzwyczaj twardem.

Do 100 części oleju lnianego, dodawszy 35 części chlorku siarki, kombinacja powstająca dojdzie do

maximum twardości. 100 części oleju, a 15 do 20 części chlorku siarki, dają substancję miękką.

Dla wykonania tego działania jak się należy, używa się chlorku siarki, w którym siarki jest o ile możliwości najwięcej. Płyn ten potrzeba nalać od razu do oleju, i mieszać aby się równo rozszedł. Mieszalnina stopniami rozgrzewa się, kombinacja następuje, olej twardnieje. Ale potrzeba wystrzegać się zbyt dużego podwyższenia temperatury, i dla tego działa

się tylko w małych ilościach, inaczej mocne ciepło ulotniłoby chlorek siarki, porobiłyby się bąble, a nawet olej mógłby poczernić, to jest zwęglić się. Jak tylko masa twardnieć zaczyna, wyklada się ją na szybę szklaną, lub na jakąkolwiek inną powierzchnię gładką, rozprowadza się ją i równa. W pięć do sześciu minut, kombinacya jest ukończoną. Podważa się nożem jeden z końców powłoki, którą z łatwością podnieść można bez złamania. Można też jedną warstwę wykladać na drugą, ba, one nawet się spoją, jeżeli przed położeniem następnej warstwy, poprzednia całkiem wystygnie. Aby zapewnić spojenie, należy ochraniać je od wilgoci, gdyż ta, rozkładając chlorek siarki, przeszkadza spojeniu.

Pan Perra postępując powyższym sposobem, otrzymał tak mocne płyty, że z nich wyrabiać kazał pudełka, oprawy do nożów, i t. d.

Ponieważ wyrób ten jest całkowicie przezroczysty, próbowano obrócić go na szyby do okien. Nie podlega bynajmniej wpływom atmosferycznym, i tylko tę ma wadę że jest kruchy, i zachowuje przez długi czas nieprzyjemny zapach.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły zastosowań, jakich przedmiotem zostanie ta nowa substan-

cya; własności jej bowiem są jeszcze zbyt mało poznane. Lecz nie wątpimy że przemysł, wyciągnąć potrafi użytek z materji stałej a plastycznej, która zawsze być powinna wyrobem tanim, z powodu iż części jej składowe nie są wielkiej wartości.

Lecz na czém polega, zachodząca w tej okoliczności, modyfikacya chemiczna oleju? Niewątpliwie na łączeniu się siarki z olejem; w podobny sposób działała na gumę elastyczną, której *wulkanizowanie* głównie polega na łączeniu jej za pomocą ciepła, z pewną ilością siarki. Siatkowany, czyli wulkanizowany kanczuk, jest elastyczniejszy, twardszy i wytrzymalszy od zwykłego. Tę samą modyfikacyę sprządza chlorek siarki, zmieszany z olejem; ztąd pan Perra nazwał to, *wulkanizacyą* oleju.

Musimy tu nadmienić, że fakt stwardnienia oliwy, był już uważanym w 1849 roku, przez pana Nicklés, dzisiaj profesora fizyki w Nancy. Pan Nicklés zatykając raz flaszeczkę, zawierającą chlorek siarki, umaczał korek w oliwie. Nazajutrz ujrzał z zadziwieniem, że taż oliwa stwardniała.

Następnie panowie: Rochleder i Ganmond ten sam fakt uważali, i w dziennikach naukowych zanotowali.

ROZMAITOŚCI.

1. NAZWY U MACHOMETAN.

Muhametani nie mają imion rodowych; z śmiercią ojca ginie także imię jego i nie przechodzi wcale na dzieci. Dnia 7 lub 8 po narodzeniu otrzymuje dziecko nazwę, co się z małą uroczystością familijną odbywa. Podczas niej ojciec odmawia modlitwę nad nowonarodzonym, poszeptnie mu imię w ucho, a potem oznajmia głośno wszystkim obecnym. Wszystkie imiona muzułmanów dają się rozdzielić na cztery klasy.

W pierwszym rzędzie są imiona patryarchów i proroków, według słów Muhameta: „dajcie dziatkom swym imiona proroków.” Z tych są najużywańsze: Ibrahim (Abraham), Ismail (Ismael), Izzed (Izak), Jakue (Jakób), Issuf (Józef), Mussa (Mojżesz), Harun (Aron), Daud (Dawid), Soliman (Salomon), Muhamed, Hamed, Mahmud (trzy nazwy proroka na ziemi, w niebie i piekle).

W drugim rzędzie następują imiona tych, którzy

się do rozszerzenia islamizmu przyczynili, jako to: Osman, Omar, Ali, i t. d. W trzecim rzędzie są imiona zaczynające się od *abd* to jest sługa, np. Abd-Allah (sługa boży), Abd-el-Kader (sługa mocnego), Abd-el-Kerim (sługa wielkomyślnego); są to w ogóle imiona od własności boskich wyprowadzone. Nareszcie czwarty rząd imion tworzy się z końcówką *din* czyli wiara np. Salah-ed-din (Saladyn, odnowiciel wiary), Mehed-din (następca wiary), i t. p. Hassan (piękny), Hakem (mocny), Said (szczęśliwy), Reszid (sprawiedliwy), Mustafa (wybrany boży). Aby uniknąć niepewności przy takim mnóstwie jednokich imion, używają także w przydatku nazwisk, ale nie na sposób europejski, ponieważ syn zwykle inaczej się nazywa niż ojciec. Nazwiska przydatkowe wzięte są często z jakiej własności, np. El-Kebir (wielki), El-Nekik (ubogi). Najczęściej jednak zaczynają się od wyrazu *ben* lub *ibn* (syn). po którym następuje imię ojca np. Ben-Hassan. Często i ojciec

zaniecha swego imienia, i nazywa się podług syna, np. Abu-Taleb (ojciec Taleba).

Niewiasty mianują się zwykle podług jakiej własności, np. Sajda (szczęśliwa), Lobua (biała), Derifa (przyjemna), Dżemila (piękna), Lulu (perła), Sahra (kwiatek), i t. d.

Lum.

2. DZIWNE ZJAWISKO NA MORZU BALTYCKIEM.

Na posiedzeniu Towarzystwa naukowego Estlandzkiego, w Oddziale Historii Naturalnej czytano rapport pana Briancour datowany z Kertel na wyspie Dago, opisujący osobliwy natury fenomen na morzu Bałtyckim.

Ponieważ rapport ten, jako dotyczący zjawiska które p. Briancour, opierając się na uzasadnionych wnioskach, nie bez wielkiego prawdopodobieństwa przypisuje kołysaniu się dna morskiego, — zdaje się dosyć pod względem naukowym ciekawy, przytaczamy więc tutaj z niego krótki wyciąg:

„Okolo godziny szóstej wieczorem 14 stycznia zerwał się silny wiatr od Pn. Pn. Z. (N. N. W.) termometr pokazywał — 2,4°. W nocy wiatr odwrócił się najprzód ku Zachodowi, następnie zaś przeszedł w wicher, do 8 rano następnego dnia dał z deszczem od Pd. Z. (S. W.). Termometr wskazywał + 1,5°. Razem z rzadkim i nie ciągłym deszczem padał także śnieg i drobny grad. O godzinie drugiej i dziesięć minut po południu, przy temperaturze + 2°, gdy śnieg, grad, deszcz i szron zaciemniały atmosferę, a wiatr gwałtowny dał od Z. Pd. Z. (W. S. W.) woda morska nabiegła do strumyka Kertel, dostarczającego wodę fabryce sukienniej i podniosła powierzchnię jego na dwie sto-

py paryskie i dziesięć cali, — w tej wysokości utrzymywała się do godziny drugiej i minut dwanastu; o którym to czasie ustąpiła i strumień powrócił do normalnego stanu: (w tych dniach stan wody na strumieniu należał prawie do najwyższych). Ten przypływ i odpływ wody morskiej trwał wszystkiego dziewięć minut.

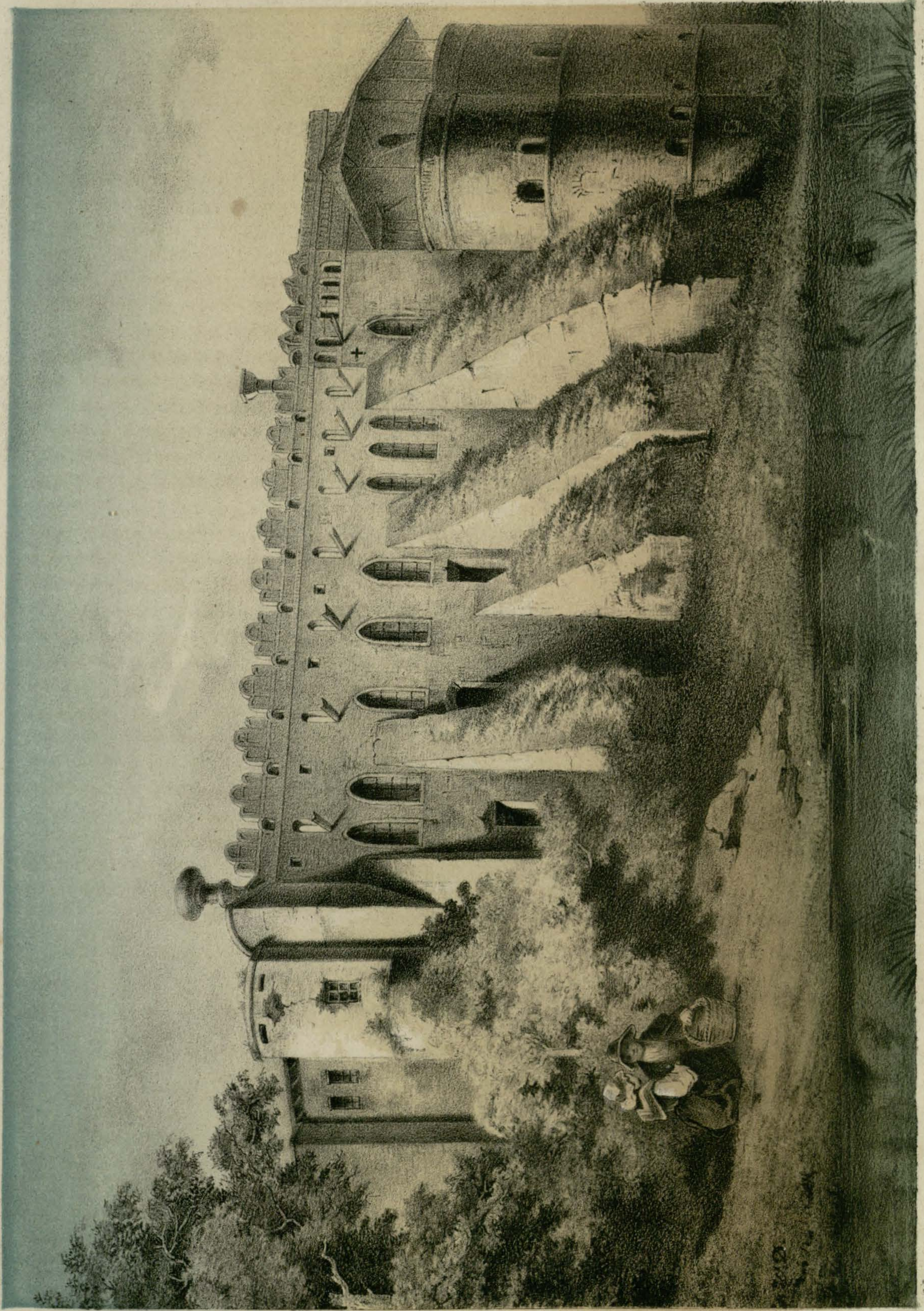
„O godzinie drugiej i minut 26, nabiegła do strumienia druga fala z większą niż pierwsza gwałtownością, przy czém woda jego podniosła się do trzech stóp i czterech cali. O godzinie drugiej minucie czterdziestej pierwszej strumień powrócił do normalnego stanu. Wiatr, który dotąd — jednakową ciągle dał siłą, odwrócił się znowu Pn. Z., a potem stopniowo ustawał w ciągu nocy i następnego dnia. Innych uderzających fenomenów przytém nie widziano, ani w powietrzu, ani na ziemi i kto nie był oecnym przy dopiero opisaném podnoszeniu się i opadaniu wody, ten nie mógł nawet przypuszczać, że się stało w naturze coś niezwyčajnego.”

Daléj p. Briancour mówi: „Byłem prawie gotów sądzić, że opisany przezemnie fenomen był czysto miejscowy i trąbą morską spowodowany, lecz wkrótce przekonałem się z zebranych wiadomości że w Tiefenhafen jeszcze bardziej uderzające zjawisko miało miejsce, albowiem tam woda podniosła się prawie na cztery stopy i fala porwała i wyrzuciła na brzeg niewielki statek stojący w pobliżu na kotwicy. W Hohenholm zaś jednocześnie jak w Kertel woda wylała na trzy do czterech stóp na brzeg.”

„Z południa i południo-zachodu wyspy Dagöe nie otrzymałem dotąd pewnych doniesień, którebym mógł przedstawić Towarzystwu.”

W końcu rapportu p. Briancour prosi Towarzystwo o zakommunikowanie mu wiadomości, jakie o tém zjawisku zkad inąd poweźmie.

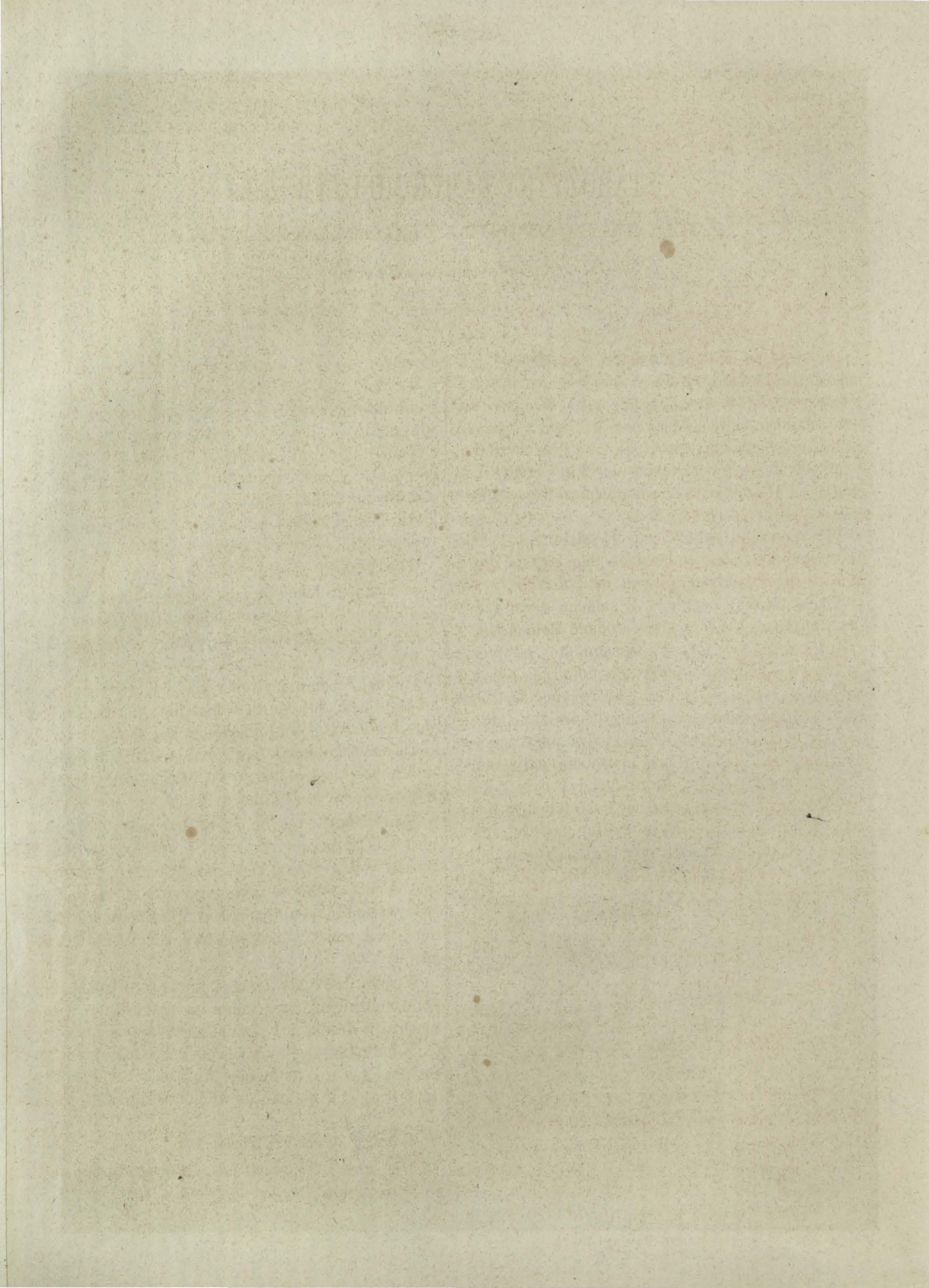
(Rigasche Zeitung, Nr 42).



w Warszawie

Zamek w Międzybożu na Podolu

w Lit.: H. H. H.



STAROŻYTNY ZAMEK MIĘDZYBOŻSKI

Z KRÓTKIM OPISEM TEGO MIASTECZKA.

(Z WIDOKIEM LITOGRAFOWANYM.)

Nie tylko na Podolu, ale w całej przestronnej niegdyś dawniej Polsce, trudno znaleźć nie tylko starożytniejszej, ale wspanialszej i lepiej zachowanej budowli nad zamek w Międzybożu, którego załączamy tu rycinę, zdjętą z natury przez H. Chrzanowskiego, byłego profesora w szkole wyższej międzybożskiej, który był później głównym budowniczym w dobrach po-radziwiłłowskich na Litwie.

W samym, że tak powiemy *Y*, gdzie rzeczka *Bożek* wpada do *Bohu*, wzniesiono miasteczko podolskie Międzyboż, biorące nazwę od położenia swego pomiędzy dwiema rzekami. U samego ujścia rzeczno-go, okolony z dwóch stron wodami Bohu i Bożku oraz sztucznie wykopanemi fossami, stoi odwieczny zamek, przepysznój architektury, dotąd jak najzdrowiej zachowany. W fossach, które chociaż dzisiaj suche, niesą jednak mimo tylu wieków zupełnie zasypane, sztuczne strumienie kiedyś puszczano ze spustów rzeki Bohu, i tym sposobem cały zamek otaczano wodą. Błota, które niegdyś były z kilku stron, cztery baszty rogowe i ze wszech boków liczne strzelnice, czyniły to miejsce, według dawnych umiejętności strategicznych, prawie niedostępnym. Mury bowiem zewnętrzne, mają ściany tak grube, iż po ich wierzchu, szerokim wozem jeździćby można. Dziś, miejsce spuszczanego niegdyś mostu, zajął wjazd murowany, na kilku ogromnie wysokich arkadach, które najlepiej o głębokości dawnych rowów okalających zamek obronny, świadczyć mogą. Zamek, przez byłego Kuratora Okręgu naukowego wileńskiego chociaż został od 1816—1818 r. przerobionym na szkołę, nie jednak ze swój architektury dawniej nie utracił, oprócz znizenia nieco jednej baszty. Basztę zaś pierwszą na lewo od wjazdu, w roku 1836 na nowo pokryto. Temi sposobami dawne mury ocalano.

Podania, a nawet po części i dowody dziejowe wskazują, iż jeszcze w pierwszych latach dwunaste-

go wieku, stała tu już warownia. Piszą kroniki Rusi iż w czasie napadów tatarskich około roku 1240 zburzono dawną twierdzę, a nową wzniesiono za czasów rządztwa Książąt Koryatowiczów, gdy Olgierd wypędził najeźdźców. Było-to w roku 1331, a w lat 35 później, gdy Kazimierz Wielki król polski spisywał warunki sojuszu z książętami litewskimi, wzmiankowany znajdujemy Międzyboż, który dostaje się w posiadanie księcia Lubartowi (1366 r.).

Gdy Podole weszło w skład Korony, Międzyboż wraz z innemi ziemiami, dostał się rodzinie Sieniawskich, o których niżej w oddzielnym powiemy artykule. Ci, zamek silniej dla obrony od najeźdźców obwarowali.

Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski i hetman w roku 1566 zamknął się tu w czasie napadu tureckiego; długie wytrzymał oblężenie, i choć nań z wielką mocą nacierali, zamku dobyć nie mogli; silnie przez wodza polskiego odparci, po bezskutecznych usiłowaniach, odciągnąć musieli ¹⁾.

Drugi, daleko okropniejszy był najazd Tatarów w niespełna lat pięćdziesiąt ²⁾ w początkach XVII wieku. Wtedy załoga zamkowa była nader szczupłą, tak, iż choć *sama w obronnym* miejscu bezpieczną zostawała; nie mogła jednak robić wycieczek dla nader przemagającej, szarańczowój niemal ilości wrogów dzikich.

W roku 1657 gdy Jerzego Rakoczego księcia siedmiogrodzkiego ścigał wojewoda ruski Stefan Czarniecki i w drodze już złączył się z Jerzym Lubomirskim hetmanem polnym koronnym, Stanisławem Potockim (Rewerą) hetmanem wielkim koronnym, i Pawłem Sapiehą hetmanem wielkim litewskim, wtedy

¹⁾ Według Kroniki M. Bielskiego.

²⁾ W roku 1615 ogniem i mieczem spustoszone okolicę, wprowadzając mnóstwo brańców. *T. L.*

wróg chociaż nieskończenie liczniejszy ¹⁾ tak się przeraził iż przesłał do naszych przywódców prośby, w których przystawał na wszelkie warunki ugodne. Dzielny Czarniecki, acz ze szczuplejszą garstką polaków, koniecznie chciał na nieprzyjaciół uderzyć. Już najazd kraju miał być godnie odplacony, kiedy królowa Ludwika Marya pragnąc aby syn Rakocze- go ożenił się z jej siostrzenicą, napisała do hetmanów, nalegając i błagając, aby jak najłaskawiej z księciem Siedmiogrodu postąpiono.

Wtedy pod miastem Międzybożem zawarto między dwiema stronami umowę, następną zawierającą warunki:

1. Rakoczy wyprawi do króla polskiego poselstwo uroczyste, przepraszając za wkroczenie z wojskiem w granice nasze.

2. Zapłaci milion złp. wojsku polskiemu; dwakroć sto tysięcy wozom i drugie dwakroć hanowi krymskiemu.

3. Wszelką zdobycz, a szczególnie kościelną, natchmiast zwróci.

4. Każe wyjść załogom swym z Krakowa i Brześcia litewskiego.

5. Odstąpi zupełnie sojuszu ze Szwedami.

6. Wyda jeńców, zdrajców i zbiegów.

Przedugodne takie punkta traktatu, podpisano tu na polach międzybożskich w obozie 23 lipca 1657 r. Rakoczy wyznawał,—jak piszą historycy,— iż tylko łagodności i wspaniałości narodu naszego, winien był ocalenie wojska i samego siebie. Mężne więc zapasy Czarnieckiego i wodzów polskich, wstrzymała tylko intryga żony niedołęznego władcy.

Smutniejszy stan kraju wypadł w roku 1672, kiedy w skutek pokoju zawartego w Buczaczu (w dzisiejszej Galicyi) odstąpić musiano Podole Turkom. Do zamku międzybożskiego przenieśli się natenczas baszowie muzułmańscy i upiększyli go w guście wschodnim, rozszerzywszy nieco territorium obronne, dodaniem baszty zdaje się od strony rzeki.

Przeszło na sto dwadzieścia lat wprzód a mianowicie r. 1546, wzniesiony pośród zamku, na dziedzińcu, kościółek katolicki, zajęli teraz innowiercy, na meczet. Jeszcze w roku 1830 widzieliśmy pod tą świątynią ze strony zachrysty, leżący kamień odwieczny z napisem w języku tureckim.

¹⁾ Wojsko siedmiogrodzkie liczyło wtedy 30,000 żołnierza, 27 dział i miało po za sobą miasta zajęte przez swoich, a więc w razie cofania się, miało przygotowane punkta oparcia się.

Po wypędzeniu Ottomanów, znowu kościół przywrócono, a w nim Antoni hr. Esterhazy, z Anną z Nigrellich małżonką wzniesli dwa pomniki, w kształcie kłupów, na pamiątkę za gościnne ich przyjęcie, jako wygnańców węgierskich.

Ową pamiątkę składały dwie kolumny czworograniaste, u góry świętymi figurami drewnianymi snycerskimi zakończone, niżej zaś opatrzone herbami Esterhazy i Nigrellich. Z każdej strony na czarnej tablicy u samego dołu, napisaną była we czterech językach: węgierskim, łacińskim, niemieckim i polskim—następna jakby modlitwa:

„Na wieczną wszitkich Węgrów pamiątkę, z pobożnej chęci położyli tę statwę na cześć S. Anni ¹⁾ Matki Bogarodzicy i szczęśliwej JEZUSA CHRISTUSA Babki, których imiona są podpisane, żeby przez oney ustawiczną przyczynę, przez wnętrzości miłosierdzia swego, którymi nawiedzała ich jutrzienka z wysokości, u wnuka zjednała od wsielkiej tęskliwej i niebezpiecznej peregrynacyey uwolnienie ich do swojej oyczizny; y szczęśliwie iak powrócą, za osobliwą pomocą sprawiła, abi chwalili Pana Boga na wieki. Roku Pańskiego w Królestwie Polskim (1715) MDCCXV.”

Kościółek zamkowy, dopóki był katolickim, miał w wielkim ołtarzu obraz św. Zofii z trzema córkami, w bocznym zaś, z lewej strony od ręki wchodzącego, obraz św. Antoniego Padewskiego, w bogatej sukience srebrnej. Pośród kościołka były drzwi wiodące do grobów podziemnych, w których ciała dawnych właścicieli zamku były zapewne grzebane. Żadne jednak tablice ani na wewnętrznych ścianach, ani zewnątrz kościołka, nie wskazywały ich imion. Za naszej pamięci (przed 30 laty) same szczątki trumien i kika kości w podziemiach tych znaleźć już tylko można było. Sic transit gloria mundi!

Oprócz tego kościołka, miało miasto Farę gotycką, wzniesioną pomiędzy zamkiem i ratuszem przez podczaszego koronnego Hieronima Sieniawskiego 1600 roku.

Cerkwi na przedmieściach było dwie czy trzy, Najpiękniejsza z nich w Stawnicy, gdzie był i dwór zarządu administracyjnego dóbr międzybożskich. Przejście od zamku do Stawnicy urządzone zostało przez wodę rzeki, na której usypano groblę i parę mostków wzniesiono: przy jednym z nich była kapli-

¹⁾ Pisownię oryginału zachowujemy. Dziś te pamiątki półtora wieku liczące, podobno zniesiono!

czka z napisem wzniesiona na pamiątkę urodzin księcia Witolda, wnuka jenerała ziem podolskich.

Szkoła wyższa Międzybożska mieszcząca się w zamku, liczy dwie epoki. Pierwszą od 1819 do 1831 r. kiedy nosiła tytuł *wyższej*; i drugą od r. 1834 włącznie, aż do jej zwinięcia, kiedy miano zatrzymała tylko *powiatowej (tatyczowskiej)*. W pierwszym okresie miała przełożonych i professorów, którzy odznaczyli się w zawodzie naukowym i osobiście znani byli wyższej władzy uniwersyteckiej. Szkoła fundacyi samego Kuratora Okręgu Naukowego Wileńskiego, nic dziwnego że szczyliła się imionami wybranych ludzi, po większej części byłych wychowaućców wszechnicy wileńskiej. Jej przełożonymi w pierwszym okresie, kiedy uważano ją za gimnazium — i wprost z niej do uniwersytetu przyjmowano, byli: Doktor: filoz: Suchodolski, Teodor Skimborowicz, Kowalewski (brat sławnego orientalisty); professorami zaś, następni uczeni:

Wojciech Zborzewski, naturalista znany z wielu rozpraw po francusku drukowanych, którego badania nad wykopaliskami przedpotopowými znane są wszystkim paleontologom. Był on dawniej nauczycielem w liceum Krzemienieckim. Kiedy przez Międzyboż przejeżdżali wysłani z Wilna dla zbadania Podola, Wołynia i Ukrainy uczeni naturaliści prof. Eichwald i Andrzejowski, wtedy Zborzewski tyle im dostarczył zasobów naukowych, a podróżnicy tyle osobliwości w jego gabinecie znaleźli, iż Eichwald w dziele swém *Zoologia specialis* (Vilnae 1830) jeden z nowo odkrytych gatunków, nie wahał się nazwać *Argonauta-Zborzewski*. Pierwszy gatunek tej argonauty, zwał się *Numa Pompilius*, i tym sposobem professor Międzybożski znalazł się obok króla rzymskiego! Nie jedno ziarno piasku z nad brzegów Bożka lub Bohu; podniesione przezeń do godności żyjątko przedpotopowego, otrzymało nazwy Baculiny, Lyriny Fiszera, Cerioliny Jarockiego i t. d. Eichwald w tomie II, powyżej przytoczonej Zoologii na str. 35, pisze, że gabinet prywatny Zborzewskiego (oprócz szkolnego) liczył 4000 okazów; potem doszedł do 20,000 (około r. 1840) — mimo to jego posiadacz, członek kilku towarzystw uczonych, umarł w biędzie, daleko od stron rodzinnych; a co się stało ze zbiorami jego? — nie wiemy.

Drugim professorem znanym także na drodze druku, był literat Jan Zakrzewski, zmarły później w Wil-

nie, jako emeryt. Oprócz wypisów szkolnych, wydanych w siedmiu tomach, znanym jest z Pamiętników Samuela Maskiewicza, które odszukał w bibliotece szczorsowskiej Chreptowicza, i ogłosił drukiem w Wilnie 1838 r.

Professor Pajewski, który dziś osiadł w Kijowie, uczył się w dwóch uniwersytetach, Wileńskim i Petersburskim i napisał rozprawę o Historii, drukowaną w Dzienniku ministerium Oświecenia narodowego.

Professor Walicki Leopold (brat prof. uniwersytetu w Charkowie, niedawno zgasłego) znanym jest z wielu prac literackich a profesora Chrzanowskiego, umieszczamy tu widok zamku ¹⁾.

Był tu wreszcie nauczycielem Korsak, który jako należący do szubrawców, opisywał krytycznie Międzyboż w sławnych „Wiadomościach Brukowych” Wileńskich.

Miasteczko Międzyboż, miało kilka fabryk, a mianowicie kapeluszków zajęczych, szpilek i t. p. browar obszerny murowany, w którym bardzo dobry porter krajowy, na sposób angielski wyrabiano i t. d.

Potem założono tutaj osiedlenia wojskowe, które znów już od lat kilku skassowane — a miasteczko należy dziś do dóbr skarbowych państwa.

Lipiński Tymoteusz pisze że Międzyboż jest miastem jednem z najporządniejszych na Podolu. Zwracamy uwagę, że Starożytna Polska tego autora sięga tylko do roku 1794. Słowa zaś ś. p. T. L. śmiało zastosować można do przeszłości. W nowszych czasach, ksiądz Marczyński w opisie Gubernii Podolskiej, obszerniej nieco wspomniał o tém miasteczku, ale w atlasie swym przepysśnie w kraju sztychowanym, widoku zamku nie umieścił.

Jest drugi jeszcze Międzyborz niedaleko Opoczna w Sandomierskim. Nazwisko zdaje się brać od położenia *między borami*: dla tego piszemy go przez *borz*, a podolski przez *boż* od rzeczki *bożku*.

¹⁾ Bo ś. p. Becze-Drużynie, urzędniku w Kamieńcu Podolskim pozostał rękopism zawierający wiadomości historyczno-statystyczne o Podolu. J. J. Kraszewski, miał w ręku te zbiory i w N. 163 Gazety Codziennój pisze: „Widoki Kuryłowiec, Czarnokoziniec, Międzyboża i t. d. ledwie na wzmiankę zasługują.” Sądziłszy więc że mając w zbiorach swych bardzo wierny widok H. Chrzanowskiego, powinniśmy wydać na widok publiczny ten zabytek.

GOŁUCHOWSCY.

Do bardzo dawnych rodzin polskich należą Gołuchowscy. Jeszcze za czasów ojca Jadwigi, wspominają już dzieje o Przecławie z Gołuchowa.

Gołuchów, wioska położona między Pleszewem i Kaliszem, (w kaliskim) już w XVI wieku należała do Leszczyńskich, przodków późniejszego króla.

Andrzej Gołuchowski wstąpił się jako wojak za Stefana Batorego. Rodzina przeniosła się wtedy, w Sandomierskie. Spotykamy tu podkomorzego Jana, podróżnika, co wiele zwiedziwszy krajów i wielu nauczywszy się języków, wraca do katolicyzmu w Lorecie; kilkakroć posługuje na sejmie i niesie wiele ojczyźnie posług, niejednokrotnie wystawiając chorągwie własnym kosztem dla obrony kraju.

Za czasów Stanisława Augusta, znajdujemy znowu Jana Nepomucena Gołuchowskiego w wojsku Rzplitej, który dosłużywszy się stopnia majora, osiadł we wsi Łączki około Tarnowa. Tu się urodził sławny z uczoneści syn jego Józef w r. 1797 (11 kwietnia).

Pokrewni ich, osiedli także w dawnym sandomierskiem a dzisiejszej Galicyi, Artur i Stanisław Ludwik, służyli i odznaczają się w b. wojsku polskim. Brat ich Agenor, wstępuje do służby administracyjnej w Austrii.

Brat zaś młodszy Józefa, Leopold, doszedłszy w byłym wojsku polskim stopnia podpułkownika, umiera zostawiając żonę Magdalenę z Gołuchowskich, po wtórnie poślubioną, po owdowieniu, przez Józefa Gołuchowskiego.

Jest jeszcze jeden brat ś. p. Leopolda i Józefa, piszący wiersze, których ponieważ nie drukuje za życia, przeto wzmiankujemy tylko o nim, wyliczając całą rodzinę.

Żywot pełnego nauki Józefa Gołuchowskiego czterokrotnie, w bardzo krótkich odstępach, wytłoczony czytaliśmy w różnych czasopismach a mianowicie w Wizerunkach polskich przez K. W. Wojcickiego; w Gazecie Codzienną przez Henenla, w Tygodniku ilustrowanym i w Kalendarzu astronomiczno-gospodarskim p. H. Skimborowicza. Powtarzać więc

obszernie wszystkich szczegółów jego żywota nie będziemy, odsyłając ciekawszych czytelników do wyżej wskazanych źródeł. W kilku tylko słowach życiorys jego skreślimy, gdyż w rodzinie Gołuchowskich, najznakomitsze on zajmował miejsce.

Człowiek, który za żywota zasadę przyjął wytrwałość w czynach krajowi pożytecznych, może się słusznie nazywać chlubą swój rodziny i ojczyzny.

Józef Gołuchowski należy do nader szczupłej liczby tych ludzi, którzy głęboką naukę umieli łączyć z przystępnością wykładu i łatwością życia. Nie był to alchemik zamykający się w komnacie i laboratorium; ani napuszony filozof; widzieć go można było nader często w salonie rozprawiającego z niewiastami, którym delikatnie słowa prawdy wypowiadał, lub z młodzieżą marymoncką chodzącego po łąkach i łanach, i rozprawiającego o roli i najabstrakcyjniejszych przedmiotach nie jak profesora z uczniami, lecz jak przyjaciela najdawniejszego z przyjaciółmi najserdeczniejszymi. Dla tego też jego popularne wykłady wielką niegdyś miały wziętość.

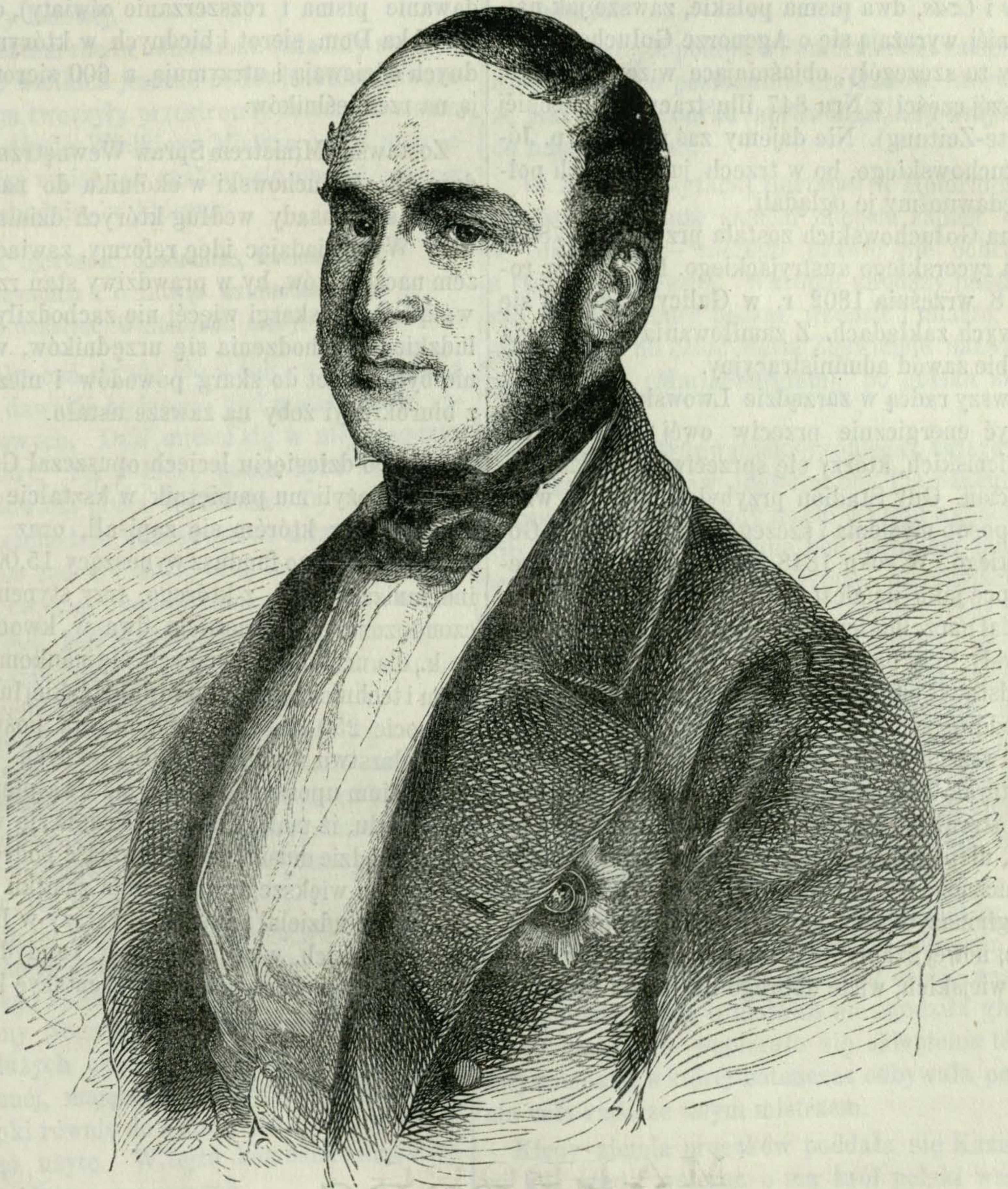
Po stracie ojca w r. 1808, matka oddała jedenaścioletniego chłopca do *Teresianum* w Wiedniu. Mimo tak młodego wieku, czerpiąc naukę od Niemców, niczego więcej od nich nie zaczerpnął, wbrew odwiecznego przysłowia: „*Czego się skorupka za młodu i t. d.*” Pisał kilka rozpraw w języku Germanów, ale te od transcendentalności i pedantyzmu niemieckiego odbiegły, bo w martwych obsłonkach językowych, żywy duch słowiański odbiły.

Od roku 1817 uczył się w Uniwersytecie warszawskim i tu się magistrował, wykładając zarazem przez czas jakiś Matematykę w Liceum. Otrzymał potem katedrę Filozofii w Uniwersytecie wileńskim, którą acz nie długo piastował, ale najmilszą po sobie pamięć w Litwie zostawił.

Będąc w Bawaryi (w Erlangen) napisał pod wpływem zasad Szellinga rozprawę dla otrzymania stopnia doktora: „o filozofii w stosunku do życia całych narodów i pojedynczych ludzi.” Odtąd, wierny przyjaźni, jaką z uczonym Niemcem zawiązał, nie pisał

nic po germańsku, aż dopiero w starości zobaczywszy się z dawnym druhem w roku 1846, dał w Berlinie ucztę w dniu jego urodzin i powiedział mowę po niemiecku tamże wytłóczoną.

go szkoda, a mianowicie: 1) Kwestyę włościańską;— 2) Rozbiór kwestyi włościańskiej—i 3) Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka (w 2ch obszernych tomach).



Agenor Gołuchowski.

Ożeniwszy się w r. 1830 nieopuszczał już wsi aż do śmierci († 22 listop. 1858). Tu skręślił trzy nader wielkiej wagi dzieła z których dwa pierwsze ujrzały światło dzienne, trzecie zaś dotąd pozostaje w rękopiśmie z wielką dla nauk i piśmiennictwa polskie-

„Niebył on rolnikiem z zamiłowania (pisze ten, który przez lat kilka ciągle w domu ś. p. zmarłego bawił na praktyce gospodarskiej) — „silne tylko uczucie obowiązku że w jakichkolwiek warunkach, człowiek powinien walczyć z trudnościami, by-

ło mu przewodnią gwiazdą za którą szedł śmiało, ani materjalnemi przeszkodami, ani zniechęceniem moralnem niedając się sprowadzić z drogi."

Walczył też szlachetnie z zadaniami życia aż do samego skonu!...

Postęp i Czas, dwa pisma polskie, zawsze jak naj-przychylniej wyrażają się o Agenorze Gołuchowskim. Bierzemy tu szczegóły, objaśniające wizerunek jego, po większej części z Nru 847 ilustracyi niemieckiej (*Illustrierte-Zeitung*). Nie dajemy zaś rysów ś. p. Józefa Gołuchowskiego, bo w trzech już pismach polskich niedawnośmy je oglądali.

Rodzina Gołuchowskich została przyjętą w 1783 r. do stanu rycerskiego austryackiego. Hr. Agenor rodził się 8 września 1802 r. w Galicyi kształcił się w krajowych zakładach. Z zamiłowania i powołania obrał sobie zawód administracyjny.

Zostawszy radcą w zarządzie Lwowskim występował dosyć energicznie przeciw owój cząstce właścicieli ziemskich, którzy się sprzeciwiali uwłaszczeniu włościan. Gdy Stadion przybył do Galicyi, wnet poznał sposób myślenia i szczególną zdatność hr. Gołuchowskiego. W roku 1848 proponował go na swego zastępcę jako namiestnika Galicyi. Hr. Gołuchowski został naczelnikiem rozległego kraju w téj chwili gdy umysły były bardzo poruszone. Temi więc słowy przedstawił się swym podwładnym: „Moi panowie! przede wszystkim muszę wam powiedzieć iż jestem ze wszech miar (*schwarzgelb*) czarnożółty, to jest Austryak.” Mimo to, gdzie tylko mógł hr. Gołuchowski starał się działać. Uporządkowaniem sądownictwa, ulepszeniem dróg, ustanowieniem zakładu agronomicznego w Dublanach, założeniem szkoły handlowej, gimnazjum polskiego i realnego we Lwowie, wreszcie, nowój szkoły w Tarnopolu, jako też wielu szkółek wiejskich, wiele dobrego dla kraju uczynił.

Dwa zakłady które przez zły zarząd były bliskiemu upadku, przez niego zostały na nowo niemal podniesione: jednym z nich był zakład narodowy Ossolińskich (którego celem obok zbierania starych rękopismów, rzadkich ksiąg i dzieł sztuki, jest jeszcze wydawanie pisma i rozszerzanie oświaty), drugim był Skarbka Dom sierot i biednych w którym 400 biednych odziewają i utrzymują, a 600 sierot wychowują na rzemieślników.

Zostawszy Ministrem Spraw Wewnętrznych w Wiedniu, hr. Gołuchowski w okólniku do namiestników podał swe zasady według których działać postanowił. Wypowiadając ideę reformy, zawiadamia zarazem naczelników, by w prawdziwy stan rzeczy pilnie wglądali, by skargi więcej nie zachodziły co do nie-ludzkiego obchodzenia się urzędników, w ogóle aby nie było nawet do skarg powodów i niezadowolenie z biurokracyi żeby na zawsze ustało.

Gdy po dziesięciu latach opuszczał Galicyę, obywatele złożyli mu pamiętnik w kształcie kosztownego *album* w którym się zapisali, oraz w roku zeszłym utworzono fundusz wynoszący 15,000 złr. m. k. indemnizacyjnych, z którego, trzy stypendya naznaczone zostały, mianowicie dwa w kwocie 400 złr. m. k. dla uczniów oddających się naukom przyrodniczym i technicznym w szkole dublańskiej lub innéj; 3cie w kwocie 250 złr. m. k. dla ucznia poświęcającego się malarstwu w szkole Sztuk Pięknych. To ostatnie stypendium uposażono wyżej, niż dwa pierwsze, z tego powodu, iż malarz dla kształcenia się w swoim zawodzie będzie musiał przedsięwziąć podróże artystyczne, więc większego potrzebuje zasiłku. Stypendya zaś będzie udzielał zawsze najstarszy w linii męskiej Gołuchowskich, właściciel Skały, kandydatom podanym mu do wyboru przez reprezentacyę krajową.

MALBORG.

(Z DRZEWORYTEM.)

Starożytny i sławny niegdyś zamek w Marienburgu, był zagadkową długo rozwaliną, z której szczątków, trudnoby widzowi zupełnie dawną, choćby tylko

w wyobraźni, odtworzyć całość, zaiste! ongi tak pod każdym względem olbrzymią. Na rycinie widzimy tylko jedną piękną, okrągłą wieżę, zwaną mleczarską

(Butter millchsthurm), zapewne dawną strażnicę przedzamczą. Stoi ona nad pokrewną Wiśle rzeką Nogatem, u samego jej brzegu (patrz Księgę Świata z 1858, T. II). — Chociaż bez dachu i położona nad rwącym potokiem wody, przetrwała jednak długie czasy burz i kry lodowej.

Ruiny kosztem rządu odnowione składały się tylko z kilku dość wielkich jeszcze budowli, które czworobokiem swym tworzyły przestronny dziedziniec zamkowy. Mieszkanie Wielkiego Mistrza co go nasz jeńialny wieszcz umiał tak znakomicie opisać, stanowi skrzydło zachodnie, w którym:

„Słowa ojczyzna, powinność, kochanka,
O Krucyatach i o Litwie wzmianka
Zawsze wesołość Wallenroda truły!”

Strona północna składa się z tak zwanego zamku wysokiego, dawniej będącego pod mieszkaniem rycerzy mieczowych. Dziś mieści się w niej magazyn pruski rządowy. Na północy także była świątynia zakonu zbudowana przez W. Mistrza Dytrycha.

Skrzydło zachodnie, stanowi teraz skład broni pruskiej. Strona zaś środkowa, tutaj leżąca, była najwspanialszą częścią budowy zamkowej, która od roku 1306—1309 pod Zygfydem de Feüchtwangen, stanowić począł pałac mieszkalny wielkich mistrzów i główną posadę zakonu krzyżackiego.

Nie wiadomo kto był twórcą pierwszym tego wspaniałego gmachu, o którym nawet podanie zaginęło. Niektórzy twierdzili że Włoch budował, co jest dość prawdopodobnym, zważając na to, że rycerze mieczowi tyle mieli stosunków z Rzymem. Niemcy wszakże przeczą temu, nie chcą wierzyć.

Cegły użyte do budowli pokryte są jakby szklistą powłoką, wybitnie odznaczającą się od staro-brunatno-czerwonego koloru. Najwspaniałej ruiny wyglądają od strony Nogatu. Po lewej stronie, na dole, widać ośm dużych okien kolorowych, z dawniej komnaty zakonnej, mającej długości 110 stóp; które wieńczą blanki równie do ozdoby jak i obrony przez budowniczego użyte. W tejże komnacie mnóstwo rzeźb się znajduje przepysznych.

Im wyżej wznoszono mury, tym większa budowniczego pokazuje się śmiałość w pomysłach i mimo ciężkości mass materiału, widzieć można lekkość budowy. Dziś niepodobna, a przynajmniej aż nadto trudno spotkać coś podobnego.

Historia Malboga wielce się wiąże z naszymi dziejami. Około roku 1245, w pierwszym jeszcze dawniej Prussii powstaniu, książę Pomorza, Świętopełk

wzniósł tutaj na wyspie zamek obronny, zwany Czantjer (Zanthier). Z tej twierdzy położonej w samym ypsylonie tworzącym się z rozłączenia dwóch rzek, Wisły i Nogatu, czyli raczej dwojga ramion głównej naszej rzeki, Pomorzanin napadał ze szkodą żeglarzy naszych.

Po zawartym pokoju z Pomorzanami zamek obronny przeszedł w posiadanie krzyżaków, których książę Mazowska Konrad sprowadził, aby kraju bronili od napaści pogan.

W. Mistrz krzyżacki Hartman de Helderungen inny postawił na témże samém miejscu zamek obronny w roku 1280 — niczego prawie nie ochroniwszy z twierdzy przeszłej. Wkrótce młodszy mistrz Konrad de Thierburg począł wznosić i miasto, równie jak i zamek na cześć Matki Zbawiciela nazwane *Maryi-miastem* (Mariaeburgiem), po polsku zaś Malborgiem.

Po bitwie Grünwaldskiej oblegał twierdzę malborską Władysław Jagiełło: był już panem miasta zbiwszy krzyżaków, gdy nagle w kraju wypadki zmusiły go opuścić zajmowane pod zamkiem miejsce 19 września 1410 roku. Korzystając nieprzyjaciel z tego nieprzewidzianego wypadku, wnet usypał za przepokopem miejskim silny wał na zewnątrz przez długość całą strony zachodniej zamku środkowego i opatrzył go wieżycami obronnemi, w których umieścił działa. Ostrożność tę przebiegli zakonnicy mieczowi dla tego przedsięwzięli, że Polacy wówczas dali się im we znaki. Oprócz sławnej w dziejach klęski pod Grünwaldem i Tannenbergiem, w czasie samego oblężenia Malborga następny był wypadek.

Jeden ze znajomych w zamku krzyżackim, wywiesił w oknie jako znak, puszkarzowi naszemu, czapkę czerwoną, artylerzysta polski tak celnie wystrzelił, że kula kamienna, o mało co nie ugodziła głównego filaru na którym wspierało się sklepienie tej wielkiej komnaty, w której natenczas odbywała posiedzenia cała rada ze swym mistrzem.

Kiedy ziemia prusaków poddała się Kazimierzowi IV, wtedy walcząc o nią król polski wszedł do Malboga w dniu 8 czerwca 1457 roku, a na mocy traktatu 1466 roku zawartego w Toruniu, miasto wraz z Prusami zachodniemi dostało się Polakom.

W roku 1626 wojska szwedzkie opanowały w czasie najazdu zamek, dziesięć lat w nim gościły. Gorszy od nieprzyjaciół ogień, roku 1641, obrócił piękną budowę w rozwaliny. Ale po niejakijsz naprawie, mimo rozpaczliwej obrony wojewodów Pomor-

skich Wejherów, Szwedzi po raz wtóry znowu się tu dostali i siedzieli cztery lata aż do roku 1660.

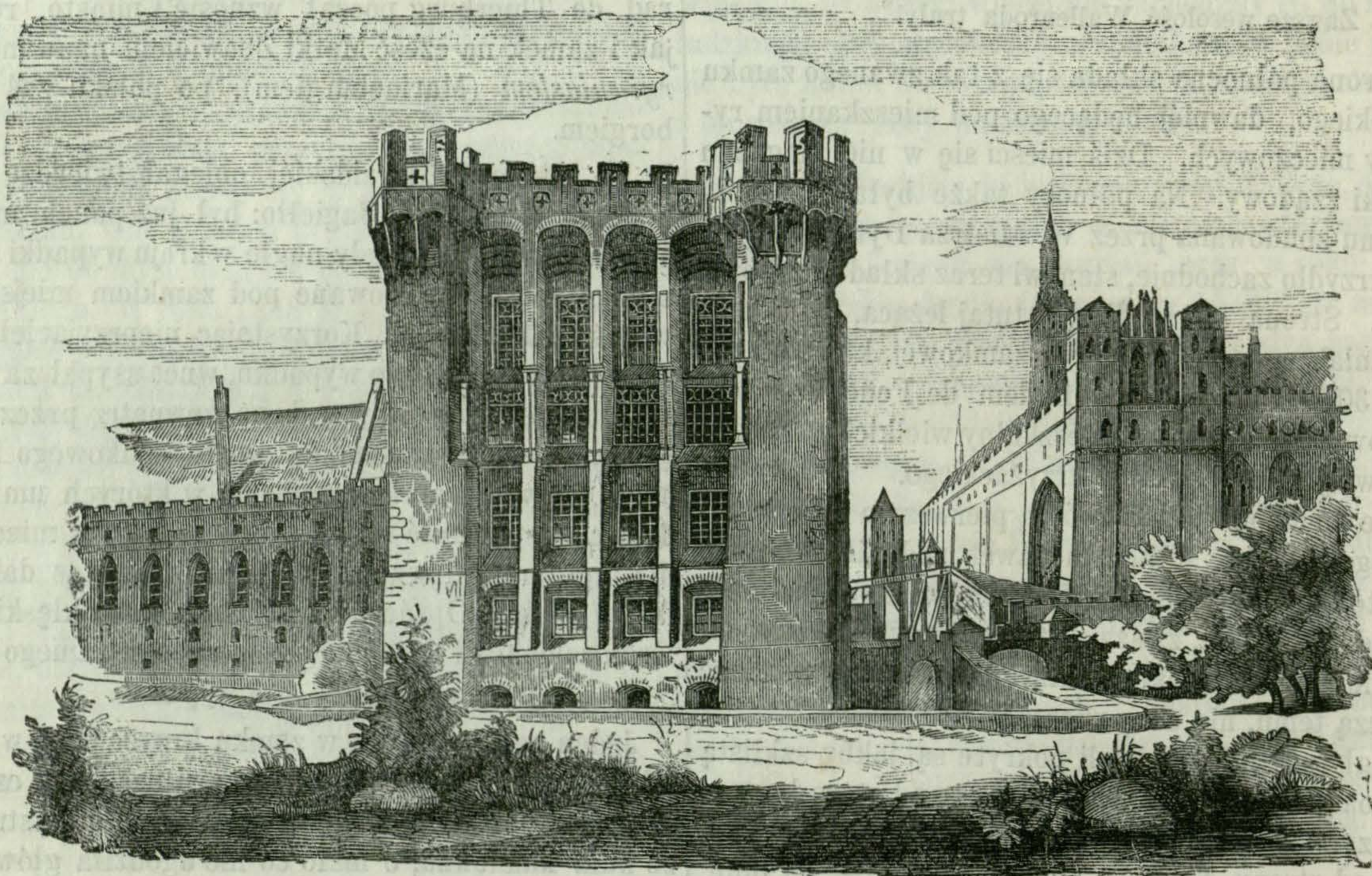
Długi czas ten starożytny zamek należał do starostów. Tu się odbywały sejmy powszechne ziem pruskich zwane *Generałami* pod przewodnictwem księcia biskupa Warmińskiego. Oprócz fary, Kollegium Jezuitów założył tutaj arcybiskup gnieźnieński Jędrzej Olszowski. W zamku tym kilkakroć przebywał książę litewski Witold.

Po pierwszym podziale w roku 1772, Malborg z częścią kraju przeszedł pod panowanie Pruss. Zamek poczęto odnawiać ze składek zbieranych w całych Niemczech w roku 1842.

Malborgu aby się przypatrzeć gmachom tu wznoszonym przez budowniczych obcych.

Przepyszny kościół Panny Maryi obok zamku, stanął między r. 1335—1341. Oprócz niego, jest tu i drugi kościół katolicki i świątynia ewangelicka.

Kiedy w XV wieku przeszedł Malborg i całe zachodnie Prussy w posiadanie Polski, wtedy W. Mistrzowie krzyżaków, przenieśli swą stolicę bezpowrotnie już do Królewca. Mieszkańcy miasta, na mocy przywileju Zygmunta Augusta z r. 1569, przyjęli nowe Lutra wyznanie, lecz Zygmunt III w r. 1598, kościół farny, znowu wyznaniu katolickiemu oddał. (Jezuitom). Wtedy ewangelicy odbywali nabożeństwa swe



Część zamku Malborskiego od strony Nogatu.

Marienburg w dawnych Prusach zajmował trzecie z kolei miejsce po Gdańsku i Toruniu. Leży pięć mil na wsch.-połud. Gdańska, na wzgórzu przy Żuławach zwanych malborskiemi. Przez rzekę Nogat jeszcze r. 1340 był most rzucony; jaki? niewiadomo; teraz prowadzi do miasta most łyżwowy, podobny do będącego dziś na Wiśle między Warszawą a Pragą. Liczy obecnie miasto przeszło 5000 ludności.

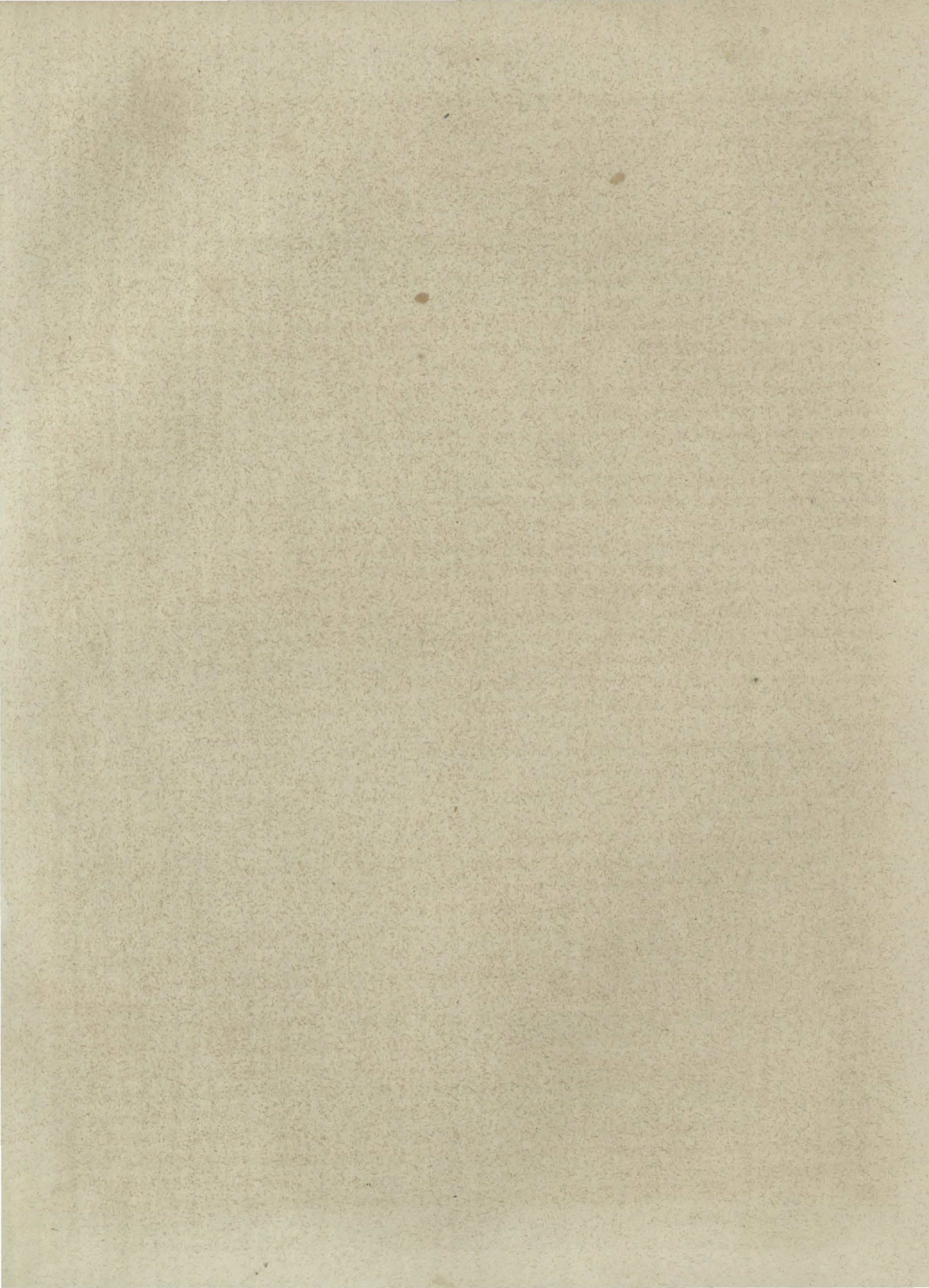
Utrzymują, że Kazimierz W. który Polskę murowaną zostawił, umyślnie odbywał podróż w r. 1365, do

w domu prywatnym i w małym kościółku za miastem św. Jerzego.

Sławny zamek malborski, którego tu część na rycinie od stronie rzeki widzimy, w XIII i XIV stuleciu słynął i z przepychu architektonicznego i z umocnienia strategicznego. Później zaś weszło w przysłowie wyrażenie, że: „Malborg z błota, Offen ze skały, a Medyolan z marmuru.” (Ex luto Marienburg, Offen ex saxo, ex marmore Mediolanum).



Wiesć Iler, na wyspie Rankouri, w Nikobarach.



WIEŚ ITOR, NA WYSPIE RANKAURI, W NIKOBARACH.

(Z DRZEWORYTEM)

Handel, wsparty wynalazkiem paropływów, zaprowadził ciekawego i pragnącego korzystać ze wszystkiego człowieka, aż do małych wioseczek na wyspach różnych części świata, mało dawniej komu znanych, a dziś jeszcze z trudnością dających się odszukać na kartach jeograficznych. Obok pożytków przemysłowo-handlowych, zyskują ztąd najwięcej nauki. Oprócz jeografii, umiejętności przyrodo-znawcze okwity plon otrzymują z wycieczek do mało-znanych dawniej wysep.

Hochstetter i Scherzer opisali podróż na wyspy Nikobar. Z kilku innych jeszcze źródeł, przytaczamy tu szczegóły, aby objaśnić załączoną rycinę, wystawiającą nam małą wioskę na jednej z Nikobaryjskich wysp położoną. Nie odróżnia się ona od innych, składających się z kilkunastu bud (huttes) podobnych trochę kształtem swoim do Hotentockich, lubo znacznie wyższych i bardziej spiczastych niż tamte.

Część morza zwanego Archipelagiem Nikobaryjskim mieści w sobie 10 znaczniejszych wysep i wielką liczbę mniejszych. Największa z nich zowie się Wielkim Nikobarem. Wyspy te po większej części są górzyste i pokryte lasami kokosowemi, palmowemi, bananowemi, cytrynowemi; cedrami, hebanami i różnemi pięknymi drzewami do budowli zdatnemi, a nawet mającemi smaczne owoce jak np. tak przewane od Portugalczyków *Melori*, lepsze od owocu chlebowego drzewnego, tudzież trzciny cukrowych i innych. Pełno tam oprócz pięknych papug, ptastwa do jedzenia używanego, jak kur, gołębi i t. d. Do zwierząt żyjących swobodnie należą wół i bawół Europejski umyślnie tam sprowadzone i rozmnożone; nadto są w znacznej obfitości dziki, świnie, małpy, krokodyle i psy w rozmaitych gatunkach. Gadów i ryb, — mnóstwo.

Na nieszczęście owa piękna i we wszystko obfitująca wyspa, z powodu deszczów nadzwyczaj częstych, wśród tak gorącego klimatu, a razem z przyczyny wycieczek z błot i bagien, narażaną bywa na ciężkie

choroby, żółte febry, niszczące nawet biednych lubo przyzwyczajonych już do téj atmosfery krajowców; a osada Duńska prawie zupełnie zniszczoną została skutkiem złego powietrza.

Nikobarczycy, choć lękliwi, łagodni, wszakże, jak wszyscy dzicy, na zaczepki, złe obchodzenie się i danie im powodów do zazdrości, są tkliwi i łatwo się oburzający. Gościnni, lubią tańce i zabawy. Nie mając w niczem rozwiniętych pojęć i w rolnictwie nie postąpili wcale, nie mogą więc zabezpieczyć się od złych następstw jakie dzika przyroda sprowadzać im zwykła wycieczkami z błot nieosuszonych i niepłodnością uprawie niepoddanych gruntów. Język ich podobny do malajskiej i peguańskiej mowy: umieją także nieco i po portugalsku. Po umarłych, cała wieś nosi żałobę. Wdowy, ucinają palec jeden po stracie męża.

Duńczycy przyznane mając prawo do posiadania na własność tych wysp, nazwali je Fridriksoerne, czyli wyspami Fryderyka, lecz po zaprowadzeniu małej osady na wyspie Kamorta, którą nazwali Nową Zelandją, odstąpili, opuściwszy tak korzystny punkt braciom Morawczykom (Herrnhutom), którzy bawili tylko do r. 1787.

Austryacy w r. 1778, chcieli tam założyć swoje kolonję, lecz musieli od tego zamiaru, za wdaniem się Danii, odstąpić. Angielscy misyonarze tu przebywają. Jezuici byli w roku 1715.

W ostatnich czasach i Bracia Morawczycy opuścili te wyspy, a Duńczycy zawsze tam mają swe wpływy i rodzaj zwierzchnictwa. Podług szczegółowych opisów przez pułkownika Kretting, gubernatora tamtejszego udzielonych Rienzi, wyliczenie przedniejszych wysp jest następujące: Wielki Nikobar, rozległy na 17 mil kwadr. posiadający ludności około 1000, mały Nikobar pokryty lasami, Katchaoni albo Katszul, Kamorta z fortem, Nonkowry, Trikonti, Teressa, Tchauri, Tafuin, Kar-Nikobar czyli Sambilang, Chowry, Battymalwe, Tillantchonq i Rankauri. Wsie tamtejsze z dwunastu najwięcej bud

(huttes) składają się: — nad każdą z nich jest starszy, przełożony, głównie z cudzoziemcami handel prowadzący, który się zowie Omjahs.

Utrzymywano dawniej, że mieszkańcy wysp Nikobarskich mieli być potomkami Peguanów—lecz właśnie oni mają wielkie podobieństwo z Malajczykami i nigdy ludożercami nie byli. Są nadzwyczaj gościnni i łagodni w obejściu się; kobiety w ogóle bywają szczególnie ładne i pięknie zbudowane; od szyi do pasa obnażone, z szarfą, od pasa do samych stóp obwijają się ciemną wełnianą materią jakby sukniem. Mężczyźni, mniej piękni, krótko ostrzyżeni, koloru miedzianego, oczy mają małe ze skośnie przeciętymi otworami. Za całe ubranie, są opasani sukiennym pasem od którego z tyłu wisi koniec. To dało powód jednemu ograniczonemu marynarzowi szwedzkiemu Koeping do utworzenia nedorzecznej bajki, jakoby mieszkańcy téj wyspy rodzili się z ogonami! A co dziwniejszą jeszcze rzeczą, że nawet Linneusz dał się na nią złapać, okazując niebacznie że dzieli podobne mniemanie. To nas zupełnie dziwić nie powinno, nas Polaków, o których podróżujący tyle bajek pisali nie raz. Smucić się raczej należy że w ludziach kochających naukę, jest tak mało miłości prawdy, tak mało sumiennosci w czynnościach, które zdaje się jedynie w chęci oświaty i dobra ogółu przedsięwiorają. Jeden z piszących podróże dla młodzieży ¹⁾

¹⁾ W dziele sześćcio-tomowém pod tytułem: *Voyageur de la jeunesse*.

wyszłych w początkach naszego stulecia, p. Blanchard, opisując Polskę i lesiste okolice Żmudzi, mówi: iż powszechnie wieśniaczki córkom swoim przywiązują dzwonki do szyi aby poznać mogły i domyśleć się po dźwięku ich, w której stronie są i czém się zajmują? Szanowny więc ów podróżnik bez wątpienia nie był wcale w miejscach które opisywał, a jeden z jego rodaków, może słyszał krowy dzwoniące po łąkach i podobało mu się z tego ulepić bajeczkę o troskliwości matek na Żmudzi. Gorzej powiemy, gdyż w naszych czasach, p. Levy tak znany z pożytecznych dla młodzieży kursów literatury i historii, napisał, mówiąc o językach w swojej literaturze: „iż u nas zaczawszy od Wisły aż do Irtysza jednym i tym samym mówią językiem.” Jeżeli w kraju tak znanym w Europie, w kraju niedawno tak blizkie z Francuzami mającym stosunki, bezkarnie podobne bajki trudniący się naukami pisać mogą; cóż dziwnego że ludzie dzicy, całym niebem i oceanem od nas oddzieleni, narażeni bywają na otrzymanie darów krzywdzących ich człowieczą naturę, i że z lekceważeniem bracia przypisują im ogony, rogi i różne dziwne przymioty?

Mieszkańcy Nikobarskich wysp bardzo mętne i niewyraźne o Bogu mają pojęcie—o rolnictwie jeszcze mniej mają wyobrażenia, co sprawia iż w wielkiej i litość budzącej żyją nędzy. Grupa tych wszystkich wysepek wynosi 50 mil kwadrat. a ludności 10,000. Arabowie znali te miejsca jeszcze w IX wieku.

MAROKO.

Wiadomo, że im dalsze przestrzenie dzielą nas od nieznanych nam krajów, tém większą ciekawość, tém żywsze zajęcie obudzają w nas wiadomości o ich bogactwach innéj jak nasza przyrody, a mianowicie o braciach naszych *ludziach*, o ich zwyczajach, pojęciach, cywilizacyi. Afryka lubo przez Gibraltar więcéj niż Ameryka zbliżona ku nam, przecież w skutek swego trudnego do wytrzymania klimatu, a szczególnie w skutek prześladowań, których nie szczędzą mieszkańcy jéj, a które tém są straszniejsze że nie od dzikich, lękliwych hord pochodzą, lecz od

ludzi pół-cywilizowanych, opatrzonych we wszystkie środki potrzebne do służenia ich nienawiści; Afryka bogata, żyźna, w cuda natury i rzec można sztuki obfitująca, nie dość nam jest jeszcze znana, i dla tego poważamy się umieścić tu niektóre szczegóły, o mieszkańcach, ich prawach i zwyczajach bogatego Państwa Marokańskiego, których nam najnowsze podróże dostarczają.

Cała hisorya Marokańska składa się z samych nieustannych wojen między Państwami, które z rozkładu czyli z rozdziałów cesarstwa Saraceńskiego

początek swego istnienia bierze, nie jest przeto dla nas zbyt ciekawą. Dopiero od roku 1052, to jest na kilka lat przed zdobyciem Anglii przez Normandów, jak Szerif Tafletu podbił i utworzył teraźniejsze państwo, staćby się mogła dla nas więcej zajmująca. Nie rozszerzając się nad podaniami Portugalczyków, między Maroko a posiadłościami nadbrzeżnymi Atlantyku, z XVI-go wieku trzy kwestye tylko zwrócić: teraz godne uwagę dziejopisarza krążącemi.

1) Stan nauk, umiejętności i przemysłu w Fezie za czasów najświetniejszych tego miasta.

2) Ustęp o strasznych rozbójnikach morskich z Sale.

3) Despotyzm sułtanów. — Ten ostatni opisać głównie dziś przedsięwzięliśmy.

Władza bez granic sułtanów marokańskich, wywarła tak na charakter książąt jak na szczęście ludów, państwu jego podległych, wpływ najopłakańszy. W wielkiej liczbie władców następujących jednych po drugich, można było dostrzedz różnice w charakterach i zdolnościach, ale we wszystkich górowało dziwactwo, kaprys i okrucieństwo. Naprzykład Sidi-Mohammed zmarły w ośmdziesiątym roku życia swego (w 1790) nie miał zdaje się w naturze własnej żadnego zarodku występnego i skłaniającego do srogości, prócz żądzy pieniędzy; a jednakowoż, okropnie zniszczył bogactwo publiczne, dopuszczając się zarazem na indywidualach okrutnej tyranii. Pozorna jego szczodrobliwość w zachęcaniu handlu z cudzoziemcami, nie miała na celu ubogacenia swego kraju, lecz tylko jego własne, osobiste. Ta chciwość i możność rządzenia kaprysnym przywidzeniem swoim sprawiała, że czasem zamiast zysku ponosił straty. Zmieniając ustawicznie cła i opłaty, tak niekiedy wysokie je nakładał, że cudzoziemcy odjeżdżali, żadnej zamiany nie robiwszy. Raz zdawało się że chce zachęcać, drugi raz przeszkadzać wszelkiemu handlowi. Pewnego dnia robiwszy się sam kupcem, zakupił wszystkie jakie znalazł towary w przystani, a nazajutrz wszystkie je zbył żydom, zmuszając ich aby mu pięć razy tyle, ile wartość ich kosztowała, zapłacili. Takiemi tylko dworakami otaczał się, którzy dla pozyskania względów jego donosili mu o bogatych poddanych. Natychmiast wynajdował pre-
text zapakowania takowych do więzienia, a jeżeli ci odrazu nie przystali na żądany okup, natenczas kazał ich kuć w kajdany i najsroższem obchodzeniem zmuszał ich do tego, iż w końcu musieli z wszystkiego co posiadali wyzuć się; chciwość tego sułtana dozwalała mu własnych nawet synów obdzierać! Zadzi-

wiającą i szczególną rzeczą w jego charakterze było, wielkie nad samym sobą panowanie. Jeżeli kiedy w czasie audyencyi uczuł, że go niecierpliwość lub gniew opanowywa, natychmiast oddalać się przytomnym kazał, aby się w nieprzyzwoitem, w niekorzystnym świetle przed drugimi nie okazał; natenczas w mgnieniu oka sale pałacowe opustoszały się. Ta wstrzymałość jednak nie przeszkadzała mu okazywać się okrutnym i nieubłagalnym na urazę osobistą. Raz żyd jeden jakimś wiedziony nieszczęściem napisał coś niepochlebnie o sułtanie sułtanów, bo taki tytuł przybrał; kazał żyda na cztery części żywcem rozkroić i rzucić psom na pastwę.

Pan Lemprière przepędziwszy jakiś czas na dworze Sidi-Mohammeda opisuje następującą anegdotę: Bogaty pewien Maurytanin, obchodząc wesele jednego z synów swoich, wyprawił wielką ucztę. Sułtan znajdując się natenczas blisko tego miejsca, chcąc na własne oczy przekonać się o bogactwie swego poddanego, przebrał się w niezbyt piękne szaty i wszedł do sali gdzie wszyscy zaproszeni zgromadzeni byli, właśnie w chwili kiedy do najwyższego stopnia doszła wesołość a nawet może rozpusta. Gospodarz domu widząc z nieobiecującą miną nieznanego tak samowolnie swą osobę narzucającego, kazał mu wyjść za drzwi; nieznanemu nie chciał tego uczynić; natenczas gospodarz zniecierpliwiony uderzył go i wypchnął. Jakiś czas upłynął. Maurytanin nie słysząc aby się kto uskarżał na niego, zupełnie o tym wypadku zapomniał. W tém z wielkiem zadziwieniem odbiera rozkaz aby natychmiast stawił się w Maroko. Gdy stanął przed sułtanem, przypomniano mu obejście się z nieznanym i zmuszono aby przyznał że tak w istocie postąpił. „No — odezwał się natenczas Sidi-Mohammed — tym nieznanym któregoś tak hańbiącym sposobem traktował, to byłem *Ja* — żeby ci pokazać żem nic nie zapomniał, rozkazuję aby ci ucięto nogę i rękę, które mnie obraziły.” Pan Lemprière dodaje że spotkał na jednej niepozornej ulicy tę ofiarę okrucieństwa.

Mulej-Jazid syn i następca Sidi-Mohammeda ściągnął na siebie podejrzenie a tém samym prześladowanie; gdy wysłane przez sułtana wojsko nie śmiało na schronionego w święte miejsce Mulej-Jazida uderzyć, sułtan, wziął dowództwo, chcąc syna koniecznie schwytać, lecz śmierć wstrzymała go w drodze. Mulej-Jazid charakterem i postępowaniem swoim umiał pozyskać sobie przychylność i zaufanie do tego stopnia, że pomimo świeżego zagniewania nań ojca, mimo prawych do tronu pretensyi jednego ze

swych braci popieranych przez wojsko, wstąpił na tron bez przeszkody i bez rozlania jednej krwi kropli, co bardzo rzadkiem w Maroko. Był on odważnym, śmiałym i stałym charakteru, światłym i zręcznym; okazywał wielką wspaniałoduszność i prawdziwą pogardę bogactw, co jest rzeczą prawie niepraktykowaną w sułtanach tamtego kraju.

Jedyną wadę stanowiła niepowściągnięta chęć do mocnych trunków, skłonność którą pewnie w spadku po matce swój rodem z Irlandyi otrzymał. Miał tę siłę, dopóki ojciec żył, powstrzymywać ją; lecz wstąpiwszy na tron, żadna obawa już jęj nie hamowała. Niele dwie dwa lata zmienił się w okrutnego potwora, i lud który mu oddał berło, pobudził jednego z braci jego, imieniem Mulej-Basema, aby rokosz przeciw niemu podniósł. Ten pretendent zamiast walczyć na czele wojska, powierzył komendę niezdatnemu generałowi, który dozwolił zwyciężyć się przez sułtana; sułtan zaś Mulej-Jazid niebezpieczeństwem otrzeźwiony, w bitwie zaciętej odebrawszy kilka wielkich ran, wkrótce życie zakończył.

W krótkich chwilach które mu do życia pozostały, jak pisze Lemprière, zajmował się ukaraniem wszystkich pomagających bratu; do trzech tysięcy mieszkańców miasta Maroko bez różnicy wieku i płci, wyrznać kazał z najzimniejszą krwią. Niektórych żywcem kazał poprzybijać do murów domów, wielu innym ostrogami sam oczy powydzierał, wydał rozkaz aby sześciudziesięciu mieszkańców Mogadora, pomiędzy którymi wielu negocjantów Europejskich znajdowało się, było ściętych, za udzielenie pomocy nieprzyjacielowi jego. Szczęściem dla tych nieszczęśliwych, sułtan sułtanów umarł pierwój niż wyrok ten wykonano.

Samowładztwo w państwie marokańskim trwa dotąd zupełnie, jak za czasów dawnych kalifów istniało; polega bowiem na władzy cywilnej razem i religijnej od samego Proroka zlanęj na jednego z następców swoich. Despotyzm sułtana w Konstantynopolu bywa niekiedy złagodzony przez zbiór ulemów przedstawiających religiję. Czasem minister lub wezyr wyrzucić może światłem swoim wpływ zbawieniny na swego pana. Zresztą w Turcyi jak i w większej części państw muzułmańskich, Koran bardzo skutecznie może powstrzymać zbytnie sułtana okrucieństwo. Lecz żadna z tych rzeczy nie przeważa w Maroko; tu nie ma ani dywanu, ani rady, ani ministrów, ani korporacyi duchownej i religijnej; sułtan sułtanów otoczony niewolniczo podległymi sobie, przedstawia proroka i jest zarazem najwyższą świe-

cką i duchowną władzą, i pod tym tytułem rości sobie prawo panowania nad *światem całym*; tytułując się protektorem Wiary i Sułtanem Sułtanów, chce przez to wzmocnić w umysłach swych poddanych wrażenie o potędze i świetności swojej. Niektórzy z panujących, wyższą obdarzeni przebiegłością, udawali się za *świętymi*, za tłumaczów praw, przeciwiających się czasem prawom *Emir-Sidna*, to jest wyrokom Boskim, jeżeli to uznali być dogodnym dla siebie; i potrafiliby tym sposobem zadziałać na łatwowierność nieoświeconego ludu.

W praktyce jednak i w mniej ważnych wypadkach, kadi, podług Koranu, roztrząsa sprawy. Jedynym wędzidłem na zbytnią do zniesienia tyranję, jest ogólne wzburzenie ludu, który natenczas powołuje na tron innego członka z rodu sułtana, również jak panujący pochodzącego od Proroka; to też lud często tego złego na złe środki, niezaniebuję używać.

Basza czyli gubernator prowincyi jest jakby delegowany od władzy najwyższej; używa w określonych sobie częściach kraju téj samej prawie co sułtan władzy, prócz kary śmierci, którą jedynie sam panujący naznacza; lecz basza nakłada podatki, kontrybucye, kary, obdziera i prześladuje podług upodobania. Czasem sułtan obdarzy takim urzędem, jakiego awanturnika umięjącego podchwycić jego przychylności; ale najczęściej osoby powszechny szacunek posiadające, często synowie Sułtana, wysyłani bywają na takie posady. Jednak wspólny los ich czeka, bo skoro się uciskiem i zdzierstwem zbogacą, sułtan sułtanów nawzajem ich złupi.

Po baszach, następują z odmienną nazwą, ale nie z odmienną władzą, alkadowie i szeiki. Nazwa alkada dotąd po Maurach pozostała w Hiszpanii, oznacza przełożonego nad miastem i daleko mniejszym od prowincyi obwodem ziemi; szeika władza rozciąga się nad osiadłościami plemion, które nie zmieniają miejsca. Alkadów i szeików jednakowe prawie są obowiązki, nakładają czyli odbierają podatki, utrzymują społeczny porządek, karzą występki. Mają władzę cywilną i wojskową, z tą tylko różnicą że sprawa między indywiduami wydarzona, tylko przez kadego może być rozsądzoną, że w charakterze duchownego, używa Koranu za podstawę wyroków swoich i pomimo nadużyć alkadów jest nieuległy im w swoim.

Wprawdzie przeciw wyrokom kadego można apelować do sułtana, lecz odległość miejsca, koszta, trudność znalezienia pięknego podarku godnego sułtana, sprawia iż bardzo rzadko to odnoszenie się do jego sądu ma miejsce; zresztą jak obwiniony niesłu-

sznie przez kadego odbierze bastonadę, to *Sultan Sulttanów, Pan świata*, nie na to nie pomoże!

Dziwna rzecz jak wykonywanie sprawiedliwości w Maroko, sprzeczne uwagi wywołało w Europejczykach podróżujących po tym kraju—np. pan Lemprière który pewnie sobie przypomniał ów czas, kiedy nie bardzo bezpiecznie było chodzić w późnej porze samemu po ulicach Londynu, z entuzjazmem mówi o policyi marokańskiej. Pan Jackson może z tychże samych powodów zadowolenie okazał z szybkich, skutecznych i sprawiedliwych sądów kadych, podobnie z wyroków sułtana gdy się do niego po nie uciekano. Pan Durrieu później po tamtych zwiedzających Maroko, któremu jednakże okoliczności nie dozwoliły, jak tamtym, z doświadczeniem wszystkiego, twierdzić, pisał zdaje się w celu aby usprawiedliwić poczetą przeciw państwu marokańskiemu wojnę. P. Hay należący jak p. Durrieu do terażniejszej naszej generacyi, bliżej i obszerniej na wszystko patrzący; zapewnia że wyroki śmierci nieporównanie teraz są w tym kraju rzadsze niż dawniej bywały, chociaż męki zadawane występny są zawsze bardzo okrutne. Podług niego, przypuścićby można że łagodność naszych obyczajów aż na cesarstwo marokańskie wpływ wywarła. Jednakże jest niejaki powód posądzania, że sprawiedliwość tam jest rzeczą rzadko wydarzającą się, gdyż mieszkańcy tamtejsi gorączkowo prawie ją uwielbiają; ta wspólna namiętność prowadzi ich w braku rzeczywistości, do utworów z samą wyobraźnią pochodzących, któremi się oburzają—tak anegdota o Sidi-Mohammecie, przerabiana może w ustach ludu na wzór anegdoty o kalifie Harun al Raszydzie, który miał się także przebrać dla odkrycia i ukarania *niegościnnosci*—jest pewnie bajeczką.

Groźna i straszna dawniej marynarka marokańska, od dwudziestu lat tak zmalała że taki tylko wywołała opis pana Hay:

„Przejechawszy ze trzy mile po płaszczynie nieużytecznej, piaszczystej, zbliżyliśmy się do rzeki gdzie *cała eskadra* sułtana mieściła się, — złożona z jednej korwety, dwóch bricków, statków o dwu masztach z jednego schoonera, kupionego od kupców chrześcijańskich i z kilku batów kanonierskich. Wszystkie te statki nie są w stanie wyruszyć na morze jak mi marynarze sami mówili; kotwice, żagle, liny i wszystko po ziemi porozrzucane. Takie są resztki okrętów rozbójników z Sale przed którymi niegdyś całe chrześcijaństwo drżało.”

Siły wojskowe marokańskie z dwóch bardzo wy-

rażnych składają się żywiołów, z armii regularnej sułtańskiej i z milicyi prowincjonalnej. Pierwsza cała składająca się z rekrutów, z Gwinei sprowadzonych murzynów, utworzenie swoje winna Mulej-Ismaelowi. Dawniej, jak mówią dochodziła do stu tysięcy; lecz za czasu Lemprière zmniejszoną została do trzydziestu sześciu tysięcy, z której dwietrzecie części składała konnica. Jeden z dzienników francuzkich utrzymuje że dziś składa się z dziesięciu tysięcy kawalerji i tyleż piechoty. Tem wojskiem czterech baszów w randze generałów dowodzi z pomocą alkaldów z trzech klass składających się, których najniższa odpowiada stopniowi porucznika u nas.

O milicyi brakuje nam szczegółów. Teorycznie biorąc, wnosić można że każdy będący w stanie bronią władać, może być pod chorągwie zawołany, a w praktyce, szczególnie jeżeli wojna jest narodową, każdy w sile będący musi być żołnierzem. Alkaldowie i szeiki powinni dowodzić kontyngensem dostarczonym przez ludności koczujące i zamieszkałe na miejscu. Co do liczby takiego powstania w massie całej, tej nie można ograniczyć, tylko stosowaćby się należało do ogólnej całego państwa ludności, a w liczeniu jej różnią się bardzo podróżujący. I tak gdy Jackson rachuje ją do piętnastu milionów, Chemis redukuje ją tylko do sześciu. Dodajmy do tego że Arabowie ciągle mający zwyczaj obierać na siedziby jaknajbardziej od miast oddalone miejsca, dla schronienia się od praktykowania dla przechodniów uciążliwej gościnności, dali powód do sądenia że Marokańskie państwo jest mniej, niż rzeczywiście zdaje się, ludne.

Jakakolwiek może być liczba ludzi mogących i chcących pochwycić broń na obronę swoją, uważmy czy w dzisiejszym stanie rzeczy, milicja marokańska może stawić czoło wyćwiczonym i wydoskonalonym wojskom Europejskim? O tém przynajmniej dozwolono każdemu wątpić. Mieszkaniec marokański jest w ogóle doskonałym jeźdźcem, umiejętnym w potykaniu się podług zwyczaju krajowego, zdolnym do znoszenia głodu, pragnienia i trudów, zgoła jest najlepszym nieregularnym żołnierzem, ale bez najmniejszego wyobrażenia porządku i karności wojskowej. P. Lemprière obeznany z wojskowością mówi: że żołnierze sułtana są dobrzy do małych potyczek, do niepokojenia i utrudzenia nieprzyjaciela, lecz napadu regularnego wojska, bitwy, nigdyby nie wytrzymali. A od czasu jak p. Lemprière to powiedział, wojsko Marokańskie cofnęło się w zdatności, gdy przeciwnie Europejskie, mianowicie od dziesięciu lat ostatnich, wielkie poczyniło postępy. Lecz kto to

wie? Możliwość twierdzić, że przykre prostopadłe prawie góry, wylewy raptowne nieznanymi z własności rzek, niedostatek żywności którą z sobą prowadzić trzeba, dziki, niepokonany fanatyzm zapalony nienawiścią narodową, nade wszystko epidemie, cholera, wszystko-to mogłoby pomagać Maurom. Jednakże Opatrzność rządzi zastępami i narodami.

W pierwszych wiekach istnienia państwa marokańskiego, cały stosunek z innymi narodami zasadzał się, na rozbójnikach toczących wieczną wojnę z wszystkimi chrześcijanami. Później gdy Europa oczyściła się nieco z feudalizmu i przez to stała się bogatszą i więcej handlującą; niektóre Państwa chroniąc swych brzegów i żeglugi od napadów rozbójników marokańskich, ułożyły, że korzystniej dla nich będzie opłacać się corocznie sułtanom, niż walczyć z nimi. Ta upokarzająca słabość była ogólną i długo trwała pomimo protestacyi wielu i ledwie od dwudziestu lat ustała, chociaż nie ze wszystkim.

Dopóki Francya nie podbiła Algieru i nie zachwycała territorium marokańskiego bombardując jego przystanie, stosunki jej z Marokiem były nader rzadkie i mało ważne. Od wielu bardzo lat ciągle tylko z Anglią i Hiszpanią związki handlowe utrzymywano. Szczególniej od 60ciu lat cesarstwo marokańskie z oburzającą hardością i wyniosłością traktowano z Hiszpanią; pojąć nie można jak gabinet Madrycki mógł cierpliwie znosić podobne postępowanie, które do tego stopnia przychodziło, że jak Sułtanowi afrykańskiemu spodobało się przez kaprys zamknąć porty swe Hiszpanom, to ci wysadzali się na dary rozmaite aby nimi go ułagodzić. Co do Anglii, ta umiała nakazać sobie poszanowanie, utrzymywała nieustannie z Marokiem stosunki przyjazne z niejaka *protekcją*, jednak strzegła się tak ścisłych, któreby ją zmusić mogły do dania mu jakiegokolwiek pomocy teraz kiedy jest napadnięte.

Pomimo z północy i z południa napadów, jakich Portugalia i Hiszpanja niegdyś doznała, ludności ich zlały się w jedną; gdy tymczasem różnice bardzo wyraźne istnieją dotąd w państwie marokańskim w ludnościach Berberesów, Szilluhs czy Szillahs, w Maurach i Arabach.

Berberesy mieszkają począwszy od Atlasu i brzegu Środkowego morza, aż do szerokości geograficznej w której miasto Maroko leży. Jest to ludność silnie zbudowana, czynna, wojenna, pod namiotami mieszkająca, pracująca około roli, a także hodująca pszczoły od których miód i wosk sprzedaje. Jednakże pokolenie z nich zwane Riff, utrzymuje się z trzód

tylko swoich i z łupieztwa. Berberesy mają swój język który ma być dialektem stariej Kartageny. Uchodzą za bardzo dawno osiadłych: znaleźć można między nimi mnóstwo rzymskich fizojnomij, z czego wnioskuje się że ze zmieszanej ludności początek mają. P. Jackson w statystyce ludności Marokańskiej podaje, że mieszkańcy gór dochodzą do liczby trzech milionów, w czem jednak jest wielka przesada, choćby w tę liczbę mieścić przyszło Szillahsów zaludniających resztę Atlasu.

Szillahsów napotyka się tylko w górach leżących na wschód i południe względem miasta Maroko. Ich sposób życia podobny do życia Berberesów, z tą różnicą, że nie pod namiotami ale mieszkają w domach które tworzą wsie. Niektórzy pisarze klasyfikują ich razem z Berberasami, utrzymując że tej samej są rasy. P. Jackson opierając zdanie swoje na odmianie jaka między nimi a Berberesami zachodzi w języku i w ubiorze, gorąco przeczy wspólnemu ich pochodzeniu. Szillahsy równie jak Berberesy mało ulegają władzy sułtańskiej, szczególnie kiedy wymaga od nich kontrybucyi; ale w czasie wojny z niewiernymi, można prawie przewidzieć jakby postępowali.

Maurów rodowód ulega sprzecznościom; niektórzy geografowie utrzymują że są czysto arabskim plemieniem, drudzy ich uważają za rozmaity lud pomieszany, kolejno brzeg Barbaresków zamieszkujący, z kąd niegdyś zaleli Hiszpanią. Jakkolwiek jest, to pewna że od wieków na miejscu spokojnie siedząc, ulegli trochę cywilizacyi której chybili koczujące plemiona. Liczne małżeństwa z cudzoziemcami pomieszały ród ich. Jest-to jedyna część ludności muzułmańskiej trudniącej się przemysłem i handlem.

Arabowie zamieszkują prowincję Tafilet: chociaż niekiedy trudnią się rolnictwem, są jednak przechodzącymi z miejsca na miejsce i w obozach żyją; — jak tylko w tém miejscu gdzie zamieszkują zabraknie im paszy dla ich trzód, natychmiast przenoszą się dalej. Takie opustoszenie, powiedziećby można objadanie ziemi, w trudne bardzo wprowadziłoby położenie napadających na kraj, bez żywności, wsi, miast. Kawalerya arabska marokańska, była słynniejszą niegdyś niż turecka, lecz równie jak inne wojska sułtańskie nieujęta w karby i bez porządku.

Prócz cudzoziemców i renegatów, są jeszcze dwa liczne bardzo plemiona w Maroko; to jest żydów i murzynów. Pierwsi nie są wcale za religiję prześladowani, zawsze jednak gardzą nimi, lżą i zdzierają ich bez miłosierdzia — pomimo to, wyższa ich przebie-

głość sprawia że często rządzącym są użyteczni; jeden z nich nazwiskiem Jakób Attal był największym ulubieńcem Sułtana Sidi-Mohammed; po śmierci tego monarchy, był okrutnym sposobem przez następcę Muley-Jazyda zarżniętym.

Bardzo wielka liczba murzynów w Maroko rekrutowaną bywa przez sprowadzanie niewolników w Sudan; a że między muzułmanami nie ma przesady względem koloru ludzi, przeto z murzynami obchodzą się z ludzkością. Uważają ich bardziej za sługi niż za niewolników, częstokroć nawet ich uwalniają. Jest podobieństwem do prawdy, że znaczna liczba murzynek po haremach bogaczy i domach uboższych sprawia tę różnicę fizyczną, jaką spostrzedz można między Maurem osiadłym i Arabem koczującym.

Nadzwyczaj trudno wydać pewny sąd o charakterze ludu jakiego; to też wszyscy podróżujący różnią się w opinii względem przymiotów mieszkańców marokańskich. Jedni ich przedstawiają uprzejmymi, przychylnymi, pełnymi gościnności i szlachetnemi; drudzy że są fanatyki, zdradzieccy, okrutni, do podłości ulegli, kiedy się boją; a hardzi i grubiańscy jak myślą że im to bezkarnie ujdzie. Może to wszystko znajdować się, ale w indywidualach tylko — lub też w chwilach uspokojenia albo namiętności.

Mniej więcej wszystkie prawie wschodnie narody są zmysłowe i okrutne; pochodzić to może z przyczyn naturalnych lub ze skutku srogięj, cięższej nad nimi tyranii. Ależ przypomnijmy sobie, że te czasy nie są jeszcze zbyt ubiegłe w których tortura dla oskarżonych a stosy dla heretyków były zwyczajnymi środkami niemal w całej Europie.

Często mówiono o systemie podatkowania w Maroko że jest najoczywistej samowolnym. To przynajmniej nie prawdziwe. W Maroko jak i wreszcie w innych wschodnich krajach i jak w średnich wiekach bywało w Europie, poddany składa dar *dobrowolny* który w istocie jest *obowiązującym*, lecz największa część poborów publicznych, wpływa ze źródeł regularnych.

I tak, rachują tam siedm gatunków podatków stałych wyraźnych:

1. Podatek z ziemi, w skutek zasady, że monarcha jest właścicielem kraju całego. Ci co karczują pola i użytkują z paszy, winni są pod *tytułem* dochodu sułtańskiego a nie *kontrybucyi*; dziesiątą część zbioru, a pięćdziesiątą sztukę trzód każdego rodzaju, corocznie składać, w ziarnie, bydło, lub pieniądzech, podług woli płacącego.

2. Podatek z połowu ryb, który najczęściej wydzierżawiony bywa za piątą część połowu — wymaganie urzędników których nie tylko opisać ale pojąć trudno, sprawia, iż ten rodzaj podatku bardzo jest ciężkim dla poddanych sułtana.

3. Za pozwolenie wprowadzania i wyprowadzania towarów, które nadzwyczaj ulega okolicznościom nie tylko w Europie, ale témbardziej w państwie rządzone kaprysem sułtańskim, także nie łatwo oceniony przychód z niego być może.

4. Podatek spadkobierstwa — sułtan mając prawo odziedziczać wszystko po śmierci bezdzietnych i nie mających blizkich sukcesorów, w roku 1800 w czasie zaraźliwych chorób i głodu, nadzwyczaj wielkie otrzymywał z tegoż podatku dochody.

5. Podatek osobisty, pobierany od żydów, podług źródeł mienia każdego z nich. Szacują dochód ten, pośrednio licząc, za dziesiątą część przychodu ogólnego Państwa.

6. Pozwolenie przybycia i wyjścia z miasta; ten rodzaj opłaty bardzo zbliżony do opłat podobnych we Francyi a prawdę mówiąc z mniejszą jak we Francyi drobiazgowością.

7. Opłaty kar jakim winowajcy podlegają, również pokolenia które nie umiały powstrzymać przestępstw w swoim territorium.

Te wszystkie opłaty *mogą być w rzeczywistości* samowolnie i z uciskiem kontrybuentów pobierane, zawsze jednakże to dobrze, że przynajmniej choć w teorii są uregulowane i stałe. Inaczéj rzecz się ma z prezentami czyli darami, na co ceny niepodobna stałej naznaczyć. Każdy człowiek wchodzący z interesem do trybunału sułtańskiego winien mu dać podarunek. Dworzanie i wszyscy jakiegokolwiek pełniący na prowincjach obowiązki, począwszy od gubernatorów do najniższych urzędników, małpując sułtana, roszczą sobie prawo do przyjmowania darów. Łatwo sobie wystawić jak taki systemat może do strasznych nadużyć doprowadzić.... Zdaje się jednak że czas, ten wielki lekarz wszystkiego, wiele bardzo w téj praktyce ułagodził. P. Jackson nie tylko że tych podarków nie gani, lecz owszem uważa je za nader dogodne; i pisze: że ministrowie i inni urzędnicy nie ukrywając swoich wymagań, od razu mówią co im potrzeba za taką lub ową łaskę złożyć. Takie postępowanie w tém przynajmniej jest dobre, że nikogo nie zwodzi próżnemi obietnicami i nadziejami, że jest już *pewna forma postępowania*, gdyż w ogóle zawsze się to otrzyma za co się dar ofiaruje.

Trudną jest rzeczą stały dochód państwa marokańskiego oznaczyć dokładnie. Monitor armii Francuzkiej wskazuje przychód 2,600,000 piastrów
 rożchód 900,000 „
 pozostaje 1,500,000 „

Piastr oceniony jest pięć franków przez dziennik francuzki; a zatem corocznie wpływałoby do skarbu sułtana sułtanów summa 7,500,000 franków. Mniemanie jest powszechne że sułtan marokański jest bajecznie bogatym; niektórzy podróżujący rachują że posiada 11 milionów fun. szterlin. 275 milionów franków. Może chęć zaczerpnięcia tych kup złota wiele wpływa na uporczywe wojowanie Hiszpanów z Marokańczykami w teraźniejszym czasie.

Towary wychodzące z Maroko składają się ze zboża, owoców, rozmaitych gum i z bydła, którego w największej ilości dostarczają do Gibraltaru, także i do najbliższych portów hiszpańskich i portugalskich. Skóry od tak dawna znane pod nazwą *Marokinu* wychodzą także z *ich rękodzielni*, bo je przed wysłaniem, wyprawiają i farbują. Mówią że w głębi kraju znajdują się kopalnie drogich metalów, lecz to potrzebuje potwierdzenia. Gdyby rząd ustanowił stale cła po komorach, i tym sposobem zabezpieczył dochód przyzwoity pracy, na ten czas z pewnością stosunki handlowe z Marokiem rozwinęłyby się na większą skalę. Reszta przemysłu niegdyś tak kwitnącego jest w ręku Maurów; wyrabiają oni mniej piękne za to mniej kosztowne od tureckich dywany, rogóżki z liści palm dzikich, i cokolwiek tkanin jedwabnych. Wysyłają do Barboresków płaszcze tak zwane haïks i sławne czapeczki fezy, bo w mieście Fez fabrykowane.

W témże samém mieście robią garnki, pantofle i wyprawiają marokin, któren także i w Toflecie

urządzają. Arabowie zaś koczujący, z pilśni czyli szerści wielbłądziej wyrabiają tkaninę mocną bardzo, koloru czarnego przez którą deszcz i woda nie przechodzi, i z tego robią namioty. Obliczenie zysku pieniężnego z tych fabryk, zupełnem niepodobieństwem dla braku statystyki w każdym rodzaju. Durrieu utrzymuje że handel morski w Maroko dochodzi do dwóch milionów fun. szterlin., to jest 50 milionów franków, z którego dwie części towarów idzie do Anglii przez Gibraltar, reszta dzieli się na Europę, Tunis i Tripoli. W zdaniu rachunków z roku 1859, z przyprowadzonych do Anglii towarów czytamy:

z Gibraltaru	510,889	funtów szterlingów
z Maroko . .	110,126	— —
	razem 621,015	— —

Widać że ten rachunek zupełnie się nie zgadza z wyrachowaniem p. Durrieu przypuszczając nawet że Maroko pochłania wszystko co z Anglii przychodzi do Gibraltaru. Przypuszczenie to miejsca mieć nie może, ze względu ciągłych skarg Hiszpanów na napływ towarów angielskich, przemycanym sposobem wprowadzanych na ich ziemię przez Gibraltar.

Wszyscy autorowie którzy o Maroko pisali zgadzają się na to, że to państwo schyla się do upadku. Trzeba przyznać że ilość sekt i różnica ich między sobą nie czyni nadziei aby się zlać mogło w jedno i odrodzić politycznie. Despotyzm nieograniczony światłem, i różność pokoleń składających całą ludność, jest tamą nieprzełamaną do ulepszeń. Jedną deską zbawienia byłoby, gdyby znalazł się wielki człowiek z silną wolą, z wyższem pojęciem, któryby wstąpiwszy na tron umiał i chciał wydobyć bogactwa z przyrody tamtejszej i poprawić zastarzałe nadużycia i błędy! Ale jakżeż to niepodobnem aby taki człowiek znalazł się w Maroko!

J. K. AJWAZOWSKI.

Ajwazowski Jan, znany powszechnie professor morskogo malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, urodził się r. 1817 w Teodozi. Malownicza natura Tauryki, wpłynęła bez wątpienia, na wczesny rozwój jego niepospolitego talentu do malarstwa. Początkowe rysunki jego zwróciły na sie-

bie uwagę b. naczelnika Teodozi A. J. Kaznaczejewa, który z prawdziwie ojcowską troskliwością przyjął życzliwy udział w dalszym młodzieńca losie artystycznym. Śledząc pilnie jego postępy, ciesząc się z szybkiego pierwszych jego utworów udoskonalenia, i przewidując świetną jego przyszłość, Kazna-

czejew odwiózł go do Petersburga i umieścił, jako pensjonariusza, w Akademii Sztuk Pięknych — Ajwazowski został uczniem zasłużonego profesora — pejzarzysty Worobjewa, który tyle znakomitych ukształcił talentów; wkrótce jednakże inna okoliczność wskazała mu istotne do morskiego malarstwa jego powołanie.

W roku 1835, przybył do Petersburga francuzki malarz artysta Tanneur. Świetne powodzenie jego obrazów stało się szlachetną zachętą dla talentu Ajwazowskiego. Młody artysta pojął instynktowo, na jakiej drodze spotkać go może wziętość i zaczął brać lekcyje u marynisty francuzkiego. Z pomiędzy siedmiu obrazów morskich Ajwazowskiego, które roku 1836 znajdowały się na wystawie, za jeden, wyobrażający parostatek: „Herkules” Ajwazowski otrzymał medal złoty drugi. W następnym roku przyznano mu na wystawie pierwszy medal złoty za obraz, któryby nazwać można *Studium powietrza nad morzem*. Rzeczywiście obraz ten, (który w akademii pozostał) niepociąga do siebie ani silnym efektem ani szczególnym kolorytem, ani też malowniczością obranego widoku. Widzimy przed sobą cichą, spokojną zatokę i bagniste wybrzeże z wyciągniętym na ląd rybackim statkiem jednomasztowym. Na statku siedzi drzemiąc chłopek-marynarz za nim, spokojem jego zachęcona, usiadła na tylnym pokładzie kawka; naokoło blada natura — i nic więcej! A tymczasem w studyum tem tyle cichój poezji utajonój i takie jest wierne natury odbicie, że wzrok z niejakimś żalem z nim się rozstaje.

Już ukończonóm było wychowanie akademickie Ajwazowskiego, ale teraz dopiero miało się rozpocząć dalsze jego ukształcenie; wymagało ono bliższej znajomości jego albo raczej zespolenia z powietrzem i wodą, temu tyle ulubionemu przezeń żywiołami. W tym celu, roku 1837 udał się do Krymu: podróż ta dobroczynne dla niego przyniosła skutki. Wdzięczna natura Tauryki, z jój brzegami malowniczymi i szafrowém niebem włoskiém, wiele pięknych zasobów dostarczyła dla artysty-podróżnika.

Na wystawie sztuk pięknych roku 1838, pomiędzy ślicznymi obrazami Ajwazowskiego, znajdowały się dwa, które doskonałością wykończenia i obmyślaną kompozycją, wzbudziły powszechne zajęcie. Były to — „Zachód słońca za morze po dniu burzliwym” i „pies rzucający się w morze za tonącym panem.”

Następne lato A. podobnież na brzegu morza Czarnego przepędził. Owocem tych studyów jego było kilkanaście obrazów, morskim przedmiotom wyją-

cznie poświęconych. Niektóre z nich ukazały się na wystawie roku następnego. Największe powodzenie miała „Krymska noc” która wszelkim wymaganiom estetyki w zupełności odpowiedziała, bo widocznie utworzoną była w chwili poetycznego natchnienia.

W jesieni roku 1840 A. wyjechał do Włoch. Wrażenia, jakich w klassycznej stolicy sztuk pięknych doznał, przesłał wkrótce za przybyciem do Rzymu w liście do jednego z życzliwych mu przyjaciół pisany:

„Widziałem, — pisał pomiędzy innemi, — utwory Rafaela i Michała-Anioła, widziałem Colizeum, Kościół ŚŚ. Piotra i Pawła i t. d. i t. d. Patrząc na te dzieła jenuuszów, na te ogromy pòmnikowe, czujesz całą swą nicość. Tu każdy dzień wart jest całego roku. Ja, podobnie jak pszczoła, wysysam miód z kwiecica, ażeby wdzięczną dla kraju przynieść daninę...”

Rok nieupłynął, a już Ajwazowski świetnie swoich obietnic dopełnił. Wielkie wzory i artystyczna ziemia włoska wywołały na jaw utajoną w duszy jego moc talentu. Zwiedziwszy Wenecję, Medyolan, Florencję i Rzym, Ajwazowski przybył wreszcie do Neapolu, i wkrótce całe miasto tylko jego obrazami zajęte było. Pracownia artysty od rana do wieczora odwiedzającymi napełnioną była. Magnaci, poeci, uczeni, artyści, podróżnicy wrywali go sobie, pragnęli go mieć u siebie, obsypując go grzecznościami i oznakami szacunku. Król neapolitański zapragnął widzieć młodego pejzażystę, rozmawiał z nim długo i nabył od niego obraz, przedstawiający *Flotę neapolitańską*.

Nadeszła pora wystawy artystycznej w Rzymie: obrazom Ajw. (katolika), przyznano pierwszeństwo pod względem sztuki wykonania. Papież, na znak szczególnego zadowolonia, udarował Ajwazowskiego złotym medalem, zakupił jeden z obrazów jego, znajdujących się na wystawie „Chaos” i umieścić go rozkazał w Watykanie, którego zaszczytu dostąpić mogą, jak wiadomo, tylko najpierwszych artystów utwory. W roku 1844, Ajwazowski przesłał obrazy swoje na wystawę do Paryża, i tamtejsza akademia sztuk pięknych, za obrazy przedstawiające *Spokojne morze, Kobieta z dzieciąciem na brzegu morza* i *Noc neapolitańską* przyznała artyście wielki medal złoty. Za też same obrazy, akademia sztuk pięknych w Petersburgu, mianowała Ajwazowskiego akademikiem.

W roku 1845, udał się do Konstantynopola. Zwiedziwszy Odesę, Ajwazowski odpłynął z Sewastopola ku brzegom Bosforu. Z Konstantynopola okrą-

żywszy wyspy Książęce, Świętą górę Athos, Nikomedya, Brusse, Smyrne, wrócił do Teodozyi. W tym czasie odmalował kilka obrazów z morskiej historii Rossyi. W roku 1846, za powrotem z Teodozyi do Petersburga, ukończył kilka nowych utworów; niektóre z nich znajdowały się na wystawie sztuk pięknych w Berlinie, gdzie podobnegoż jak w Paryżu doznały przyjęcia. W następnym (1847) roku został członkiem akademii sztuk pięknych w Amsterdamie. W roku 1848, na posiedzeniu Rady Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, obrano Ajwazowskiego profesorem morskiego malarstwa w tejże akademii. Następnego roku znowu rodziną Taurykę odwiedził, — gdzie wielu nowymi pracami zbiór pięknych obrazów swych wzbogacił. W roku 1850, dał na wystawę kilka obrazów w Odessie, za co w imieniu tamtejszego towarzystwa ofiarowano mu kosztowną wazę srebrną.

W roku 1851, publiczność moskiewska miała sposobność podziwiać nowe prace Ajwazowskiego, na wystawie artystycznej szkoły malarstwa i rzeźby w Moskwie.

Nadszedł rok 1854 i morze Czarne, od lat dziecinnych znane artyście, stało się teatrem wielkich wypadków. Talent Ajwazowskiego nie mógł pozostać obojętnym na morskie wyprawy wojenne i wnet odznaczył się nowymi zasługującymi na uwagę malowidłami.

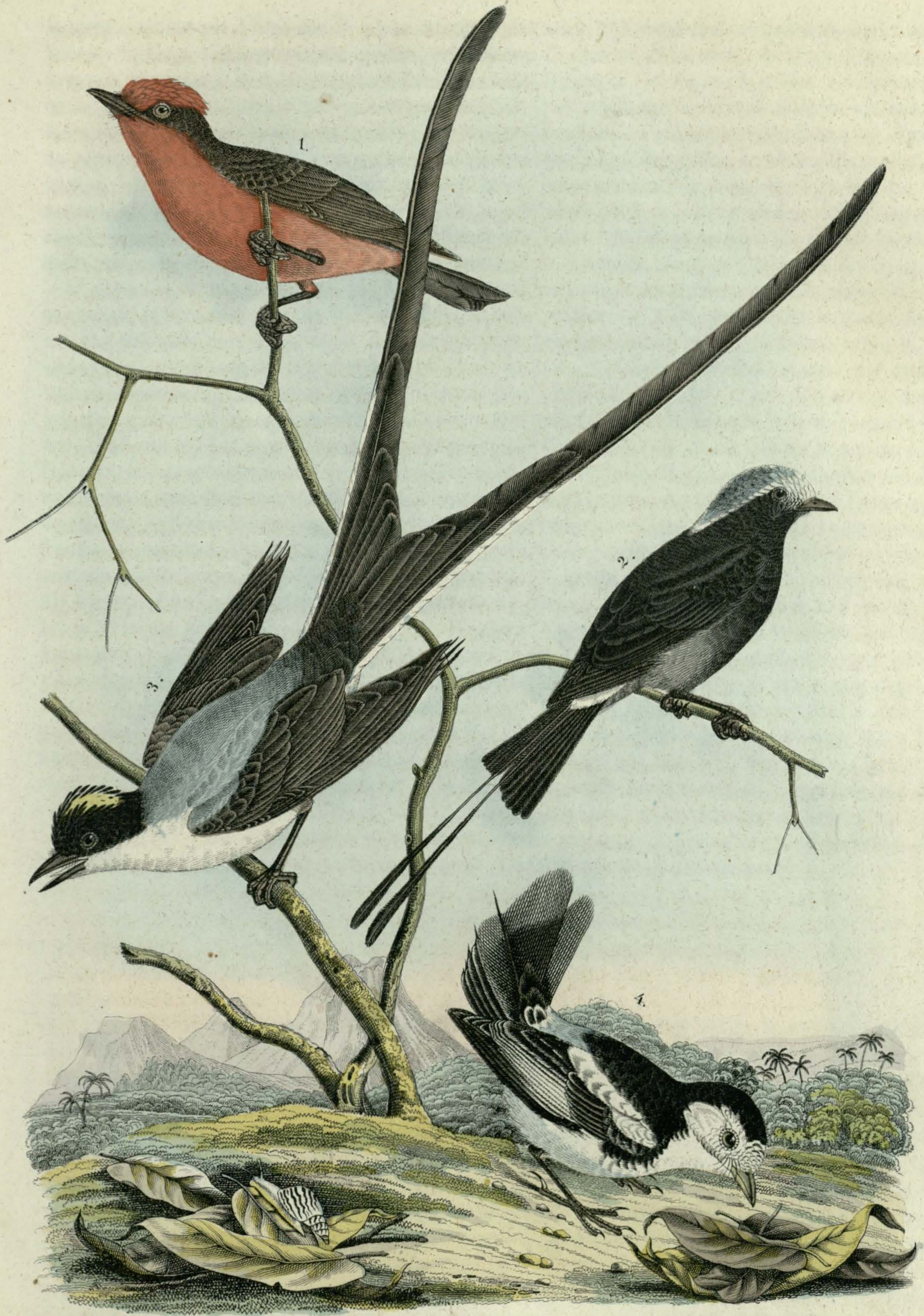
W roku 1855 znakomity artysta, przepędziwszy zimę i lato w Charkowie, ukończył znany swój *Przejazd po stepie iziumskim*.

W zimie roku 1855—56 Ajwazowski bawił w Petersburgu, pośród zwykłych zatrudnień, z paletą i pędzlem w ręku. Za nadejściem wiosny wrócił do rodzinnego Krymu i odmalował tam około sześciu obrazów, których przedmiotami były widoki czarownej Tauryki. W jesieni roku 1856 znakomity marynista udał się do Paryża; ale żadne podróże odległe nie mogły osłabić niezłomnej jego czynności. W przecięciu jednej zimy w Paryżu ukończył do 25 obrazów, z których siedem znajdowały się na przypadającej tamże w owym czasie wystawie artystycznej. Z siedmiu tych obrazów, na szczególniejszą uwagę co do idei swojej i wykonania, zasługują cztery następne: *Step syberyjski w zimie, z idącym po drodze transportem złota; Ukraińskie pole, zbożem okryte, przy rozpoczęciu żniwa; Step z trzodą owiec, o zachodzie słońca, w kraju Noworuskim; Krymska noc w Urzufie*. Jeden z tych obrazów (*Step z trzodą owiec*) pozostał w Paryżu, inne przez ziomek Ajwazowskiego nabyte, do kraju wróciły. W liczbie

znajdujących się na wystawie były jeszcze: *Burza u stóp góry Athos, Noc na wyspie Rodos, i morze Spokojne przy brzegach Azji mniejszej*. Wszystkie obrazy te, równie jak i reszta z owych 25, w Paryżu robionych, pozostały za granicą. Rada paryskiej Akademii sztuk pięknych przyznała artyście za obrazy przez niego przedstawione, order legii honorowej. Nagroda bardzo chlubna, gdyż był to pierwszy przykład przyjęcia artysty rosyjskiego do grona kawalerów tego orderu. Gazety francuzkie nie szczędziły pochwał dla Ajwazowskiego, Oto np. co o nim powiedzianem było w „*Abeille Imperiale*,” *le 1-er Aout* 1857:

„Z siedmiu obrazów p. Ajwazowskiego będących na wystawie, cztery tylko udało nam się oglądać, ale i tego jest dosyć, ażeby o talencie artysty sądzić. *Step przy zachodzie słońca* stanowi istny cud co do efektu i kolorytu. To niezliczone mnóstwo owiec, po stepie rozproszonych i wmglistej oddali się ukrywających, wspaniale jest oświecone niezliczonemi odcieniami różowego koloru. Patrząc na ten obraz, zupełnie pojmujemy, że to jest poetyczny moment dla jej mieszkańców. Wrażenie, jakie ten obraz sprawia, jest niewypowiedziane. Patrząc nań, zdaje ci się, żeś sam obecny w stepie, pomiędzy temi owcami; wielkość przedstawionej natury tak jest potężną, że czujesz swą nicość i gotoweś się modlić. *Zima* p. Ajwazowskiego przypomina (a niepodobna jest inaczej) smętny wiersz Wiktora Hugo o wsi na Rusi: „*Il negeait, il negeait...*” (Śnieg padał, śnieg padał). Co się dotyczy *Pola ze zbożem na Ukrainie*, nie podobna z większym życiem oddać charakter południa: każdy kłos oddycha skwarem południowym, jak gdybyś sam torozognione połykał powietrze i nie masz sił, ze znużenia i rokoszy, z miejsca się ruszyć. Mimowolnie jakoś przychodzą ci na pamięć te błogie dziecinnych lat chwile (a któżby wspomnień nie miał?), kiedyś pomiędzy maisem, pszenicą i drzewami oliwnemi (zapewne stosownie do miejsca szerokości) biegał jak mówi Dante, po wązkich ścieżkach, okalających brzegi Arno i kryjących się w oddali krzaków cierniowych.”

Niemniej pochlebnią o pracach Ajwazowskiego odezwę napotykamy w inném piśmie francuzkiem, które tak mówi: „Kończąc sprawozdanie nasze, koniecznie musimy się zatrzymać, podobnie jak wszyscy, wystawę zwiedzający, przed *Stepem ukraińskim, Turecką kawiarnią na wyspie Rodos, przy blasku księżycy*. Pan Ajwazowski jakby podpatrzył wszystkie czarodziejskie odmiany kolorów; jakie tylko w naturze



istnieją. Czerwone i błękitnawe niebo stepów, na którym ognista kula słoneczna płynie, niezatarte sprawia wrażenie. Podobnie, niepodobna trafniej oddać odbicia się światła w śniegu olśniewającej białości i fosforycznego blasku bałwanów, od księżycyca oświetlonych. Umysł milczy przed tą ożywioną naturą. Wrażenie jakie obrazy p. Ajwazowskiego sprawiają, tak jest silne, że pomimo najszczerzej chęci, niepodobna patrzeć bez znużenia, dłużej jak kilka minut, na to olśniewające morze ognia i światła.”

W powrocie z zagranicy do Teodozyi, w której okolicach Ajwazowski posiada czarowną majątność, artysta zabawił parę tygodni w Konstantynopolu, poświęciwszy ten czas na zdjęcie widoków z natury. Sułtan, któremu imię Ajwazowskiego już było znanem jak z poprzedniego pobytu jego w Konstantynopolu w r. 1845, tak też i ztąd że brat rodzony profesora, Gabryel, jest przełożonym klasztoru Ormiano-gregoryańskiego, udarował marynistę, na znak swego zadowolonia, orderem Medżydie. Ajwazowski wrócił do Teodozyi w czerwcu 1857 roku i tam wykończył sześć następnych obrazów: 1) *Burza w nocy we Włoszech*. 2) *Noc we Włoszech* (obadwa te obrazy posłane były do Wiednia i tam nabyte zostały). 3) *Wąwozy krymskie*. 4) *Cygański tabor w Krymie*. 5) *Dniepr pomiędzy Chersonem i Aleszkami, przy zachodzie słońca*. 6) *Widok Aju-Dahu na południowym brzegu Krymu*. Cztery ostatnie obrazy znajdowały się na petersburskiej wystawie w miesiącu kwietniu roku 1858. (W klasztorze ormiańskim w Wenecyi, widzieliśmy kilka jego maryn. *Prz. Red.*)

W lipcu 1857 roku Ajwazowski wrócił do Petersburga, a do połowy kwietnia roku następnego już

miał wykończonych czternaście obrazów: 1) *Burza* 2) *Noc we Włoszech*. 3) *Wyspa Caprea*. 4) *Noc na Dnieprze*. 5) *Krymski widok*. 6) *Podczas nocy. Widok Alukszty*. 7) *Widok Salerno we Włoszech*, jako pendant do poprzedniego obrazu. 8) *Burza*. 9) *Widok Lago Maggiore, ze strony Bawenno*. 10) *Burza*, jako pendant do poprzedniego widoku. 11) *Stado owiec przy zachodzie słońca*. 12) *Zima w Wielkiej-Rusi*. 13) *Okręt tonący*. 14) *Widok Teodozyi w nocy*.

Szczupłe ramy artykułu, nie pozwalają nam wdać się w ocenienie ostatnich utworów znakomitego profesora, i dla tego na tém ogólnem poprzestaniem spostrzeżeniu, że prócz doskonałości wykończenia, Ajwazowski posiada jeszcze dar nadzwyczajnej szybkości w pracy. Trzy, lub cztery dni wystarcza mu do zrobienia dużego obrazu, godnego jego pędzla. Ztąd też dziwić się nie trzeba, że ogólna liczba utworów Ajwazowskiego, od czasu ukończenia nauk w Akademii, przeszło 800 wynosi, nie licząc w to małych obrazków. Zresztą, szybkość ta poczęści przez sam rodzaj malarstwa Ajwazowskiego wytłumaczyć się daje: na wszystkich jego obrazach leży piętno natchnienia poetycznego, nie zaś pracy uciążliwej, a czyż podobna, w ciągu lat kilku pod wpływem tegoż samego zostawać wrażenia? czyż można być jednakowo nastrojonym w przeciągu długiego czasu? To też Ajwazowski, korzystając z natchnienia, nie odrywa się, od razu w przeciągu kilku dni maluje go z gorącą miłością, wykończy, a potem znów, pod wpływem innego wrażenia, przystępuje do urzeczywistnienia nowej fantazyi swojej. Nadto i obieranie w szczególności drobiazgowe niezbyt obfitych przedmiotów, znacznie ułatwia pracę.

ROŚLINNOŚĆ, ZWIERZĘTA, PTASTWO I OWADY

NA WYSPIE CEJLAN.

Gdyby mieszkańcy czarującej wyspy Cejlan, wzięli się do przeglądania naszej Flory Europejskiej, bez wątpienia i rysunki i opisy kwiatów i roślin, wydałyby się im bajeczną, podobną do historyi liliputów fantazyą. A przynajmniej wnosiłoby sobie mogli, że ręce zrywające w miniaturowych kształtach kwiaty, obierające strączki z karłowatej fasoli, w porównaniu

olbrzymich strąków u nich rosnących, muszą być równie drobne u ludzi tutejszych. Istotnie uderzająca jest różnica bujności przyrody roślinnej i zwierząt między Europą a kolebką rodu ludzkiego. Mianowicie wyspa Cejlan, szczęśliwa co do położenia swego, od niszczących zachowania przygód, daje nam obraz nadzwyczajnej siły i bujności. Wszystko

tam olbrzymie; materya jakby nie zużyta jeszcze, rozwija się w kształtach nadzwyczajnych dla nas rozmiarów. Człowiek tylko jakby na dowód inszości swojej, na dowód że on jeden nie odstępował od pierwotnie nadanych mu kształtów, na dowód że powierchowność jego nie jest zespoloną z materyą o tyle, aby go od jego wielkiej rodziny zupełnie odróżnić mogła; człowiek tylko jak wszędzie tak i tutaj zachował swoje, miernego kształtu rozmiary. Indyanin wychowany wśród niebotycznych drzew; wśród ogromnych zwierząt, w bujnej wielkości roślin, nieprzewyższa wzrostem, zręcznego Araba wśród dzikich nieurodzajnych piasków zrodzonego. Czarny skwarnej Afryki mieszkaniec, podobny do naszego poleskich znanych nam błot wieśniaka. Fizyczną różnicę między nimi stanowi tylko kolor skwarem słońca zmieniony — moralną zaś odmianę sposób życia, miejscowe prawa, jednem słowem — cywilizacya.

Zapewne zaprzeczyć nie można ogromnemu wpływowi, jaki wywiera na człowieka przyroda, z której czerpie fizyczne życie; ale wpływ ten nie jest tak wielkim, jakim go nie raz mieć chcą materyaliści. Lecz nie tu miejsce w dalszą wdawać się rozprawę. Chcąc obeznać czytelników z bogactwem przyrody wyspy Cejlan, umieszczamy wyjątek z najnowszej po tej wyspie podróży.

Podróżny z którejkolwiek strony przybywający do wyspy Cejlan, zachwycony jest wdziękiem i wielkością obrazu, któremu nic na całym prawie świecie nie wyrównywa; ogromne prostopadłe góry pokryte wieczną, nieustającą nigdy, roślinnością, jakby girlandami z kwiatów, do takiego stopnia czarującą ją czynią, że dawni Grecy przewalili: ziemią hjacyntów i rubinów; Buddyści: drogą perłą zdobiącą czoło Indyi, a Mahometanie mówią: że Bóg w swoim miłosierdziu chcąc osłodzić tęsknotę pierwszemu człowiekowi wygnanemu z Raju, w Cejlan go na pociechę umieścił. Pierwsi Europejscy marynarze wspominają, że zdaleka jeszcze od wyspy, powiewy wiatru przynoszą najprzyjemniejszą woń z wiecznie kwitnących cudownych nieznanym nam jeszcze roślin, które w krótkości wymienić i określić zamierzamy sobie.

Lasy w Europie z różnych gatunków drzew składające się, mają po większej części jednotonną barwę; w Cejlan przeciwnie przedstawiają zadziwiającą rozmaitość z różnościami liści i kolorytu. Rzeki pomiędzy górami obrośniętymi lasami z piękną zielono-

ścią, i nadzwyczajną wysokością, wydają się jak srebrne wstążki, wszystkie bowiem składają się z czystych przezroczystych wód, w których światłość odbija się nieba.

Mieszkańcy cieszą się klimatem daleko jeszcze przyjemniejszym niż nawet na półwyspie Indyjskim, bo ani męczących skwarów, ani gwałtownego zimna na jakie Indye są narażone, nie doznają nigdy: powiewy od zatoki Bengalskiej i oceanu indyjskiego utrzymują ciągle przyjemny klimat, tak że bez niebezpieczeństwa można w każdą dnia godzinę znieść promienie słoneczne, a w każdym prawie miesiącu, (wyjąwszy marzec i kwiecień,) miernych używać przechadzek. Tam naprzód wiedzą w jakim czasie jaka atmosfera przyjsć ma, to też niema żadnej pory w roku w którejby nie sieli i nie zbierali. Na tychże samych gałęziach z których owoc dojrział zbierają, znajdują się zaraz pączki na kwiat i zawiązki przyszłych owoców. Liście z drzew nie więdną i nie schną jak w naszych lasach i ogrodach — przy starym liściu ciemniejszym, gałęzie wydają nowe jaśniejsze, a na końcach gałęzi kupki i pęczki blado-palijowe albo purpurowe, które zdala wydają się jak kwiaty. Strona zachodnia wyspy szczególnie jest żywna, wschodnia wystawiona na gorętsze wiatry, jest w porównaniu z pierwszą sucha i dziksza, wszystkie zaś nadbrzeża morza co do roślinności równają się nadbrzeżom w archipelagu indyjskim. W małej odległości od morza wznoszą się grupy krzewów, *sonneratia*, *avicennia*, *heritiera*, *pandanus*; ten krzew ostatni ma łodygę podobną do karłowatej palmy, liście wszystkie rosnące do góry i formujące w górze koronę, przy której wiszą grona owocu podobnego z koloru do ananasa, ale go jeść nie można.

Daliej płaszczyny piaszczyste są pokryte roślinami kolczatymi tego samego gatunku jakie rosną wszędzie na brzegach Koromandela — także różnego rodzaju akacjami; pomiędzy innymi rośnie tam *Cassia fistula* i *salvadora persica* z pisma świętego, która odtąd rość zaczyna i aż do Palestyny dochodzi.

Postępując ku południowi od strony zachodniej, akacje co raz rzadsze, w końcu już ich spotkać nie można, roślinność w ogóle inna i nie tak obfita; wysokość drzew nadzwyczajna, ciemniejszy kolor liści okazuje że wilgoć równin i rzek wpływ na nie wywiera. Za to rosną świetne *ixoras*, *erythrinas*, *butteas*, *hibiscus* i rozmaite kwitnące pięknie krzewy; ziarnka nasienne cynamonu z ogrodów, przeniesione przez ptastwo, puszczają i rosną na piaszczystej ziemi i urozmaicają lasy połyskującymi liśćmi i kolo-

rowemi latoroślami. W czasie jak Holendrzy byli panami téj wyspy znaczną bardzo ilość cynamonu wywozili corocznie i pieprzu strojącego las girlandami swemi.

W téj saméj zachodniéj stronie lekkie rośliny nakształt powojów naszych, zwane *convolvulus*, *ipomacrus* okręcają pnie wielkich drzew a dostawszy się do gałęzi, przystrajają je wiszącymi kwiatami. Przechodzień zdziwiony chciałby zgadnąć jakim ciekawym mechanizmem roślina *nepenthes* zlewa w znacznej ilości płyn z siebie, w czarnekę zaokrągloną znajdującą się u brzegu liścia.

W częściach wschodnich Cejlanu wzgórza starannie są uprawiane, o kilka tysięcy stóp wyżej nad wzgórkami są plantacye szerokolistnych roślin zapuszczających swe korzenie w szczyby skał; tam piękne bambusy lekkimi, podobnymi do strusich piór, wierzchołkami kołyszą się w powietrzu, pomiędzy morelowemi i wiśniowemi drzewami, na których przez brak odpoczynku zimowego Europejskiego, owoce przez zbytek gorąca nie dojrzewają. W tejże saméj części kraju niektórzy starali się zaprowadzić plantacye herbaty. Ta pomyślnie się udała, ale niewiadomość zbioru i urządzania liści, dotąd korzyści, żadnej nie przyniosła. Chcą do takiego ją stopnia rozszerzyć, żeby warto było jakąś część ludności chińskiej do urządzania jój sprowadzić.

O sześć tysięcy pięćset stóp nad powierzchnią morza na płaszczyźnie obszernéj blisko Nenera-Ellia rozmiar drzew się zmniejsza, za to wkoło nich krzewy i rośliny trawne są obfite; pomiędzy którymi *avantherae* dostarcza ulubionego pokarmu ziarnkami swemi rozmaitemu ptastwu, a krzaki korzeniące się w rozpadlinach wilgotnych ziemi, rosące do wysokości 20 stóp, chwieją wierzchołkami swemi pierzastymi. Na wzgórzach téj wielkiéj płaszczyzny *Rododendron* nie taki wąty jak w Europie, lecz w postaci ogromnego silnego drzewa z tysiącami amarantowych kwiatów przedstawia się, także *michelias* roślina którą z magnolją północnej Ameryki porównać można, mnóstwo mirtów i *gordonias* najpodobniejsza do Kamelii.

Rododendron jest najpiękniejszym drzewem na cyplu góry Adam, rośnie nawet przy samym Przybytku, który podług tradycyi jest zbudowany w miejscu, gdzie pierwszy człowiek pierwszy krok postawił. Są miejsca gdzie lasy składają się z samych drzew rododendrowych; w czasie kwitnienia, miejsca te i wzgórza zdają się jakby najpiękniejszymi dywanami były pokryte.

Najwspanialsze, najpiękniejsze kwiatowe drzewo w Cejlan jest, jak go nazywają: *korolowe*, gdyż wszystkie gałązki jego okrywają się kwiatem szkarłatnym pierwój jeszcze nim liście wypuści. Mieszkańce niższych miejsc używają go na płoty z przyczyny że jest bardzo kolczaste.

Merratu równie jak *Lisoca*, *Rododendron* i *korolowe* drzewo tak wslawione przez poetów, wznosi się do wielkiéj wysokości szczególniej w miejscach wilgotnych lub w bliskości rzek; na końcach gałęzi rosną kity długości trzech stóp, utworzone z kwiatów rozmaitego koloru i cieni, od różu do najciemniejszej purpury, rozmiaru od goździka do wielkości róży.

Lisoca bywa pielęgnowana po ogrodach, w Toompana i w dolinie Doombera w całej okazałości można ją widzieć z pękami gronowemi kwiatów żółtych i karmazynowych.

Ze wszystkich drzew zadziwiających podróżników jest *katoo-imbul*, z którego otrzymuje się najdelikatniejsza jakby z peli bawełna; że jest za krótka aby do przedzenia mogła być użytą, więc używają jój zamiast puchu na posłania, poduszki i t. d. Jest to drzewo wysmukłe, pokryte okrutnemi kolcami i wydające tyle z siebie kwiatu że jak ten zacznie opadać to w dużej od niego odległości ziemia zdaje się purpurą być pokryta.

W bliskości pagód Buddystów, kapłani zasadzają drzewa zwane *żelazne*, a to dla tego że kwiatami z niego przystrajają swoich bałwanów: — kwiaty te podobne do białych róż, tworzą szczególną sprzecznosc z gałązkami i latoroślami swemi, piękną czerwonością mającemi. Przy wielkich uroczystościach Buddyści używają jeszcze z Szampaku kwiatu żółto-ciemnego, wydającego najmiłszą woń, i sławionego w poezjach Hindusów.

Na pochyłości wzgórza wznoszą się banjany i rozmaite rodzaje drzew figowych z nadzwyczajną łatwością tam się rozmnażających, aby tylko wilgoć znaleźć nasienie ich mogło; co jednak niesie zagładę starożytnym budowiom.

Przepyszne resztki budowy Anarajapooru i Pollanarrua są pokryte nadzwyczaj gęsto roślinami mianowicie figowemi drzewinami. Jedno z nich szczególny przedstawia widok: wzrosło na kamieniu dawnych rozwalin, ztamtąd wzdłuż muru wypuściło korzenie tak przyczepione do niego, jakby ulane były z płynu jakiego; te korzenie idąc w ślad za wszystkimi szczybami muru dochodzą do ziemi. Do téj osobliwej rodziny należy drzewo święte Budy *ficus religiosa*, które także przy pagodach swoich sadzą i nie

mniejszą mu cześć jak samemu bałwanowi oddają. W Anarajapoor pokazuje figowe drzewo, które podług tradycyi miało być posadzone na dwieście ośmdziesiąt ośm lat przed erą chrześcijańską.

W nieskończenie rozmaitej roślinności w Cejlan obok drzew, zachwycających oko przepyszniemi i cudnie pięknemi kwiatami; znajdują się także i takie które dziwacznym składem i szczególnemi własnościami zadziwiają. Do nich należy pomiędzy innemi drzewo zwane *wąż*—korzenie jego wychodzące z ziemi tak są powite, poskręcane, że zupełnie są podobne do grupy węzów pozwijanych razem. Także zwojna roślina pod nazwą *sterculia fetida*, mająca najprześliczniejsze kwiaty, a wydająca nieznośny fetor. Pomiedzy tym rodzajem nie można pominąć rośliny *strychnos*, której owoce podobne do małych pomarańcz mają w sobie ziarnka znane pod nazwą *nux vomica*; rośnie ona w części zachodniej wyspy, i dowiedziona jest rzeczą że są jej dwa zupełnie do siebie podobne rodzaje; z jednej rośliny ziarnka nic nie szkodzą, z drugiej są okrutną trucizną.

Z każdej strony wyspy, wszystkie lasy są zapelnione pnąciami się roślinami niepojętej rozmaitości kolorów; wszystkie latorośle drzew okryte wiszącymi kwiatowemi girlandami, z pomiędzy których, pnia drzewa dojrzeć nie można. Pomiedzy temi niezgatkowanemi jeszcze przez botaników rodzajami, jest także gatunek wysoko rosnącego winogrodu z łodygą kwadratową, który dorosłszy do najwyższej wysokości drzewa lub skały, spada potem najfantastyczniej aż do ziemi; świeżo rozkrojona łodyga wydaje sok bardzo smakujący słońcom.

Szczególniej téż rośliny pnące się około drzew nadzwyczaj wielkich rozmiarów, dochodzą także do nadzwyczajnej zażywności; niektóre łodygi mają grubość objętości człowieka w pasie wyrównywającą; okręcają ogromny pień drzewa, rosnąc do samego wierzchu—z kąd opadając, czepiają się innego mniejszego lub większego i z tego znów do innych jakie na drodze swój spotkać mogą i do jakich powiew wiatru ich skłoni; tym sposobem tworzą czasem niby statek okolony rozmaitemi linami wiążącymi z sobą maszty. Jeżeli czasem drzewa tak skrepowane zgruchoczą się pod ciężarem, lub uschną skutkiem odebranych im przez rośliny soków pożywnych; te powoje swoją drogą żyją i pną się z zadziwiającą siłą, bo odnogi ich młode i lekkie gdziekolwiek wiatrem popchnięte, znajdują wszędy podpore; a tém samym nieskończoną trwałość swoją zapewniają sobie.

Drwale z wyspy, użyci od Europejczyków do karczowania jakiegś części lasu, korzystają wiele z tego pomatania drzew powojami; na jakiej z kilku włók przestrzeni, poderzną po połowie drzewa, a w miejscu wyższym szereg większych drzew ze wszystkiem zetną; te upadając pociągają w upadku niżej rosnaące, które poczepiane z sobą powojami obalają inne, i tym sposobem na całej przestrzeni od razu las ginie z łoskotem tak wielkim że o trzy mile go słychać.

Jedna z tych plant pnących się, mająca rozmiar nadzwyczajny, wydaje strączki na pół stopy szerokie, a od 5 do 6 stóp długie, napełnione szeroką, ciemnego koloru fasolą; z której krajowcy robią pudełka do chowania hupki. Druga podobna jej roślina wytworniejsza nieco, zawieszająca swe kwiaty żółte na wierzchołkach drzew, wydaje także ziarnka ciemne jakby z marmuru, tak twarde że można o nie krzesać ogień.

Jeszcze jedna jest roślina w sokach żywotnych równająca się banjanowi; tę niezmiernie w Cejlanie rozmnażają dla tego że bywa środkiem lekarskim na wiele chorób. Jak tylko dorosnie do pół cala grubości, krajowcy urzynają jej 20 lub 30 łokci wzdłuż i zawieszają ją na drzewie; ta wnet wypuszcza cienkie jak nitki korzenie, które byle się dotknęły ziemi, zaraz nową rodzą łodygi, a te w niedługim czasie także zostają odciętemi i tak bez końca mnoży się.

Po za lasami mnóstwo znajduje się roślin zadziwiająco rosnących — np. jeden podróżny widział roślinę mającą najmniej 250 łokci długości, na cal 1 grubą; która ani jednego na sobie listka ani kolanka nie miała, prócz na samym końcu jakby kité z piór. Te rośliny, tyle żywotności w sobie mieszczące, są tak w łodygach mocne, że w Cejlanie robią z nich mosty na spadkach wód i wąwozach. Pomiedzy pagórkami Kosmatias, pod potokiem ze skały na skałę z wysokości 100 stóp spadającym, podobny most z dokładnością inżynierom właściwą postawiono; ułożony on jest jak u nas na łyżwach, na powoju, którego końce na obydwóch brzegach czyli wąwozach są przywiązane do drzew żyjących. Za najmniejszym ruchem ten napowietrzny most chwieje się jakby już miał się zgruchotać — jednakże mieszkańce ciężary bez najmniejszej obawy przezeń prowadzą, a Europejczycy konno go przejeżdżają.

Podziw wzbudza także drzewo, którego pień jest kolczasty; a pomiedzy rodzajem tym mieści się *Caryota horrida* wznosząca się do 50 stóp wysokości

począwszy od 6 do 8 stóp od poziomu, obroną jest kolcami na cal dużemi.

Roślina pnąca się pod nazwą *kuda miris*, pokryta jest gęsto jakby węzłami; z których wychodzą kolce ostre w formie i wielkości dzioba krogulego. Od niepamiętnych czasów Cejlanie używają tych drzewin i roślin ze swych lasów, na okopy przeciw nieprzyjaciołom. Przed dwunastym jeszcze wiekiem dowódzca nieprzyjacielski gotował się zdobyć jedno miasto, które opasawszy się potrójnie takimi okopami stało się niezdobytym.

W czasie kiedy jeszcze istniało królestwo Kandy w swój niezależności, przed zdobyciem go przez Anglików; lasy jego pograniczne były opasane temi powojami i kolczatemi palmami, gdzieniegdzie tylko były bramy, strasznemi kolcami na zewnątrz opatrzone. I to na ten czas było silną obroną i niezdobytą przez nieprzyjaciela.

W pobliżu Jaffny rośnie krzew, którego gałązki czarne na każdym kolanku mają po dwa kolce rozłożone jak rogi u wołu, od dołu są grubsze nawet od samej gałęzi, a w końcu spiczaste i kolące jak igła. *Akacya tomentosa* jest tegoż samego rodzaju i opiera się najsilniejszemu stworzeniu, bo słonia nawet zatrzyma.

Następuje jeszcze niezmierna liczba rozmaitych palm zadziwiających pięknością swoją, najmniej sześćset gatunków liczyć można, z których dziesięć lub dwanaście nigdzie prócz w Cejlanie nie znajduje się. Najwięcej znaną jest kokosowa, z której pień, liście, owoce, codziennie są użyteczne mieszkańcom. Z liści tego dobrego drzewa robią rogoże, kasze, dają je na paszę bydłu, a spalonemi posypują ogrody, zamiast innego nawozu. Z gałęzi robią zapory do domów i różne w gospodarstwie użytki, z rodzaju jakby kapusty rosnącej na wierzchu robią konserwy, z soku z niej wyciągają ocet, cukier, i dystylują arak; ze świeżych orzechów wyciągają mleko do smarowania i olejek reumatyczne cierpienia uśmierzający i do fabryk mydła i świec; a wyciskami karmią drób; — z łupin tych orzechów, robią miseczki, butelki, oprawę do noży, proszek do zębów i rozmaite ingrediencye, a żyłkami opasującemi te łupiny wypychają materace, poduszki, przędą je dla robienia sieci na ryby, na szczotki, na kręcenie postronków i lin — samego zaś pnia używają i na budowle i na statki i wreszcie na opał.

Najcudowniejsza jest palma *talpat* albo *talipat*: rośnie czasem do stu stóp wysokości, a każdy liść jej w formie wachlarza zajmuje w półkole swém do sze-

snastu stóp średnicy. Ten rodzaj drzewa kwitnie tylko raz jeden i zaraz usycha.

W Cejlanie używają liści talpatowych na pokrywanie domów i na namioty łatwe do przeniesienia. W wielkich uroczystościach, za każdym wyższym urzędnikiem, służący niesie taki liść nad głową pana. A co najosobliwsza że z tychże liści robią papier zrzucając je póki młode, wycinają środek a resztę krają na ćwiartki, które wygotowują, suszą najpierw w cieniu, potem na słońcu, wreszcie składają do magazynów albo też sprzedają. Wprzód jednak nim się stanie papierem zdatnym do pisania, gładzi się czyli kalandruje, zakładając wałeczek w środek ćwiartek.

Palma *Jaggery* rosnąca na wzgórzach Kandy dostarcza soku który gotując i krystalizując otrzymują cukier ciemny nieco, jednakże mieszkańcy południa i zachodu Cejlanu ogólnie go używają. Ze rdzenia drzewa robią mąkę która urządzona zastępuje sago; z żyłek czarnych, również kręcą postronki nader mocne i cienkie.

Sir Emerson pisze, że mu cytowano rodziny które jedynie żyją tem drzewem, i dodaje: „jaka to szkoda że w Europie nie rośnie takie, któreby liczną klasę proletaryuszów wyżywić mogło!” We wszystkich także ogrodach sadzą palmy *arec* rosnące od 40 do 50 stóp wysokości, z pniem bardzo wygładzonym jakby politurowanym: — bez żadnych nierówności popielaty wierzchołek ma z pęku ładnych lekkich liści, na którym orzechy cierpkie rosną; z nich ten sam użytek jak z wyżej opisanych mają.

Jeszcze nam pozostaje wspomnieć o drzewach budulcowych; tych jest tam do 90 gatunków: na czele ich wymienić wypada drzewo: *jak* — którego nie tylko cieśle i stolarze używają do robót, lecz i do jadła. Rodzi nader pożywny owoc ogromnej wielkości bo do 50 funtów ważący.

Drzewo *del* mające podobieństwo z lipą, także służy do budowli; krajowcy lubią je używać na spody statków i bacików dla tego że robaki wodne nie toczą — i że ma w sobie sok, który chroni statki od rdzy z żelaza.

Jedno z największych, z najtrwalszych drzew wyspy, nazwane drzewem atlasowém, dorasta do stu stóp wysokości, liście ma jedne małe żółte, drugie nadzwyczaj połyskujące — zapachu wcale nie miłego. To drzewo żyłkowate w rozmaite kolory, bardzo jest poszukiwane i cenione przez stolarzy i tokarzy.

Drugie drzewo bardzo upowszechnione i użyteczne bo niém wysadzają drogi i ulice; lubione jest dla wielkiego cienia jakiego gęstością swoją użycza

i pięknymi żółtymi kwiatami; nadzwyczaj jest ścisłe i twarde, robią z niego lawety do armat i dyszle do powozów. Zowie się *Suria*.

Lasy na Wschodzie dostarczają najlepszego stolarzom drzewa zbytkownego, pomiędzy temi hebanu przechodzącego kolorem swym, wszystkich krajów hebany. W środku to jest w samym rdzeniu jest najczarniejszy. Inny jeszcze rośnie gatunek, szczególny różnaitością swoją, nazwany *cadooberia*; tak samo drzewo twarde jak heban, lecz mniej czarne w kropki i paski czerwone, żółte i ciemne.

Drzewo pod nazwą *calamander* podobne trochę do drzewa różowego, lecz piękniejsze i trwalsze od ostatniego. Niestety Holendrzy i Anglicy tyle go wycieli nie myśląc o zasadzeniu go na przyszłość, że teraz bardzo trudno go wynaleść i tylko tak jest gdzieś niedzie drobne i małe, że ledwie można z niego mieć laski.

Na wybrzeżach morskich tej wyspy, na jej wzgórzach, dolinach, przy nadzwyczajnej roślinności, jakżeż jeszcze szerokie nawet pole zostaje! ileż tam robactwa, ptaków, czworonożnych zwierząt nieopisanych, nie poznanych dotąd przez naturalistów! Pierwszy naukowy opis ptaków i gadów ogłoszonym został przez Dra Kelart. O muszlach przez p. Layard, i przez zwiedzającego w 1852 r. wyspę p. Schmar- da z uniwersytetu Pragskiego. Zdaje się że uczeni ciągnąc dalej swą pracę obdarzą nas kompletną zoologią Cejlanu. Już Sir Emerson wydał bardzo zajmujące szczegóły o rozmaitych tej wyspy zwierzętach i ptakach. Mówi, że są dwa gatunki małp ciekawe, jedne *wanderoos* wielkości pieska bonońskiego, z szarą sierścią z twarzą czarną okoloną długą białą brodą. Drugi gatunek *rilavas* z białą twarzą bez brody. Pierwsze nie są psotne, trzymają się lasów żywiąc się liśćmi i pączkami na drzewach, ale ujęte w niewolę żadnego posiłku przyjąć nie chcą. Drugie robią szkody w polach i aż do ogrodów wkradając się, gryzą i psują owoce.

Drugie dziwne czworonożne zwierzątko *lori* przewane leniwiec cejlański, z przyczyny powolnych ruchów, nocnych pożywień i czynności a nieruchomości we dnie; żywi się roślinami; bardzo łakomy na mrówki i inne robaczki, nie gardzi nawet drobiem. Cejlanowie opowiadają że w nocy dusi pawie, żeby się mózgiem ich uraczył. W dzień zaś w najdziwniejszej ułożywszy się pozyturze, ciągle śpi.

Tak samo jak *lori* nietoperze wylatują w nocy ze swych jam szukając zdobyczy. Te nie mają szarego jak u nas koloru, ale niektóre ozdobne żółtym i kar-

mazynowym tak pięknym jak u innych ptaków. Najwięcej zasługuje na uwagę przewany przez Europejczyków *lisem latającym*; skrzydła ich roztoczone dochodzą aż do pięciu stóp szerokości; owoce i zboże służą za pożywienie. W czasie dystylacji alkoholu z ziarn kokosowych, zapach z alembików bardzo je przyciąga. W dzień, uczepiwszy się pazurami tylnymi na jakiej najwyższej gałęzi drzewa, pozostają w nieruchomości; zasłoniwszy sobie główkę błonami od przednich łapek jakby kapiszonem.

Pomiędzy mięsożernymi zwierzętami w Cejlan, nie zbyt się obawiają lampartów, pomimo ich muskularnej siły i raptowności z jaką na swą zdobycz napadają; w nocy włóczą się po lasach i blisko pastwisk. — Niestety ten jelen na którego się rzuca. Jednakże z własnej woli nie napadają na człowieka, często nawet widziano je uchodzące przed takim, który im śmiało w oczy patrzył.

Niedźwiedzie tam są mocniejsze, więcej krwawe i okrutniejsze. Gnieźdzą się w głębi lasów, ale głód i pragnienie zmusza ich często do opuszczania jam swoich; czasem mrowisko, zapach miodu w barciach, przyciąga blisko do miejsc przez ludzi zamieszkałych. W roku 1850 w obwodzie Caretchy, kobiety nie śmiały chodzić po wodę; bo susza wyprowadziła niedźwiedzi mnóstwo z ich kryjówek; widziano nie raz jak to zwierze chcąc ugasić pragnienie, spotkawszy na dnie, w jakiej cysternie trochę wody, wpadłszy tam, wyjść już z niej nie mogło. Niedźwiedź tak samo jak lampart, nie będąc zaczepionym, nie napada na człowieka, lecz gdy go się rozdrażni, nie ma natenczas ani siły ani żadnej możności obronić mu się, mianowicie lampartowi.

Szczególniejsza rzecz iż w tej krainie tak uposażonej cudnemi, zadziwiającemi pięknoscią swoją, drzewami, kwiatami, całą roślinnością i bogactwem płodów tak rozmaitych, ptastwo pod pewnym względem daleko mniej pięknoscią jest udarowane niż np. w Ameryce północnej. — W Cejlanie ani tej piękności i świetności piór, ani nawet śpiewu głośnego przeciągłego śmiałego, nie mają jak nasze słowiki; za to formy ich są zręczne, wdzięczne, śpiewy tkliwe i melodyjne. Jest jeden ptak nazwany *neela-kobeya*, którego głos tak bywa rzewny, tak wzruszający, miły, łagodny iż mówią, że słuchając go w samotności lasu, nie masz serca ani cierpieniem zbolełego, ani chęcią zemsty za obelgi pałającego, któregoby śpiew ten nie ułagodził.

Ptaki rajskie zwane przez wszystkich *Marchandes des modes* są wprowadzie i w Cejlan. Oprócz nich są

ptaki zwane *krawcami*, szyją bowiem sobie gniazda nitkami z bawełny, które sobie same uprząć czyli urządzać umieją. Także ptaki *tkacze* jeszcze dowcipniejsze; bo gniazda swe utkane z trawy, zawieszają u gałęzi drzewa, nadają im formę butelki z długą szyją a bardzo małym otworem przez którego żaden wąż przecisnąć się nie może. Znajduje się tam także mnóstwo kolibrów i *mucho-ptaków* w rozmaitych kolorach — pomiędzy niemi jest jeden gatunek wychowywany do walki. Mieszkańcy zabierają je prosto z gniazda i uczą różnych manewrów, później jak taki ptaszek ujrzy sobie podobnego, uważa go zaraz za antagonistę i póty walczy aż umęczony pada. Poeci perscy opiewają je zwykle w swych rytmach.

Lecz jeżeli ornithologia nie może zadać zbyt wiele pracy uczonym na wyspie tak we wszystko obfitującej, za to entomologia tam jest tyle obszerna i rozmaita, że nie prędko poznaną, zbadaną i uporządkowaną być może.

Z połączenia gorąca, wilgoci i bujności roślinnej, mirjady robactwa napełniają Cejlan. W lasach ciągle odgłos słyszeć się daje brzęku skrzydlatych owadów, połączony ze świerkotaniem koników polnych. Rano gdy krople rosy spoczywają na przedzi pajączków, za pierwszym promieniem słońca błyszczą skrzydlate nad wodami stworzątki, ziemia pokrywa się mnóstwem mrówek wybierających się na codzienną pielgrzymkę na drzewa, robaczki złote sadowią się poliściach, a drobniejsze kłębami kręcą się w powietrzu. Motyle wielkiego rozmiaru i jaskrawych kolorów nawiedzają kwiaty po lasach i polach; a ich jest takie mnóstwo że zajmują czasem milową przestrzeń; niekiedy zaś całe dni przelatują ogromnemi kupami. — Mówią że uchodzą czyli emigrują? nikt nie wie z kąd się biorą i dokąd dążą! Wieczorami ćmy roztaczają skrzydełka — a mnóstwo świerszczów rozpoczyna swą muzykę; po zachodzie słońca miliony świecących muszek oświetlają ciemność nocy. Zrana złote chrząszcze uspione na trawnych roślinach, zbierają zwykle krajowcy, którzy skrzydełka biorą do przystrojania ubiorów swoich, a z nówek w pryzmatycznych kolorach wyrabiają naszyjniki i bransolety.

Jedna familja robaków oznacza się dziwną pięknoscą, nazwana *Cassiadae*; pokryty jest każdy robak łupiną jak na żółwiu, ale przezroczystą, koloru rubinowego i okoloną jakby sznurkiem pereł.

Inne znów *Mantidae* przewane *listkami latającymi*, i bardzo słusznie, gdyż każdy robak przybiera kolor liścia na którym żyje, tak że trudno ich postrzedz, skrzydła mają z jednej strony gładkie, z drugiej żył-

ki jak liście; od blado-paliowych cieniuja się do zielonych ciemno — jaja ich podobne do ziarek krzaku na którym gnieźdzą się. Istnienie ich roślinne nie przeszkadza im być mięsożernymi. P. Emerson ile razy zebrał ich dwóch w jedno pudełko, zaraz rzucał się jeden na drugiego, połamali sobie członki i w kilka godzin oba zdechły.

Mrówki białe, Termyty, wybierają sobie miejsca niezbyt wilgotne i nie piaszczyste na swoje budowle. Poczynają roboty od kopania szczękami swemi ziemi, którą zwilżają śliną własną, aż dopóki nie nadadzą jej pewnego skupienia czyli konsystencji: tak delikatny jest materiał przez nich wyrobiony, że złotniki ubiegają się o niego na formy do wylewania robot swoich. Dawniej lepiono z niego bożyszczka. Te mrówki tak są pracowite że często wybudują sobie dom do 6ciu lub 12stu stóp wysokości nad ziemię, z proporcjonalną do niej szerokością: tak jednak te budowle są mocne, że koń bieżąc koło nich, lub trąciwszy o nie, nie poruszy ich z miejsca i że najgwałtowniejsze ulewy im nie szkodzą. — Z taką szybkością pracują koło swojej budowli, że przez czas obiadu wzniosły sklepienie sześć cali wysokie a dwa cale szerokie. Mówią, że nic niema ciekawszego jak wnętrza tych mrówczanych pałaców — tam są ich celki i magazyny, połączone jedne z drugimi galerijkami sklepieniami; — tam bywają także pokoje dla nowej generacji, a na środku jest *komnata* królowej najobrzydliwszego stworzenia, ma bowiem brzuch tak strasznie spuchnięty, że prawie o sto razy większy od niej samej; ona to ma miryadówem pokoleniem zapełnić suterreny tego pałacu.

W zwyczajach swoich łupieżkich, najbardziej obawiają się światła; poczynają swe wyprawy od wydrążenia sobie pod ziemią ścieżki, która czasem niezmiernie daleko od ich siedziby się ciągnie; prócz hebanu, drzewa żelaznego, i tych które w sobie mają wiele aromatycznego oleju, każde drzewo padnie pod ich morderstwem. Jednej nocy — mówi p Emerson — dostały się do mego namiotu i obrawszy tłumok mój za pastwę, wszystko co w nim było tak pogryzły, że rzeczy na nic się nie zdały." Jeżeli się dostaną do podwalin domu to go tak stoczą, że potem od wiatru obali się w pruchno zamieniony. Nie ma prawie sposobu, (prócz ciągłej bacności aby ich nie dopuścić,) obronić im się, skoro raz się wkwaterują. Kilka jeszcze jest rodzaj mrówek. — Małe, czerwone, nadzwyczaj obżarte, robią szkody w ogrodach i kłują tych co owoce zbierają. — Oprócz tego jest robactwo którego ukąszenie większy ból niż od skorpiona przy-

nosi; bywają długie na stopę. Pokazuje się że ta wyspa Cejlan tak bogata, tak piękna, tak urocza, ma jak wszystkie inne części świata najprzykrzejsze niedogodności swoje.

Węzów jest do 20stu gatunków; z tych cztery tylko rodzaje jadowitych; zaś *tic polonga* i *cobra di capello* tyle w sobie mają trucizny, że ukąszenie ich śmiertelne.

Wody w Cejlanie mają także swe niebezpieczeństwa, bo w nich znajdują się krokodyle i *requiny*—ludzie jednak dla zarobku, w nie zagłębiają się. Połów pereł, jedna jeszcze gałęź bogactwa wyspy Cejlan, nie jest teraz tak obfity i zyski przynoszący jak dawniej bywał. Jednakże rząd tamtejszy wydzierżawia go za znaczne jeszcze summy. Co rok w kwietniu i maju równina wsi Aripo przy której ten połów odbywa się, przedstawia ciekawy widok. Tam jakby czarodziejską rószczką wznosi się ogromny bazar, w którym wystawione najświetniejsze i najpożyteczniejsze towary nęcą publiczność—ziemia w jednej chwili pokrywa się ludem, rzemieślnikami i towarami w szkatułach zniesionemi. Brzegi morskie nie mniej się ożywiają jak dolina—Żeglarzy z Malabaru i brzegów Koromandelu przybywa setkami—morze przy brzegu przykrywa się mnóstwem łodzi, na każdej z nich jest dziesięciu pływaczy a raczej nurkiem zagłębiających się: to jest majtek, kapitan statku i ośmiu ludzi stanowiących ekwipaż cały. Ci w pogotowiu do wypłynienia, czekają wiatru wieczornego aby udać się w miejsce naznaczone, gdzie ostrygi znajdują się w obfitości. Oddalwszy się od lądu o 17 mil morskich, rzucają kotwice i przepędzają noc na wodzie.

Za pierwszym brzaskiem jutrzeńki, statek wojenny znajdujący się między niemi, dla utrzymania porządku, daje znak wystrzałem armatnim; natychmiast pływacze podzieleni na dwie bandy, rzucają się w głąbie dwunasto-sażniową morską. Każdy z nich jest uzbrojony mocnym nożem dla odcinania od skały ostryg. Do każdej liny przymocowanej do statku, jest uwiązany duży kamień na którym pływacz opiera stopy aby prędzej spadł w głąbie; do drugiej liny przywiązany jest kosz, który z sobą ciągnie na zbieranie zdobyczy. W jednej minucie kończy swoją robotę, bo dłużej bez powietrza wytrzymałby nie mógł; wyciągają go spiesznie a na miejsce jego inny się rzuca! Za trochę ryżu na całe pożywienie, ci łowcy pereł narażają się na roztrzaskanie głowy o skałę

albo na pastwę dla *rekinów* i krokodyłów, i w tak ciężkiej pracy kilka godzin dziennie przepędzają.

Z dniem kończącym się, nowy znak sprowadza wszystkich na brzeg, dla złożenia w szopach ładunków. Ostrygi pogniłe, popsute, myją się natenczas w dużych cebrach, i ręka ludzka musi w tych nieczystościach i twardych skorupach szukać klejnotu drogiego. Ta ostatnia operacya stanowi bogactwo lub bankructwo spekulanta—który w najwyższej niespokojności, oczyma i duszą uwagę nateża i śledzi każde robotników poruszenie; pod karą srogą nie wolno robotnikowi dotknąć ust ręką, aby czasem perły nie połknął. Potem perły te kładą się w rzeszota, które je dzielą na trojaki gatunki, wielkie, średnie, i mniejsze.

Jak kupiec zbierze już cały swój towar, natenczas chcąc jaknajwięcej na nim zyskać, gatunkuje perły podług gustu i predylekcyi jaką do nich mają różne narody—białe obrągle idą do Europy, dla Azji odkłada niebieskawe miejscami srebrzące się. Zaś krajowcy najwięcej lubią różowe. Prawie największą część ich sprzedaje na miejscu, nawet blisko wioski Aripo, w straganach drewnianych grubym płótnem pokrytych, w których najbogatsi kupcy przez czas połowu mieszkają. Przy końcu maja cały napływ ludności znika, a w wiosce nastaje cisza i osamotnienie.

Taki nam zostawił obraz połowu pereł podróżujący admirał Laplace, a od owego czasu do dziś dnia, corocznie odnawiający się, bez żadnych odmian.

Morze koło Cejlanu, z którego tyle czerpią skarbów, obfituje jeszcze w najrozmaitsze ryby jakie tam nad wszelkie pojęcie mnożą się łatwo. Cejlanowie nie tylko w morzu, nie tylko w rzekach, ale w stawach, w najmniejszych jeziorach, w rowach i dołach deszczem napełnionych, wszędzie łowią ryby.

W czasach wielkich upałów i po suszy, jakaś liczba tych dołów deszczową wodą napełnionych, wysycha czasem. Wtenczas naturalisci uważali szczególny fenomen: że są takie ryby, które nie mogą już pozostać w zbyt ciasnym miejscu, odważnie wydobywają się z niego i pełzając po trawie, wiedzione instynktem, odbywają długą i okrutnie utrudzającą ich pielgrzymkę do wyszukanego innego większego stoku. Największa tu liczba ryb podobnych, które zanurzywszy się w stok taki wilgotny, spoczywają tam w odrętwieniu i nieruchomości czekając przyjaźniejszej dla siebie pory.

BRAZYLIJSKIE MUCHO-ŁOWCY.

(Z RYCINĄ KOLOBOWANĄ.)

Mucho-łowcy (*Muscicapa*) tworzą bardzo obszer-
ną grupę owado-żerczych ptaków, i odznaczają się
właściwą budową dzioba, który, bardzo szeroki i
spłaszczony, zwykle koniczny, na sposób haka u gór-
nej części się kończy.

Gdyby chciano uwagę zwrócić na główną cechę
(która jednakowoż należy do ważnych, ponieważ
w najściślejszym związku z pokarmem i trybem ży-
cia tych ptaków zostaje), wtedy rodzaj tych istot
skrzydlatych rozpadłby się na nadzwyczaj wiele pod-
rzędnych poddziałów, gdyż postać reszty ich czę-
ści ciała, mianowicie upierzenie ogona i skrzydeł,
nadzwyczajnie różni się.

Ponieważ pożywienie mucho-łowców składa się
wyłącznie z samych owadów (mianowicie latających),
przeto są one w zimnych i umiarkowanych klimatach
prawdziwie wędrownymi ptakami, wtedy dopiero
przybywającymi, kiedy następuje wiosna już dość
późna, i życie owadów się rozwinęło. Natychmiast
także nikną, skoro pierwszy wyziew jesieni zwarzy
robaczki i owady. W jak ścisłym związku z obfito-
ścią pożywienia zostaje i mnogość mucho-łowców
w różnych krajach, dowodzi różnorodność gatunków ku
równikowi będąca, zupełnie w stosunku ze zwiększa-
jącą się ilością do pożywienia służących owadów.
Gdy tymczasem np. w umiarkowanej Europie cztery
tylko rodzaje mucho-łowców pojawia się; Brazylia
zaś posiada prawie pięćdziesiąt rozmaitych gatun-
ków. Na załączonej tablicy cztery tych ostatnich od-
rysowano.

Fig. 1. Jest czerwono-zaczepczony mucho-łowiec,
(*Muscicapa coronata*). Ta piękna barwa purpurowa
wierzchołka i wszystkich spodnich części, w połą-
czeniu z bardzo odmiennym kolorem ciemnym, siwo-
brunatnym grzbietu, skrzydeł i ogona, nadaje temu
ptakowi wspaniałą powierzchowność. O jego życia

sposobie, o którym tylko z domysłów wnioskować
można, bardzo mało wiadomo. Pojawia się w roz-
maitych częściach Brazylii, zdaje się zaś że nigdzie
w bardzo wielkiej liczbie.

Fig. 2. Wyobraża mnicha mucho-łowca, (*Musci-
capa monacha*, Lichtenst). Czarno-siwa barwa jego
piór, która tylko na czole i karku czystą białością
odznacza się, sprawia dosyć ponure wrażenie. Dwa
długie środkowe pióra ogona, służą mu za szczegól-
ną ozdobę. Ten ptak jest prawie w całej południo-
wej Ameryce pospolity, a w Brazylii bardzo często
spotyka się. Oprócz parzenia się, gdzie go w parach
a później w towarzystwie młodych spotkać można,
żyje samotnie na krańcu lasu albo krzaków i zrzę-
bów; zwykle siedzi na oddzielnym drzewie albo na
swobodnej gałęzi; wlatuje za owadami i znowu
przysiada na swoim ulubionym miejscu. Nie jest
dzikim; zachowuje się spokojnie i melancholicznie
wysiadując po godzinach nieruchomo na jednym miej-
scu i rzadko dając się słyszeć.

Fig. 3. *Okrutnik* (*Muscicapa tyrannus*) jest jednym
z najpiękniejszych rodzajów mucho-łowców, które
znamy; nadzwyczajnie długi, głęboko-widelcowaty
ogon, właściwie przebite końce skrzydeł i pięknie
cytrynowo-żółty czarno-zarębiony czepiec na głó-
wie, odznaczają tego ptaka bardzo dobitnie. Bywa
pospolitym po największej części w południowej Ame-
ryce i pojawia się także, chociaż rzadko, w najbardziej
ku południu posuniętym częściom Ameryki półno-
cnej. Długi ogon nie przeszkadza mu do polotu w tym
stopniu, jakby to się zdawać mogło, ponieważ używa
przeciwnie ogona ku temu, by szybkie koła i obroty
uskutecznić. Rzadko wydaje głos z siebie; jeżeli
w obawie znajduje się krzyczy chrapliwie i grzecho-
ce, jak wściekły około siebie dziubiąc.

Czwarty ptak na ziemi siedzący czyli *fig. 4* na-
szej tablicy jest również w południowej Ameryce roz-

powszechniony, jednakowoż nigdzie w wielkiej liczbie. Zowie się kogutem (*Muscicapa alector*. Prinz Max v. N. Wied). Odznacza się mianowicie właściwym kształtem i upierzeniem ogona, który bywa pospolicie po bokach, spłaszczony, z piórami prostopadłe stojącymi. Dwa środkowe najwyższe pióra ogona posiadają bardzo cienko przedzielone długie brody, a ich średnia część występuje z nader cienkim końcem z po nad bród. Sposób życia właściwego temu małemu ptakowi, którego książę Max von Neuwied dla osobliwego ogona „małym kogutem” ochrzcił, nie jest dostatecznie zbadany.

SZYLLER I GETE O ARYSTOTELESIE

(WYJĄTEK Z LISTOW WYDANYCH W STUTTGARDZIE).

Jena, 5 Maja 1797 r.

Bardzo kontent z Arystotelesa, i nie tylko z niego, lecz nawet i z siebie: niejedyn po przeczytaniu tak trzeźwój głowy i tak zimnego prawodawcy, może stracić wewnętrzny pokój. Arystoteles jest prawdziwym piekielnym sędzią dla wszystkich, którzy albo się niewolniczo zewnętrznej formy trzymają, albo po za wszystkie formy się unoszą. Tamtych musi swoją liberalnością i swoim duchem w ciągle wpędzać sprzeczności; widać bowiem że mu więcej chodzi o istotę niż o wszelkie zewnętrzne formy; tym zaś musi być straszną surowość, z jaką z natury poezyi, zwłaszcza tragedyi, nieporuszoną jej formę wywodzi. Teraz dopiero pojmuję jaką był zawadą dla francuskich teoretyków, poetyków i krytyków; lękali się też go zawsze, jak dzieci różgi. Shakespaere choć tyle przeciw niemu wykracza, lepiejby z nim trafił do ładu niż cała francuska tragedia. Tymczasem bardzo rad, że go dawniej nieczytałem; pozbawiłbym się wielkiej przyjemności i wszystkich które mu teraz winienem korzyści. Trzeba już jasno widzieć zasadnicze pojęcia, chcąc go czytać z pożytkiem; jeśli kto rzeczy przezeń rostrzasaną zawczasu dobrze nierozumie, może łatwo szwankować udając się do niego po radę.

To pewna że go całego niemożna będzie nigdy zrozumieć ani ocenić. Całe jego pojmowanie tragedyi polega na empirycznych zasadach: ma przed oczyma masę wystawianych tragedyj, których my

nie widzimy; z tego doświadczenia rozumuje; a nam nie dostaje powiększej części całej podstawy jego sądu. Nigdzie prawie niewychodzi z samego pojęcia, zawsze tylko z faktum sztuki, poety i wystawienia; i jeżeli sądy jego, co do istoty, są czystymi prawidłami sztuki, należy to przypisać szczęśliwemu trafowi, że wówczas były dzieła sztuki, ideę przez faktum uobecniające, lub wyobrażające swój gatunek w indywidualnej postaci. Ktoby w nim szukał takiej filozofii poezyi, jakiej po dzisiejszym estetyku słusznie możemy wymagać, nie tylkoby został zawiedzionym, lecz musiałby śmiać się z jego rapsodycznej manieri i dziwnego pomieszania ogólnych i najszczególniejszych prawideł i zdań logicznych, prozodyjnych, retorycznych i poetycznych i t. p., jak np. kiedy on aż do samogłosek i spółgłosek zstępuje. Lecz jeżeli przypuścimy, że miał przed sobą jaką indywidualną tragedię, i pytał siebie o wszystkie względy na które baczyć należy, łatwo się wnet wszystko wyjaśnia, i przyjemnie przy tej okoliczności wszystkie pierwiastki poetycznego dzieła powtórzyć.....

Wiele jest w tej rozprawie pozornych sprzeczności, lecz te w moich oczach nadają jej nową wyższą wartość; gdyż dowodzą, że ogół składa się tylko z pojedynczych postrzeżeń i że żadne teoretyczne z góry powzięte pojęcia do nich się nie mieszały; wiele też pewnie i tłumaczowi przypisać należy.

Cieszę się myśląc, że kiedy tu będziesz, więcej w szczegółach o tém piśmie z sobą pomówimy. Że w tragedii najwięcej mu chodzi o powiązanie zdarzeń, w tém, jak mi się zdaje, najlepiej sobie poczyna. Że poezją i historją z sobą porównywa i większą prawdę tamtéj niż téj przyznaje, to mię także bardzo w takim *rozumnym* człowieku uradowało. I ta także śliczna jest uwaga, kiedy mówiąc o opiniach, utrzymuje że dawni, swoim osobom więcej polityki, późniejsi, więcej retoryki w usta kładli. Równie wyborne i to, co mówi o korzyści z prawdziwych historycznych imion osób działających w dramacie. Żeby tak bardzo Euripidesowi sprzyjał, jak mu pospolicie przypisują, wcale nie widzę. W ogóle, po przeczytaniu jego poetyki, przekonałem się jak go okropnie nierozumiano.

Zdanie Getego. Odczytałem znowu poetykę Arystotelesa z największą przyjemnością; pięknie widzieć rozum jak się w najwyższej swojej potędze objawia. A warto uważać jak Arystoteles samego tylko trzyma się doświadczenia, i przez to, może się i nieco materjalnym staje, lecz za to najczęściej tym gruntowniej przemawia. Dla tego bardzo mię pokrzepiło, kiedym czytał, z jaką on liber alnością broni poetów przeciw szperaczom i krytykom, wszędzie tylko o istotne warunki nalega, a zresztą we wszystkim taką zostawia swobodę, żem się nieraz zadziwił. Za to też cały jego widok poezyi, a zwłaszcza tych części którym on więcej sprzyja, nadzwyczaj ożywiony.

Briefwechsel zwischen Schiller und Göthe.

OJCIEC Z XVIII^{go} WIEKU,

OPOWIEŚĆ Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

I.

W roku 1775 dziedzicem dóbr Wierzbicy był Gabriel Staniszeski chorąży. Do dóbr tych należało podówczas kilka wsi okolicznych—prócz tego, posiadał on na Ukrainie, Jampol, znaczne dobra nad Dniestrem. W epoce téj Staniszeski miał już około lat siedemdziesiąt, cierpiał na podagrę i mało wychodził; był człowiekiem surowych obyczajów, pobożnym i mało się udzielającym. Małżonka jego liczyła wtedy lat około sześćdziesiąt pięć, była równie jak i mąż pobożną i z religijną uległością jemu poddaną—Nazывał on ją poufale Teklunią.

W małżeństwie mieli Staniszescy kilkoro dzieci; z kolei zabrał je Pan Bóg, został im tylko najmłodszy syn imieniem Zygmunt—był to młodzieniec już wówczas dorosły, wzrostu słusznego, brunet, i pięknej postaci—a co nadewszystko, ujmującej słodyczy charakteru. Ukończył już edukację i z Padwy gdzie był na Akademii, do domu powrócił. Wysokie ukształcenie jakie odebrał, wpłynęło wiele na jego umysł, zro-

biło go popularnym; wszelkie dążności arystokratyczne, śmiesznością mu się wydawały. Mimo takiego usposobienia, ojciec chciał go kierować na dyplomację—zanim jednak do tego zawodu się uda, życzeniem ojca było, aby rok jaki w domu pozostał, dla zabrania stosunków ze znaczniejszemi familijami które w téj prowincyi zamieszkiwały. Zygmunt chętnie na to przystał, ile że życie wiejskie więcej dla niego miało powabu, aniżeli hałaśliwy zgiełk wielkiego świata.

Prócz mieszkańców Wierzbicy tu wymienionych, bawiła w domu państwa chorążostwa młoda panna lat ośmnaście licząca, Jadwiga Bogucka. Była ona daleką krewną pani chorążyny, wyręczała ją w domu i wieczorami czytywała jęj, gdy to był dzień piątkowy, Żywoty Świętych, a jeżeli inny, moralne książki. Była wzrostu wysokiego, jasnych błęd włosów, szczupłej budowy ciała i niezwykłej urody: w twarzy jęj i wejrzeniu malowała się anielska łagodność i niewypowiedziana słodycz. Ojciec jęj, dziedzic dostatniej wioski na Wołyniu, w młodości był

w wojsku, gdzie się rotmistrzostwa, i kilku ran do-
służył.

Po śmierci zaś rodzica swojego, — powrócił do do-
mu, i objął wieś dziedzicznie mu pozostałą. Ożeniwszy
się następnie, dwie córki któremi go Pan Bóg obda-
rzył, starannie wychowywał: a widząc iż w zabiegach
około zebrania znacznego dla nich posagu los mu nie
sprzyja, starał się wyższém ukształceniem, umysł
ich i serce z bogacić. W wojsku służąc nadszarpnął
był już przyszłej fortuny, następnie sprawą kraju za-
jęty, robił z téj pobudki większe wysilenia, niż mają-
tek jego pozwalał. Ztąd wynikło, iż niemogąc się przy-
dziedziectwie swojej wioski utrzymać, sprzedał ją,
a niechcąc z rodzinnego kawałka ziemi wydalić się,
trzymał ją od nowo-nabywcy, dzierżawą. Potém je-
szcze gorzej się nie wiodło: w lat kilka podupadł tak
dalece, że nie będąc w stanie czynszu dzierżawnego
uiszczać, musiał się być podjąć zarządu tejże wsi, na
rzecz nowego dziedzica, za bardzo umiarkowane z je-
go strony wynagrodzenie. W tém ubóstwie pocieszał
się myślą, że miejsca gdzie się rodził, nie opuszcza, i
że cokolwiek dalej wypadnie, do zgonu tu pozostanie.

Na parę lat przedtém żona mu umarła, tak więc
jako wdowiec i ubogi, niemógł kochanych córek swo-
ich przy sobie zatrzymać, udał się więc do możnych
krewnych i umieszczenie dla nich wyjednał. Tym-to
sposobem panna Jadwiga do domu chorążostwa się
dostała. Wprawdzie pan Staniszeski przyjął ją do
domu swojego, w charakterze panny respektowój,
wszakże jój ukształcenie, i słodycz w obejściu, tak
zniewoliły serce pani chorążyny iż ją prawie jak cór-
kę pokochała; chorąży tylko z pod oka na to poglą-
dał, i często Teklunię strofował, że za wiele poufa-
łości pannie respektowój do siebie pozwala. Panna
Jadwiga rok już w Wierzbicy mieszkała, w ciągu któ-
rego odebrała list od siostry donoszący jój o śmierci
ich ukochanego ojca — wiadomość ta silne na nięj
zrobiła wrażenie — Była odtąd sierotą!

Kapelan ówczasowy zwał się ks. Faustyn Lasocki,
człowiek około lat trzydziestu mający; jego obowią-
zkiem było: w kaplicy jaka we dworze się znajdowała
odprawić Mszę świętą codziennie, której pan chorąży,
w porze zimowój przez drzwi szklane, w porze zaś
letniej przy otwartych, ze swojego gabinetu, siedząc
na fotelu słuchał — Gabinet ten był od drzwi do ka-
plicy prowadzących, oddzielony korytarzem, a raczej
kolumnadą od ogrodowój strony urządzoną, gdzie
wszyscy dworscy z obowiązku na mszę codziennie
zebrać się musieli — rygor ten oddawna był zaprowa-
dzony, i nikt od niego uchylać się niemógł.

Prócz odprawiania mszy codziennój, obowiązkiem
księdza Faustyna było w godzinach poobiednych, je-
żeli nieszpory nie przypadły, oświecać dzieci wiej-
skie w katechizmie: Nauka czytania, a bardziej pisa-
nia była wzbroniona; pan chorąży bowiem miał wy-
obrażenie, że to chłopu zupełnie nie potrzebne; ksiądz
Faustyn jednak, choć skrycie, pojętniejszym chło-
pcom dał elementarze i kilku czytać nauczył, o czém
gdyby się był pan chorąży dowiedział, niezawodnie
byłby surowo go upomniał, a może i kapelanię pozba-
wił. Ksiądz Faustyn w chwilach wolnych od przyto-
czonych wyżej zatrudnień, lubił czytać i zaopatry-
wał się w tym celu, w uczone dzieła, jakie w owym
czasie mieć było można. Ukształcenie więc jego by-
ło niepospolite, a łatwość w wysłowieniu jaką z na-
tury posiadał, czyniła z nim rozmowę nader przyje-
mną. Pan Zygmunt zapoznawszy się z księdzem Fau-
stynem bliżej, potrafił go ocenić, i wiele z nim chwil
z przyjemnością na rozmowie przepędzał. Prócz za-
let umysłowych ksiądz Faustyn miał humor łatwy,
często dowcipny, w czém panu Zygmuntowi, z przyro-
dzenia dosyć posepnemu, więcej miał sposobności po-
dobania się jeszcze. Posiadał nad to niezwykłą zdol-
ność do muzyki i w chwilach wolnych od ważniejszych
zatrudnień, grywał na skrzypcach, Zygmunt najwię-
cej gustował w smętnych melodyach które w jego obe-
cności księdzu Faustynowi najlepiej się udawały. Z te-
go wszystkiego, zawiązały się między Zygmuntem
i księdzem kapelanem, poufałe stosunki, co chorąży
postrzegając, nie jednokrotnie synowi naganiał, mó-
wiąc że jest nadto popularnym i że zgodnie z jego
urodzeniem i dostojnością, należałoby inne wybierać
do poufałości osoby. To spowodowało, iż stosunki
Zygmunta odtąd mniej jawne, robiły się tem ści-
ślejsze. W domu państwa chorążostwa mało osób
z okolicy bywało — Humor samego pana był od-
stręczającym i dosyć dla odwiedzających cierpkim
— nie częste więc odwiedziny ograniczały się do
samyh prawie krewnych dosyć odlegle, bo na Podolu
mieszkających, a i ci jako zabytek stosunków chorą-
żego z młodego jeszcze wieku, byli ludzie bardzo sta-
rzy, a tém samém, więcej uszanowania, niżeli sym-
patyi w Zygmuncie wzbudzali. Raz tylko w ciągu ca-
łego roku chorąży wyprawił był syna swojego w od-
wiedziny do tych dalekich krewnych, które ledwie
tenże dopełnił, więcej z obowiązku, niżeli dla przyje-
mności. Sam chorąży nigdy Wierzbicy nie opuszczał,
raz dla wieku już w owym czasie zbyt podeszłego,
powtóre, z obawy narażenia się na podagrę której
i tak dosyć często podlegał.

W takim odosobnieniu żyjąc Zygmunt, z usposobieniem rzewnem jakie miał z natury, nie mógł obojętnie widywać panny Jadwigi. Prócz urody, postrzeżał on w niej wiele szlachetnych przymiotów, wiele uczuć wzniosłych, a usposobienie jej smętne, tém więc serce jego ku niej zniewalało. Jakkolwiek od kilku miesięcy w jednym mieszkali domu, nigdy nie mieli sposobności widzenia się sam na sam. U stołu, jeżeli chorąży był obecnym, zwykle było milczenie. Sam opowiadał niekiedy zdarzenia z czasów swojej młodości, przyczem, skoro wypadło nadmienić o stosunkach pokrewieństwa pomiędzy znakomitszemi familjami polskimi, miał nawyknięcie nadzwyczajnie się rozszerzać: wspominał zaraz i o herbach familijnych i o łączeniu się ich przez małżeństwa; a jeżeli wśród tego opowiadania przyszło wspomnieć o jakim związku, jak on nazywał, niegodnym, to jest jeżeli mężczyzna wielkiego domu i imienia, pojął za żonę osobę niższą od siebie pod tym względem, naganiał to z oburzeniem. Miał on przekonanie, że nic tak blasku rodowitości nie zaciemnia, jak wprowadzanie do familij ubogich krewnych, jak on nazywał hołoty. Milczeli więc u stołu wszyscy, i z uszanowaniem chorążego słuchali: ksiądz Faustyn tylko niekiedy, poglądał na Zygmunta ukradkiem, aby mu dać zrozumieć że zdania tego nie podziela. Jeżeli pan chorąży z powodu swoich cierpień objadował w gabinecie, rozmowa u stołu mogła być swobodniejszą, Zygmunt wtedy był więc mówiącym i pozwalał sobie dla Jadwigi małych przysług i tych nic nie znaczących grzeczności, które jakkolwiek na pozór dowodziły jedynie dobrego wychowania, bywały z wzajemną uprzejmością przyjmowane; nie raz jednak, oblewały żywym rumieńcem skromną twarz Jadwigi. Postrzegali to wszystko obecni u stołu; chorążyna nic przeciwko temu nie miała, z powodu przychylności jaką powzięła dla Jadwigi, a ksiądz kapelan przez współczucie dla Zygmunta. Taki stan rzeczy trwał już dosyć długo, i wreszcie wyrobił pomiędzy Jadwigą i Zygmuntem cokolwiek poufałości.

II.

Niekontent dziś jestem z siebie (mówił Zygmunt do księdza Faustyna) podczas przechadzki z której powracam, opowiadałem mojej matce i panie Jadwidze wypadek jakiego za granicą byłem świadkiem — był to przedmiot litość pobudzający, panna Jadwiga z zajęciem opowiadania mojego słuchała i dostrzegłem łez kilka w jej oku, starała się je ukryć przedemną; gniewa mnie to, że ją rozrzewniłem, a bar-

dziej iż dostrzegłem że czułości swojej w obec mnie się wstydziła, co dowodzi iż chce uczucie tak szlachetne, obojętnością zmyśloną osłaniać. Jaki ona mieć może cel w takim postępowaniu? „Ja, (rzekł ksiądz Faustyn) — tém więc za to ją cenię; wie ona że czułość, pobudza uczucie, że ztąd powstają sympatje, które w ludziach młodych łatwo przechodzą w miłość.” Więc sądzisz że ona niebyłaby zdolną nikogo pokochać? „Przeciwnie! odpowiedział Faustyn — prócz niezwykłej urody, widzę w panie Boguckiej wiele szlachetnych uczuć i najpiękniejsze przymioty, nie sądzę więc aby mogła być pozbawioną zdolności kochania. Owszem uważałem iż względem pana nie jest już obojętna, a jeżeli mu tego wzbrania się okazać, tém więc ma zasługi. „Więc mniemasz księże Faustynie, że tajenie uczuć w kobiecie jest zasługą?” Jak w jakim położeniu: pan chorąży przy swoich arystokratycznych wyobrażeniach nieraz dał się słyszeć jak świetne ma zamiary co do przyszłości swojego jedynaka; wreszcie świetne imie waszego domu i bardzo znaczny majątek, pozwalają zamiary jego uzasadniać. Panna Bogucka jakkolwiek córka szlachetnego człowieka, który dla dobra kraju swojego wylewał krew, a później przez poświęcenia dla niego, wyzuł się z majątku; zna dzisiejsze swoje położenie i wie, że w zakresie jej przyszłości, żadna ją świetność nie czeka. Jeżeli więc tai uczucia dla pana powzięte, robi to przez uwzględnienie jego przyszłości. „Kochany księże Faustynie! jeżeli tak jest istotnie, to ja ci powiem że już wszystko teraz zapóźno, dowiedz się że od pierwszej chwili kiedy ją ujrzałem, nadzwyczajne na mnie zrobiła wrażenie — następnie, poznawszy jej anielską łagodność i przymioty, wrażenie to zmieniło się w uwielbienie — Dziś pokochałem ją miłością tak silną i wzniosłą, że więc, człowiek kochać już nie może — dziś widzę, iż całe moje życie, cały los przyszły, jest na zawsze z jej losem spleątany — chociaż, dotąd nie dostrzegłem w jej zachowaniu się względem mnie, najmniejszego promyka wzajemności.” Zastanów się Zygmuncie jakie mi zrobiłeś zwierzenie, — póki czas jeszcze, póki ona niczego się może niedomyśla, pohamuj uczucia twoje. Nie myśl abym oznajmiając ci moje postrzeżenie, chciał twoją miłość pobudzić; daleki byłem od tego: niemyśl także, aby obawa utracenia szacunku ojca twojego którym mnie dotąd, choć po swojemu, zaszczyca, nastęrczała mi uwagi które powinienem ci zrobić. Zaufanie i przyjaźń jaką mi dobrowolnie ofiarujesz, nakazują mi je względem ciebie uczynić. Co do niej, obawa abyś z powodu miłości twojej, tak

pięknego jój życia nie złamał w kwiecie wieku, wymaga abym był szczerym. Zastanów się więc, mówię ci raz jeszcze Zygmuncie! póki czas, staraj się jój unikać — wyjedź za granicę, zabaw tam lat parę jeżeli tego potrzeba będzie — wszakże ojciec twój chętnie się na to zgodzi; wreszcie pośrednictwo moje w tym względzie u niego ofiarować ci mogę. Póki czas jeszcze staraj się pokonać uczucie to w sobie, pomnij że wy nigdy dla siebie być nie możecie — tysiące do tego istnieje przeszkód — Niechciój łez tych któreś dziś widział co je uczucie szlachetne wylało, zamienić w łzy goryczy i wyrzutów, jakie by z tego powodu płynęły — Przez samą miłość którą ku niej powziąłeś, pokonaj sam siebie; póki czas Zygmuncie usuń się z drogi jój życia, bo ty siebie i Jadwigę do przepaści zaprowadzisz.” Zygmunt po chwili namysłu odpowiedział: Dla czegoż tak czarne są twoje przecucia — matka moja jest tak dobra i tak Jadwigę kocha... Ojciec za jój wpływem może się kiedy z tą myślą oswoi.. Nigdy!..... zawołał Faustyn, chociaż synem jego jesteś, nieznasz go tyle ile ja choć obcy. Nie łudź się próżną nadzieją — uprzedzenia jego są zastarzałe a wola żelazna — póki on żyć będzie, nigdy na połączenie wasze nie zezwoli — A gdyby w tobie najmniejszą skłonność dla niej dostrzegł, potrafi zamierzone związki zniweczyć, a w razie oporu i do ostateczności mógłby się posunąć. Rada więc moja, zaniechaj, niezgodnych z wolą ojca zamiarów, i bez dalszego oczekiwania, wyjeżdżaj z domu.” Zygmunt słuchał słów kapłana — pojmował je z rozsądkiem ale sercem był od nich bardzo daleko!

III.

Z pośród licznój służby, jaka dwór chorążego otaczała, dwóch tylko używało przywileju, wchodzenia w każdym czasie do gabinetu jego. Jeden był Jaś Siwiński ¹⁾ chłopiec trzynastoletni który prawie zawsze był w gabinecie chorążego. On pilnował zawsze na kominku palącego się ognia, wychodził się dowiadywać czego psy na dziedzińcu szekają, wynosił ubogim jałmużnę — słowem był zawsze u chorążego pod ręką, i tak się był spoufalił że nawet niepytany, opowiadał mu różne małe nowinki, które w garderobie, w kredensie, w oficyynie, w kuchni i na ekonomii zbierał. Nie zawsze chorąży Jasiowi wierzył, bo lubił niekiedy skłamać, jednak słuchał go chętnie, bo go

¹⁾ Ten sam już w wieku bardzo podeszłym, opowiadał piszącemu, wszystkie te szczegóły.

to czasem rozrywało. W lecie posyłał go do pasieki dowiedzieć się wiele się w ciągu dnia pszczoł wyroiło. Pobądź tam, mówił, to Grzegorzowi pomożesz jak by się przy tobie roiły. — Przypatruj się temu, może kiedy będziesz miał swoje pszczoły, a może i tu tejszych będziesz doglądał. Lubił Jaś takie zlecenia, bo mógł na rachunek tego czasu pobiegać, i nie mało zbytków i figlów psotnych narobić. Rzeczywiście, później aż do późnej starości, był w Wierzbicy pasiecznikiem.

Drugim był Michał Sawicki, hajduk dawny i wierny chorążego dworzanin; był ogromnego wzrostu i zawsze używał ukraińskiego stroju; czuprynę golił, z pod czapki, którą bardzo rzadko zdejmował, spływał ze środka ciemienia jego, długi kędzior włosów, które seledcem nazywał, i z pretensją za prawe ucho zakładał. Miał on rysy twarzy męzkie, które wąsy sumiaste zdobiły — liczył już wtedy około lat czterdziestu. Blisko dworu, na obszernym gruncie w pośród łąk, miał Michał swoje zabudowania, ogród, znaczną pasiekę i całe gospodarstwo. Żona jego i dwoje dzieci, z pomocą sługi, zajmowali się tém wszystkiem. Sam zaś Sawicki wyjeżdżał dość często z rozmaitemi zleceniami chorążego, w rozmaite strony, a najmniej parę razy do roku, na Ukrainę do Jampola — gdzie zawoził dyspozycje na piśmie i wiele zaleceń ustnych; był wiernym w całym znaczeniu tego wyrazu, i o dobro pańskie gorliwym i dbałym. Przybywszy do Jampola zawsze tam jakie dni dziesięć pozostał i co tylko widział, złe i dobre, wiernie panu za powrotem opowiadał. Często się zdarzało, że po jego bytności w Jampolu, officyalista jaki, niezwłocznie z funkcji oddalonym bywał. Nie lubili też tam tych odwiedzin hajduka. Do dziś dnia na owym gruncie, który sawieczczyzną się nazywa, widać rumowiska domu mieszkalnego Michała — Niektórzy dotąd to miejsce hajdukowizną zowią.

Zbliżał się dzień piętnasty lipca. W dniu tym przypadającym w następną niedzielę, miał się odbyć ślub, dwojga młodych ludzi: Córka ekonoma z Wierzchowy Maryanna Słomczyńska szła za mąż za Antoniego Kaweckiego pisarza prowentowego z Chłanowa. Ślub miał się odbyć w kościele Chłanioskim, że zaś te dobra należały wówczas do Wierzbicy, pani chorążyna postanowiła w swoim dworze, gody weselne dla nowój pary wyprawić. Chorąży ulegając proźbom żony zezwolił na to, zastrzegając jednak, iż niechce hałasu w domu; i pozwoli swój dawny namiot rozpiąć w ogrodzie, gdzie będzie wolno małżonce jego tańce i ucztę weselną odprawić. Rzeczy-

wiecie, był to namiot bardzo obszerny i ozdobny; używał go kiedyś chorąży przy łowach które za młodu lubił, i dosyć hucznie obchodził. Kazał więc Jasiowi przywołać Michała, wydał stosowne rozkazy i polecił mu namiot rozstawić, wiedział bowiem iż w całej Wierzbicy, nikt tego prócz niego, zrobić nie potrafi.

W sobotę, z powodu że w dniu tym niesporów nie było, bo ksiądz kapelan wezwany został do ciężko chorego gospodarza na drugą wieś i tak rychło z tamtąd powrócić niemógł; pani chorążyna wieczorem z Jadwigą wyszła do ogrodu, dla odmówienia zwyczajnych pacierzy. Zastały tam już przechadzającego się Zygmunta, który do nich się przyłączył. Chorążyna niechcąc mieć dystrakcyi w odmawianiu koronki do Matki Boskiej, usunęła się pod drugi bok szpaleru i tak o parę kroków odlegle, szła wolnym krokiem, przesuając niekiedy paciorki różańca, który trzymała w obu rękach. Towarzysze jej tymczasem zcicha między sobą rozmawiali: „Czy pani wie (mówił Zygmunt) że my jutro mamy prowadzić młodą parę do ołtarza?” Wiem odpowiedziała Jadwiga, i jestem już do tego przygotowana. „Ja pani chciałem powierzyć jedną myśl moją” — dodał Zygmunt ciszej. Mów pan! słucham. „Obawiam się, czy pani myśli tej nieznajdziesz zawczesną.” Zobaczemy, rzekła Jadwiga, mów pan jednak — Zygmunt zaczął: Miłość nasza, i wyznania jakieśmy sobie nawzajem uczynili, nie mogą i nie powinny chyba doprowadzić tylko do małżeństwa — aby więc te nasze nadzieje tém pewniejszymi uczynić, a przyrzeczenia w pewność zamienić, chciałbym abyśmy w dniu jutrzejszym, w czasie szlubu państwa młodych, przed Boga obliczem, nasz przysiężny związek małżeński, wzajemnie sobie poprzysięgli? Po chwili milczenia Jadwiga odpowiedziała: Ja i jutro i w każdej chwili mogę tę przysięgę wykonać, jestem wolna jak ptaszek wśród świata, nie mam też i nigdy w życiu mojem mieć niechęć innych nadziei, jak połączyć los mój z losem pana na zawsze — Przysięgę jakiej pan po mnie teraz wymagasz, nieraz już sama przed sobą i Bogiem wyrzekłam. Ty panie Zygmuncie albo nikt! oto jest treść wszystkich myśli i uczuć moich. Ale od pana niechęć i nie powinnam podobnego zobowiązania wymagać. Tym czynem mógłbyś całe świetne nadzieje twoich rodziców zniweczyć, całą przyszłość swoją zagrzebać, a tak wielkiej ofiary z twojej strony nie żądam. Chociaż mi zaś tyle razy stałość swoją przyrzekłeś, i dziś i zawsze, czynię pana od tych przyrzeczeń wolnym.... Zygmunt chciał odpowiedzieć—

ale w tej chwili chorążyna ukończywszy koronkę, przeżegnała się zwolna i uważnie, i przysuwając się do rozmawiających, coś do Jadwigi o jutrzejszej uczcie przemówiła. Odtąd rozmowa zmieniła kierunek, i wszyscy do domu powrócili.

IV.

Ceremonija szlubu już się zaczęła, wszyscy przytomni przejęci uroczystością aktu, poważnie milczeli, a wśród tej ciszy, słychać tylko było zapytania kapłana, i odpowiedzi szlubujących. Nie było słychać przysięgi jaką w tej chwili druga para z uroczystym wzniesieniem ducha wyrzekła.... ale Bóg przed którego majestat ją zasłali słyshał—i sumienie ich słyshało.... Szlub się ukończył, a z chóru zabrzmiał *Veni creator*—poważniejsi wiekiem, zbliżyli się do nowo zaślubionej pary aby ją od ołtarza odprowadzić. Zygmunt znaczącym spojrzeniem, dziękował Jadwidze za spełnienie jego woli — ale w tej chwili spostrzegł w jej oku łzy, których przed nim nie starała się już ukrywać.

Dalszych uroczystości weselnych opowiadać nie będziemy,—nie wchodzi one w zakres zdarzeń które wywarły swój wpływ na losy dwojga młodych ludzi. Zygmunt zwierzył się ze swą przysięgą kapelanowi, —pocziwy ksiądz Faustyn zgromił go, —ale jako kapłan, sługa Boży, zachęcił aby jej nie lekceważył. Odtąd Zygmunt i Jadwiga uważając się już za poślubionych przed Bogiem zaczęli myśleć nad tém jakby szlub ich jawnym światu uczynić.

Rozsądek radził czekać sposobnej pory, a serca młodych kochanków wrywały się do siebie. Zygmunt potrafił skłonić Jadwigę, że bardzo rano, kiedy jeszcze wszyscy we dworze spoczywali, schodzili się w cienistych szpalerach ogrodu aby tam swobodnie, wzajemne uczucia i nadzieje sobie udzielać. Prawdziwa miłość, ta najlepsza strażnica, — była zawsze przy nich. W obec niej czuli się czysti i niewinni — jakby wśród tysiąca świadków. Jadwiga mówiła raz do Zygmunta:—„Mój drogi ja mało mam zaufania aby przyrzeczenia nasze ziścić się kiedykolwiek mogły. Posłuchaj zdarzenia które bardziej w tém mniemaniu mnie utwierdziło. Ostatni raz będąc w Płonce w kościele, widziałam tam staruszkę bardzo zgrzybiałego; siwa broda spadająca na jego piersi i cała postać, obok politowania jakieś poszanowanie wzbudzały—Więcej na pielgrzymia niżeli na dziada żebrzącego wyglądał: może go i sam uważałeś; chorążyna dawała mu jałmużnę, dziękując jej

używał słów niezwykłych i tak gładko mówił, że łatwo domyśleć się można było dziwnej jego przeszłości. Ten sam dziadek w tę samą niedzielę kiedyśmy wyjeżdżali na szlub do Chłaniowa około godziny dziesiątej z rana, idąc do Żółkiewki na nabożeństwo, wstąpił do tutejszego dworu. Widziałam jak się zatrzymał przed gankiem, wyszłam więc i ofiarowałam mu jałmużnę; podziękował mi szczerze, a potem prosił, czy bym go nie raczyła czémkolwiek posilić. Za chwilę wyniosłam mu chleb z masłem, spory kawałek szynki i butelkę piwa; bardzo był uradowany i dziękując powiedział, że od dawna tak dobrego śniadania nie jadł. — Prosiłam go żeby usiadłszy na ławce posilił się i sama koło niego usiadłam, zadając różne zapytania, na które bardzo rozsądnie odpowiadał; w końcu, widząc w jego odpowiedziach jakiegoś proroczego ducha, zapytałam: mój staruszk, kiedy już zgadłeś że nie jestem córką pani tutejszego domu i że w te strony zdaleka przybyłam, powiedzże mi proszę, czy ten którego pokochałam, prędko moim mężem będzie? Nigdy! odpowiedział uroczyście, ty nigdy niczyją żoną nie będziesz — suknia zakonna jest twojém przeznaczeniem. Chorążyna widząc że długo nie wracam, wyszła na ganek — staruszek nisko się skłoniwszy, wolnym krokiem drogą do Żółkiewki wiodącą się udał — a ja tego samego dnia przysięgłam że będę twoją. Wymawiając jednak ostatnie słowa przypomniałam sobie przepowiednie staruszka, i w uszach zabrzmiał wyraz *Nigdy...* który tegoż poranku tak proroczo wymówiony słyszałam. Jakiś żal tajemny, jakieś zwątpienie, serce moje w téj chwili ogarnęło, — i dotychczas ten straszny wyraz nie daje mi spokoju!" Zygmunt starał się przekonać swoją kochankę że przyszłość zakryta jest przed oczyma ludzkiemi, że proroków teraz nie ma, — ale słowa jego plątały się w chaosie czarnych myśli, które zadawały sprzeczność rozumowaniom.

V.

Za ogrodem z tyłu dworu będącym, rozlewał się staw obszerny, który z téj strony do samego ogrodu dochodził; nie było między stawem a ogrodem żadnego parkanu, sam staw był dostatecznym ograniczeniem; blisko brzegu był umieszczony duży sadz na ryby, w którym najpiękniejsze sztuki, na piątek i inne dni postne przechowywano. Hajduk Sawicki miał klucz od zamkniętego sadza, i sam w miarę potrzeby ryby z niego wydawał. Dostrzegł on że mu ktoś w powierzonym sadzu plądruje i że zawsze pra-

wie, największych sztuk brakuje; miał podejrzenie, że młynarczyk z gajowym są téj kradzieży sprawcami, uważał jednak że kłódka zawsze jest zamknięta, domyślał się więc że mają klucz dorobiony i nim kłódkę otwierają i zamykają; postanowił jednak nic o tém nikomu nie mówić, dopóki ich na uczynku nie złapie. W tym celu dnia jednego zaraz po północy przyszedł do ogrodu i umieścił się w gęstym krzaku bzu tureckiego, który rósł nie daleko brzegu stawu, aby szkodników wysledzić.

Właśnie tego poranku młodzi kochankowie zejść się mieli w ogrodzie: gdy już na dobre się rozwidniało, Zygmunt przyszedł pierwszy. Michał zobaczył go przechadzającego się w szpalerze, wcale go to nie dziwiło, że Zygmunt już wstał tak rano, nie wychodził jednak ze swojej sadzawki, raz mniemając że jeszcze oczekiwani przez niego złodzieje przybyć mogą, drugi raz, że niechciał się Zygmuntowi pokazać. Po chwili w innéj aleji przesunęła się Jadwiga, Zygmunt spostrzegłszy ją szybko pospieszył i kilkakrotnie ucałował jéj ręce. Doszedłszy do poprzecznego szpaleru mijać musieli kępę bzu, w której Sawicki był ukryty — gdy więc mijali, usłyszał on wyraźnie te słowa: „Nie wierz droga Jadwigo w żadne przepowiednie ani przeszkody. Siła naszej miłości jest tak wielka że wszystko przewycięży i prze może! ufaj w nią! my musimy być połączeni i na zawsze szczęśliwi." Dalej odeszli i Sawicki nic już dosłyszeć nie mógł, długo jednak odchodzących jaszczurczym pożerał wzrokiem!

Gdy kochankowie nie domyślają się gromów jakie im grożą, hajduk Sawicki wygląda sposobnej chwili, aby chorążemu całe zdarzenie, którego rano był świadkiem, donieść. Jakoż wieczorem kiedy Jaś na wieszce odszedł, a pan do odmówienia pacierzy zabierał się, wszedł do niego tylnymi drzwiami od ogrodu, pokłoniwszy się pod nogi, wskazał tajemniczo na drzwi sypialnego pokoju pani. Chorąży domyślając się że ma coś sekretnego powiedzieć, zrozumiał o co chodziło, i oznajmił że nie masz nikogo; wszakże Sawicki nie poprzestając na tém, zlekka drzwi uchylił, i badawczy wzrok przeprowadził po całej komnacie, a zapewniwszy się że go nikt słyszeć nie może, tak zaczął: Panenku nie obrażaj się że sługa twój odważa się syna przed rodzicem oskarżać.... W łaskawości swojej nie raz raczyłeś panenku, mówić mi z kim pan Zygmunt ma się żenić. Cieszyłem się — boć dla mnie wasze szczęście to moje. Dziś panenku powiem wam że nic z tego nie będzie.... Pan Zygmunt kocha pannę Boguckę, co rano widują

się w ogrodzie i mówią do siebie że się pobiorą. A następnie opowiedział z najdrobniejszymi szczegółami jak polując na wybieracza ryb z sadza podpatrzył kochanków.

„Zawołaj mi tu natychmiast syna!” wykrzyknął nieumiejący pohamować gniewu chorąży. Nie paneńku, rzekł Sawicki, popędliwością wszystko zepsuć można. Ja dopilnuję następnej między niemi schadzki, sam będziesz mógł paneńku schwytać ich na uczynku! Chorążemu podobała się rada starego lisa, — i obiecawszy hajdukowi dobrą nagrodę, kazał mu wyjść, aby w samotności mógł ułożyć plan dalszego postępowania.

Tymczasem kochankowie, w najśrodszych nadziejach szczęśliwej przyszłości, z upragnieniem oczekiwali następnego poranku, aby tyle razy już powtórzone zapewnienia miłości, i tą razą tém czuliej, tém goręcej sobie ponowić.

Hajduk Sawicki tego samego poranku dobrze jeszcze przededniem umieścił się w oranżeryi, tak aby z bocznego jęj okna mógł swobodnie widzieć dwoje osobnych drzwi, któremi Zygmunt i Jadwiga wyjść ze swoich pokojów mogli. Zaraz po wschodzie słońca Zygmunt wyszedł frontowemi drzwiami, i udał się furtką poboczną do ogrodu: w kilka chwil otworzyły się drzwi przeciwne, i wolnym krokiem, biała jak anioł Jadwiga w toż samo udała się miejsce.

Zygmunt pospieszył na jęj spotkanie i z radością rękę podaną uściskał. „Drogi mój Zyguncie! mówiła: „Prawda, że widywania się miłe; ale jednak powtarzanie ich tak częste może łatwo nas zdradzić. Ojciec twój mógłby się o nich dowiedzieć a wtenczas!?!... Zyguncie nieśmiem nawet tęg myśli przypuścić — wtenczas nadzieje przyszłych naszych marzeń, mogłyby zamienić się w ową przepowiednię staruszka. Mój luby! ja ciebie chcę o jedną łaskę prosić, ale przyrzeczysz pierwęj że mi nie odmówisz. „Jadwigo! jażbym mógł cokolwiekbądź ci odmówić?” Więć posłuchaj mnie. Schadzki nasze, jak już mówiłam, są bardzo niebezpieczne i prędzej czy później odkrytemi być mogą. — Zaniechać ich, oboje nie potrafimy mieszkając pod jednym dachem. Mówiłeś mi dawniej, że ksiądz Faustyn, doradzał ci opuszczenie domu, w którym ja się znajdować muszę. Ja dziś postanowiłam o toż samo cię prosić. Zyguncie! posłuchaj mnie — jedź za granicę, zabaw tam jak najdłużej. „Jakto? Jadwigo! rzekł Zygmunt, ty sama mi doradasz abym cię opuścił?! abym naszą miłość na ciężkie próby wystawił.” Tak Zyguncie! abys ją wzmo-

uczynił — Zygmunt nie odpowiedział bo dał się słyszeć szelest cichy, jakby pochodzący od złamania nogą suchej gałazki. Jadwiga zadrzała — trąciła ramię Zygmunta, i na raz ujrzeli oboje chorążego wychodzącego z gęstwiny... Hajduk Sawicki prowadził go pod rękę — Jadwiga chciała spiesznie oddalić się, — ale Zygmunt niedopuscił — zbliżył się do ojca i chciał ująć jego rękę. Chorąży usunął się gwałtownie, i krzyknął: „Cóż-to waść myślisz, żebyś w domu ojca własnego pozwalał sobie płochych miłostek z dziewczyną, którą z miłosierdzia do domu naszego przyjęliśmy — a może w plugawych z nią stosunkach, dom rodzicielski znieważał?”

Groźny głos chorążego zabrzmiał jak trąba archanioła dla struchlałej Jadwigi — nogi się pod nią zachwiały — zemdląła.

Zygmunt tego nie widział, bo słowa ojca przejęły go zgrozą i goryczą — honor zwyciężył posłuszeństwo synowskie i rzekł: Ojcze! niekrzywdź czystej, niewinnej dziewicy, ja kocham ją i poślubiłem przed Bogiem pojąc ją za żonę! Spostrzegłszy zaś zemdląłą — dodał: Srogi ojcze — patrz coś uczynił?!

Ojciec silnie za rękę go schwycił, popchnął gwałtownie ku Sawickiemu, i wykrzyknął: „Niepuść go” a postrzegłszy Jasia za pnem drzewa stojącego, zawołał: Biegaj do garderoby! zawołaj Jankoskę żeby tu z Rózią przyszły, powiedz im że panna Bogucka zachorowała niech tu zaraz się stawią. Potem z mego pokoju weźmiesz dywan i zanieziesz go do altany lipowej!” Jas poskoczył rozkazy pańskie wykonywać. Niebawem przyszła Jankoska z Rózią, wzięły zemdląłą Jadwigę i do jęj pokoju przeniosły. Chorąży zawołał na syna: „*Za mną*” i szedł ku altanie. Zygmunt poszedł za nim a hajduk i Jas z tyłu postępowali za nimi. Gdy już stanęli na miejscu chorąży — zawołał: „Nauczę ja ciebie paniczu jak masz dom ojca twego szanować. Sawicki! dywan na ziemię!” Rzucamy zasłonę na obraz niegdyś niestety zbyt zwyczajny, a dziś tak rażący, że go bez oburzenia trudno odsłonić. Ojciec z XVIII wieku wykonał swoje prawa, — ale syn uczuł je inaczej, aniżeli czuli je synowie jego przodków. Ucałował rękę ojcowską, choć wiedział że całuje ją ostatni raz w życiu.

Przechodząc koło okna sypialnej komnaty swojej matki, ukląkł — dwie łzy potoczyły się po zbladłej twarzy i łkając prawie rzekł: „Bądź zdrowa moja droga matko, bądź zdrowa na zawsze!” Wszedł potem do mieszkania księdza kapelana, który ujrzawszy twarz jego w niezwykłym stanie pomieszania, zdziwił się nie pomalą; lecz nim zdążył zapytać

o przyczynę, Zygmunt o wszystkiem co zaszło, objaśnił go w kilku słowach, i dodał: Teraz nie pozostaje mi nic tylko dom ten natychmiast opuścić. Pod oknem kochanej mojej matki ukląknęłam i przesłałam jej ostatnie pożegnanie! Jadwigę zemdloną do jej pokoju przeniesiono—widzieć jej i pożegnać nie mogę. Kochany Faustynie zostawiam ją pod twoją opieką—pożegnaj odemnie i zapewnij że oddalam się z domu w jedyniej myśli połączenia się z nią na zawsze—przrzecz mi że ją będziesz pocieszał i że będziesz miał litość nad jej sierocem sercem. Z miejsca gdzie będę, napiszę do ciebie — ale musisz mi zaprzysiądz na charakter kapłański i na przyjaźń naszą, że miejsca mego pobytu, nikomu bez mojego zezwolenia nie odkryjesz. „Przysięgam ci drogi Zygmuncie, rzekł Faustyn—pojmuję twoje zamiary, i nigdy twojej tajemnicy nie zdradzę.” Zygmunt prosił go jeszcze aby mu z najdrobniejszymi szczegółami donosił o wszystkim co się dotyczy Jadwigi—ale ksiądz Faustyn przerwał zapytując Zygmunta, czy ma przy sobie jaki fundusz, nieodbitie w podróży potrzebny?—on odpowiedział że o tém niepomyślał. Faustyn otworzył wtedy szkatułkę i znajdujące się tam dwieście dukatów w złocie mu ofiarował; było to wszystko co posiadał. Wahał się Zygmunt chwil kilka, lecz rozważywszy okoliczności, rzekł: przyjmuję, ale dam ci rewers w którym upraszać będę matkę moję, aby ten dług tobie zapłaciła w imieniu mojem; wiem że to, co mi dajesz jest całym twoim mieniem. Dopełniwszy tego co mówił, polecił raz jeszcze drogą swoją Jadwigę Faustynowi, uściskał go i spiesznie wrócił do ogrodu: przez tylną furtkę przeszedł koło młyna, i udał się przez bliski las do Chłaniowa.

VI.

Jankoska z Rózią złożywszy pannę Jadwigę zemdloną na łożku, wszelkich używały sposobów aby ją ocucić. Gdy powróciła do zmysłów, Rózia chciała panią chorążynę przywołać, ale Jadwiga zabroniła jej tego mówiąc że słabość wnet przejdzie—Rózia przyrządzając ziółka w garderobie zastała tam Jasia, który całe zdarzenie, jakie przed chwilą odbyło się w ogrodzie, kredencarzowi opowiadał.—Zebranych tam wiadomości udzieliła Jankoskiej, a tak już przed południem, cały dwór z wieloma nawet dodatkami wiedział. Wszyscy złorzeczyli Sawickiemu, bo pana Zygmunta kochali. Chorążyna dopiero późno wieczorem, kiedy jej małżonek do spoczynku się zabierał, udała się do pokoju Jadwigi, aby ją odwiedzić

i uspokoić. Długo rozmawiały, a chorążyna widząc Jadwigi, pocieszała ją jak mogła i razem płakały. Bądź spokojna mówiła, Zygmunt powróci—mąż mówił mi iż mimo to, że go jako krnąbrnego syna musiał ukarać, nie chowa ku niemu nienawiści -- że wkrótce każe mu do domu powrócić. Że bez funduszu niemógł oddalić się daleko. W końcu jednak, dodała chorążyna, że niepodobieństwem jest, aby Jadwiga pozostała w Wierzbicy, że chorąży postanowił na jakiś czas wysłać ją do klasztoru Siostr Brygidek do Lublina; że gdy to nastąpi, Zygmunt upokorzywszy się względem ojca, wysłanym zostanie przez niego za granicę na lat dwa, po upływie których, ojciec stanowczo o jego ożenieniu ma pomyśleć. „Na krótki więc czas odwiozę cię kochana Jadwisiu do Lublina — a skoro Zygmunt wyjedzie za granicę, pospieszę tam znowu aby cię na powrót do Wierzbicy przywieść.” Mówiły jeszcze jakiś czas z sobą. Jadwiga widząc tyle współczucia w sercu chorążyny dla siebie, poczęła być cokolwiek spokojniejszą, ucałowała jej ręce i prosiła o przebaczenie. Chorążyna powróciła, do siebie splakana i ciężko zmartwiona.

Rzeczywiście przed wieczorem chorąży powierzył był plany swoje względem syna i Jadwigi żonie, w téj samej prawie treści, jak ona Jadwidze je opowiedziała. Przebiegły chorąży, znając przychylność żony swojej ku Jadwidze, tak przed nią plany swoje upozorował, aby jak największej łagodności mogła się domyślać. Co zaś postanowił — to tylko Bogu było wiadomo.

Kiedy już wszystko było do podróży gotowe i kolasa czterokonna zaszła przed ganek, chorążyna udała się do Jadwigi i oznajmiła że chorąży chce ją pożegnać; razem więc udały się do jego pokoju. Jadwiga była tak strwożoną że i słowa przemówić nie była w stanie. Spotkały chorążego w sypialni pani. Pożegnał najprzód żonę zalecając aby starała się jak najlepiej przełożoną względem Jadwigi uprzedzić, poczem zwracając się do struchlałej Jadwigi tak przemówił: „Zegnam waćpannę, tu Jadwiga pochyliwszy się, kolana i ręce jego ucałowała), on kończył: spodziewam się że waćpanna przez ten krótki przeciąg czasu, jaki w klasztorze masz pozostać, będziesz się starała bogobojną skrucą i pokutą, przebłagać Wszechmocnego, za krzywdę jaką nam mimowolnie może, wyrządziłaś. Niech Bóg ci to przebaczy... a my potem jako ludzie z kolei będziemy się starali darować.”

Przed wieczorem tego samego dnia stanęły w Lu-

blinie, według instrukcyi chorążego. Zaraz tę pierwszą noc miała Jadwiga u siostr Brygidek przepędzić — niezwłocznie więc z chorążyną wybrały się do klasztoru: tam oznajmiły przełożonej cel ich przybycia, przyczem chorążyna w uprzejmych wyrazach Jadwigę jako swoją kuzynkę przedstawiła, oznajmiając zarazem iż przez przeciąg dwóch najwięcej tygodni, życzy sobie ją zostawić pod opieką przełożonej w tutejszym klasztorze — po upływie których sama osobiście dla zabrania Jadwigi przybędzie. — Ksieni kazała przywołać siostrę Klarę i oznajmiła jej że panna Bogucka przez dwa tygodnie będzie ich gościem i szczególniej opiece jej ją poleciła. Chorążyna pomówiwszy jeszcze chwil kilka z zakonnicami, pożegnała je, Jadwigę ucałowała, a wymawiając się fatygą dzisiejszej podróży, klasztor opuściła, zapewniając przełożoną, że ją w dniu jutrzejszym na dłużej odwiedzi. Jadwiga z dodaną sobie opiekunką udała się do jej celi, razem bowiem przez cały czas pobytu w klasztorze miały mieszkać. Długo dosyć z sobą rozmawiały i Jadwiga miała sposobność przekonać się, że siostra Klara, była osobą ukształconą znamienicie i bardzo odznaczającego się wychowania. Cieszyła się więc przyszlēm z nią towarzystwem.

Dnia następnego chorążyna przybyła przed południem do klasztoru, znalazła Jadwigę weselszą, co niezmiernie ją pocieszyło. Została tam na obiedzie, a samym wieczorem pożegnawszy Jadwigę i zakonnice, powróciła do mieszkania na spoczynek: rano bowiem dnia następnego do domu wyjechać miała.

Ksiądz Faustyn po powrocie chorążyny do domu widząc że pannę Jadwigę zostawiła w klasztorze, zło z tego wyprowadzał wnioski — pokiwał głową i rzekł sam do siebie: „Już ona tutaj więcej nie powróci, znam ja chorążego”...

Niecierpliwie wyglądał kapelan listu od Zygmunta aby mu mógł nawzajem donieść co się w Wierzbicy dzieje — spodziewany ten list jednak nie nadchodził, co Faustyna bardzo niepokoiło.

W kilka dni po powrocie chorążyny do domu, pan chorąży wyprawił Sawickiego z listami do Lublina, zalecając mu aby kaźden z nich sam do własnych rąk tych osób, do których były adressowane, oddał, przy tém nie mało mu dał ustnych zleceń. Chorążyna korzystając ze sposobności, do Jadwigi długi list przesłała. Sawicki z missyą swoją nikomu się nie zwierzał, listów nie pokazywał, nikt więc nie wiedział do kogo były pisane.

Podówczas był w Lublinie sufraganiem i koadjutorem dyecezyjalnym a biskupem in partibus, daleki

krewny chorążego, który wysoki stopień, jaki w duchowieństwie zajmował, winien był przeważnemu wpływowi chorążego. Biskup dyecezyalny odjechał był do wód dalekich dla poratowania zdrowia; w jego więc nieobecności sufragana zarząd Dyecezyi miał sobie poruczony. Jako ex-Jezuita był dosyć przebiegłym, i umiał interessa według swoich widoków kierować.

Głównym powodem wysłania hajduka do Lublina, był list do księdza sufragana; chorąży sam własnoręcznie go pisał. Donosił mu o wszystkich szczegółach dotyczących ostatniego wypadku w Wierzbicy. Zawiadomił go, że panna Bogucka na jakiś czas odwieziona została do siostr Brygidek do Lublina; ale że konieczność wymagała, aby tam na zawsze została; prosił go iżby całego swojego wpływu w tym celu chciał użyć, i działał tak spiesźnie, żeby, nim biskup z wód powróci, i zarząd Dyecezyi napowrót obejmie; panna Bogucka już mogła być po obłóczynach i po solennej proffesyi.

Ksiądz sufragana, podniecający arystokratyczne uprzedzenia chorążego, ucieszony iż tą przysługą choć w części potrafi się mu wywdzięczyć, odpisał w nader zadawalniający sposób, a zważywszy nagłość i ważność okoliczności, w której szczerze pragnął chorążemu dogodzić; niezwłocznie wziął się do dzieła.

Nad wieczorem dnia tegoż udał się osobiście, nikogo z sobą niebiorąc, do klasztoru; tam wpuszczony do parlatoryi polecił siostrze furtiance aby do niego poprosiła przełożonej. Wnet ksieni stanęła za kratkami, i z pobożnością należną powitała biskupa, który po zwykłym pobłogosławieniu, tak zaczął: „Od kilku dni w klasztorze tutejszym zostaje panna nazwiskiem Jadwiga Bogucka; familii jej jest życzeniem aby została siostrą waszego zakonu.” Ksieni oświadczyła iż tak jest rzeczywiście, dodała jednak że pani chorążyna Staniszeska odwożąc ją tu, zapewniła, że panna Bogucka ma tylko dwa tygodnie w klasztorze tutejszym pozostać. Biskup odrzekł: „Chorążyna nie wie o zamiarach familji względem panny Boguckiej, a nawet zamiary te, są przed nią ukrytymi. Ja mam osobną w tém informację, która wkłada na mnie obowiązek abym waszą wielebność w tym względzie uwiadomił, oraz abym zniósł się, co do środków doprowadzenia rzeczy do skutku.”

„Pochlebiam — sobie kończył — „że wasza wielebność swojego współdziałania nie odmówisz.”

„Niech wasza ekscelencya wskaże mi tylko drogę postępowania, a ja ściśle do niej się stosując, nieomieszkać tak uczynić, aby żądanie familii i rozkaz

wasz do skutku doprowadzonym został." Biskup odpowiedział, że namyśli się nad środkami jakie uzna za najstosowniejsze i odchodząc dodał: „Raz jeszcze uprzedzam waszą wielebność że życzą sobie aby panna Bogucka przyjęła śluby zakonne.”

Po téj rozmowie dwa tygodnie upłynęło, a nie było widać chorążyny która miała Jadwigę z klasztoru zabrać. — Czas zaczął się długim wydawać, wreszcie Jadwiga dziwiła się téj zwłoce, którą tylko nadzwyczajnemu wypadkowi przypisać mogła. Ksieni tym czasem wsparta czynnem działaniem siostry Klary, zaczęła plany biskupa rozwijać. Początek szedł trudno, jednak po upływie jeszcze jednego tygodnia, skoro chorążyna nie przyjeżdżała a żaden list z jej strony nie oznajmiał powodów téj zwłoki, Jadwiga zaczęła wierzyć że nowe wiadomości z Wierzbicy z pewnością opowiadane przez przełożoną i siostrę Klarę mogą być prawdziwemi. Mówiono jej że Zygmunt powrócił, że ojca przebłagał, że całą winę złożył na Jadwigę, że stosując się do życzeń ojca oświadczył się o rękę panny Granowskiej z Tarnogóry i t. d. Niedowierzała tym wieściom Jadwiga bo zastanowiło ją to bardzo, jaką drogą zakonnice to wszystko wiedzą? i myśl tę siostrze Klarze oznajmiła. Ponieważ o postępie planów swoich ksiądz sufragan codziennie wiedział, w dniu więc następnym nadesłał przełożonej list niby przez chorążynę do niej pisany, w którym znajdowały się wiadomości téj samej treści, jakie poprzednio przez zakonnice miała sobie Jadwiga opowiedziane. List ten został pannie Boguckiej okazany, ręka zaś chorążyny była w nim tak dobrze nasładowaną, że ani na chwilę powątpiewać nie mogła, aby to pismo nie od niej pochodzić miało. W głębokim żalu zaraz po odczytaniu listu, na obłóczyny zezwoliła.

VII.

Podczas kiedy to wszystko działo się w Lublinie, ksiądz Faustyn, udał się do Krasnegostawu, i tam odebrał list od Zygmunta. Odczytał go z pośpiechem, oprócz kilku ustępów poświęconych przyjaźni, zawierał tylko wspomnienia i uczucia dla drogiej mu zawsze Jadwigi. Wyrażenia te były tak rzewne, iż Faustyn, chociaż ksiądz, do łez się niemi rozczulił—głęboko westchnął i pomyślał: nie wie nieborak co się dzieje!... W końcu listu donosił mu Zygmunt że jest, w Eperyes miasteczku nadgranicznem w Wę-

grzech razem z wieloma rodakami i że tam postanowił odpowiedzi jego oczekiwać.

Faustyn nie odwołując odpowiedzi, zaraz w Krasnymstawie Zygmunta odpisał, donosząc że Jadwiga została czasowo zawieszoną do klasztoru panien Brygidek w Lublinie, że tam dotąd pozostaje; nie miał jednak obawy jaką powziął, aby ją tam na zawsze nie osadzono i nie zniewolono do przyjęcia habitu.

Powróciwszy do Wierzbicy, dowiedział się ksiądz Faustyn od dworskich, którzy o tem głośno mówili, że obawy jego spełniły się, że we czwartek piętnastego sierpnia, w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi, panna Jadwiga Bogucka w klasztorze sióstr Brygidek Lubelskich, obłąka habit tego zakonu z dobrej swojej woli.

Ta wiadomość przeraziła go bardzo, nie chciał jednak zupełnie jej wierzyć, lecz gdy dnia następnego jeden z wikarjuszów katedralnych, toż samo w liście do niego pisany mu doniósł, żadnej już wątpliwości nie miał. Postanowił więc niezwłocznie wyprawić drugi list do Zygmunta, aby mu o tem donieść.

Ksiądz sufragan sam osobiście ceremoniał obłóczny panny Boguckiej dopełnił, przy asystencji kilku duchownych, i licznie zgromadzonych widzów świeckich: z rezygnacją prawdziwie religijną poddała się całemu obrzędowi: gdy jednak przyszło do ostrzyżenia prześlicznych jej włosów, które, niestety, tak jeszcze niedawno z podziwieniem były uwielbiane; lzy zalały jej twarz anielską, i tak czuła się osłabioną że bez pomocy siostry Klary, która ją podtrzymywała klęczącą, byłaby niezawodnie na stopniach ołtarza upadła. Obecne téj ceremonii niewiasty, prawie wszystkie płakały. Ksiądz sufragan pospiesznie kończył ceremonję, a wkrótce i energicznem przemówieniem zastosowanem do okoliczności, zrobił zwrot do niej i mówił: „Siostrzo Bogusławo! (takie obrała sobie imię zakonne) dopełniłaś przed Boga Majestatem w świętym Jego przybytku, aktu przyjęcia sukni zakonnej! suknia ta niechaj osłoni ciało twoje od wszelkich pokus świata, niech będzie tarczą która cię obroni przeciwko usiłowaniu złego ducha, chcącego cię z drogi zbawienia sprowadzić. Akt ten, który tu jednocząc ducha twojego z Bogiem i świętą wolą Jego, spełniłaś, jest tylko przygotowawczym do nierównie większego, który Bóg w nieograniczonej swojej łaskawości, wkrótce dozwoli ci wykonać.”

(Dokończenie nastąpi.)

ZAMCZYSKO W BRZEŻANACH

I SŁOWO O SIENIAWSKICH.

Podróżnik zwiedzający piękne okolice Lwowa zatrzymać się dłużej powinien w miasteczku po nad rzeką Złotą lipą położoném, zwaném Brzeżany, o 10 tylko mil od stolicy Galicyi. Za nim opiszemy te bogate w dawne pamiątki miasto, słów parę o rodzinie, która je założyła, powiedzieć nam wypada.

Wiadomo iż Jagiełło owdowiawszy pojął za żonę Elżbietę córkę Ottona z Pilicy herbu Topór. Jeden z téj rodziny Rafał Granowski, waleczny Tatarów pogromca, wojując na Rusi, poznał jedynaczkę i dziedziczkę Sieniawy, poślubił ją i potomkowie jego od nazwiska tych włości przezwali się Sieniawskimi. Jedyny to zdaje się wypadek aby szlachcic polski, mający już ustalone, historyczne można powiedzieć nazwisko, jakim było Granowskich, z koroną przez połączenie Jagiełły spokrewnione, porzucił go i przybierał inne. Gdyby chcieli odróżnić się tym sposobem od innych członków rodziny, dośoby im było przybrać przydomek, lecz zdaje się iż położywszy wiele zasług, zapragnęli stworzyć sobie imię, któreby nie pożyczonem od przodków, ale własnym swoim zajaśniało blaskiem. Jeżeli taki był cel ich, dopięli go w zupełności; tak dalece, że gdy Adam Hieronim znany jako wojownik w wyprawach razem z Zamojskim podejmowanych, na podskarbiego koronnego nominację dostawszy, był do przysięgi powołany, Zygmunt III nie przyjął jój, mówiąc: „Znana jest wierność Sieniawskich.”

Istotnie mało jest rodzin w którychby tak bez przerwy następca po następcy, syn po ojcu zbyt wielkiej wagi przysługi krajowi wyświadczeni, czy to w radzie, czy w wojnach, czy nareszcie stawiając swoim kosztem obronne zamki i tam o własnych siłach odpierając nieprzyjaciela, zasłaniali od napadów Tatarskich kraj cały; jak to miało miejsce w Brzeżanach. „Doświadczyła tego Rzplita, mówi konstytucja 1676 roku „że pogranicznych fortec opatrzenie, tamuje impet sił nieprzyjacielskich, *et multa commoda* przynosi Państwu; chcąc tedy *eandem* Rzplitej ob-

myślić i t. d. *securitatem*, hetmanom zalecamy *curam* pogranicznych fortec, mając w osobliwej pamięci fortece Brzeżany *propriis impensis* ur. chorążego K. (Mik. Hieronim Sieniawski) wystawioną i *praesidio* z szkatuły własnej konserwowaną, która dotąd od zguby ostatniej kraje Pokuckie zatrzymała.”

Założycielem miasta i warowni Brzeżańskiej był, wślawiony bitwą Obertyńską, Mikołaj Sieniawski, prawnuk jak zdaje się Rafała z Granowa któren to pojął dziedziczkę z Sieniawy; ztąd Hieronim syn jego a dziad Mikołaja już się Sieniawskim zwać począł. Twierdzą niektórzy iż Zygmunt I w nagrodę zasług Mikołaja Sieniawskiego, darował mu Brzeżany — lecz przywilej przez tegoż króla nadany Sieniawskiemu świadczy, iż Brzeżany były własnością domu tego, że Zygmunt tylko pozwolił tę *wieś* na *miasto* przerobić i przenieść mieszkańców z prawa ruskiego i polskiego na prawo Magdeburskie, ustanowić targi w piątek, a jarmarki na w Niebowstąpienie Pańskie i na Piotra w okowach. Data przywileju jest 1530 r. Odtąd Brzeżany inną przybrały postać: szybko wznosiło się miasto wraz z murami warownego zamku; bo też potężną była ręka która je rychło dźwigała. Mikołaj Sieniawski, jak świadczy Orzechowski, dwanaście wygrał bitew. Będąc hetmanem wielkim koronnym i wojewodą ruskim, obsadził na gospodarstwo Wołowskie, brata Aleksandra. Jemu-to i braciom jego województwo ruskie całość swoją winno. Pamiętne są w historii miejsca walnych jego z Tatarami bitew, jak pod Trębowłą, Podhajcami, Międzybożem (patrz Księgę Św. T. I s. 121) o którym jako o dziedzictwie potomków Sieniawskich wspomnieliśmy. Wielki mąż obok zwycięstw i smutnych doświadczył kolei: cierpiał więzy i rannym był kilkakrotnie; mimo to dzielna dusza podtrzymywała ciało i dożył wczerności lat 80. Umarł w roku 1569. Umiał kraj ucześć zasługi jego, gdyż zwłoki z Lublina, gdzie życie zakończył, prowadzono ze wspianiałem otoczeniem do Brzeżan, Zygmunt August sam pieszo z całym Se-

natem prowadził aż za miasto szanowne zwłoki. Jeszcze w końcu przeszłego wieku w jednej ogromnej baszcie widzieć można było al fresco przedstawiające Zygmunta Augusta idącego za pogrzebem Mikołaja Sieniawskiego, a na grobowcu jego, dotąd istniejącym, taki położono napis:

Hoc vigilante Russia felix hostibus a cunctis undique tuta fuit.

Syn jego, także Mikołaj hetman polny, równie jak ojciec odznaczał się mężstwem, rostopnością i poświęceniem, w licznych zwycięztwach, w trafnych układach z Wołochami, w gromieniu kozaków i t. p. użytecznych krajowi czynach, jak świadczą ówczesni. Słowem, przez trzy wieki potomkowie rodu tego odznaczyli się wielkimi czynami, a ich posiadłość Brzeżany słynęła z bogactwa i arcydzieł sztuki. Zamek bowiem i katedralny kościół ozdabiali pomnikami, ręki tych samych mistrzów, co groby w katedrze krakowskiej rzeźbili.

Miasto Brzeżany dziś około sześciu tysięcy mieszkańców liczące, cieszy się pięknymi zabytkami swęj świetnej przeszłości. W środku miasta na wzgórzu wznosi się kościół, słynny pięknoscją. Ołtarz wielki z hebanu, po za którym spoczywają zwłoki Jakóba Strzemieńczyka. Dla czego jego zwłoki w tak dostojnym miejscu zostały złożone? objaśnia nam następujące podanie: Szlachcic herbu strzemię zwany Strzemieńczykiem, przyniesionym został do kościoła śmiertelnie raniony strzałą, w jednej z bitew z Tatarami, które tak często pod Brzeżanami staczane bywały. Strzała tkwiła w piersiach jego. Rycerz odzyskawszy przytomność, wyrywa z piersi strzałę i pisze sobie nagrobek w tych słowach:

Tu leży Jakób, co miał za herb strzemię,
Pułisko się urwało, a on, heb o ziemię!

Chcąc widać uwiecznić tę przedśmiertną odwagę Rycerza, wiersz wyryto złotemi literami na marmurze białym. Przed tymże ołtarzem widzieć można sztandary, z pasowej materyi wyszywane srebrem, zdobyte na Tatarach.

Kościół ten, wielkim kosztem bo z ciosowego kamienia wzniesiony, wystawił Mikołaj Sieniawski podczasy koronny, starosta Ratneński, który w młodości swej z własną swoją hussarską chorągwią wiele się przyczynił do zwycięstwa pod Chocimem— a chcąc rozmaitym sposobem być użytecznym krajowi, postrzegłszy zdolności wojskowe w Pawle Grodzickim, wysłał go swoim kosztem do Belgii dla lepszego nau-

czenia się sztuki wojennej. Ztamąd po niejakim czasie wróciwszy Grodzicki, wielkie usługi krajowi jako generał artylleryi oddał. Podczasy Mikołaj umarł bezdzietnie r. 1636. Na pogrzebie jego, Jakób Sobieski kasztelan krakowski, ojciec króla Jana, uczcił pamięć jego mową pogrzebową.

Oprócz katedry, ma miasto kościół i klasztor Bernardynów, fundowany przez Mikołaja Hieronima Sieniawskiego wojewodę Wołyńskiego, hetmana polnego, starosty Lwowskiego i Rohatyńskiego. Oprócz kościoła Bernardynów, znajduje się jeszcze w mieście Ormjański kościół i cerkiew Grekounicka.

Największą zwraca uwagę stare zamczysko, pod miastem, wałami opasane i rzeką do koła oblane. Jaki jest dzisiaj stan tego wielkiego gmachu? powiedzieć nie możemy, ale jest do przypuszczenia że nie stracił nic z całości swojej od lat kilkunastu, w którym to czasie był jeszcze dość dobrze zachowanym, mianowicie prawe jego skrzydło obfitujące w rozmaite drogie pamiątki.

Pokoje zwane Wiedeńskimi, posiadają rozmaite malowidła jak np. zwycięstwo nad Turkami w których osoby są przedstawione w naturalnej wielkości; widać zdala pod murami Wiednia zaciętą walkę. Na drugim piętrze, w pokojach zwanych złote, obicia były z rozmaitych kosztownych makat. Na środku zamkowego dziedzińca, jest kościół pełen cały rzeźb, pełen nagrobków, rozmaitych członków sławnej i wielkiej rodziny, nagromadzonych przez trzy wieki. W kaplicy kościelnej mieszczą się groby Sieniawskich wyznania katolickiego. Zaś w kościele stoją marmurowe posągi z odlanemi z bronzu napisami nad głowami tych, którzy arjanizm przyjęli.

Lubo w porównaniu innych narodów, Polska wolną była od sektarstwa, lubo wcale wojny religijne jak to w Zachodnich krajach nie miały u nas miejsca, (może głównie dla tego że jakkolwiek przywiązana do religii katolickiej, daleką będąc od fanatyzmu hiszpańskiego, nie jątrzyła prześladowaniem różnowierców) przecież i u nas, nie tylko protestantyzm, ale i arjanizm wkraść się był w niektóre okolice, w niektóre rodziny, i ślady swego chwilowego panowania pozostawił w starych pamiątkach. Nie długo to jednak trwało; i bez rozlewu krwi, bez domowej wojny, poopuszczali, zrazu zacięci w błędach swoich *cudzoziemską*, jak zwano, *wiarę* i do kościoła katolickiego powracali. To samo stało się z rodziną Sieniawskich. Jeden z pierwszych ich protoplastów, za panowania Zygmunta Augusta, Prokop, marszałek koronny, powszechnie znany i szacowany z ro-

zumu, wzorowych obyczajów, a razem z piękności i nadzwyczajnej siły; podróżował za granicą, a w Wirtembergu czas jakiś bawiąc, oddawał się gorliwie nauce wyznania arjańskiego, nie zapominając obok tego ćwiczeń rycerskich, które go do licznych potem zwycięstw poprowadziły. Gdy wrócił do kraju i poślubił Elżbietę Gostomską, ona głównie, jak twierdzą, wsparta światłami przyjaciółmi, do powrotu go na łono kościoła nakłoniła. Zwłoki tego sławnego i ukochanego od przyjaciół i rodaków męża, nie spoczywają w Brzeżanach, lecz we Lwowie w kościele księży Dominikanów. Zaś niepokieszona po stracie swój małżonka, ufundowała w Sandomierzu klasztor Benedyktynek, w którym zostawszy ksienią, życie zakończyła. Klasztor zaś stosownie do reguły i woli założycielki dotąd trudni się wychowaniem panien.

Hieronim Sieniawski, wojewodą ruskim przez rycerstwo w czasie bezkrólewia obwołany, a potem przez Stefana Batorego na tej godności utrzymany, był zrazu Arjanin, później przez sławnego wymową Skargę nawróconym został i grób jego mieści się razem z innymi w kaplicy brzeżańskiej. Umarł roku 1576, a potomkowie otrzymawszy wychowanie w wierze katolickiej, już się nigdy od niej nie odrywali.

Obszerne dzieło napisaćby można, chcąc skreślić sławne i ważne wypadki jakie się pod murami Brzeżan odbywały, a raczej w jakich główny udział miała rodzina Sieniawskich, posiadająca dobra na pograniczu. Śmiało powiedzieć można, że przez trzy wieki, nie tylko całym mieniem ale piersiami sweimi, strzegła całości granic Rzeczypospolitej. Brzeżany, Sieniawa, Międzyboż były prawie nieustającym teatrem walk krwawych z dobrym skutkiem dla kraju prowadzonych. Miejsca te nawet nie straciły na tym, bo staranna opieka właścicieli otaczała je, starając się owszem o podnoszenie ich. I tak Mikołaj Hieronim Sieniawski wojewoda Wołyński, którego wspomnieliśmy wyżej jako fundatora klasztoru i kościoła Bernardynów w Brzeżanach, otrzymał za panowania Jana III przywilej stanowiący jarmarki w tym mieście na zesłanie Ś. Ducha, na Ś. Bazylego, Ś. Eljasza i na niedzielę środopostną; co znacznie miasto podniosło. Tenże sam Mikołaj Hieronim około tegoż samego czasu, dziedziczną wieś Sieniawę przez otrzymaną ku temu konstytucję na miasto zamienił i tam kościół z klasztorem księży Dominikanów założył. Niemordowany ten mąż, równie na wydatki wojenne jak na padnoszenie miast i kościołów, nie żałował szkatuły i starań swoich. W czasach nieszczę-

śliwego panowania Jana Kazimierza, pułk piechoty i regiment dragonów swoim kosztem wystawił. W kilkunastu bitwach, już to za tego króla, już za panowania Jana III ze sławą i odwagą walczył. Powracając z wyprawy Wiedeńskiej, gdzie lewem skrzydłem dowodził, umarł w Lubomli o kilkanaście mil od Krakowa, miejscu sławnym obronnym zamkiem i schronieniem Jerzego Lubomirskiego, który tam wraz z księdzem Opatem Wolfem klejnoty koronne przed Szwedami uwiózł.

Ostatnim dziedzicem wspaniałego Brzeżańskiego zamku i miasta był żyjący jeszcze w początku ostatniego stulecia, sławny cnotami i mężstwem Adam Mikołaj Sieniawski, kasztelan Krakowski. wielki hetman koronny, starosta Lwowski. Znane, a raczej spopularyzowane zostało imię tego bohatera przez pieśń starego naszego lutnisty, J. U. N:

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskim błoniu,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny;
Jechał Sieniawski odważny i smutny,
W błyszczącej zbroi, i na śnieżnym koniu.

Poeta mówiąc dalej: „Niebieskie oczy serce mu zraniły” czyni wzmiankę o miłości młodego bohatera do Elżbiety Lubomirskiej córki Stanisława Lubomirskiego marszałka wielkiego koronnego; którą też, dawszy pierwój liczne dowody mężstwa, poślubił. Nie tylko miłość, czyli raczej niepewność wzajemności smutek, o którym mówi poeta, na czoło młodzieńca sprowadzić mogła. Jako prawy syn kraju, czuł on i cierpiał nad nieszczęśliwem położeniem chylącym go do upadku.

Ten to Adam Mikołaj Sieniawski, syn Hieronima hetmana polnego koronnego i księżniczki Radziwiłłówny wojewodzianki Litewskiej, ostatni z linii męzkiej sławnego Sieniawskich rodu, w młodości swój, kilkakrotnie pokonywał Turków i Tatarów. Zostawszy później hetmanem wielkim koronnym, wraz z Potockim, wojewodą Kijowskim, poskromił na Ukrainie kozaków przez Samusia i Paleja do buntu pobudzonych. Za panowania już Augusta II roku 1706 wraz z królem znaczne zwycięstwo nad Szwedami odniósł pod Kaliszem i właśnie kiedy mu los pozwolił zaszczytnie przyczynić się do upokorzenia tak okrutnych nieprzyjaciół jakimi dla Polski byli Szwedzi; doznał najdotkliwszej boleści dowiedziawszy się że ci przez zemstę, zabrali w niewolę żonę jego chorą, będącą w Warszawie. Stanisław Leszczyński je-

dnakże, wstawieniem się swoim i usilnemi prośbami zdołał otrzymać jęj uwolnienie. Umarł Adam Mikołaj we Lwowie 1726: ciało jego pochowane w Brzeżanach. Charakter miał łagodny, pobożny, wydał przeszło dwa miliony na wykupienie rodaków z niewoli tureckiej—klasztory zaś wspierał hojnością swoją.

Ten był ostatnim potomkiem, jak to powiedzieliśmy już, rodu Sieniawskich.—Zostawił jedyną córkę Zofię, która owdowiawszy po Denhofie wojewodzie Połockim, hetmanie polnym — poślubiła później Augusta Czartoryskiego wojewodę Ruskiego. Cały więc majątek Sieniawskich, piękne Brzeżany, sławną już w wieku naszym Sieniawę, wraz z innemi dobrami, tudzież z Międzybożem, do domu Czartoryskich wnio-

śla. Mówiąc o majątnościach Sieniawskich musieliśmy obszerniej wspomnieć nieco wyżej i o Międzybożu.

Dziś Brzeżany należą do Stanisława hr. Potockiego wnuka ś. p. Ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego w królestwie polskiem. Nowy właściciel nabył piękną bibliotekę (którą ciągle wzbogaca) po Fel. Łosiu kuchmistrzu król. Gal. — oraz polecił, nie szczędząc niczego, aby jego kosztem kaplica i groby Sieniawskich były do pierwotnego przyprowadzone stanu. Restauracyę już w tym roku rozpoczęto. Szkoda tylko że pałac nie może być zamieszkania, gdyż dziedzic Brzeżan posiada drugie pod Warszawą dobra, Helenów, na którego przepyszne upiększenie, bardzo wiele łoży.

M A L W Y.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ)

Arcyliczna familija roślin malwowych rozpowszechnioną jest we wszystkich klimatach. Ma ta roślina włókna bawełniste, a oprócz tego kilka jęj gatunków posiada środki lekarskie np. *Ślaz* (*Althea*) którego klejowatość bywa najlepszym środkiem przeciw kaszłom. Już choćby tylko dla tych gatunków pożytecznych, zasługuje rodzina malw na uwagę naszą. Powszechnie używają ich do ozdoby wielkich ogrodów, z powodu różnaitości w gatunkach i piękności kwiatu. Niektóre z malw przyłączonych tu na tablicy, mniej lub więcej są znanemi każdemu. Wprawdzie tylko jako ozdoby używają tych gatunków, gdyż ani lekarskiego, ani innego użytku dotychczas z nich nie mamy.

Nr 1. (*Hibiscus africanus*) główną ojczyzną tęg malwy przyładek Dobręj Nadziei.

Nr 2. (*Malope trifida*) z południowęj Hiszpanii i Afryki północnęj. Pierwiastkowy gatunek ma kwiat purpurowy z ciemnymi żyłkami. Tu wystawiona, stanowi odmianę tylko tego samego gatunku z białym kwiatem.

Nr 3. (*Palavia rhomboidea*) w Peru a mianowicie w bliskości Lima rośnie.

Nr 4. (*Malope grandiflora*) jest tylko odmianą

Malwa *trifida* która ma większy i czerwieński kwiat od pierwiastkowego gatunku.

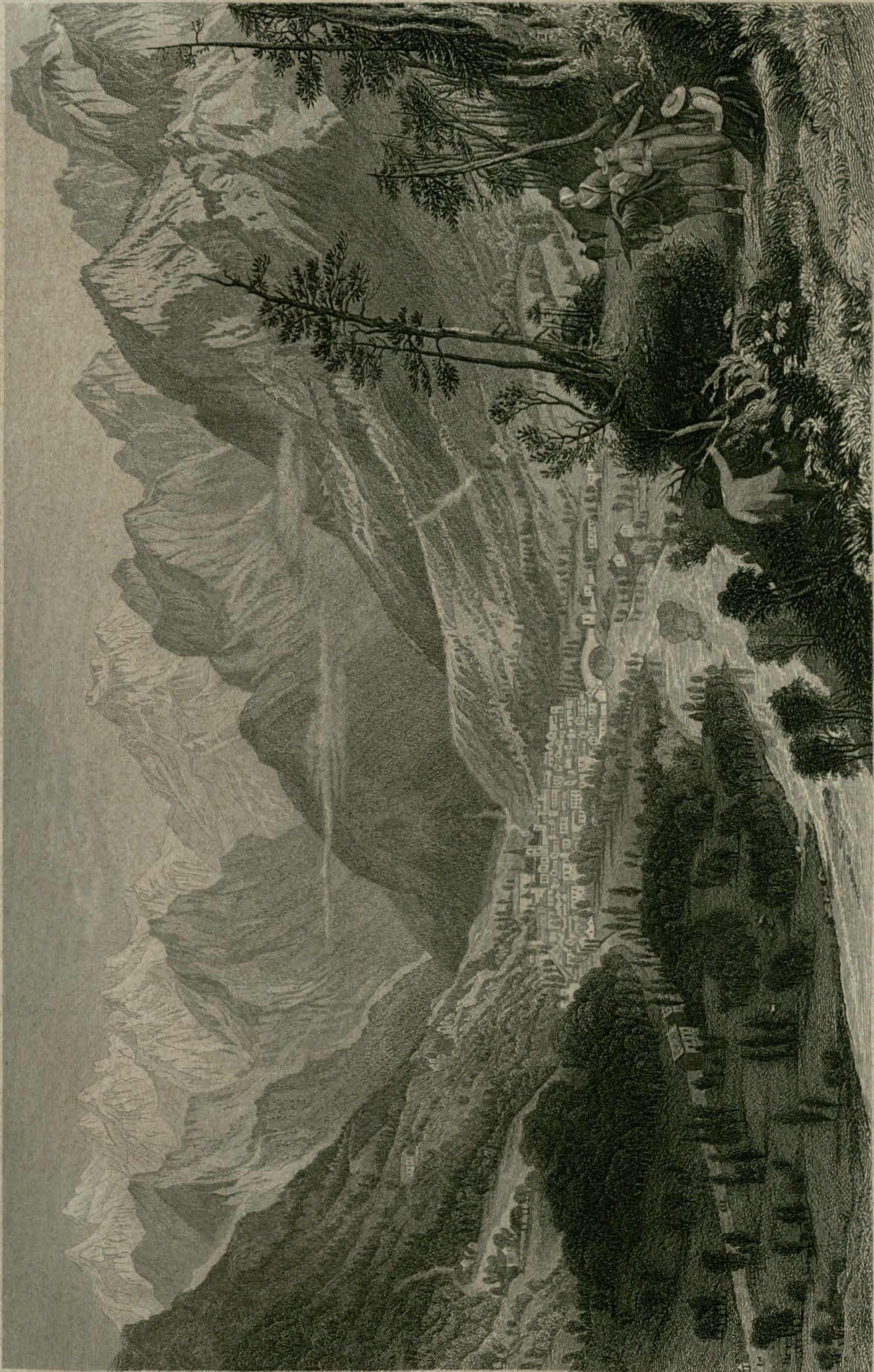
Nr 5. (*Lavatera trimestris*) z południowęj Europy i w naszych ogrodach rozpowszechniona; w różowym i białym bywa kolorze.

Nr 6. (*Malva moschata*) w Niemczech, Francyi i Anglii dziko rośnie: jęj różowe lub białe kwiaty mają zapach piżmowy, będący przyczyną gatunkowęj nazwy.

Moda swym despotyzmem i nad ogrodami władająca — niektóre rośliny rozpowszechnione usunęła aby na ich miejsce wprowadzić nowości. Tak też i Malwy piękne musiały się usunąć — lecz pomiędzy niemi są gatunki nie łatwo dające się wykorzenić i po przeleżeniu kilkoletniem, ziarko z nasienia wypadłe, znów wschodzi.

Uprawa tego kwiatu łatwa, gdyż z nasienia się mnożą w inspektach: niektóre potrzebują tylko rosnąć w gruncie, gdzie pozostają bez przesadzania. Tylko gatunki pochodzące z gorących klimatów, potrzebują pielęgnowania w cieplarniach lub doniczkach i mogą dopiero być przesadzane wtedy, gdy już przymrozki ustana całkiem.





After a drawing by J. M. W. Turner, R.S.A.

Conterets.

BYTNOŚĆ KRÓLOWÉJ NAWARRY

W KOTERE (CAUTERETS).

Ciekawym prawdziwie exemplarzem dla badacza serca ludzkiego była piękna Małgorzata siostra Franciszka Igo króla francuzkiego. Położeniem swoim, pięknnością, rozumem, dowcipem pociągała wszystkich ku sobie. W owym wieku i wśród dworu tak rozwieżłemi obyczajami słynącego, dość było ślizkiem to wszystko dla wytrwania w cnocie. Przecież ówczesni i późniejsi dziejopisarze nigdy o żadnym jój nie wspominają upadku; owszem imię jój jako kobiety nieskazitelnej cnoty, przez nich wszędzie zapisane.

Byłoby to bardzo naturalną rzeczą gdybyśmy w sposobie życia i w upodobaniu Małgorzaty widzieli przyczynę tych różniących ją od innych obyczajów, gdyby na straży cnoty jój, stanęło jakieś wrodzone uczucie skromności, które się spotyka czasem wśród osób w najgorszych wychowanych towarzystwach, lub gdyby głębokie pojęcia religijne, wysoka pobożność, kierowała jój postępkami, tłumiała namiętności. Lecz przeciwnie, piękna Małgorzata lubiła zapuszczać się we wszystkie wątpliwości; jój niepodległy umysł lubił badać, błdzić, jak dowodzi dzieło jój pod tytułem: „Zwierciadło grzesznej duszy.” I tak twierdzą: że czas jakiś była zupełnie porzuciła praktyki religii katolickiej — poczem przyjąć chciała nową Lutra naukę — i dopiero w późniejszym wieku wróciła do religii, w której wychowaną była. Co do delikatnego niewieściego uczucia wstydu, tego zdaje się nie miała zupełnie. Nie można bowiem wydziwić się, jak pióro kobiety młodej i pięknej, mogło być zdolnym do kreślenia obrazów tak nieprzystojnych, jakie się w jój pismach znajdują. Jakimże więc sposobem kobieta, której wyobraźnia z taką łatwością brudne malowała obrazy, która kochając brata, słynącego z rozwiązłego życia, chętnie przebywała na dworze jego pełnym zepsucia, która żadnym skropulem religijnym związaną nie była; mogła ocierać się o brud, żyć wśród niego, malować go bez wstretu, a sama nie zostać nim skażoną? owszem, zasłużyć sobie na miano dziesiątej muzy, *wszystkie* atrybucye swoich dziewięciu siostr posiadającej? Zdaje się że

silna, prawdziwa miłość, zachowała piękną Małgorzatę od upadku. W pierwszym poranku życia, bo zaledwie siedmnastą liczyła wiosnę, poślubiła z miłości młodego Karola d'Alençon, Konetabla Francyi, księcia krwi — Mimo złych przykładów, mimo zepsucia koło jakiego ocierała się Małgorzata na dworze brata, miłość małżeńska wystarczała jój kiedy po piętnastoletnim szczęśliwym pożyciu, Karol poległ w sławnej bitwie pod Pawją, przez Franciszka Igo przegraną — kochająca go małżonka nie pocieszona po jego stracie, ciężkiemu oddała się żalowi. Czując jednak potrzebę ulżenia sobie, a bardziej idąc za radą kochających ją dworzan, błagających aby w ciężkiej niedoli rozrywki szukać raczyła, Małgorzata postanowiła odmienić na czas jakiś miejsce pobytu, i za pomocą podróży nastreczającej rozmaite wrażenia, ukoić ciężki smutek, do którego, wesoła, dowcipna, żywa z natury, nie zdawała się zdolną.

Jój kochające serce, poetyczna wyobraźnia, przedstawiała jój za cel podróży odwiedziny ukochanego brata, którego wówczas Karol V wzięwszy w niewolę w bitwie pod Pawją, w więzieniu Madryckim trzymał. W owym czasie odbyć podróż z Paryża do Madrytu nie było rzeczą zbyt łatwą: często narażano się na rozmaite wypadki; które sprowadzały i trudne do przebycia drogi, i odnawiane rozjątrzenie jakie z powodu ciągłych między Francją a Hiszpanją targów panowało. Niebezpieczeństwa nie wstrzymały Małgorzaty w jój zamiarze. Opowiadania, jak zwykle w odległości, w olbrzymie rosnące rozmiary, o złém obchodzeniu się Karola z dostojnym więźniem, tak że w skutek tego ciężką chorobą dotkniętym został; tém bardziej pobudzały kochającą siostrę do podróży. Spieszyć aby pilnować w chorobie brata, aby wypowiedzieć prawdę, skarcić Karola za nieuszanowanie niedoli, było jedyną myślą Małgorzaty. Jako też dopięła swego celu.

Nie będziemy opisywali jój podróży, ani widzenia się z ukochanym bratem, któren, mimo lekkości charakteru, nie tylko że do śmierci pamiętał ten czyn

jój heroiczny, lecz i czułem przywiązaniem jój go zawdzięczał. Pominiemy także śmiało jój przemówienie do Karola i ministrów jego, tak że wszyscy zdziwieni i przejęci uwielbieniem dla pięknej księżny występującej odważnie w obronie praw więźnia, któremu uchylać śmieli—zmienili postępowanie swoje względem niego. Lecz zatrzymamy się nieco dłużej nad jój bytnością w pięknej dolinie blisko gór Pyrenejskich, ta bowiem stanowi całą epokę tak dla niektórych mieszkańców cichego tego ustronia, jak i dla miejsca posiadającego źródła mineralne. — Lubo, jak twierdzą miejscowe podania, jeszcze za Juljusza Cesarza znane, wszakże tak potem zaniedbane — że dopiero po bytności w nich siostry króla francuzkiego, podźwignięte z zapomnienia zaczęły nabywać rozgłosu.

Stosownie do zwyczajów, do potrzeb wieku i do usposobienia łagodnego, gościnnego księżny, wielki orszak zebrał się koło niej aby mieć szczęście towarzyszyć jój w podróży tak zajmującej, i w tak pięknym celu przedsięwziętej. Damy dworu ciekawe poznać obyczaje, świetność dworu cesarskiego rezydującego we wspaniałym Eskurjalu, ciekawe pięknych grandów hiszpańskich, błagały księżny aby im dozwoliła dzielić niebezpieczeństwa tak przykrój podróży. Panowie, czy to rycerze, czy poeci, marząc o czarnych oczach nieporównanych Andaluzek postanowili nieodstępować księżny, ażeby być jój strażą, pomocą, w chwilach odpoczynku; poezją i muzyką rozrywać ją wśród tak wielkiej podróży. Małgorzata z prawdziwą wdzięcznością to ich poświęcenie przyjmując, nie odmawiała nikomu. Zebrał się więc dwór liczny, do migracyi raczej niż do podróży podobny. Ileż to dla tak dostojnych dworzan, trzeba było wozów ze służbą i różnemi potrzebnymi rzeczami! Gdy już księżna wyjeżdżać miała, a liczba towarzyszy i towarzyszek już zdawała się zamkniętą; ulubiony jój pokojowy Jan de la Haye, któren pierwój nie opuszczając dworu, zebrał jój pisma i wydał, ¹⁾ stanął przed nią właśnie kiedy Małgorzata, zajęta jedyną myślą pocieszenia ukochanego brata, układała w gabinecie swoim, siedząc przed ogromnym stołem z hebanu, poezję którą bratu zawieść chciała, pod tytułem: „Żale nad więźniem” (Complaintes pour un prisonier).

„Mościa księżno! — rzekł Jan zbliżając się nieśmiało—taka tylko dobroć jak waszjej książęcjej mości, ośmielić mnie mogła do przedstawienia prośby mojej.”

„Mów dobry Janie — odparła księżna — wiesz jak pamiętam twoję troskliwość i wierność dla kochanego księcia i pana naszego. Możesz być pewnym że co mogę uczynię dla ciebie—może wolisz pozostać przy młodj żonie niż jechać ze mną?—otwarcie powiedz, za złe tego nie poczytam.”

„Ah! Pani! czémże zasłużyłem na takie posądzenie? Przeciwnie, nie tylko że nic mnie od towarzyszenia waszjej książęcjej mości nie oderwie, lecz przychodzę błagać jój aby młody mój synowiec Ludwik de la Haye, ubogi, ale pełen zdolności chłopiec, mógł wejść do służby dworskiej i towarzyszyć waszjej książęcjej mości.”

„To trochę trudno—odrzekła księżna łagodnie—wiesz jak wiele panów za późno przybyłych w szlachetnym zamiarze towarzyszenia, zaniechać tego musieli; uznając iż zbyt licznym stałby się orszak mój. Raz więc zamknąwszy liczbę podróżujących nie mogę jój zwiększać bez narażenia się innym.”

„Czyż miłościwa pani potrzebowała mówić mi to? dobroć jój anielska zmuszająca do tłumaczenia się przed niegodnym sługą, pomieszała mi pamięć!.. a ja co innego mówić chciałem.” Tu dworak przybrał postawę uniżoną, obtarł jakby zwilżone oczy; co postrzegłszy Małgorzata, rzekła z miłym uśmiechem: „No i cóż mówić chciałeś mój dobry Janie?”

Dworak niespodziewając się odmownej odpowiedzi, a postanowiwszy wziąć synowca z sobą, chwilę przystanął w rozczulonej i pochylonej postawie, aby mieć czas jakiś niezawodny środek wynaleść, po czém utarłszy nos i odetchnąwszy, rzekł, podniosłszy śmiało głowę: „Nie śmiałbym prosić waszjej książęcjej mości o miejsce przyboczne, o pomieszczenie na dworze jej mego młodego synowca, lecz chcąc aby wcześniej wprawił się w zaszczytną dworską służbę, chciałem prosić aby mi wolno było wziąć go jako mego pomocnika—Jakkolwiek dla szlachcica, dla syna pierwszej szatnej ś. p. królowej, miejsce podrzędne pomocnika dworskiego nie stanowi kariery — ja wcale nie dbam o to: z wiekiem on potrafi otworzyć sobie drogę i zatrzeć ten początek, któren dla mnie i dla niego będzie chlubnym — Pewny bowiem jestem że będzie miał szczęście nie raz w chwilach znużenia rozerwać waszą książęcą mość—ma bowiem głos tak piękny że przy towarzyszeniu gitary gdy śpiewać pocznie, nikt go obojętnie słuchać nie może — Celem moim, pragnieniem jedynem, aby w tej długiej podróży miał szczęście choć na jedną chwilę waszą książęcą mość rozerwać.”

„Pocziwy zawsze jesteś—rzekła śmiejąc się księż-

¹⁾ Les Marguerites de la Marguerite des princesses.

zna — dziwię się że się od razu nie domyśliła że pewnie mnie chcesz prosić abym ci dozwoliła coś na moją korzyść wykonać. Dobrze bardzo, bez pytania mogłeś to zrobić, wszak będąc najstarszym dworskim, wolno ci wziąć do pomocy kogo ci się podoba; tylko zastrzegam sobie żebyś swego kuzyna nie obarczał czynnościami niestosownymi urodzeniu jego, bo ty gotów jesteś o wszystkim dla mnie zapomnieć. Ja go więc wezmę pod moją protekcję — a ponieważ mówisz tyle o jego głosie, chcę żebyś mi go dziś jeszcze przedstawił, chcę go słyszeć śpiewającego choćby natychmiast.”

„Och! ileż łaski!” podchwycił Jan, wybiegł i w pół godziny stawił oczom księżnej dwudziestoletniego, z błękitnymi dużymi oczyma, skreconym jak u cherubina, jasnym włosom, młodzieńca. Księżna oczywiście uderzoną była jego pięknoscia, a razem skromnym, lekliwym a szlachetnym układem: trzymał gitarę przez plecy na błękitnej wstążce zawieszoną, a kolor wstęgi z kolorem oczu zdał się walczyć o pierwszeństwo blasku. Po kilku krótkich zapytaniach, Małgorzata kazała mu usiąść i oświadczyła chęć usłyszenia głosu jego. Ludwik upiękniony rumieńcem pomieszczenia, zaśpiewał zwrotkę ułożoną właśnie z początku poematu którego pisała, gdzie żal i chęć widzenia więźnia w tęschniej uwydatnił nucie. Księżna do łez rozczulona serdecznie dziękowała Janowi że jej tak miłą do podróży rozrywkę wynalazł — po czém rzekła stanowczo: „Nie pozwalam abyś go ubrał w liberję jaką noszą posługacze dworscy pod twoją zostający zwierzchnoscia. Nosić będzie ubiór podróżującego minstrela, kapelusz ze strusimi piórami, błękitny atlasowy kaftan, na którym na białej szarfie w potrzebie zawiesi gitarę; oto ubiór jaki mu nader do twarzy będzie. Nie pozwalam także używać go do posług zwyczajnych innym; tymczasem w podróży nie będzie miał oznaczonej posady na dworze moim, lecz gdy wrócimy pomyślę aby stosowne do jego talentu, w którym się doskonalić będzie, zajął miejsce.”

Uradowani obydwaj wyszli z pokoju Małgorzaty, która rozmarzona muzyką z lepszym usposobieniem wzięła się do kreślenia rozpoczętego dzieła.

Sławna była łatwość i zręczność tej księżny z jaką rozdawała i układała godła czyli dewizy wszystkim, co w owych czasach koniecznie prawie mieć trzeba było. Jej ulubiony pokojowiec Jan de la Haye otrzymał od niej dewizę wyrażającą trzecinę pochyłoną do połowy z napisem: „Zegnę się lecz nie złamię.” Nader stosownym był dla tego dworaka przydomek, jakkolwiek księżna w innym go brała znaczeniu.

Jan zręczny, giętki dworak, nie dał się żadnymi złamać przeciwnosciami, pochylił się, zgiął, ażeby podnieść się znowu. Małgorzata sądziła że on sam się za nic licząc, gotów był na wszystkie ofiary dla dworu któremu wiernie służył. On zaś tylko myślał o sobie i swoich. Postanowił korzystać z piękności synowca. Na dworze królowej była właśnie młoda dziewczyna, córka koniuszego poległego pod Pawją: zamarzył o związku z nią Ludwika, a że mu już nie raz coś niepodobnego napozór udało się, postanowił przyprowadzić ten mariaż do skutku, i żeby kto z towarzyszących księżnie dworzan nie ubiegł go, postanowił wziąć z sobą synowca. Nigdyby on mu nie dozwolił być prostym pokojowcem i nosić liberję, lecz tak zręcznie rzecz poprowadził iż księżna sama zakazała. Jak w tym wypadku tak i w innych umiał on zawsze takie wywoływać rozkazy jakich potrzebował, tak, że w końcu na *rozkaz* pani swojej *musiał* się wyrzec być jej pokojowcem a przyjąć później jakkolwiek oddalający go od jej osoby, ale większy i szczytniejszy urząd, na dworze króla Nawarry drugiego męża Małgorzaty. Młody Ludwik istotnie piękny głos i zdolność muzykalną posiadający, był dobrym i skłonnym do szlachetności chłopcem; nie marzył on o wyniesieniu się, tylko o miłości, na jaką wychowaniec matki na dworze Ludwika XII będącej, mógł się zdobyć.

Tymczasem nie powiodły się zamiary dworaka. Małgorzata, lubo wielkimi zaszczycała łaskami młodego Ludwika, nie mogła go przecież tak prędko podnieść, żeby stosownym było prosić dla niego o rękę sieroty po zmarłym koniuszym, bogatej wielu włości dziedziczki, na opiece księżnej będącej; témbardziej to trudnym było, że jeden z panów towarzyszących księżnie, z tytułem markiza, widocznie zalecał się bogatej dziedziczce. Nie stracił wszakże Jan nadziei popchnięcia czy to przez świetne małżeństwo, czy przez jakie inne okoliczności, na wysoki szczebel łask synowca — w czém się nie pomylił.

Nie podaje nam historia, czy damy w nadziei odznaczenia się na dworze Karola, towarzyszące księżnie, z poważnych grandów hiszpańskich zadowolone były; lub czy panowie zdołali obudzić zajęcie pięknych hiszpanek. Wiemy tylko iż Małgorzata pocieszona z widzenia ukochanego brata, którego wkrótce w Paryżu witać miała, opuściła Madryt pełna tego zadowolenia jakiego człowiek doznaje po wypełnieniu szlachetnego czynu, dyktowanego sercem a wykonanego ze stałością. Przebywszy Pireneje, kochająca piękną naturę, księżna postanowiła zwiedzić

słynące z piękności swojej doliny, pomiędzy niższym łańcuchem gór leżące. Nadworny lekarz, ciekawy poznać wody o których mało wiedział, poradził, iż nie zaszkodziłoby, aby po tak wielkiem utrudzeniu, księżna spróbowała kąpeli mineralnych znajdujących się właśnie w jednej z najpiękniejszych dolin.

Jakież to było nadzwyczajne zjawisko dla małego dziś jeszcze miasteczka, a wówczas wsi zaledwie kilkanaście lepszych budynków, do bogatszych górali należących, posiadającą; kiedy zjechała do niej wielka księżna, siostra króla Francyi! otoczona licznym dworem, prowadząca za sobą kuchnie, sprzęty, o jakich mieszkańcy wyobrażenia nie mieli. Małgorzata zachwycona była pięknnością miejsca, jakby przeczuwając, że wszystkich tych włości, zostawszy królową Nawarry, monarchinią i panią wkrótce będzie. Postanowiła zwiedzić niektóre stron tamtych okolice, a razem próbować kąpeli tak zalecanych przez lekarza.

Wyporzadzono więc kilka góralskich domów na dwór księżny, zaś dla niej samej z przyboczną służbą, odstąpiła dużego lubo drewnianego dworca, w bliskości kościoła stojącego, Elżbieta Barnabas wdowa, właścicielka gruntów i części lasu w rozpadlinach rosnącego. Mąż jej stary Barnabas, niegdyś za czasów podbojów Ferdynanda ze sławnym Gonzalem z Korduby, wojując, miał szczęście w jednej bitwie tak się odznaczyć, iż Gonzal przedstawił go monarsze i ten nadał mu wolność i własność — co Ferdynand chętnie czynił chcąc szlachtę upokorzyć. W tychże samych okolicach było kilku właścicieli.

Państwo Nawarry tak często raz do korony hiszpańskiej, to znów do francuzkiej przyłączane bywało, iż niektórzy mieszkańcy, jak to bywa czasem na prowincyi, stracili prawie wiedzę do którego z tych dwóch państw należećby powinni — Dla tego bardzo chętnie i gościnnie, nie wchodząc w ciągłe zatargi między panującymi, przyjęli księżnę, a szczególnie wdowa i wielu jej sąsiadów; a mając domek pod lasem wśród gór opodal stojący, tam się z rodziną przeniosła. Wdowa Barnabas oprócz nieletnich dzieci, miała szesnastoletnią córkę nadzwyczajnej urody. Był to rzadki typ południowego nieba piękności — oczy duże czarne z długimi rzęsami, oprócz blasku, miały wyraz tak rzadko spotykanej w podobnych twarzach słodczy, łagodności, iż istotnie wejrzenie jej, nadzwyczajne czyniło na patrzących wrażenie. Nie wszyscy z dworu księżny widzieli piękną Izabellę, która jakby unikając spojrzeń ciekawych, tyle tylko pokazywała się ile konieczność wymagała; Ludwik tylko

spotkawszy ją przypadkiem, ocenił jej piękność tak dalece, iż pierwszy raz w życiu powiedział sobie: „moją być musi koniecznie.” Miłość obfitująca w sposoby ułatwiające a raczej łamiące wszelkie trudności i niepodobieństwa, dostarczała Ludwikowi pozorów pod którymi biegał do domku wdowy o kilka staj oddalonego. Młode serce jego raz pierwszy tak gwałtownie biło, raz pierwszy poczuł uczucie owładające go zupełnie, tak dalece, że ani obawa dostojnej opiekunki która go co raz nowemi zaszczycała łaskami, ani przestrogi stryja, którego od pierwszego dnia rozumiał dla czego synowiec znika, nic zgoła, żadne względy nie mogły odciągnąć młodzieńca i zatrzymać go w Kotere. Gdy zabrakło zapytań, objaśnień, prośb o to lub owo które zrazu pokrywały jego odwiedziny, Ludwik osądził że powinien być już zrozumianym, że nadludzka piękność domyśliła się, przeczuła, i że niewątpliwie odpłaci mu wzajemnością, kiedy się nie gniewa, uśmiecha, i kiedy jej głębokie, pełne łagodności spojrzenie nie nabiera surowego wyrazu gdy go zawsze na drodze swjej spotyka. Tydzień tak minął; czyż nie dosyć na obudzenie miłości? postanowił więc Ludwik wypowiedzieć, otworzyć serce swoje a nastroiwszy gitarę pośpieszył, aby w pełnej ognistych wyrazów zwrotce, całą swoją wyśpiewać miłość.

„Stój szaleńcze! — zawołał Jan spotkawszy synowca na drodze, na którego się zaczął — pomijam że się nie boisz utracić łask księżny, która wczoraj koniecznie chciała abyś jej w przechodzie w góry towarzyszył; pomijam że psujesz sobie przyszłość całą, ale pamiętaj że miłostka z góralką może cię życia pozbawić: ani wiesz jaką oni mają dziwną dumę; nie bez tego żeby dziewczyna nie miała jakiego krewnego, lub brata; zobaczysz że jeżeli nie śmierć, to kalectwo cię spotka! zastanów się chłopcze, słuchaj, bo pożałujesz.”

Istotnie, zastanowił się Ludwik, bo przystanął chwilę i wysłuchał całej perory z ogniem wypowiedzianej; stanęła mu przed oczyma postać słusznego pięknego górala, którego Izabella nazwała Rodrygiem a którego ponuro patrzył na niego, gdy niby od księżnej przyniósł obrazek Jakóba z Kompostelli kolorami malowanego, których obficie na drogę nakupił, — i ofiarował go wdowie.

„O! dobrze mówisz mój stryju — odrzekł Ludwik — „nie pójdę tam, bądź spokojny” — i zawrócił się ze stryjem: lecz skoro ten udał się do komnat księżnej, młodzieniec roześmiał się z płonnych strachów — „I cóżby mi jakiś tam Rodryk daleki krewny ich, jak

mówiła Izabella, mógł zrobić? rzekł do siebie: „jeżeli mnie ona pokocha, tajemnicę zachować potrafi.” Uspokojony tym monologiem pośpieszył do Izabelli, a dowiedziawszy się od młodszego rodzeństwa jój które przysmakami ze stołu księżnej ujął sobie, że Izabella poszła w góry szukać ulubionej Manzy, kozy jak mleko białej, pośpieszył tąż drogą.

Wieczorem księżna chciała się śpiewami zabawić, nadworny jój muzyk ułożył śpiew podwójny, wówczas nie tak pospolity. Jedna z dam dworskich z Ludwikiem śpiewać go miała, lecz trzeba było poprzednio spróbować. Ale napróżno szukano Ludwika... Nieszczęśliwy Watel, gdy zabrakło ryby na stół królewski, nie był w większej rozpaczy, jak Jan gdy synowiec nie przebywał, gdy nawet znaleźć go nie mogli, gdy posłańce z domku wdowej wrócili z doniesieniem, że go tam nie było.

Kiedy Jan wzywając najprzód opieki różnych świętych, a potem przeklinając siebie i synowca, rwał sobie włosy na głowie, chodząc w kółko po małej izdebce którą zajmował, otwarły się drzwi i stanął przed nim Ludwik, ale raczej do widma niż do siebie podobny. Odzież rozdarta, piękny niebieski kaftan zboczony na jednym boku widocznie od ramienia, które rozdrapane, obnażone, świadczyło iż jeżeli nie nóż to jakaś ostra gałąź spoczęła na niem; oczy obłąkane rzuciwszy do koła, na zapytanie stryja: Co to jest? co się stało? gdzie twoja gitara na którą czeka księżna? Ludwik załamał ręce i zawołał: O! ja nikczemny! nieszczęśliwy! straciłem ją! straciłem na wieki!

„Jakim sposobem? możeby można odzyskać—mów co się stało?”

„Nie przeżyję tego — wołał załamując ręce, życie sobie odbiorę! — Jak mogłem ją opuścić, na tak straszną śmierć narazić! o! jakże nikczemnym jestem czemużem razem z nią nie zginął! o! moja święta! moja ukochana! Już cię nie zobaczę!”

Słyszac te i tym podobne wyrazy z boleścią i łkaniem wymawiane, odgadł w końcu Jan, że to nie o gitarę chodziło. Co tu robić? pomyślał,.. widział że prócz gitary stracił dziewczynę, którą pewnie zabił rywal może na nim jeszcze mścić się będzie! — a tu księżna czeka na niego i na gitarę!.. Jan znał księżnę, jój wyobraźnię lubiącą zająć się wszystkim co miało cechę nadzwyczajności—pomyślał więc sobie: Na ten raz nie będzie miała zawodu, muzykę zawsze mieć może a taki wypadek nie zawsze—i pośpieszył do księżnej, zamknawszy Ludwika, żeby mu znów nie uciekł.

Przybrawszy uroczystą postawę, oświadczył Jan że synowiec z wielkim jego żalem nie może stawić się na pokojach, gdyż jak zdaje się, jest bliskim utracenia zmysłów. Zdziwiona księżna, naturalnie obsypała go pytaniami, a zręczne odpowiedzi dworaka tak ją zaciekawiły, iż kazała przyprowadzić młodzieńca w stroju, w jakim się znajdował, i żeby go nie wstydzic, wyszła do osobnej komnaty.

Zgadł dworak że boleść pięknego młodzieńca spowodowana miłością—więcej zajmie Małgorzatę niż muzyka i tym podobne spowszedniałe wrażenia. Wyznał Ludwik łkając i obwiniając się o nikczemność, iż tak uląkł się ogromnego niedźwiedzia, któren nagle wyszedłszy z zarośli zbliżał się do niego w chwili gdy śpiewał u nóg Izabelli, iż widząc niepodobienstwo obronienia jój, wdrapał się nadludzką party siłą, na stromiej góry wierzchołek, tam, noga mu się potknęła i spadł na drugą stronę: szczęściem dla niego góra była obrosła krzakami, czepiał się jak mógł i tylko jedno ramię rozranił o gałąź kolczastej akacyi.

Księżna z najwyższym zajęciem wysłuchawszy młodzieńca, rzekła do niego ze współczuciem: Uspokój się biedny zbiegu, prawda żeś się nie znalazł jak bohater; może być jednak iż cię niebo tylko niepokojem ukarze, może twoja piękna, wprawniejsza od ciebie do podobnych spotkań, równie szybko a pewnie zręcznie od ciebie umiała ująć strasznego zwierza. Słyszałam że ich tu jest bardzo wiele i mieszkańcy umieją się chronić od nich. Uspokój się więc młody przyjacielu, dziś jeszcze wiedzieć będziemy o losie dziewczyny, który pewnie nie jest tak straszny jak sobie wystawiasz.

„Oh! mościa księżno—zawołał łamiąc ręce z rozpaczą — pewnym jestem że nie żyje, gdyż kiedy zaczepiając się z krzaku na krzak zsuwałem się z tej nieszczęsnej góry, doszedł mnie krzyk jój tak bolesny, tak rozpaczliwy, że go ciągle słyszę. Ach! był to pewnie ostatni jęk jaki wydała, kiedy ją zwierz porwał, a ja opuściłem ją! zostawiłem na pastwę!”

Istotnie tak było—młody Ludwik mimo pierwszej miłości jaką gorzał dla pięknej góralki, opuścił ją w niebezpieczeństwie, a najpierw o sobie pomyślał.

Gdy nie znalazł Izabelli, poszedł w stronę, w którą podług zdania młodszego rodzeństwa, ona się udała. Ludwik nauczył się był góralskiej piosnki i parę razy udało mu się na odgłos rozlegającej się po górach, ulubionej Izabelli melodyi, sprowadzić ją i być pomocą czy to w zbieraniu kwiatów, któremi stroiła krzyż na górze, czy to w obrywaniu owoców które lubiła na wieczerzę przynosić, część najpiękniejszą ofiarując

dla pięknej księżny, którą raz w kościele widziała. — Tym razem równie *przypadkiem* znalazła się młoda dziewczyna na jego drodze. Ludwik mimo nieśmiałości, nieufności do jakiej zwykle pierwsza miłość jest skłonna, spodziewał się jęj i nie zdziwił gdy zobaczył, postanowił wyznać wnet miłość swoję. Prosił aby się zatrzymała pod drzewem, a sam u nóg pomieszanej siadłszy na kamieniu, zaczął śpiewać, wlepiając w nią pełne miłości oczy, gdyż mowićby nie śmiał jeszcze. Zaledwie pierwszą odśpiewał zwrotkę, gdy nagle widzi wychodzącego z bliskich krzaków ogromnego niedźwiedzia. — Potem wiadomo co się stało; tylko na szczęście Izabelli, pomylił się Ludwik co do jęj losu; zajęty swoim uczuciem nie uważał że Manzi ulubiona koza szła za panią swoję. Niedźwiedź nie był nadzwyczajnym dla Izabelli zjawiskiem; okolica Kotere sławną wówczas była z wielkiej liczby ogromnych czarnych niedźwiedzi, które lubo nie zaczepiały ludzi, jednak za najmniejszym rozdrażnieniem gotowe były rzucić się na człowieka.

Zbliżający się niedźwiedź miał właśnie w lewej łopacie utkwioną strzałę, jakaś widać słaba i niewprawa dłoń wypuściła ją tak niezręcznie iż zamiast szkodzić zwierzęciu, rozdrażniła go tylko: przelekła się Izabella zobaczywszy strzałę i na tylnych nogach idącego ku nim niedźwiedzia; chód jego wolny zostawiłby czas do ucieczki, gdyby miejsce stósowne do nięj było; lecz stroma góra przedstawiała trudności. Spojrzała góralka w koło siebie i ze zdziwieniem ujrzała jak lotem błyskawicy piękny śpiewak już był na jęj wierzchołku, chciała podążyć za jego przykładem, lecz razem chciała pociągnąć za sobą towarzyszkę. Zwykle takie domowe łagodne zwierzęta tracą przytomność w niebezpieczeństwie; przyzwyczajone do opieki człowieka, zdają się tracić swój własny zachowawczy instynkt, jakby na pana spuszczać. Dziekie gazelle umia uniknąć szkodliwych zwierząt, zaś łaskawe kozy i owce często się ich pastwą stają. Manzi tuliła się około pani z widocznym przerażeniem, a gdy ta pociągała ją za sobą w górę, ona widząc zbliżającego się niedźwiedzia nagle zwróciła się ku niemu, aby jak zdaje się w las poskoczyć. Pochwyił ogromną łapą mięki kark kozy straszny nieprzyjaciel; a gdy Izabella zobaczyła krew płynącą, utopione pazury w szyi, którą nie raz stroiła w kwiaty i pieściła; wydała krzyk bolesnej rozpaczey któren Ludwik usłyszał. — Krzyk ten odezwał się jeszcze w jednej kochającej Izabellę duszy; i w chwili kiedy przejęta żalem, zapominając o własnym bezpieczeństwie, zakryła sobie oczy odwróciwszy się, aby nie

widzieć męczeńskiej śmierci, jak dziecko płacząc i wołając: „moja biedna Manzi! wypadło dwóch młodych górali ze strony przeciwnęj, tak że ich niedźwiedź nie postrzegł: jeden z nich wyższy, pięknej postawy, ognistego spojrzenia, najpierw rzucił okiem na Izabellę, a potem przystąpiwszy do niedźwiedzia, któren nie czując ulgi w bólu jaki mu strzała tkwiąca sprawiała, rozpastwiwszy się na jednę ofierze, rzucił ją i do Izabelli dążył mrując; wtedy silna ręka ugodziła toporem w ogromną głowę niedźwiedzia, tak, że się powalił o ziemię głuchy jęk wydając. Izabella dopiero usłyszawszy koło siebie jęk i łoskot upadającego ciała, obejrzała się, a zmiarkowawszy niebezpieczeństwo jakim zagrożoną była, wydała krzyk przelekniona, a zaraz jakby przechodząc z przerażenia do spokoju i wdzięczności „Rodryg! — zawołała — tyś mnie ocalił mój dobry bracie, czemużes wcześniej nie przybył, byłbyś i biedną Manzi uratował!”

„Byliśmy przyczyną niebezpieczeństwa twego, powinniśmy więc byli ratować cię. Jakób ugodził niepotrzebnie strzałę tego niedźwiedzia, rozdrażnił i napędził w tę stronę. Ale cóż się stało ze śpiewakiem? mówił dalej Rodryg. Zdawało mi się że słyszał w tej stronie piosnkę, której się od twego brata nauczył?”

Izabella zmieszana się na to zapytanie, a po chwili odpowiedziała: że młody śpiewak księżnej *dawno odszedł*; gdy te ostatnie wymówiła słowa krew jęj uderzyła do oczu a twarz jęj purpurą się okryła. Nie wiadomo czy wstyd któren uczuła, spowodziło kłamstwo popełnione, czy lękliwość Ludwika; czy za siebie, czy za niego wstydzila się Izabella nie wiadomo. Rodryg odgadł że w tym rumieńcu było coś innego; zwykła krasa, za byle przyczyną występująca na młodej twarzy, ma nie tak ciemną, nie tak mocną barwę. Spostrzegł tę różnicę Rodryg, zasmucił się i szedł milczący obok Izabelli, która naprózno starała się go rozerwać. Rodryg z tej samej co Izabella rodziny pochodzący a nie mający matki oddawna, był przez wdowę Barnabas uważany za bliskiego krewnego, za syna prawie. Niedaleko od lasu, pod górą, miał wraz z 2-ma młodszymi braćmi swoję dość obszerną chatę, miał pszczoły, kozy, ogród a w nim owoce, lubił wszakże nad wszystko polowanie, a nad polowanie przenosił od niejakiego czasu piękną Izabellę, którą uważał, ccił jak istotę wyższą. — Istotnie co do wykształcenia wyższą była, umiała bowiem czytać i pisać, co nie było w owym wieku tak powszechne. Zaś Rodryg umiał tylko pięknym głosem śpiewać piosnki w górach a w kościele pieśni kościelne; umiał polować

a nade wszystko umiał kochać z zupełnym zapomnieniem siebie. Postawa jego dumna, poważna, zapowiadała siłę, odwagę samą, a przecie Rodryg umiał być lęklwym, nieśmiałym. Nieszczęściem Izabella nie odgadła tych dwóch ostatnich tkliwej duszy przymiotów i zawsze go uważała za dzikiego trochę, i dla tego odwlekała czas połączenia się z nim — było to bowiem oddawna życzeniem dwojga rodzin. Stary Barnabas umierając, cieszył się że córka, skoro dorosnie, w Rodrygu opiekuna znajdzie — nawzajem matka Rodryga marzyła że dziecko jej na prawdę, matkę w przyjaciółce jej mieć będzie. Rodryg więc od dzieciętego roku życia swego przywykł uważać Izabellę jak swoją przyszłą — i w każdym zdarzeniu okazywał jej większe niż dla siostry uczucie; każdy jej kaprys był dlań rozkazem, najmniejsze niezadowolenie wprowadzało go w smutek, zachmurzało czoło jego. Izabella w tych chmurkach widziała gromy, błyskawice bała się ich, stroniła — co w większy smutek wprowadzało milczącego Rodryga — Unikając się wzajemnie, czasem po dni kilka nie mówili do siebie. Gdy dorastali, chwile takie co raz częściej nadchodziły, wtedy Rodryg nie przychodził wcale do wdowej, chodził po polowaniu z braćmi, lub pracował koło domu swego — a cierpiąc w milczeniu, w tęsknocie, czekał aż jaka okoliczność zbliży go znowu do jedyniej gwiazdy, która mu w życiu świeciła. Właśnie dzień w którym Izabelli życie ocalił, był szóstym z porządku, od chwili, kiedy spotkawszy Izabellę a z nią Ludwika, niosącego owoce z koszykiem, boleśnie dotknięty, usunął się podług zwyczaju i tylko zdaleka śledził przez troskliwość jej kroki. „Czuję się niegodnym jej — mówił do siebie — i raz to muszę skończyć, pójdę do matki Barnabas i powiem jej żeby więcej nie pytała córki o naznaczenie dnia szluby; już to dwa lata jak ona zwleka i nie chce nawet zaręczyć się ze mną: nie może mnie kochać, czuję to, ale czuję także że i tego z obcej ziemi dworaka kochać nie powinna. Powiem matce Barnabas, żeby mu bywać zakazała; bo po co ma przedrzyżniać swoim cienkim głosem nasze piosnki? O! mój Boże! czyżby te jasne włosów pierścienie, ten strój zalotny, miały się podobać pięknej Izabelli? to niepodobna! onaby nie mogła pokochać takiego człowieka!” Takimi i tym podobnymi biedzonymi myślami Rodryg zdążał wraz z bratem z polowania do matki Barnabas, gdy spotkali niedźwiedzia; co wyżej opisane zdarzenie spowodowało.

Goniec wysłany, przyniósł wiadomość, że niedźwiedź nie zraniwszy nikogo, zabitym został przez

młodego górala, dalekiego krewnego Izabelli, za którego matka chce ją wydać mimo jej woli, gdyż dziewczyna czuje wstręt do dzikiego, okrutnego górala. Księżna uradowana, uwiadomiła o tem swego ulubionego dworaka Jana i zdziwiła się mocno gdy ten przybrał żalowaną postawę i oświadczył jej smutek swój z powodu, iż jej dostojna osoba niewątpliwie na długo pozbawioną będzie słuchania ulubionych jej śpiewów; albowiem synowiec jego leży bardzo chory, krzycząc w malignie czasem jakby go niedźwiedź miał pozrzeć, to znów wymawiając wyrazy pełne miłości, jakby się u nóg ukochanej znajdował.

Naturalnie opowiadanie dworaka wielkie współczucie, wielkie zajęcie obudziło w pełnej uczucia i wyobraźni Małgorzacie; ta piękna idylla odgrywająca się nadspodzianie na scenie jej domowego życia, była zdarzeniem tak pełnym poetycznego uroku, iż postanowiła sama się zająć jej pomyślnym rozwiązaniem. I dla tego pod pozorem zwiedzenia gór, umyśliła sama widzieć swoją gospodynię, poznać jej córkę i udzielić opieki nieszczęśliwej, ściganiej przez okrutnego górala.

Małgorzata zobaczywszy Izabellę, osądziła że tak pięknej kobiety cała Francya nie posiada, że ona być może ozdobą dworu jej — brak układu światowego, niewiadomości, nie odstręczały jej wcale; wiedziała bowiem że dla młodej dziewczyny, miłość będzie doskonałym i szybkim nauczycielem. Postanowiła więc wziąć Izabellę na dwór swój, a potem uwieńczyć miłość pięknego Ludwika. Już na ten cel umyśliła naprzód zabawę weselną w nowym rodzaju, jaką razem zabawić miała ukochanego brata na powitanie go po ciężkiej niewoli — chodziło tylko o zezwolenie wdowy Barnabas. O dziewczyny chęciach nie wątpiła księżna; gdy bowiem będąc u nich wspomniła o chorobie swego śpiewaka, piękne oczy Izabelli z takim niepokojem spojrzały na nią, a lica jej tak straszna pokryła bladość, iż Małgorzata litością tknięta dodała: iż znacznie już jest lepiej i wkrótce zdrów będzie; a zamyśliwszy się i wpuściwszy w przeszłość wspomnienie, rzekła do siebie: cóż może być, piękniejszego nad miłość dwojga serc młodych? Księżna zajęta swoją żywą idyllą, jak mówiła, nie żałowała wszelkich sposobów i perswazyj aby nakłonić starą wdowę do powierzenia jej córki. Wszystko to działo się w wielkiej przed Janem i synowcem jego tajemnicy. — Ten ostatni prędko wyszedł z gorączki jakiej dostał nie tylko z żalu i trwogi ale i z fizycznego zmęczenia upadkiem z góry spowodowanego. — Lecz nie wychodził, cierpiał w cichości i pod pozorem choroby nie

pokazywał się w górach, rachując, sam nie wiedział na co, na jakiś wypadek którenby go mógł zbliżyć do Izabelli, przed którą wstydził się stanąć po ucieczce od niedźwiedzia. Łatwo sobie wyobrazić zdołamy radość, podziwienie Ludwika, gdy przywołany na dwór księżny, pierwszy raz po chorobie, zobaczył między pannami dworskimi Izabellę, jaśniejącą pięknoscia, strojem który jęj wcale wdzięków nie ujął, a nadto, wejrzeniem radości i figlarnego uśmiechu z jakim spojrzęła na zachwyconego Ludwika. Małgorzata uradowana *scenę*, która się jęj tak dobrze udała, popatrzywszy chwilę jakby na piękny obraz na tę młodą i tak rzadkiej piękności parę, rzekła poważnie: „Izabello de Barnabas! Ludwik de la Haye, dworzanin nasz, pod naszą opieką zostający, prosi o rękę twoją, czy zgadzasz się na to?”

Izabella, jakkolwiek wiedziała cel dla którego ją księżna na dwór swój wzięła, tak się zalekła, iż nie wiedząc co odpowiedzieć, cała zarumieniona podała rękę swoją nie Ludwikowi ale księżnie.

— Mnie więc oddajesz się moje dziecko? — rzekła z rozczuleniem księżna — dobrze, nie pożałujesz tego — przyrzekam ci w każdej ważnej chwili życia twego być ci prawdziwą opiekunką. Poczem wzięwszy jęj rękę i podając ją Ludwikowi: „Daję ci ją, ale nie dzisiaj, pierwęj zasłużyć musisz stałością, uległością — to są zaręczyny tylko — a za powrotem do kraju dopiero szlub się wasz odbędzie.

Ludwik nie wiedząc czy sen uoczy mami go, czy też istotnie rzeczywistość otwiera mu drogę do szczęścia, o jakim nie marzył, padł na kolana w zachwyceniu. Księżna znów chwilę patrzyła z radością na młodą parę.

Gdy się to działo w mieszkaniu księżny, nieszczęśliwy Rodryg chodził po lesie, z toporem, z koleczaniem strzał, upatrując niedźwiedzia, jakby chciał pomścić na zwierzętach krzywdy przez ludzi mu wyrządzonej. Czuł on dobrze, że Izabella kochać go nie mogła, że jęj się Ludwik podobał; ale jak zwykle w podobnym nieszczęściu, rachował na nadspodziewane wypadki, i lubo już nie miał nadziei posiadania jęj, nie przypuszczał wszakże aby jego ukochana wyrzekła się rodzinnej zagrody dla miłości pięknego z dalekich stron młodzieńca. Postanowił nie spojrzeć więcej na nią, ani też na żadną inną kobietę. Do matki Barnabas którą jak swoją kochał, także czuł żal z oburzeniem pomieszany, za to że się dała pięknymi omamić słowami, że nie miała siły zabronić córce opuszczać rodzinną ziemię. Matka Izabelli rzeczywiście była słaba, nie umiała się oprzeć córce, której

piękna księżna tak się podobała, taką przyszłość pełną szczęścia i miłości umiała oczom jęj okazać; iż Izabella na kolanach błagała matki, aby jęj nie broniła być u księżnej, zaręczając iżby nie zdołała przeżyć rozłączenia się z Ludwikiem. Lecz gdy nadszedł dzień odjazdu, gdy przyszło do chwili pożegnania, w sercu młodej dziewczyny ozwało się uczucie rodzinne i ze łkaniem całować nogi matki, ścisnąć ródzeństwo, poczęła.

— Dziecko moje — rzekła matka korzystając z jęj rozczulenia — raz jeszcze zastanów się co robisz? — wszak czas jeszcze wrócić się.

— Nie czas już matko! bo na palcu pierścien zaręczyn a w sercu obraz Ludwika bez którego żyćbym już nie mogła i onby bezemnie żyć nie mógł — on mnie ma jedną, a wy się tu innemi dziećmi pocieszycie po mnie.

— Nie wiesz, że matka zawsze najwięcej kocha dziecko, które traci i które nieszczęśliwe!

— Ależ matko ja nie ginę, ja idę do szczęścia, do miłości.

— Obyś się nie pomyliła!.. tam wprawdzie szczęście znają, ale inne; i tam kochają, ale inaczej! Co ciebie rumienić, to ich śmieszyć, a co ciebie boleć, to ich bawić będzie.

— Oh! nie mów tak matko! księżna dobra jak anioł, a Ludwik kocha mnie nadewszystko.

— Kocha cię! ale po swojemu — nie wiesz dziecię! że gdzie powietrze inne, kwiaty, drzewa inne, ludzie inni, tam i miłość inna — wszak gdy zobaczył niedźwiedzia, najpierw o sobie pomyślał.

— Bo nie miał mnie czem bronić — wszak ledwie nie umarł z tego.

— Nie ma już lekarstwa dla ciebie biedne dziecko moje! jedź! niech cię Bóg ratuje i błogosławi!” Gdy domawiała słów tych wdowa, jak widmo jakie ukazał się Rodryg, któren lubo przyrzekł sobie nie widzieć więcej Izabelli, nie mógł dotrzymać słowa; wyciągając rękę do nięj, zawołał ze wzruszeniem: Bywa jzdrowa biedna ofiaro!

— Bywaj zdrów! ale nie żałuj mnie bracie!

— Widzisz — rzekł Rodryg jakby obłąkanym rzucając wzrokiem koło siebie — widzisz tę piękną białą lilję na łące? weź ją, włóż w porcelanę i do sztucznej zanieś cieplarni — co się z nią stanie, powiedz mi?

— Uschnie — mimowolnie odrzekła Izabella.

— Tak! uschnie — odparł — ale pierwęj zwiednie, zczernieje — tyś tą lilją polną! — dodał ponuro.

Dreszcz zimny przejął Izabellę na te słowa — zachwiała się — a w tem nadbiegł Ludwik, chcąc także

błogosławieństwo matki uzyskać. Znikł jak cień Rodryg za zbliżeniem się jego. Matka łkając błogosławiła ich, a Ludwik odprawił płaczącą Izabellę i starał się pięknymi obrazami przyszłości i świata, którego nie znała rozpedzić jej smutek.

* * *

Lat kilka upłynęło. — Małgorzata w sile wieku i pełna jeszcze wdzięków pocieszyła się w końcu po śmierci ukochanego męża i przyjęła rękę pięknego i szczerze nią zajętego króla Nawarry Henryka Alberta. To powtórne, równie jak pierwsze, szczęśliwe małżeństwo, z którego urodziła się Joanna księżniczka Nawarry, a matka sławnego Henryka IV, odbyło się w Paryżu na dworze Franciszka I. Król ten, lubo zawsze wzajemnością odpłacał tkliwe siostry uczucia, szczególnie jednak ukochał po bytności w Madrycie i chciał odwdziaczyć jej poświęcenie, i dobry skutek jaki z jej rozmów z dumnym Karolem i ministrami jego nastąpił. Nie tylko więc że z królem Nawarry poczynił korzystne na rzecz jego układy, ale nadto chciał, aby zaślubiny ich z największą odbyte zostały wspaniałością.

Na wielkim balu odznaczała się pięknnością swoją żona szambelana królowej, Izabella de la Haye. Istotnie była ona w całym blasku rozwiniętej piękności; pomimo że od roku bladość powlekła jej lice, a oczy wyrazu smutku tęsznego nabrały. Niktby w niej nie poznał owęj hożej, pełnej naturalności góralki. — Była to dama oswojona z wszelkimi etykietyi prawidłami. Czy nagięcie swobodnej natury do form dworskich, czy też jakaś tajemna boleść podkopywać zaczęła tę piękną budowę? — niewiadomo. — Widocznie jednak mieniła się Izabella. — Inni znajdowali że ją to jeszcze więcej zajmującą czyniło, a chcąc odgadnąć prawdę, wszyscy panowie starali się zbliżyć do niej, zbadać skrytości jej serca i spróbować, czyby odpowiedzieć nie chciała uczuciem za uczucie? Złe języki rozmaite opowiadały na ten rachunek zdarzenia. — Miłość własna obrażona jednych, zazdrość drugich, dostarczały wątków do powieści. Jedna Małgorzata nie dawała ucha różnym krzywdzącym Izabellę plotkom, może znane a stałe łaski dla faworytki nie dopuściły ich do królowej.

Wspomnieliśmy, że Małgorzata lubiła rozdawać dewizy dla wszystkich prawie na dworze będących. Franciszek I przypatrując się po raz pierwszy z takim wielkiem zajęciem Izabelli, której dotąd zdawał się nie uważać, rzekł do siostry: „Istotnie nadzwyczajnej jest

piękności ta twoja góralka, nie pamiętam jaką jej dałaś dewizę?” „Dewizą jej — rzekła Małgorzata — jest strumień ze skał spadający z napisem: Bystry a mimo-to czysty.” „Czy nie wartoby dodać, rzekł król: przytem zimny bo ze skał płynie.” Roześmiała się królowa mówiąc: „lepiej dla niego że zimny bo nie wyschnie prędko.” W tém słowa ciche, zaledwie dosłyszane szepnęły królowi: „zimny, bo dotąd promień słońca nie raczył paść na niego.” Król się obrócił i zobaczył pokorną postać starego dworaka a stryja Ludwika. Słowa te zreźnie podsunięte, widocznie się podobały Franciszkowi. Zaczął coraz bardziej uważać Izabellę, przysunął się nawet do niej podczas tańców i rozmawiać zaczął. Radość starego dworaka była nie do opisania — dawno on już w swęj przewrotnęj i obrzydliwéj wyobraźni, widział siebie dygnitarzem, panem licznych włości, a synowca ministrem.

Wkrótce po uroczystościach, królowa opuszczać miała Paryż aby się udać z mężem swoim do Nawarry. Wiele dawnych dworskich, czy to dla własnych interesów wiążących ich z Francją, czy też dla posad które na dworze Franciszka otrzymali, pozostać musieli w Paryżu. Królowa to chętnie widziała, gdyż pełna taktu, chciała jaknajmniej z sobą dworzan przywieść, a raczej dwór swój z miejscowych osób utworzyć. Ludwik zostawszy szambelanem dworu króla francuskiego, mając nadto rodzinne stosunki z Paryżem, miał także z żoną pozostać. Małgorzata żałowała swojej faworyty, ale pocieszyła się bardzo prędko.

Już wszystko do wyjazdu gotowém było, gdy do gabinetu królowej weszła Izabella, która dotąd nie przedstawiła się razem z innemi przy pożegnalnej audjencyi. Przystąpiwszy do królowej, blada jak cień, Izabella rzekła kłękając u nóg jej: „Nie zostawiaj mnie Najjaśniejsza pani! na miłość Boską weź mnie z sobą!”

„O moja dobra Bello! pragnęłabym, ale mąż twój...”

„Ja nie mam męża — rzekła ponuro.”

„Cóż to jest moje dziecko? jakaś sprzeczka małżeńska? — to rzecz mała, to się łatwo załagodzi, wszak on cię tak kocha. Uważałam przerażenie jego gdy ci się na ostatnim balu słabo zrobiło — kocha cię, wierzaj, iż miłość jego nie zmieniła się i chociaż pragnę mieć cię przy sobie, nieśmiem mu boleści zrobić choćby na czas jakiś.”

„Tak! on mnie kocha ale ma upodobanie w innych, on mnie kocha, a wymaga żebym się podobała in-

nym; on mnie kocha ale dozwoliłby aby mnie jeszcze ktoś kochał! Ah! pani dozwól mi nie mówić wiele! Już to dawno jak noszę truciznę w sercu mojem! Pani! weź mnie, niech ja zobaczę matkę, niech odetchnę świeżem naszym górnym powietrzem, bo mi tu już tak duszno iż czuję jak mi życie uchodzi!—Dobrze mówił Rodryg że lilja polna nie przyjmie się w sztucznej cieplarni... O! pani weź ją! niech ją rosa rodzinna orzeźwi! weź dopóki jeszcze liście zupełnie nie zwiędły jój, póki zaraz nie zczerniła ich barwy! zginie jeżeli ją zostawisz!”

Słuchała królowa z uczuciem słów nagle, prawie bez związku, wymawianych, a gdy na końcu Izabella jakby zmęczona wysileniem, zakaszawszy się przytknęła usta chustką, która natychmiast krwią się zboczyła, Małgorzata przestraszona, rozczulona, podniosła ją, uspokoiła i przyrzekła święcie zabrać z sobą.

Przypomniawszy sobie królowa co zaszło na ostatnim balu, jak żywo zajął się brat jój pięknoscia, której dotąd nie uważał—domyśliła się prawdy. Dziwną tę kobietę, jak wiadomo, wszystkie bezrzędy tolerującą, zdziwiło zrazu tak silne i tak drażliwe uczucie — a razem zakłopotana się jakby to zrobić, żeby nie ranić ukochanego brata, porywając mu pięknosc, która oczy jego zwróciła, a razem ratować młodą kobietę, pod jój skrzydła z ufnością się tulącą.

Franciszek I nie rad był odstępować od jakiegoś upodobania, od zamiaru obiecującego mu słodkie chwile. Trzeba więc było z wielką działać ostrożnością. Przywołanym został doktor królowej, i zdecydował iż Izabella umrzeć może w prędkim czasie, jeżeli nie uda się w góry; gdyż brak, czyli potrzeba górnego powietrza rozwinęła w niej płucową chorobę, która się bardzo spiesznie, jako w tak młodej kobiecie, w śmiertelną zamieni, jeżeli natychmiast w góry nie pojedzie. Ludwikowi nie mówiła Izabella z rozkazu królowej o własnej tak gorącej chęci wyjechania; wszystko spadło na rozkaz doktora, co było łatwem do uwierzenia, gdyż istotnie po raz już drugi krew rzuciła się ustami Izabelli. Tak ważna a nadspodziewana choroba wprawiała w zły humor Franciszka I-go, a w rozpacz dworaka stryja Ludwika: ten zaś ostatni szczerze żałował żony, bo ją kochał jak mógł, jak umiał. Czułe też było pożegnanie; nie zaniedbał niczego coby w podróży Izabelli przyjemnym być mogło—błagał o rychły powrót, a nie lubiący martwić się i smucić, zapewniał ją i siebie że wkrótce w zupełnym zdrowiu ją zobaczy—gdyż obiecywał sobie że za kilka miesięcy sam pojedzie do Couterets aby ją na zimę przywieść.

Przybywszy do nowego państwa swego, Małgorzata powitana z uniesieniem, udała się do stołecznego miasta, gdzie ją czekały uroczystości dworskie. Izabella zaś jakkolwiek w charakterze pierwszej damy dworskiej tę podróż odbywała, uwolnioną została od towarzyszenia pani i udała się do Couterets.

Wkrótce po przybyciu do państwa swego, Małgorzata pełna dobrych chęci dla poddanych, chcąc bliżej rozpoznać ich potrzeby, wybrała się na objazd szczegółowy i zwiedzenie bliższych okolic. Świadczą ówczesni pisarze że piękna królowa zawsze kaźden z takich objazdów pięknemi znaczyła czynami; czy to wyznaczając summy na upiększenie jakiego miasta lub podniesienie rolnictwa, czy też wspomagając instytucje naukowe, ubogich artystów, czy nareszcie ratując nędzę w chatach wiejskich, do których i sama nieraz zaglądała. Wybierając się w tę podróż umyśliła zwiedzić wody w Couterets — raz że ich dobrych skutków doznała dawniej, a głównie żeby zobaczyć swą faworytkę o której losie nic nie wiedziała.

W owym czasie poczty nie były urządzone, tylko umyślnemi gońcami wiadomości sobie udzielano. Rodzina więc Izabelli, od czasu jój wyjazdu prócz upominków jakie po otrzymaniu na urzędzie szambelana Ludwik na prośby żony im posłał, nie miała listów od niej—Napróżno wyglądającą co rok nowego gońca, lat kilka starą matkę pochyliło ku ziemi.—Dwie młodsze siostry zostały żonami, matkami, bracia na słusznym wyrosli młodzieńców. Rodryg, biedny Rodryg nie zaglądał wcale do wdowy Barnabas po odejździe Izabelli; zdiczał zupełnie, mówili nawet niektórzy że stracił rozum, gdyż czasem mówił sam do siebie, a gdy znużony polowaniem któremu się z zapalem oddawał, usiadł na szczycie skały, śpiewał pieśni kościelne tak żałośnie, tak pięknie, że wracający z roboty górale, mimo woli zatrzymywali się, aby posłuchać *modlitwy* Rodryga; tak bowiem sam je nazywał.

„Dzieci moje—rzekła dnia jednego stara wdowa —nie mogę dłużej bez wiadomości o mojej Izabelli pozostać—sny miewam złowrogie i wczoraj widziałam ją przed sobą tak białą, tak jak mgła przezroczystą, że jakby mi się duch jój ukazał. Trzeba nając jednego z naszych górali i wyprawić go do tego dalekiego Paryża! teraz wojna dzięki Bogu ustała, to dojdzie do niej bezpiecznie.” Gdy radziło rodzeństwo o wyprawieniu gońca; wielka i wytworna kolaska zatrzymała się przed ich domem.

Któż opisze zdziwienie, radość i żal razem, gdy w bladej, wysmukłej, wspaniale ubraniej damie, po-

znano Izabellę, która od zmęczenia, wzruszenia, na tysiąc zapytań odpowiadać nie mogła. „Tyś chora córko moja! — zawołała załamując ręce matka — co ci jest? tyś nieszczęśliwa! ty się nie cieszysz nami!”

„Oh! bo ja się cieszyć zapomniałam! Prawdę mówiłaś matko moja, tam wszystko inaczej, tam się inaczej cieszą, inaczej smuca, tam kochają inaczej!” Wypowiedziawszy te słowa — strumień łez ulżył zbolałej duszy — poczem spokojnie rozmawiać poczęła.

Nazajutrz kaftanik góralski, gorsecik odznaczający kształtną chociaż wyszczuplałą kibić Izabelli, czarna spódniczka, zastąpiły długie suknie i czepek Szambelanowej. Gdy wyszła jak dawniej i przy źródle płynącym z góry na ulubionym usiadła kamieniu, zdało się jej że pierwszy raz pełną odetchnęła pierś, lubo ciężaru tłoczącego jej serce zrzucić nie mogła, bo nie mogła powrócić ubiegłych wśród zawodu i przymusu lat pierwszej młodości, lat pełnych miłości i nadziei.

Gdy Rodryg jakimś przecuciem wiedziony poszedł w tę samą stronę i ujrzał Izabellę jak dawniej na kamieniu siedzącą, zbladł jeszcze mocniej, a zgiąwszy kolano i pochyliwszy głowę: „Duchu pokutujący czy po modlitwę przychodzisz? wszak co dzień ci ją daje.”

„Rodrygu! Bracie mój — zawołała Izabella, ja nie umarłam jeszcze, poznaj mnie, przypatrz się, to twoja lilja polna, usychająca ale nie zczerniała; zaraza nie naruszyła jej, wierz mi.”

Jakby ze snu obudzony biedny Rodryg, potarł się razy kilka po czole, a przychodząc zwolna do zupełnej przytomności, zbliżył się do Izabelli wyciągając rękę do niego i wołając: „Biedny mój bracie! zbliż się, to na prawdę ja jestem! siostra twoja.”

„To wróciłaś? i pozostaniesz z nami Izabello?” — rzekł w końcu w całą przytomnością i rozrzewnieniem Rodryg.

„Czy długo z wami będę, nie wiem; wiem tylko że już od was nie odjadę.” Domyślił się znaczenia słów tych Rodryg — przypatrzywszy się bladym zapadłym policzkom pięknej Izabelli i ciężki żal ogarnął serce jego.

„Nie umrzesz między nami Izabello! nie damy cię śmierci, starania nasze, miłość nasza zatrzyma cię.”

Tymczasem Izabella na chwilę ożywiona, z każdym dniem nikać zaczęła, życie jej jakby się już zużyło, ani powietrze, ani mleko, ani zioła powrócić już sił nie mogły. Rodryg jak dawniej przesiadywał u wdowy i najtkliwszemi staraniami dawał dowody swojej tkliwości i delikatności.

„Czemuż ja cię pierwój znać nie umiałam! bracie mój!” — mówiła Izabella.

„Nadto szczęścia dla mnie że mnie znasz dzisiaj” — odpowiedział jej na to.

Cała rodzina dowiedziawszy się od Izabelli o zamiarze królowej, wyglądała jej przybycia. Biednej matce zdawało się że któren z jej doktorów znajdzie jeszcze dla córki jakieś lekarstwo. Nadszedł w końcu dzień oczekiwany. — Jakaż różnica była przyjazdu monarchini od dawnego księżnej przybycia! Liczny orszak dostojnych panów, dam, posłów towarzyszył królowej: wystawiono ładny dom dla niej blisko źródła.

Zaraz po przybyciu pospieszyła odwiedzić swoje faworytkę, dowiedziawszy się iż ta u niej być nie może, bo leży w łóżku. Wszedłszy z doktorem, najsmutniejszym została uderzona widokiem. Izabella jak posąg leżała martwa prawie, tylko ślady krwi na białych ustach dowodziły że żyje jeszcze. Do koła niej skupiona rodzina patrzyła na nią boleśnie: w nogach Rodryg uważał, zdawało się iż liczył każde jej odetchnienie, każde zgadywał żądanie, tak, że wejście królowej żadnego na nim nie zrobiło wrażenia. Małgorzata położywszy palec na ustach, na znak aby nie przeszkadzano chorój, zbliżyła się do jej łóżka i dokoła powiodła oczyma. Otóż, pomyślała — moja idylla jak smutną kończy się trajedią. Zatrzymując wzrok swój na Rodrygu, uderzoną została jego piękną pełną wyrazu męskiej godności i uczucia razem — przypomniała sobie że to ów straszny rywal którego jej pokazywano przed kilką laty — pokiwała głową, westchnęła, i jakby przelotny wyrzut sumienia razem ze smutkiem odmalował się na jej twarzy.

Izabella w końcu otworzyła oczy, widok królowej ją ożywił, obróciła na nią piękne ale gasnące oczy, usta się do uśmiechu złożyły, ręka wydała poruszenie.

— Jak się ty masz Bello moja? — rzekła do niej z czułością królowa.

— Dobrze mi — rzekła zcicha Pani! racz powiedzieć Ludwikowi że ja mu wszystko przebaczam! lecz nie, lepiej mu nie mów tego, bo cóż on winien? Kochał mnie jak mógł, jak umiał...” Te wyrazy przerywanym wymówiwszy głosem, zamilkła — oczy zamknęła, jakby po wysileniu spocząć chciała. Królowa odeszła wsruszona. A nazajutrz przebudził ją dzwon żałobny z bliskiego wiejskiego parafialnego kościoła.

Grobowiec kosztem królowej wystawiony pokrył zwłoki Izabelli. Chciała królowa stosowny na nim wryć napis. — Zajmowano się układem jego czas jakiś, poeci przynosili do wyboru różne długie i krótkie nekrologi; lecz żadnego nie wybrała, żaden jej

się dość pięknym nie wydał—i w końcu został marmur bez napisu. Ale za to widzieć można było na nim zawsze świeże kwiaty ręką stariej matki i rodziny składane — a Rodryg który w silniejsze jak poprzednio wpadł obłąkanie, co noc tam siadał śpiwając swe smutne pieśni — dnie całe za upędzaniem się za niedźwiedziami trawiąc. Kronika miasteczka wspomina *straszego myśliwego*, którego w jednym roku trzydziestu zabił niedźwiedzi. Twierdzą że pię-

kne skóry tych zwierząt były początkiem do wzrostu rodziny jego, która dotąd jest najbogatszą. Bytność w Couterets królowej, tak fatalna dla jednej rodziny, stała się początkiem pomyślności innych. Odtąd dolina inną przybrała postać. Wioska do rzędu miast podniesiona, upiękniona została — a źródło przy którym mieszkała, za uzdrawiające ogłoszone, mieszkańcy przez wdzięczność nazwali *Źródłem królowej* i dotąd ma to miano.

BANDURZYŚCI UKRAIŃSCY. ¹⁾

Bandura (kobza) albo lira jest narodowym śpiewaków ukraińskich instrumentem. Niektórzy jej wynalezienie do bardzo odległych odnoszą czasów, twierdząc, że bandura Egipcyanom nawet znaną była; ale temu za ledwie dać wiarę można. Narzędzie to muzyczne przez dzisiejszych pogardzone artystów, używa się na Ukrainie szczególnie i w Polsce do przygrywania przy pieśniach narodowych i tańcach. Z ukraińskich dum i pieśni narodowych widać, że w dawnych czasach, bandura niezbędną była dla kozaka rzeczą, a piosnka przez niego samego albo przez towarzysza ułożona, stanowiła dlań, w braku innych utworów literatury, jedyne o czynach kozaków świadectwo. Kozak w drodze nawet z bandurą swoją nie rozstawał się, jak o tém z tychże pieśni przekonać się można; bandura bowiem tam się nazywa *podrózną* i jest ceniona na równi z *lulką-burunką* (fajką), która dla kozaka, jak to powiadają, potrzebniejszą jest aniżeli *żynka* (żona). W staroświeckich mieszczan i kozaków świetlicach dziś jeszcze zobaczyć można wizerunek zaporozca w całej piękności. Siedzi on zwykle z założonemi na krzyż nogami i przygrywa na bandurze; obok niego w lasku pasie się jego koń, a w odaleniu wisi do góry nogami żyd.... Następnie, gdy punktem środkowym narodowości Zaporozża, czyli *dól*, stały się *miasta*, wtedy i tu Zaporozże wiele przymiotów rodzinnych z sobą przyniosło. Bandura stała się na Ukrainie powszechnym dla tych wszystkich instrumentem, którzy albo sami siebie kozakami nazywali, albo od innych to miano otrzymywali. Byli to po większej części dziarscy

chłopaki (parobki), którzy się ożeniwszy następnie i stawszy się ludźmi poważnymi, w wesołej tylko chwili (czyli mówiąc prościej: podpiwszy sobie), imali się bandury i tańcowali przy jej dźwięku, trzymając czarukę na głowie, a nieraz płakali. Dziś, gdy siła działalna ducha narodowego do innej klasy społeczeństwa przeszła, już tacy się pomiędzy kozakami wyrodzili; bandury ich na podpałki poszczepano, sami oni, gdy talent muzyczny poczują w sobie, grają na skrzypcach i basetli w czasie wesela.

Ale, oprócz kozaków bandurzystów, artystów z powołania, istniała na Ukrainie niedawno jeszcze, klasa śpiewaków — muzyków, z konieczności. Byli to żebracy — bandurzyści, na szczególną zasługujący uwagę. Nie wielu, na Ukrainie, staje się żebrakami, to jest żebrzącemi jałmużny z powodu jakiegobądź kalectwa, a mniej jeszcze z oszukaństwa; przeciwnie, niektórzy z nich patrzą na rzemiosło żebraka, jako na rzecz Bogu przyjemną. Podług ich pojęć, żebrak dla tego istnieje, ażeby ludziom o Bogu i cnocie przypominał. W ogólności, na Ukrainie nadzwyczaj wiele ślepych (niewidomych), którzy się zwykle od reszty ludzi swego stanu albo wyższym nastrojem umysłu, albo rzadką tkliwością, albo wreszcie ognistszą wyobraźnią, do fantastycznych przedstawień skłonną, odróżniają. Najlepsi z nich mieszkają na wsi, gdzie każdemu są znani.

Miasta psują niezawodnie ich moralność. Ukraińscy ślepi żebracy grają, dla zebrania jałmużny, na bandurze (kobzie) albo na *lirze* ¹⁾ i śpiewają lub też

¹⁾ Korzystaliśmy głównie z dzieła J. Kulisza: „Pamiętniki o Rusi południowej.”

¹⁾ Instrument w rodzaju skrzypców o trzech strunach, z kołem we środku, zamiast smyczka. Dźwięki liry od bandury są głośniejsze.

opowiadają co było i to, czego nie było. Zwykle ślepy taki przyjmuje do siebie *na naukę* sierotę bezrodziny i daje mu praktyczne lekcye żebractwa, to jest naucza go, jak ma wypraszać jałmużnę, znosić zimno, upał i wszystkie koczowniczego życia niewygody; jak zbierać grosz na *czarne dni*, żadnego pogodnego nie spotykając, i stać się wreszcie na stan swój obojętnym. Pomiedzy żebrakami-ślepcami spotykają się ludzie z nadzwyczajną pamięcią, która mnóstwo pieśni i opowiadań, bez najmniejszej zachowuje straty. Niektórzy z nich, przetarłszy się w świecie i uciulawszy, jak to mówią, grosiwa, nabierają chęci do życia osiadłego, kupują sobie w ludnej wsi chatę z ogrodem warzywnym i zakładają szkółkę żebraków-śpiewaków. Niekiedy nabywają oni między bracią swoją, niepospolitęj wziętości. Liczni ich wychowańcy, rozproszywszy się na wszystkie strony Ukrainy, wysławiają swoich opiekunów i nauczycieli (czyli panionków) na dniewprowskich połowach ryb, na Polesiu, Wołyniu i na Ukrainie *osadniczej* (słobodzkiej). Ślepsy ukraińscy, — żebracy czasów minionych, — śpiewali, na bandurze przygrywając, hymny albo dumy treści historycznej i filozoficznej. Tym sposobem, pasierbowie ci natury i losu, rozwinawszy pod wpływem niezbędnej kontemplacyi, własne zdolności umysłowe, wlewali w społeczność większą żywioł religijno-filozoficzny, utrzymywali na pewnej wzniosłości jęj życie moralne i pełnili rolę apostołów, nauczycieli ludu. Powiadają, że dawniej, pomiędzy ówczesnymi ludu nauczycielami, tacy nawet znajdowali się geniusze, że im tytuł *królów starcowych* nadawano, a ci starcy od uczniów swoich, w różnych miejscach Ukrainy własne szkółki zakładających, pobierali przez całe życie daninę.

Ale minęły już te czasy. Ślepi śpiewacy zmaleli już dawno; zamiłowanie w ich dumach i pieśniach, w miarę tego, jak się podania dawne zapominały, zmniejszało się w narodzie coraz bardziej, lubując sobie natomiast w żartobliwo-płaskich rymach *o Chomie* i *Jeromie*, *o Szlachciance*, co poszła za mąż za *chëboroda* i tym podobnych. Dawniejsi żebracy nęcili lud do siebie nie skargami na swoje ubóstwo, ale gęźbą i treścią pieśni, których nawet pamięć śpiewaka-rolnika, innemi zajęta będąc kłopotami, zachować nie mogła. Żebracy naszych czasów nie umieją już ani jednej dumy bojowej albo nauczającej, ale zbierają dla siebie jałmużnę jednostajnym jęczeniem, które tylko przykrość sprawia słuchaczom, żadnego w nich uczucia szlachetnego nie obudzając.

Ale zkadże pochodzi takie wyrodzenie się stanu

żebraków? Dla czego społeczni nam ślepsy-żebracy nie tylko nowych dum nie tworzą, ale i stare zapominają? Dzisiejsze ludu prostego pokolenie, skutkiem nowego rzeczy porządku, odłączyło się od swojej przeszłości: dziś bowiem już nie massa narodu instynktem rządzona, ale pewna, ograniczona liczba ludzi, dążąc ku dobrze pojmowanym celom, ma o wypadkach historycznych przeświadczenie. Pokolenie to już nie znajduje dla siebie w poetycznych wspomnieniach pokarmu, bo nowe życia warunki przysiąły w niem sympatyę ku temu, co nie przypomina mu jego położenia. Ztąd дума bandurzysty, za czasów Chmielnickiego ułożona, słaby na naród wpływ wywiera. Ludzie zaś nowego ukształcenia, w których się obudziła siła ducha narodowego, nie mogą już zadowolnić się poglądem ciemnego gminu na życie i dla tego nie podniecają w nim natchnienia do twórczości. Potrzeba im już nie *bandurzystów*, ale *poetów* w nowém tego wyrazu znaczeniu, to jest ludzi jednakowo z nimi rozwiniętych; to też utwory poetów takich, niedrukowane nawet, umieją oni na pamięć, a dzieła ich, obszernością swą i formą do zachowania w pamięci przytrudne, chętnie przepisują, nie szcędząc na to ani czasu, ani wydatków. Nie mówimy już o znaczeniu utworów w języku polskim i wielko-ruskim takich poetów, jak Bohdan Zaleski i Gogol. Bandura i śpiew stały się niepotrzebnymi z powodu doskonałej dykcyi nowych utworów poetyckich, wewnętrzną harmoniją swoją obudzających mocne zajęcie w społeczeństwie.

Otóż jak Gogol opisał ukraińskiego ślepcę-bandurzystę, w powieści swojej: „Zemsta straszliwa.”¹⁾ „W mieście Głuchowie zgromadził się lud w około starca-bandurzysty, i już od godziny słuchał, jak ślepy starzec grał na bandurze. Takich cudnych pieśni i tak dobrze, żaden jeszcze nie śpiewał bandurzysta. Naprzód zanucił o dawniej hetmańszczyźnie za Sahajdacznym i Chmielnickiego. Inne wtedy były czasy: kozactwo było pełne sławy, tratowało końmi wrogów i nikt szydzić z niego nie śmiał. Śpiewał i wesołe piosnki starzec i prowadził wzrokiem po zgromadzeniu, jakby widomy, a palce, z dorobionymi do nich kośćmi (klawiszami) po strunach latały jak mucha, i zdawało się, że struny same grały; a w około lud, starzy zwiesiwszy głowy, a młodzi podniosłszy oczy na starca, nie śmieli szeptem nawet do siebie przemówić.

Zaczekajcie, rzekł stary, zaśpiewam wam o jedném

¹⁾ Ob. Dzieła i listy M. Gogola Wyd. P. Kulisza, Tom I. str. 189—193.

„dawném zdarzeniu. Lud skupił się jeszcze bardziej i ślepy zaśpiewał.”

On śpiewał o tém, jak żyło niegdyś dwóch braci, Iwanko i Petro, jak Petro zgubił przez zazdrość Iwanka, i jak był za to ukarany.

T. G. SZEWCZENKO.

Talent Szewczenki tak jednoznacznie przez czytającą publiczność uznany, a utwory jego do tyła są upowszechnione, że nie spodziewamy się o przesadę być obwinieni, gdy powiemy, że Szewczenko, zdaniem naszym do pierwszorzędných sławiańskiego świata poetów należy. Miejsce jego, niedalekie Mickiewicza i Puszkina. Jakie współczucie obudzają utwory jego? ztąd wnosić można, że mieszkańcy środkowych i wschodnich Wielkiej Rusi gubernij, którzy nigdy w życiu swoim ukraińców nie widzieli, czytają chętnie i na pamięć się uczą poezyj Szewczenki. Toż samo i z polskimi czytelnikami ma miejsce. Zkądże pochodzi to współczucie u ludzi, nie należących do tego ludu, w którego języku pisze Szewczenko? Wartoby nad tém się zastanowić. Co się zaś ziomków jego dotyczy, wątpić należy, czyby się znaleźć mógł choć jeden, nie obcy uczuciom poezji, ukraińiec piśmienny, dla któregoby utwory Szewczenki świętości religijnej nie stanowiły? A jednak, wziętość tę, to współczucie powszechne, ani krytykom, ani dziennikom, ani uczonym smaku przestrzegaczom, ani też możnym opiekunom, wcale Szewczenko nie zawdzięcza. Za pierwszym swém na widok publiczny ukazaniem się, zimno był przyjęty. Niektórzy nie odmawiali mu wprawdzie talentu pewnego, ale zarazem żalowali, że go marnuje na kształcenie takiego języka, w którym nikt nie czyta; inni zaś z zimną obojętnością, bardzo do lekceważenia zbliżoną, o nim się odezwali. Następnie przez lat dziesięć przeszło, imię jego w piśmiennictwie wcale wspominaném nie było; choć pisma w obiegu księgarskim nie znajdowały się, jednakże czytano go powszechnie, uczono się na pamięć, i teraz, gdy część znanych w druku utworów poety ukraińskiego, znowu się przed

„Już skończył ślepy powieść swoją, już zaczął znowu przebierać po strunach; już zaśpiewał wesołe gadki o Chomie i Jeromie, o Szklarzu Stokozie... ale i starzy i młodzi ani się obudzili z głębokiej zadumy i długo stali, zwiesiwszy głowy, jakby o straszliwém w dawnych czasach zdarzeniu rozmyślając.”

publicznością ukazała („Kobzar” 1860 w Petersburgu), bez wątpienia, z nowym je zapałem i współczuciem przeczytają.

Jakimże pragnieniom duchowym czynią zadość poezye Szewczenki? Niezależnie od zalet estetycznych jego poezyj, głównie, co nie tylko ku niemu zniewala czytelnika, ale zarazem nad poziom zwyczajnych pisarzów, podnosi poetę, jest to, że ukazanie się Szewczenki zbija zwycięzko dawny przesąd o potrzebie pisania lub nie, w jakim języku, w téj albo innej formie wysłowienia; niweczy pierwszeństwo panującym narodowościom przyznane, i poniżenie tak zwanych narzeczy prowincjonalnych, i nareszcie nadaje tym ostatnim zupełne prawo do samorozwoju ludzkiego, w takiej formie, jaką im wewnętrzna dążność, a nie przemocą narzucona z góry teoria wskazuje. Mowa ukraińska, która przedtém za przedmiot do żartów i najgrawania się tylko służyła, sowity dostarczając materyał do parodij dla Kotlarewskiego i Artemowskiego-Hulaka, albo napuszonego stylu książkowego, nabierała pod piórem innych autorów, którzy jój nadać znaczenie literackie pragnęli na równi z mową tych języków, które rozwój historyczny i literacki otrzymały, — u Szewczenki taki przybrała kierunek, który nie oddala się naturalnie od sposobu przez naród przyjętego, ale zarazem nie jest obcy współczesnym ideom ukształconego człowieka. Przysłowie dawne: „człowiekiem jestem, i nie ludzkiego obcém dla mnie nie jest.” (Homo sum, et nihil humanum a me alienum esse puto) sprawdza się najzupełniej, przy czytaniu utworów Szewczenki. Nie należy on do tych poetów, którzy tylko przyswajają sobie istniejący już krój wysłowienia; sposób jego nie jest od ludu wzięty, ale też i nie utwo-

rzony oryginalnie przez samego poetę posiada. On to, czego być może, że lud nie wymówił jeszcze, ale co zdolny jest wypowiedzieć. Gdybyśmy któremu z wieśniaków ukraińskich, utwory Szewczenki przeczytali, łatwo by się zdarzyć mogło, że ten lub ów nie zrozumiałby go od razu; ale śmiało zapewnić można, że jak tylko go pojmie, okaże mu niezawodnie największe współczucie, i stanie się dlań poezya Szewczenki tak miłą, tak swojską, jak gdyby to już nie poeta, ale sam on najpierw powiedział to, co od poety usłyszał i przejął. Pomiedzy pieśniami ludu a poezją Szewczenki najbliższe zachodzi podobieństwo. Ale Szewczenko nie jest ich naśladowcą, tylko dalszym kontynuatorem. Pojawił się też wcale w porę, względnie do tego zwrotu, jaki muza ludowa obrała. Dawne pieśni, tyle piękne, tyle uczuciem i wysłowieniem bogate, już się w niepamięć pogrążać zaczynają. Poezja kozactwa, i poezja XVI i XVII wieku gaśnie, tak samo jak zgasła i znikła w swoim czasie, nierównie starsza, poezja ubiegłych wieków. Naprózno byśmy się starali wskrzesić umarłego: już nie powstanie to, co bieg swój życia spełniło; ale zasady życia tego nie umierają, przywdziewając na siebie nowe formy, więcej z życiem bieżącym zgodne. Tak w zwykłej kolei życia ludzkiego, gasnące pokolenia pozostawiają po sobie idącym młodym, swoje podania i swoje własności z odmiennymi, chociażby i z podobnymi warunkami. Poezja Szewczenki jest rodzoną i prawną córką ludowej poezji ukraińskiej — poezji pieśni, ale swoją odrębność i samodzielność zachowuje.

Stara pieśń, która smak ludowy karmiła, już traci teraz swoją ponętność: wszystkie warunki życia ludowego w tym są stanie, że uczucie ludowe wymaga w innym już rodzaju poetycznego wysłowienia. We wsiach ukraińskich rzadko posłyszec można pieśń kozacką; świetna epoka życia kozackiego usuwa się dla ludu w głąb dawno minionych czasów; w wyobraźni jego kozak już nie jest czem innym, tylko cieniem niewyraźnym, nie zaś postacią w ciało obłeczoną. Ale nie zgasł ten świat poezji, nie zostawiwszy po sobie następcy. Szewczenko dowodzi tego najwyraźniej. Poezja jego po pieśniach ludowych następuje. Ona to zmusza do wyrzeczenia, że co się przez pieśń ludową wyrobiło, zaginać nie może, ale powinno przywdziać na się inne kształty i do innych objawów w życiu umysłowym i twórczym ludu doprowadzić. To co niepiśmiennych wieśniaków zachwycało, powinno dziś stać się upodobaniem wykształconego smaku; co istniało w urywkach, uka-

zać się powinno w harmonijnych, artystycznych utworach. To co na pozór umierało bezowocnie, jako zabytek bezpotomnej, starej przeszłości, pozbawionej już sił i rozumu, stać się powinno moralną siłą, pobudzającą naród do dalszego rozwoju.

Ukraiński żywioł wegetował w zaciszu wiejskiego bytu, niepostrzeżony dla wzroku, który zwykł się ku temu tylko zwracać, co swym blaskiem olśniewa. Tymczasem żył on życiem i pracował nie napróżno dotychczas. Wydał już kilku wielkich pisarzy: Kwitkę, Gogola i Szewczenkę.

Tém się wyróżnia Szewczenko od innych poetów ukraińskich, mianowicie od Gogola, że, gdy ten ostatni przypomina w osobie swojej zaporozca, Szewczenko staje się uosobioną duszą ukraińskiego wsi mieszkańca. Nie porywa go za sobą przeszłość; ale zajmuje tylko w stosunku do terażniejszości i przyszłości. Wprowadzając nas w świeży, nie zepsuty świat prostego ludu, który zawiera w sobie zaczątki moralno-szlachetne i dla objawów swoich, lepszych bytu warunków oczekuje; Szewczenko już przez to samo okazuje się po Gogolu poetą-pocieszycielem. Nawet sam smutek Szewczenki bywa pokrzepiający, gdyż przypomina istnienie tego, co samo przez się na lepszą dolę zasługuje. I wewnętrzna treść utworów jego i forma zewnętrzna jedną i tę samą myśl wypowiadają. Pod piórem jego język, wyłącznie gminny, nowego nabiera polotu, i ukazuje nam w narodzie żywioł samorozwoju. Otóż dla czego i rusin i polak, i niemiec, i francuz, jeżeli tylko uczucie poetyczne gorące, i pełne miłości serce posiada, nie pozostanie obcy wrażeniom, jakie sprawia poezja Szewczenki. Nie od rzeczy tu będzie podać ustępów z zajmującej autobiografii Szewczenki, która się niedawno w pismach rosyjskich ukazała:

„Jestem synem poddanego włościanina, Grzegorza Szewczenki. Urodziłem się dnia 25 lutego (v. s.) 1814 roku we wsi Kiryłowce, gubernii Kijowskiej, w powiecie zwinogradzkim, w dobrach pewnego obywatela ziemskiego. Postradawszy rodziców w ósmym roku życia, znalazłem przytułek, w charakterze szkolarza-popychacza, w szkółce djaka cierkiewnego. Szkolarze tacy w stosunku do djaków są tém samym, czém chłopcy przez rodziców albo przez inną władzę oddani do rzemiosła. Prawo majstra nad ich osobą żadnych granic określonych nie ma; są oni istotnymi jego niewolnikami. Wszystkie zatrudnienia domowe i spełnianie wszelkich zachceń samego gospodarza i domowników jego, należą do nich bezwarunkowo. Pozostawiam wyobraźni czytelnika aby

wystawiła sobie; czego wymagać odemnie mógł djak, notabene, pijak zawołany — i co wypełniać obowiązany byłem, z niewolniczą uległością, nie mając ani jednej istoty na świecie, któraby się mną opiekować, albo nad położeniem mojem czuwać mogła. Jakkolwiekby, w ciągu dwóch lat ciężkiego życia w tak zwaną szkołę, przeszedłem *Gramotkę* ¹⁾ *Czasosłowiec*, i w końcu *Psalterz*. Przed ukończeniem nauk, djak posyłał mnie w zastępstwie, do czytania psalterza przy zwłokach umarłych właścicieli, i raczył zato, dla zachęcenia, płacić mi dziesiątą kopiejkę. Pomoc moja dawała srogiemu nauczycielowi mojemu możność coraz większego oddawania się ulubionemu nałogowi, razem z przyjacielem jego Limarem, tak dalece, że za powrotem moim, po ukończeniu czytania psalterza, do domu, zastawałem obu zawsze prawie, spitych zupełnie. Djak mój obchodził się ostro nie tylko ze mną, ale także z innymi szkolarzami, i wszyscyśmy go za to z całej duszy nienawidzili. Oszukiwaliśmy go też w każdej zdarzonej okoliczności i rozmaite psoty wyrządzali. Ten pierwszy despota, na którego w życiu natrafił, obudził we mnie i zaszczepił na całe życie głęboką odrazę i pogardę dla wszelkiej, jednego człowieka nad drugim, przemocy. Dziecinne serce moje obrażone było milion razy przez tego wyrzutka seminaryów, i ja skończyłem z nim tak, jak zwykle kończą ludzie bez opieki, których cierpliwość miarę przebrała; to jest zemstą i ucieczką. Pewnego tedy razu, zastawszy go pijanego bez czucia, użyłem przeciw niemu własnego jego oreża, — różek, i o ile mi sił dziecinnych starczyło, odpłaciłem mu za wszystkie jego okrucieństwa. Ze wszystkich djaka-pijaka ruchomości najdroższą mnie się zawsze wydawała jakaś książeczka z obrazkami, najlichszej zapewne roboty. Nie poczytałem sobie za grzech, albo też tyle wytrwałem na pokusę nie byłem, aby sobie kosztowności tej nie przywłaszczyć, i w nocy do miasteczka Łysianki uciekłem. Tam nowego dla siebie znalazłem nauczyciela w osobie malarza-dyakona, który, jakem się wkrótce o tém przekonał, bardzo mało w zasadach swoich i postępowaniu różnił się od pierwszego pedagoga mojego. Trzy dni nosiłem najcierpliwiej na górę wodę z rzeczki Tykacza i rozcierałem na żelaznej blasze farbę miedzianką. Czwartego dnia zabrakło mi cierpliwości i uciekłem do wsi Tarasówki, do djaka-malarza, który z obrazu męczennika Nikity i Jana-żołnierza, w całej słynął okolicy. Do tego więc

udałem się Apellesa, z mocnym postanowieniem — znieść wszelkie próby, przy każdej nauce, jakiem wtedy mniemał, niezbędne. Pragnąłem gorąco przyswoić sobie, choćby w najmniejszym stopniu, jego wielką sztukę. Ale, niestety! Apelles, popatrzawszy uważnie na moją lewą rękę, odmówił mi stanowczo. Oznajmił mi, ku wielkiemu zasmuceniu memu, że nie mam zdolności do niczego, ani nawet do *szewstwa*, albo *bednarstwa*.

Straciwszy wszelką nadzieję zostania chociażby miernym malarzem kiedykolwiek, z złamanym sercem do rodzinnego sioła wróciłem. Miałem na widoku skromny los, któremu wyobraźnia moja dodawała jednakże niejakijsz ponęty prostodusznej: chciałem być, jak się Homer wyraża „pasterzem trzód niewinnych,” z warunkiem, ażebym, chodząc za *watahą* gromadzką, mógł czytać swoją ulubioną skradzioną książeczkę z obrazkami. Ale i to mnie się nie udało. Dziedzic, który tylko co po ojcu swoim objął majątek, zapotrzebował jakiego roztropnego chłopaka do usługi, i tym sposobem mnie, obszarpanego szkolarza-włóczęgę, ubrawszy w tykową kurtkę i także hajdawery, zamianowano na posadę kozaczka pokojowego.

Utrzymywano dawniej po dworach pańskich kozaczków, oprócz do służby lokajskiej, jeszcze jako muzykantów i tancerzy. Kozaczkom takim kazano, dla pańskiej rozrywki, śpiewać wesołe piosneczki i puszcząć się przed państwem, jak to mówią „siudy-tudy na prysiudy.” Pan mój, pochodzenia germańskiego, z bardziej praktycznej strony patrzył na kozaczka, a opiekując się narodowością swoją swoim trybem, kazał mnie pozostać milczącym i nieruchomym w kąciu przedpokoju i czekać na pańskie zawołanie, dla podania panu tuż stojącej obok niego fajki, albo dla nalania wody do znajdującej się przed nim na stole szklanki. Z wrodzonej mi zuchwałości w charakterze, naruszałem nieraz dany mi rozkaz pański, nuąc po cichu smętne dumki ukraińskie, lub też przerysowując ukradkiem obrazy szkoły suzdalskiej, któremi pańskie pokoje były ozdobione. Rysowałem je ołówkiem, który, wyznać to muszę, — skradłem u pisarza prowentowego.

Pan mój był to człowiek czynny nadzwyczaj: jeździł bezustannie do Kijowa, do Wilna, do Petersburga, zabierając mnie zawsze z sobą na tylną furmancę razem z rzeczami, ażebym siedział u niego w przedpokoju, podawał fajkę i inne podobne pełnił obowiązki. Nie mogę powiedzieć, iżby za ciężki był dla mnie stan mój ówczesny: teraz dopiero przeraża mnie

¹⁾ t. j. Elementarz.

okropnością i jakimś dziwnym, nieskładnym snem mnie się wydaje. Podróżując z panem moim z jednego zajazdu do drugiego, korzystałem z każdej przyjaznej pory, ażeby zdjąć ze ściany jakowys bohomasz i tym sposobem kosztowną zebrałem kolekcją. Szczególniejszemi ulubieńcami moimi byli bohaterowie historyczni, jak to: Słowik-Rozbójnik, Kulniew, Kutuzów, kozak Płatów i inni. Zresztą nie żądza nabycia mną kierowała, ale niezwykła chęć zrobienia z tych obrazków najpodobniejszych, jakiem mógł tylko, kopij.

Raz, w czasie pobytu naszego w Wilnie, w r. 1829, państwo pojechali na bal do Cassino. W domu wszystko się uspokoiło, usnęło. Zapaliwszy świecę w samotnym pokoju, rozłożyłem swoje kradzione skarby, a wybrawszy z pomiędzy nich kozaka Płatowa, wziąłem się z najgłębszym uszanowaniem do kopijowania. Czas leciał dla mnie niepostrzeżony. Jużem się do małych dobrał kozaczków, harcujących około olbrzymich kopyt jeneralskiego konia, gdy z tyłu za mną drzwi się raptem otworzyły i wszedł mój pan, z balu wracający. Z zaciekłością wytargał mną za uszy i wyciął mi policzków co nie miara, — nie za rysowanie moje, nie! (na takie rzeczy nie zwracał uwagi), ale za to, że mógłbym spalić nie tylko dom, ale miasto całe. Nazajutrz kazał stangretowi Sidorkowi, osmagać mnie porządnie, co tenże z należą gorliwością wykonać nie omieszkął.

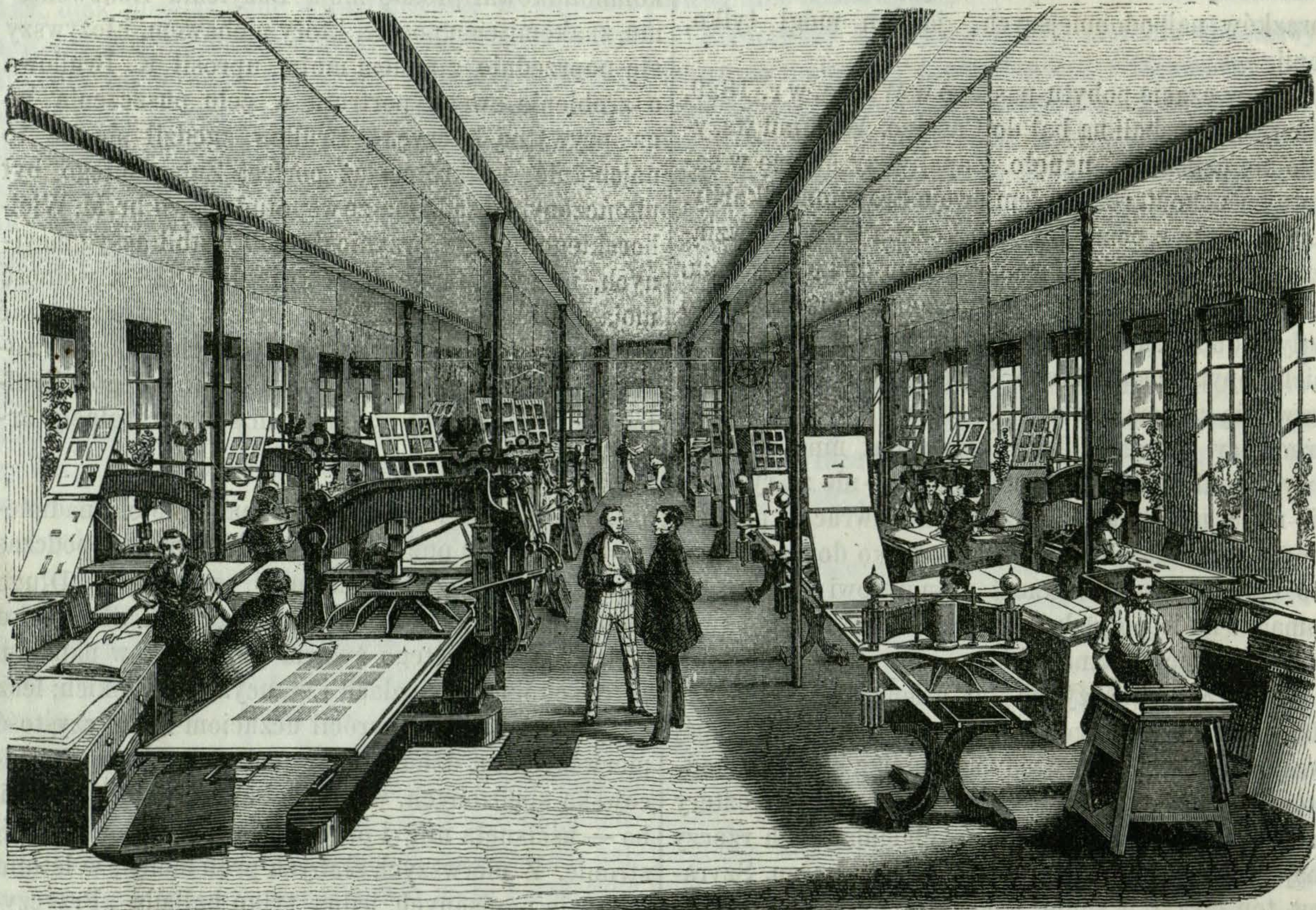
W r. 1832 skończyłem lat ośmnaście, a gdy nadzieje pana mego co do zwinności lokajskiej mojej wcale się nie ziściły, wtedy skłaniając się do nieodstępnej prośby mojej, zakontraktował mnie na cztery lata nauki do cechowego różnych malarskich rzeczy majstra, niejakiego Szyrajewa w Petersburgu. Szyrajew ten łączył w sobie wszystkie przymioty djakaspartańczyka, dyakona-malarza i djaka-chyromantyka; ale nie zważając na cały ciężar troistego jego geniuszu, biegałem nie raz podczas jasnych nocy wiosennych do letniego ogrodu, odrysowywać statuy, zdobiące ten prostolinijowy utwór Piotra. W czasie jednej z podobnych wycieczek zaznajomiłem się z artystą-malarzem, p. Sosenkiem, z którym w najszczerzych stosunkach braterskich zostaje dotąd. Za poradą p. Sosenki, zacząłem rysowanie akwarellą portretów z natury. Na licznych próbach moich, służył mi cierpliwie za model, drugi ziomek mój i przyjaciel, kozak Niczyporenko, poddany naszego pana. Raz pan mój zobaczywszy u Niczyporenki moją pra-

cę, tak w niej sobie upodobał, że zaczął mnie używać do robienia portretów z ulubionych jego kamelij, za które wynagradzał mnie niekiedy całym rublem srebrnym.

W roku 1837, Sosenko przedstawił mnie sekretarzowi konferencyi w Akademii Sztuk Pięknych, panu Grygorowiczowi, z prośbą o uwolnienie mnie od godnego politowania losu mego. Grygorowicz zakommunikował prośbę moją Bazylemu Żukowskiemu, znakomitemu poecie, który niebawem, ułożywszy się poprzednio z panem moim, uprosił K. Brüllowa o zrobienie swego portretu w celu puszczenia go na prywatną loteryę. — Brüllow zgodził się na to najchętniej i wkrótce już portret Żukowskiego był ukończony. Urządzona ze współudziałem hr. M. Wielhorskiego loterya przyniosła 2500 rubli assygnacyjnych, i za tę sumę d. 22 kwietnia 1838 r. wolność moja została kupioną. Tegoż samego dnia uczęszczać zacząłem do Akademii sztuk pięknych i wkrótce zostałem jednym z ulubionych uczniów-kolegów Brüllowa. W roku 1844 otrzymałem stopień wolnego artysty.

O pierwszych literackich próbach moich nadmienię tylko, że się one w tymże letnim ogrodzie podczas jasnych bezksiężycowych nocy rozpoczęły. Długo surowa muza ukraińska obcą zostawała dla smaku mego, zwicznietego życiem w szkole, w pańskim przedpokoju, w zajazdach i stancyach miejskich; lecz gdy oddech wolności wrócił uczuciom moim czystość pierwszych lat dzieciństwa, pod ubogą strzechą ojcowską spędzonych, wtedy, — niech będą jej dzięki! bo — uścisnęła mnie i przygarnęła do siebie w obcej stronie. Z pierwszych słabych prób moich, w letnim ogrodzie napisanych, jedna tylko ballada „Przyczyna” wydrukowaną była. Jak? i kiedy idące po niej poezye pisane były? o tém na teraz rozszerzać się, nie czuję w sobie chęci. Krótki rys życia mego, pobieżnie w tém bezładnym opowiadaniu skreślony, kosztował mnie, prawdę mówiąc, drożej daleko, aniżeli to sobie wystawiał. Ileż to lat straconych! Ile kwiatów powiędłych! I cóżem to kupił dla siebie od losu, za tyle usiłowań moich, ażeby nie zginął? Ledwie nie samo okropne pojęcie mojej przeszłości. Okropną jest ona rzeczywiście, a tém okropniejszą jeszcze, że rodzeni bracia moi i siostra, o których wspomnieć w tém opowiadaniu ciężko dla mnie było, są dotychczas — poddanemi!..

DRUKARSTWO W POLSCE.



Wnętrze drukarni, które wystawia powyższy drzeworyt, wyobraża księgotłocznię, z prassami tylko ręcznymi. O prassie olbrzymiej parowej, już mówiliśmy ¹⁾, o *pośpiesznych* zaś powiemy niżej.

Drukarstwo, o którego początkach pisaliśmy w Księdze Świata ²⁾, równocześnie jak w innych krajach, tak i w Polsce się rozszerzało. Tylko że rodacy nasi pracowali u cudzoziemców, a przybysze obcy u nas. I tak naprzykład Jan Adam z Polski (de Polonia) drukował w Neapolu 1478 roku, a Władysław Polak, (niektórzy go mienia Stanisławem) w Hiszpanii 1490

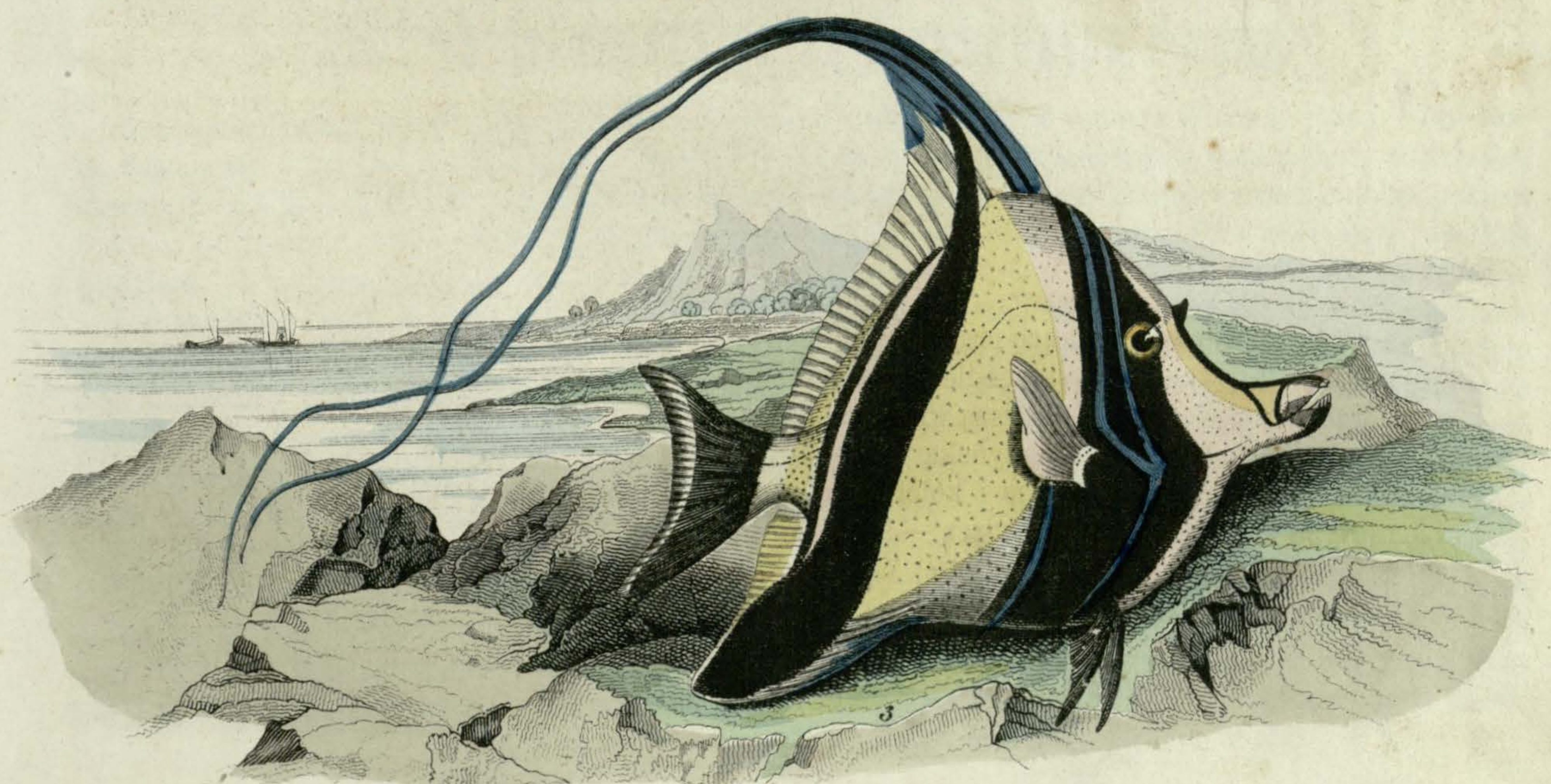
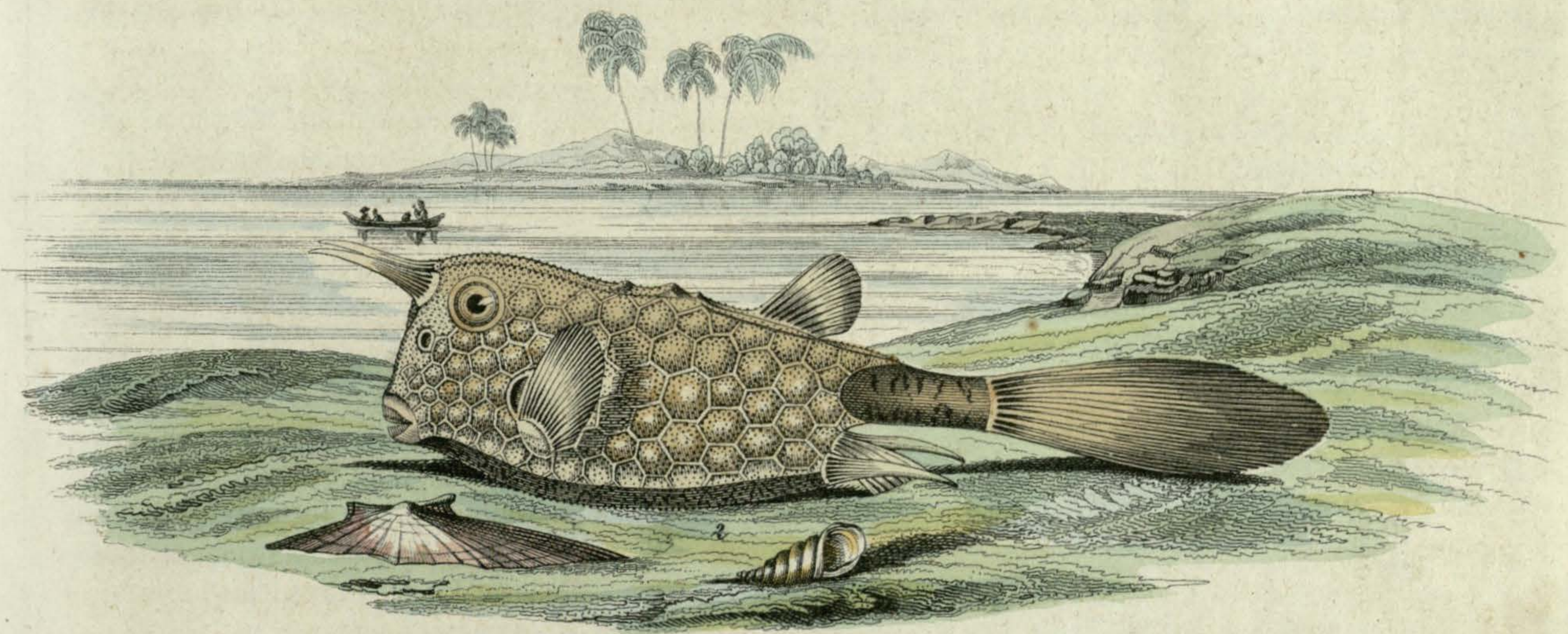
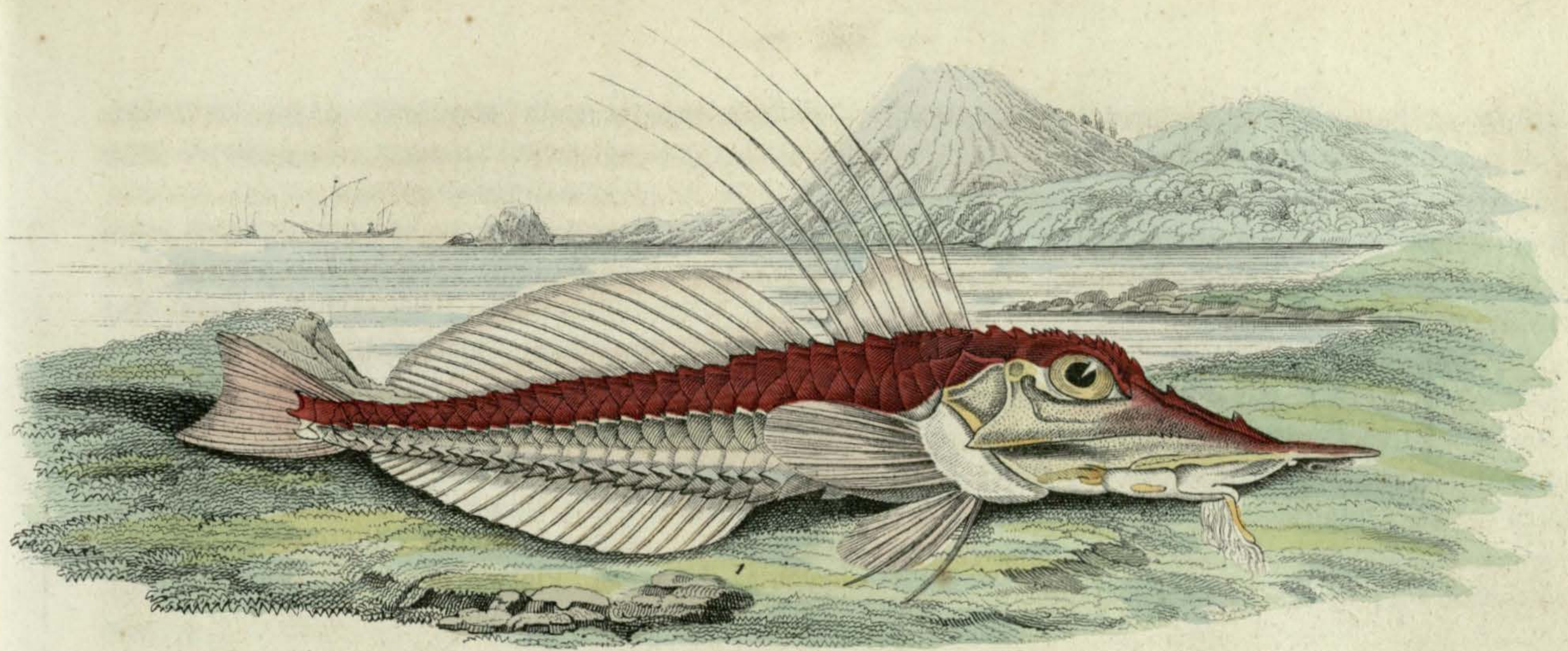
roku zwany od tamtejszych krajowców *Lanzalao Polono*. Natomiast Zajner Ginter odtłaczał w Krakowie w XV wieku wykład psalmów pod tytułem: „Joannis de Turrecremata explanatio in Psalterium, *Cracis impressa*,” (około roku 1465).

Kraj nasz tyle dzieł potrzebował, że choć w głównej jego stolicy odbijano księgi, nakładcy mimo-to drukowali w Lipsku, Norymberdze, Metz, Moguncyi i Wenecyi (od 1487 do r. 1501). Były-to nie tylko kalendarze, księgi kościelne (jak mszały, liturgije, agendy), ale dzieła filozoficzne i prawne (Statuta regni, t. j. Syntagmata).

Świętopelk Fiol czyli Fejel pierwszy nie tylko w słowiańszczyźnie, ale w całej Europie począł wy-

¹⁾ Patrz str. 59 T. I Ks. Św. z roku bież.

²⁾ W tomie II z 1859 roku od str. 197 do 200.



dawać książki w Krakowie pismem słowiańskim czyli cyrylicą przy końcu XV stulecia, a mianowicie psalterz, Ośmiogłaśnik, Czasosłowiec i t. p. Nie wiadomo wszakże dotąd kto wytłaczał za Kazimierza Jagiellończyka dwa statuta. Czyby tenże sam Świętopęk Fiol? Czy Lotter?

Jan Haller, bogaty winiarz krakowski, mając zarazem skład księgarski od 1464 wydawał i dzieła swym kosztem za granicą: w Krakowie w roku 1503 założył własną drukarnię. Choć człowiek dość ocytany, mało Haller był biegłym w sztuce księgotłoczniczej. Przybrał więc za spółnika Kaspra Hochfедера z pod Norymbergi, który już w roku 1503 wydrukował w Krakowie List Pliniusza starszego do Tytusa Wespazyana Cesarza, po łacinie.

Baumgarten w Gdańsku około końca XV wieku zjawia się także z drukiem łacińskim (1499 r.).

Kalendarze krakowskie pod tytułem: *Judicium Cracoviense Magistri Michaelis de Vratislavia congestum* 1494 a. — *Judicium Magistri Nicolai de Tolischo* i t. p. — z drzeworytami dość dobrými, zjawiać się poczynają i prognostyki astrologiczne dla rodaków naszych po łacinie wygłaszają.

Cywilizacja z Zachodu prąd niosąca, nie dozwala odrazu rozwijać się mowie ojczystej, krajowej. Dla tego zaledwie dopiero w roku 1525 znajdują się drukowane słowa polskie w *Grammatyce Aleksandra Galla* wydanej w Lipsku.

Czcionkarnia ¹⁾ krakowska (nowy wyraz używany przez ks. T. Kilińskiego i innych), nie drukowała więcej ksiąg cerkiewnych, a Serbowie, Czarnogórcy, (Montenegryni) i wszyscy południowi Słowianie mieli w swym języku wydawane dzieła w Wenecyi (1493) i Wilnie (1525).

Wietor Hieronim Szlązak, we własnej księgotłoczni zaczyna wydawać 1521 roku najpierwsze książki polskie, a mianowicie: „Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchołem grubym i t. d. przełożone przez Jana z Koszyczek bakałarza — oraz „S. Bonawentury, Życie Pana Jezusa przez Baltazara Opacia tłumaczone” 1522; oba dziełka opatrzone drzeworytami.

Tenże Wietor drukował i najpierwsze książki węgierskie r. 1528, oraz niemieckie, bo oprócz krakowskiej, miał drugą oficynę czyli drukarnię i w Wiedniu.

Radzca krakowskiego magistratu a następnie prezydent Dominus Haller miał najświetniejszą w Krakowie księgotłocznię, w której pracowali od roku 1503 Floryan Ungler, Wolfgang Lern i inni, którzy potem na własną rękę pozakładali drukarnie.

¹⁾ Czcionkarnia lub czcionarnia wyobraża raczej zakład czyli fabrykę w której się wyrabiają czcionki, może więc raczej oznaczać gisernię, niż drukarnię, w której się książki tłoczą (księgotłocznia). Niektórzy w Krakowie używali tylko wyrazu *Tłoczni*, co także nie zdaje się nam wystarczającym wyrazem, bo jest tłocznia oleju i t. p. rzeczy.

RYBY NA SZCZEGÓLNIJSZĄ ZASŁUGUJĄCE UWAGĘ.

Znakomity badacz natury, Grzegorz Cuvier, uważa regularnie i pięknie zbudowanego *Okunia rzecznego* (*Perca fluviatilis* Linn.) za pierwoksztalt ryb i stawia go na czele swego wielkiego ichtyologicznego dzieła. (*L'histoire naturelle des poissons*).

Jak wielkiej jednak w niektórych familiach i jak potwornej odmianie ulega ów zresztą prawie wszędzie zachowany pierwoksztalt tej gromady zwierząt, dowodzi nam na załączonej obok tablicy rysunek przedstawiający pełną zбочeń postać ośmiograniastego kurkoryba, z przodu prostopadle ściętego Kosteru i prawie okrągłą tarczę tworzącą Siekanicę.

Kurkoryb (Kurek) (*Peristedion cataphractum*. *Lacépède*) należy do rzędu *tarczobłusków* (*Cataphracti* czyli *Trigloides*) odznaczających się swoją widelcowatą, szerokimi, chropowatymi, koleczastymi kośćmi

licowými jakby w pancerz ubraną, głową. Pysk bezzębny, półkolisty otwiera się pod postawą dziubiasto-przedłużonej szczęki górnej. Szczeka dolna pękiem długich wąsów obrośnięta. Oko uderzające, wielkie; skrzele kończasto wydłużone, ciało pokryte wielkimi, kościstymi łuskami, na grzbiecie w tył zwrócone koleczaste ości. Pierwsza pletwa grzbietowa ma siedm długich, wolnych i giętkich promieni, druga 17 krótszych, równej między sobą długości, błoną pletwną połączonych. Pletwy piersiowe i brzuszne są owalne, przy tych ostatnich dwa długie, wolne promienie; pletwa odbytowa (przyodchodkowa) odpowiada większej drugiej pletwie grzbietowej, a pletwa ogonowa jest półksiężycowo wycięta. Kolor tej pięknej, prawie stopę długości mającej ryby, jest po wierzchu żywo-czerwony, boki lśnią blaskiem złota, brzuch koloru

białawego. Pletwy brzuszne i piersiowe są brunatnego koloru; inne, czerwono ubarwione.

Piękna ta ryba, przypominająca nam morza zwrotnikowe, dość często napotykaną bywa w morzu śródziemnym. Mięso jej jest niezdatne do jedzenia; ponieważ zaś łatwo zasuszyć się daje, sprzedają ją rybacy obcym, jako rzadkość natury, lub zawieszają ją, jak o tém właśnie Grzegorz Martens wspomina, w dowód wdzięczności około obrazu Madonny, i z tego też powodu znana jest w Wenecyi pod nazwiskiem: Anzoletto de la Madonna. W zbiorach często ją widzieć można, szkoda tylko, że owa piękna czerwono płomienna barwa, tak prędko po uśnięciu (śmierci) ryby blednieje. W Hiszpanii zdobywają ją pokoje, a częstokroć za wietrzną chorągiewkę używają.

Kostera (*Ostracion cornutus*. (Bloch) Coffre; Beinfisch.) liczy się do rodziny *twardoskórnych* Sclerodermi, których szczęki wielkimi, ostrokłębymi zębami, a ciało wielokątными tarczami kościanymi jest opatrzone. Postać kostery jest trójkątna, dwa długie kolce stoją prostopadle przed oczyma utkwione, dwa drugie w okolicy odbytowój. Pysk mały opatrzone mocnymi sterczącymi zębami. Brak pletw brzusznych, inne pletwy małe i zaokrąglone. Tarcze sześciokątne, kolor brunatny i w czerwony wpadający. Długość stóp 15.

Kostera przebywa w morzach zwrotnikowych. Ten sam, lub tego bardzo podobny rodzaj był, jako dziwotwór morski, już przez ludzi do orszaku Kolumba należących, na wyspie Cuba poławianym. Kostera,

nie tylko ożywia jasne wody jeziora, ale nadto dostarcza nam smacznego mięsa, powszechnie do mięsa wieprzowego przyrównywanego.

Do rzędu *Łuskopletwnych* (*Squamipennes*) policzona *Siekkanica* (*Zanclus cornutus* Cuv.) ma postać tarczy, wyższy niż dłuższy pysk i ogon, zygzakowato wycięty. Pod okiem umieszczony ma róg niewielki, charakteryzujący go i nadający mu imię. Obydwa pierwsze promienie należące do pletw grzbietowych, aż do ogona sięgających, przedłużają się w długie, po za rybą jeszcze wlokące się kończyny. Najdłuższe są pierwsze promienie pletew odbytowych, sięgających aż do ogona. Pletwy piersiowe tkwią po bokach; pod spodem wąskie, ostrozakończone pletwy brzuszne; pletwa ogonowa łukowato wycięta. Łuski są mikroskopijno małe, ztąd też i skóra ryby chropawa. Ta ostatnia jest koloru żółtego, upiększona trzema szerokimi, mocno czarnymi, ukośnymi pasmami, z których pierwszy od wierzchołka aż do gardzieli sięga, drugi przez ciało, a trzeci przez ogon przechodzi. Długość ryby wynosi stopę, mimo to jednak waży ona 10 do 15 funtów i smakuje doskonale.

Ryba ta, znana pod różnym nazwiskiem, rozpowszechniona jest po całym morzu Spokojnym. Mieszkańcy niektórych wysp morza południowego oddają jej cześć boską, może z powodu księżycowych wzorów na powierzchni jej ciała; ztąd też częstokroć napotykamy ją pod nazwą bożyszczka. Jeśli przypadkiem wpadnie w sieci przez wyspiarzów zastawione, to kładą ją na liście kokosowe, klękają przed nią i z wszelką ostrożnością odnoszą ją do morza.

WIDOK BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

I.

Bezwątpienia każdy człowiek, gorąco pragnie zwiedzić kraje, które pogrążone w gęstej mgle pierwotnych czasów, przedstawiają nam pierwszą widownię cywilizacyi;—gdzie przyroda z macierzyńską hojnością rozwinęła wszystkie powaby form i kolorów—gdzie ni śmierć, ni zmiany nie mają miejsca — światło i ciepło, połysk i zapach, wolność i życie, ozdabiają wszystkie twory.

Kraje Wschodu są rajem, dokąd śmiało przelotny ptak „Fantazya” tak chętnie bieg swój kieruje.

Przed lodowatą Północą — drży wszystko!

Błądziłem w nocy przez te grozę przejmujące przestrzenie, gdzie tylko lód i śnieg, gdzie tylko ziemia i morze, góry i doliny okryte monotonnym całunem tu i owdzie smutnie wyglądają; a między niemi sterczą posępne, czarne lub brunatne burzą obnażone skały albo wyzierają bagna ze stopionych promieniami słońca śniegów. Tu połysk gwiazd, purpura zorzy północnej albo gra kolorów w świetle słonecznym połyskujących gór lodowatych, wynagradza

nam obficie brak bogatęj Flory; wszystko to może mieć urok przy ciepłym kominku, podobny do błęgiego uczucia wywołanego opowiadaniem o duchach i zbójcach. Ale samemu puścić się w te pustynie, samemu walczyć z pływającymi lodu skałami, wystawiać się na dotkliwie zimna w okolicach w których całomiesięcznie marznie żywe srebro równając się twardością żelazu, gdzie pożywienie trzeba wyrąbywać z beczek siekierą, mięso łamać oskardem, olęj piłować, masło drutem łupać, a niosąc łyżkę do ust być w obawie aby nie przymarzła do języka—ale puścić się samemu na te niebezpieczeństwa choć uroczę swą jednostajnością, i któżby się odważył? a odważywszy się—nie zadrżał?

Pustynie Wschodu mają swoje oazy, wieszczka Morgana obdarzyła je nadpowietrznym rajem; ale czarownicy północnego bieguna, są to złośliwe i podstępne duchy: ich piękność, to postrach — ich obraz to przerażenie!

Ale i postrach i przerażenie mają urok pociągający. Zarówno zbrodnie białowieka jako i czarne namiętności, sztuka do swoich wielkich dzieł wcieliła, dla czegożby nauka miała się cofnąć przed niemi i ciemną stronę przyrody, z jej dziwnymi krajobrazami odrzucić?

Chciałbym porównać ze znanymi obrazami Gallaita, te widoki Bieguna Północnego, które nauka w ostatnim dziesięcioleciu wybrańcom swoim odszkicować pozwoliła. W pobieżnych rzutach pragnę je czytelnikowi przedstawić. Tu i tam okropne piętno śmierci ale na odwrót bogata, pełna czynów, wzniosła historia!..... Tak tu, jako i tam, pustynia, rozpacz i zwątpienie widoczne w scenice—ale nie ugięta siła cechująca bohatera, gorączkowa żądza i pełna bojaźni tęsknota, piętnują się w twarzy badacza!

Po za koło otaczające ziemię, w którym słońce przynajmniej raz w rok o wschodzie i zachodzie zapomina, po za to koło polarne całomiesięcznych nocy, nasze trzy północne lądy pomykają swe ostateczne brzegi, jakby otaczając stałym pasem Lodowate morze bieguna.

Dumne lądy tam, kędy wewnątrz zawierają miejsca najwyższej kultury i najroskoszniejsze piękności przyrody, tu, na północy smutno się gubią w płaskich, bezludnych, wylewami Lodowatego morza przepełnionych pustyniach.

Tylko Skandynawia zachowuje jeszcze część odwiecznej siły w rozpadłych, pełnych niebezpieczeństwa, skalistych wybrzeżach i wyspach, przeciwko którym z szumem walczy Lodowate morze.

Azya ma swoje syberyjskie tundry i mchem zarosłe stepy, Ameryka ma jałowe przestrzenie, puste skaliste płaszczyzny tylko wiklinę rodzące, a których bujne rośliny, równają się karłowatym krzakom nad brzegami rzeki jezior, wypełniając doły i parowy tej pustyni.

Lasy dotykają niemal granic koła polarnego, a mianowicie czarne jodłowe przy ujściu Mackenzie i białe nad rzeką Miedzianą.

Rzeczywisty kraj podbiegunowy zaczyna się po drugiej stronie pasu stałego lądu, wśród zalewów Lodowatego morza. Nowa Syberya i Nowaja Ziemia przy brzegach azyatyckich, są grupkami prawdziwych wysp polarnych.

Spitzberg wyskakujący za 80° północnej szerokości, służył długo jako typ wybitny wszystkich postrachów świata biegunowego. Wyjąwszy owe tylko zdała widziane pobrzeża górzysto-sterczącego kraju z pośród syberyjskich lodów, na północy cieśniny Behringa, — on, był jedynym przedstawicielem świata polarnego na wschodniej pół-kuli ziemi. Tymczasem najnowsze badania odkryły daleko straszniejszy, daleko okropniejszy świat na północy amerykańskiego stałego lądu.

Bezpośrednio do amerykańskich wybrzeży, dotyka w północno-wschodniej stronie grupa wysp, które swoim podobieństwem stały ląd przypominają. Niskie, jeziorami i bagnami okryte, tylko tu i owdzie skalistymi wzgórzami piaskowca przecięte, zaledwo do kilkuset stóp się wznoszące—tworzą owe wyspy całość wąskimi kanałami podzieloną a jeszcze węższymi ramionami morza od lądu macierzystego odłączoną.

Cumberland na wschodzie cieśniną Hudsonską od Labradoru, kanałem Fox od pół-wyspu Melville—Cockburn cieśniną Fury i Hekla od pół-wyspu Melville i zatoką Boothia od Boothia-Felix — nakoniec Północny-Sommerset przejściem Prinz-Regent'a od Cockburnu a cieśniną Bellot'a od Boothia-Felix są odłączone.

Wielka wyspa dawniej rozróżniana pod nazwą: Prinz-Wales-Land, Victoria-Land, Wollaston-Land i Prinz-Albert-Land, jest oddzielona cieśniną Victoria i Seelsund od Północnego-Sommersetu i Boothia-Felix; zaś cieśniną Delphin, Union i Dease od posiadłości Kompanii Zatoki Hudsonskiej; a między tą wyspą a zachodnią stroną grupy znanęj dawniej pod nazwą kraju Bank'a wyspą Baringa, cieśnina Prinz-Wales bystro przepływa.

Na północy tego archipelagu wysp, leży drugi, mianowicie dawniej za część polarnego stałego lądu, lub za jeden szereg południowych wysp i półwysp amerykańskich wybrzeży. Teraz tworzą te jednolite grupy, pod nazwiskiem wysp Parry, północny brzeg, tak dawno już szukaną i tyłu ofiarami okupionej drogi morskiej, która z zachodniej strony Lodowatego morza prowadzi do zatoki Baffińskiej i ocean Spokojny z Atlantyckim łączy.

Ciaśnina Bank'a tworzy wejście do tej drogi, która przy Melville znacznie się rozszerzywszy, następnie przez ciaśninę Barrow'a i Lancastersund do zatoki Baffińskiej idzie.

Najbardziej ku zachodowi posunięta, na północy tej drogi, leży zaledwie od trzech lat odkryta i odwiedzana wyspa Patrycka, oddzielona na Zachód ciaśniną Fitz-Williama, kanałem Crozier'a i ciaśniną Kelllet'a od wyspy Melville. Na niej przebył czas długi w zimowym czasie Parry przed 36 laty.

Kanał Byam-Martin odłącza ją od wielkiej i wielokrotnie przecinanej wyspy Cornavallis, która znowu ciaśniną Penny od nowo-odkrytego kraju Grinnell i kanałem królowej i Wellingtona od najbardziej na Wschód posuniętej wyspy Nord-Devon jest oddzielona.

Po za te wyspy nawet sanki najśmielszych badaczy nie mogły się zapuścić, z wyjątkiem wszakże niektórych wysp i zdala widzianych wybrzeży a mianowicie: wysp Pollynia, leżących na północ kraju Grinnell.

Lecz na brzegach zatoki Baffińskiej wznosi się jeszcze inny kraj polarny. Dawniej miano zatokę Baffińską za zupełnie na Północy zamknięte morze a Grenlandyą, ten potężny kraj podbiegunowy, powierzchnią swą równający się Niemcom i Francji razem wziętym, za półwysp amerykańskiego stałego lądu albo za południową część otaczającego biegun północny lądu stałego. Badania lat ostatnich rzuciły całkiem inne światło. Tam gdzie dawniej spodziewano się końca ciaśniny Smith'a, otwarto inną drogę morską prowadzącą z zatoki Baffińskiej do obszarów północnego polarnego morza; — a u wybrzeża północnego Grenlandyi znaleziono kraj nowy, olbrzymim wałem lodowym z Grenlandyą się stykający, od Kane'go, który go odkrył, krajem Washingtona nazwany. Również na zachodzie Jonessund otwartym został i ten kraj na północy, który dawniej u południowego wybrzeża nosił nazwę Nord-Linkoln, teraz w całej północnej rozciągłości od odkrywey swego doktora Kane, nazwę Grinnellandu otrzymał. Jest

on widzialny badaczom do szerokości $82^{\circ} \frac{1}{2}$ a zatem aż do odległości $7\frac{1}{2}^{\circ}$ albo 112 mil od północnego bieguna i można go zwiedzać, choć najbardziej ku Północy jest z dotąd znanych krajów posunięty. Archipelag Parry nieprzechodzi $77\frac{1}{2}^{\circ}$. Spitzberga najodleglejsze wybrzeże zaledwie sięga 80° , a chociaż statki za połowem wielorybów jak np. roku zeszłego „Eolus” kilkakrotnie zbliżyły się tutaj choć Parry w roku 1827 na saniach do $82^{\circ}, 45'$ dotarł, nigdy nikt w podobny sposób nie stawiał czoła zawodom świata polarnego — nigdy śmieliej i szczęśliwiej przeszkody nie zostały zwyciężone jak przez Kane'go i jego towarzyszy, którzy w tych najokropniejszych pustyniach dwie zimy przebyli. Ów jakby nowy, inny świat wysep, rozciąga się od wyspy Patrycka do Grenlandyi a od amerykańskiego stałego lądu do 82° szerokości północnej przez płaszczyznę równającą się prawie obszarowi całej Europy i na nazwę świata polarno-północnego zasługuje.

Lód skuwa te wyspy między sobą a stałym lądem w jedną całość; lodowate mosty rok-rocznie rozciągają ramiona nad dzielącymi je wodami, przeto mieszkańcy pustyni każdej zimy dotrzeć mogą od najostatniejszych krańców północy, aż do krajów zatoki Hudsonskiej.

Charakter amerykańskiej północy, na zachodzie archipelagów powtarza się jeszcze bardzo dokładnie. Niskie, piaszczyste płaszczyzny rozciągają się wszędzie. Wyjąwszy kilku cali zmarzłego gruntu, resztę każdego lata odwilż zamienia w bagna i nieprzejrzane okiem wodne pustynie, które patrzącemu przypominają widok ziemi pierwszego poranku po potopie.

Daliej na Wschodzie przybiera krajobraz dziki, jakby podarty, poszarpany, prawdziwie chaotyczny charakter, szczególniejszą wyspę Melville odznaczający. Widać okropne parowy i skaliste przepaście — olbrzymie bloki kamienne okrywające ziemię, — ostrokończyste jedne nad drugimi piętrzące się skały wsuwające się w morze. Piaskowiec wznosi się jako pagórek kilku-set stopowy, obok niego wapień i granit tworzą obecnie góry od 2—3000 stóp wysokości. Ale najokropniejszy charakter przybiera świat polarny w tym strasznym i brzydkim kraju — jak go nazwał przed stu laty jeden z jego najwierniejszych przyjaciół Paweł Egede, — okropnie porozdzierany, wiecznym lodem okryty, górzysty kraj, którego wierzchołki śniegowe, często do wysokości 5000 stóp nad poziom sterczą i w którego dolinach nigdy nie

mogą szumić bystrych wód strumienie. Tylko spadki lodowe, czynią tu to, co gdzieindziej rzeki zwykły tworzyć, to jest w stanie stałym wodę zbierają i do głęboko leżących fiordów prowadzą, aż dopóki morze swój zdobyczy nie pochwyci i w tryumfie kryształowych skał, na nurtach zbyt wartkich, nie poniesie.

K L I M A T.

II.

Czém jest charakter dla człowieka tém klimat dla kraju. Jak na los człowieka składa się charakter, fizynomija, znalezienie się, tak klimat tworzy podstawę dla wszelkich widoków i odcieni krajobrazu zbiorowego. Ale jak malarz podobnego obrazu nie jest w stanie odtworzyć bez rzutu oka na charakter człowieka, tak i my nie bylibyśmy w stanie dać dokładnego rysu polarnych krajów, gdybyśmy wprzódy nie zaczerpnęli wiadomości o ich klimatologicznej naturze. Klimat najwierniej przedstawia każdy kraj w jego porach roku. Zważając, że pod biegunem tylko dwie pory roku egzystują, to jest zima i lato, albo raczej jedyna długa noc zimowa i jedyny długi dzień lata, żadne zaś stopniowe przejście, ani wiosna, ani jesień nie mają miejsca, tylko przykry, lodowy mrok im pośredniczy—już mamy dostarczone stosunki klimatologiczne bieguna, i życie organiczne oraz fizyonomiję krajobrazową.

Co częstokroć w książkach i szkołach opowiadają o ciemnej nocy polarnej, na oświetlenie której mądra Opatrzność zorzę północną stworzyła; co piszą o słońcu północnym rozlewającym ogniste promienie po lodowych polach, to wszystko więcej nosi piętno fantazyi aniżeli rzeczywistości. Nie tak-to łatwo przenieść i zastosować nabyte wyobrażenia na ów kraj obcy. Rzeczywiście pozostaje tutaj słońce, jak wszędzie na ziemi, tak długo nad horyzontem jak i pod nim. Z tego wnosić nam wypada, że także dzień i noc, światło i ciemność w równy sposób są podzielone; jednakże byłoby to mniemanie błędne. Nasze wyobrażenie o nocach polarnych jest wzięte z długich nocy grudniowych, którym tylko kilkomiesięczne wymiary dodajemy. Obraz ten byłby trafniejszy, gdybyśmy wystawić sobie mogli znaczną liczbę nocy grudniowych jedna po drugiej następujących

i tylko słabym mrokiem od siebie przedzielonych. Płaskie koła, które słońce w tych okolicach polarnych nad i pod horyzontem zakreśla, niepozwalają mu nigdy oddalić się z pod horyzontu i tylko niektóre promienie światła, przez łamanie się w atmosferze, mogą się dostać na powierzchnię ziemi.

Pod szerokością 80° i przy najniższym swém stanowisku, w czasie najkrótszych dni u nas zbliża się słońce do horyzontu w południe do $13\frac{1}{2}^{\circ}$. Głębokość 18° pod horyzontem oznacza dopiero granicę zmroku.

Każdego dnia ciemnej północnej pory zimowej nastaje zmrok w czasie południowym, który ku granicom zimy do zupełnego światła dziennego się zbliża; ale nawet w najciemniejszym dniu przez czas kilku godzin, można najdrobniejsze pismo pod gołym niebem czytać. Tylko w czasie zawieruchy, przy zagęszczonej powietrzu, ta ciemność bywa nieznośną.

W spokojnych zaś i wesołych dniach, jakie przypadają w czasie Bożego Narodzenia, które zwykły wraz z ostrym zimnym przybywać, zmrok południowy tworzy cudownie uroczy widok.

Słońce nie świeci na południu a przecież pyszny koloryt ukazuje się na północy; ognisty różowy pasek odgranicza blado-niebieską część nieba od zaciemnionej ziemi—naprzeciwko oświetlonej strony niewidzialnego słońca.

Skoro gaśnie południowa zorza wieczorna, w wtenczas niekiedy wytryska błyszcząca północna zorza białymi i różowymi promieniami na firmamencie, jednakże nie tak często ażeby, jak-to niektórzy utrzymują, głównie przyczyniała się do oświetlania polarnej nocy.

Wprawdzie księżyc rozlewa srebrzyste światło w tak czystym połysku na te obszerne pola śniegowe, iż jesteśmy w stanie rozróżnić w milowej odle-

głości najdelikatniejsze zarzysy każdej skały i każdej lodowej góry. W ogóle mrok, ciemność nocy zimowej nie tylko łagodzi, lecz owszem przedłuża trwanie dnia letniego.

Noc znika na długo przed świtaniem. Zmiana dnia i nocy w podobnym porządku jak u nas, zaledwie kiedy niekiedy następuje. Południowy zmrok nocy zimowej, prawie nieznacznie przechodzi w dzień letni.

W zatoce Smithsund pod $78\frac{1}{2}^{\circ}$ szerokości, w której to doktor Kane dwie okropne zimy przebył—jest widoczną ta sprzeczność, bo na 120 bezsłonecznych dni zimowych, jeden sześć-miesięczny długi dzień letni, następował. Tak tedy światło u bieguna osiąga stanowcze zwycięstwo nad ciemnością i zabiera większą część roku dla siebie, aniżeli pod uwielbianym niebem zwrotnikowem.

Témbardziej rażąca sprzeczność jest w stosunkach ciepła, która wyradza się z braku wielomiesięcznego promieni słonecznych i ich ocieplających skutków. Liczby w ogóle nie są tu przekonywającą oczywistością témbardziej w temperaturze. Błędnie sądzą mówiąc: że zimno tutaj dwa razy jest większe jak u nas podczas największego zimna—dowodząc że 40° jest dwa razy większe od 20° . Zważywszy jednak że czucie nie jest tu miarą, zapominają nadto że się ma do czynienia ze skalą, u której na oznaczeniu pierwszego punktu podziałki—wiele zależy,—ponieważ skala Fahrenheita ma się inaczej, mianowicie jak 13° i 58° ¹⁾.

Dopiero wpływ temperatury dozwala stanowczego oznaczenia. Gdy usłyszemy że przy -40° Réaumur'a spirytus winny i żywe srebro się stęży, wtedy czujemy tę okropną wysokość zimna polarnego. Nawet roczna średnia temperatura, nie daje zawsze zupełnie dokładnego obrazu stosunków klimatologicznych.

Paryż i Niuyork mają prawie równą, średnią roczną temperaturę, ale jakże różny jest jednakowoż ich klimat? Tutaj łagodna zima nawet w styczniu nieprzechodząca średniej temperatury $+2^{\circ}$,—tam tegi mróz przez trzy miesiące stale utrzymuje termometr poniżej punktu marznięcia; średnia temperatura stycznia wynosi $-4\frac{1}{4}^{\circ}$ i cała zima łagodzona jest ognistym skwarem słońca.

W ogólności w średniej temperaturze rocznej mamy pierwszą podstawę do każdego obrazu klimatologicznego.

¹⁾ Podług Fahrenheita — 13° = — 20° Réaumur'a
ditto ditto — 58° = — 40° ditto.

(przypisek Tlum.).

Kiedy usłyszemy że u północnego-przylądka (Nord-Cap) najbardziej ku północy posuniętego punktu Europy pod 71° północnej szerokości — średnia temperatura roczna jeszcze 0° nie wynosi—tymczasem takowa na Smithsundzie ($78\frac{1}{2}^{\circ}$ półn. sz.) na $11,09^{\circ}$; na Boothia—Felix (70° półn. sz.) na $-12,6^{\circ}$; na wyspie Melville (75° sz. półn.) na $-13,07^{\circ}$; w zatoce Mercy na wyspie Baringa (74° półn. sz.) na $-14,03^{\circ}$ wypada; wtedy jesteśmy w stanie wystawić sobie okropną sprzeczność pomiędzy wszystkim co leży w obrębie naszego doświadczenia i wyobraźni, a między przyrodą lodowatych krajów polarnych.

Jeszcze dobitniej uzupełnimy ten obraz, jeśli iść ślad w ślad będziemy za rocznym przebiegiem temperatury północy. W ogólności egzystuje błędne mniemanie jakoby lodowate polarne zimno zupełnie się skupiało w długiej zimowej nocy i jakoby później ogniste, choć krótkie lato, jego grozę wynagradzało.

Lato jakie mają Laponia i Syberya; w ogóle to, co nazywamy ciepłem, znanem zupełnie niebywa krajom polarnym. Rzadko w tych okolicach, nawet w długich nocach letnich temperatura dochodzi $+6^{\circ}$ R.

W zatoce Mercy w roku 1852, jeszcze w środku lipca kraj był głęboko śniegiem pokryty; dopiero 25 lipca, małe strumyki wodne rozpoczęły z nizin spływać tworząc bagniska na powierzchni lodów. W czerwcu podniosła się temperatura na $+5\frac{1}{2}^{\circ}$ R. ażeby naturalnie już 20 sierpnia na -2° ; 27 sierpnia na -6° opaść.

Ale i tak małe ciepło cudownie tutaj oddziaływa w połączeniu z ciągłym światłem słonecznym. Z gruntu zmarzniętego, który nawet w lecie tylko na kilka cali rozpuszcza, cudownie prędko wyrastają trawy i kwiaty; a gdzie jeszcze przed kilku dniami przyroda zimowym całunem okryta była, tam błyszczy kwiecisty łąk dywan. Nie tylko zmarzła ziemia lub rospadliny skał i brzegi parowów, w zielony strój się ubierają, ale nawet wysoko na lodowych górach, widać trawy i zioła bujnej wegetacji, które tylko szczęśliwszych stref nieba są udziałem. Wprawdzie jak cudownie szybko wszystko się zjawia, tak też szybko znika. Zima jest panującą u bieguna, a lato nie zupełnie ją ruguje. Lato jest tylko walką między powstawaniem a zniszczeniem. Tchnienie lodowe wśród długiego dnia letniego, zniszczy zieloność i kwiecie. Bezsłoneczny dzień mglisty przygotowuje długą noc zimową. Śniegowe uragany huczą nad krajem. Temperatura stopniowo spada do -20° R. Wtedy to wszystko obumiera; śnieg i lód okrywa ziemię, mgła niebo.

Ze styczniem rozwija się cała srogość północnej

zimy. Wiatr od amerykańskiego lądu, rozpędza mgły; powietrze staje się jasne i czyste, a zimno dosięga okropnej wysokości — 40 do 40° R. Śmiertelna spokojność panuje; nic nie słyhać prócz trzaskania lodu i bicia własnego serca!....

Ostatnie dni marca przynoszą nareszcie wybawienie i to tak nagle że termometr w kilku dniach z — 39° R. na — 13°, a czasami nawet nad punkt marznienia się wznosi. Ale tak nagłe ułagodzenie nie wzbudza miłego uczucia; zimno — 12° nieoddziaływa stopniowo ale jak letnie parne powietrze rozstraja. Ciągła zmiana burz śniegowych i deszczowych, lodu i topnienia, oznaczają wiosnę krajów polarnych których średnia temperatura nie przechodzi — 12° do — 15°.

Co za okropna sprzeczność z klimatem naszego kraju!

Zrozumiemy okropności północy dopiero wtenczas zupełnie, skoro porównamy je z ojczystą przyrodą.

Lipiec, najcieplejszy miesiąc krajów polarnych, jest tylko o jeden stopień cieplejszy od naszego marca; a nasze najzimniejsze miesiące styczeń i luty, odpowiadają mniej-więcej sierpniowi albo ostatnim dniom maja u bieguna.

Najzimniejsza połowa roku od listopada do kwietnia jest u nas jeszcze o 5° cieplejsza aniżeli najcieplejsza połowa północnego roku od maja do października.

Gdyby doświadczenia śmiałych podróżników nie dały nam poznać świata wysp na północy Ameryki,

jako najzimniejszych krajów na ziemi; tobyśmy nie mieli niezaprzeczonego dowodu, do którego nigdy, na drodze teorytycznych wniosków dojść nie bylibyśmy w stanie.

Pod tą samą szerokością, pod którą Boothia-Felix wieczny lód okrywa, najbardziej na zachodzie leżąca Norwegia dozwala jeszcze uprawy ziemi i pod tą samą szerokością, pod którą w Grenlandyi ani kartofle ani nawet wiklina nie rośnie, w okolicach Dronthiem dojrzewają wiśnie; zaś w okolicach Chrystyjani jabłonie i morelowe drzewa.

W czasie gdy odnoga morza Bałtyckiego rok-rocznie lodami się wypełnia i kra najwyższych granic Kategatu sięga; skoro nawet morze Azowskie każdego roku okrywa się lodem na stopę grubym — na odwrót Fiordy Dronthiemu, Tromsøe i Hammerfestu zupełnie nie znają lodu.

Do Przylądka-północnego nie sięga nigdy lodowa góra lub bryła: i gdy lodowe góry corocznie wschodnie wybrzeża Ameryki do szerokości Lizbony zapelniają; setki okrętów przebywają wśród nocy polarniej bezlodowe morze u północy Europy, które w lecie po za granicę Spitzbergu za 80° sz. sięga.

Takie rażące sprzeczności między klimatem a położeniem geograficznym dają się tylko wytłumaczyć osobliwą konfiguracją krajów w połączeniu z pędem morskim i powietrznym.

Z tego otrzymamy zupełne pojęcie klimatologicznego obrazu o biegunie północnym a nawet rozświetli to nam ciemny horyzont bieguna i jego okolic.

MORZE U BIEGUNA.

III.

Rzecz ciekawa jak ważną przez całe tysiącolecie odgrywał rolę „wstręt do próżni” *horror vacui*, który przypisywano przyrodzie.

Z przyrody nauka usunęła ten postrach, ale człowiek długo jeszcze będzie mu podlegał.

Wypełniać próżnię, jest to tajemnicza żądza, która oddawna w życiu i nauce na największych i najnierozumniejszych oddziaływała; a sztucznie wypełnione albo raczej zakryte próżnie, były zawsze największą tamą wszelkiego postępu.

Ażeby próżnię wypełnić, ludy wynajdywały kosmogonie i mythy, wymyślały pośmiertne, zagrobowe tajemnice — uzbrajały oczy w mikroskopy i teleskopy. Przez próżnię, początku i końca zapominano lub też zaniedbywano często samego zjawiska, aż znudzeni poszukiwaniem, dawali początek gdzie go nie było i improwizowali koniec gdzie go być nie mogło.

Godzinami błąkałem się raz po bagnach i zarosłach w górach sosnowych dla znalezienia źródła Menu; gdyby nie pomnik który mi takowe objaśnił

byłbym miał zań pierwsze lepsze bagno i później byłbym niemniej dokładnie o tém źródle opowiadał.

Tak też tysiące lat ludzkość szukała źródła życia, lecz żaden pomnik go nieoznacza i kto za to zaręczy iż podobnież znużeni bezowocném szukaniem, nie wzięlibyśmy za działacza pierwszego lepszego bagna, któreby siłą życia nazwano.

Nauka ma tysiące próżnych miejsc w swych systematach i teoriach, podobnie, bo nie lepiej wypełnionych. Takie urojenia wprowadziły największych myślicieli na błędną drogę i więcej łamania głowy spowodowały aniżeli cudotwórcza rzeczywistość. Nie jedna próżna karta uchodzi za zapełnioną i nie wolno jest tym ludziom powiedzieć że jest pustą, gdyż znaczyło-by to wystawiać na ciężką próbę ich skromność i cierpliwość.

Nigdzie ten popęd do wykrycia i wypełnienia próżni nie oddziaływał silniej jak w badaniach geograficznych. Wyjawszy żądzy złota, nic bardziej ludzi w dalekie kraje nie zapędzało, ani do stawiania czoła niebezpieczeństwu i strachom nie nagliło, jak tylko skromna żądza odkrycia nowego punktu lub linii na karcie geograficznój. Okazyi do tego niebrakowało. Chociaż jaskrawo i pełno wyglądają karty geograficzne, jest jeszcze na nich nie jedno miejsce, równające się tym starym kartom wnętrza Azji i Afryki pokrytym niezliczonemi nazwiskami, które później skromność musiała zostawić próżnemi. Grecy mieli swoje Atlantis i wyspy Zbawienia — ocean nauki połknął je. My mamy podobnież nie jedną Atlantis, nie jeden kraj Dziwów i przed niedawnym czasem leżał on po drugiej stronie okropnych krajów, które kiedyś pod biegunem ziemi opisywaliśmy.

Kraj cudowny u bieguna północnego!

Cośmy dotąd donosili o największej bliskości tak pełnego tajemnic punktu, nie powinno w żadnym razie drażnić fantazyi ani zapełniać jój obrazami własnej wyobraźni. A przecież zdaje się że tylko fantazyja ma wstęp do tego kraju, ludzkim niewidzianego okiem, do którego nikt na 100 mil się nie zbliżył.

Jakiż musiałby to być obraz, któremu lód i noc północnego wysp świata użyczyła swego kolorytu? Lecz my nie powinniśmy popuszczać cugli fantazyi, żeby nam się tak nie stało jak starożytnym, którzy sądząc z włoskiego nieba, widzieli północzaledwie lepszą jak ten świat podbiegunowy, gdzie dzisiaj najświetniejsza kultura kwitnie i miliony mieszkańców napawają się łagodnemi powaby rodzinnego kraju.

Rozum jedynie ma wodzić pędzlem naszego krajobrazu.

W najbardziej na północ leżących szerokościach, do których pociąg badawczy wprowadził śmiałych podróżników, odkryto labirynt krajów i wysp wąskimi kanałami i lodowemi górami między sobą połączonych. Gdyby nasz zwykły pogląd był prawdziwym, że zbliżając się do bieguna w podobnej mierze również temperatura się zniża wraz z innemi zjawiskami przez nią zawarowanemi, — czémże innym byłby wtenczas biegun, jeśli nie rozpaczliwą, wieczną lodową pustynią, dziko podruzgotaną i najeżoną do wysokości wież lodowemi kolcami; — lodowatą pustynią przed której okropnością nawet Syberya wyglądałaby na raj ku sobie nęcący. Ale przyroda nie dopuszcza takich wniosków, ona nie zna praw wyjątkowych, ale podobnież i żadnych reguł o jakich marzymy, — jest-to różnorodność sił, która przez jednomyślność praw staje się różnorodną w swych objawach.

Pod równym stopniem szerokości znajdowałibyśmy w Skandynawii najbujniejsze lasy, pola owsem, jęczmieniem i żytem zasiane, zaś w Grenlandyi stwardniały lód — a u wybrzeży jój lodowych potoków, zaledwie na cal jeden wysokie zarośla.

Klimat kraju i jego świat żyjący mniej zawisł od szerokości geograficznój aniżeli od formacyi, obszaru i podziału wód, lądów i prądów morskich.

Tak głęboko zakorzeniło się zdanie o lodowej naturze bieguna i tak na pewno wierzono iż dotąd już obliczona jego średnia temperatura, że kiedy w ostatnich latach wyszły na widok badania, które zupełnie sprzeczne z pierwszemi dawały zdania, odpowiadało na takowe śmiechem i drwinami, szydząc: że nie wiele warte elizejskie pola i oazy w obec bieguna północnego. Ale gdy fakta zwiększyły się i coraz stawały się nie wątpliwszemi, w tej chwili dawne mniemanie zmieniło się w całkiem przeciwne — powstał dowód że tylko fantazyja pędzlem kierowała — i wtenczas to marzono o kraju cudów pod biegunem.

Przypominano sobie dawne skandynawskie sagi, które wskazywały kraj nabierający pomyslnego wzrostu i błogosławione wyspy z tamtej strony biegunowej, lodowej strefy. Pamiętano o ruskich sprawozdaniach z podróży po wielkich miejscach ciągle w rozległą wodę w wysokiej północy Nowej-Syberyi obfitujących. Zaginiony Franklin miał niby dotrzeć do tego kraju dziwów i znajdować się w pomyslnym klimacie, z którego ma powrót odcięty, ponieważ silny pęd wiatru bezprzestannie ku biegunom wieje i odwrót mu tamuje. Jedném słowem wszystkie fantastyczne zjawiska niegdyś o mniemanym, wielkim,

południowym kraju utrzymywane, miały się na raz jeden w naszym pełnym światła stuleciu urzeczywistnić. Winniśmy się stale trzymać faktów, których najnowsze wyjaśnienia dotyczące przyrody bieguna północnego dostarczyły, ażeby rozwiązać pytanie: czy ten tak wielce interesujący punkt, jest krajem lub morzem? i czy takowy również jest fizycznym punktem środkowym tak ziemnej jako i matematycznej strefy?

Na wędrówkach przez te obszerne, puste okolice labiryntu otoczonego lodowemi pasami, wszyscy podróżnicy zostali zdziwieni dostrzegłszy stopniowy postęp temperatury i z nią połączoną bujniejszą wegetację; oraz bogatszą żywotność zwierząt, im bardziej zbliżali się ku północy. Tu wieje wiatr stały zachodni i północno-zachodni a z nim zjawia się zawsze mgliste i dżdżyste powietrze. To wszystko kazało się domyślać, jakoby w pobliżu znajdowało się wielkie otwarte morze u północy i zachodu lodowego wysp świata i zanim jeszcze brzegi tegoż osiągnięte zostały, już nie uszedł oczom badacza jego obraz na firmamencie odzwierciedlony. Ta sama wieszczka, która pod ognistemi promieniami zwrotnikowego słońca ludzi nęcącemi obrazami, podobnie i tutaj rozwija swą sztukę. Łamanie ukośnie, na błyszczące płaszczyzny lodowe, padających słonecznych promieni, dostarcza tak czarującego widoku na niebie, że nawet najprozaiczniejszego majtką w zachwycenie wprawia.

Zdala pod horyzontem ukryte lodowe wyspy, podnoszą się i wydają jakby w powietrzu zawieszone z całym przepychem kolorów i uroczą formą. Ale żeglarz w ruinach, kolumnowych przedsionkach i mostach, w żółtawym odbiciu się na srebrzysto-białym świeżo spadłym śniegu, jako i w błękicie nagich skał, dostrzega tylko kartę, według której bieg swój kieruje — za zwierciadło w którym otwarte morze i ochronne porty przed groźnym lodowym labiryntem widzi. Żeglarz odwraca swe oko od czarownego widoku lodów u wschodu, ażeby dojrzeć zachodniego horyzontu wodnego nieba, ciężkimi i gęstemi chmurami okrytego, a które się tylko tworzyć może nad szerokiem i otwartem morzem. Tam on bieg swój kieruje, i o dziwy! — przed nim rozpościera się obszerna powierzchnia morska, dalej niżeli oko sięga, bogata w zwierzęce życie i obfitująca w roślinożerne i inne zwierzęta, które u brzegu pożywienia wyszukują albo bez obawy w pobliżu ludzi przebywają.

Już Parry był wstrzymany przez także samo otwarte morze, w czasie swój podróży na saniach do bieguna północnego, którą w tém przekonaniu przed-

sięwziął, że stały lód sięga bieguna pod $82\frac{3}{4}^{\circ}$ szerokości północnej. Nakoniec znalazł tylko jedyną bryłę lodu, która jemu i jego towarzyszom za pewne schronienie w czasie spoczynku służyła. Podobnie Krangiel i Anjou widzieli przed sobą na północy Syberyi daleki, niezmierny ocean. W ostatnich latach odkryto takie otwarte morze u wybrzeży północnych wysp Merville i Patrick'a i przy ujściu cieśniny Penney, Fonesa i Smithsundu.

Gdy Penny 16 maja 1851 roku przy wyjściu z kanału Wellingtona dotarł otwartego morza i ujrzał się otoczony nowym krajobrazem, gdy zobaczył konie morskie, kaczki puchowe islandzkie i inne ptaki nad sobą przelatujące, które o téj porze zaledwie na 10° ku południowi są widzialne — uczuł się do tego stopnia zachwyconym, iż jakkolwiek w bogactwie spostrzeżeń na morzach biegunowych nie miał równego, zaprzysiągł nigdy się więcej ze swych doświadczeń nie chlubić.

Opisy, które podróżnicy o tém otwartem morzu podają, brzmią zaiste! bardzo odmiennie.

Wtenczas gdy jedni dostrzegali spokojnie falujące wodne płaszczyzny, na których nawet wielodniowe, ciągłe północne wiatry, kry nie przypędzały; innym tenże widok dostarczał przerażających obrazów zgnębionego żywiołu, wypełnionego przez dziko pędzące kolosy lodu. Że znajduje się otwarte to jest nie zupełnie zamrożone podbiegunowe morze na północy Syberyi jakoteż i u amerykańskiego wysp świata, są na to dowody, niczem nie odparte i nie zbite, bo na świadectwie zmysłów polegające.

W pobliżu cieśniny Behringa, bywają czasami polawiane wieloryby, w których tkwią harpuny noszące stępel okrętów o których jest wiadomo że u wybrzeży wschodnich amerykańskiego lądu szybowały; możnaby z tego wnosić że te wieloryby około przyładku Horna albo Dobrój-Nadziei z jednej strony Ameryki na drugą się dostały. Ale gdyby nawet nie to, że często nowe daty harpunów tak długą podróż jako zupełnie niepodobną do prawdy wydawają, przecie najświeższe badania naprowadziły na przekonanie, iż okolice zwrotnikowe oceanu dla północnego wieloryba są ognistym morzem, w którym on się nigdy nie nurza, przez które nigdy przebyć nie zdoła.

Ponieważ znowu z drugiej strony wieloryby nawet na taką odległość pod lodem przeprowiać się nie mogą, jak tego kanały lodowe między wyspami Parry dostatecznie dowodzą, przeto tamto zjawisko jest niezbitym dowodem, że przynajmniej w pewnych czasach stoi otworem wodne połączenie przez morze

podbiegunowe z jednej strony Ameryki na drugą. Najlepszym zaś dowodem nie tylko istnienia kanału ale nawet otwartego podbiegunowego morza, dostarczają morskie prądy, które jednocześnie objaśniają te szczególne klimatologiczne sprzeczności. Maury opowiada, jak blisko, w skutek tych prądów, ciepła woda w morzu i ostry klimat na lądzie lub lodzie z sobą graniczyć mogą: tego daje trafny przykład każdej zimy „Prąd-Zatoki” (Golfstrom) który klimat Labradoru, Nowej-Anglii, Nowej-Szkocji i Newfoundlandu podobnym czyni. W tych okolicach termometr często opada do 14° R. pomimo wielkiej bliskości letnich wód Prądu-Zatokowego, do którego z tych ostro-zimnych okolic, przy pomyślnym wietrze w ciągu dnia jednego dostać się można. Pod nazwą Prądu-Zatoki (Golfstrom) ocean Atlantycki przesyła swoje, pod zwrotnikami ocieplone, wody, na północ. Z temperaturą 22° R. sięga pod 40° Sz. pół. przepływając wodne wybrzeża rozszerza się ten strumień na wiele tysięcy mil kwadratowych wśród zimnych wód i otacza ocean na około ciepłym łagodzącym ostrość zimy. Golfstrom przedzielony wyspami Wielkiej Brytanii, wysyła jedno ramię do odnogi Biskajskiej, drugie zaś daleko wyżej ku podbiegunowemu wodozbirowi gór Szpicbergu. Łagodna i wilgotna atmosfera mu towarzyszy, a każdy wiatr zachodni krzyżując go, odbiera mu część ciepła celem złagodzenia zimowych skandynawskich nawałnic, ażeby „Erin” uczynić szmaragdową wyspą morza, a wybrzeża Albionu zawsze zieleniejącymi;—gdy tymczasem, na zachodniej stronie oceanu, pod tą samą szerokością Labradoru wybrzeża leżą spętane lodowami kłamrami. Jeszcze w pobliżu Szpicbergu, morze jest tylko o 1° zimniejsze w równej głębokości aniżeli morze Karaibskie. Podobny wpływ niezawodnie jest zdolny objaśnić proporcjonalne istnienie otwartego morza nawet na północy Szpicbergu i Syberji. Ale zachodzi pytanie czy to otwarte morze jest tem samym, które u ujścia cieśniny Penny i Smithsundu było widzialnym?—czy jest w stanie zataczać ciepłe morskie wały aż do lodowych wybrzeży wysp Parry i zatoki Baffińskiej?

Dawniej byliśmy skłonni do uważania całej próżni na kartach naszych geograficznych między północnymi brzegami Azji i Ameryki, za Lodowate morze. Po odkryciu wysp Parry sądzono że można położyć granice temu krajowi wysp, u zachodu wyspą Melville; témbardziej że odkrywcy zachodniej części amerykańskich północnych wybrzeży nigdzie nie wzmiankowali o przeciw-położonym kraju. Najnowsze badania istotnie ten pogląd zmieniły. U północy cieśniny

Behringa rzeczywiście były widziane wyspy i wybrzeża nieznanych obszarów lądu. Ogromne, każdej porze roku czoło stawiające masy lodów, obok wąskiej otwartej drogi morskiej wzdłuż zachodnio-północnych brzegów Ameryki, dowodzą istnienia stałego lądu, przy którym mogły się rozwinąć i znaleźć uchronę od uderzeń bałwanów i prądów potężnego oceanu, oraz wskazują formację lądu stałego i wysp będących zachodniem przedłużeniem gromady wysp Parry.

Odkrycia Dra Kane u wysokiej północy Grenlandji pozwalają przypuszczać, że takie formacje lądów na północy wysp Parry i po za cieśninę Behringa dalej się ciągną aż do przylądka Jakan lub też nawet do Nowej-Syberji.

Otwarty wodozbiór morski niewątpliwie jest obszerniejszy od morza zatoki Baffińskiej, co się tylko da objaśnić skutkiem szczególniejszych prądów morskich. W głębi tego to wodozbioru istnieje świat wysp, odcięty pasem lodów i lądu od wielkiego syberyjskiego podbiegunowego morza i niedotykany ciepłymi wodami oceanu—jak tego dowodzi zupełny brak drzewa napływowego ze syberyjskich wybrzeży, zmuszający Eskimosów Smithsundu do budowania sani z zębów konia morskiego lub rogów narwala.

Prąd-zatoki nie wysyła swych wałów do odnogi Baffińskiej; obrót ziemi zwraca go ku wschodowi.

Ciepłe wody oceanu mogą tylko słabo dotrzeć przez wąską bramę cieśniny Behringa, to wejście do macierzystego siedliska odwiecznego lodu, lecz sterzące zachodnio-amerykańskie wybrzeże zmusza je do odwrotu. W miejsce tych wód wciska się bezprzestannie z zatoki Baffińskiej, potężny strumień zimnej wody podbiegunowej, obciążony ogromnymi górami i polami lodowemi. To stanowi równowagę w kołowym biegu oceanu; gdyż woda od równika do biegunów o tyle wpływać może, ile jęj od biegunów do równika powraca. Ten-to potężny strumień w lecie 1849 roku, pochwycił okręt kapitana James Ross'a, unosząc go ciągle wśród nawału lodów, z cieśniny Barrow'a przez Lancastersund do zatoki Baffińskiej i do odwrotu go zmusił. Był to ten sam strumień na którego grzbiecie w roku przeszłym, jeden z pozostawionych 1854 roku okrętów Belchera w Melvillsundzie uszedł; i bez majtków, bez sternika, nawet bez najmniejszego chłopca okrętowego, w zupełnie dobrym stanie, mimo raff i wzburzeń morza, do ujścia cieśniny Davis'a przyżegłował.

Ale naprzeciw górno-morskiego zimnego prądu, płynie dolny podmorski od Atlantyckiego oceanu, przez cieśninę Davis'a do morza Podbiegunowego.



1.

3.

2.

4.

Badania podbiegunowych żeglarzy dawno ten fakt stwierdziły.

Ogromne góry lodowe, których szczyty wysoko w powietrzu sterczą a stopy nurzają się w głębiach oceanu, z niesłychaną gwałtownością przecinają powierzchnie górnych prądów, prowadzących okręta na południe i dolnych, niosących ku północy.

Strumień dolny przybywa z cieplejszego południa a jego temperatura nawet pod 0° R. nie sięga.

Gdziekolwiek w podbiegunowym morzu musi się miejsce znajdować, w którym prąd dolny na północy się kończy a jako górny ku południowi płynąć zaczyna; to miejsce zaś, może tak odmienne jak Prąd Zatoki, ponieważ zawisło od mniej-więcej wolnego przystępu dolnego prądu do lodowej powierzchni i od szybkości górnego, z którym dolny się równoważy. Tam gdzie dolny strumień swe wody do powierzchni wynosi, musi się tworzyć wodozbiór, którego woda dochodzi temperatury dolnego strumienia i oczywiście nad punkt marznięcia sięga. Podobny wodozbiór znacznej rozległości wśród Lodowatego morza z temperaturą 0° albo nawet 2° R, (punktem marznięcia morskiej wody) wywierać musi skutek pieca północy i zarazem przyczyniać się do złagodzenia zimna w okolicznych stronach.

Maury, założyciel fizyki morza, najnowszymi badaniami dowiódł, że istotny udział w prądach i wpływach temperatury, zależy od słoności morza. W miarę odparowania, słoność morskiej wody i jej ciężkość gatunkowa wzrasta, zaś przez skraplanie w zimnych strefach, tylko słodką wodę dostarczających, słoność i ciężkość tak samo się zmniejsza. Z tego wynika kołowy bieg wód oceanu. Górny strumień mniej słonej wody, od bieguna do równika, i dolny, więcej słonej od równika ku biegunom płynący, przeważnie

ułatwia bieg kołowy oceanu przez wymianę ciepłej i zimnej wody między równikiem i biegunem. Lecz ciężka słona woda pod zwrotnikami jest zarazem ciepłą—opada i jako zły przewodnik tak prędko nie stygnie; przytém jest szczególnie zdolna ciepło w bardzo odległe okolice przez podmorskie prądy, dla złagodzenia klimatu przenieść; wypływając w otwarty wodozbiór, wśród stężonych mass podbiegunowego lodu. Parowanie jest przyczyną tego nieustającego przyływu.

Słodka woda w głębinach pozostałaby bez ruchu, lecz słona woda zmienia, przez parowanie, ciężkość warstw górnych i zmusza wody najgłębszych otchłani morza ustąpić miejsca zniżającym się i na wierzch wypływać. Najosobliwszy jednak jest w tym udział świata żyjącego, oceanu.

Każdy polip, mięczak lub wymoczek, który z wody morskiej czerpie stały materiał do budowy swych celek, przeszkadza tym sposobem równowadze oceanu i w bieg go wprowadza przez zmianę gęstości wody płynącej od równika do biegunów, od powierzchni do największych głębin.

Kto zna obszary tych budowli morskich, ten nie może mało cenić ich znaczenia względem prądów morza. Mały ten świat żyjący zdaje się być główną przyczyną do podnoszenia ciepłych prądów morskich, gdyż przez ich budowle, stałe materye a z niemi gęstość ciężkiej słonej wody się zmniejsza.

Zapewne leży coś wzniosłego w tej myśli, że korałe w czasie budowy swych skał, pośród wiecznego zwrotników lata, zarazem są przyczyną do rozszerzenia ciepła na wielkie obszary i podbiegunową zimę łagodzą, że przeto słońce i życie podzwrotnikowe jakby cudem utrzymuje otwarte morze wśród okropnych lodów polarnego wysp świata.

CZTÉRY GATUNKI KOTÓW.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Kot domowy nie pochodzi, jak to dawniej utrzymywano, od dzikiego kota w Europie zamieszkałego; a do poparcia tego zdania przyczynia się najwięcej ta ważna różnica, jaką napotykamy nie tylko w kształtach zewnętrznych i powierzchniowych, ale nadto w budowie anatomicznej całego ciała, a mianowicie

w szkielecie tych zwierząt. Dopiero nowszym czasem udało się oznaczyć z pewną dokładnością pochodzenie kota domowego. Już niektóre szczegóły dotyczące kota naszego, napotykane w starych pismach, zapewniają że to domowe zwierzę nie było początkowo europejskiem, ale dopiero od Xgo stule-

cia znaném być poczęło w krajach Europy dalej ku północy położonych; gdy tymczasem starożytni Egipcyanie, już przed kilkoma tysiącami lat, liczyli kota domowego pomiędzy zwierzęta, którym cześć religijną oddawali. Dowodem tego są liczne malowidła i rzeźby na pomnikach egipskich napotymane, a badania mumii kocięj przekonywają nas, że ów przez Egipcyan czczony kot zupełnie odpowiada naszemu domowemu. Już ta sama okoliczność każe nam wierzyć, iż Egipt właśnie jest ojczyzną naszego domowego kota. W istocie napotykamy w skalistych i gęstych okolicach Nubii i Kordofanu pewien rodzaj kotów, który z małemi tylko odmianami wielkie ma podobieństwo do naszego domowego kota.

Zdaje się, że rodzaj ten, mający kolébkę swą w Egipcie, rozpowszechniać się począł najprzód w Arabii i Azji mniejszej, następnie we Włoszech i Grecyi, posuwając się coraz dalej na zachód i wschód Europy. Tu musiał kot domowy początkowo być bardzo cenioném zwierzęciem, gdy prawo angielskie, jako karę, za zabitego lub skradzionego kota tyle przeznaczało pszenicy, ile potrzebném było do zupełnego zakrycia kota za ogon zawieszzonego a pyskiem dotykającego ziemi.

Przed trzystą prawie laty kot domowy przeniesiony został z Europy do Ameryki południowej, gdzie również dość znacznej uległ odmianie. Pokryty tam on jest bowiem krótkim, cienkim, stojącym, połyskującym włosem, którego krótkość szczególnie na ogonie jest uderzającą, bo nadaje mu właściwą bezkiścistą, prawie gołą postać.

Południowo-amerykański kot domowy daleko mniej przywiązał się do człowieka niż kot europejski. Przebiega on bez przeszkody lasy i pola i jedynie tylko w czasie niepogody chroni się do mieszkań ludzkich. Mimo tego zamiłowania niezawisłości, nie powraca on już więcej w tych gorących krajach do stanu pierwotnej dzikości. Chociaż prawie przez cały ciąg pory letniej w lasach lub w otwartém przebywa polu, chociaż się tam nawet rozmnaża; w zbliżającej się jednak porze dżdżystej, powraca on wraz z potomstwem swoim do ludzkich mieszkań. Kot, nawet domowy, w tamtejszym gorącym klimacie nie jest w stanie przetrwać pod gołym niebem zimnej pory roku. I to również utwierdza nas w tém przekonaniu, że kot domowy z gorącej pochodzi strefy.

Kot, jako zwierzę domowe, daleko i szeroko się rozpowszechnił, i gdziekolwiek tylko osiedlał się człowiek, wyjąwszy najzimniejszych krajów jako to: Laponii i Grenlandyi, on wszędzie był mu nieodstę-

pnym towarzyszem. Kot jest również w Azji, Ameryce i Australii rozpowszechniony, jak w Europie i Afryce.

Różne odmiany kota domowego są daleko mniej wydatne, niż rassy wielu innych domowych zwierząt, mianowicie psa; a odmiany te, polegają po większej części na różnicy w długości, cienkości, ilości i kolorze włosa. Mimo-to jednak zdaje się, jakoby nie wszystkie rassy były jednego i tego samego pochodzenia.

Kot biało-szarawego koloru, z ciemnymi pręgami po bokach, z pierścieniowatym ogonem, gatunek szczególnie w Niemczech rozpowszechniony, jak również i egipski kot domowy, pochodzą bez najmniejszej wątpliwości od kota nubijskiego, a za odmiany tegoż można uważać kota jednokolorowego czarnego lub białego. Również tak zwany kot hiszpański odznaczający się miękkim i krótkim włosem, i trojańskim ubarwieniem to jest: czerwono-żółtém, czarném i białem (fig. 3) bez najmniejszej wątpliwości do tej grupy ras policzonym być winien. Inny jednak rodzaj, w Niemczech, najwięcej rozpowszechniony, tak zwany kot cypryjski (fig. 1). Z koloru włosów i deseni najbardziej do dzikiego kota zbliżony, powstał zapewne w skutek złączenia się egipskiego domowego z europejskim dzikim kotem. Tém prawdopodobniejszém zdaje się być to przypuszczenie, że ta właśnie rasa kotów, jest ową, która z największą łatwością wraca do dawnego na pół dzikiego stanu, w jakim znaną jest u nas pod nazwiskiem kota polnego.

Trzeci rodzaj *kot angorski* (fig. 2) pokryty włosem długim, jedwabistym, już-to zupełnie białym, już-to żółtawym, już wreszcie siwawym, rzadko mieszane-go koloru, z Angry w Syrii pochodzący, mający wargi i spodnią część nogi (podeszwę) cielistego koloru, zdaje się nie pochodzić od nubijskiego, lecz od stepowego kota (*felis manul*). Ten ostatni przebywa na spadzistych skałach tartaryjskich i mongolskich stepów, około południowych przedgórz uralskich, na Altaju, za Bajkałem i jest po całej Azji środkowej rozpowszechniony. Kot stepowy różni się od europejskiego kota dzikiego dłuższym włosem, dłuższym ogonem, większą głową i ilością zębów trzonowych.

Kot angorski w obyczajach swoich najbardziej różni się od zwykłego kota domowego; ociężałość, ospałość i nieporządek są jego przymiotami. Owocem spółkowania kota angorskiego z zwyczajnym kotem domowym jest prawdopodobnie kot kartuzyjski (fig. 4).

Prócz tych czterech ras odróżniamy jeszcze kilka mniej znanych odmian, które prawdopodobnie ró-

wniez z dzikich kotów w sposób zwykły, lub przez połączenie się dwóch różnych rodzajów—swoją początek biorą. Tak np. odróżniamy kumańskiego kota z Kaukazu, czerwonego tobolskiego z Syberii, kaspijskiego, chińskiego z długimi obwisłymi uszami, malajskiego na archipelagu malajskim i Madagaskarze; następnie kota z gołym ogonem, japońskiego z krótkim ogonem i bezogonowego z Kornwallii.

Zdaje się że kot domowy nawet z kuną młode mieć może.

Z pomiędzy wszystkich zwierząt domowych kot najniżej zmienił właściwy sobie charakter; więcej okazuje przywiązania do domu w którym był wychowanym, niż do ludzi, którzy go wychowali; wiadomą bowiem jest rzeczą, że kot zwykle w dawnym pozostaje domu, jeśli mieszkańcy jego mieszkanie zmienili; co więcej, odszukuje go i powraca doń nawet z kilkamilowej odległości. I przy najstaranniejszym pielęgnowaniu nie jest człowiek wstanie tak dalece obłaskawić kota jak psa. Za powód do tego z jednej strony posłużyć może samo już naturalne usposobienie kota; z drugiej strony, przyczynia się tu zapewne nie mało i ta okoliczność, że z pomiędzy wszystkich domowych zwierząt, kot odbiera jak najniżej pożywienia z ręki człowieka i że przyrodzoną posiadając zręczność w wdrapywaniu się, mniej przywiązuje się do pojedynczych części domu a tém samém łatwiej ująć może przed zamknięciem i karą.

Znana fałszywość i krwiożerczość kota, nie mogą go uczynić miłym towarzyszem człowieka. Również i usposobienie kota nie może iść w porównanie z usposobieniem psa. Wszystko u niego dąży do jednego celu, to jest do zaspokojenia popędu naturalnego. Niesłuszniebyśmy mu jednak zaprzeczać chcieli pewnego przywiązania, pewnej zawisłości od człowieka; przecież pomimo tego nie jest on zdolny znieść z zupełnym poddaniem się skarcenia ze strony nawet najbardziej pielęgnującej go ręki. Znanym jest poruszające przywiązanie kota hrabiego Sussex, którego swojego pana zwykł był odwiedzać w więzieniu, spuszczać się do niego kominem. Pierwotne i główne pożywienie kota, stanowią żyjące zwierzęta i świeże mięso; przyzwyczajają się on jednakże w swojej niewoli z łatwością i do więcej skomplikowanego pożywienia, człowiekowi właściwego.

Na wolnej przestrzeni ściga on wszystko, cokolwiek żyje i porusza się, a czemu poradzić może. Nie pogardza nawet małymi żyjątkami; każdy owad, którego napotka, zwraca jego uwagę; ściga za każdą muszką, skacze nawet za polnym konikiem.

Zajmującym jest widok kota igrającego na błoni, żywiącym w sobie owady i inne żyjątka; skoro tylko dojrzy jaką żywą istotę, wstrzymuje się w biegu, podnosząc wśród najgłębszej ciszy przednią nogę, lub czeka przyczajony skierowawszy nieruchomie wzrok swój na miejsce, z kąd szelest pochodzi; potem następuje drugie poruszenie, skok, i zdobycz już w jego mocy. Jeśli zwierzę ująć mu zdoła, on ściga je zadarłszy w górę ogon; lecz skoro ostateczny skok wykona, a ten się mu nie uda, wtedy, ze wstydem, znów cofa się napowrót. Najpożądaną dla niego potrawą są myszy domowe, szczury, młode ptaki i jaja, nawet ryby łowią niektóre koty, mimo tego, że do wody pewien wstręt mają. Złapawszy kot słabe zwierzę lubi z niemi poigrać. Nie wszystkie koty łapią szczury, a jeszcze bardziej pozerają takowe. Właściwym im jest pociąg, do niektórych mocną wonią odznaczających się roślin, jak do kozłka (*Valeriana officinalis*) i kocięj mięty (*teucrium Marum*). Powąchawszy tej rośliny, dochodzą do wściekłości, tarzają się po niej i niszczą ją zupełnie; kozłka zaś nawet korzeń wyrrywają. Zapachu ruty ogrodowej nawet znieść nie mogą a przedmioty potarte świeżym liściem tej rośliny, na długi czas odstrasza ją ich od siebie. Kot zaczepiony od większych zwierząt, mianowicie od psów, stawia się najprzód odpornie; podnosi się jak najwyżej na nogach, zwija grzbiet, opuszcza uszy i sykając, stara się odeprzeć wszelki napad nieprzyjaciela za pomocą szponów. Po większej jednak części ratuje się ucieczką, starając się dostać na drzewo, pień, parkan i t. p. W podobnych okolicznościach rozwija w spinaniu się nadzwyczajną zręczność, albowiem w tym razie potrafi on za pomocą szponów swoich przyczepić się nietylko do drzew, ale nawet do prostopadłych i zupełnie gładkich powierzchni. Wykonywa on również nadzwyczaj dalekie skoki, przy czém zwykł zwijać grzbiet, nogi rozsuwać a ogon jakby ster jaki w górę podnosić! To też nawet w razie upadku z znacznej wysokości, udaje się mu zawsze stanąć na nogi, bez poniesienia szwanku.

Zadziwiająca trwałość i moc jego życia stała się prawie przysłowiem; to też bajeczne przykłady przytaczają nam w tej mierze. Tak np. gdy razu pewnego w Leith, w południowej Szkocyi, otwarto zwój ruskiego lnu, którego jak wiadomo, przed odesłaniem, ciśnieniu silnej prassy poddanym być musiał; z pośrodku jego wyskoczył wesolutki kotek. To zwierze zatem musiało w tak zgniecionym stanie bez pożywienia i świeżego powietrza odbyć z Petersburga do Szkocyi, podróż przynajmniej miesiąc trwającą. Szczegół-

niej miłośnicy ptaków, którzy dla ocalenia gnieźdzących się w ogrodach ptaków, czatujące na nie koty łapią i zabijają, mogą się najlepiej przekonać o ich trwałości życia, bo częstokroć nawet kilka kul pistoletowych, móżg w różnych kierunkach przeszywających, nie są w stanie pozbawić ich życia, jeśli która z nich nie nadweręży osady mózgowój.

Zadziwiającym jest również i stan elektryczny sierści kocięj, napotykanym i u innych zwierząt, chociaż nie w tak wysokim stopniu, a który już nawet kilkakrotnie i na ludzkich włosach dostrzegano. Pokazuje się szczególnie przy suchém powietrzu i w czasie łączenia się zwierząt. Również i głaszcząc kota po grzbiecie w kierunku od ogona do głowy, dostrzegalnem jest pewne trzeszczenie, a w nocy nawet iskry dokładnie widzieć można. Najpiękniej przedstawia nam się to zjawisko u czarnych koczurów (kotów samców). Często jednak bardzo przesadzane czytamy i słyszymy opisy o błyszczeniu sierści kocięj. Ów to elektryczny stan właśnie może być powodem, dla którego wiele osób w bliskości kotów zostając, pewnej niespokojnej doznają drażliwości, chociaż obecność kota w pokoju bynajmniej im nie jest wiadomą. Zupełnie nie zawisłem od tego elektrycznego stanu jest świecenie się, czyli raczej iskrzenie się oczu kocich w ciemności. Nie jest to niczem innem, jak tylko zwykłym błyszczeniem w wnętrzu oka znajdującej się ściągającej błony odbijającej światło, chociaż słabo wpadające.

Z tego też powodu widzialnem jest ono, tylko wtenczas, gdy zwierzę swój wzrok na badającego skieruje. To świecenie czyli raczej błyszczenie ma miejsce również i na wielu innych zwierzętach, jak np. na psach, kunach, krokodylach i t. p.

Łączenie się, koty powtarzają dwa razy, czasem trzy razy do roku, zwykle w końcu stycznia i w jesieni. Samica kotną jest 55 dni, poczem rodzi 4—6, rzadko kiedy więcej młodych, które nadzwyczaj troskliwie pielęgnuje i chroni; szczególnie zaś stara się osłonić je przed koczurem, który je chciwie pożera.

Unosi ona natychmiast młode swoje w pysku, jeśli uważa, dotychczasowe schronienie swoje, za odkryte. Zadziwiającem jest, że tak krwiożercze jak kot zwierzę, pozwala ssać u piersi swojej innym zwierzętom, a najgodniejszemu uwagi w tej mierze jest to poręczenie spostrzeżenie, że kotka mlekiem swoim nawet mysz karmiła. Przytaczamy tu dosłownie ten szczegół.

Kotka ta należąca do p. Szmidt, sądowego obroń-

cy pana Karola Lukan w Latcham, siadała zwykle na kapie komina.

Ze wszystkich kociąt młodych pozostawiono tylko jedno, w skutek czego pierś jej ciągle mlekiem przepelniana była. Pewnego wieczora gdy rodzina zebrana, koło komina zasiadła, spostrzeżono mysz, która przebiegłszy z obok stojącej szafy na komin, położyła się u piersi kotki, tak, jak to młode kocięta ssące czynić zwykły.

Zdumieni tym widokiem i z obawy by nie spłoszyć myszy, prawdopodobnie już starzej, nie można było przekonać się natychmiast, czyli ssała lub nie. Wiele osób było naocznymi świadkami tych odwiedzin kilkakrotnie się powtarzających. Kotka zdawała się nie tylko oczekiwać myszy, ale co więcej wydawała nawet ów głos mruczący, którym jak wiadomo do swoich młodych przemawia. Mysz w rzeczy samej zdawała się ssać kotkę, lecz mimo to tak czujną była, że skoro tylko kto w celu pochwycenia jej rękę wyciągnął, natychmiast ratowała się ucieczką. Skoro tylko kotka, po chwilowej nieobecności, powróciła do pokoju, poczęła znów wydawać ów głos wzywający, a mysz w oka mgnieniu obok niej się pojawiała. Nie można pominąć tego dość długo trwającego pociągu, między dwoma tak mało odpowiedniemi sobie zwierzętami. Mimo to jednak los myszy, jak zwykle wszystkich ulubieńców tego rodzaju, był smutny. Podczas nieobecności żywicielki, przyszedł do pokoju obcy kot, biedna myszka wzięła go za dawną swoją towarzyszkę i karmicielkę, wybiegła ku niej — lecz niestety! popadłszy w obce szpony, schwytana, pierwiej jeszcze życia pozbawioną została, nim jej z pomocą przyjść zdołano. Smutek karmicielki był nie do opisanania. Wróciwszy do pokoju odzywała się w zwykły wzywający sposób; lecz myszka już więcej nie przybiegła do niej. W ciągłej pozostawała niespokojności i obawie, miauczała biegając koło domu, i w najwidoczniejszy sposób żalność swą okazywała. Prócz tego uwagi godną jest jeszcze ta okoliczność, że owa kotka była doskonałą łowicielką myszy; a w czasie, w którym tak wielką okazywała przychylność dla wspomnioną myszki, inne myszy pożerała z największą chętnością. Podobne przykłady uważano także u młodych szczurów, królików, psów i wiewiórek.

Pożytek z kotów zasadza się jak wiadomo, na wytepieniu szczurów i myszy; nie mogą jednak być do tego ani skierowanemi ani zmuszonemi, lecz potrzebują zupełnej wolności do wykonania swego naturalnego popędu. Z łatwością o tém przekonać się można, zamknąwszy kota w celu wytepienia myszy



Boulevard Sebastopol

Druck v. A. Schüller in Stuttgart.

w zamkniętém, choćby nawet obszerném, miejscu. W tym razie, raczój największy głód zniosą, nim się do chwytania myszy wezmą. Podobne doświadczenie robili Francuzi w Hannoverze, starając się ochronić swoje magazyny, przed coraz bardziej zagnieżdżającymi się myszami. Pożytek z kotów odnosimy nie tylko w mieszkaniach, ale nadto w polach i lasach okolicznych, gdzie wytopiają myszy polne, szczury wodne, łasice, a czasami, lubo rzadko, niektóre owady. Niemi to człowiek zastępuje choć w części, coraz rzadziej u nas w miarę rozwijającego się rolnictwa, napotykanne dzikie zwierzęta, które w mniej zamieszkałych okolicach przeszkadzają rozpowszechnianiu się szkodliwych żyjątek. Do takich to dzikich zwierząt, liczymy, jako bardzo pożyteczne: lisy, kuny, tchórze, jeże, ptaki drapieżne, i t. p. Kot prócz tego daje dobre futro, a kiszki jego na struny przerabiane bywają.

Nie małe również są szkody przez kotów zrzadzane, bo przypuściwszy, że szkoda wynikła z ich chciwości, jest tylko skutkiem złego chowu, i przy baczości może być uchylona; to jednak przyznać musimy, że szkody przez koty myśliwstwu zadane, wcale nie są małoszacunkowe. Młode zające, kuropatwy, przedewszystkiem młode ptaki wszelkiego rodzaju, stanowią dla nich tę zdobycz, której raz zakosztowawszy, chciwie znowu szukają. Nie należy zatem za

złe brać myśliwemu, który nie może ścierpieć kota na polowaniu, ani ptasznikowi, który stara go się oddalić od ogrodów swoich. Tu policzyć należy, na szczęście dość rzadkie ale zgrozą przejmujące przykłady, gdzie nieraz koty szukając koniecznego dla siebie ciepła, położywszy się na piersiach śpiących dzieci, przez uduszenie pozbawiały ich życia. Również poruszanie się krtani przy oddychaniu obudzało ich krwiożerczość. Znane nam są również szczegóły o kotach, zemstą wiedzionych, które dorosłych już osób życia pozbawiały. Temu to przypadkowi jednak tylko z pewną oględnością wierzyć należy. Zwyczaj, kotom właściwy, mieszczczenia się przy ogniu, dał powód w ostatnich czasach, mianowicie w Austrii, do wielkich pożarów. Nadzwyczaj niebezpiecznym jest kot, jeśli pokąsany od psów wściekłych, wodostreću dostanie; albowiem ukąszenie jego nie tylko człowieka ale zwierzęta tąż samą zarazą chorobą. Wściekły kot jest niebezpieczniejszym od psa wściekłego, bo daleko trudniej ustrzedz się go można, a przy chwytaniu go, człowiek wystawia się bardziej na niebezpieczeństwo poranienia.

Kot żyje 12 do 15 lat.

Najwięcej kotów jest w Londynie, albowiem liczba ich dochodzi tutaj do trzech milionów. W Petersburgu ilość ich stosunkowo najmniejszą.

NOWY BULWAR W PARYŻU

(ZE STALORYTEM.)

Bulwar Sewastopolski świeżo otworzył się z 2ch innych bulwarów, zwanych dawniej Sztrasburskim i Środkowym (Boulevard du centre). Przerznięcie tej olbrzymiej ulicy słuszną nazwę jej zjednało głównej arterii przebiegającej przez środek miasta, zasilającej go we wszystko. Przez przecięcie bowiem tej ulicy, wszystkie prawie inne przecznice, wszystkie bulwary, a tém samém wszystkie place, ważniejsze budynki, zakłady i t. d. osiągnęły możliwość łatwego i szybkiego skomunikowania się ze środkiem Paryża, i dostarczania mu wszelkich dogodności.

Bierze początek od dworca kolei żelaznej Sztrasburskiej bulwar Sewastopolski, przedzielając na dwie połowy Paryż, ciągnie się aż do ulicy Piekła, przerywając inne bulwary i najpiękniejsze ulice jak np. Rivoli, Rambuteau. Opatrzywszy się w perspektywę i stanąwszy w dworcu kolei wyżej wymienionej, podziwiać można piękny widok, świadczący o wielkości i ludności miasta; widok szerokiej, prostej ulicy, ciągnącej się na dwa tysiące ośmset kilkadziesiąt metrów. Pełno tam pięknych, wspaniałych gmachów, lecz jak unas Nowy-Świat, tak bulwar Sewastopolski, zabytkami odległej starożytności szczyścić się nie

może. Dwie nawet tryumfalne bramy Ś. Marcina i Ś. Dyonizjusza (St. Martin i St. Denis) wzniesione przez miasto na pamiątkę zwycięstw Ludwika XIV, nie mogą się liczyć do starożytności. Jedyne zabytki dawnych wieków, jedyna budowla wysokością swoją panująca nad innymi, ukazująca się z dala przechodniom jest wieża Śgo Jakóba, stojąca na rogu ulicy Rivoli i bulwaru Sewastopolskiego: świadczy ona iż kościół należący do niej był niewątpliwie w tymże samym wielkim stylu zbudowanym, lecz śladu po nim nie zostało żadnego. W wieku zeszłym sprzedano świątynię jako własność narodową, a gdy dostały się mury w prywatne ręce, rozwalono je, a ogół użyto do wystawienia domów mieszkalnych.

Ponieważ z akt miejskich wiadomym było, iż wieża i kościół założone zostały pod nazwaniem Śgo Jakóba, w roku 1855 wyrzeźbiono posąg tegoż Śgo który na wierzchu czyli na szczycie wieży umieszczonym został; zaś posąg sławnego Błażeja Paskala, dzieło znanego rzeźbiarza francuzkiego Kavelie (Cavelier) również około tego roku ukończony, stanął wewnątrz pod sklepieniem. Potomność chciała pomnikiem uczcić sławnego uczonego, który mieszkając najdłużej w przyległej okolicy, wówczas odludnej, w cichej ustroni Ojców Pustelników mających siedzibę swoją w Pont Royal des Champs, zwykł był przesiadywać na wieży i tam swoje postrzeżenia o ciężkości powietrza czynić. Ów wielki matematyk i fizyk, oddawał się także z prawdziwym upodobaniem nauce pisma świętego, pełnym będąc uczuciem religijnych, które w nim z wiekiem coraz silniej rozwijały się. Trawił zwykle resztę czasu zbywającego od naukowych prac, na czytaniu pism religijnych i na podobnej praktyki, wśród towarzystwa pobożnych pustelników, którzy wówczas, mimo swego cichego i pobożnego zawodu, tchnęli wielką i otwartą przeciw jezuitom nienawiścią i to-też usposobiło Paskala iż wydał sławne dzieło pod tytułem: „Lettres provinciales” powszechnie znane z dowcipu. Niektórzy historycy piśmiennictwa francuzkiego, za główną podstawę, za formę stanowiącą prawidła stylu i języka uważają „Listy prowincjonalne” Paskala. Autor wzięwszy wzór z niektórych hiszpańskich jezuitów, a raczej, jak twierdzą niektórzy pisarze, z wielu innych w owym wieku duchownych, zrećnie to do całej kongregacji zastosował, i najcięższą we Francyi bronią, bo bronią śmieszności pobił ten zakon. Dla wykazania że oprócz właściwych naszemu narodowi przymówisk, zachodzi pewna styczność w przysłowiaich naszych, z przysłowiami innych narodów, przytaczamy

tu zręczną odpowiedź sławnego Boileau. Młody jeden jezuita znajomy satyrykowi, chcąc choć przymówką zemścić się nad nieprzyjacielem konwentu swego, rzekł do niego z uśmiechem: „Podobno Paskal zajmuje się teraz razem z pustelnikami robieniem sabotów” (sabots, trzewiki z drzewa). „Nie wiem, odpowiedział Boileau, czy Paskal pracuje nad swymi trzewikami teraz, to tylko wiem że dla was dobre uszył bóty.”¹⁾

Piękna gotycka wieża Śgo Jakóba jest jeszcze ozdobioną dziewiętnastu innymi posągami. Pomimo jej stylu gotyckiego, noszącego cechę starożytności, nie jest ona zbyt dawnym zabytkiem; mnóstwo innych budowli przewyższa ją w starożytności. Postawioną, to jest ukończoną została roku 1522 a zaczęta 1508. Była ona dziełem jak twierdzą jednego uczonego ówczesnego, o którym dziwną miano współcześnie opinie, tak dalece iż go nazywano czarownikiem. Zdaje się iż ściągnął na siebie to podejrzenie zbyt szybko zebranymi pieniędzmi, tudzież badaniami mineralicznymi jakim się oddawał, tak dalece że napisał dzieło o przekształcaniu się metali. Przecież Mikołaj Flamel, (takie było nazwisko tego uczonego) nie zrobił milionów za pomocą przemiany żelaza w złoto, lub też innymi podobnie nienaturalnymi sposobami. Jeden z dawnych pisarzy Note (Nauté), którego wydał dzieło usprawiedliwiające ludzi o czarnoksiężstwie osądzanych, zapewne w celu obronienia od zarzutów Mikołaja Flamel, dowodził że tenże zrobił tak wielki majątek skutkiem stosunków swoich z żydami: gdy bowiem Francya mniej gościnna jak Polska, wypędzała starozakonnych, ich majątki narzecz króla nabywając, Flamel wchodził z nimi w tajemne układy, nader dla siebie korzystne i w prędkim czasie zrobił majątek. Inni zbijali ten zarzut, lubo istotnie zdaje się że w owej znajomości kupiectwa, którą mu mogły ułatwić stosunki z biegłymi w tym zawodzie żydami, stała niewątpliwa przyczyna tak nagłego wzbogacenia się Flamela. Jakim nabył sposobem skarbów? niewiadomo, ale wiadomo jak je użył, bo dobroczynne zakłady, szpitale, przechowały imię jego znane przez współczesnych jako niosące pomoc sierocie i kalece, a wieża Śgo Jakóba jakby naumyślnie przetrwała burze zniszczonego jej kościoła, aby przypomnieć dzisiejszemu pokoleniu imię

¹⁾ „J'ignore si Pascal travaille à ses souliers, mais je sais bien qu'avec *les provinciales* il vous à porté une bonne botte.”

założyciela, i świadczyć razem, że skarbów nabytych nie obracał na przyjemności życia, lecz na chwałę Boga, czy to obmyślając przytułek dla sieroty i wdowy, czy też wznosząc Przybytek ku modlitwie.

DRUKARSTWO W POLSCE.

(DALSZY CIĄG.)

Od roku 1512 już trzy zakłady drukarskie spotykamy w Krakowie, to jest Hallera miejskiego prezydenta i dwóch jego robotników. Od roku 1536 przenosi się zupełnie już do Krakowa Wietor z Wiednia, i zastaje dwie nowo-powstałe drukarnie Szaffenbergerów (między 1530 i 1532 roku) wydających księgi polskie.

W roku 1550 do takiej przyszły doskonałości druki polskie, że śmiało walczyć mogły o pierwszeństwo, co do poprawności, ze wszelkimi wydaniem zagranicznymi. Druki jednak w ogóle były wówczas bardzo drogie, gdyż je wytłaczano na klejowym papierze (dopiero bowiem w XVI wieku poczęto używać papieru *wodnego* czyli nie klejonego) i dodawano od ręki zdobione głoski początkowe, czyli tak zwane technicznie *initialia*, dla upiększenia i ozdoby. Było to jeszcze niby naśladowanie rękopismów, w których zwykle naczelne głoski złożono, malowano, we floresy i ozdóbki ubierano.

Pismo greckie, czcionki hebrajskie, w wydaniach klasyków łacińskich, zdobną *scholastykę*, czystą *cursiwę* i piękną *antykwę* spotykamy, jakichby się nie powstydzili dziś drukarnie najpierwsze. Nawet drzeworyty, którymi bardzo często okraszano dzieła, były daleko lepsze, niż teraz niekiedy spotykamy, zwłaszcza w tańszych wydaniach.

Nawet księgi węgierskie drukowano u nas na początku XVI wieku, bo cały handel ówczesny Węgier był w ręku krakowskich mieszczan, do których liczyli się Turzony i Fuggerowie hrabiowie węgierscy a później książęta germańscy.

Od roku 1517 aż do końca panowania Zygmunta Starego od 5 do 6 i więcej bywało drukarni w Krakowie. Od 1525 roku w Wilnie było także parę drukarni, a oprócz tego wytłaczano tu książki pismem słowiańskim.

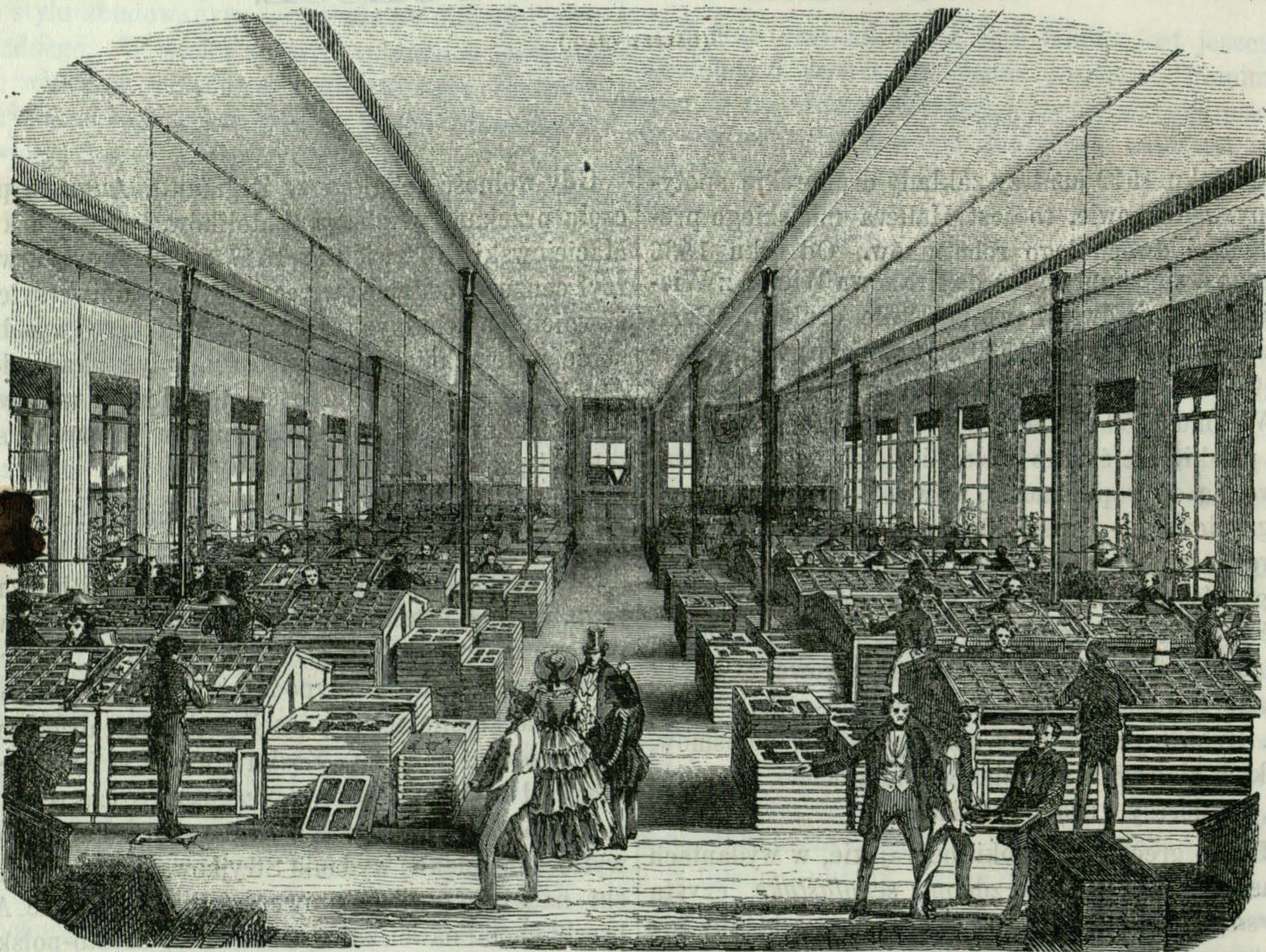
Gdy wolność religijna za Zygmunta Augusta poczęła przejmować obawą katolików, wtedy biskup Maciejowski (26 kwietnia 1547 r.) pierwszą utworzył cenzurę, oddającą w ręce rektora uniwersytetu i swoich podwładnych. Później drukarze wyrobili sobie zwierzchnictwo magistratu, gdyż akademicy czynili im niekiedy trudności, zwłaszcza w wydawaniu kalendarzy, których drukowaniem zajmowali się także i profesorowie akademii.

Wilno, miasto ulubione od Zygmunta Augusta, miało za jego panowania cztery drukarnie, z których dwie były ruskie, jedna z nich M. Radziwiłła czarnego, i jedna Jezuitów. Około roku 1560 panowie polscy, z powodu sporów różnowierczych, dla drukowania polemik, akt synodalnych lub ksiąg nabożnych akkatolickich, poczęli zakładać drukarnie w Pinczowie, Lubeczu, Łosku a nawet w Królewcu, który od 1550 do 1583 r. zapragnął jeszcze walczyć o prawo pierwszeństwa z Krakowem. Tu bowiem wytłoczono piękne wydanie Strykowskiego; król polski nadał przywileje uniwersytetowi, a książę Albrecht chciał nawet założyć akademię czysto-polską. Kraków jednak zwycięzko wychodzi z tego spółzawodnictwa, bo drukarze naszej stolicy byli powiększej części ludźmi uczonymi, a niektórzy z nich nawet i sami dzieła po polsku pisali, jak synowie Marka Szarffenbergera, którzy mimo niemieckiej nazwy zupełnie się przearodowali. Januszowski drukarz i księgarz zarazem, z Mikołajem i Stanisławem Szarffenbergerami przyczynili się głównie do ustalenia pisowni polskiej; pierwszy z nich nawet wydał w tym przedmiocie broszurę pod tytułem: „Nowy Charakter polski z drukarni Łazarzowej, y orthographia polska J. Kochanowskiego J. M. P. Łuk. Górnickiego etc. etc, Jana Januszowskiego.” Przykład to stary i dobry dla dzisiejszych przedsiębiorców

drukarń, którzy po największej części ani sami nie robią, ani dobrych korektorów nie trzymają. A wszakże największą zaletą druku, nie ładne czcionki, ale jego poprawność bezbłędna. Za to też Januszowski, choć stracił na drukarstwie i księgarstwie, bo nie fuszerował, król polski Batory ofiarował mu na zapomogę archidziekaniję sandecką.

Drukarnia *rakowska* od roku 1602 do 1632 przez lat trzydzieści bytująca, miała to nieszczęście iż za wladztwa Zygmunta III niszczone jej książki i broszury, ztąd druki rakowskie acz różnowiercze, do rzadkości bibliograficznych należą i troskliwie przez zbieraczy bywają poszukiwane.

Wilno, prócz drukarni Kmitów, Mammoniczów,



Zecernia.

Zliczby siedmiu drukarni krakowskich około 1572 roku, zakład Piotrkowczyków i architypografija Łazarzowa od roku 1550 istniejąca równały się w doskonałości z najslawniejszą księgotłocznią Antwepką a poniekąd ją nawet i przewyższały.

Za Zygmunta III przybyło jeszcze pięć drukarni, wszystkich więc było dwanaście, które tu wyliczamy, prócz dwóch wyżej wzmiankowanych: Garwoliczyka, Wierzbiety, Kobylińskiego, Skalskiego, Czarych, Kempiniego, Loba, Siebeneychera, i dwie Szarffenbergerowskie to jest Stanisława i Mikołaja.

Jezuitów i Karcanów,, miało i księgotłocznię ruską, cerkiewną, która także nieco nacisku od Towarzystwa S. J. cierpiała.

Leszczyńscy utrzymywali także drukarnię w Lesznie. Ale obok tylu polskich zakładów, wydawano jednocześnie mnóstwo dzieł polskich za granicą, jak w Pradze czeskiej (Paprockiego dzieła), Antwerpii, Bazylei, Bolonii (Bononii) Kolonii i t. d.

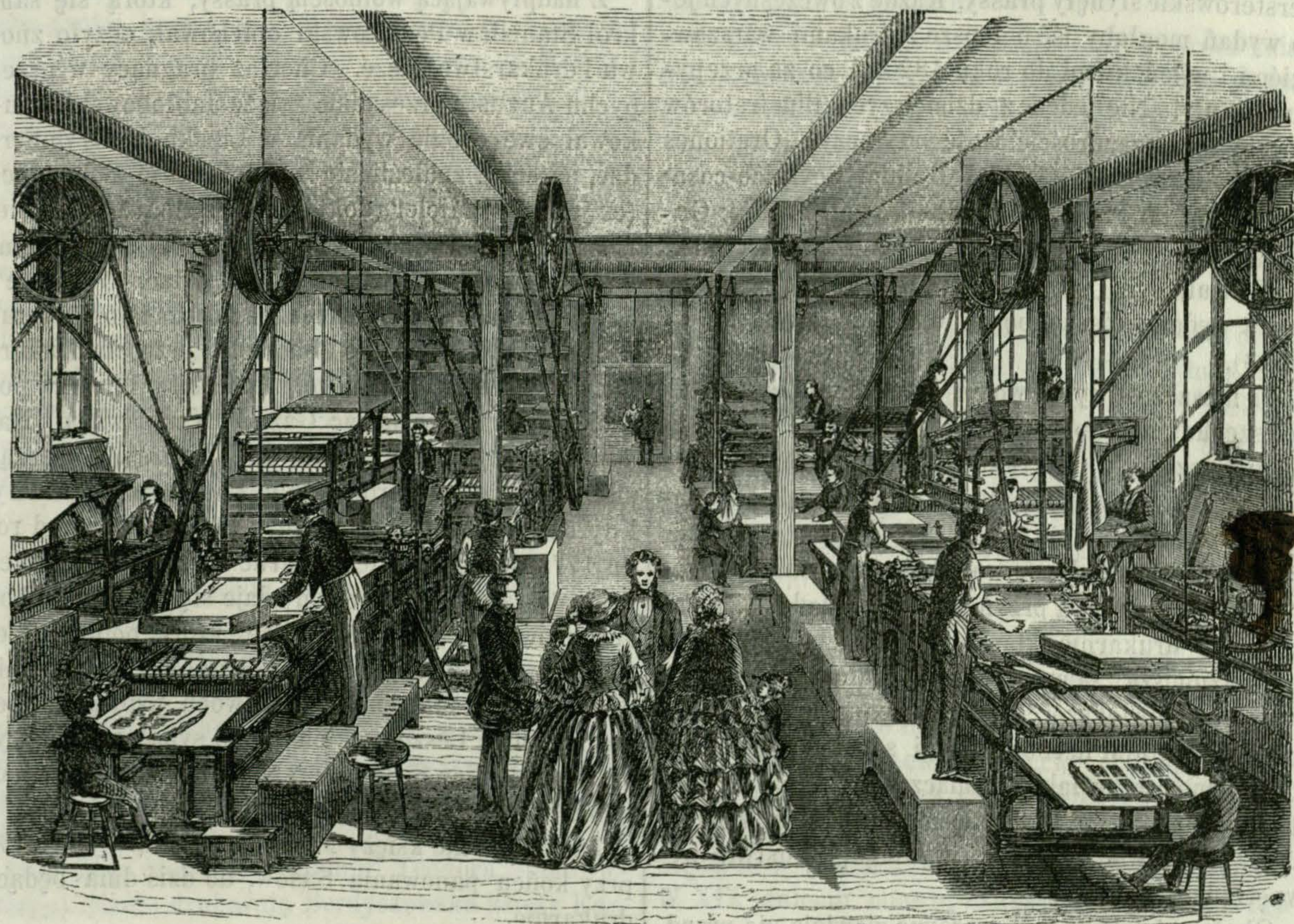
Mimo-to w Polsce, nawet po wioskach poczęto zakładać drukarnie, z powodu szerzących się rozpraw religijnych i stronnictw rozlicznych. Ztąd i małe mia-

steczka poczęły wydawać więcej dzieł niż Kraków, Wilno i Lublin, gdzie biskupi, Jezuici i w ogóle duchowni, zabraniali dzieł przeciw katolickich.

Utworzona akademija w Zamościu, dała początek i drukarni, w której oprócz sławnych kalendarzy Duńczewskiego, wychodziło i mnóstwo dzieł różnej treści naukowej, podczas gdy w innych księgotłocznicach

jak Apokalipsis, kronika Bielskiego i t. d. Palono publicznie Bibliję Radziwiłowską, której nakład tyle kosztował!

W takim stanie rzeczy, upadać począł handel księgarski, a z nim zeszedł na niższy stopień wziętości i kunszt drukarski. W połowie XVII stulecia mniej dbano o piękne druki, bo Jezuici na powierz-



Presseria.

czniach najczęściej odbijano dzieł religijnych, jakie wywoływały spory teologiczne z powodu powstałych różnych wyznań nowych (Aryanie, Lutrzy, Kalwini i inni).

W latach 1603 i 1617 ujrzano po raz pierwszy u nas wykazy dzieł zakazanych (Index librorum prohibitorum) z których żadnego bezkarnie drukować nie tylko wolnym nie było, ale nadto według tej skazówki, wiele pism szczególnie polemiczno-religijnych, zniszczono. Najwięcej wtedy ucierpiały wszystkie druki u Wierzbiety wydane i dzieła Reja,

chowność ksiąg nie zwracali uwagi, jedynie dbając tylko aby wewnątrz jakiej myśli antireligijnej nie było.

Kiedy stolicę przeniesiono do Warszawy, i tu się zjawilo parę drukarni, ale za to wydawnictwo krakowskie znacznie podupadać zaczęło. Było jeszcze kilka księgotłoczni (sześć do ośmiu), ale te, również jak i akademicka, w silnej prassie, mających u króla przewagę Jezuitów, jęczała. Wprawdzie akademija krakowska wyrwała się z pod ich przemocy, ale za to Warszawa, Wilno, Lwów, Kalisz i Poznań, zo-

stając w ich ręku, wydawało w drukarniach *Societatis Jesu* liche dzieła i co do treści i z powierzchowności: kilka drukarni postronnych prywatnych w Baranowie, Kiejdanach, Lubieczu, Łaszczowie, powoli marniało, bo wielcy panowie i szlachta ulegali wpływom duchownych i to tylko drukowali, co im pozwolono. Wówczas przenoszono się z wydawnictwem dzieł o Polsce pisanych do Gdańska, gdzie Fersterowskie słynęły prassy. Każde z ówczesnych jego wydań mogłoby iść o lepsze z drukami warszawskimi i wileńskimi do roku 1820. A co za przepyszne tytuły! Nie jeden z dzisiejszych ilustratorów mógłby ich pozazdrościć! Dość przytoczyć „*Orationes Georgii Ossoliński (1647)*” *Bellum Scythico-cosacicum*, Aut. J. Pastorio (1652)—„*A. M. Fredro: Gestorum populi Poloni*” 1652;—tegoż *Militaria* (1668); „*J. D. Sulikovii Comentarium, 1647*”—oraz u Huncfeldta wydane Wassenberga dzieje Władysława IV (1643).

Za nieszczęśliwych wojen Jana Kazimierza, tak powszechny nastąpił upadek, że zaledwie trzy drukarnie pozostały w Krakowie, Cezarowie, Schedle i Piotrkowczykowie, (mało już o swój zakład dbający).

Gdy tak znikwały powoli księgotłocznie prywatne, podnosiły się, a przynajmniej zakładały się coraz nowe drukarnie klasztorne a w ich liczbie najprzeważniejszą zajmują ilość, jezuickie. Drukują w nich po największej części liche panegeryki z lichymi drzeworytami herbów, księgi scholastyczne, makaronizmem przesiąknięte tłumaczenia i t. p. W upadku piśmiennictwa, jakże się może podnieść drukarstwo? Odpowiadały więc i wydania, ubóstwu wewnętrznemu.

Około roku 1685 w Warszawie zjawiają się przedsiębiorcy prywatni, i to Niemcy, Elert i Schreiber, którzy od króla Sobieskiego obdarowani przywilejami, i szumnym tytułem drukarzy Dworu JKMości, wydają konfederacye i szczegółowe konstytucye sejmowe, elekcye, statuta koronne lub litewskie, summarysze, inwentarze i t. p. Ale dzieł prawdziwie polskich, ani widać, bo i literatura jeszcze się nie ocknęła z letargu, w jaki ją przeszłość pogrążyła. Przeciwnicy Jezuitów, Pijarzy, zaczęli sobie także wyrabiać przywileje i poczęło się spółzawodnictwo duchowne w drukarstwie.

Na początku wieku XVIII w Warszawie znajdujemy jedną tylko pijarską drukarnię; w Krakowie tylko jedna po Cezarym została księgotłocznia, a wszystkie inne do przedsiębiorców prywatnych

należące, poginęły, prócz Radziwiłłowskiej w Nieświeżu. Zwycięzcy Jezuitów, Pijarzy warszawscy i wileńscy, rzeczy prawne, jak konstytucye i codexa odbijali; ale sławny biskup Załuski, chcąc cokolwiek wydać porządniej, do Lipska musiał się udawać. Tak więc do roku 1760, śmiało można okres naznaczyć zupełnego u nas sztuki drukarskiej upadku.

Z nadpływającą wolnością prassy, którą się sam król Stanisław Poniatowski opiekował, odżyło znowu i drukarstwo nasze. Chociaż pragnący w przepychu Augusta przesadzić książe Jabłonowski, drukował swe drogie wydania w Lipsku i Norymberdze, przecież znaleźli się w Warszawie Bohomolec (ex jezuita) i Micler (doktor), Tyzenhauz w Litwie, a Załuscy tu i tam, gdzie tylko mogli, wpływami swými starali się drukarstwo ożywiać. Wkrótce i Grell sprowadził nowe czcionki z Lipska i dostał tytuł drukarza J.K. Mości. Po Bohomolcu przeszła drukarnia do Ragoczego, w której Ex jezuita Luskinia począł najpierw wydawać *Gazetę Warszawską*. Następnie przybywa i Dufour do Warszawy, ciesząc się również opieką tronu, jako kosyliarz nadworny, i dyrektor drukarni korpusu kadetów, która od roku 1775 wydawała elementarne dziełka. Z resztek księgotłoczni po Ragoczym zdaje się, zakłada, obok korpusowej i własną drukarnię, która potem przechodzi wraz z *Gazetą* do Le-Brunów, a następnie przez związki małżeńskie, do dwóch jednegoż imienia Antonich Lesznowskich (ojca i syna), a dziś egzystuje przy ulicy Święto-Jerskiej jako własność spadkobierców.

Zgromadzenie księży Missyonarzy założyło także przy końcu panowania Sasów, do dziś dnia będącą drukarnię.

W roku 1785 dwóch Włochów Menagetti i Baccigalupi utworzyli drukarenkę służącą jedynie do loteryi liczbowej, poczynającą się wtedy w kraju. Dawna Jezuitów drukarnia, z zabranieniem ich funduszków na cel najszlachetniejszy wychowania publicznego, przeszła na własność wydziału instrukcyi rządowej i około roku 1784 poczęła wydawać książki elementarne i inne. W roku 1790 Piotr Zawadzki zakłada w Warszawie gisernię i drukarnię. Czarniawski Antoni nabywa w roku 1792 drukarnię Jana Potockiego, znanego uczonego, który swemu zakładowi od roku 1764 bytującemu, nadał epitet wolnej drukarni. Tak więc ku końcowi XVIII stulecia dzieść księgotłoczni liczyć możemy w stolicy. W Krakowie było ich tylko pięć, w Wilnie także pięć, w Po-

znaniu i Lesznie po dwie, w Gdańsku trzy, oraz po jednej w Berdyczowie; Częstochowie, Kaliszu, Łowiczu, Sandomierzu, Supraślu, w Grodnie, Poczajowie, Słonimie, Toruniu i t. d., wszystkich razem około czterdziestu.

Postęp drukarstwa związany jest z pomyślnością a przynajmniej ruchliwymi obrotami księgarstwa. Że zaś księgarzami ku końcowi wieku minionego, byli albo cudzoziemcy nieświadomi rzeczy polskich, albo prości kramarze i introligatorzy, co wożąc po jarmarkach książki nabożne i obrazy od Dniepru do Noteci, a od Prus wschodnio-zachodnich aż do Karpat i Bałtyku, dorobili się grosza i pozakładali sklepy, — przeto i drukarstwo szło podobnym trybem jak i handel książkowy. Odbijano dziełka, bez których obejść się nie było można, lub przedrukowywano to, co wybrali nieuczenni przedsiębiorcy. Gdyby nie Kommissya edukacyjna, wydająca książki elementarne, i uniwersytet krakowski, którego drukarnia miała greckie pismo, — toby drukarstwo zupełnie upadło. Warszawa, mająca pismo cyrylicą zwane, i wydająca książki cerkiewne, zajęta była także ulotniami pisemkami, których mnóstwo drukowali Grell, Dufour, Zawadzki i Jan Potocki we własnych zakładach. Dzieła i druczki tego ostatniego, należą do rzadkości, z powodu nader szczupłej liczby odbijanych egzemplarzy.

Z drukarń zastolicowych zasługują na wzmiankę: Poczajowska i Berdyczowska, z których pierwsza od roku 1732, druga od 1760 roku wiele dzieł wydały. Ostatnia szczególnież przepyszną na onczas ogłosiła książkę in folio pod tytułem: „Obrona i ozdoba ukraińskich krajów, przecudowna Marya” (1767, dwie części, z rycinami Teodora Rakowieckiego). Nadto drukarnia Berdyczowska księży Karmelitów bosych wydawała Kalendarz, który i dziś wychodzi, ale już w Żytomierzu, w drukarni rządu gubernialnego. Obie te księgotłocznie czynne były najglówniej do roku 1832.

Częstochowska drukarnia od roku 1693 pod zarządkiem księży Paulinów będąca, istnieje do dziś dnia, nie wiele w doskonałości uczyniwszy postępu. Tamże założył był drukarnię i sztycharnię obrazków Szyszkowski przed dwudziestu kilku laty, ale te nie długo egzystowały. Rzecz dziwna, iż całe wydawnictwo obrazków świętych, odbijanych po większej części z blach miedzianych, acz niezbyt kunsztownie wykonanych, jest dziś w ręku osób prywatnych, nawet przybyłych Niemców, nie zaś przy drukarni Jasnogórskiej?

Elbląg miał zaszczyt, iż w jego drukarni polskiej wychodziły niegdyś dzieła Łuk. Górnickiego; dziś, kiedyś-niekiedyś zaledwie ukaże się z drukarni tamtejszej, zapewne niemieckiej, elementarzyk polski, lub książka duchowna.

Bytom i Bochnia w Szlązku górnym (pruskim dzisiaj) wydawały i pismo peryodyczne, i mnóstwo książeczek dla ludu (szczególniej u Pizsa), ale to w ostatnich piętnastu latach.

Cieszyn (w Szlązku dziś austriackim) oprócz książek nabożnych, wydaje bardzo dobre dla ludu pisemko, pod tytułem: „Gwiazdka Cieszyńska.”

W Kijowie, oprócz drukarni uniwersyteckiej, wytłaczał i Wallner książki polskie w drukarni założonej obok litografii 1849 r. Dziś Józef Zawadzki dzierżawi drukarnię uniwersytecką i wiele w niej dzieł polskich wydaje.

Kalisz miał drukarnię od roku 1606. — Wolrab, Gadeliusz (szlązak), Jezuici i książę Prymas mieli tu swe zakłady w XVII i XVIII wieku. W stuleciu bieżącym znajdujemy tu księgotłocznie Kar. W. Mehwalda, potem wdowy po nim (Joanny-Zuzanny M.); Koszewskiego i Karśnickiego, wreście Maur. Schindla i braci Hindemithów; którzy oprócz kalendarzy polskich i niemieckich, drobniejsze tylko drukowali dziełka.

Kwidzyn, miasteczko leżące dziś w W. Ks. Poznańskim, miało swą drukareńkę od roku 1790. Losy jej późniejsze nam niewiadome.

W Lublinie, Izraelici najpierwsi założyli drukarnię do ksiąg swoich jeszcze w 1559. Później, bo dopiero w roku 1622 powstaje drukarnia polska. Najwięcej tu w wiekach przeszłych drukowali Jezuici. W XIX stuleciu miał tu drukarnię Jan Karol Pruski i wydawał w niej kalendarze. Później założył Szczepański księgotłocznię: dziś są jeszcze dwa zakłady (bo tamci zwinęli swe drukarnie), a mianowicie rządu gubernialnego i Nowaczyńskiego (prywatna).

Połock miał drukarnię przy akademii ks. Jezuitów, którzy wydawali z niej najwięcej książek szkolnych do roku 1820. Poczeli nawet ogłaszać pisemko czasowe *Miesięcznik*, które bardzo krótko trwało.

W Sławucie na Wołyniu, była drukarnia żydowska, egzystująca aż do roku 1834. Również w Józefowie ordynackim (Zamojskich) drukowano księgi hebrajskie dawniej i teraz.

Sambor, w Galicyi miał księgotłocznię od r. 1794. Jak zaś długo trwała? — nie wiemy.

W Słominie na Litwie była drukarnia hetmana Ogińskiego od roku 1777. W Supraślu u księży Bazyliańców, wychodzi mnóstwo rozlicznej treści dziełek od roku 1713 aż do wieku obecnego.

Tulczyn, miasteczko Potockich na Podolu, miało małą drukarnię przy końcu ubiegłego stulecia.

Kowno, miasteczko nad samem Niemnem położone, zostawszy przed kilkunastu laty gubernialnem, ma drukarnię, w której kilka książeczek polskich dotąd odbito.

Na Wołyniu, w Żytomierzu, jest w tej chwili aż pięć drukarni i tyleż prawie litografij.

Ale napróżno kusimy się spisać wszystkie prowincjonalne drukarnie. Za wielką ich liczbą była tam i ówdzie, abyśmy tutaj wszystkie wymienić mogli. Wartełoby, aby kto ze szperaczy, dopełnił dziś Bandtkego i Lelewela, którzy nie wyczerpali jeszcze tego przedmiotu—i wiele nam pozostawili do zrobienia.

Wszakże nie wypada pominąć drukarni krakowskich do których liczby należą nowsze, niewspomniane przez wyżej przytoczonych mężów, jako to: Kwartalnika naukowego (założona w roku 1834 staraniem po największej części Helcla); Józefa Czecha; *Czasu* (należąca dziś do Kirchmajera bankiera); Uniwersytecka znacznie odnowiona około 1847 roku;—drukarnia pod Sową (krótko egzystująca od roku 1848; własność ś. p. Lesława Łukaszewicza) Baumgardena Wielogłowskiego (wydawnictwo katolickie) i t. d.

Z drukarni miasta Lwowa, gdzie ruskie i ormiańskie księgotłocznie egzystowały od połowy XVIIgo wieku, a polskie od r. 1578, znajdujemy w ostatnich czasach zakłady: Jabłońskiego (ojca i syna); drukarnia Biblioteki imienia Ossolińskich (dzierzawiona dziś przez Manieckiego) w której wychodziło kiedyś czasopismo tegoż zakładu; dr. Schnajdera. i t. d.

Z innych drukarni galicyjskich dzisiejszych należy wspomnieć o Przemyślskiej (gdzie od r. 1751 drukowano dzieła) wydającej Kalendarz ruski w 8ce: Tarnów (mający księgotłocznię od 1786 roku) i Stanisławów.

Poznań, drukujący od roku 1539 dzieła polskie, miał w ostatnich czasach znamienitsze księgotłocznie: N. Kamińskiego; Żupańskiego, Nowej księgarni (Poplińskiego i Łukaszewicza Józefa).

Wilno, sławne w początkach zaraz XVI wieku z wydań swoich, liczyło w obecnym stuleciu, oprócz drukarni oznaczonych szczegółowo do roku 1823, w „Bibliograficznych księgach dwójgu,” — następne:

Dworca, Neumanna, Romma i Zymela, starozakonnych (z których Neumann został ewangelikiem-reformowanym) wydających bardzo niedbale książki na bibule: o ich drukach mówiono pospolicie że są *ćwieczkami* odbijane, nie zaś *czcionkami*. W r. 1837 założyli tu Dobkiewicz, L. Tryńkowski i Krzeczkowski drukarnię pod firmą Blumowicza, (Izraelity, którego ten zakład stał się później własnością). Ruben Rafałowicz księgarz, miał także swą księgotłocznię, oraz kilku żydów utrzymuje dotąd drukarnie hebrajskie.

Największy wszakże ruch drukarni w bieżącym wieku jest w Warszawie, szczególniej ze względu przechodzenia ich z rąk do rąk. Kończymy więc wzmiankę niniejszą dziejami księgotłoczni tutejszych w czasach najbliższych.

Drukarnia Pijańska powstała z nabytków przez Zgromadzenie *Scholarum Piarum* po spadkobiercach Elerta między 1683 i 1694 rokiem. A że Szrajber (Schreiber) był później także spółwłaścicielem zakładu Elertowego, przeto wszelkie przywileje wydane tym dwóm przedsiębiorcom w latach 1645, 1651, 1684, 1685 i 1690 od królów polskich, znajdują się w archiwum księży Pijarów. Od roku 1833 chylił się powoli ku upadkowi ten zakład. Przed parą laty, J. Unger nabył z wolnej ręki tę drukarnię i wnet odprzedał Psurskiemu, który zasiliwszy ją nowemi czcionkami i prassami, posiada dziś przy ulicy Aleksandryi.

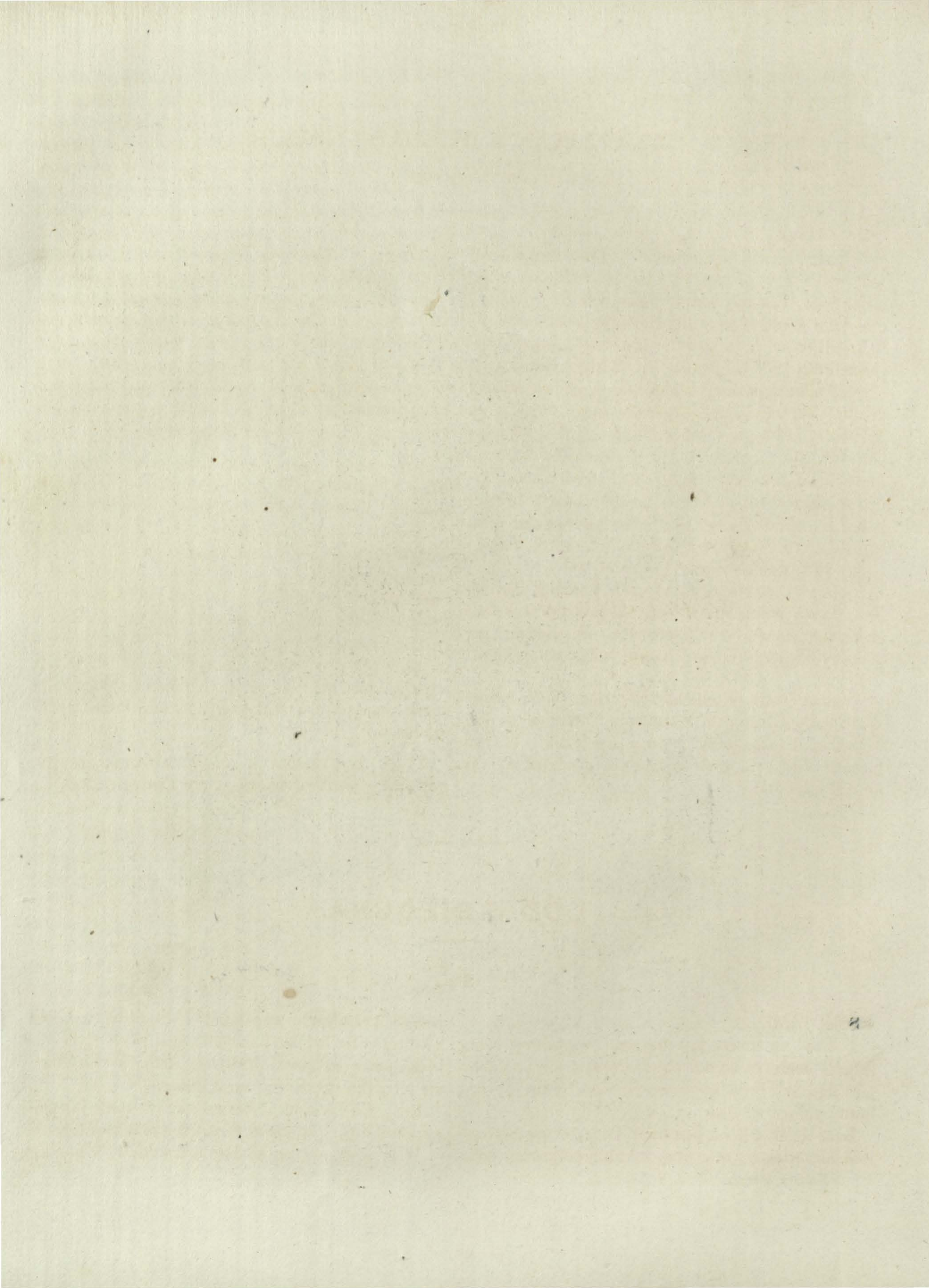
O drukarniach Missyonarskiej (katolickiej) i Jezuickiej, wspominaliśmy wyżej. Wzmiankę tu trzeba tylko uczynić o drukarni Missyonarzy angielskich, założonej w Warszawie 1829 przy ulicy Leszno, którą w r. 1852 księży ci, opuszczając Warszawę, odprzedali Ginsowi, utrzymującemu dziś ten zakład przy ulicy Elektoralnej.

Wspomnieliśmy, że Menagetti i Baccigalupi założyli małą księgotłocznię jedynie prawie tylko dla loteryi liczbowej. W roku 1796 rozwiązała się spółka i część drukarni przeszła podobno na własność księdza Malinowskiego, gdyż Baccigalupi tylko przy zakładzie pozostał. Za jego wszakże wiedzą odprzedano część pewną, potrzebną do wydawania *Korrespondenta krajowego i zagranicznego* od r. 1792 tutaj odtłaczanego. Gdy umarł stary Włoch, syn jego, aż do pójścia powtórnego za mąż swój matki w roku 1823, rządził tym zakładem.

(Dokończenie nastąpi.)



ZYGMUNT KRASIŃSKI.



ZYGMUNT KRASIŃSKI.

(z WIZERUNKIEM).

Zygmunt Krasiński zmarły 23go lutego roku 1859 w Paryżu—urodził się 1811 także w Paryżu gdzie ojciec jego Wincenty Krasiński znajdował się naten- czas jako adjutant przy Napoleonie I. Matka z domu Radziwiłłówna, była za domowóm w początkach wy- chowaniem; przy rodzicach więc mając dobrych nau- czycieli tak się posunął w naukach, iż odrazu wszedł do 6tej klasy Liceum Warszawskiego 1825 roku. Twierdzą, iż wtenczas już doskonale znał język gre- cki, łaciński i znacznie był obeznany z dawnymi klasykami. Skończywszy liceum wszedł do uniwer- sytetu zkąd w roku 1828 ¹⁾ wyjechał do Genewy— odtąd prawie ciągle pędził życie w podróżach. Naj- częściej czyli najdłużej bawił we Włoszech; podró- żował po Szwajcaryi, po Niemczech, nakońcu dopie- ro z powodu osłabionego zdrowia bawił w Paryżu. Wśród tych podróży bardzo często przebywał w Pol- sce, najglówniej zaś w Warszawie. W młodości za- grożony ślepotą, długo, kilkoletnich potrzebował

¹⁾ Odtąd datuje się najściślejsza przyjaźń Z. K. z Kon- stantym Danielewiczem (Ukraińcem) i Konstantym Ga- szyńskim, ówczesnym redaktorem Pamiętnika dla płci pięknej. Dochował te obowiązki serca młodzieńczego, aż do końca żywota.

starań aby wzrok ocalić. Wtedy zdaje się w jednym ze swych utworów, w usta *Orcia*, któremu lekarze zwiastują wieczną ślepotę, kładzie następne wyrazy, własnem położeniem wywołane: „Precz odemnie cie- mności!—jam się urodził synem światła i pieśni. Co chcecie odemnie? Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wiatrami i goni gdzieś po przestrze- niach—ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie pe- wne—i oczy moje rozogni płomieniem.”

Tyle czując, tyle cierpiąc i kochając, fizyczność jego słabnąć musiała i coraz częściej chorobom ner- wowym ulegać począł; w końcu galopujące suchoty sprowadziły mu śmierć prawie nagłą. Był istotą zbyt wyjątkową bo miał dużo tak jasnego poglądu na prze- szłość i przyszłość, iż choćby nawet wszystkie wa- runki ku temu odpowiednie były, niepodobna biogra- fowi skreślić z całą prawdą i dokładnością życia poe- ty, tyle przepełnionego uczuciem. Tylko namaszczo- na szczególną świętością ręka, porwałaby się mogła na odjęcie zasłony, kryjącej tyle nieznanym ogółowi skarbów myśli, skarbów natchnienia wieszczą pra- wdziwego.

Zwłoki jego złożone w grobie rodzinnym, w Opi- nogórze. — Zostawił dwóch synów i jedną córkę.

LÓD U BIEGUNA.

IV.

Śnieg i lód!

Czémże są inném jak zimową świąteczną szatą ziemi— materją do uciechy i zabawy—z której chło- piec lepi śniegowe bałwany, albo na Newie sale ba- lowe i pałace budują!

Lecz śnieg i lód u Bieguna! Czémże one są tam, jeśli nie wieczną materją, z której przyroda w dzi-

wnych kształtach wszystkie okropności wykuwa, z której także lodowe pałace buduje, równe tym o ja- kich nam w baśniach prawiono, które kryształowe- mi ścianami więzienia, życie otaczają!

Przyroda Bieguna jest wzniosła, tak samo jak pod- zwrotnikowa, ale nie w formach życia lecz śmierci.

W każdym przypuszczalnym kształcie, w blokach

i dziedziach, w polach i górach, wypełnia lód zimowe morza północy.

Olbrzymie lodu kolosy, których dno wiele set stóp pod zwierciadło morza sięga, są z sobą w bezprze-stannój walce; uderzając o siebie raz się zlepiają, drugi raz warstwiają, lub też wzajemnie druzgoczą. Co za śmiałość wciskać się w ten chaos! Co za zu-chwalstwo stawiać czoło temu niebezpieczeństwu, w którym przez lody można być zgniecionym lub obalonym, — massami ściśniętym lub zamkniętym!

Przez milami ciągnące się pola lodów w około oto-czony, całe miesiące wśród mórz lodowych przyku-ty lub wystawiony na pastwę krzyżujących się pra-dów, czeka długo niecierpliwy żeglarz ostatecznego losu. Godzinami przypatruje się nagłej przemianie, dnie i tygodnie pełnych męczarni wysień uchodzą i każdej chwili musi być przygotowany samo życie ratować na płynących bryłach lodu. Każdego mo-mentu stężale massy, które więziły jego okręt, mo-gą się na skałach przewrócić lub o siebie zdruzgo-tać. Lecz ludzka przezorność nauczyła się tej trwo-dze opierać.

Śmiały żeglarz wielkimi piłami rozcina lodowe mury, prochem rozsada ogromne massy i bystrym wzrokiem postrzega moment w którym przypadek otwiera drzwi grobu, ażeby z rozpostartymi żaglami, znaleźć wyjście przy pomyślnym wietrze.

Tak wielka zuchwałność uczyniła możliwem, z roz-tkliwiających, w chwilach trwogi kreślonych szkiców, odtworzyć obraz grozy podbiegunowego lodu; który w treści ma nam okazać okropne powstawanie kry-ształowych Demonów Północy.

Ze nawet wolny żywioł oceanu w klimacie które-go średnia roczna temperatura, często większa niż 10° niżej punktu marznięcia, musi uleść stężającemu urokowi mrozu — to nas powinno mniej zadziwiać, aniżeli działało odkrycie otwartego morza wśród lodowego świata, którego objaśnienia rzeczywiście musieliśmy szukać w dziwnym zbiegu wielu okoli-czności.

Słona woda morska marznie w temperaturze 2° niżej punktu marznięcia czystej wody. Sól wydziela się w największej części, a po dłuższym czasie lód staje się zupełnie słodki, ponieważ ciężka, słona wo-da stopniowo przez jego pory wycieka.

Lód ze słonej wody bywa dziurkowaty i nie prze-zroczysty — wyglądający w powietrzu białawo lub szarawo, w wodzie zaś ciemno o tyle, o ile w skutek optycznego złudzenia nieprzybiera zielonych lub nie-bieskich kolorów wody morskiej.

W rzekach lub morzach lód tworzy się u brzegów tak, że w środku kotliny morskiej, nawet w czasie najteższej zimy, otwarty przepływ pozostaje.

Igiełki które od brzegów ku morzu wysterczają tworzą z początku drobną krę, ta wprędce się łączy i szczelną pokrywą powleka powierzchnię morza, już druzgotaną przez nawałnice, już topniejącą pod letnimi promieniami wznoszącego się słońca albo pędzoną w rozlicznych kształtach po morzu. Raz je-den, okrywa się morze kilku-milowemi, ogromnej gru-bości, okiem nieprzejrzanemi polami lodów albo mniejszemi słojami lub spiczastemi i trzaskowatemi bryłami, które zupełnie bez ładu czasami 80 stóp nad powierzchnią ogólną wysterczają na podobień-stwo pakowego lodu (jak go żeglarz nazywa) i dają widok obszernego pola, licznie dużemi i małemi, kań-ciastemi lub okrągłemi kamieniami, zasianego. Dru-gi raz, te luźne massy lodu bez liku obok siebie pły-ną; żeglarz takowe nazywa pływającym lodem jeśli mu drogi nie tamują lub zmurszałym skoro zdaje się być bliskim rozpuszczenia. Niekiedy odrywa się od podnóża lodowego pola okrucha lodu, zwana „Ciele” które z niesłychaną gwałtownością ku powierzchni szybuje albo ostry „Język” sterczy pod zwierciadłem morza wzdłuż od podnóża lodowca. Okropna grubość którą składają massy lodowe, często wielu set stóp sięgające, byłaby nie do wyjaśnienia, gdyby powstawa-nie swoje tylko zamarzaniu wody morskiej zawdzie-czała.

Choćby nawet prędko miał lód przyrastać od spo-du, to jednakże u góry ciągle paruje, z niesłychaną szybkością, w nadzwyczajnej suchości powietrza tych okolic. Za to atmosfera wydziela swe wilgotne skarby nie tylko od lodu parującego otrzymane, ale nawet i te, które jej z cieplejszej strefy przyplnęły.

Przy wzroście podbiegunowego lodu, śnieg, mgła, i deszcz mają udział — wnosząc tu swe potężne bu-dowy; na co im nie krótki przeciąg zimowych miesię-cy, lecz długie lata i wieki tego pozwalają.

Małe, w formie gwiazdek, massy pięknych kratko-wych kryształów śniegu, zimę podbiegunową poprze-dzające — biorą na się przygotowanie gładkiej płą-szczyzny lodów pod obszerne zimowe budowle. Te gwiazdki przymarzając szczelnie na lodzie, choć począ-tkowo szybko w suchém powietrzu parują; jednak po-tém następuje wraz z zwiększającym się zimnem, tym szerokościom właściwem, spadanie delikatnego pyłu śnieżnego, który szczelnie do szorstkiej powierzchni przylega i przez wiatr nie może być zdmuchnięty. Mgła, deszcz i nawałnica śnieg spiętrzony przenikają,

a mróz zmienia go w przezroczyste kawały lodu. Często w skutek tego przybiera wszystko właściwe kształty jednolitej masy lodu. Topniejący śnieg powierzchni zmienia się w prosto-stojące igły i kryształy; a ponieważ przy każdej warstwie ta przemiana się powtarza, w końcu więc cały lód składa się z regularnych kryształów, podobnych do bazaltowych kolumn obok siebie stojących zupełnie bez związku: całość zaś równa się w pół płynnej massie bez szkodenia trwałości ogólnej. Ruch bałwanów morza, a więc i jeszcze rosnący ciężar na grzbietach pól lodowych—które bywają z jednej strony w głąb morza ciągnięte, zaś z drugiej do lądu przyparte, zrzadzają w końcu oderwanie się lodowego pola, stawającego się igraszką prądów. Pole, podobne do okiem nieprzejrzaną wyspy, pędzi, łudząc często najdoświadczeńszego żeglarza, który całe dnie jego wybrzeża okrąża i każdej nocy przy nich na kotwicy staje — ażeby się w końcu dowiedzieć, że się z miejsca nie ruszył, bo wyspa pędziła na południe, a okręt ku północy sterował.

Często druzgoczą się lodowe wyspy w tysiące brył przez wzajemne uderzenia — częściej rozbijają się o skały, lub giną w skutek nierównego obładowania, które w więcej na mgłę i nawałnice wystawionych okolicach otrzymują.

Takie nierówno obciążone, a zatem nie jednostajnie grube bryły, później krzywo leżą w wodzie, nurzając się jedną stroną na jakie sto stóp głębokości, gdy tymczasem z drugiej, na taką wysokość w powietrzu sterczą. Skoro taka w poprzek żeglująca bryła zostaje pędzona na przeciw lodowego pola wtedy wznosi się jej wolny wierzchołek, jako kolosalny obelisk, setki stóp wysoki, aż przeważanie w powietrzu wolno budującej się masy, obrywa ją, i na bryły roztrąca.

Świeże masy lodów obok przepływając, piłują je, szlifują i wiercą — wiatry i bałwany morskie biją, polewają i szczerbią, a w skutek tego tworzą się owe dziwotworne kształty, — słupy, kolumny i mosty, których widok żeglarz opisuje z uniesieniem, mimo okropnej, ich ruchami wywołanej, trwogi.

Często zdaje nam się widzieć w niebezpieczeństwie podbiegunowego lodu tylko gwałtowne, do wysokości wież wznoszące się masy, które okrętom drogę zamykają lub im zgnieceniem grożą; ale właśnie daleko więcej nas przestraszają małe, wiecznie ruchliwe bryły, które tak samo w zetknięciu są w stanie okręt zdruzgotać lub łącząc się podobnie zgotować mu lodowe więzienie, mianowicie z powodu swój niezliczo-

ności jak również niemożności uniknienia. Zwykle nawet żeglarze udają się pod opiekę potężnego pola lodu, przy którym zarzucają kotwicę, ażeby sobie przez gęsto-płynącą krę utorować drogę. Lecz taka podróż i wtedy nie zupełnie wolna od niebezpieczeństwa, najokropniejsze często przebywa lody od płynącej bryły. Blok lodu przy którym okręt kapitana M'Clure, odkrywcy przejścia północno-zachodniego, stał na kotwicy, wpadł na mieliznę pełną lodu, wyrzucając przy zetknięciu kawały lodu, do 12 stóp średnicy, w górę nad powierzchnię wody. Pęknięcie i rycie tegoż po dnie morskiem, z trzaskiem gromu następowało. Ogromna góra sformowała się w środku; jak gdyby wulkan był czynnym; pękła odrazu ale tak, że miejsce gdzie tkwił okręt, zostało nieuszkodzonym i zaledwie mała część zdruzgotanej masy z taką gwałtownością dotknęła tylną, bezbronną część okrętu, że tenże z okropnym pędem wyleciał na otwarte morze. Drugi raz ten sam okręt przez kołysanie bloku lodowego, do którego był przymocowany, popadł w okropne niebezpieczeństwo, zostawszy do wysokości 6 stóp w górę wzniesionym przez język lodowy pod dnem ukryty.

Wkrótce potem tenże blok lodu został przez inny, za brzeg wysterczający, zaczepionym i prostopadle na stóp 30 w górę podniesionym, tak, iż sprawiał najokropniejszy widok osadzie okrętu. Każdej chwili byli w obawie żeby okręt się nie przewrócił lub nie został rozbity, — na szczęście po krótkim przestanku zdruzgotał się podnoszący blok lodu a blok ochronny powrócił na dawne miejsce po krótkim tu i owdzie kołysaniu.

Zaledwie kilkakrotne wysadzanie prochem lodów mogło uratować z najkrytyczniejszego położenia. Można sobie wyobrazić pełne bojaźni natężenie z jakim osada okrętu o kilka kroków oddalona, rezultatu katastrofy oczekuje. Cały wtedy okręt bywa wstrząsany, maszty drżą ciągle; liny prądy unoszą, a najbliższy moment może okręt na brzeg lub skały lodu wyrzucić. Lecz masa lodu pękła — okręt pochylony się prostuje — żadna z jego części nie doznała uszkodzenia, tylko miedziane obicie, w skutek tarcia lodu, zostało zdarte i jakby w rolki zwinięte.

Nie zawsze jednak ludzkie usiłowania zostają w tych walkach pomyślnym skutkiem uwieńczone, — nie zawsze przypadek jest gotów odwrócić niebezpieczeństwo. Na to dostatecznych dowodów dostarczyły w ostatnich latach losy wysłanych ekspedycji do Bieguna na ratunek Franklina. Dwie okropne katastrofy: Zatonięcie okrętu Breadalbane i śmierć

Bellot'a w nurtach kanału Wellingtona, mogą służyć do uzupełnienia okropnego obrazu lodu podbiegunowego.

Niech kto spróbuje wyobrazić sobie burzę na morzu Lodowatém!

Niech każdy myśli że lód jest tu kamieniem, płynącą z wściekłym pędem granitową skałą.

Można sobie wyobrazić że te skały z trzaskiem piorunu się uderzają, druzgoczą, na siebie walą; że płytkie pola lodowe pędzone burzą przeciwko tym masom i przeciw skalistym pobrzeżom, piętrzą się na sobie i z szumem zwałają, dziko mieszając gwałtowny hałas z chaosem szumu i fali. Taka burza w sierpniu 1853 roku schwyciła oba okręty kapitana Inglefielda i całemi dniami rzucała go w ciasninie Barrow'a. Okropne pole lodowe, nareszcie pędzi z rwącą gwałtownością przeciw okrętom, w których jeden parowiec wytrzymał uderzenie mass lodu, drugi zaś „Breadalbane” został w przystani od bloku lodowego trafiony — z obu stron przebity i po kilku chwilach poszedł na dno bez ratunku i śladu w otchłań wzburzonego morza, w obec zaledwo uratowanej osady. Tylko szczątki łodzi dozwalały jeszcze rozpoznać miejsce, gdzie massy lodu nad nim się skupiły.

Taż burza pozbawiła życia Bellot'a, podróżnika, który z polecenia Inglefielda właśnie przebywał lody kanału Wellingtona i próbował łodzią dostać się do

brzegu, gdy go burza podchwyciła. Dwaj ludzie czekali u brzegu, gdy nagle ujrzeni massę lodową która Bellot'a z dwoma towarzyszami unosiła, odrywającą się od brzegu i w burzy i śnieżycy znikającą.

Przez całą noc nieszczęśliwi pozostali na tym niebezpiecznym statku, bez żadnej pomocy i ochrony przed burzą i zimnem, — dopióro nożami wydrążyli sobie łożysko w górze lodowej, a z brył zbudowali rodzaj śniegowego domu. Rankiem Bellot wyszedł na wierzchołek lodowej góry dla rozpoznania stanowiska i więcej nie wrócił. Po niejakić chwili znaleźli towarzysze podróży tylko kij jego, w otwartej paszczy dzikiego morza u stóp lodowej góry. Gwałtowny uragan zwał go zapewne ze śliskiej powierzchni a ciężkość ubrania ciągnęła go na dół. Jego towarzysze ratowali się później wyszedłszy na stałe lodowe pole a ztamtąd przez, płynące bryły, za pomocą wiosła do bieguna.

W tych strasznych obrazach brakuje jeszcze okropnych ale majestatyczne formy mających brył lodu, których rażący połysk na milę rozświetla pochmurne mgły podbiegunowego morza. Ale i ci dumni władcy wód Bieguna są na nich obcemi: ich kolébką ląd stały—tam wzrosli żywieni sokami kraju aż przez swawolę wskoczyli do szumiącego, groźnego morza.

Dziwotworna ta formacja lodów dostarczy nam treści do nowego obrazu lodu podbiegunowego.

DRUKARSTWO W POLSCE.

(CIAĞ DALSZY.)

Jan Wróblewski ożeniwszy się z panią Baccigalupi posiadał drukarnię aż do roku 1843, w którym nabył Jan Jaworski. Zakład z domu Kazanowskich (dziś rozwalonego, gdzie ma być Nowa Resursa) przeniósł do b. pałacu Paca, i tak go znacznie rozszerzył iż dziś do najpierwszych i najwziętszych drukarni należy. Od roku 1847 księgotłocznia mieści się w pałacu Stanisława hr. Potockiego, i oprócz wielu dzieł i własnego Kalendarza, wydaje obecnie, bądź wydawała ośm pism czasowych, a mianowicie: Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego; Przegląd Naukowy; — Tygodnik lekarski; — Kroni-

kę wiadomości krajowych i zagranicznych wraz z Przeglądem rolniczym, przemysłowym i handlowym; — Gazetę rządową królestwa Polskiego; — Gwiazdkę — i to pismo, które czytelnik w tej chwili trzyma w ręku.

Drukarnia Jana Potockiego, z epitetem wyżej przytoczonym, przeszła naprzód w roku 1792 na własność Antoniego Czarniawskiego, a następnie do biskupa dyecezyi chełmskiej, i dotąd, acz nieczynna, znajduje się w Chełmie.

Przy Nowolipiu w roku 1802 Tadeusz Mostowski minister, założył drukarnię i wydawał w niej „Wybór pisarzy *polskich*.” Później nabył i pozostałe

egzemplarze z tego wydawnictwa i sam zakład drukarski Onufry Łatkiewicz; który w roku 1827, doprowadził zakład do pierwszorzędných drukarni; tak, że jego i Natana Glücksberga księgotłocznie, były najlepsze wtedy w Warszawie, i utrzymywałyby się długo na stopie wziętości, gdyby Bank polski nie wystąpił z prassą hydrauliczną, która miała wszystkie inne tłocznie przewyższyć (Patrz Z. I. Ks. *Świata*). Po skonie Łatkiewicza drukarnia była własnością Mikulskiego właściciela Gazety Codziennój i Walkiewicza pod firmą J. Kaczanowskiego. Około roku 1854 przeszła na własność Chmielewskiego (syna), po którego śmierci w roku 1857, kupili ją i rozegrali pomiędzy sobą trzej właściciele drukarni, Jaworski, Orgelbrand i Unger.

Józef hr. Krasieński, senator, założył drukarnię 1827 roku, w której wydał, między innymi, powieści swój siostry Jaraczewskiej. Józef Węcki, wspólnik księgarni pod firmą *Zawadzki i Węcki*, kupił tę księgotłocznię ze Świerczewskim, i wkrótce odprzedał J. Chmielewskiemu, ojcu wyżej wzmiankowanego. Świerczewski przeniósł się do Suwałk, i dziś jego drukarnia jest własnością Pileckiego; Chmielewski zaś (ojciec) dorobiwszy się wioski, odstąpił swój zakład w r. 1841 Lasockiemu, który go pod firmą dawną prowadził do roku 1847, sprzedał potem księgotłocznię Samuelowi Orgelbrandowi, dzisiejszemu jej posiadaczowi.

Drugi hr. Krasieński (Walerjan † 1856) założył drukarnię stereotypową w 1829 r. która po r. 1831 przeszła na własność Dietrycha; dziś posiada ją Adolf Krethlow. Stereotypowa księgotłocznia była pierwotnie w domu Dębowskich przy ulicy Królewskiej, gdzie dziś jest drukarnia Kowalewskiego, nowozałożona od r. 1856.

Zamiast Monitora Warszawskiego, począł w roku 1829 wychodzić Dziennik Powszechny, Gazeta urzędowa królestwa polskiego. Adam Chłędowski redaktor, urządził wtedy drukarnię, nabywszy, między innymi, i jedną prassę z księgotłoczni Puławskiej. W końcu roku 1831 drukarnia wraz z pismem czasowym przeszła do rąk Antoniego Dobka, któremu Dziennik przerwano w r. 1837. Natomiast pozwolono mu wydawać od 1838 r. Gazetę Poranną, którą wraz z drukarnią nabył w r. 1840 Hip. Skimborowicz. Zakład nosił firmę „drukarni Gazety Porannej” do połowy 1841 r. bo od 1 lipca począł w niej wychodzić „Czas, dziennik polityczny, literacki i handlowy.” W roku 1842 nabył drukarnię Witte, i wydawał w niej „Dziennik Krajowy, oraz Gazetę Po-

wszechną.” — Zakład nieco powiększony przeszedł w roku 1843 do rąk Kiessewettera, który tu drukował „Gazetę teatralną” i „Bibliotekę teatrów.” Po skonie redaktora i właściciela księgotłoczni, mieszczącej się na końcu w pałacu Kossowskich przy ulicy Bielańskiej, drukarnia poszła w rozsypkę.

Dąbrowski Wiktor, po założeniu drukarni w 1805 roku zakończył żywot 1817 roku. Syn jego Stanisław prowadził zakład jeszcze lat kilka, ale w końcu nabyli ją w latach 1825 i 1826 Rafał Jabłoński i J. Schlieter. Jabłoński przyjął do spółki Kalmańskiego, lecz i roku z nim pono nie drukował. Schlieter także zaledwie kilka dzieł wytłoczył i sprzedał część swą Jabłońskiemu. Tym sposobem rozdzielona drukarnia Dąbrowskich, znów się pod jedną firmą Jabłońskiego złączyła w 1828 r. Ale nie długo w ręku R. Jabłońskiego zostawała, bo tegoż jeszcze roku przeszła naprzód do Lutostańskiego, a przed r. 1832 do Rylle'go. Ten ostatni, widząc że w Warszawie księgotłocznia przyliczném współubieganiu się, nie idzie zbyt świetnie, przeniósł ją do Siedlec i do dziś dnia tam zakład ten egzystuje. Książę Włodz. Lubecki, do wydawania *Motyła* miał drukarnię w roku 1829, którą w roku 1831 przyłączono do Kommissyi Wojny. Ta ostatnia księgotłocznia, w której wychodziły „Roczniki wojskowe” założoną była w roku 1817 i dotąd egzystuje w pałacu Prymasowskim, od ulicy Koźlój, nosząc miano Sztabowój.

W roku 1824, wiceprezydent miasta Warszawy założył drukarnię w Ratuszu, która jest dotąd własnością Magistratu. Dawniej nosiła firmę „Urzędu Muncypalnego.”

Bruno hr. Kicieński założył 1818 r. przy ulicy Gęsiój księgotłocznię do wydawania Orła, Gazety Codziennój, Kroniki XIX wieku, Wandy i innych pism czasowych. W roku 1822 wraz z Kurjerem Warszawskim sprzedał ją za złp. 5,000 ś. p. L. A. Dmuszewskiemu. Dziś jest spółwłasnością p. Lud. Zabłockiej, córki zgasłego wydawcy i red. Kurjerka.

Feliks hr. Żubieński minister, założył drukarnię i Bibliotekę dla ówczesnego Ministerium Sprawiedliwości za X. W. w r. 1809¹⁾. Księgotłocznia z tytułem *rządowej*, powiększyła się potem resztkami drukarni skarbowych, to jest kadeckiej i jezuickiej, i zostawała pod kierunkiem księdza K. T. Dembka a mieściła się w gmachu klasztornym na Lesznie u ks. Karmelitów, gdzie ks. Dembek umarł w r. 1829.

¹⁾ Czcionki użyte były krajowe, lane przez gisera Grodzieńskiego.

Sam zakład, różne przechodząc losy, mieścił się roku 1832 w domu zwanym „Biblioteką Załuskich” przy ulicy Daniłowiczowskiej: kierował nim Bentkowski brat rodzony profesora i autora *Historii lit. pols.* — Bentkowski, rządząc drukarnią rządową, założył przy niej i swoje własne kaszty, oraz prasy. Po śmierci więc jego, nabył drukarnię rządową J. Glücksberg — a następnie przeszła ona do Kommissyi Sprawiedliwości pod zarząd K. W. Wojcieckiego. Własną zaś księgotłocznię Bentkowskiego kupił Józef Tomaszewski i utrzymuje ją przy ulicy Bielańskiej.

Natan Glücksberg założył jedną z najlepszych drukarni w Warszawie około roku 1819¹⁾. Sprowadził druki lipskie i paryzkie (Didota) oraz założył własną gisernię, oddaną później synowi Augustowi Emmanuelowi, mającemu swą księgarnię do roku 1846 w Warszawie, a dziś mieszkającemu za granicą. Lelewel, ogromnie powstawał w *Bibliograficz: Ks: Dw. (T. I str. 229 i 230)* na niepoprawność drukarni Glücksbergowej, i dowodził jak smutną stanowi sprzeeczność, piękność zewnętrzna czcionek z błędami licznymi wewnątrz książek. To przypomnienie, kilkakrotne nawet, bardzo się przydało i terażniejszym panom drukarzom. Natan Glücksberg stracił na swych przedsiębiorstwach. Jego drukarnia po r. 1831 z powodu processu ś. p. Szulca o 40,000 złp. długi czas leżała na składzie w Banku Polskim, aż nareście przed dwudziestu przeszło laty, nabyła ją Kommissya Rządowa Przychodów i Skarbu do użytku biurowego.

B. Kommissya wyznań religijnych i Oświecenia Publicznego, zakupiła część drukarni Natana Glücksberga w roku 1823, dla wydawnictwa książek elementarnych. W roku 1830 nabył ją sędzia Damazy Dzierożyński i począł w niej w styczniu 1832 roku wydawać „Tygodnik Polski.” Gdy się wydalil za granicę, Tygodnik polski dalej był prowadzony przez redakcyę Gazety codziennęj, jak to czytamy na tytułach i w ogłoszeniach od 1 lipca 1833 r. Drukarnia była przy ulicy Mazowieckiej; w połowie zaś 1833 r. „Tygodnik polski” drukowano już u Gałęzowskiego.

Firma *A. Gałęzowski i Komp.* była niemal idealną, gdyż drukarnia nigdy do Gałęzowskiego nie na-

¹⁾ Tenże założył filię drukarni i księgarni zarazem i w Krzemieńcu, gdzie wychodziły pisma czasowe: „Ćwiczenia naukowe i Pamiętnik naukowy.” Zakładami temi kierował syn jego Leon Glücksberg, dzisiejszy księgarz Warszawski.

leżała. Założył ją poprzednik i spółnik ś. p. Sennewalda (ojca) Brzezina księgarz w roku 1825. W parę lat przeszła do rąk Hoffmanna, Szyrmy, Janickiego Stanisława i spółki, którzy poczęli wydawać kalendarze pod przybranym tytułem „Gałęzowskiego” od roku 1827. Mnóstwo wychodziło pism czasowych w tej księgotłoczni położonej przy ulicy Żabięj Nr 472. Od roku 1832 kierowali nią ś. p. b. profes. Janicki i Stanisław Strąbski — a w roku 1842 (podobno) sprzedano z publicznej licytacji.

Strąbski wkrótce założył pod własną firmą znaczną księgotłocznię przy ulicy Bednarskiej. W lat parę przeniósł się ztamtąd do Biblioteki Załuskich, gdzie dotrwał jeszcze do roku 1854. Zakład jego nabyli drukarze kaliscy, bracia Hindemithowie, z których jeden w roku bieżącym życie zakończył. Drukarnia ta egzystuje dotąd przy ulicy Daniłowiczowskiej, ale nie w b. Bibliotece Załuskich, lecz w officynie b. pałacu Tepperowskiego. Tam wychodzi czasopismo niemieckie pod tytułem: „Warschauer Zeitung.”

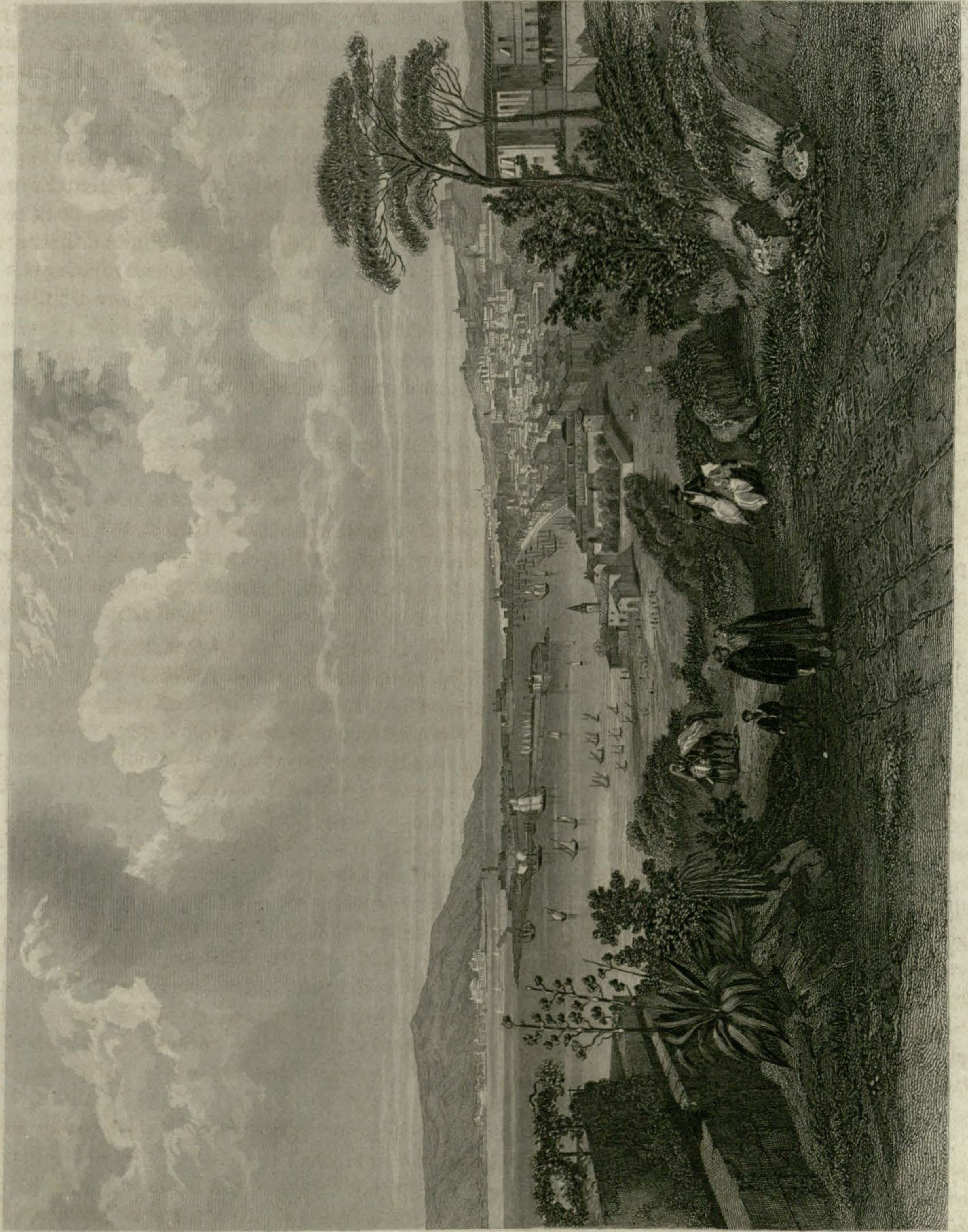
Około roku 1825 Buczyński założył drukareńkę i w lat kilka odstąpił ją wydawcy Gazety polskiej, Sojeckiemu. Wkrótce przeszła na własność Kosseckiego i spółki, a w roku 1829 nabył ją Franciszek Salezy Dmochowski, który znaczną ilość pism czasowych wydawał. Jakiś czas, po wyjeździe F. S. D. na wieś w Płockie, drukarnia była prawie bezczynną.

W r. 1841 drukarnię Wyżewskiego, pochodzącą od Malinowskiego, jeszcze z r. 1781, kupił J. Unger za 75 rs. od ś. p. Boguszewskiego (mającego za żonę córkę Wyżewskiego) i przeniósł do domu Petyskusa. Przeprowadziwszy się wkrótce do domu G. Sennewalda, powiększył zakład. W roku 1851, gdy H. Rzewuski wydawał w niej swój *Dziennik Warszawski*, wtedy księgotłocznia była przy ulicy Miodowej, w tym domu gdzie księgarnia G. Sennewalda (Draca). Od lat kilku mieści się w domu pp. Wizytek na Krakowskiem-Przedmieściu.

W 1828 r. M. W. Kosicki miał drukareńkę i wydawał w niej dziełka treści religijnej. W roku zdaje się 1833 kupił ją Wincenty Topor Matuszewski i tu drukował własnego tłumaczenia „*Jasnowidząca z Preyost.*” Potem wywiózł kaszty i prassy do Kobyłki za Pragę.

Małecki utrzymywał drukarnię od roku 1821; lecz wkrótce sprzedał hr. Giżyckiemu i księgarzowi tuzinkowemu Pukszcie. Od tego ostatniego kupił Piotr Barycki. Dziś jest własnością Wyszomierskiego (na Marjensztadzie).

(d. n.)



Missing

MESSYNA.

(ZE STALORYTEM).

„Gdyby rodzaj ludzki zaginął z powierzchni globu naszego „wyrzekł jeden ze znakomitych mowców wieku naszego „i gdyby jaki zesłany z Nieba podróżny zwiedzić chciał osamotnione zwaliska jego, osądziłby bezwątpienia, że miejscem gdzie panował lud najbogatszy, najszcześniejszy — była piękna Italia.”

Żaden z innych ludów nie mógł iść z nią w zawody, czy to o piękność zesłaną od Boga, czy o tę, jaką ona sama sobie stworzyła.

Starsza córka Europy, wyprzedziła we wszystkim tegoczesne narody; ona to rozwijała w nich nietylko uczucie pojęcia piękna, ale nadto przewodniczyła w utworzeniu kształtów rządów, najbardziej potrzebom ludności odpowiednich. Można powiedzieć iż były czasy, mianowicie od Charlemagn'a do Karola V, kiedy nowy Rzym garnąc pod swoją przewagę całe Włochy, jaśniał stokroć wyższą chwałą jak stary; kiedy pówtórnie całego świata oczy, zwrócone były, już niejako na centrum tyrańii i zepsucia, lecz jako na miejsce odrodzenia, na kolebkę sztuki wyższej, chrześcijańskiej. Z tamtych to świetnych czasów datują najpiękniejsze budowle miast włoskich, świadki, wymownie o wielkiej przeszłości mówiące. Niema miasta najmniej przez podróżnych wspomnianego, w którémby nie można spotkać pięknych kościołów obficie w arcydzieła mistrzów uposażonych, a cóż dopiero, gdy nam przyjdzie zwiedzać większe i sławniejsze grody!

Piękna Messyna, w półkole jak Neapol nad morzem zabudowana, jest jednym z większych miast, położeniem swoim, pięknymi gmachami, ruchem handlowym na większą uwagę zasługującym. Niestety 1783 roku, 5 lutego, trzęsienie ziemi, to niegdyś wesołe i kwitnące miasto, napełniło zniszczeniem i trwogą. Zachwiały się, narysowały w podstawach swoich piękne przybytki miasta, mnóstwo pałaców, domów runęło, pochłaniając w gruzach nieszczęśliwych mieszkańców. Piękna katedra, za cud wieków uważana, w znaczniejszej części uszkodzoną

została; zgoła miasto w owym roku znacznie ucierpiało i upadło. Mimo-to jednak Messyna świeci zdaleka szeregiem pięknych białych domów, z pomiędzy drzew wychylających się; a ulica jedna z pierwszych miasta pod nazwiskiem la strada Ferdinanda, odznacza się dużymi gmachami, zdobnemi w żelazne i wyrabiane ganki, również brukiem z szerokich płytów szarego marmuru ułożonym.

Chcąc dać dokładniejszy obraz jaki uderza podróżnego, zbliżającego się do Messyny, przytoczymy tu wyjątek z tegoczesnej podróży.

„Późno już statek nasz opuścił Redździo, i w najpiękniejszy wieczór ciasninę morską przepływał. Sirocco wiał tylko o tyle by unosić żagle i źródło Charibdy, które tylko przy południowym wietrze jest widoczne, uwydatnić. Słońce zapadało za góry Sycylii i ozłacało na wystających skałach rozłożony zamek Scylli. Wieloryby otaczały orszakiem okręt, kręciły się w koło, wypuszczając się mocnymi podskokami w powietrze. Etna kłaniała się uprzejmie w dali, i znowu znikwała w swoim własnym cieniu. Przyświecała tylko swym wiecznie wybuchającym płomieniem, podróżnym w jasnogwiazdzistą noc Strombola. Przy latarni morskiej, która na wierzchołku Molo stoi, widok Messyny był zadziwiający. Ja widziałem jak on jest zachwycającym, w porcie gdy słońce za Kalabryjskie góry zajdzie, i fortecę na wierzchołku, a miasto w dolinie, ozłoci. Ale w nocy nie mogłem się niczego spodziewać. A jednakże te ciemne rzędy domów ustawione w półkole około portu mającego formę sierpa, te w górze z klasztorów i fortecy błyszczące tysiące świateł, a kontur z Messyny rysujący się na ciemnym tle, jak haft jaki ze srebrnymi swiatełkami, — wszystko to było zachwycające!

„Piękne położenie Messyny oddawna jest sławne; zamki jój (twierdze), Gonzaga Griffona, Salvador, kaplice, kościoły, klasztory, już niektóre nawet w ruinach, ozdabiające okoliczne góry, a wreszcie i te pagórki, których głębie nie tak oddalone są by ich

właściwe formy odróżnić nie było można — dziwaczne ich zarysy świadczą o wstrząśnieniach przez które w rozmaitych epokach przechodzić musiały.

„Messyna założona przez Greków Jońskich, na 500 lat przed erą chrześcijańską, w kwitnym już była stanie. Kartagina spustoszyła ją za czasów starszego Demeciusza, który na nowo ją odbudował. Pierwsza wojna Punicka zakończyła się oddaniem Messyny pod panowanie Rzymu. Po upadku tej królowej świata, kilka razy opanowywana zawsze się podnosiła; a w długiej walce chrześcijańskiej Sycylii przeciw Saracenom, Messyna była jedynym miastem wyspy które ostatnie się poddało. Roger Normand hrabia Kalabryi oswobodził ją w roku 1060. Od tego czasu dzieliła niezmiennie losy wyspy i jej częste zmiany władców. Po Nieszporach Sycylijskich Messyna, jako pierwsza ofiara, nawiedzona została przez Francuzów. Na czele jej bohaterskiego oporu stanął *Anjon Racheplan*. Messyńczycy wynieśli się wszyscy, mężowie i syny z bronią i kamieniami na wały, by ciągle się ponawiający szturm odpiierać, a matki przyprowadzały tam niemowlęta, ażeby na widok bezbronnych istot chwijającą się odwagę i słabiejące siły obrońców ożywiać. Odsieczne wojsko hiszpańskie przybyło na czas.

Pod późniejszym neapolitańskim rządem, handel tu kwitnął i wkrótce Messyna doścignęła Palermo, co do wielkości, bogactwa i ludności. W roku 1740 miasto to miało 100,000 mieszkańców, ale zaraza w 1741 zabrała blisko trzecią część messyńskiej ludności; na ulicach trawa zarosła, a 3000 domów stało próżnych, zanim się znowu podniosło i znowu się odbudowało, lecz już bez dawnego przepychu. Messyny domy są prawie pałacami, ale uszkodzonymi, nie mają więcej nad dwa piętra, gdy dawniej miały ich cztery do sześciu; że jednak używają mieszkań dolnych, które zamieszkiwali w czasach trzęsienia ziemi, ztąd wynika dobra proporcya budowli. Stare piętra, które są sklepione, używają najczęściej na składy handlowe. Magnateria tutaj nieliczna, po trzęsieniu ziemi przeniosła się do Neapolu i Palermo. Najpiękniejsza część Messyny była Palazata na wybrzeżu morskiem, a właśnie teraz leży w ruinach, składa się ona z rzędu jednakowo budowanych pałaców o czterech piętrach. Trwało rozporządzenie rządu Neapolitańskiego przez pół blisko wieku aby

w miejscu tém budowano gmachy równie wysokie i wspaniałe jak przedtem, ztąd zaprzestano zupełnie ich wznosić, dopiero przed kilkoma laty nierostropne to prawo usunięciem zostało.

„Zachwycające są spacery La Marina od morza aż do cytadelli Moło; w środku tej ostatniej jest lazaret kwarantannowy z dużemi zabudowaniami, a w dali baterye otaczające podnóże latarni morskiej, i wejścia do portu broniące.

Messyny terażniejsza ludność nie przechodzi 40000 mieszkańców; najpiękniejsze zabudowania są publiczne lub należące do kościoła. Pałac gubernatora, katedra, pałac arcy-biskupa, są wspaniałe, i stawiane w najładniejszym stylu.

„Tutejsze duchowieństwo liczne jest i dobrze uposażone, także i liczba świeckich urzędników dość wielka; właściwy jednak charakter stanowi tu miasto handlowe; angielskie i francuskie domy zakładowe, których tam kilka liczą, robią wielkie interessa. Messyna przeprowadza wszelkie produkta wyspy szczególnież zboże, oliwę, wino, potaż, siarkę, a szczególnież też owoce południowe, jak pomarańcze i cytryny do Anglii i to za kilka millionów guldenów. Od czasu, gdy używanie soku cytrynowego w marynarce angielskiej zaprowadzono jako środek anty-skorbutyczny, co rok do Anglii wychodzi za 300,000 cytryn.

„Przyjacieli sztuk znajdzie w Messynie małą zdobycz. Starożytnych malowideł i rzeźby jest nie wiele i to miernych. Na placach publicznych zaś stojące posągi królów, mają tylko wartość metalu. Próżne tu także będą usiłowania badacza starożytności; ten jeszcze jednak znajdzie wynagrodzenie nudów doznanych w mieście handlowém, gdy zwiedzić zechce ruiny niedaleko tam leżącej Taormii. Nie mniej piękne są przebadzki po fumarach to jest potokach, które w lecie cieką i sączą się, a w zimie szeroko jak rzeki jakie płyną. To bowiem są drogi wiodące na góry, drogi, idące pomiędzy winnicami, sadami pomarańcz, i morwowemi laskami, gdzie za każdym krokiem coraz inne, a coraz piękniejsze odsłaniają się widoki. Najpiękniejsze są Castellaccie i Melazzo. W tych to fumarach, Messyńczycy pobudowali bardzo lekkie, bojąc się trzęsienia ziemi, domy wiejskie, o jednem piętrze, zacienione wielkimi drzewami, dającymi miłe w pewnych porach roku przed skwarem słońca schronienie.

OJCIEC Z XVIII^{go} WIEKU,

OPOWIEŚĆ Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

(Dokończenie.)

Ksiądz Suffragan oznajmił przełożonej zakonu iż dzień 8 września, jako uroczystość Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, naznaczył na dopełnienie aktu solennej professyi dla nowo obleczonej siostry Bogusławy; oświadczył zarazem iż wszelkie formalności jakich ów skrócony termin wymagać będzie, już na ten dzień powinny być przygotowane; zalecił więc aby i ksieni ze swojej strony starała się siostrę Bogusławę należycie przysposobić, tak w okolicznościach religijnych, jako i w zupełnej rezygnacyi — a oddalając się, dodał poufale — „żebyśmy znowu jakich grymasów nie mieli.”

W kilka dni skoro nowicyatka z habitem zdawała się być oswojoną, siostra Klara, nieodstępna jej towarzyszka, ostrzegała ją że w obec przełożonej nie można żadnego żalu objawiać, że to zniechęciłoby niezawodnie ku niej ksienię: nowicyatka, ile mogła, zastosowała się do tych przestrog. Jednego poranku przybyła przełożona do ich celi, i po krótkiej rozmowie oświadczyła siostrze Bogusławie, niby z ukontentowaniem, że biskup łaskawie naznaczył raczył dzień uroczystości Najświętszej Maryi Panny to jest 8 września „na odbycie aktu solennej professyi dla niej.” Jakto, tak prędko? zawołała Jadwiga zadziwiona i zbladła „Nie dziwuj się temu, rzekła ksieni, siostrzo Bogusławo! wyższe twoje ukształcenie, a nadewszysztko, dostateczna biegłość w zasadach religijnych, stanowią dla ciebie wyjątek i pozwalają zwykły termin skrócić. Zapewne, że bez szczególnej łaski jego ekscelencyi nie dałoby się to zrobić, wszakże na skutek przychylnego mojego przedstawienia, jakie co do osoby twojej poprzednio zrobiłam, raczył zezwolić i ten skrócony termin naznaczyć. Siostra Klara oświeci cię dostatecznie co do programu tej ceremonii, którą w wigilię poprzedzi spowiedź twoja z całego życia.”

Po takiej przemowie ze strony przełożonej, Jadwiga, jakkolwiek zatrwożona bliskością stanowczego

terminu, nieśmiała nawet w obec siostry Klary czynić jakichkolwiek uwag, ile że ta zachęciła ją zaraz do modlitwy dziękczynnej za otrzymaną szczęśliwą wiadomość. Ukłękły więc obiedwie, Jadwiga za czytającą Klarą modlitwę powtarzała, połykając łzy ciężkiego żalu.

Czas poprzedzający datę 8 września, płynął dla Jadwigi z martwą jednostajnością; modlitwa i rozpamiętywania, były zwykłym jej zajęciem; czasem tylko rozmowy siostry Klary przerywały te jednostajne zajęcia chociaż i one ścigały się zwykle do programu odbyć się mającego solennego aktu, albo do utwierdzenia nowicyatki w dopełnieniu onego z należytą skruchą, i abnegacją doskonałą.

Z Wierzbicy niebyło żadnych wiadomości; zdawało się Jadwidze że już od świata całego została zapomniana. Wszystkie te okoliczności wyrobiły w krótkim czasie w sercu jej, już i tak odrętwiałem, pogardę rzeczy światowych. Zdawała się nawet być przygotowaną do aktu który ją na zawsze z tym światem miał rozłączyć.

VIII.

Nadeszła wreszcie wigilia dnia stanowczego; biskup uwiadomiony przez przełożoną o stopniu przysposobienia nowicyatki, wybrał kapłana do przyjęcia od niej powszechniej spowiedzi, który przytém miał dać stosowne nauki i w koniecznej rezygnacyi ją utwierdzić. Sama ksieni była przytomną temu, jakoby z obowiązku. W godzinach południowych dnia następnego, miał się akt tyle razy wspomniany odbyć. Przygotowania już były zrobione i zakonnice w przepisanej liczbie do assistencyi wybrane; siostra Klara pierwsze między niemi miała miejsce. Ludność w mieście uwiadomiona o ceremonii odbyć się mającej, tłumnie w otwartym przybytku się zebrała, kolas wiele ku ulicy Panny Maryi toczyło się. Suffragan wraz z assistencyą odpowiednią zajechał przed

klasztor — wszystko więc było gotowe. Zakonnice z ksienią na czele weszły do dolnego chóru kratami od kościoła oddzielonego. W tej ostatniej chwili siostra Klara stojąc przy nowicyatce, zapytała czy dostateczną czuje w sobie siłę, do spełnienia aktu? Po krótkim milczeniu odpowiedziała Jadwiga: „Jestem sierotą, — krewni, przyjaciele mnie opuścili, nikt się mną nie zajmuje — w najdroższych serca mego nadziejach zostałam zawiedziona. Bogu więc jako jedynemu opiekunowi opuszczonych sierot oddaję się; spełnię to, czego po mnie wymagają.”

Gdy Kapłani z powagą stanęli już przy ołtarzu, w tej chwili kraty chóru rozwarły się i poczet zakonnice posuwał się ku ołtarzowi; tłum ludzi rozmaitych stanów zapełniał kościół. Nowicyatka pomiędzy dwiema starszemi zakonnicami postępowała na czele. Niezwykła jej uroda, bladość i smętność twarzy, na której głęboka religijna rezygnacja się malowała, wreszcie powszechna wiadomość, że jest sierotą po zasłużonym krajowi żołnierzu i obywatelu, jednały ku niej powszechne współczucie. Stała u stóp ołtarza. — Akt się rozpoczął zwykłemi w takim razie ceremonijami. Biskup głosem powolnym i pełnym kapłańskiej powagi zaczął wymawiać rotę solennej przysięgi, którą siostra Bogusława z cicha lecz wyraźnie powtarzała, następnie biskup włożył koronę na jej głowę jaką proffeski tego zakonu noszą. Wszystko się skończyło. Poczet zakonnice na powrót za kraty chóru powrócił, za kraty które Jadwigę na wieki ze światem rozdzieliły. Jadwiga obejrzawszy się raz jeszcze na świat zgromadzony w kościele i na kraty zakonne, przypomniała sobie przepowiednię dziada z Płonki i głośne łkania wyrwały się z jej piersi.

Choraży wiedząc o dniu w którym akt miał się odbyć, wysłał zaufanego swojego hajduka, aby koniecznie przy całej ceremonii był obecnym; Sawicki na ten dzień zmienił był ubranie hajducze i przybrał się w odzież mieszczanina; nie stawał jednak bardzo na czele, aby od Jadwigi nie był poznany. Po odbytej ceremonii na którą on jeden zapewne w całym kościele z wewnętrznym ukontentowaniem poglądał, mając wnet jechać do Wierzbicy aby chorążemu jak najspieszniej dać wiedzieć że wszystko jak pragnął dokonaniem zostało; wstąpił do księdza suffragana z zapytaniem, czy do pana jego czego nie napisze? Biskup miał w tej chwili gości, i wzięwszy ćwiartkę papieru te tylko nakreślił wyrazy: „*Zwyciężyliśmy!* Wszystko jak chorąży chciałeś dokonaniem zostało, później o szczegółach doniosę” złożył kartkę i oddał hajdukowi zalecając aby spieszenie do domu wracał.

Od powrotu hajduka do Wierzbicy nie było wcale w sekrecie że panna Bogucka wstąpiła do klasztoru. Sam chorąży oznajmił to swojej żonie. Zdziwiła się bardzo że Jadwiga nie jej poprzednio nie donosząc, tak ważny krok zrobiła. Domyślała się jednak iż może jakiś wpływ obcy do tego ją znaglił. Spotkawszy dnia tego księdza kapelana, wiadomość tę mu udzieliła. Faustyn osłupiał z podziwienia. „Pani chorążyno! rzekł po chwili namysłu — to być nie może; wszakże niespełna dopiero przed czterema tygodniami habit przywdziała, w rok dopiero szluby zakonne mogłaby dopełnić.” Niech mi waszmość wierzy, odpowiedziała chorążyna, Sawicki był świadkiem jak się akt solennej proffesji odbywał, i właśnie o tém wiadomość małżonkowi memu przywiózł. Gdy się rozeszli, Faustyn pomyślał: O niegodni! co oni zrobili! Bóg im tego nie zapomni, bo Bóg nie żąda takich poświęceń.

Nazajutrz rano, przyniesiono mu list: spojrzął na kopertę i poznał że był od Zygmunta. Z treści przekonał się, że powtórny list doszedł go i właśnie na niego mu odpisywał. Zaklinał on Faustyna aby całego swojego starania użył, do przeszkodzenia dalszym intrygom mającym na celu wtrącenie jego najukochańszej Jadwigi do zakonu. „Porzuć, mówił, Wierzbicę, czatuj na wszystko w Lublinie, rób co chcesz nareszcie, byleś tego nie dopuścił. Wierzaj mi kiedy to piszę, truchleję o nią; a gdyby to, czego nie dopuszczam, stać się miało, ciebie w mojem mniemaniu uważać będę za winnego, żeś na czas przeszkodzić nie umiał. Dołączam list do Jadwigi, staraj się jakąkolwiek drogą aby ją doszedł; wiem że niegodni zdrajcy starali się ją przekonać o mojej obojętności, wystawili może że ją dobrowolnie opuściłem. Kochany Faustynie, skoro ten list ją dojdzie, inaczéj się przekona. Zrzuci ten nieszczęśliwy habit który jej zdradą narzucono, opuści klasztor, a wtedy wszystko się naprawi. Faustynie, niech ten list koniecznie ją dojdzie, od tego cała pomyślność mego życia zależy. Bądź sprawcą mego szczęścia. Życie moje jest dziś w twoich rękach!”

Faustyn po przeczytaniu listu postanowił udać się do Lublina; dalszy pobyt w Wierzbicy stał mu się niepodobnym.

Z Lublina ułożył sobie napisać list długi do Zygmunta; konieczność wymagała aby mu o wszystkim doniósł. Ręka więc przyjaciela, miała mu okropny ten cios zadać! Faustyn skreślił ten list z oględnością, aby fatalna wiadomość jaką mu udzielał, najmniej szkodliwy wpływ na umysł jego wywarła: zale-

cał mu aby ją zniósł z umysłem męzkim, i niepoddawał się żalowi. Doradzał obok tego aby powrócił, jeżeli nie do ojca, to przynajmniej do kraju, któremu przy swoich zdolnościach mógł być bardzo pożytecznym—zachęcał aby na łonie przyjaźni szukał ulgi w ciężkich strapieniach. Przrzekał mu że list jego, jakkolwiek już niepomocze złemu które się spełniło, dojdzie rąk Jadwigi i przekona ją że zawsze byłś dla niej stałym i że poświęciłbyś chętnie swoje życie, aby przeszkodzić temu, co nielitościwa zemsta, dokonać potrafiła.

Tego dnia kiedy ksiądz kapelan do Lublina wyjeżdżał, chorążyna wysłała także do siostry Bogusławy Jankoskę która pragnęła odwiedzić ją w klasztorze, dała jej nawet list od siebie w którym zapewniała że ją nawiedzi jak tylko do zdrowia powróci. Ksiądz Faustyn pomyślał czyby nie można użyć tej sposobności i przesłać razem list Zygmunta do Jadwigi? Zjechał się więc na popasie z Jankoską w Jabłonny i tak czule do niej przemówił że przrzekła mu oddać list Jadwidze, tak iż zakonnice nic o tém wiedzieć nie będą.

Jankoska przybywszy do klasztoru, jawnie przez ręce ksieni list chorążyny do siostry Bogusławy pisany oddała; ksieni odczytawszy go i nic nie znalazłszy w nim świeckiego, siostrze Bogusławie oddać poleciła. Później Jankoska, kiedy z nią sam na sam rozmawiała, wsunęła jej w rękę list przez księdza Faustyna sobie powierzony. Na pierwszy rzut oka poznała rękę Zygmunta, zadrżała — ale przytłumić musiała wrażenie aby się nie zdradzić. Czekwała sposobnej pory—tocząc ciężką walkę z sercem. Obowiązek nakazywał list zedrzeć nie czytany; serce dopominało się o swe prawa. Serce zwyciężyło. Nie dziwny się biednej dziewicy,—mężniejsi, silniejsi z podobnych prób nie wychodzili zwycięzko. Po odczytaniu listu, o mało nie zemdląca; ogrom zdrady jaka ją dosięgnęła, przedstawił się w jej umyśle w całej okropności. Zygmunt ją kochał jak dawniej. Wyrzucała sobie zwątpienie jakiego dopuściła się względem jego miłości; łatwowiernością swoją przygotowała przepaść na zawsze ich rozdzielającą. Wyobrażała sobie straszny cios jaki w serce jego uderzy, skoro się dowie, że śmierć tylko potrafi ich z sobą połączyć...

Poprzedniemi cierpieniami znękana, od pewnego czasu znacznie cierpiała na zdrowiu: list Zygmunta przepełniając serce jej rozpaczą i żalem, podkopał stanowczo wątłe jej zdrowie. Zaczęła gwałtownie nikać, środki lekarskie żadnej nie przynosiły ulgi, bo przyczyna choroby głęboko w sercu ukryta, usunąć

się nie dała. Nastąpiło przerażające wycieńczenie i sił upadek: lekarze stracili nadzieję. Stan taki trwał dni kilkanaście, cela siostry Bogusławy była zamknięta; tylko ksieni i siostrze Klarze wstęp nie był wzbroniony. Mówiono że biedna zakonnica zapożywała na sąd Boży, tych wszystkich którzy przyczynili się do jej nieszczęść—nareszcie dnia 2 października oznajmiono że siostra Bogusława żyć przestała. Tak zgasła w kwiecie młodości, pełna wdzięków i osobistych zalet, Jadwiga Bogucka. Duma, zawiść i intryga, wtrąciły przedwcześnie do grobu tę, która mogła być chlubą okolicy a szczęściem i ozdobą życia domowego.

Chorąży dowiedziawszy się o zgonie Jadwigi, pokiwiał głową i rzekł sam do siebie: „Szkoda, tylu zabiegów i starań! i tak byłoby się skończyło.”

Chorążyna sama słaba i od trzech tygodni z powodu dotkliwej choroby leżąca w łóżku, wiadomość tę przyjęła z ciężkim smutkiem; wyrzucała mężowi oddanie jej do klasztoru, dalsze tajemne intrygi, a nawet raz rozżalona ośmieliła się powiedzieć: „Szkoda i jej i Zygmunta, bo kto wie co się i z nim stanie.” Te wyrazy tak dalece chorążego obraziły, że za daleko zaszedł w chwilowem uniesieniu i kilka słów przykrych jej powiedział, a przez kilka dni nie chciał się z nią widzieć. To pogorszyło znacznie stan zdrowia chorążyny. Lekarz przyzwany dał opinię, że życie chorój jest zagrożone; środki jakie przedsięwziął, okazały się bezskutecznymi; przyszła gorączka i ból w piersiach powiększył się. Lekarz widząc postęp choroby, polecił przyzwać księdza: wkrótce przyszła delirya, i dnia czwartego chorążyna umarła.

Chorąży zgonem małżonki mocno został przerażony. Sam w wieku bardzo podeszłym, czuł się zupełnie osamotnionym. Chciał zaraz koniecznie sprowadzić syna; tak nieobecność jego w domu stała mu się uciążliwą i dręczącą, że postanowił wszystko mu przebaczyć byle do domu powrócił. Napisał więc własnoręcznie list do Zygmunta, w którym mu doniósł o śmierci matki, oznajmił ojcowskie swoje przebaczenie, i jak najrychlejszy powrót do domu zalecał. Z listem tym wysłał Sawickiego, dał mu fundusz dostateczny, bryczkę parokonną i Antka Kowalczyka chłopaka do koni. Kiedy hajduk już był do podróży gotowy, przywołał go do siebie i taką dał mu informację: „Pan Zygmunt wydalil się z domu bez funduszu, a może z bardzo szczupłym, niemógł przeto daleko zjechać; pojedziesz więc naprzód do Jampola, tam dowiesz się od rządcy czy nie wstępował i czy mu tam pieniędzy nie dano? Jeżeli nic się

nie dowiesz, objedziesz wszystkie domy na Ukrainie, z którymi niewaliśmy jakiegokolwiek stosunki, wszędzie zamówisz się zrećźnie, niby tak tylko wstępując, a patrz wszystkim w oczy czy czego nie ukrywają— jeżeli i tam niczego się nie dowiesz, i śladów jakich pobytu pana Zygmunta nie odkryjesz; udasz się na Wołyń. Tam zwiedzisz domy które będziesz miarkował: nie omiń państwa Krzyckich, gdzie siostra nieboszczki panny Jadwigi mieszka—wybadaj ją dokładnie, ona musi koniecznie coś o Zigmuncie wiedzieć. W końcu jeżeli nic pomyslnego nie odkryjesz, pojedziesz do Galicyi, a jeżeli i tam żadnego nie powźmiesz języka, na Tomaszów do domu powracaj. Nie mam potrzeby ostrzegania cię że skorobyś gdziekolwiek ślady bytności pana Zygmunta przejął, pojedziesz za niemi, i póty ich nie porzucisz, aż go osobiście wynajdziesz; wtedy oddasz mu mój list i od siebie będziesz go prosił aby niezwłocznie do domu powracał.” Sawicki zachował wszelkie przestrogi chorążego w pamięci—przysięgł z największą gorliwością wszystko wypełnić i pożegnawszy pana, w podróż długą i daleką się udał.

IX.

Sawicki hajduk wypełniając dane instrukcye odbywał podróż rzemiennym dyszlem, był w Jampolu, przepatrzył znaczną część Ukrainy. Przejechał Wołyń; był w domu państwa Krzyckich, rozmawiał z panną Teresą starszą siostrą nieboszczki Jadwigi, która już o wszystkim była uwiadomioną. Był we wszystkich domach, gdzie bytności pana Zygmunta mógł się domyślać, lecz nic nigdzie dowiedzieć się niemogąc udał się do Galicyi, zwiedził i tam wiele miejsc i przybył do Lwowa. Pan Zygmunt w młodym wieku był na edukacji we Lwowie u księży Jezuitów: myślał więc Sawicki że może jakie stosunki szkolne teraz odnowił, lub u Jezuitów przebywał. Kiedy tak wszędzie się przepytywał, jeden z młodych księży tego zakonu powiedział mu że widział Zygmunta we Lwowie i zapewniał iż się w tém nie może mylić, bo go zna dobrze jeszcze ze szkół, gdzie razem byli. Ucieszył się bardzo Sawicki tą wiadomością, i pytał się duchownego: w jakim znajduje się stanie, i gdzie mieszka? „Tego wiedzieć nie mogę, odpowiedział Jezuita, widziałem tylko, że szedł, oto tędy, naszą Jezuicką ulicą, z drugim duchownym tegoż co i on zakonu.”

To chyba nie on! gdzież pan Zygmunt zakonnikiem?—to być nie może! „Ale tak jest rzeczywiście

mówił Jezuita, jest Missyonarzem,— wreszcie wkrótce przekonasz się i pan o tém.”

Tegoż dnia udał się do klasztoru Missyonarzy i pytał fórtjana o Zygmunta Staniszeskiego który podobno do zakonu miał wstąpić. A to zapewne mówicie o dyakonie Bogusławie, znam go dobrze, choć go u nas wcale Zygmuntem nie nazywają—pytajcie się jak wam powiedziałem, to każdy wam celę fratra Bogusława pokaże. Sawicki bardzo zdziwiony tém co usłyszał, udał się wgłąb klasztoru i wnet stanął u drzwi które celę Bogusława od korytarza oddzielały. Gdy wszedł wewnątrz, postrzegł zakonnika, który na otwartej księdze się modlił. Zygmunt, gdy ku wchodzącemu odwrócił głowę, za pierwszym rzutem oka poznał zaraz Sawickiego: twarz krwią nabiegła, usta się zatrzęsły; ale po chwili, przypomniawszy sobie stan do którego należał, wolnym przemówił głosem: „Bóg z tobą Sawicki, cóż cię wte strony sprowadza?” Jednocześnie z temi słowami hajduk już leżał u nóg jego i ściskając je, błagał przebaczenia.

Uspokój się Michale, zawołał Zygmunt, ja ci od dawna przebaczyłem, suknia którą na mnie widzisz, niedozwala nienawiści; Bóg niech ci tylko przebaczy! „O drogi paneńku! czemże odpokutować potrafię krzywdę jaką wam wyrządziłem.” Michale! rzekł Zygmunt, nie wspominaj już o tém. Mów raczej jak się ma moja kochana matka? mój ojciec. Sawicki westchnął głęboko—ojciec wasz żyje dotąd—ale matka przed trzema miesiącami umarła—błogosławiła wam i ciężkim żalem napełnione było jój serce w godzinę śmierci, że was przy sobie nie widziała. Samego jegomości odjechałem bardzo na siłach upadłego—wysłał mnie on z tym oto listem aby was choćby na końcu świata znaleźć! Zygmunt oderwał pieczęć i czytał list ojca z tą milczącą rezygnacją, którą życie klasztorne wyrabia w człowieku. Odczytawszy rzekł: Ojciec mi przebacza—dzięki niech będą Bogu że ta ostatnia przeszkoda która mi jeszcze tamowała spełnienie mego ślubu, usuniętą zostaje; bez przebaczenia ojcowskiego niechciałem rzucić rodzinnego kraju! „Jakto, zawołał Sawicki, alboż-to paneńko nie myślisz do domu wracać?” Powinienbym; rzekł Zygmunt, jako syn podziękować za przebaczenie ojcu i pożegnać go z czcią należną; już jednak jest zapóźno! Wykonałem przed kilku dniami solenną przysięgę, która mnie na zawsze ze światem i jego stosunkami rozdzieliła. Poślubiłem Bogu, że resztę życia mego poświęcę na nawracanie w dalekich krajach ludzi w dzikiéj niewiadomości dotąd żyjących.

Tymczasem dał się słyszeć dzwonek wzywający na

nieszpory. Zakonnik pożegnał Sawickiego, zalecając mu aby jutro rano przyszedł po odpis i wzięwszy brewiarz pod pachę, razem z hajdukiem celę opuścił. Powróciwszy wieczorem do siebie, długi list do ojca napisał. Nieśmiało mu przesłał wyrazów przebaczenia; zdawało mu się że powadze ojcowskiej by uwłaczało, znaleźć się w potrzebie otrzymania przebaczenia od własnego syna.

Przebaczenie to dawno już zrobił w pokorze religijnej—dziś jeszcze przy wieczornej modlitwie, postanowił je przed Majestatem Boga powtórzyć. Pisał do ojca, że nie może korzystać z przebaczenia, i powrócić w rodzinne strony, bo inne czeka go powołanie, inne cele, inne nadzieje. Poświęcił długi ustęp pamięci ukochanej matki—i wreszcie oznajmił iż za dni kilka z missyą, jaka ma być wysłana, udaje się do Indyi, z kąd jak mniemał, nigdy zapewne nie wróci¹⁾ pożegnał więc na zawsze ojca z wylaniem prawdziwie synowskiego przywiązania.

Do księdza Faustyna napisał list osobny; w nim przebijała się nie zupełna jeszcze doskonałość ducha, dawały się postrzegać odcienie żalu dla świata i jego powabów, miał jednak nadzieję że Bóg na drodze którą sobie obrał, przyjmie poświęcenie jego, i da mu łaskę uleczenia się rychłego z tej słabości. Żegnał go na zawsze i dziękował że w krótkich jego świeckiego bytu chwilach, dał mu poznać przez siebie, słodycz prawdziwej przyjaźni. Sawicki dnia następnego, stawiał się w celi ojca Bogusława—on oddał mu listy, i w krótkich wyrazach pożegnał go raz jeszcze zapewniając, że żadnej ku niemu niema urazy za złe które mu dawniej był wyrządził. Łzami zalany rzucił się Sawicki do nóg jego, i wyrzekł: Nauczyłeś mnie panie jak się dobrem za złe płaci—przebaczyłeś mi, oby i Bóg mi tak przebaczył. Raz jeszcze ucałował rękę Zygmunta, i wyszedł.

Nazajutrz jak najraniżej wybierał się Sawicki ze Lwowa, aby rychło do Wierzbicy wrócił. Pierwszy nocleg wypadł mu w Żółkwi; było to już ku końcowi marca, śniegi rozpuszczały i gościńce w wielu miejscach zostały wodą zalane. Jadąc wózkiem na kołach dwa razy wśród takiej wody ze śniegiem zmieszanej wywrócili się; Sawicki przytem bardzo się zamoczył i zaziębił. Całej nocy następnej spać niemógł, uczuł obok tego niemoc we wszystkich członkach,

¹⁾ Czytaliśmy w dawnych zagranicznych gazetach—że misjonarz Polak zowiący się Staniszeski, z rozkazu władcy Lahory na pożarcie dzikim zwierzętom był rzucony.

nad ranem przyszła gorączka, powstać z posłania niemógł—koło południa mówił odrzeczy, i okazała się najgwałtowniejsza zgniła gorączka—piątego dnia życie w niej zakończył.

Z gospody, do której był zajechał, dano znać do miejscowego urzędu, o nastąpionej śmierci podróżnego. Władza miejscowa zajęła się pogrzebem, Antosiowi jako chłopcu zbyt młodemu, aby mógł sam bezpiecznie zajechać do domu, dodano towarzysza mieszczanina miejscowego i polecono prosto na Zamość jechać do domu. Zabrawszy więc papiery i rzeczy po Sawickim, z Żółkwi wyruszyli i dnia czwartego przyjechali do Wierzbicy.

Chorążemu zaraz oddano list przywieziony; przeczytawszy go, może pierwszy raz w życiu zapłakał. Zażądał natychmiast widzieć Sawickiego, gdy mu doniesiono że wracając do domu zachorował w Żółkwi i umarł, wykrzyknął: Chciałeś Boże! abym przy tylu nieszczęściach i tego wiernego sługę przeżył! Przez wiele dni list syna czytywał po razy kilka—zamyślał się i w ciężkiej zdawał się ciągle pogrążony żałości, nieraz słyszeć można było jak wzdychając wyrzekał: Straciłem jedynego syna, w cóż się imie nasze, w co majątek obróci? Żale te zamiast się z czasem uśmierzać, częściej go owszem i dotkliwiej napastowały. Jadł bardzo mało a spał mniej jeszcze, nikt ani z sąsiedztwa ani z rodziny nie odwiedzał go; sumienie tylko i pamięć spełnionych przez niego czynów, jedynymi były towarzyszami w tej samotności. Jaś był nieszczęśliwy bo mu i na moment od pana odejść nie było wolno; jakieś nieustanne obawy zdawały się chorążego przesładować; nigdy niechciał sam pozostać; w nocy obok łoża swojego kazał zawsze komu sypiać, czego dawniej nieznosił.

Czuł że umrzeć musi¹ a obawiał się śmierci, bo wątpiewał o przebaczeniu Boskiem, częste i hojne dając jałmużny. Nabożeństwa żałobne za duszę Jadwigi kosztowne i wystawne odbywać kazał; wywiadywał się o słynnych z pobożności zakonnikach i tym polecał modły, celem wyjednania łaski Boskiej i przebaczenia, za uchybienia jakich się w życiu dopuścił. Ciągła trwoga i obawa o zbawienie, trapiły go bez ustanku. Stan taki trwał całe dwa lata, a w jego wieku nazbyt podeszłym, musiał już resztę sił wyczerpać. Czuł się codziennie więcej osłabionym, a niemoc ta, w miarę ubywających sił, olbrzymim posuwała się krokiem. Jednego poranku przede mszą świętą której codziennie słuchał, oznajmił kapelanowi (już dawno innemu) że żąda Sakramentów: skoro mu udzielone zostały, zdawał się na chwilę spokojniej-

szym, zawsze jednak powtarzał: „Straciłem syna! w co imię nasze, w co majątek się obróci.” Wreście przyszła ostatnia chwila, dokonał życia do ostatka, o łasce Boskiej i przebaczeniu jego powątpiewając.

Tak zeszedł z tego świata ostatni z tego szczepu Staniszeski. Majątek jego po upływie czasu prawem zakreślonego, rozdzielonym został, i przypadł na cztery głowy niewieście.

Sawickich familia przetrwała w Wierzbicy do roku 1852. Widać że kara Boska w następnych pokoleniach ją dotykała. Wszyscy potomkowie Michała tak mężczyźni jak i kobiety, około trzydziestego roku życia, ulegali pomieszanemu zmysłom, ostatnia z nich Jadwiga Sawicka, jako obłąkana w panińskim stanie przed ośmiu laty żyć przestała.

Pisano w Wierzbicy d. 15 Kwietnia 1860 r.

KRÓTKA WIADOMOŚĆ

O ŻYCIU I PISMACH M. GOGOLA.

Żaden z poetów rosyjskich nie okazał tyle miłości dla ludu, nie uronił tyle gorzkich łez nad jego niedolą i błędami, jak Gogol. Satyra jego jest strasznym dramatem: widać w niej przez śmiech konwulsyjny, krwawe łzy. Współczucie Puszkina dla interesów społecznych objawiło się, ale bez mocnego przekonania, w pierwszym zaledwie okresie jego życia. Lermontów dał mu większe rozmiary, ale w niem widać rozpacz i zwątpienie, obojętność dla życia, z powodu walki bezowocnej, w Gogolu głębokie uznanie narodowego ducha i humanitarność, stanowi już wszechwładną, wszystko pochłaniającą ideę. Puszkina porzuca egoistycznie społeczeństwo, Lermontów przeklina go z rozpaczą, Gogol boleje nad niem, płacze i cierpi. Cierpienie jego tém głębsze i dotkliwsze, tém bardziej trujące, że utajone jest w samej głębi utworów jego, pod pokrywką śmiechu raz serdeczno-wesołego, hucznego, drugi raz cichego, spokojnego, szyderstwem przejętego i wesołością. W Gogolu łzy utajone pod zasłoną śmiechu, jak woda pod skorupą z lodu,—i tylko czasami, podobnie jak przerebela, stają się widzialnymi i w oczy biją.

Takiem jest zakończenie „Pamiętników waryata” i „Powieści o tém, jak się poróżnił Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem,” gdzie poeta jakby ze zbytku cierpień, pomimo woli, roni przed nami jedną z tych łez, które tajemnie wylewa. Ale to rzadko się trafia: zwykle ukrywa swe cierpienia pod powłoką śmiechu, i tém silniej działa na duszę, tém ciężiej spada na serce, im skryciej i głębiej utajone są łzy

w obsłonce śmiechu. Patrząc na znikczemniałą rzeczywistość, którą wystawia Gogol, na „straszny, przerażający muł drobiazgów, co życie nasze splątały,” oddajemy się niepowściągnionej, szczerzej wesołości, gotowi jesteśmy, jak się zdaje, śmiać się bezustannie z brudnej rzeczywistości, zabawiać się kuglarstwem pajaców, śmiać się z potworów moralnych, które przed nami poeta ukazuje. Ale cóż? zaledwie obrazowi baczniej przypatrywać się, zaledwie nad jego znaczeniem zastanawiać się zaczynamy, wnet już znikła nasza wesołość; spada na serce tęsknota, a to co przedtém śmieszyło, staje się smutném. „W głębi zimnego śmiechu,— jak mówi Gogol,—znajdujecie gorące łzy wiecznej, potężnej miłości.” To też przy czytaniu pism jego, ciągle stoi przed oczyma poniewolnie ta miłość do ludzi. Pogląd na nikczemną rzeczywistość prowadzi nas do idei prawdziwego życia; wizerunki zwichniętego człowieka przypominają rysy, któremi odznaczać się winien ten, kto jest na obraz i podobieństwo Boskie stworzony: zepsucie społeczeństw wskazuje drogę doskonałości narodowej. Nie dosyć tego... Zastanawiając się głębiej, od cząstek przechodzimy do ogółu, od niedoskonałości jednego społeczeństwa do błędów całej ludzkości. Widzimy już jasno, dotykalnie ideę poety; uderza nas myśl: „jakież to wykrzywione, głuche, wąskie, trudne do przebycia, zbaczające daleko w stronę, obierała drogi ludzkość, aby dojść do wiecznej prawdy, wtenczas gdy przed nią otwartą była prosta droga?” Ten wysoki, głęboko-humanitarny pogląd, stanowi osnowę

wszystkich utworów Gogola i daje mu, jako poecie, rozległe i pierwszorzędne znaczenie.

Rozmaite są co do treści pisma Gogola: postrzegamy w nich wielką Ruś i Ukrainę, stolicę i prowincją, życie miejskie i wiejskie, słowem, całe społeczeństwo, na rozmaitych jego szczeblach. Do najlepszych Gogola utworów należą: „Taras Bulba,” „Rewizor” i „Martwe Dusze.” W pierwszym z nich odmalował poeta wybitnym pędzlem Ukrainę i Sicz zaporozką, całe życie kozactwa w najpiękniejszej jego epoce; całą wspaniałą piękność natury południa; ale powieść ta ucierpiała wiele przez dopełnienia, które w późniejszym czasie autor porobił. Potyczki bowiem kozaków z polskimi wojskami, w duchu homerycznym przedstawione, popsuły swą niestosownością bystrość działania i jednolitość tonu.

„Rewizor” jest to artystyczny obraz drobnego społeczeństwa prowincjonalnego i arcy-wzniosły wzór narodowej komedyi, jaka dotąd w Rosyi wcale nie istniała. Idea, rozwinięcie działania, zajmujące sytuacje, artystyczna pełność charakterów, to wszystko mieści „Rewizora” w rzędzie najwznioślejszych utworów poezji rosyjskiej. Ale obydwie dzieła te ustępują „Martwym Duszom.” Jest to utwór, który głębokością idei, dokładnym obrazem obyczajów, artystycznym stworzeniem charakterów i znaczeniem narodowym, należy do szczupłej liczby arcydzieł, któremi słusznie poezja rosyjska szczycić się może. Na nieszczęście, utwór ten pozostał bez końca, Z drugiego tomu, który stanowił dokończenie dzieła i który autor spalił na kilka dni przed zgonem swoim, pozostało tylko jakimś szczęśliwym trafem, pięć pierwszych rozdziałów.

Gogolowi zarzucają cynizm, brudność obrazów i osób, i karykaturalność portretów. Zarzut ten jest niesłuszny. Wszystkie postacie Gogola są wierne naturze, jak najdoskonalsze zwierciadło, — a jeśli komu wydawać się mogą przesadzonemi, pochodzi to zapewne albo ztąd, że dotąd się jeszcze nie przyzwyczajono wpatrywać pilnie w życie i obyczaje, albo — że okropna brzydota osób do tyle odrażającą jest i przykrą dla moralnego uczucia, że zmusza niejako powątpiewać o rzeczywistości ich istnienia. — Oskarżyciele tacy Gogola, podobni są do podstarzałego i brzydkiej kokietki, co zamawiając u artysty malarza swój portret, wymaga, ażeby był podobny, a jednak się gniewa, gdy spostrzeżę, że artysta malując, nie ukrywa zbytnej zmarszczki, ani też jakiejś krostce na twarzy nie dodaje wdzięku. Prześladowanie Gogola przez podobnych ludzi tém większą nabiera

mocy, że w Rewizorze, w Martwych Duszach nie ma wcale tak zwanych *cnottliwych osób*, jak to dawniej w komediach Fon Wizyna miało miejsce, a zatem niema żadnego ogrodzenia, za którymby od strzał nielitościwej satyry bezpiecznie ukryć się można było. Nie pojmując tego, że jedyną szlachetną postacią w utworach tych powinien być sam czytelnik, jeżeli tylko śmiech jego z czystego pochodzi serca; nie widząc, że z po za tłumy tych potworów moralnych zawsze wystaje postać odmienna, przeciwstronna, postać człowieka idealnego; nie uznając wreszcie szlachetnego oburzenia poety ku tym odrażającym obrazom, które pod pręgierz publicznej opinii stawia, — oskarżyciele Gogola zapominają o tém, że zmywać należy błoto, a nie zasłaniać; że prześladować trzeba i niszczyć występki, nie zaś je maską pokrywać. Również niesłusznym jest i drugi zarzut co do cynizmu i brudów. Czyż mógł poeta, wystawiając przed oczy społeczeństwa swego zdrożności i wady, unikać w utworach takich odbicia się brudem skalanego życia, które za model do obrazów jego posłużyło? Są zapewne granice, których sztuka w naśladowaniu natury przekraczać nie powinna: ale te przez zasady piękna, nie zaś przez wybredne mieszczkańsko-arystokratycznego smaku wymogi, są wytknięte, a tém mniej przez kłamaną wstydlivość bezczelnego krytyka albo też udaną moralność jakiegoś świętoszka. Gogol jest poetą satyrycznym, a strzały satyry skrapiane być nie powinny różanym olejkiem ¹⁾.

Zajmującym jest opis podróży do miejsc rodzinnych Gogola, którą w parę miesięcy po zgonie poety odbył ziomek zmarłego i wielbiciel jego talentu, p. Grzegorz Danilewski, znany w literaturze rosyjskiej z „Poezji Krymskich,” z opisów zwyczajów, podań i t. p. ludu ukraińskiego. Przytaczamy z niego kilka ustępów.

„Opuściwszy równiny nad Donem, udałem się do miasteczka Mirgorod. Nie dojeżdżając do Kołomaku, skręciłem w prawo, drogą do miejsca, które od najrańszych lat dzieciństwa mego wabiło moją wyobraźnię. „Jeśli komu z was wypadnie być w naszych stronach,” — pisał wesoły pasiecznik, wydając na świat swe: „Wieczory na futorze blisko Dzikanki,” wstąpcie do mnie, a poczęstuję was przedziwnym gruszczeniakiem!” Zajęły mnie bardzo naiwne te zaprosiny, ale spełnić ich wtedy nie byłem w stanie.

¹⁾ A. Miluków w powtórnie wydaném dziełku: „Zarys historyi poezji w Rosyi.” Petersburg, 1858.

Podczas wyjścia na świat „Wieczorów,” jednego tylko miałem konika, a tym była — gałąź lipowa, na której po ogrodzie galopowałem; z domu rodziców wydaląłem się wtedy nie dalej jak do wiatraka, którego ciężkich skrzydeł skrzypienie słychać było w dzieciennym pokoiku moim... I tęskno mi było, że jechać nie mogłem na wezwanie dobrego pasiecznika, który swemi opowieściami zachwycał mnie i zarazem przestraszał, nie mniej jak i wnuków swoich. A wierzyłem zupełnie, że istnieje na świecie futor, gdzie, przy drżącym świetle kagańca, stary dziadunio w długie wieczory zimowe opowiada bez ustanku swoje czarujące, cudowne powiastki. Powtarzała się jawnie przedemną historia „czerwonej świtki” w „Jarmarku Soroczyńskim;” przesuwiała się cicho i zamyślona topielica „Majowej Nocy” i na dalekich Karpatach ukazywała się postać lodowatego jeźdźca w „Straszliwej Zemście”... I otóż teraz, po latach wielu, kiedyśmy wszyscy Rudego-Pańkę ¹⁾ oplakali, kiedy już go niema na świecie, a futor jego rodzinny pustkami stoi, — jechałem do futoru tego.

Droga z Kołataja, przez Oposznię, prowadzi rozkosznymi stepami Koczubeja. Step nie widział jeszcze kosy tego lata, i pysznie rozścielały kwiatów swoich dywany. Kwiaty kołysały się cicho na łądogach i rozlewały woń czarującą...

Było południe. Konie szły zwolna, zrywając wiezchołki białej konieczyny i strzępiastych sułtanków. Narwałem, nie nachylając się prawie z bryczki; bukiet zinziweru, smółki i szałwii: tak bujną była roślinność ukraińska! Słońce zasłonięte było białą, mglistą parą, jednakże nie przeszkadzało to rozkosznej zieloności goreć jaskrawymi strojami swemi. Pod wpływem wspomnień obrazów stepowych w „Tarasie Bulbie,” patrzyłem na okolicę. Rozkoszne krzaki łopianu z pysznymi, czerwonymi jak mak główkami, stały w gęstych kupach, podobne koszarom w pąsowych czapeczkach, trzymającym w ręku ostre kosy. Całe błonie dzikięj pszenicy jaśniało na słońcu cienkimi, jedwabnymi łądogami, chyląc ku ziemi swe złote kłosa. Tuż przy drodze, na błoniu, ubranym w srebrną tkaninę *kowyl*, na soczystych, czworokątnych łądogach wznosiły się z ziemi dziwaczne, fantastyczne rośliny. Leniwe dropie z nawpółprzymrożonemi oczami, przechodząc pomiędzy ich wysokimi łądygi, kroczyły na czerwonych nogach przy samej prawie bryczce. I cały świat koników polnych

¹⁾ Pierwsze powieści Gogola wydane były pod pseudonymem *Rudego Pańki*. Petersburg. 1831.

drżał w powietrzu, spadał, znów się podnosił i leciał, to czerwonymi, to niebieskimi raketami nad cudnym obrazem nieskoszonej łąki; był to fantastyczny, czarowny, niewysłowiony obraz; był to rodzaj święta, rodzaj pysznego, uroczystego zebrania najrozmaitszych kwiatów i roślin. Najskromniejsza, najuboższa wyobraźnia utworzyłaby cały szereg ślicznych postaci. Różowe, fioletowe, białe jak piana, strzępiaste, strzałkowate, długie, szerokie, słowem wszelkich kształtów i rodzajów kwiaty, zaścielały łąkę... Wydawała mi się ona rautem bajecznego pałacu; a w wysmukłych, cienkich zarysach roślin, lśniących od promieni słońca, które w tej chwili wyjrzało, widziałem postacie lekkich, wdzięcznych i strojnych piękności... Pograżony byłem w słodkim i bez wszelakich granic śnie...

Napotykając żniwiarzy, zapytywałem: „gdzie futor Gogola?”

— Futor Gogola? — powtarzali z zadziwieniem poczciwi, prości kozacy: — nie wiemy!

„Ach! zapomniałem: futor Janowskiego!”

— A! Janowskiego! znajemo, panie, znajemo. Oś wam doroha!..

I wskazywano mi drogę do Rudego Pańka, do Janowskiego Gogola, do futoru *Janowszczyzna*.

Od samej prawie Oposzny, wciąż do sioła Woroniańszczyzny, byłem świadkiem obrazu prawdziwie stepowego, prawdziwie futorowego. Jechałem, z powodu nieznośnego upału, przez całą prawie drogę, wolnym krokiem. Przez całą też drogę, tuż za mną jechał otyły kozak na wozie ciągnionym przez parę wołów. Wóz naładowany był koszami z dojrzałą mową; kozak siedział ze zwieszonemi z wozu nogami, zgarbiwszy się leniwie i spuściwszy senną głowę na piersi. Kołysząc się na wozie, śpiewał ciągle, a zawsze jedno i to samo, początek, jak się zdaje, ulubionej swjej piosenki:

„Jak były w kuma bzoły! „Oj... ta były... w kuma... b-ż-o-ł-y!”

Pierwszy wiersz śpiewał dość energicznie, początek drugiego nieco słabiej, a koniec już przez sen. Uderzenie wozu budziło go, i znowu zaczynał tak samo, zasypiając przy słowie: „Oj!... ta były w kuma bzoły!” a obudziwszy się przy nowym szturchnięciu, znowu wracał do dawnego...

Dowiedziawszy się od śpiewaka zajmującej nowości, że „u kuma były pszczoły,” pomyślałem sobie: czy nie mógłby też on powiedzieć przy tém jaką ciekawszą nowość; ale gdzież tam! przez trzy mile śpiewał zawsze to samo.

To już mnie się sprzykrzyło i pojechałem śpieszniej. Ale ujechawszy z pięć wiorst, zastanowiłem się, a myśl, czy też nie dowiem się końca ciekawej pieśni kozaka? zmusiła mnie znowu wolniej jechać. Jechałem więc krok za krokiem; wnet doгнаły mnie woły kozaka i znowu usłyszałem piosnkę ich właściciela... Niestety! Nie dowiedziałem się nic więcej prócz tego, że „u kuma były pszczoły!”

Trzy wiorsty niedostawało do futora Janowszczyzny, który za pochyłym ukrywał się wzgórzem. Wszystko tu już wiało atmosferą „Staroświeckich Obywateli,” wszystko przypominało „ogród Pluszkina” i „ptasie dziedzińce Korobeczki.” Naiwno-rozkoszne obrazy życia mieszkańców futorów przesuwały się koło mnie.

O dwie wiorsty od Janowszczyzny gdy z koła bryczki mojej spadła sznica, którą pobiegli poszukać, zatrzymałem się w schludnej chacie na futorze Woroniańszczyźnie. Gospodyni chaty, z dzieckiem przy piersi, stała we drzwiach i wdała się ze mną w rozmowę. Opowiadała mi, przerywając mowę częstymi westchnieniami, że teraz już długo nie zobaczy Janowskiego pana!

— I nigdy już więcej nie zobaczysz, rzekłem ze smutkiem, odwracając się w stronę: chyba że na tamtym świecie!

„Ni, panoczku! To nie prawda, co powiadają, że jakoby on umarł! pochowany nie on, ale jeden starzec ubogi, a sam on znów pojechał modlić się za nas do świętej Jerozolimy. Nie umarł” ale tylko odjechał, i po jedynastu latach znowu do nas powrócił! Dziwna rzecz! Mieszkańcy sąsiednich futorów, wiedząc że Gogol, który czternaście przeszło lat bawił za granicą, często i na długo wydalął się z miejsc rodzinnych, znowu potem wracając do domu, nie chcą i teraz wierzyć, że umarł! Smutne przekonanie! Ale w tym dziwnym uporze sąsiadów Gogola, niepodobna nie dostrzedz szczerzej dla niego miłości. Tyle on pomagał im radą, tyle datkiem zasilał! Nie jeden z piśmiennych, na drodze Mirgorodzkiej i Reszetyłowskiej pokazywał mi z dumą, moralno-religijne książki darowane mu przez Gogola, podczas licznych wędrówek jego za granicę i napowrót. A iluż to potrzebującym pomocy sąsiadom udzielał częśćkę z niewielkich swych dochodów literackich, będąc sam nieraz w ciężkich okolicznościach życia!

Otóż ukazał się pomiędzy dwoma spadzistami wzgórzami i futor Janowszczyzna. Opiszemy pokrótce miejscowość i przejdziemy do niektórych wiadomości o życiu zgasłego właściciela. Nie jeden z wiel-

bicieli jego talentu zwiedzić zapragnie miejsca, gdzie wzrastał, dojrzewał i meźniał ten niezwykajny człowiek. Otóż te miejsca, gdzie minęły wesole lata dzieciństwa Gogola. Szerokie błonie nad pochyłym wzgórzem. Na prawo futora chaty schludne, na biało i żółto pomalowane, w cieniu ślicznych ogródków. Na lewo *lewada*, rodzaj obszernego ogrodu warzywnego; środek jego zwrócony do futora, wysadzany lipami i wierzby. Przed ogrodzeniem cerkiew murowana, z zielonym dachem. Ogrodzenie cerkwi zrobione z cegieł, pomalowanych białym i żółtym kolorem, i ułożonych jakby kraty, w ażurowe ściany. Świątynia znajduje się pomiędzy lewadą a futorem; naprzeciwko niej, dotykając chat futora, także z prawej strony — nowe ogrodzenie, za którym pański dwór parterowy, z czerwonym dachem; na prawo — oficyna, na lewo zabudowania gospodarskie. Po za domem ogród, za którym ciągną się stawy a za nimi nieobjęte wzrokiem płaszczyzny stepów Ukrainy... Wjechałem na dziedzińec. Serce pomimo woli ogarnęła tęsknota... Na dziedzińcu biegały dzieci, bawiąc się i potrząsając wesoło swymi główkami kędzierzawymi. Wiatr falował liśćmi jesionów; kukułka kukała w gęstwinie drzew za cerkwią a stada szpaków i wróbli krążyły po nad chatami futorów... Wszystko było pełne życia, wszystko szło swoją koleją... Tylko gospodarza futoru już nie było pomiędzy żyjącymi!..

Wielu w ostatnim czasie widziałem ludzi, ubolewających szczerze nad zgonem Gogola i sam wespół z nimi ubolewałem. Ale nigdy jeszcze nie było mi tak ciężko na sercu, jak w tym czasie, kiedy zobaczyłem żałobę i łzy dzisiejszych mieszkańców Janowszczyzny, matki i dwóch siostr zmarłego Gogola. Trzecia siostra jego jeszcze za życia brata poszła za mąż i obecnie znajduje się w Kijowie.

Zatrzymajmy się nasamprzód przy oficynie, która się mieści na dziedzińcu, w prawo od dworu; tu bowiem Gogol zwykle mieszkał i pracował podczas wielokrotnych przyjazdów swoich na futor. Tu, bezwątpienia, napisał wszystkie swoje pierwsze powieści, i tu ostatecznie obrabiał drugi tom „Martwych Dusz,” w czasie ostatniego pobytu swego w Janowszczyźnie od dnia 20 kwietnia do 22 maja 1851 r. W jesieni tegoż roku udał się znowu do swego futoru, na wesele siostry, ale z powodu słabości, zmuszonym był zatrzymać się w Tule, gdzie czas niejaki przepędził w pobliskim klasztorze, a następnie wrócił do Moskwy i tamże po upływie kilku miesięcy życia dokonał. Oficyna, jest to niskie, podłużne za-

budowanie z krytą, wychodzącą na dwór galeryą. Zbutwiałe wschody prowadzą na ganek; przez niewielką sień wchodzi się do obszernego pokoju niby salonu, a ztąd do pokoju bawialnego. W tym ostatnim, jak niemniej i w gabinecie, pracował Gogol i odpoczywał po kolei. Ciągłe niespokojny stan jego ducha zmuszał go zmieniać swoją pracownię; spać też nie mógł wciąż przez kilka dni w tym samym pokoju. W bawialnym pokoju okna wychodzą na ogródek za oficyną, grupą topoli zakończony, za niemi otwiera się widok na chaty futuro i stepy. Jedno z okien zrobione we drzwiach, prowadzących na balkon, do ogródka. Tu, przy drzwiach ustawiało się niekiedy biurko autora „Tarasa Bulby,” i wtedy, podczas pracy, mógł on swobodnie napawać się widokiem futuro i stepów...

Gabinet znajduje się na ustroniu i ma osobne wyjście. Tu najczęściej przesiadywał zgasły autor „Revizora” podczas ostatniego pobytu swego w Janowszczyźnie; ztąd nie wychodził niekiedy po całych tygodniach, zjawiając się ledwie na chwilę do tyle ukochanej przezeń matki. Pokój ten długi jest na dziesięć, a szeroki, na kroków cztery. Dwa małe okienka zasłonięte białymi muślinowymi frankami, wychodzą na dziedziniec — pomiędzy niemi zawieszono niewielkie zwierciadło. Ode drzwi na lewo piec; na prawo — dębowa szafa na książki. Tuż przy piecu na lewo proste łóżko, pokryte dywanem. W tém miejscu napomknę, że Gogol w ostatnim czasie wiele pracował nad udoskonaleniem wyrobu domowych dywanów; sam po całych dniach rysował do nich wzory, a zatrudnienie to, jak również sadzenie drzew w ogrodzie, stanowiło główną jego rozrywkę w czasie niewielu godzin odpoczynku... Nad łóżkiem w kącie zawieszony święty obrazek. Na ostatku, pomiędzy piecem a łóżkiem, posunięty do drzwi zabitych na głucho, mieści się stolik Gogola do pisania. Jest to kantorek na wysokich nogach z ukośnym blatem z drzewa gruszkowego obciągniętym skórą; na górnym blacie z dwóch stron wprawiony kałamarz i piaseczniczka. Podobny stół widziałem u Gogola w Moskwie w mieszkaniu hr. A. P. Tołstoja (w domu Tałyzina, na twerskim bulwarze), gdzie życie zakończył. Na ścianie obok stolika do pisania, wisi przywieziony z Włoch przez Gogola obraz Zbawiciela olejno malowany.

O dworze, gdzie się obecnie rodzina Gogola mieści, nie szczególnego powiedzieć nie możemy. Wybudowany wygodnie, ozdobnie nawet, w tym samym guście, jak to dawniej wszystkie dwory budowano po

wsiach ukraińskich. W pokojach porozwieszane na ścianach wyborowe sztychy dawne. W salonie stoi fortepian; tu w ostatnim czasie Gogol, przy pomocy bliskich znajomych swoich, układał zbiór pieśni ukraińskich z melodjami. Zbiór ten z 30 prawie pieśni składający się, znajduje się teraz u M. S. A-wój, i życzylibyśmy oglądać je w druku jak najprędzej.

Przejdźmy do ogrodu, który tyle wyobraźnię Gogola zajmował. Tu się przechadzał on, tu obmyślał swe utwory poetyckie i tu przyjmował niewielu z bliskich znajomych swoich; tu wreszcie, pod cieniem szerokolistnych klonów, jeszcze przez dziada jego zasadzonych, przenosił się wyobraźnią w bajeczne czasy Zaporozża i hetmańszczyzny, i obmyślał posępne i poetyczne postacie bohaterów swego „Tarasa Bulby.”

Ogród urządzony w guście zwyczajnych ogrodów wiejskich na Ukrainie. Drzewa jego są bujne i cieniście. Po bokach alei, idącej na prawo od ogrodowego balkonu, Gogol w r. 1851 zasadzał młode latorośle klonu i brzostu. Dziś (1852) drzewka te już się wzmocniły i powiewają nowymi listkami. Dalej za niemi na obszarze łąki, przy pniach innych drzew, Gogol posadził kilka żołądzi, z których wyrosły już drobne dąbki, rodzice przyszłej dąbrowy, gdzie, być może, po latach wielu, przyjdą nowi goście, aby odwiedzić miejsce rodzinne poety, przyjdą z nowymi nadziejami i troski, i wspomną o tym, kto z takim zamiłowaniem ten ogród zasadził... Na lewo od balkonu ciągnie się druga alea; tu już nie tyle zwisły dzikie, wijące się drzew gałęzie; przeszła już tedy motyka cywilizacyi. Drożyna alei, na dwa kroki szeroka, idzie po nad stawem i końcem swym do drugiego pobliskiego przytyka stawu. Po ścieżce tej lubił szczególnie przechadzać się Gogol. I dotąd mieszkańcy futuro widują niekiedy (jak się im wydaje) na końcu tej ścieżki zgasłego Gogola w ulubionym przez niego czarnym płaszczu. Nad tą ścieżką, na wzgórzu, urządzoną drewnianą altaną, obaliła burza wkrótce po odjeździe Gogola ze swój Janowszczyzny. Niedaleko ztąd, w cieniu pochylonych lip i akacyj czernieje niewielka grota z ogromnym kamieniem dzikim przy wejściu. Na kamieniu tym bawił się Gogol, gdy jeszcze był trzechletniem chłopięciem... Po latach czterdziestu siadywał często na nim i lubił ztąd spoglądać na jasne wody wiejskiego stawu.

Na stawie, po za ogrodem urządzona łazienka, do której jechać trzeba na małym o dwóch wiosłach promie. Urządził ją dla siebie Gogol, ale się kąpał w niej bardzo rzadko. Tak samo, w późniejszym cza-

się, na trzy miesiące przed zgonem, postąpił z hydropatyą. Po za stawem ściele się szerokie błonie z ogrodzeniem. Tuż przy stawie szczególnie piękna jest alea srebrnymi topolami wysadzona; zgasły poeta pielegnował ją z istotnym zajęciem.

Oto jak Gogol przepędzał dzień swój w Janowszczyźnie. Wstawał wcześnie. W niedzielę szedł na mszę. Powszedniego dnia natychmiast brał się do pracy. Pracował niekiedy po pięć godzin wciąż i bardzo rzadko przed południem z gabinetu swego wychodził. Szedł zaraz na przechadzkę, zazwyczaj na błonie po za cerkwią; niekiedy w tym czasie aż do obiadu przechadzał się w ogrodzie. Obiadując w gronie rodzinnym, był zawsze wesoły, żartobliwy, rozśmieszał wszystkich improwizowanymi opowiadaniem i cały czas poobiedni również pośród rodziny przepędzał. Wieczorem albo się przewoził po stawach na promie, albo pracował w ogrodzie, albo znów wracał do swego gabinetu. Udawał się na spoczynek dość wcześnie, zawsze prawie o dziesiątej wieczór. Zostając pośród rodziny, lubił szczególnie zajmować się rozmaitemi robotami domowymi; rysował wzory na dywany, krajał suknie, nauczał, jak trzeba robić prawdziwe *pirogi* stepowe, brał udział w malowaniu pokojów, w obiciu mebli.

Z sąsiadów niewielu Gogola odwiedzało. Jedni nie chcieli go niepokoić pośród prac literackich, drudzy nigdy prawie w dobrach swoich nie mieszkali, a inni po prostu obawiali się go jako autora satyrycznego, dziwne jakieś wyrobiwszy sobie pojęcie o charakterze pisarzy tego rodzaju. Głównymi gośćmi poety z sąsiadów jego byli piśmienni mieszkańcy futorów, ubodzy i nieszczęśliwi różnego stanu, których wspierał zawsze i niektóre osoby duchowne...

Do ozdób dworu Janowszczyzny należą: portret zgasłego poety, olejno przez Mollera malowany (portret ten w podarunku dla matki przywiózł Gogol z Petersburga) i trzcina z żyły palmowego liścia, na której się opierał Gogol w podróży swych po Ziemi Świętej...¹⁾

Powiemy teraz słów kilka o życiu poety, o tym czasie szczególnie, kiedy najwięcej zbliżonym był do cichego futoru ukraińskiego.

Mikołaj Gogol Janowski urodził się dnia 20 marca (v. s.) 1810 r. w miasteczku *Soroczyńcach*, w powiecie Mirgorodzkim, gubernii Połtawskiej, o trzy mile odległym od wsi Janowszczyzny. Pochodził ze starożytniej szlachty. Po urodzeniu był nadzwyczaj

¹⁾ Wiadomości Moskiewskie z r. 1852, Nr 124. Dział Literacki.

słaby. Długo się obawiano o jego życie. W sześć tygodni przewieziono go do Janowszczyzny. Nie zważając na wątłość organizmu, okazał wkrótce, że moc człowieka nie zawiera się w ciele. Mając trzy lata, już dobrze czytał i pisał wyrazy kredą, nauczywszy się abecadła, bez pomocy nauczyciela, z liter na kartkach malowanych. Gdy miał pięć lat wieku, przyszło mu na myśl pisać wiersze. Co to były za wiersze, nikt nie pamięta, ale oto, co się ze wspomnień domowników jego dochowało. Znany w owym czasie literat *Kapnist*, przyjechawszy jednego razu do ojca Gogola, zastał pięcioletniego synka jego z piórem w ręku. Małeńki Gogol siedział przy stole, głęboko zamyślony nad jakąś frazą. Kapnist potrafił prośbą, przymileniem i innymi środkami wymódcz na małym literacie, że mu swe pisanie pokazał. Gogol zaprowadził Kapnistę do drugiego pokoju i tam przeczytał jemu swoje wiersze... Kapnist nie mówił nikomu o treści tych wierszy, ale będąc wzruszonym głęboko i tuląc do piersi małego, wyszedł do rodziców Gogola, mówiąc: „Będzie z niego wielki talent, oby tylko los zdarzył mu za przewodnika, nauczyciela-chrześcijanina!” Nad temi wyrazami utalentowanego i przenikliwego Kapnistę zastanowi się nie jeden z biografów Gogola. Pierwsze próby poetyczne Gogola, znane szkolnym jego kolegom były: ballada „Dwie rybki” w której wystawił pod postacią rybek los swój i brata swego Andrzeja; tragedia „Rozbójnicy” która była z zapalem przyjęta przez jego współtowarzyszy; wiersz „Italia” drukowany bezimiennie (Syn Ojczyzny i Archiwum Północne z r. 1829) i poemat „Ganz Küchelgarten” wydany w r. 1829 pod pseudonimem *Alowa*. P. Danilewski wspomina jeszcze o wierszu p. n. „Ruś pod jarzmem Tatarów.” Wiersz ten nigdzie drukowanym nie był. Gogol przysłał go dla swój matki z liceum Nieżyńskiego, starannie przepisany na pięknym papierze i ozdobiony własnymi rysunkami. Z całej treści tego poematu, który po kilku latach wziętym był tajemnie z Janowszczyzny przez samegoż autora: matka Gogola,—podług słów p. Danilewskiego:—pamięta tylko dwa ostatnie wiersze z zakończenia:

„Odśloniwszy chmurki srebrorunne „Ukazał się księżyc trwożliwie:” W późniejszym czasie, gdy odgadł swe powołanie i zaczął pisać prozą, Gogol przycichł całkiem ze swym wierszopisarstwem. Spalił swego „Ganza Küchelgartena” natychmiast po przeczytaniu ostrzej recenzji Polewoja w „Moskiewskim Telegrafie.” Podług opowiadania Jakima, służącego Gogola, który jest obecnie rządcą dworu w Janow-

szczyźnie, pan jego wpadł pewnego razu nagle do swego mieszkania w Petersburgu i wzięwszy z sobą Jakima, udał się z nim do księgarzy, u których złożone były w komissie egzemplarze Hanza Küchelgartena. Zabrawszy wszystkie 60 egzemplarzy, tegoż wieczoru spalił je co do jednego.

Oto zdarzenie, które maluje charakter Jakima. Dowiedziawszy się o śmierci Puszkina w r. 1837, siedział on w przedpokoju i płakał.

„Czegóż ty płaczesz, Jakimie?”

— A jakżeż nie mam płakać?.. Puszkina umarł!

„A tobież co do tego? albożes go znał?”

— A jakto do tego? O, dla Boga! A toż on tak kochał mego pana! Bywało—śnieg, deszcz, słońce w Petersburgu, a on w swoim płaszczyku leci z Mojki, od mostu Policyjnego, na Mieszczzańską ulicę, do domu Jochima, fabrykanta powozów, gdzieśmy wtedy mieszkali! Po całych nocach przesiadywał u pana, słuchając jak pan czytywał mu swoje dzieła, a u nas nieraz i świec własnych nie było!”

Zajmującymi są opowiadania Jakima objaśniające stosunki Puszkina, pierwszej ówczesnej znakomitości literackiej, do Gogola. Puszkina przychodził niekiedy do gabinetu Gogola i przeglądał jego papiery, gdy samego w domu nie było. Zajęty będąc wówczas „Dubrowskim,” „Powieściami Bielkina” i „Córka kapitana,” Puszkina z zajęciem i upodobaniem śledził rozwój talentu przyszłego autora „Martwych dusz” i „Rewizora.” Dość przypomnieć odezwę Puszkina w wydawanym przezeń „Sowremienniku” o pierwszych powieściach Gogola.. 1836 roku Gogol wyjechał powtórnie za granicę. W wigilię jego wyjazdu, Puszkina, podług słów Jakima, przesiedział u niego całą noc aż do świtu, czytając mu swe utwory i słuchając wyjątków z dzieł Gogola. Było to już ostatnie ich widzenie się. Na początku r. 1837 Puszkina umarł, i Gogol, za powrotem z obcych krajów, już go nie widział więcej.

Do szkół oddany był Gogol do Połtawy, a później do Nieżyna. Kukolnik (Nestor) opowiadał, że Gogol, szkolny jego kolega w Liceum Nieżyńskim, był w ogólności charakteru wesołego i odważnego. Nie był to już wąty ów i słabowity dzieciak, ale młodzian pełny ognia i namiętny miłośnik wszystkiego, co było pięknym i wzniosłym. Na szkolnej ławie przyszły satyryk i humorysta przepisywał dla siebie świeżo pojawiające się wtedy poemata Puszkina: „Cyganie” „Bracia Rozbójnicy,” „Połtawa,” i rozdziały „Eugeniusza Oniegina.” Przepisywał je zwykle na najlepszym papierze i ozdabiał rysunkami własnej

kompozycji. Ciekawe są listy jego z téj epoki (1827) pisane do matki. Z jednego z nich mamy tu wyciąg niewielki: „Dziękuję kochanej mamie za przysłane pieniądze, bo w tym czasie były mi bardzo potrzebne. Plan życia mego teraz nadzwyczaj ścisły i ważny na wszelkie względy. Każdy grosz ma teraz u mnie swoje przeznaczenie; odmawiam sobie niezbędnych nawet potrzeb, abym posiadać mógł choćby najmniejszą możność widzieć i czuć to wszystko, co jest pięknym. W tym właśnie celu, z największym staraniem zbieram swą całoroczną pensję, bardzo małą częśćkę odkładając na konieczne wydatki. Za Szyllera, którego ze Lwowa sprowadziłem, dałem 40 rubli (ass.), sumę wcale nie małą znaczącą podług mojej sytuacji, ale wynagrodzony jestem za to ze zbytkiem i teraz kilka godzin na dzień przepędzam bardzo przyjemnie. Nie zapominam też i dzieł w języku ojczystym i zapisuję, co tylko najlepszego wychodzi: rozumie się, że na bardzo małym przedstawę; przez całe półrocze nie nabywam więcej jak jedną książkę, i to mnie martwi nadzwyczaj! Czytam nieraz ogłoszenie o wyjściu z druku pięknego dzieła — silnie bije serce... ale widząc niepodobieństwo nabycia, z ciężkim westchnieniem upuszczam z rąk gazetę; marzenie o nabyciu go, niepokoi sen mój, i w tym czasie z odebrania pieniędzy cieszę się więcej, aniżeli najzapaleńszy lichwiarz... Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym jeszcze ztąd nie czuł radości; umarłbym z tęsknoty i z nudów! To jedno osładza rozstanie się moje z wami...”

Siedmnastoletni młodzian w oddalonym miasteczku, w szkołach, sprowadzający ze Lwowa dzieła Szyllera za całoroczną pensję swoją, zastanowi pomimo woli uwagę każdego. Wszystko zajmowało go i niepokoiło! Chwili nie stracił napróżno, jeszcze będąc w zarannych latach dzieciństwa!

Pierwsze lata młodzieńcze przepędził razem ze starszym bratem swoim Andrzejem, wcześniej przez śmierć porwanym. Ojciec Gogola jeździł często razem z synami w pole i w drodze zadawał im temata do improwizacji: „słońce,” „step,” „niebo!” Młodszy syn odznaczał się zawsze zadziwiającym wywiązaniem się z improwizacji. Ojciec Gogola pisywał także w języku małopolskim; — prace jego składały się z dzieł dramatycznych, komedyj, grywanych na domowym teatrze Troszczyńskich ¹⁾, którzy bardzo

¹⁾ Dymitr Troszczyński, były minister Sprawiedliwości. Bez wątplenia był to geniusz w swoim rodzaju, który z ubożego chłopca kozackiego, przez swe zdolności niepospolite i zasługi, został jednym z wys. dyg. państwa.

uprzejmi byli dla Gogolów. Komedyje te, po śmierci ojca, Gogol, jadąc do Petersburga, zabrał z sobą ażeby je wydrukować. Niewiadomo, jaki los je spotkał, gdyż oprócz kilkunastu wierszy, które za godła do niektórych powieści swoich obrał Gogol, nikomu dotąd nie są znane.

Zgon starszego brata, Andrzeja, do takiego stopnia przeraził Gogola, że go musiano z Połtawy przenieść do Nieżyna. W roku 1820 po ukończeniu nauk w Nieżyńskim Liceum, Gogol wrócił do domu, z kąd na początku następnego roku wyjechał do Petersburga. Tu idąc za popędem poprzedniego nastroju duszy, zapragnął zostać aktorem; ale zrażony niepowodzeniem pierwszej próby, co zapewne nieśmiałości młodzieńca i nieznamomości świata przypisać należy, porzucił teatr na zawsze. W tymże czasie przypadła zagadkowa podróż jego za granicę. Powody, które go do tej podróży skłoniły, nikomu dotąd nie były znane. Teraz się wyjaśniły one z listu jego do matki w owym czasie pisanego... P. Daniłewski tak o tym zdarzeniu opowiada: „W tym roku, (1829) mając 19 lat wieku, zakochał się namiętnie, do szaleństwa prawie w jednej z osób wyższego stanu (imienia jej w liście nie wspomina). Postrzegłszy, że nie przystępną dla niego była, że nie domyśla się nawet o jego względem niej uczuciu, postanowił zakończyć wreszcie swe cierpienia... Pewnego razu, gdy się błąkał po nad brzegami Newy, zobaczył parowy statek, mający wkrótce odpłynąć do Lubeki. Tegoż dnia od matki odebrał półtora tysięcy rubli ass., jako opłatę z majątku od Rady Opiekuńczej. Nazajutrz rano wsiadł na parowy statek i zagranicę popłynął, a wynagradzając straty, na jakie matkę naraził, sporządził w sądzie akt urzędowy, którym przelewał na nią cały majątek, po ojcu przez niego odziedziczony, i już go nigdy napowrót przyjąć nie chciał. Znane są następstwa tej fantastycznej wycieczki. Gogol przybywszy do Lubeki, napisał wkrótce list do matki, opisując w nim obszernie rozczarowanie swoje, jakiego doznał w tych miejscach, które tak gorąco oglądać pragnął i dołączył do listu rysunek ulicy, przy której mieszkanie dla siebie wynajął. Nie długo potem, gdy już zasiłku zabrakło, wrócił z tęsknotą na Mieszkańską ulicę do Petersburga.”¹⁾

Na początku r. 1834 Gogol wydrukował (w „Pszczol-

¹⁾ Wiad. Mosk. 1852 r. Nr 124. — Pamiętniki Ojczyście z tegoż roku, Nr 4. — Sowremiennik 1852 N. 10. Wiad. Mosk. 1853 r. Nr 51. — Dział Literacki.

le Północnej” i „Telegrafie Moskiewskim”) następną treść *O wydaniu historyi kozaków Małoruskich* ogłoszenie: „Dotąd nie mamy jeszcze dokładnej, zadawalniającej historyi Małej Rusi i jej narodu. Nie nazywam historyą wielu kompilacyj (użytecznych zresztą jako materiały) z różnych kronik bez krytycznego poglądu, bez ogólnego planu i celu ułożonych, które nie wskazały dotąd ludowi temu miejsca w historyi. Przedsięwziętem wykonać tę pracę i przedstawić o ile być może najdokładniej: jakim sposobem odziedziczyła się ta część Rusi, jakie otrzymała urządzenie polityczne, pod obcym zostając panowaniem; jak się wyrobił w niej naród wojskowy, wyróżniający się zupełnie oryginalnością charakteru i czynów; jakim sposobem w przeciągu trzech wieków, z bronią wręku, o prawa swe i religiją walczył uporczywie; jak nareszcie się przyłączył do Rosyi; jak zniknął wojskowy byt jego i stawał się rolniczym; jak zwolna cały kraj, nowe, na miejsce dawnych, otrzymywał prawa i w końcu zlał się zupełnie z Rosyją. Blisko lat pięciu zbierałem starannie materiały, historyi kraju tego dotyczące. Połowa historyi mojej gotową jest prawie, ale się wstrzymuję od jej wydawania, domyślając się istnienia wielu nieznanych mnie źródeł, a które bezwątpienia gdziekolwiek przechowują się w ręku osób prywatnych. W tym celu zwracam się do wszystkich (a niepodobna, aby światli ziomkowie prośbie mojej odmówili) o nadesłanie mi, jeśli nie można oryginalnych, przynajmniej w kopiach—jakichbądź materiałów, pieśni, powieści bandurzystów, aktów urzędowych (szczególniej pierwotnych dziejów Małej Rusi dotyczących)” Nie wiadomo, jaki los spotkał przedsięwzięcie takowe. W „Arabeskach” (1835 r.) zamieszczone były ustępy z tej pracy, której plan ocalał po części w powyższym ogłoszeniu.

W miesiącu lipcu tegoż roku mianowany został professorem historyi powszechniej w uniwersytecie Petersburgskim, jednakże w zawodzie tym nie wytrwał więcej jak półtora roku. Ślady prac naukowych Gogola pozostały w kilku prelekcjach jego, drukowanych później w Dzienniku Ministerstwa Narodowego Oświecenia (najlepszą z nich jest wstępna prelekcya jego „O wiekach Średnich.”) Odznaczają się one świetnym wykładem, ożywione czarującą grą fantazyi; ale trudno znaleźć w nich nowy pogląd na wypadki dziejowe, albo głębokie pojmowanie historyi. Przed tem lat parę poświęcał się wykładowi historyi i jeografii po domach prywatnych osób jak najmniej w instytucie patryotycznym. Ale te prace nie

były właściwemi powołaniu Gogola. W tym właśnie czasie, gdy zapewniał publiczność i swych przyjaciół, że całkiem oddany jest pracom naukowym, z podpióra jego sypały się jedna po drugiej powieści i komedye, i te mu zdobyły zaszczytne imię w literaturze.

Od r. 1836 rozpoczyna się ów koczowniczy rodzaj życia Gogola, który zachował aż do ostatnich chwil swego bytu. Cały prawie czas ten przepędził za granicą, bawiąc po największej części w Rzymie, Neapolu, niekiedy we Frankfurcie nad Menem, w Düsseldorfie i t. d. Odbył dwukrotną podróż do Jerozolimy; z wycieczek tych wracał na krótko do kraju, zawsze tęskniąc do miłego mu południa i tam tylko czując ulgę w swych cierpieniach moralnych i fizycznych. W późnej jesieni 1851 r. wybrał się do swego futoru, ale jakimś złowrogim przecuciem wiedziony, wrócił z połowy drogi do Moskwy i tam dnia 21 lutego (v. s.) 1852 roku, po kilkodniowej słabości życia dokonał.

Dzieła Gogola, poczynając od roku 1831 kilkakrotnie drukowane były już to oddzielnie, już zbiorowo (1843 r. we czterech tomach, oprócz „Rewizora” i „Martwych Dusz”). Najkompletniejszy zbiór jego pism, z dołączeniem mnóstwa jego listów, autobiografii, publiczność rosyjska zawdzięcza p. Kuliszowi, który w roku 1856 wydał je w Petersburgu, w sześciu obszernych tomach. Ale już obecnie edycja ta zupełnie wyczerpaną została.

W końcu wspomnieć wypada o przekładach dzieł Gogola na obce języki. W roku 1845 Ludwik Viardot wydał w Paryżu pięć powieści Gogola p. n. „Nicolas Gogol. Nouvelles russes, traduction française publiée par Louis Viardot. Paris, 1845.” Książka ta świetnie miała powodzenie. W następnym roku ukazał się przekład jój na język niemiecki: „Russische Novellen von Nicolas Gogol. Nach L. Viardot übertragen von Bode. Leipzig, 1846. W niemieckim przekładzie, podzielonym na dwie części, opuszczoną została przedmowa francuzkiego tłumacza, jakkolwiek krótka, ale dla cudzoziemców wcale nie zbyteczna. W tymże czasie p. Lippert ogłosił *Nordisches Novellenbuch*; w pierwszym tomie tego pisma zbiorowego drukowaną była pomiędzy innemi: „Powieść o tém, jak się poróżnił Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem.” Powieść ta Gogola otrzymała nazwę: *Kleinrussische Genrebilder*. Do tego tomu dołączony był portret Gogola. Nareszcie w tymże roku uka-

zał się niemiecki przekład „Martwych Dusz.” Zupełny jego tytuł jest następujący: Die todten Seelen. Ein satyrischkomisches Zeitgemälde von N. Gogol. Aus dem Russischen übertragen, mit Anmerkungen versehen und bevorwortet von Philipp Löbenstein. Leipzig, 1846. Druck und Verlag von Philipp Reclam jun.

Ze wstępu tłumacza dajemy parę ustępów: „Literatura rosyjska (powiada p. Löbenstein) zamknięta w swoim kółku, nie troszczyła się wielce o rozgłos za granicą i nie możemy tego mieć jój za złe. Tylko samodzielne utwory, szczególnym nacechowane typem, będące wyrazem charakteru narodu, wyświecające fazę jego rozwoju, takie tylko utwory stawać się powinny, za pośrednictwem przekładów, wspólną wszystkich narodów własnością.... Ale na szczególną zasługują uwagę takie książki, które, na wzór niniejszego dzieła, przedstawiają wiernie jaskrawy obraz stanu społecznego i charakterystykę życia w Rosyi, wykonaną z subtelnym humorem i z ironią pełną życia.” „Gogol nie wkłada rękawiczek *glacé*, nie dotyka ostrożnie bolących miejsc, ale często uderza je łapą niedźwiedzią (mit einer Bären-tatze). Autor jest pełnym ognia patryotą, kocha ojczyznę swoją z zapalem Włocha i z uporem niepokonanym mieszkańca północy; ale miłość ta nie zaślepia go na widok dziwactw i błędów jego ziomków. Niepodobna nie przyznać, że Martwe Dusze uważane tylko z punktu widzenia estetycznego, grzeszą niektórymi błędami; szczególnie obok mistrzowskiego oddania charakterów, niezbyt gęsto nałożone farby, niestosowny rozkład światła i cienia, i ciągły brak uspakajającego pierwiastku, przykre w czytelniku obudzają uczucie. Ale to się wynagradza sownicie niezrównanym komizmem i mnóstwem *tableaux de genre*, które co chwila autor przedstawia, tak że czytelnik, zamykając książkę, zadowolonym zupełnie prawie zostaje.”

Poznaliśmy także i w przekładzie na język polski niektóre z pism Gogola. Oprócz komedyi „Rewizor,” w Wilnie wydanej, i kilku powieści, w dawniejszych pismach peryodycznych zamieszczonych (np. w Jutrzence z r. 1843 „Pamiętniki Waryata,” przekład Marcina Szymanowskiego), podane były w Magazynie Mód z r. 1857 przekłady dwóch powieści Gogola: „Majowa noc, lub Utopiona” (Nr 6—11) i „Portret” (Nr 29—37). Nadto w jednym z pism zbiorowych Wileńskich drukowane były pierwsze rozdziały „Martwych Dusz” a w Atenaeum, Płaszcz.

KANAŁ PRZECINAJĄCY MIĘDZYMORZE SUEZ

I ŁĄCZĄCY MORZE ŚRÓDZIEMNE Z MORZEM CZERWONEM.

Olbrzymie środki komunikacyjne zastosowaniem siły pary i elektryczności otworzone, w przeciągu lat kilkunastu zmieniły postać całego świata. Wśród przyspieszonego temi środkami życia handlowo przemysłowego, przeradzającego się częstokroć w trawiącą gorączkę bogactwa, wszystko co tylko może posłużyć do skrócenia odległości przegradzających rozmaite punkta handlowe, musiało szczególnie zwrócić na siebie uwagę. Z drugiej strony myśl ludzka ośmielona tyłoma olbrzymimi pracami, które z zadziwiającą szybkością, pomimo niezliczonych kosztów i trudności dokonaniem zostały, nie wahała się zaprojektować dzieła, co swymi rozmiarami i użytecznością przewyższy wiele z tych, które je poprzedziły. Mówić tu chcemy o kanale przecinającym poprzecznie między morze Suez i złączyć mającym na nowo dwa morza przedzielone od wieków tym wązkim przesmykiem ziemi.

Kształt powierzchni, pokłady ziemi i inne rozmaite wskazówki naprowadzają na domysł, że przedział ten powstał w późniejszych dopiero wiekach itnienienia ziemi, początkowo zaś oba te morza naturalnie łączyły się z sobą; i rzeczywiście szerokość między morza w najwęższym miejscu wynosząca około 113 kilometrów, podług świadectw starożytnych historyków była o wiele mniejszą. Albo więc jedno z gwałtownych wstrząśnień jakim ziemia uległa, albo powolne działanie dwóch przeciwnych prądów morskich, które w tym miejscu spotykając się z sobą nanosiły piaski ruchome i osadzały w miejscu wspólnego spotkania, albo łącznie obiedwie te przyczyny, wzniosły nieprzebytą między dwoma morzami zaporę.

Przedział ten utrudnił komunikacją pomiędzy Wschodem i Zachodem, i o wiele przyczynił się do utrzymania na tak niskim stopniu oświaty i dobrego bytu krajów zachodniej Azji, które niegdyś kolebką były rodzaju ludzkiego i gniazdem powstającej cywilizacji; lecz w miarę posuwania się oświaty bardziej

ku Zachodowi, w miarę jak ludy europejskie z wrodzoną sobie zdolnością, zaczęły swe wykształcenie do coraz wyższego podnosić stopnia, Azja oddzielona od tego jądra cywilizacji nie znalazła w sobie dość siły wewnętrznej, aby swą młodszą dorównać rywalce

Azja a szczególnie część jej południowa, pod nazwiskiem Indyi Wschodnich znana, od najdawniejszych czasów nęciła ku sobie Europejczyków. Płody tej hojnie od natury uposażonej krainy stały się niezbędnymi do zaspokojenia wzrastających wraz z cywilizacją potrzeb i wymagalności dobrego bytu. Okoliczność ta wywołała potrzebę odszukania drogi morskiej pomiędzy Indyami a Europą i stała się bodźcem rozlicznych podróży awanturniczych w ciągu wieków średnich. Odkrycie przylądka Dobrej Nadziei uwieńczyło te usiłowania i otworzyło komunikację z Indyami wschodnimi; ogromne jednak zboczenie przy opływaniu brzegów całej Afryki i niebezpieczeństwo żeglugi w burzliwych okolicach przylądka Dobrej Nadziei, już wtenczas uczuć dały niedogodności tej drogi, i dla tego to Krzysztof Kolumb postanowił odszukać inną, w przeciwnym zupełnie żeglując kierunku, a usiłowania jego, jakkolwiek inny, chociaż nie mniej ważny skutek odniosły, dowodzą jednak ile już w owym czasie czuć się dawała w Europie potrzeba ułatwienia sposobów znoszenia się z Indyami. Potrzeba ta wzmogła się w sposób nieopisany od owych czasów, tak dalece, że dziś Europa obejść by się nie mogła bez płodów z tych odległych krain przywożonych przedsięwzięcie zatem, które skróci o połowę przeszło odległość, jaką okręta europejskie przebiegać muszą nie potrzebuje innego nad tę okoliczność poparcia, — za najworniejsze więc usprawiedliwienie posłużyć nam może następny wykaz porównawczy odległości pomiędzy rozmaitemi portami Europy a Indyami najprzód odpływając przylądek Dobrej Nadziei, potóre przez kanał przecinający między morze Suez.

Wykaz ten podany został przez pana Gressier hydrografa marynarki Cessarsko-francuzkiej:

Nazwiska portów.	Odległości w kilometrach.		Skrócenie
	Przez Przyładek Dobrą Nadziei	Przez międzymorze Suez.	
Petersburg	15,660	8630	45%
Sztokholm	15,330	8920	46
Hamburg	14,650	7610	48
Amsterdam	14,450	7420	49
Londyn	14,340	7300	49
Hawr	14,130	7090	50
Lizbona	13,500	6190	54
Barcelona	14,330	5500	61
Marsylia	14,500	5490	62
Genua	14,690	5440	63
Triest i Wenecja	15,480	5220	65
Konstantynopol	15,630	4700	70
Odesa	15,960	5080	68

Koniecznym skutkiem tak znacznego skrócenia odległości będzie:

1. Skrócenie o połowę przeszło czasu potrzebnego na odbycie tej drogi opływając przyładek Dobrą Nadziei.

2. Zmniejszenie o połowę kosztów przewozowych.

Dwie te okoliczności wywołać koniecznie muszą niżenie cen wszystkich przedmiotów, które dawniej tak długą i niebezpieczną musiały odbywać drogę. Tym sposobem powiedzieć można, że dobroczynne skutki kanału suezkiego spłyną na każdego prawie bez wyjątku mieszkańca Europy. Ale jeżeli dla Europy głównie materialne zyski otworzenie prostej drogi do Indyi zapowiada, to niewątpliwie Wschód cały, równie materialną, jak i moralną korzyść z tego przedsięwzięcia odniesie. Całe północne i część wschodniego wybrzeża Afryki, południowa Azja, Australia i niezliczone wyspy mórz południowych, przez ułatwienie stosunków z Europą, ulegną jej wpływowi cywilizacyjnemu, a zbliżenie się 300 millionów ludów zachodnich z 600 millionami wschodnich może nieobliczone korzyści dla całej przynieść ludzkości.

Przeciwnicy kanału starali się wystawić morze Czerwone za nader niebezpieczne dla żeglugi, co podług nich miało zniszczyć wszelkie korzyści, ze skrócenia drogi wynikające; w rzeczywistości jednak rzecz się ma zupełnie przeciwnie, a za najlepszy dowód posłużyć może to, że statki kompanii wschodniej od dość dawnego czasu wody te regularnie przebiegają i dotąd żadnego wypadku ważniejszego nie do-

znały. Przeciwnie po bliższem obznajmieniu się z miejscowością dziś ogólnie uznano morze Czerwone za nadzwyczaj dogodne dla żeglugi parowej, z powodu kształtu zwężonego samego morza, pośrodku którego ciągnie się pewien rodzaj doliny podobnej do kanału podwodnego, i łatwości urządzenia potrzebnych składów węgla.

Dla okrętów żaglowych morze to nie przedstawia także żadnych niezwykłych trudności; widzimy statki pocztowe indyjskie, regularnie cztery razy na miesiąc służbę swoją na niem odbywające i mnóstwo okrętów miejscowych, które pomimo całej nieudolności swych majtków spokojnie żeglować po nim mogą — morze więc Czerwone, nie jest burzliwszem i niebezpieczniejszem jak każde inne, a jedyną rzeczywiście napotykaną przeszkodą, są prądy peryodyczne przy wejściu do oceanu indyjskiego, które jednak tylko za przeszkodę względną uważać należy, uniknięcie bowiem ich skutków polega na obrachowaniu stosownem czasu; zresztą droga około przyłodka Dobrą Nadziei, dawniej *Przyłądkiem Burz* zwanego, też same, jeśli nie większe przedstawia trudności; spodziewać więc się należy iż żeglarze, po otworzeniu nowego przejścia, z radością opuszczą dawną drogę tak uciążliwą i tylu im grożącą niebezpieczeństwami.

Ważność i pożytek połączenia morza Czerwonego z Śródziemnem przez starożytnych były już uznane i rzeczywiście w najdawniejszych czasach świetności Egiptu istniał już kanał dwa te morza z sobą łączący. Zaczęty przez Nekosa syna Psametyka na lat 630 przed narodz. Chrystusa ukończony został przez Dariusza po zajęciu Egiptu przez Persów.

Kanał ten nie stanowił połączenia bezpośredniego dwóch mórz pomiędzy sobą; morze tylko Czerwone zostało połączone z rzeką Nilem, koryto zaś tej rzeki służyło za dopełnienie systematu komunikacyjnego z morzem Śródziemnem. Kanał zaczynał się w Bubast nad Nilem i szedł z początku w prostym kierunku ku wschodowi, a zwróciwszy się następnie w stronę południową w Patymos wpadał do morza Czerwonego. Pod panowaniem Ptolomeuszów utrzymywał się on w stanie kwitnącym, a Strabon na niewiele lat przed narodzeniem Chrystusa te strony zwiedzający, wspomina o kanale pokrytym ładowniami statkami.

Po przejściu Egiptu pod panowanie Rzymian, nie tylko nie zaniedbano utrzymać istniejący już kanał, ale nadto za czasów Adriana cesarza, znaczne około polepszenia i rozszerzenia takowego wykonano prace

i w niektórych miejscach dawny zmieniono kierunek. Pod panowaniem Kalifów arabskich z początku również troskliwie o zachowanie tej sztucznej drogi dbano, lecz z czasem przy wzrastającej ciemnocie i barbarzyństwie, równie mieszkańców tej krainy, jako i samych jej rządców, kanał został zaniedbany tak dalece, że około roku 775 po narodzeniu Chrystusa przestał on już zupełnie być spławnym. Ślady jego pozostały jeszcze w wielu miejscach dotąd zupełnie dobrze zachowane i dają nam wyobrażenie o wymiarach i sposobie wykonania tej pracy przez starożytnych Burty w wielu miejscach wznoszą się dotąd na 25 stóp w górę, a szerokość kanału od 120 do 150 stóp wynosi.

Od owego czasu nigdy już wschód nie był w stanie pomyśleć o odnowieniu tego dzieła, które dawniejszym jego mieszkańcom prawdziwy zaszczyt przynosi, a przez niedbalstwo i ciemnotę późniejszych zupełnie uległo zniszczeniu; a Europa przyjąwszy na siebie posłannictwo wznowienia upadłej w tych odległych krainach cywilizacji, na obowiązek i przygotowawcze do tego przysposobić środki. Kilkakrotnie też myśl otworzenia na nowo drogi morskiej przez międzymorze Suez podnoszoną już była, ale zawsze bezskutecznie, i zdaje się, że naszym dopiero czasem pozostawiony został zaszczyt wykonania tego wielkiego dzieła.

Jeszcze w połowie XVII wieku Leibnitz przedstawił Ludwikowi XIV projekt odnowienia starożytnego kanału, łączącego Nil z morzem Czerwonem. Rząd francuzki chętnie się do tej myśli przychylił i Markiz du Nointel ambasador w Konstantynopolu otrzymał rozkaz wyjednania u sułtana przychylniej w tej mierze decyzji, lecz ośmioletnie jego usiłowania żadnego nie odniosły skutku. W roku 1753 jeszcze raz Rząd francuzki ponowił swoje przedstawienia za pośrednictwem barona de Tott, lecz zawsze napróżno, za nadto bowiem wielki jeszcze istniał przedział pomiędzy zachodem a ówczesną Turcją, odpychającą starannie wszelki wpływ cywilizacji zewnętrznej.

Napoleon I podczas swego pobytu w Egipcie wyznaczył kommissyą złożoną z inżynierów w celu zbadania dokładnego miejscowości i stanowczego rozstrzygnięcia zapytania, czy połączenie Nilu z morzem Czerwonem rzeczywiście może być dokonaniem.

Raport kommissyi przez inżyniera Lepère przedstawiony, jakkolwiek wiele niedokładności zawiera, stanowczo się jednak za możebnością wykonania oświadcza. Podług projektu p. Lèpere koszt budowy wynosił około 25 lub 30 millionów franków. Kanał

miał się zaczynać w Bubast nad Nilem a kierując się przez Uade-Tumilat i jezioro Timsah ku południowi, około Suez wpadać do morza Czerwonego, prócz tego osobne odgałęzienie w górę Nilu dochodzić miało do Kairu. Był to więc projekt kanału czysto wewnętrznego, który jakkolwiek do pewnego stopnia mógłby ułatwić komunikację pomiędzy Europą i Azyą i przez to do ogólniejszej przyczynić się korzyści, głównie jednak był przeznaczony dla wewnętrznego użytku Egiptu. Krótkotrwałe panowanie Rzezypospolitej francuzkiej w Egipcie nie dozwoliło Napoleonowi stanowczo wykonaniem projektowanego zająć się dzieła.

Za rządów Mehmeda Alego kwestya kanału na nowo podniesioną została, lecz równie jak dotąd bezskutecznie.

W miesiącu lutym 1841 r. Linant-Bej (Linant de Belle fonts) inżynier naczelny wice króla Egiptu, który oddawna powziął myśl wykonania kanału morskiego przecinającego w prostej prawie linii międzymorze, zawiązał w tym celu stowarzyszenie z pp. Anderson, Janem i Grzegorzem Glidon, — pierwsze to stowarzyszenie żadnego nie odniosło skutku.

W roku 1846 Linant Bej nowe utworzył towarzystwo, do którego należeli znakomici inżynierowie jako to: Stephenson, Negrelli i Paulin Talabot. Postanowili oni zbadać gruntownie, czy projekt Linant Beja był wykonalnym, a następnie do skutku go doprowadzić — jedynym jednak wynikiem tego nowego stowarzyszenia było dokładniejsze niż dotąd rozpoznanie miejscowości. Talabot nie zaprzeczając możebności przeprowadzenia przez pustynię Suezką sztucznej cieśniny morskiej, podał osobisty swój projekt, o którym niżej cokolwiek, obszerniej będziemy mieli sposobność pomówić.

W roku dopiero 1854 p. Lesseps dawny konsul jeneralny francuzki w Kairze, szczęśliwszy od wszystkich, którzy przed nim do tego dzieła swą rękę przyłożyli, zajął się czynnie doprowadzeniem do skutku tyle razy zaniechanego projektu. Stosunki osobiste wiążące go z młodym Muhamed-Saidem dzisiejszym wice-królem Egiptu, wielką mu w tym względzie były pomocą. Znalazłszy szczere ze strony tego księcia poparcie i otrzymawszy od niego firman, upoważniający do zawiązania towarzystwa mającego na celu zbudowanie kanału, p. Lesseps uczynił odezwę do wszystkich narodów i Rządów, których interes własny do współdziałania w jego zamiarach powoływał. Wiadomość ta z ogólnym zapalem przez wszystkie narody nadmorskie została przyjęta, zewsząd

odezwały się głosy równie pojedyncze, jak zbiorowe, zapewniające poparcie śmiałemu przedsięwzięciu. Rząd jedynie angielski, dla źle zrozumianej wyłączności interesów swojego narodu, z początku stanął czynnie po stronie przeciwnej projektowi, ale opinia ogólna tak całej Europy, jak i samej Anglii wyrażona przez rozliczne metingi, przez izby handlowe, a wreszcie przez wielu znakomitych mężów tego narodu, zapewniła zwycięstwo tak dobitnie objawionej woli ogółu, nad samolubnymi widokami kilku zaledwie ludzi, którzy pomimo wysokiego stanowiska jakie zajmują, nie ośmielili się otwarcie stawiać przeszkod w wykonaniu dzieła ogólnie uznanego za pożyteczne dla całej ludzkości.

Tym sposobem czynny przedsiębiorca zyskawszy z jednej strony zapewnienie od najznakomitszych wszystkich krajów inżynierów, o możebności wykonania zamierzonego projektu, z drugiej strony znalazłszy moralne poparcie w opinii ogółu i przychylności rządów, mógł śmiało zażądać i materjalnej ku temu celowi pomocy. Wiadomość o stanowczym utworzeniu stowarzyszenia przez akcyę i rychłem rozpoczęciu robót z nowym zapałem została przyjęta, a kilkunastodniowe podpisy wystarczyły na pokrycie kosztów całej budowy. Pośpiech ten może posłużyć za nowy i najwymowniejszy dowód ogólnego współudziału w Europie, zwłaszcza, że zawiązanie stowarzyszenia nie nastąpiło pod protekcyą, żadnej z giełdowych, europejskich znamienitości, jak się to zwykle z podobnego rodzaju przedsięwzięciami dzieje. Dość było użyteczności niezaprzeczonej samego dzieła i głosu czynnego przedsiębiorcy, aby miliony stanęły na jego zawołanie.

Przejdziemy teraz do bliższego rozpoznania technicznej części projektu.

Wspomnieliśmy powyżej, że rapport kommissyi inżynierów przez Napoleona I do zbadania miejscowych okoliczności wyznaczonej zawierał w sobie niedokładności. Najważniejszą z takowych był błąd popełniony w niwellacyi, podług którego poziom morza Czerwonego miał być wzniesiony o 9^m,908 po nad poziom morza Śródziemnego. Jedynie pośpiech i trudność jaką musiały napotykać polowe czynności przez owych inżynierów wykonywane, pod ogniem prawie nieprzyjacielskim, może, dać wytłumaczenie tak ważnej pomyłki.

Od pierwszej zaraz chwili po ogłoszeniu rapportu okoliczność ta obudziła powątpiewanie ludzi uczonych owego czasu, a znakomici matematycy Fourier i Laplace opierając się na swojej teorii równowagi

oceanu, wyraźnie się przeciwko podobnemu wypadkowi niwellacyi oświadczyli i poczytywali go za prostą tylko pomyłkę. Poźniejsze niwellacye dowiodły przenikliwości sądu Laplace'a i dziś nie ulega już żadnej wątpliwości, że obadwa te morza znajdują się prawie na jednym i tym samym poziomie.

Już w roku 1834 major angielski Chesney zdając sprawę z poszukiwań naukowych odbytych przez siebie w Egipcie, oświadczył, iż wypadek jego dostrzeżeń był niezgodny z twierdzeniem kommissyi inżynierów francuzkich. W roku 1841 podczas wznowienia kwestyi wschodniej oficerowie angielscy wysłani przez rząd swój do Egiptu potwierdzili zdanie majora Chesney, otrzymany przez nich wypadek wprowadzie za pomocą bardzo niedokładnych środków, to jest: porównywania wysokości barometrycznej i wysokości temperatury wrzenia wody, posłużył za podstawę do nowych sprawdzeń, które w czasie późniejszym zostały dokonane. W roku 1847 po raz pierwszy dokładna niwelacya została uskutecziona wspólnie przez inżynierów europejskich i egipskich, pod przewodnictwem Linant Beja i p. Bourdaloue, a Paulin Talabot w raporcie swoim, tegoż roku ogłoszonym, pierwszy mógł opierając się na niezbitych dowodach, zapewnić, że wysokość wód w obu dwu morzach na jednym prawie znajduje się poziomie.

W roku 1853 nowe sprawdzenie na żądanie p. Sabatier konsula jeneralnego francuzkiego miało miejsce pod przewodnictwem Linant Beja i na nowo potwierdziło otrzymane poprzednio wypadki. Tyle razy powtórzone z jednozgodnym skutkiem sprawdzania, nie mogły pozostawić żadnej już wątpliwości, i tym sposobem usunięta została najważniejsza przeszkoda jaką mogło przerznięcie międzymorza kanałem napotykać.

Kommissya międzynarodowa utworzona za staraniem p. Lesseps'a dla ostatecznego zbadania miejscowości i nakreślenia stanowczego planu budowy, raz jeszcze z tymże samym skutkiem sprawdziła poprzednie niwellacye. Otrzymała ona nazwę międzynarodowej (internationale) z przyczyny, iż p. Lesseps zażądał, aby do rozpoznania dzieła tak blisko całą Europę obchodzącego, każdy z narodów przyczynił się przez swego przedstawiciela. Anglia wysłała przeto inżynierów: Reudel, Mac-Clean, Mamby i zmarłego później kapitana Harry-Hewet, Austria p. Negrelli inspektora jeneralnego kolei żelaznych; Piemont p. Paleocapa, ministra robót publicznych — Hollandya inżyniera naczelnego Konrada — Prusy Lentza dyrektora robót nadwiślańskich — Hiszpania

Don Cypriano Segundo Montesino, dyrektora robót publicznych—Francya pp. Renaud inspektora jeneralnego i członka rady dróg i mostów i Lieusson inżyniera hydrografa marynarki rządowej.

W październiku roku 1855 kommissya międzynarodowa odbyła dwa posiedzenia w Paryżu, na których p. Konrad został obrany prezesem, a p. Lieusson sekretarzem; postanowiono przy tém, że wszyscy członkowie niezwłocznie udadzą się do Egiptu i zajmą na miejscu ostatecznym zbadaniem i rozstrzygnięciem wszelkich warunków budowy.

Po wylądowaniu w Aleksandryi, pierwszym zajęciem kommissyi było rozpoznanie dokładne zatoki i okolic miasta; później udano się w górę Nilu, aż do wyższego Egiptu, a następnie z Kairu do Suez. Pięć dni poświęcono na poznanie dokładne zatoki Suez, prądów, wiatrów i ważności przypływów i odpływów morza i w końcu zajęto się rozpoznaniem i ocenieniem geologicznem gruntu na całej przestrzeni projektowanego kanału, na co dni dziesięć poświęcono. Przez pierwsze dwa dni kommissya postępowała za śladem dawnego kanału Faraonów, aż do Szejk-Ennedek nad brzegiem jeziora Timsah, ztąd zwróciwszy się ku zachodowi przez Uade-Tumilat napotkała szczątki kanału Nekosa, wreszcie kierując się przez Heroopolis, albo Ramses doszła do Peluzy nad brzegiem morza Śródziemnego położonej.

Rozpoznanie międzymorza przekonało, iż żadnej ważniejszej przeszkody budowa kanału napotkać nie może; — grunt znaleziono wszędzie dość ścisłym, i przekonano się że mniemane piaski ruchome, których się obawiać należało, w rzeczywistości wcale nie istnieją — brzegi i burty przyszłego kanału, przy nadaniu im odpowiedniego spadku, żadnego nie będą potrzebowały zabezpieczenia. Powierzchnia wszędzie prawie okazała się rozległą płaszczyzną, na której zaledwie narzędzia niwellacyjne małe pochyłości wykryć zdołały. Najwyższym punktem jest El-Guis, gdzie głębokość odsypu na przeprowadzenie kanału, wynosić będzie musiała około 15 metrów. Podobna praca nie przedstawia żadnych nieprzełamanych trudności i na niewielkim tylko kawałku będzie musiała być wykonaną.

Ostatniem zajęciem kommissyi podczas téj wycieczki, było rozpoznanie dokładne zatoki Peluzkiej, która się okazała równie jak i Suezka w najkorzystniejsze warunki od natury zaopatrzoną. Pokłady mułu, co wedle niektórych opisów, całą zatokę Peluzką zajmować i do żeglugi niezdatną czynić miały,

wcale nie istnieją, a ił naniesiony z Nilu znajduje się tylko w znacznej głębokości morza i wszędzie po niżej dziesięciu metrów.

Tym sposobem bliższe rozpoznanie przekonało kommissyę, że wykonanie tego wielkiego projektu napotka wszędzie bez porównania mniejsze, niż się spodziewano trudności i spowodowało oświadczenie się stanowcze za kierunkiem prostym kanału łączącego bezpośrednio dwa morza z sobą i odrzucenie wszelkich projektowanych zboczeń.

W raporcie dnia 3 stycznia 1856 roku podanym wice-królowi Egiptu, oświadcza kommissya: że kanał prosty z Suez do Peluzy jest jedynem rozwiązaniem zadania, że niema innego sposobu wykonalnego, połączenia morza Czerwonego z Śródziemnym; że zbudowanie tego kanału morskiego jest łatwym i skutek pomyślny zapewniony; że dwa porty, które mają być zbudowane w Suez i w Peluzie, nie przedstawiają żadnych nadzwyczajnych trudności, Suezki bowiem łączyć się będzie z obszerną zatoką, przystępną w każdym czasie dla okrętów, gdzie potrzebna głębokość 8 metrów, znajduje się w odległości 1500 metrów od brzegu, Peluzki zaś położony pomiędzy ujściem Um-Fareg i Um Gemile przedstawia wymaganą głębokość w oddaleniu 2300 metrów. W końcu dodaje kommissya, że koszta budowy nie będą przenosić 200 millionów franków.

Po powrocie do Europy zajęła się kommissya wygotowaniem obszerniejszego zdania sprawy z odbytych czynności a dla uzupełnienia wszelkich zebranych spostrzeżeń, zażądała objaśnień i współpracownictwa inżynierów egipskich. Wszyscy członkowie zebrali się na nowo w Paryżu w miesiącu czerwcu 1856 r. i na tém posiedzeniu stanowczy projekt jednozgodnie uchwalony i przyjęty został.

Projekt przedstawiony przez kommissyę był trzecim z kolei, oświadcza on się, jakto wyżej wspomnieliśmy, za bezpośrednim połączeniem dwóch mórz, w kierunku prawie prostym; dwa pierwsze, jeden panu Talabot, drugi Aleksego Barrault, podają jako rozwiązanie wspólnego zadania, kanał uboczny mniej, lub więcej wewnątrz Egiptu przerywający.

Trzy te projekta kolejno rozbierzemy, wykazując każdemu z nich właściwe zalety i wady, a krótki ten przegląd posłuży nam do wykazania całej wyższości pod każdym względem, kierunku prostego nad wszelkie projektowane zboczenia.

Projekt podany przez p. Talabot zasadał się na zbudowaniu kanału, mającego za podstawę nowy port w Aleksandryi, któryby kierując się wzdłuż

lewego brzegu Nilu, przecinał cały dolny Egipt i cokolwiek poniżej Kairu, przechodził przez tę rzekę. Następnie kanał p. Talabot iść miał za śladem dawnego kanału Trajana, aż do gorzkich jezior, gdzie połączywszy się z kierunkiem prostym, przez komissyą obranym, dochodził do zatoki Suez.

Nie rozbierając pojedynczo zarzutów, jakieby można rozmaitym szczegółom tego projektu uczynić, zastanowimy się nad koniecznością przeprowadzenia kanału, w poprzek rzeki Nilu, które według nas stanowi prawdziwe niepodobieństwo wykonania, a tém samém od rozbioru innych, pomniejszych niedokładności uwalnia.

Dwa sposoby podaje p. Talabot przebycia Nilu, to jest: albo kanał podwodny (chénal) w poprzek rzeki, albo most kanałowy po nad rzeką.

Pierwszy z tych sposobów jest niewykonalny. Głębokość kanału spławnego, dla statków wszelkich rozmiarów, wynosić musi 8 metrów; wysokość zwyczajnych wód Nilu wynosi tylko 1, metr 80, potrzebaby więc podnieść poziom wody o 6, metrów 20. Dziś istniejąca w tém miejscu tama, zbudowana była w przypuszczeniu parcia 4, metrów 50 wody, powyżej zwyczajnego poziomu, a zatém dodając 1, metr 70 wysokości, potrzebaby ją odpowiednio wzmocnić, czyli co na jedno wyjdzie na nowo odbudować. Pominąwszy jednak tę trudność, która jedynie na powiększenie znakomite wydatków wpłynąćby musiała, inna ważniejsza przeszkoda staje na zawadzie podniesieniu w tém miejscu wód do wysokości 8 metrów; w takim bowiem razie poziom ich znalazłby się powyżej gruntów okolicznych, co musiałoby spowodować na ich powierzchni przesiąkanie od dołu do góry.

W ogóle ziemię egipską stanowi zwierzchni, mniej więcej gruby pokład szlamu, czyli mady naniesionej wylewami Nilu i spoczywającej na grubiej warstwie piasku morskiego zawierającego znaczną ilość soli; sól ta wyprowadzona przez przesiąkanie na powierzchnię ziemi uczyniłaby ją musiała zupełnie bezpłodną.

Prócz tego dodać należy, że zbudowanie podobnego kanału, w poprzek przecinającego rzekę płynącą wciąż po dnie piaszczystym, i niosącą w swym biegu bez porównania więcej od innych rzek części stałych, ¹⁾ uważać można za przedsięwzięcie nie podo-

¹⁾ Rodan, który jest uważany za jedną z rzek europejskich najwięcej części stałych utrzymującą w zawieszaniu, zawiera ich $\frac{4}{10000}$. Doświadczenia na wodzie Nilu dokonane podają $\frac{8}{1000}$ czyli 20 razy większą ilość tych części przez wodę unoszonych.

brane do wykonania. Utrzymanie takiego przejścia wymagałoby bezprzestannego dragowania, czyli czyszczenia, które nigdy dokładnie być by nie mogło; nadto szybkość biegu wód Nilu podczas powodzi dosięga 1^m,50 na sekundę; dwie te okoliczności uczyniłyby miejsce to nadzwyczaj dla statków niebezpiecznym.

Dla porównania niech nam będzie wolno, przytoczyć tu przykład istniejącego już we Francji, podobnego przecięcia rzeki kanałem, który w mniejszych rozmiarach, przedstawia jednak też same niedogodności, od podobnego systematu nie odłączne i posłużyć może za dowód niemożliwości wykonania projektu p. Talabot. Mówić tu chcemy o Loarze i kanale bocznym, który ją pod Briare przecina. Jest-to kanał znacznych rozmiarów, stała głębokość wody wynosi w nim 1^m,60—komory szluz mają 45^m metrów długości, mógłby więc być spławnym dla statków 225 lub nawet więcej beczek unoszących, tymczasem przejście przez Loarę niszczy cały pożytek, jakiby ze zbudowania tego kanału żegluga osiągnąć była w stanie. Niepodobieństwem pomimo ciągłych najusilniejszych starań, jest należyte utrzymanie samego przejścia które będąc zawsze mniej więcej zamulonym, za ledwie może posłużyć do przechodu statków biorących najwięcej jeden metr wody, a często i dla mniejszych miejsce to staje się niebezpiecznym i rozmaite powoduje uszkodzenia. Okoliczność więc ta może nam posłużyć za wskazówkę jakie trudności wywołaćby musiała, utrzymanie przejścia poprzecznego Nilu, w którym głębokość stała 8 metrów musiałaby być zachowana, jako nieodzowny warunek użyteczności całego kanału.

Przewidując zarzuty, jakie można uczynić powyższemu sposobowi przebycia Nilu, p. Talabot przedstawia inny, to jest: zbudowanie mostu kanałowego. Przypatrzmy się bliżej rozmiarom téj budowy.

Ażeby most taki nie stał się przeszkodą do żeglugi Nilu, musiałby pozostawić najmniej 10 metrów wolnego przejścia po nad poziomem wody w czasie peryodycznych wylewów téj rzeki, czyli musiałby być wzniesionym około 20 metrów po nad poziom wód zwyczajnych; dodawszy do tego 8 metrów głębokości kanału i mniej więcej 2 grubości samego mostu, otrzymamy 30 metrów wysokości, że zaś poziom wód zwyczajnych Nilu znajduje się w tém miejscu na 10 metrów wyżej od wód morza Czerwonego i Śródziemnego, most nasz znalazłby się wzniesionym o 40 metrów po nad te wody. Szerokość mostu wynosić miała 38^m a długość przeszło 1 kilometr (prawie wiorstę). Różnica wysokości miała być zrównoważoną

za pomocą szluz, których liczba najmniej 30, to jest po 15 z każdej strony mostu wynosiłyby musiała.

Jest-to projekt rzeczywiście olbrzymi i most pana Talabot mógłby śmiało poglądać na wiekowe szczyty sąsiednich sobie piramid, nieszczęściem jednak, że niesłychany koszt ¹⁾ podobnej budowy, jest jednym z najmniejszych zarzutów, jakie jój uczynić można.

Jedyny środek nawadniania tego kanału przedstawiają wody Nilu o trzydzieści metrów po niżej nurty swe toczące, p. Talabot projektuje za pomocą machin parowych wznosić potrzebną ilość wody do pomienionej wysokości. Praca ta musiałaby być bezprze-stanną każde bowiem przejście statku zużywałoby część wzniesionego już płynu. Podług samego autora projektu, potrzeba dziennie 1,213,147 metrów sześciennych wody, na dostateczne zaopatrzenie kanału, która to ilość podnoszona do wysokości 30 metrów, wymagałaby pracy machin o sile teoretycznej 5620 koni, co odpowiada w machinach sile 6000 koni. Wydatek na utrzymanie potrzebnej do tego liczby machin byłby dostatecznym do pochłonięcia wszelkich korzyści, jakie zbudowanie kanału przynieśćby mogło, i albo zmusiłby przedsiębiorców do nałożenia ogromnej opłaty na statki przechodzące, co uczyniłoby drogę przez kanał może równie kosztowną jak dawniejsza około przylądka Dobrej-Nadziei, albo co najprawdopodobniej, całe przedsięwzięcie obie-bujące dziś znakomite korzyści, znalazło-by się na drodze do zupełnego bankructwa. Nadto pomina-wszy wszystkie te zarzuty i przypuszczając, że pomimo niezliczonych trudności, projekt p. Talabot zostałby wykonany, że potrafiłoby utrzymać potrzebną wysokość wody, to i w takim razie korzyść, jakaby żegluga odnieść mogła z tego dzieła, byłaby bardzo wątpliwą. Sama długość kanału przeszło 400 kilometrów wynosząca i konieczność przebywania trzydziestu szluz, niesłychanieby bieg statków opóźniała. Dodawszy do tego konieczne a częste przy takiej liczbie, naprawy szluz, lub machin pompujących wodę i t. p. i spowodowane przez to mniej więcej długie przerwy w żegludze, wątpić należy, czy dawna droga do Indyi, nie pozostałaby i nadal najbardziej uczęszczaną.

Przejdziemy teraz z kolei do drugiego projektu, przedstawionego przez p. Barrault.

¹⁾ Podług obrachowania p. Paleocapa koszt budowy mostu kanałowego wynosiłby najmniej 60,000,000 franków.

Wspólną cechą dwóch tych projektów jest myśl nadania dwoistego przeznaczenia, mającemu się zbudować kanałowi, to jest połączenia na nim żeglugi zewnętrznej, międzynarodowej, z wewnętrzną egipską, przez-co wedle pp. Barrault i Talabot rozleglejsze na kraj ten spłynęłyby korzyści.

Powyższy rozbiór pierwszego z tych projektów przekonał nas, że niegodności w nim napotykanne, nie tylko, że powiększenia w ten sposób użyteczności kanału nie rokują, ale prawdopodobnie dla głównego celu to jest żeglugi morskiej, uczyniłyby go bezużytecznym; zobaczymy czy drugi lepiej się ze swego założenia wywiązuje.

Aleksandryja służy tu podobnie jak w poprzednim projekcie, za punkt wyjścia z morza Śródziemnego, chcąc jednak uniknąć głównej trudności przeprowadzenia kanału przez Nil w górnym Egipcie, gdzie rzeka ta przy stosunkowo małej głębokości ogromną przedstawia szerokość, p. Barrault zwraca się ku wschodowi po nad morzem i przecina rzekę bliżej ujścia podzieloną już na kilka odnóg, z których przynajmniej dwie główne mają potrzebną dla kanału głębokość wody. Kierunek obrany w tym celu jest następujący: Wyszędłszy z portu Aleksandryi kanał zwraca się ku zatoce Abukir, następnie przechodzi na północ jeziora Edko i przerwawszy jego komunikację z morzem, przecina pierwszą główną odnogę Nilu powyżej Rozetty, tamuje zupełnie dalszy odpływ wody w kierunku prostym do morza, aby ją do nawodnienia swego użyć, i następnie za pomocą bocznego kanału zwrócić ku morzu. Dalej przechodzi przez jezioro Burlos i ciągnie się wzdłuż brzegów morza, aż do spotkania się z drugą odnogą Nilu powyżej Damietty, której podobnie jak pierwszej zabrawszy wody, bocznym kanałem do morza wylewa. Przeszedłszy przez jezioro Meuzaleh zwraca się ku południowi i pozostawia na wschód Peluzę, przerzy-na jezioro Ballah i na wzgórzach El-Ferdan napotyka zasy ruchomych piasków; w końcu przy jeziorze Timsah, które na port wewnętrzny przeznaczona, łączy się z kierunkiem przez kommissyą podanym i dosięga odnogi Suez, nie napotykyjąc żadnej już więcej trudności.

Długość cała kanału czyni 390 kilometrów, z których 200 w przejściach jezior, i tym sposobem wyrównywa prawie długości projektu p. Talabot 400 kilometrów wynoszącej, lecz w miejsce trzydziestu, trzech tylko szluz wymaga i unika owego kolosalnego mostu po nad Nilem.

Z tém wszystkim projekt p. Barrault przedstawia równe prawie tamtemu trudności. Pierwszy z nich jest wykopanie kanału, tak blisko wybrzeża położonego o 6,^m50 poniżej poziomu niskich wód morza, i to w gruncie złożonym z piasku i szlamu ma długości przeszło 150 kilometrów, taką bowiem przestrzeń zajmuje ta część kanału, która się ciągnie prawie równolegle do brzegów morskich. Nadto przecięcie całej sieci kanałów użyzniających cały dolny Egipt, spowodować musi wielkie zamieszanie w całym systemacie irygacyjnym i wymaga budowy licznych tam, grobli, upustów i t. d. które jakkolwiek pojedynczo mniej znaczne, razem jednak wzięte dorównałyby prawie nakładom jakie projekt p. Tala-bot pociąga.

P. Barrault spodziewa się otrzymać wielkie korzyści dla rolnictwa, przez napuszczenie kanału wodą słodką i zapewne urządzenie zależnych od niego irygacyi, główny jednak do tego warunek, to jest utrzymanie wody w stanie słodkim, zdaje nam się nader wątpliwym; kanał bowiem przerzyna grunta nasiąkłe solą, przechodzi przez jeziora napełnione wodą słoną i łączy się z morzem, z którego woda nawet zatrzymana szluzami, przy każdym przejściu statków obficie do kanału wpływaćby musiała. Wszystkie te przyczyny naprowadzają na wniosek, że woda słodka z koryta Nilu w kanał wprowadzona, w krótkim czasie do tego stopnia nasyczałaby się częściami soli, że irygacye z jęj pomocą skuteczniejsze zamiast korzyści szkodę-by rolnictwu przynosić musiałby.

— Najgłówniejszy wreszcie zarzut przeciw projektowi p. Barrault nastęrcza zupełne przecięcie wolnego odpływu wód Nilu, w celu nawodnienia kanału, i utrzymania w nim poziomu wzniesionego o 2 metry powyżej niskich wód morskich. Równie przez kommissyą, jak przez wszystkich obeznanych z miejscowością i tego rodzaju robotami, ta część projektu uznana została za niepodobną do wykonania i pociągającą za sobą najszkodliwsze następstwo.

— I rzeczywiście, jeżeli nawet na chwilę przypuścimy możebność zatrzymania i odwrócenia zupełnego wód tak wielkiej rzeki podczas niskiego ich stanu, nie podobieństwem przecież będzie stawić podobną zaporę w czasie peryodycznych wylewów, które częstokroć w Nilu do ogromnej dochodzą wysokości. W zwyczajnym stanie Nil dostarcza na sekundę 680 metrów sześciennych wody. Poziom jego wznosi się o 10 metrów powyżej podczas wylewów nie przechodzących granicy, po za którą powódź zamiast

pożytku, klęskę dla całej doliny przynosi, i wtenczas odpływ rzeki staje się dwadzieścia razy większy i wynosi 13,000 metrów sześciennych na sekundę. Jakim więc sposobem można się spodziewać, aby podczas tych wylewów peryodycznych, corocznie przez kilka miesięcy trwających, kanał nasz był w stanie zwrócić tak znaczną ilość wód i zapewnić im, przy małym swym spadku odpływ konieczny do kanałów bocznych. Wprawdzie rozległa przestrzeń ziemi zajęta przez dolinę Nilu zużywa część pokrywającej ją wody przez wsiąkanie w ziemię i wyziewy, reszta jednak odpływa zwykłą drogą do morza i warunek ten jest niezbędnym do użyznienia zalanej ziemi, wylewy bowiem dwoistą oddają tęg okolicy posługę, raz nanosząc pokłady użyzniającego szlamu, powtóre spłukując osady soli występujące na powierzchni ziemi i niszczące jęj urodzajność, zresztą woda występująca z łożyska rzeki i zalewająca dolinę, jest tylko stosunkowo małą częścią powodzi, najznaczniejsza ilość zawsze wprost korytem odpływa i wątpić należy o możności zatrzymania jęj w biegu.

Prawdopodobnie żadne tamy i groble nie byłyby w stanie oprzeć się tęg sile, a uwięziona w sztuczne koryta woda, wzniosłaby się po nad nie, zerwała, zniosła i dawną drogą podążyła ku morzu.

Lecz pomińmy i ten wypadek i przypuścmy, że tamy p. Barrault zdołają się oprzeć powodzi, w takim razie koniecznym skutkiem zapór jakie woda w swęj drodze napotka będzie wolniejszy jęj odpływ ku morzu, a zatęm i dłuższe trwanie zalewu doliny, co musiałoby spowodować zupełny upadek tęg okolicy, której urodzajność oddawna już przeszła w przysłowie. Kanał p. Barrault wywołałby corocznie te same klęski, jakie dziś tylko zbyteczne wylewy na Egipt prowadzają; w takich bowiem wypadkach, wody nie znajdując dostatecznego ujścia, pokrywają zbyt długo zalane pola, czas zasiewów przechodzi, i głód w miejsce obfitości całą nawiedza okolicę.

Takie byłyby niechybnie skutki zwykłych wylewów, łatwo więc można sobie wyobrazić do jakiego stopnia doszłoby zniszczenie całego kraju w czasie nadzwyczajnych powodzi, kiedy Nil nie o 10 ale o 15 lub 18 metrów wznosi się po nad zwykły swó poziom. Dość tu przytoczyć wylew w r. 1829, podczas którego wody doszły 11,^m50, a zatęm tylko 1,^m50 wyżej jak przy zwyczajnych zalewach. Cała dolina została w ogromne jezioro zamienioną, woda pokryła drogi podczas zwykłych wylewów wznoszące się po nad jęj powierzchnią, wsie i miasta zostały zalane, a szkody przez stratę zasiewów zrzędzone obliczono

na przeszło 16 millionów franków. Strata ta spowodowana została, przez zbyt długie trwanie powodzi, woda bowiem w zbyt znacznej ilości, nie mogła znaleźć dostatecznego odpływu, chociaż jej żadnych sztucznych nie stawiano zapór. Klęski podobne częstszymi i bez porównania zgubniejszymi stałyby się po wykonaniu projektu p. Barrault, ten więc głównie powód skłonił kommissyę do odrzucenia go stanowczo i przyjęcia kierunku wprost między morze przecinającego, o którym, z kolei mówić nam wypada.

Kanał morski projektowany przez kommissyę stanowić będzie prawdziwą sztuczną cieśninę, łączącą morze Czerwone z Śródziemnym, a kierunek jego, przez samą miejscowość został wskazany. Przechodzić on będzie przez kraj zupełnie płaski, postępując za wklęsłością utworzoną, spotkaniem się dwóch pochyłych płaszczyzn, z których jedna od środkowego Egiptu, druga od brzegów Azji ciągnie się przez między morze. W całym przebiegu swoim nie wymaga projektowany kanał żadnych dzieł sztuki, jest bez porównania krótszy od podawanych przez panów Barrault i Talabot, a w wykonaniu swém żadnych rzeczywistych nie napotyka przeszkód, jest więc zarazem najdogodniejszym, najoszczędniejszym i w najkrótszym czasie mogącym się do skutku doprowadzić. Kierunek jego jest następujący:

Wychodząc z zatoki Suez ciągnie się łukiem ku wschodowi, spotyka ślady dawnego kanału i po nich postępuje, a następnie zostawiwszy je na zachód dąży ku suchej dziś dolinie jezior Gorzkich, dawniej łączących się z morzem Czerwonym — przechodzi je w kierunku całej ich długości, przerzyna wzgórze Serapeum w najwyższym punkcie i wpada do jeziora Timsah, które stanowić będzie ogromny port wewnętrzny, do naprawy i przystanku statków służyć mogący. Przejście przez jeziora Gorzkie i Timsah ma stanowić kanał podwodny (ehénał) bez burt, pogłębiony za pomocą machin do dragowania. Po wyjściu z jeziora Timsah kanał napotyka wzgórze El-Guis, a po za niemi wpada do jeziora Menzaleh, ciągnie się po nad wschodnim jego brzegiem i na wysokości dawnego Saïs dosięga morza Śródziemnego.

Pierwiastkowy projekt Linant-Beja został w tym względzie zmieniony przez kommissyę, gdyż miejsce wskazane w nim około ruin Peluzy, przedstawiało potrzebną głębokość wody w odległości dopiero 7 lub 8000 metrów od brzegów, co pociągnęłoby nadzwyczaj kosztowne i trudne do wykonania roboty. Poszukiwania kommissyi zupełnym zostały uwień-

czony skutkiem i w miejscu obranym przez nią, tamy zbudować się mające i roboty podwodne na daleko mniejszej przestrzeni są potrzebnymi.

Podług projektu tama północna ma mieć długości 3500 metrów, to jest aż do miejsca, gdzie głębokość wody dochodzi 10 metrów; szerokość jej u wierzchu wynosić będzie 10 metrów; południowa zatrzyma się na odległości 2500^m przy głębokości 8 metrów — szerokość jej w koronie będzie 8 metrów. Obie te tamy zaopatrzone będą poręczami na całej długości.

Szerokość tego podwodnego kanału stanowiącego zarazem port wynosić ma 400 metrów, co przy wspomnianej długości da nam powierzchnią przeszło 80 morg nowopolskich; nadto u wejścia druga przystań utworzona będzie przez załamanie tam na zewnątrz, i utworzy kwadrat, którego każdy bok 800 metr. mieć będzie. Od północno-zachodnich wiatrów, które są w tych stronach panujące i częstokroć burze prowadzają, cały port zostanie zupełnie zasłonięty za pomocą przedłużenia tamy od téj strony położonej. Wejście do portu oświetlone będzie latarniami morskimi na końcu tam zbudowanymi.

Jednym z najważniejszych zarzutów, jakie projekt kommissyi napotkał, było zbyt znaczne podnoszenie trudności miejscowych w urządzeniu dogodnego portu, w jakimkolwiek punkcie po prawej stronie ujścia Nilu. Do pewnego stopnia zarzut ten był uzasadniony gdyż jakkolwiek prace hydrograficzne wykazały obecnie możliwość zbudowania w Saïs, portu dość dogodnego, nie jednak nie zapewnia, czy dzisiejszy stan dna morskiego, z czasem nie ulegnie takim zmianom, któreby przystępu do portu nie utrudniły. Obawa ta zasadza się na istnieniu przy brzegach morza Śródziemnego prądu, który zaczynając się przy cieśninie Gibraltarskiej, ciągnie się po nad północnym wybrzeżem Afryki, dochodzi do między morza Suez i zwróciwszy się po nad wybrzeżem południowym Europy, wraca do miejsca, z którego wyszedł. Dostrzegacz stojąc w którymkolwiek punkcie po nad brzegiem morza, widzieć może bieg wody od lewej ku prawej stronie się posuwający. Prąd ten unosi i osadza po prawej stronie ujścia wszystkich rzek wpadających do morza Śródziemnego piaski i muły płynące ich korytem, i zasypuje tym sposobem wszystkie porty po téj stronie położone. Łatwo tu przytoczyć wiele przykładów stwierdzających tę prawdę.

We Francyi porty Cannes i Frejus zostały zamulone przez rzekę Var; całe wybrzeże po prawej stronie ujścia Rodanu zaniesione jest piaskiem i pewno ten sam los spotkałby port Marsylski, gdyby zamiast

po lewój, znajdował się po prawej stronie ujścia tej rzeki. W Hiszpanji w podobnym położeniu znajdują się miejsca po prawej stronie ujścia Ebro leżące.

Na morzu Adryatyckim, Triest jest dobrym portem, gdyż się znajduje po lewej stronie ujścia Tagliamentu i Piawy, a Wenecya po stronie przeciwniej położona, oddawna ma port swój zamulony. Toż samo powtarza się w Algiieryi i na całym wybrzeżu morza Śródziemnego.

— W Egipcie Nil od najdawniejszych czasów temu samemu ulega prawu. Herodot powiada, że na prawo od ujścia tej rzeki znajduje się morze błota, i to położenie w niczem się dotąd nie zmieniło, peluzka odnoga Nilu jest dziś całkowicie piaskiem zawałona i zamulenie widocznie z czasem ku prawej stronie postępuje. Pomimo to wszystko jesteśmy przekonani, że miejsce przez kommissyę na port obrane, o ile możności w najkorzystniejszych znajduje się warunkach, i jeżeli rzeczywiście niebezpieczeństwo, o którym mówiliśmy grozi projektowanemu portowi, to przy starannym utrzymaniu i zaradczych środkach zawsze będzie można uniknąć szkodliwych skutków z miejscowości wynikających.

Port Suez w drugim końcu kanału położony, wymagać będzie daleko mniej pracy. Zatoka, jak o tym przekonały kilkakrotnie powtarzane niwellacye przedstawia głębokości od 5 do 13 metrów, łączy się z morzem Czerwonem przez dwa przejścia na 16 lub 17 metrów głębokie i zewsząd jest zasłonięta od wiatrów, wyjąwszy strony południowo-wschodniej; przedłużenie więc tamy od tej strony położonej wystarczy do zupełnego zabezpieczenia całej przystani.

Tak korzystne z natury położenie zatoki dozwoliło kommissyi skrócić długość tam, które doprowadzone będą tylko do głębokości sześciu metrów — dalej kanał podwodny przedłużony zostanie w kształcie prostego pogłębienia dna morskiego, aż do miejsca w którym naturalna wód głębokość 9 metrów wynosi. Pogłębienie to będzie mieć 500 metrów szerokości. Latarnia morska na brzegu zatoki wzniesiona oświetlać ma wejście do portu.

Wspomnieliśmy poprzednio, że jezioro Timsah, dziś w większej połowie suche, przeznaczone jest na utworzenie portu wewnętrznego; nad brzegami jego zamierza kompania wystawić potrzebne magazyny,

warsztaty do naprawy statków, bulwar 1500 metrów długości do ładowania i wyładowywania okrętów i inne podobne przyrządy. Port ten odda niezaprzeczenie wielkie usługi żegludze między-narodowej, okręta bowiem zawiąwszy do niego, znajdą wszystko, czego tylko po długiej podróży, do zasilenia się, lub naprawy zażądać mogą i to w miejscu zabezpieczonym od wszelkich burz i wiatrów; większy pożytek zapewnia on jednak dla Egiptu i niewątpliwie przyczyni się znacznie do postawienia z czasem tej krainy na stopie pomyślności, jaką u innych narodów handlowych widzieć możemy.

Do osiągnięcia tego celu zarówno z portem Timsah przyczyni się zaczęty już kanał wody słodkiej, łączący punkt ten z Kairem, dla zapewnienia komunikacyi między przystanią i wnętrzem kraju, co ułatwiając zamianę płodów krajowych i zagranicznych ożywi handel dziś prawie nie istniejący. Ubożny ten kanał odda przy tym wielkie usługi, przy samej budowie głównego kanału morskiego. Naprzód ma on być użyty na napełnienie suchego prawie łożyska jeziora, aby podwodny kanał mógł być wykonany za pomocą zwykłych machin do dragowania, co bez porównania łatwiejszem i mniej jest kosztownem do ręcznej roboty — następnie zwrócone koryto równoległe do kanału morskiego przeciągnie się aż do Suez i zasilać będzie wodą słodką robotników pracujących w pustyni; — nadto użytym kanał ten będzie do irrygacyi doliny znaniej przez starożytnych z swjej żyzności i pod nazwą ziemi Pastwisk w Biblii wspomnianej, która dzisiaj stała się zupełnie bezpłodną.

Oto jest ogólny zarys projektowanego połączenia dwóch mórz, uderzający swoją prostotą, tak dalece że dziwiłoby się należało, dla jakich przyczyn ludzie znakomici i używający prawdziwie zasłużonej sławy, jak pp. Barrault i Talabot i inni, zamiast przyjąć to najprostsze rozwiązanie, szukali jakby naumyślnie utrudnienia i zawikłania w przedstawionych przez siebie kierunkach. Za jedyne tłumaczenie w tym względzie, posłużyć może niedokładna znajomość miejscowości i mniemane trudności, których opisy z dobrą lub złą wiarą rozrzucano po Europie, a które miały stać się nieprzełamaną przeszkodą do bezpośredniego połączenia dwóch mórz.

(Dokończenie nastąpi.)



WYDRA (LUTRA).

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ.)

Równie budowa ciała jak i sposób życia wydry przedstawiają wiele osobliwości. Płaska, szeroka głowa, małe oczy i uszy długie, połyskującym włosem pokryte ciało i gruby z krótką siercią ogon, nadają temu zwierzęciu dziwną postać i uderzająco odróżniają je od blisko z niem spokrewnionej *Kuny*. Skóra wydry ma miękką żółto-szarą wełnę i dłuższe, sztywne, świetnie brunatne włosy. Dorosła wydra dochodzi ogólnej długości (od nosa do końca ogona) 4 stóp lub nieco więcej, a wagi 22 do 25 funtów. Wydra jest szczególnie w swoim rodzaju, wodnym zwierzęciem. Cała jej budowa ciała, a mianowicie mocne błony między palcami nóg, pozwalają jej pływać bardzo zręcznie na powierzchni lub pod wodą, tak z prądem jak i przeciw prądowi, tudzież zanurzać się i przez kilka minut pozostawać pod wodą. Za to na lądzie poruszenia jej są ciężkie i niezręczne; najpospolicij porusza się ona krótkimi skokami z krzyżem łukowato-wygiętym. Trop jej jest nieco grubszy niż trop lisa i pokazuje wyraźnie błony międzypalcowe; zwykle dwa ślady nóg znajdują się ukośnie obok siebie. Jak większa część zwierząt drapieżnych, wydra w nocy jest w ruchu a w dzień chowa się w kryjówkach, w jamach przybrzeżnych, w norach lisich lub korzennych i wydrążeniach drzew. Przy zimnej porze roku oraz w miejscach niezamieszkałych lub przynajmniej mało uczęszczanych przez ludzi wybiera w dzień nawet sobie odkryte legowiska i naprzykład lubi grzać się na słońcu na wierzchołku obciętej wierzby, albo na zamarzłej powierzchni rzeki albo stawu. Jeśli przez wyrąbany w lodzie otwór zanurzy się w wodę, zawsze potrafi znaleźć to miejsce i niem napowrót z wody wychodzi dla odetchnienia powietrzem lub wyjścia na ląd.

Wydra znajduje się prawie w całej Europie i w znacznej części Azji. Wody obficie zarybione czy to w równinach, czy na górach, czy to strumienie, jeziora, czy rzeki, są miejscem jej pobytu, ale woli w ogóle wodę bieżącą niż stojącą, mianowicie otoczoną wy-

sokiemi spadzistemi brzegami, które przedstawiają jej dogodne miejsca schronienia.

Pożywieniem jej są głównie ryby i raki, poluje jednak na szczury wodne i żaby; ptaki wodne a szczególnie ich jaja stają się często także jej łupem; a ponieważ bardzo jest żarłoczna i drapieżna i podobnie jak tchórz lub kuna więcej zagryza niż pożreć jest w stanie, przeto bardzo bywa szkodliwą dla gospodarstwa rybnego. Z większych ryb które schwytawszy na brzeg wnosi, zjada tylko mięsne części, głowę zaś i wnętrzności z całym szkieletem, nienaruszone pozostawia. Raki także tak porywa że skorupę zgruchotaną pustą porzuca. Takie resztki jej raków znajdowane na kamieniach nad wodą wystających lub na brzegu zdradzają łatwo miejsce jej pobytu.

Głos wydry jest głośnym poświstem i słyszeć się daje najczęściej w czasie parzenia się, to jest w styczniu i lutym młode, po 3 lub 4 rodzą się ślepe w kwietniu lub maju, jednakże nie jest to ścisłą regułą i często zdarza się w zimie młode wydrzęta spotykać. Schwytane młodo dają się łatwo oswajać, przywiązują się do swoich panów prawie jak psy, chodzą za nimi, uczą się rozmaitych sztuk, np. aportowania, skakania i t. p. i przyzwyczajają się do pospolitych domowych pokarmów mącznych i roślinnych. Rosną powoli i dopiero po dwóch latach są zupełnie dorosłymi.

W wiedeńskiej *Jagd-Zeitung* z roku 1858 znajdujemy następujące zajmujące opowiadanie o łatwym oswojeniu wydry.

„Przy wielkim wylewie wód w końcu lipca, mówi autor p. Reichl, pewnego dnia w południe znalazłem na pniu wierzbowym z obcięcą koroną trzy małe wydry, które nieustannie gwizdały, zapewne przywołując matki. Za zbliżeniem się mojem zeskoczyły w wodę, ale przy pomocy jednego rybaka, schwytałem dwoje i zaniósłem do domu. Przez kilkanaście dni karmiłem je letniem mlékem ale jednego wieczora służąca przez nieostrożność czy też umyślnie jedno

z nich beczką od wody przygniotła. Drugie które okazywało się słabszem, wychowywało się bardzo pomyslnie i wkrótce pobratało się z psem od kurników, przyzwyczało się do niego, jadało nawet później z jedną z nim miseczki; ale pies musiał zawsze czekać aż się wydra należycie najadła. Kiedy przy stole zmieniano talerze, ona była natychmiast na stole kuchennym i każdej służącej, któraby ją chciała odpędzić, broniła się ona zacięciem i nieraz talerze i co tylko było na stole poszło w kawałki. Kości ogryzała jak pies, a złapawszy którą, uciekała w kąt i kąsała każdego kto się przybliżył. Mnie samemu przy podobnym wypadku przegryzła but kiedy ją chciałem od drzwi odpędzić. Ryb nie jadła wcale i na wodę nie chodziła ale za to goniła kury i kaczki i dusiła je, jeśli którą schwyciła. Surowe kartofle były jej najulubieńszą strawą. Jeśli gdzie wychodziłem a ona to postrzegła, biegła zaraz obok mnie ale zawsze o parę kroków z boku, bruzdą między zagonami zboża lub kartofli, gdzie nie bardzo było jej widać. Każdemu człowiekowi lub zwierzęciu ustępowała z drogi i obszedłszy szerokimi łukami wracała znowu do mnie. Z wiekiem stawała się coraz złośliwszą; jeśli ją uderzono najcieńszą nawet różgą, zaraz powłóczyła tylne nogi jakby była ciężko zbitą. Najmilszą jej kryjówką było poddasze. Pewnego razu wyszła na dach i spadła z wysokości jednego piętra na podwórze; zdawało się że się zabiła; ktoś przechodzący tamtędy wziął ją za przednie łapki, potrząsnął nieco i postawił napowrót na ziemi, i zaraz umknęła żwawo. W ośm dni dopiero pokazała się znowu i wesoło dopominała się o śniadanie. Z powodu złośliwości, żarłoczności i nieczystości, uprzykrzyła się służącym; pewnego razu wróciwszy do domu z dość długiej podróży już jej nie znalazłem, zapewniono mnie że powtórnie spadła z dachu i zabiła się. Miałem ją przez półtora roku a jeszcze nie dorosła średniej wielkości.”

W Polsce w dawnych czasach chowano wydry oswojone po domach, a mianowicie mamy podanie że król Jan III miał ulubioną wydrę bardzo oswojoną i przywiązaną, która zwykle na axamitnej poduszce siedziała w sypialni królewskiej.

Wydry mają węch i słuch bardzo delikatny ale za to wzrok ich nie zdaje się być bystrym.

Niezmierna ich czujność i ostrożność, ukrywanie się w dzień a wychodzenie za żérem w nocy, czyni polowanie na wydry trudnem: przytem zmienia ona często miejsce pobytu, przez co bardzo często tropienie jej pozostaje bezowocném. Ale wysoka cena jej futra mianowicie w czasie zimowym, tudzież wielkie szkody jakie te drapieżne zwierzęta zrzadzają w wodach obficie zarybionych, podniecają ochotę myśliwych, a rzeczywiście nie mało wytrwałości i poświęcenia potrzeba, żeby wśród mroźnej, oświetlonéj blaskiem księżyca, nocy, godzinami bez poruszenia stać na stanowisku, aby może zobaczyć wydrę, o której bytności w pobliżu mamy niejakié wskazówki.

Innym łatwiejszym, ale tylko na wązkich wodach dającym się zastosować sposobem polowania na wydry, jest chwytnie ich w sieci wodne. W tym celu powyżej i poniżej miejsca gdzie dostrzeżono tropy wydry, zakładają się od brzegu do brzegu mocne sieci tak, że pomiędzy niemi część strumienia lub rzeki zupełnie zostaje zamkniętem i wtedy za pomocą drągów zapuszczanych w wydrążenia brzegów i przez ułożone do tego psy, wypłasza się wydry z ich kryjówek. Rzucają się one wtedy w wodę i przeciw prądowi płyną a skoro zaplątają się w sieci, łatwo je na ląd wyciągać i zabijać. Niekiedy nie używają nawet do tego sieci tylko płoszą wydry psami, a płynące i dla oddechu niekiedy łeb z wody wynurzające, trafieniami strzałami sprzątają.

Nakoniec łapią je także w takie żelaza jakich się używa na lisy i kuny, ale potrzeba umieć je bardzo sztucznie w płytkiej wodzie na piasku zastawiać, używając na przynętę małych rybek, ptaków lub raków; połów ten jednak przy nadzwyczajnej ostrożności tych zwierząt nie bardzo się opłaca ¹⁾.

¹⁾ Pasek, przewybornie Wydrę opisał w swych Pamiętnikach. Kiedy Żydzi nosili strój dawny u nas, bogatsi z nich używali futer na czapki świetalne, i to bardzo stosownie! jak dodaje w nawiasie z wykrzyknikiem b. Prof. Dr. Jarocki. (Patrz Zool. T. I str. 196.)

O GALILEUSZU.

Aby zrobić sobie prawdziwe wyobrażenie o postępie i rozwijaniu się nauk przyrodzonych, powinniśmy obznajmiać się z pracami ludzi znamienitych, którzy stanowią epokę w ich pojmowaniu, wprowadzili je na drogę im właściwą, to jest na drogę badania i doświadczenia.

U starożytnych, jako i w wiekach średnich, na Wschodzie, czy to na Zachodzie, wszędzie upatrywano raczej cudów w naturze, niżeli prawdy; która, wydawała się zbyt pospolitą, niegodną uwagi filozofów. Uczeni, bardzo późno doszli do tego przekonania, że nadzwyczajne zjawiska, jakie nas zdumiewają, pochodzą z tych samych przyczyn, które powodują skutki drobne i codzienne, i że najprzód z tych ostatnich potrzeba zdać sobie sprawę, aby tamte zrozumieć.

Tak mędrzec, mniemając że siły działające na naszej ziemi, są zupełnie różne od tych, które rządzą innemi ciałami niebieskiemi, pogardzał zastanowieniem się nad spadkiem kamienia; tymczasem fakt ten, posłużył do wykrycia, główniejszych praw przyrody.

Błędne pojęcia panujące w naukach ścisłych, dawały poparcie tak rażącej niesprawiedliwości, że zdawało się iż ludzkość oczekiwała genjuszu, któryby położył tamę ogólnemu zamętowi.

Galileusz był tym genjuszem; życie poświęcił na szukanie prawdy; zasłużył się przyszłości, ale czas swój wyprzedził, i cierpieniem zadosyć uczynić musiał ówczesnym przesądom.

Galileo Galilei, pochodził ze znakomitej, lecz zbożałej rodziny florenckiej; urodził się w Pizie 1564 roku. Ojciec jego, sam wykształcony na literaturze greckiej i łacińskiej, starał się dać synowi, od dzieciństwa już staranne wychowanie, mianowicie gdy w nim postrzegł coraz bardziej rozwijające się zdolności. Istotnie, podziwiano wówczas wszechstronność młodzieńca. Klasyków starożytnych zgłębił i wyuczył się ich filozofii, poświęcając się przytém mechanice, malarstwu i muzyce, Sztuki piękne, do późnego nawet wieku były jego rozrywką.

W siódmym roku poszedł do uniwersytetu Pizańskiego, gdzie naprzód słuchał kursu filozofii, obejmującego natenczas metafizykę i matematykę; następnie nauk medycznych; później głównym jego zajęciem, była geometrya; a kierując się dziełem Archimedesesa, wydoskonalił ją, i posunął naprzód krokiem olbrzymia.

Najmniejsza okoliczność, która dla innych niepostrzeżona przechodziła, zwracała na siebie jego badawczą uwagę; ośmnastoletni młodzieniec, zastanawiając się nad poruszaną wiatrem lampą u sklepień kościoła, wykrył prawa wahań, tak ważne w swoim zastosowaniu.

W dwudziestym pierwszym roku życia wydoskonalił teorię o środkach ciężkości ciał.

W dwudziestym czwartym, korespondował z Klawijuszem biegłym astronomem, z Ortelijuszem geografem, i z innymi uczonymi, którzy byli w stanie ocenić jego zdolności. Zbyt ubogi, żeby swoje pisma mógł drukiem ogłaszać, udzielał je w rękopiśmie. Imię jego wzrastało coraz bardziej; lecz korzyści materialnych nauka ta, żadnych dać mu nie mogła. Za wielkim i usilnym staraniem margrabiego del Monte, także geometry, i jego brata kardynała, otrzymał w 1589 roku katedrę nauk matematycznych przy uniwersytecie w Pizie, z płacą roczną 60 talarów; gdy tymczasem tamtejsi profesorowie medycyny, brali po 3000 talarów.

Wykład jego był pełen zajęcia, gdyż stanowiły go co raz to nowe postrzeżenia, coraz to nowe zasady nauki. Sprostował prawa o spadaniu ciał, dowodząc że prędkość jest proporcjonalną do czasu, a przestrzenie przebieżone mają się do siebie jak kwadraty z odległości. Co stwierdzając doświadczeniem, zrzucał rozmaite ciała z pochylonej wieży pizańskiej, w obec uczniów i profesorów, i tym sposobem ustanowił prawa spadku, będące obecnie podstawą dynamiki. Lecz że one zbijały wszechwładne natenczas mniemania Aristotelesa a słuchacze nie byli dostatecznie przygotowani, przyjmowano niejednokrotnie więc nauczyciela—gwizdaniem.

W lat trzy, opuścić musiał Pizę, ściągawszy na siebie niechęć Jana Medyceusza; który mając się za biegłego inżyniera, wymyślił jakąś machinę do oczyszczenia gruntu; wezwany Galileusz wykrył jój wady, czém tak obraził autora, iż zagrożono mu dymisyą. Unikając burzy, wydalil się do Florencyi; tam powtórnie margrabia del Monte, przyszedł mu z radą — i pomógł do otrzymania katedry matematycznej w Padwie.

Niebawem po jój objęciu, powodzenie profesora, okazało się ogromném. Jego odznaczająca się wymowa i jasność w udzielaniu trudnych i tak mało przystępnych nauk matematycznych, zjednały mu, jak współcześni pisarze świadczą, niezmierną liczbę słuchaczy. Nawet mieszkańcy odległych krain, między innemi Gustaw Szwedzki, zjeżdżali do Padwy aby go posłuchać. W piérwszych zaraz latach, napisał *Traktat o Fortyfikacyach, gnomonikę, o kuli, i Traktat o mechanicznych*. Dzieła te, które bardzo późno drukiem zostały ogłoszone, bo niektóre w naszym dopiéro wieku, udzielał w rękopiśmie; z czego nie jeden korzystając z nadużyciem dobrej wiary, sobie przywłaszczał jego pomysły. Wynalezienie termometru, tylu osobom przyznawane, właściwie jemu się należy. Przedtém nie było żadnej miary, do oznaczenia stanu ciepła; — jak pożyteczném narzędziem jest termometr, przekonujemy się, gdy zwrócimy uwagę że zdrowie ludzi i zwierząt, prace rolnicze, rzemiosła najpotrzebniejsze i najużyteczniejsze, zależą głównie od stopnia ciepła. Termometr Galileusza, była to rurka zakończona galką a z drugiego końca otwarta, który się zanurzał w wodzie, z resztą napełniona była powietrzem; za zbliżeniem ciała ciepłego do galki, rozszerzające się powietrze spychało wodę niżej, zaś za oziębieniem kurcząc się, pozwalało wodzie wznieść się wyżej; ustanowiona podziałka była miarą różnic.

Lecz każde nowe odkrycie, albo też lekye, na przykład o nowój gwiazdzie, która się ukazała w konstellacyi wężownika, ściągały na sławnego naturalistę napady perypatetyków fanatycznych, jak Delle Colombe, Cremonino, Capra, którzy opierając się na Arystotelesie, żadnej zmiany w niebiosach przypuścić nie chcieli.

Galileusz, co do astronomii, przyjął systemat Kopernika; jeszcze w roku 1597 pisał o tém do Keplera, który go zachęcał aby swoje pomysły w Niemczech wydał. Lecz Galileusz odmówił; z obawy żeby nie został okryty śmiesznością jak astronom polski,

którego Niemcy przedstawiali na scenie w roli bufona.

W roku 1609 rozeszła się w Wenecyi wiadomość, że we Flandryi przedstawiono Maurycemu Nassauskiemu, narzędzie, za pomocą którego przedmioty oddalone, widziéć było można jak z bliska. Galileusz był podówczas w Wenecyi, a gdy wieści owe, potwierdził list jaki odebrał z Paryża, zastanowił się mocno, odjechał do domu, myślał noc całą, i nazajutrz urządził teleskop, który odgadł.

W dziesięć miesięcy tak go wydoskonalił, że otrzymując powiększenie przedmiotów tysiąc razy, ogólny zapał obudził. Zewsząd zgłaszano się do niego po teleskopy. Wieże Wenecyi pokryte były tłumami obywateli, przyglądających się płynącym po Adryatyku okrętom. Senat Wenecki powiększył profesorowi pensyę, wywdzięczając się za narzędzie, w którym widział możność przeniknienia obrotów nieprzyjacielskich. Gdy Senat za pomocą teleskopu, myślał o ustaleniu swój władzy na morzu, Galileusz przeglądał nim niebo. Gorliwość jego była tak wielką, że w ciągu roku jednego, poczynił zadziwiające odkrycia astronomiczne.

Zbadał księżyc, jego powierzchnię, pierścienie Saturna, zaćmienia księżyców Jowisza, kwadry Wenus, drogę mleczną, plamy na słońcu i obrót jego.

Teleskop ogłosił światu sławę astronoma. Zapomniano wkrótce o nieznanym mechaniku księcia Nassauskiego, którego zresztą narzędzie powiększało tylko pięć razy. Wynalazek teleskopu słusznie przyznano Galileuszowi.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak wielki naówczas przewrót w pojęciach podobne odkrycia zrobiły, gdy wspomnimy, że do czasów Galileusza mniemano, iż i słońce i księżyc i gwiazdy, w rzeczywistości były tylko takimi, jak je oczy ludzkie widziały.

Poeci w rymach ogłaszali jego postrzeżenia. Wielki książę Toskański, naprawiając błąd swój dawniejszy, znacznemi podarunkami chciał się astronomowi przypodobać; nie trudno mu to przyszło, bo Galileusz tęschnił do swojej ojczyzny; a nadając nazwę „Gwiazd Medyceuszów” księżycom Jowisza, chciał przemówić do serca rządcy Toskanii. Jeździł tam parę razy, przyjęty uprzejmie u dworu, postanowił przenieść się do Florencyi. I w roku 1610 opuścił państwo wenecjańskie, pomimo dostatniego bytu jaki tam sobie wyrobił, znaczenia i poparcia ze strony Senatu. Przyjął tytuł piérwszego matematyka i filozofa W. księcia Toskańskiego, z pensyą mniejszą od téj, jaką pobiérał w Padwie.

Dwaj jego przyjaciele, senatorowie Sagredo i Sapi, którzy pod ten czas podróżowali na Wschodzie, powróciwszy do Wenecyi, zmartwili się bardzo takim obrotem rzeczy. Przewidując złe następstwa, pisali do Galileusza z ostrzeżeniem; mianowicie gdy ich doszła wiadomość o jego wyjeździe do Rzymu, Sapi, znakomity polityk, przewidywał że kwestya obrotu ziemi, stanie się sprawą religijną. Jaka szkoda, pisał, żeś opuścił kraj wolny, którego rząd miał dla ciebie najwyższe poważanie, a udałeś się tam, gdzie panują Jezuiti.

W roku 1611, Galileusz pojechał do Rzymu, aby stanąć w obronie swojej nauki; wielu osobom przewodniczył w postrzeżeniach astronomicznych; ludzie oświeceni, pomiędzy którymi było kilku kardynałów i innych księży, nieodpychając nowych odkryć, zostali jego wielbicielami; lecz zazdrośni i interessowani w popieraniu dawnych błędów, byli jego nieprzyjaciółmi, a byli w większości. Kilku duchownych posiadających wpływy i znaczenie, zaczęło się obawiać, aby nowa nauka, nie była za mało zgodną z dogmatami kościoła. Kardynał Bellarmin zasięgał zdania czterech jezuitów, pomiędzy którymi był astronom Clavius; w odpowiedzi ich widocznie przebijała się skłonność do przyjęcia nowych zasad. Galileusz, Rzym opuścił pełen tryumfu; lecz pomimo że tam zostawił licznych przyjaciół, i oddaną sobie sławną akademję „dei *Lincei*,” która go swoim naczelnikiem obrała, skryta zawiść pracowała ciągle, aby dla niego zniechęcić umysły.

Po powrocie z Rzymu, Galileusz myśląc ciągle nad utworzeniem narzędzi, ułatwiających badanie przyrody, wynalazł mikroskop. Gdy wynalazek ten przyznawano później, bo w 1619 roku, Zacharyaszowi Jans z Middelboga, już w roku 1612, jak Viviani pisze, Galileusz posłał jeden mikroskop swojej roboty królowi polskiemu.

W skutek rozprawy treści fizycznej z peripatetykami, wydał dziełko: „O ciałach zanurzonych w cieczy,” w którym wyłożył prawdziwe zasady hydrostatyki, z zawziętością, a niesłusznie zbijane przez stronę przeciwną.

Peripatetycy, zwykle pobici na polu naukowym, uciekli się do dowodzeń, daleko niebezpieczniejszych, to jest religijnych. Dotychczas kościół milczał, ponieważ Galileusz swoich dzieł nie ogłaszał drukiem; poprzednio jeszcze, papież nie wahał się przyjąć dedykacyi pracy Kopernika o obrocie ziemi, ponieważ uważał ją jako hipotezę, przeciw której nawet, oświadcza się opinija publiczna. Lecz gdy

Galileusz z odwagą godną uwielbienia, zrzucając jarzmo opinii, gorliwie pracował nad pozyskaniem ludzi zdolnych dla nowej nauki, i też rozszerzać się poczęła; zwolennicy dawniej filozofii, najprzód skrycie, potem jawnie, starali się zatamować jej postęp; kościół zaś popierał podobne usiłowania, bo pochodziły od tych, którzy byli jego najstalszą podporą, i ortodoksyą się odznacжали.

Prześladowania jawne, rozpoczęło duchowieństwo Toskańskie, a hołdująca mu zawsze rodzina Medyceuszów, zaledwo niekiedy tylko, jakim słówkiem, wyrzeczonym z obawą i nieśmiałością, stanęła w obronie astronoma; który po śmierci panującego księcia, za rejencyi Krystyny, widział się już bez żadnego poparcia; bo ci duchowni, którzy powodując się uczuciem sprawiedliwości i postępem oświaty, trzymali jego stronę, jako to: Foscarini, Castelli, Ciampoli, Orsini, w końcu zamilkli w obec gwałtowności przeciwników, cechującej mianowicie Dominikanów. Caccini we Florencyi, miewał publiczne kazania przeciw wielkiemu astronomowi, nazywając jeometrię, sztuką djabelską, a matematyków, twórcami wszelkich herezji.

Powtarzano ciągle że obrót ziemi, sprzeciwia się pismu świętemu, które mówi: że ziemia stoi. Galileusz powoływał się na złe objaśnienie pisma, owszem widział w niem zupełną zgodność z zasadami nauki. Lecz dwór rzymski nie chciał pozwolić, żeby człowiek świecki mieszał się do tłumaczenia pisma.

Wręczono obecnemu w Rzymie Galileuszowi, dekret Kongregacyi Indeksu, zabraniający utrzymywać, przeciwną pismu świętemu opinię, o obrocie Ziemi. Tym samym dekretem i dzieło Kopernika zakazanem zostało, aż do jego poprawy.

Ferdynand II W. książę Toskański, objąwszy rządy, a wiedząc przez swego ambassadora w Rzymie, jak rzeczy stoją, ściągnął czempredzją Galileusza do siebie, aby go uchronić od grożącego niebezpieczeństwa.

Lecz biedny astronom, krótkiego nawet nie miał wypoczynku; ukazanie się w 1618 roku trzech komet nowe starcia wywołało, z powodu że ksiądz Grassi jezuita, miał także pretensye do astronomii, którą błędnie pojmował.

Gdy w 1623 roku kardynał Barberini, przychylny Galileuszowi, został papieżem pod nazwą Urbana VIII, astronom uradowany tak korzystną zmianą okoliczności, udał się natychmiast do Rzymu, aby nowemu papieżowi wyłożyć swą naukę, i przekonać go, że też nie obejmuje żadnej herezyi. Papież okazał

się bardzo dobrze usposobionym, nawet pozwolił dzieło w tym przedmiocie drukiem ogłosić. Szczęśliwy Galileusz, powróciwszy do Florencyi, zaczął gorliwie pracować; nawet jeździł dwa razy do Rzymu, oddawał swe dzieło do cenzury duchownej; sam papież czytał je i poprawiał. Nareszcie w 1632 r. we Florencyi, wydrukowaném zostało, pod tytułem: *Dialog o dwóch wielkich systematach świata*.

Oprócz rozbioru dwóch systemów, to jest Ptolemeusza i Kopernika, praca ta zawiera wiele spostrzeżeń, zupełnie nowych naówczas, pod względem nauk przyrodzonych. Wrażenie też, jakie wywołała w świecie naukowym, było ogromne. Wyrównywał mu tylko gniew peripatetyków.

Od téj chwili, nie ustały usiłowania aby naukę nową, a raczej autora, potępić. Wmówiono w papieża, że w *DIALOGU*, jego wystawiono pod postacią nieumiejętnego Simplicyusza. Dotknięty papież, dał się powodować osobom interessowanym. Zaś W. książę Toskański, był tyle słaby i bojaźliwy, że pozwolił poddanego państw swoich, zaciągnąć przed obcy Trybunał.

Pomimo świadectw lekarzy, co do złego stanu zdrowia, pomimo przedstawień aczkolwiek nieśmiałych księcia, zwracających uwagę papieża na późny wiek obwinionego, Galileusz był zmuszony udać się do Rzymu; dokąd przybył 13 lutego 1633 r. Gdy stanął przed inkwizycją, zamknięto go w więzieniu, uległ kilkakrotnemu przesłuchaniu, przyczém, o ile z różnych okoliczności, jakoteż z wyrażeń samego wyroku, miarkować można, i tortura zastosowaną była. Nareszcie, w kilka miesięcy doręczono mu wyrok, potępiający dzieło, skazujący autora na więzienie nieograniczone, i na odwołanie błędów swoich, napojonych herezyą i przeciwnych pismu świętemu; co uczynić musiał na klęczkach i w jednej koszuli.

Wyrok podobny, oburzający umysły wznioślejsze, był publikowany z ambony we Florencyi, udzielony dworom Europejskim i wszelkim zgromadzeniom naukowym.

Więzienie zamieniono skazanemu, za staraniem przyjaciół, na pobyt, najprzód w Sienna u arcybisku-

pa Piccolomini, następnie w domu wiejskim w pobliżu Florencyi; zkaąd niewolno mu było wydalić się, ani też przyjmować u siebie przyjaciół.

Galileusz, nie tracąc nigdy odwagi, zaledwo osiadł w miejscu sobie przeznaczoném, znów oddał się pracy; lecz gdziekolwiek pisma swoje posyłał, natrafiał na rozkaz z Rzymu, zabraniający ich drukowania. Jednakże książę de Noailles, wziął na siebie wydanie „*Rozprawy i dowodzeń matematycznych, o dwóch nowych umiejętnościach*.” O tém dziele Lagrange powiedział: że potrzeba było zdumiewającego genjuszu, żeby je utworzyć, i że nigdy dosyć uwielbianém nie będzie.

We Francyi, dawały się słyszeć słabe głosy, przemawiające za nieszczęśliwym astronomem i jego nauką; ale niewiele podziałać mogły, skoro Richelieu oświadczył się przeciw obrotowi ziemi.

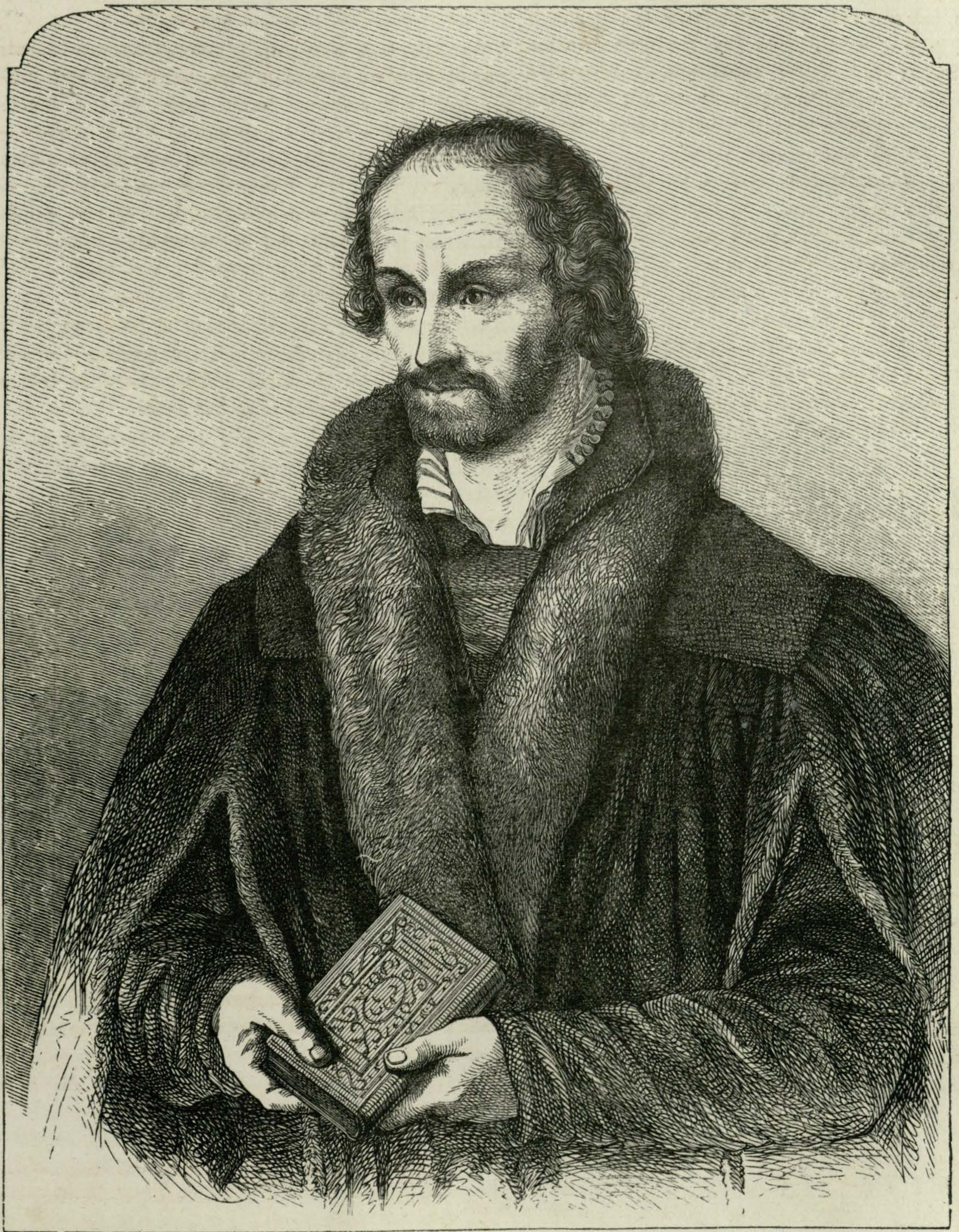
Dnia 8 stycznia 1642 roku zgasł ten znamienity człowiek, którego wytrwałości żadne zniechęcenia, którego energii żadne prześladowania stępić nie mogły; życie jego przeszło na ciągłej walce za prawdę; a skończyło się na wygnaniu, osamotnieniu i sieroctwie. Obawiał się listy nawet przyjmować od swoich przyjaciół, żeby nie popaść w zasadzki inkwizycyi.

Lecz prześladowania jakim uległ, nie zapobiegły krzewieniu się prawdziwej nauki; nauczono się od twórcy filozofii przyrodzonej, jak należy badać naturę. Zresztą, pozostawił gorliwych uczniów; Torricelli i Viviani zbierali jego pisma, i zdobywali nowe odkrycia na drodze wskazanej.

Z popiołów Galileusza, powstało sławne zgromadzenie, znane światu pod nazwą Akademii *del Cimento*.

Życzyć-by należało, żeby Toskania wspomniała iż winna jest dać zadosyć-uczynienie pamięci najslawniejszego filozofa Italii. Zebranie rozproszonych pism jego, byłoby najpiękniejszym pomnikiem dla nauk, i zaszczyt-by przyniosło narodowi, któryby tego dokonał.

R. B.



Mendelsohn Filozof.

MENDELSONH FILOZOF.

(Z DRZEWORYTEM.)

Do sławniejszych uczonych XVIII wieku należy bezsprzecznie Mojżesz Mendelsohn, izraelita. Urodzony 10 września 1729 roku w Dessau, zakończył życie 4 stycznia 1786 roku w sile jeszcze wieku, bo zaledwie pięćdziesiąt kilka lat mając. Przy skromnym i cnotliwym prowadzeniu żywota byłby dłużej pożytecznym dla rozwoju uprawianych przez się nauk filozoficznych, gdyby nie wypadek przeziębienia, który go o skon przyprawił.

Ojcem Mendelsohna, jak już z samego nazwiska domyśleć się łatwo, był Mendel Nauczyciel i Sofer, to jest pisarz o dziesięciorgu Przykazaniach Mojżeszowych. Chociaż był w nędzy, jednakże synowi swemu, Mojżeszkowi, usiłował jaknajlepsze dawać wykształcenie i ćwiczyć w hebrajszczyźnie, nauce talmudu, ksiąg świętych Starego Testamentu i t. d.

W takiej wychowany szkole nic dziwnego że młodzieniec polubił szczególnie Majmonidesa, a dostawszy dzieło jego pod tytułem: „Przewodnik błędnych” (More Nebochim) tak się niém przejął, iż te wrażenia usposobień młodzieńczych, wywarły wielki wpływ na umysł jego.

Z przyczyny ciągłych prac i ślęczeń nad pismami, dostał gorączki nerwowej, z której powstawszy, nie miał już dalszych środków utrzymania się w domu rodzicielskim. Udał się zatem, w celu szukania chleba do Berlina w roku 1742, gdzie zdołał jeszcze czas wolny od zajęć obowiązkowych, poświęcać doskonaleniu się w matematyce i nauce łaciny. Izrael Mojżesz i Doktor Kisch, byli przewodnikami jego.

Będąc jeszcze dzieckiem (podobno w 10 roku życia), wypracował kilka poemacików, ale przychodząc do wieku wytrawniejszego, poznał że nie stworzył go Pan Bóg na poetę.

Przybywszy, jak wspomnieliśmy, do Berlina, tak był biedny, że jednym tylko bocheneczkiem chleba, musiał się żywić przez dni kilka. Potém dawny jego nauczyciel z Dessau, dał mu przytułek pod strychem, i tylko dwa razy na tydzień obiadek, a za to musiał mu przepisywać na czysto rękopisma i sam się nad-

to doskonalić. Szczególniej poświęcał się zbadaniu dzieła Locka „o rozumie ludzkim” — a od izraelity polskiego z Zamościa, rabbina Izraela, uczył się Euclidesa. Grecyzna, francuszczyzna i język angielski (którego lekcyj udzielał mu Aron Emich) dopełniły reszty naukowego wydoskonalenia się przyszłego uczonego filozofa.

Z przyjacielem swym Tobiaszem, począł Mendelsohn wydawać pisemko dla żydów, w którym najgłówniej umieszczał wiadomości z nauk fizycznych, rozprawki o piękności świata stworzonego, i tym podobne artykuły, treści więcej zbliżonych do innych nauk niż talmudyczne. Ale to przedsięwzięcie literackie tak się niepodobało izraelitom niemieckim, iż musiał zaprzestać redaktorstwa.

Fryderyk Nicolas w Berlinie i Abt prof. z Ryntlen — a szczególnie sławny Lessing, byli wielkimi przyjaciółmi Mendelsohna. Ten ostatni przyniósł mu dzieło jednego z ówczesnych uczonych, aby je przejrzał; Mendelsohn napisał uwagi nad niem pod tytułem: „Philosophische Gespräche.” Lessing wydrukował za kilka miesięcy, i *pierwsze* honorarium przyniósł biednemu badaczowi od księgarza.

Prawość charakteru i wiadomości naukowe, prędzej czy później, zawsze znajdują uznanie i nagrodę. Mendelsohn będąc belferem, dostał wkrótce miejsce nauczyciela dzieci Bermana Cylca zasobnego fabrykanta, który go wkrótce przypuścił do interessów handlowych, jako współnika. Zaiste! dobra-to rzecz, nie nie włożywszy do spółki, biednemu, odrazu zostać spółwłaścicielem fabryki! Ale Mendelsohn, choć nie dał pieniędzy, wkładał do spółki inny kapitał, złożony z pracy, uczciwości i pomysłów. Gdy polepszył się stan finansowy naszego filozofa, mógł on więcej wtedy pracować dla dobra nauk.

„Listy o wrażeniach” (Briefe über die Empfindungen) w piśmiennictwie niemieckim były najpierwszym niemal dziełem, w którym rozwinięto filozofję hebrajską. Wkrótce, z temiż listami, wydał: „Philosophische Schriften” do których dołączył i wyżej przytoczone „Rozmowy filozofijne.”

Akademija berlińska podała do rozwiązania myśl Pope'go: — „Wszystko co Bóg uczynił, zrobił na dobre.” Odpowiedział na to pytanie z Lessingiem w rozprawie pod napisem: „Pope, ein Metaphisiker.” Wkrótce też akademija uwieńczyła inną pracę Mendelsohna: „Ueber die Evidenz.”

Z Fr. Nicolas napisał: „Briefe über neueste Literatur betreffend.” W „wyroczni” (Orakel) zbił Abta zdanie o przeznaczeniu człowieka, wbrew rozprawie Spaldinga. Ten wypadek był powodem Mendelsohnowi do przerobienia dzieła Platona „o Nieśmiertelności duszy” które powiększył wielu własnymi myślami i dowodzeniami, 1772 r. W dniu, kiedy się to dzieło pokazało, akademija berlińska ofiarowała mu wybity na cześć autora medal, z jednej strony mający popiersie z nadpisem w otoku: „Mojżesz Mendelsohn” ze strony zaś odwrotnej stosowne symboliczne znaki. Dzieło to przełożono w krótkim czasie na język angielski, francuzki, hollenderski, duński i polski. Drugie wydanie w naszym języku ogłosił 1842 roku Jakób Tugendhold pod napisem: „Fedon, o Nieśmiertelności duszy” — z przedmową oryginalną tłumacza zawierającą 32 stronic.

Król pruski Fryderyk II polecił mu przełożyć na język niemiecki, część dzieła „Choszen hamiszpot” które nosi tytuł w tłumaczeniu: „Ritual-Gesetze der Juden.” I tę pracę Mendelsohna mamy spolszczoną jeszcze w roku 1830 przez J. N. Janowskiego pod tytułem: „Obrzędowe ustawy żydów, co do spadków, opiek, testamentów i stosunków małżeńskich, o ile się te dotyczą własności.” (Warsz.)

Wydrukował po hebrajsku i niemiecku komentarz na Ekklezyastyka Pańskiego, a w 1779 roku przełożył na język niemiecki z hebrajskiego Pentateutikon mojżeszowy. Dziesięć lat pracując nad psalterzem Dawidowym, ogłosił go wreszcie drukiem po niemiecku, w dwóch wydaniach, z których drugie dopełnia pierwszego.

W roku 1831 tłumacz *Fedona* na polskie, J. T. w wydanej przez się „*Obronie Izraelitów*” wytłoczył

przekład. „Die Rettung der Juden” pracę Mendelsohna wziętą głównie z hebrajskiego dziełka rabina Menase ben Izraela, do którego tłumacz niemiecki przydał tylko przemowę.

Stosunek ustaw religii do praw społecznych obszernie rozwinął filozof hebrajski w dziele: „Jeruzalem, oder über religiose Maiht und Judenthum. W dziele daleko później wydanem pod tytułem: „M. Mendelsohn'a Morgenstunden oder Vorlesungen über das Dasein Gottes” mieszczą się rozprawy, które wypracowywał i czytał w godzinach rannych synowi, wykładając mu dowody rozumowe o istnieniu Pana Boga. Ztąd wywiązała się polemika przed samym już skonem autora, który świetnie ją usiłował zakończyć ostatnią pracą swoją pod napisem: „An Lessings Freunde” która uzupełnia wyżej wzmiankowane *Poranne godziny*. Bój ten literacki powstał z powodu iż Jacobi zarzucał ś. p. Lessingowi zwoleństwo systematowi Spinozy. Niedoczekał się wyjścia z druku obrony swego przyjaciela Mendelsohn, gdyż wkrótce zakończył pożyteczny swój żywot na rękę drugiego wielbiciela swego, znakomitego naówczas doktora Hertza, który zostawił nawet opis ostatnich chwil bytu na ziemi słynnego filozofa hebrajsko-niemieckiego.

Nazwaliśmy Mendelsohna hebrajsko-niemieckim filozofem, nie bez pewnej zasady. Ten bowiem mąż uczony, mimo usilnych nalegań i publicznych wezwań biskupa Lavatera, aby przyjął wiarę chrześcijańską, został do skonu w zasadach starego zakonu niezłomnym. Wywiązało się nadto z téj przychyny drukowane listowanie filozoficzno-religijne, którego treść nie tu miejsce przytaczać. Lavater, mimo téj polemiki naukowej, umiał cenić wytrwałość Mendelsohna dla wiary swych przodków, i zachował dla niego szacunek doskonały.

Jeden z przyjaciół chrześcijańskich, wniósł w swym gabinecie posąg Mendelsohna z napisem w języku niemieckim:

„MIĘDZY LUDŹMI WSZYSTKIMI—RZADKI:
WPOŚRÓD SWOICH—JEDYNY.”